Panie Coulter, Quick i Lowell
– macie konkurencję!

Affaire de Coeur

Stephanie Laurens

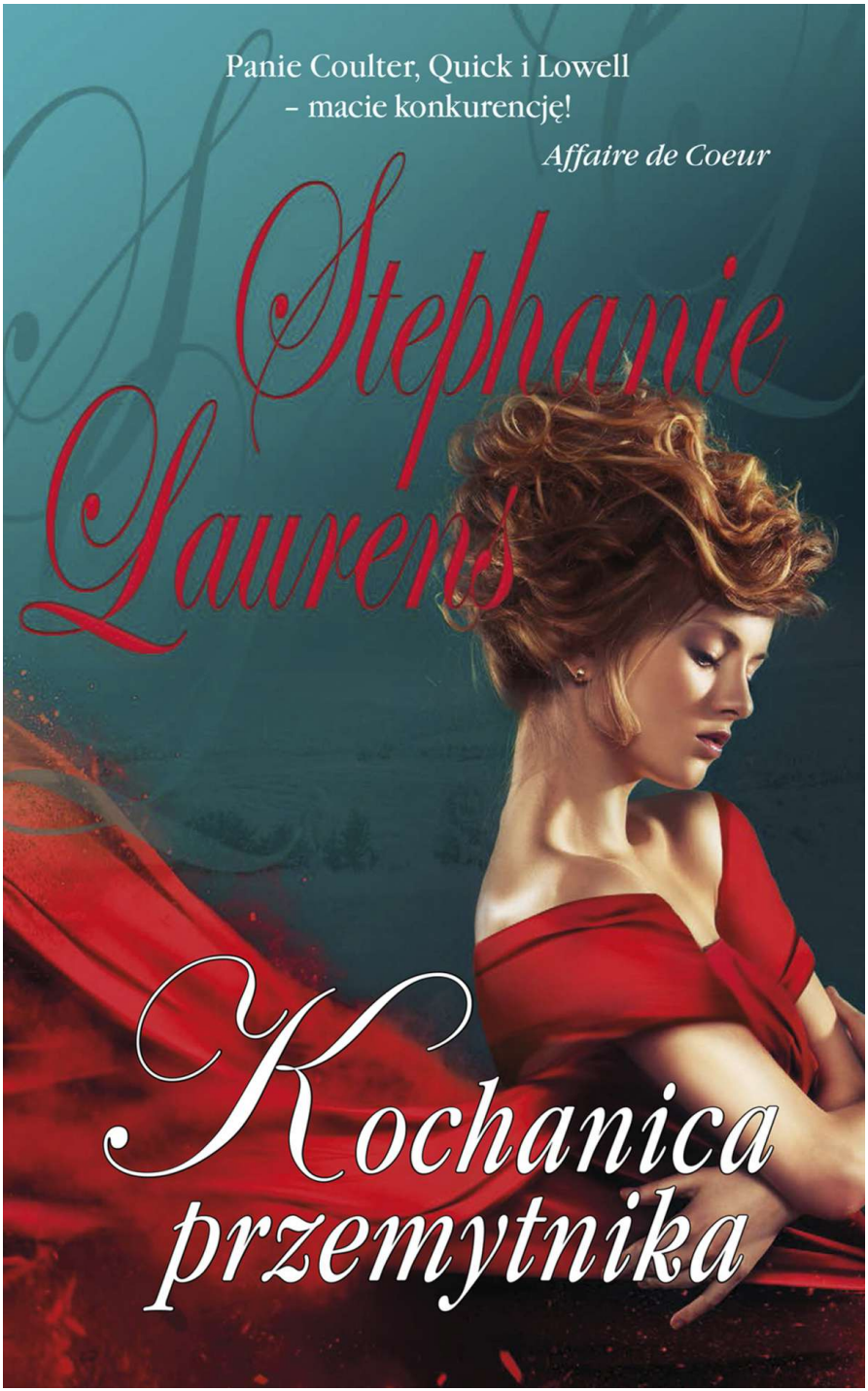

Kochanica przemytnika

Stephanie Laurens

Kochanica przemytnika

przełożyła
Anna Pajek

bis
Warszawa 2016

Tytuł oryginału: *Captain Jack's Woman*

Projekt okładki: Karandasz

Copyright © 1997 by Savdek Management Proprietory Inc.
Copyright © 2003, 2016 for the Polish edition Wydawnictwo BIS

ISBN 978-83-7551-488-9

Wydawnictwo BIS
ul. Lędzka 44a
01-446 Warszawa
tel. 22 877-27-05, fax 22 837-10-84

e–mail: bisbis@wydawnictwobis.com.pl
wydawnictwobis.com.pl

Skład wersji elektronicznej:

konwersja.virtualo.pl

Spis treści

Prolog
Rozdział 1
Rozdział 2
Rozdział 3
Rozdział 4
Rozdział 5
Rozdział 6
Rozdział 7
Rozdział 8
Rozdział 9
Rozdział 10
Rozdział 11
Rozdział 12
Rozdział 13
Rozdział 14
Rozdział 15
Rozdział 16
Rozdział 17
Rozdział 18
Rozdział 19
Rozdział 20
Rozdział 21
Rozdział 22
Rozdział 23
Rozdział 24
Rozdział 25
Rozdział 26
Rozdział 27

Rozdział 28
Rozdział 29
Rozdział 30
Epilog

Prolog

Kwiecień 1811
Stara stodoła w pobliżu Brancaster
Norfolk, Anglia

Trzech jeźdźców wyłoniło się zza drzew rosnących przed starą stodołą. Uprząż, poruszona lekkim wiatrem, zabrzęczała cicho, gdy skierowali konie ku zachodowi. Poprzez płynące szybko chmury przebłyskiwał księżyc, oświetlając nocny krajobraz.

Stara stodoła stała cicho, czujnie strzegąc swoich sekretów. Wcześniej w jej murach spotkali się przemytnicy z Hunstanton, by wybrać nowego przywódcę. Gdy to się stało, szmuglerzy rozpłynęli się w mroku nocy niczym cienie. Powrócą za kilka dni, by spotkać się w blasku sztormowej lampy i posłuchać o ładunku, jaki zorganizował dla nich nowy przywódca.

– Kapitan Jack! – George Smeaton skierował konia na drogę i zmarszczył brwi. – Naprawdę musimy go wskrzesić?

– A czy to zły wybór? – powiedział, gestykulując gwałtownie, dosiadający wielkiego siwego ogiera Jonathon Hendon, znany jako Jack. – W końcu to mój wojenny pseudonim.

– Minęły lata… Wtedy niebezpiecznie było się z tobą zadawać. Przeżyłem już ładnych kilka lat w błogiej świadomości, że kapitan Jack nie żyje.

– Ależ skąd – uśmiechnął się Jack. – On tylko odszedł na jakiś czas w stan spoczynku.

Kapitan Jack działał w bardziej burzliwych czasach, kiedy to podczas walk na Półwyspie Iberyjskim Admiralicja zwerbowała go, by dowodząc jednym ze swoich statków napadał i łupił Francuzów, pływających po kanale.

– Musisz przyznać, że kapitan Jack jest do tej roboty wręcz idealny. Doskonale nadaje się na przywódcę gangu z Hunstanton.

George prychnął wymownie. – Biedne gałgany… Nie mają pojęcia, w co się wpakowali!

Jack parsknął śmiechem. – Przestań jęczeć. Nasza misja przebiega lepiej, niż się spodziewałem. Za kilka tygodni wrócimy bezpiecznie do domu. Whitehall będzie pod wrażeniem. Nie dość, że przemytnicy nas zaakceptowali, to jeszcze zostałem ich przywódcą. Jesteśmy w doskonałym położeniu i mamy szansę nie dopuścić, by jakakolwiek informacja przedostała się tą drogą do Francuzów. – Uniósł brwi, wyraźnie się nad czymś zastanawiając. – Kto wie? Być może uda nam się wyciągnąć z tego coś dla siebie.

George wzniósł oczy ku niebu.

– Kapitan Jack jest z nami zaledwie od pół godziny, a ty już zaczynasz

kombinować. Co za szalony pomysł przyszedł ci do głowy?

– Ja nazwałbym to raczej wykorzystywaniem okazji – powiedział Jack, spoglądając na towarzysza. – Pomyślałem sobie, że choć naszym głównym celem jest niedopuszczenie, aby do brzegów Norfolk przybijali szpiedzy, i odsyłanie ich tam, skąd przybyli, moglibyśmy skorzystać ze sposobności i przekazać nieco własnych informacji, oczywiście po to, by zmylić Boneya.

George spojrzał na niego z niedowierzaniem.

– Sądziłem, że kiedy już wyśledzimy, jak szpiedzy przedostają się do Anglii, skończysz z gangiem.

– Może tak – odparł Jack, a jego spojrzenie przybrało nieobecny wyraz – a może nie.

Zamrugał i się wyprostował. – Zobaczymy, co na to powie Whitehall. Będziemy też potrzebować Anthony'ego.

– Na litość boską, Jack! – George potrząsnął głową. – Jak długo gang będzie zadowalał się historyjką o tym, iż jesteśmy najemnikami bez ziemi, usuniętymi karnie z wojska, zwłaszcza gdy w pełni obejmiesz przywództwo? Przez lata byłeś kimś ważnym. Należysz do wyższej sfery i to się po prostu rzuca w oczy!

Jack wzruszył obojętnie ramionami.

– Nie będą się zbytnio zastanawiać. Od miesięcy rozglądali się za kimś, kto mógłby zastąpić Jeda Brannagana. Nie zaczną bez potrzeby huśtać łodzią, przynajmniej nie od razu. Będziemy mieli dość czasu.

Odwrócił się i spojrzał na trzeciego jeźdźca, który podążał za nim po lewej stronie. Matthew, jego długoletni ordynans, a obecnie osobisty służący, pochodzący z tych stron podobnie jak jego pan, oraz George także bez trudu wtopili się w strukturę gangu przemytników.

– Nadal będziemy spotykali się w starym domku rybackim. Stoi na uboczu, więc łatwo sprawdzić, czy nikt nas nie śledzi.

Matthew skinął głową.

– Tak. Trudno byłoby przyjść tu za nami, pozostając niezauważonym.

Jack poprawił się w siodle.

– Zważywszy, że przemytnicy pochodzą z okolicznych farm i wiosek rybackich, nie ma powodu przypuszczać, że mogą natknąć się na coś, co zdradziłoby naszą prawdziwą tożsamość.

Jack zatrzymał konia, a potem skierował go ku wylotowi krętej ścieżki. George podążył za nim, a Matthew zamknął małą kawalkadę. Kiedy wjechali na wzniesienie, Jack odwrócił się i powiedział: – Nie wiem, dlaczego tak się tym martwisz. W końcu dowodzenie gangiem sprowadza się do zwykłego żeglowania.

– Kapitan Jack i zwykłe żeglowanie? Akurat! – prychnął George. – Prędzej świnie nauczą się fruwać!

Rozdział 1

Maj 1811
Zachodnie Norfolk

Kit Cranmer siedziała z nosem przyklejonym do okna powozu, rozkoszując się widokiem znajomych miejsc. Zostawili już za sobą iglicę na dachu urzędu celnego w King's Lynn, a także starą fortecę Castle Rising i właśnie zbliżali się do Wolferton. Stamtąd do Cranmer było już niedaleko. Zmierzch zabarwił niebo smugami czerwieni oraz złota i Kit z każdą chwilą mocniej odczuwała, że wraca wreszcie do domu. Westchnęła z satysfakcją i wsparłszy plecy o poduszki powozu, pomyślała o świeżo odzyskanej wolności. W zatłoczonym Londynie, gdzie przebywała aż nazbyt długo, brakowało jej zarówno swobody, jak i przestrzeni.

Po mniej więcej dziesięciu minutach w zapadającym zmierzchu ukazała się brama wjazdowa parku z herbami rodu Cranmer na słupkach. Skrzydła bramy były szeroko otwarte i powóz wtoczył się przez nie bez niepotrzebnej zwłoki. Kit wyprostowała się i potrząsnęła lekko ramieniem starej Elminy, by ją obudzić. Potem znów usiadła prosto, zdenerwowana i pełna napięcia.

Pod kołami zazgrzytał żwir i powóz się zatrzymał. Otwarto drzwi i zobaczyła dziadka.

Stał przed nią z dumnie wyprostowaną głową i odrzuconymi do tyłu bujnymi włosami. Jego lwia grzywa wyraźnie rysowała się na tle płonących po obu stronach drzwi pochodni. Przez chwilę wpatrywali się w siebie, a ich spojrzenia wyrażały miłość, nadzieję oraz wspomnienie bólu, którego żadne nie potrafiło dotąd zapomnieć.

– Kit?

Czas jakby się cofnął. Minione lata nie znaczyły już nic i Kit rzuciła się w ramiona Spencera Cranmera, krzyknąwszy zduszonym głosem: – Dziadku!

– Kit! Och, Kit!

Lord Cranmer z Cranmer Hall przycisnął do piersi ukochaną wnuczkę. Nie potrafił znaleźć innych słów. Przez sześć lat czekał, by wróciła, i teraz, choć trzymał ją w objęciach, wydawała mu się prawie nierealna. Elmina i gospodyni, pani Fogg, krzątały się wokół, popychając wzruszoną spotkaniem parę ku stojącej w salonie sofie. W końcu Spencer wyprostował się i otarł łzy wielką chusteczką.

– Kit, kochanie, tak się cieszę, że cię widzę!

Kit spojrzała na niego, nie wstydząc się łez, jakie zabłysły na jej długich brązowych rzęsach. Nie mogła jeszcze wykrztusić słowa, uśmiechnęła się więc

tylko w odpowiedzi.

Spencer odwzajemnił uśmiech.

– Wiem, że to z mojej strony samolubne pragnąć, byś zamieszkała w Cranmer. Twoje ciotki wypomniały mi to już dawno temu, kiedy postanowiłaś wyjechać do Londynu. Straciłem nadzieję, że kiedykolwiek tu wrócisz. Byłem pewny, że poślubisz jakiegoś modnego chłystka i zapomnisz o Cranmer i starym dziadku.

Kit przestała się uśmiechać. Zmarszczyła lekko brwi i się wyprostowała.

– O czym ty mówisz, dziadziu? Nie chciałam wyjeżdżać do Londynu, lecz ciotki powiedziały mi, że powinnam. Powiedziały też, że spodziewasz się, iż zawrę korzystne małżeństwo i że jestem to winna rodzinie Cranmerów, zwłaszcza moim wujom.

Ostatnie słowa wypowiedziała z nieukrywaną pogardą.

Spencer obrzucił wnuczkę spojrzeniem jasnych oczu. – Co takiego? – zapytał, marszcząc białe krzaczaste brwi.

Kit się skrzywiła. – Nie krzycz. – Zapomniała już, jaki potrafi być gwałtowny. Doktor Thrushborne ostrzegał ją, że jeśli dziadek ma pozostać zdrowy, nie powinien zbyt często dawać upustu swemu temperamentowi. Wstała, podeszła do kominka i pociągnęła za sznur dzwonka. – Pozwól mi się zastanowić.

Wspomniała dawne wydarzenia, wpatrując się ze skupioną miną w płomienie.

– Kiedy umarła babcia, zamknąłeś się w swoich pokojach i więcej cię nie zobaczyłam. Rozmawiały z tobą ciotka Isobel i ciotka Margery. Potem przyszły do mnie i powiedziały, że muszę z nimi jechać. Wujowie zostali moimi prawnymi opiekunami i teraz oni będą odpowiedzialni za moje wychowanie. W odpowiednim czasie wprowadzą mnie w świat i tak dalej. – Spojrzała wprost na Spencera. – Tylko tyle wiedziałam.

Gniewny błysk w oczach starca powiedział Kit wszystko, co chciała wiedzieć. Ciotki ją oszukały.

– Te przeklęte intrygantki! Wiedźmy odziane w futra i jedwabie! Harpie z piekła rodem! Są zwykłymi…

Słowa dalszej krytyki przerwało pukanie. Drzwi otwarły się i do salonu wszedł kamerdyner Jenkins. Kit podchwyciła jego spojrzenie i powiedziała: – Przynieś, proszę, lekarstwo dziadka.

Jenkins skinął głową. – Już się robi, panienko.

Kiedy za służącym zamknęły się drzwi, Kit zapytała dziadka: – Dlaczego nie napisałeś?

Stare, wyblakłe oczy wpatrywały się w nią bez zmrużenia powiek. – Myślałem, że nie chcesz, bym do ciebie pisywał. Powiedziały mi, że pragnęłaś wyjechać. Że się nudziłaś, żyjąc tu na wsi z parą starych ludzi.

Fiołkowe oczy Kit pociemniały. Dziadek słusznie nazwał ciotki wiedźmami i intrygantkami. Aż do tej pory nie zdawała sobie sprawy, jak sprytnie manipulowały otoczeniem, by zyskać kontrolę nad Kit, a potem posłużyć się nią w celu zaspokojenia wygórowanych ambicji swych mężów.

– Och, dziadku! – Opadła na sofę z szelestem jedwabnej spódnicy i mocno objęła Spencera. – Po śmierci babci zostałeś mi tylko ty. Sądziłam, że mnie nie chcesz.

Przycisnęła twarz do krawatki Spencera i poczuła na włosach dotyk jego policzka. Poklepał ją po plecach. Wzmocniła uścisk, a potem odsunęła się i spojrzała na niego z ogniem w oczach. Spencer znał to spojrzenie aż nazbyt dobrze. Wstała i zaczęła przemierzać pokój, stawiając kroki zbyt energicznie, jak na światową damę.

– Och! Jakże żałuję, że ich tu nie ma! – powiedziała, mając na myśli ciotki.

– Nawet w połowie nie tak jak ja – mruknął Spencer groźnie. – Tym damom nieźle się dostanie, kiedy ośmielą się tu pokazać!

Jenkins wszedł cicho do salonu, zbliżył się do pana i podał mu kieliszek wypełniony ciemnym płynem. Spencer wypił lekarstwo nie spojrzawszy, co trzyma w ręku, a potem odesłał lokaja machnięciem dłoni.

Kit stanęła przed kominkiem, smukła i elegancka.

Spencer przyglądał się wnuczce z miłością. Cerę miała jasną, kremową raczej niż białą, nieskazitelną mimo upodobania do częstego przebywania na świeżym powietrzu. Błyszczące loki zachowały kolor, jaki pamiętał. Podobnej barwy były też niegdyś jego włosy. Długie pasma, splatane w warkocz, gdy miała lat szesnaście, teraz upięte wieńczyły głowę bujną, błyszczącą masą. Fryzura podkreślała urodę drobnej twarzyczki w kształcie serca.

Kit zamieszkała w Cranmer, gdy miała sześć lat, po tym jak jej rodzice, syn Spencera Christopher i jego francuska żona, zginęli w wypadku. Spencer przesunął spojrzeniem po smukłej sylwetce Kit okrytej zieloną podróżną suknią. Nawet przemierzając gniewnie salon, poruszała się lekko i z wdziękiem.

– Boże, Kit, zdajesz sobie sprawę, że straciliśmy sześć lat? – zapytał, poruszony.

Kit uśmiechnęła się olśniewająco, przywołując wspomnienie urwisa, jakim niegdyś była. – Lecz w końcu wróciłam, dziadku, i zamierzam tu zostać.

Spencer oparł się wygodnie, zadowolony z tej deklaracji. – Cóż, panienko – powiedział, machając dłonią – niech no ci się przyjrzę. Pokaż, co z ciebie wyrosło.

Kit zachichotała, a potem się skłoniła. – Nie nazbyt nisko, gdyż jesteś tylko baronem – powiedziała, dygając, lecz błysk w oku świadczył, że baron czy nie baron, dziadek i tak jest panem jej serca. Spencer prychnął. Kit podniosła się i posłusznie zawirowała, unosząc ramiona niczym w tańcu.

Spencer poklepał się po kolanie. – Nieźle. Powiedziałbym, że całkiem nieźle.

Kit roześmiała się i wróciła na sofę. – Nie jesteś bezstronny, dziadku. A teraz opowiedz mi, co tu się działo.

Spencer posłuchał i Kit odetchnęła z ulgą. Słuchała jednym uchem, jak rozwodzi się na temat pól, upraw i dzierżawców, lecz w środku aż wrzała z gniewu. Spędziła sześć lat w czyśćcu Londynu i to bez żadnego powodu. Cierpiała, sądząc, że utraciła nie tylko ukochaną babcię, ale i dziadka, który się jej wyrzekł. Dlaczego, och, dlaczego, nie zdołała przełknąć dumy i nie napisała do Spencera listu błagalnego, by pozwolił jej wrócić do domu?

Kilka razy o mało tego nie uczyniła, lecz duma i ból, spowodowany rzekomym, jak się okazało, odrzuceniem, okazały się silniejsze. Co prawda, do głowy jej nie przyszło, że ciotki mogły posunąć się aż do oszustwa. Nigdy już nie zaufa nikomu, kto będzie utrzymywał, że chodzi mu o jej dobro. Odtąd, przyrzekła sobie w duchu, sama będzie kierować swoim losem. Spoglądała na białą czuprynę dziadka i potakująco kiwała głową, gdy opowiadał jej o sąsiadach. Minionych sześć lat spowodowało nieuchronne zmiany, lecz Spencer pozostał imponującą postacią. Nawet teraz, gdy starość przygarbiła mu ramiona, wzrost i postura sprawiały, że wywierał nie lada wrażenie. Patrycjuszowskie rysy, orli nos i spoglądające przenikliwie jasnofiołkowe oczy, ocienione krzaczastymi brwiami, przyciągały uwagę. Z tego, co i jak mówił, wywnioskowała, iż nadal bardzo go interesują miejscowe sprawy. Najwidoczniej nie utracił też wpływu na ich bieg.

Westchnęła w duchu. Kochała Spencera jak nikogo na świecie. A on kochał ją. Lecz nawet dziadek nie mógł uchronić jej przed drapieżnikami tego świata. Nie. Jeśli już ma wpakować się w kłopoty, będą to kłopoty, które sprowokuje sama. Od tej chwili sama będzie podejmowała decyzje, będzie popełniała błędy na własny rachunek.

Później tego wieczoru, gdy stała w oknie swej dawnej sypialni, spoglądając na blady krąg księżyca, zawieszony w czarnej pustce nocy, nagle poczuła się bardzo osamotniona. Nigdy dotąd nie czuła się taka samotna. I taka wolna.

* * *

Kit była zdumiona, jak szybko zdołała przystosować się do życia w Cranmer. Wstawała wcześnie, dosiadała swej klaczy Delii i udawała się na przejażdżkę. Potem jadła śniadanie ze Spencerem i oddawała się zajęciom, jakie wyznaczyła sobie na ten dzień. Po południu znowu jeździła konno, a wieczorem zasiadała u boku dziadka. Po kolacji przysłuchiwała się, jak opowiada o wydarzeniach dnia, wypowiadając swoje zdanie, gdy ją o to poprosił, i wtrącając, nieproszona, złośliwe komentarze. Minionych sześć lat jakby dla nich nie istniało.

Kit postanowiła, że nie będzie rozpamiętywała perfidii ciotek. Teraz była wolna i mogła o nich zapomnieć. Dziadek cieszył się dobrym zdrowiem i, jak się dowiedziała, miał pozostać jej opiekunem, dopóki nie ukończy dwudziestu pięciu lat. Ciotki nie będą już miały okazji, by się wtrącać. Rozpamiętywanie przeszłości byłoby zwykłą stratą czasu. Miała przed sobą całe życie – i zamierzała spróbować wszystkiego, co mogło jej zaoferować.

Obowiązki Kit polegały na pomaganiu pani Fogg w domu, spiżarni oraz kuchni bądź odwiedzaniu dzierżawców dziadka, którzy bardzo się cieszyli, mogąc powitać ją w domu.

Dom.

Z sercem przepełnionym radością przemierzała konno pola, mając nad głową czyste, szerokie niebo, a we włosach wiatr. Delia, czarna arabska klacz czystej krwi, była prezentem od Spencera. Kit dostała ją na osiemnaste urodziny. Ponieważ to dziadek uczył ją jeździć i zawsze szczycił się jej umiejętnościami, nie dopatrzyła się w podarunku niczego szczególnego. Teraz postrzegała go jako przejaw tęsknoty i cierpienia, których nie potrafiła w porę rozpoznać. Tym bardziej kochała Delię. Galopowała po plaży, a kopyta klaczy lśniły zwilżone pianą przyboju. Ponad nimi ostro krzyczały mewy, a w pachnącym słoną wodą powietrzu rozbrzmiewał huk rozbijających się o brzeg fal.

Wieści o jej powrocie szybko rozeszły się po okolicy. Potulnie zniosła wizyty żony proboszcza i lady Dersingham, żony właściciela sąsiedniego majątku. Wdzięk i polot Kit wywarły wrażenie na obu damach. Jej maniery były bez zarzutu, a zachowanie bliskie doskonałości. W dalekiej stolicy mogła nie zwracać uwagi na otoczenie, zachowując wręcz obraźliwy dystans, jednak tu, w Cranmer, była wnuczką swego dziadka, damą, jaką pragnął w niej widzieć.

Rozdział 2

Trzeciego dnia wolności Kit przywdziała konny strój z zielonego aksamitu i poprosiła, by osiodłano Delię. Gdy wybierała się na przejażdżkę sama bądź ze Spencerem, jeździła zwykle po męsku, ubrana w bryczesy i żakiet. Strój ten został dla niej uszyty lata temu; Elmina dopasowała bryczesy do figury swej podopiecznej. Żakiet należał kiedyś do jej kuzyna Geoffreya i choć skrócony, pozostał na tyle długi, by w razie potrzeby ukryć co bardziej zdradzieckie szczegóły dziewczęcej sylwetki. Teraz, gdy włosy Kit zostały przycięte i tylko kilka nieposłusznych loków wirowało wokół jej głowy, stary trójgraniasty kapelusz prawie nie był potrzebny. I kiedy go wkładała, rondo rzucało cień na twarz, co skutecznie maskowało jej płeć.

Dziś wybierała się do Gresham Manor. Jej najlepsza przyjaciółka, której nie widziała od lat, mieszkała tam z rodzicami. Amy nie musiała wyjeżdżać do Londynu. Zaręczyła się z miejscowym dżentelmenem o odpowiednim pochodzeniu i znacznym majątku – tyle Kit wiedziała z listów. Teraz dżentelmen Amy walczył w oddziałach Wellingtona na półwyspie. Ślub miał się odbyć po jego powrocie.

Jazda do Gresham Manor trwała długo, lecz wreszcie Kit znalazła się w pobliżu stajen.

– Panienka Cranmer! – zawołał chłopak stajenny, podbiegając, by chwycić uździenicę konia. – Nie od razu panienkę poznałem. Wróciła pani wreszcie z Londynu, prawda?

– Zgadza się, Jeffries. – Kit uśmiechnęła się i zsunęła z grzbietu Delii. – Zastałam panienkę Amy?

– Kit? To naprawdę ty?

Kit ledwie zdążyła się odwrócić i przekonać, że postać o złotych włosach, ułożonych w modne pierścionki, i kremowobrzoskwiniowej cerze bez skazy to naprawdę Amy, a już znalazła się w uścisku przyjaciółki.

– Spostrzegłam cię, jak przejeżdżałaś pod oknami biblioteki i pomyślałam, że kazanie pana Woodleya mnie uśpiło i właśnie ty mi się przyśniłaś.

Kit się roześmiała.

– Głuptasie! Wróciłam dopiero przed kilkoma dniami i wprost nie mogłam się doczekać, by spotkać się z tobą i usłyszeć wszystkie nowiny. Czy twój narzeczony wrócił?

– Tak! To po prostu cudowne! – Amy ścisnęła dłoń przyjaciółki, jej oczy błyszczały radością. – Najpierw on, teraz ty. Widać bogowie postanowili okazać mi szczególną łaskawość.

Amy odsunęła się na odległość ramienia, by lepiej przyjrzeć się strojowi

Kit: krótkiemu aksamitnemu żakiecikowi, zapinanemu na złote guziki w kształcie oliwki i wdzięcznie układającemu się na biodrach. Zwróciła spojrzenie na ostrzyżone na pazia włosy Kit i się skrzywiła.

– Do licha! Przy tobie czuję się zaniedbana i zdecydowanie niemodna. Nie wiem, czy powinnam przedstawić cię George'owi.

Kit roześmiała się i ujęła Amy pod ramię.

– Nie obawiaj się, nie mam żadnych planów co do twojego narzeczonego. Poza tym z pewnością byłby przerażony lub zdegustowany moim zachowaniem.

Ruszyły w kierunku domu.

– George – oświadczyła Amy – to człowiek bardzo rozsądny. Jestem pewna, że się polubicie. Ale umieram z ciekawości. Dlaczego wróciłaś? Czemu nie napisałaś i nie uprzedziłaś mnie?

Kit się uśmiechnęła.

– To długa historia. Może przywitam się z twoją matką, a potem znajdziemy sobie jakiś cichy kącik?

Amy skinęła głową. Lady Gresham, dama o macierzyńskim wyglądzie, która rządziła gospodarstwem, okazując stanowczość, ale i łaskawość, zawsze miała słabość do Kit. Nalegała, by dziewczęta wypiły z nią herbatę, lecz uzyskawszy informację, że Kit nie jest, jak dotąd, zaręczona, nie próbowała dowiedzieć się o jej życiu w Londynie czegoś więcej.

Gdy w końcu pozwolono im się oddalić, schroniły się w sypialni Amy. Kit usiadła na łóżku i się uśmiechnęła. Ona i Amy były sobie bliższe niż siostry, i to od kiedy skończyły sześć lat. Nawet ostatnie lata rozłąki nie zdołały osłabić łączącej je więzi.

Kit, posłuszna naleganiom Amy, opowiedziała o machinacjach ciotek i o tym, jak udało im się zatrzymać ją w Londynie przez całe sześć lat.

– Gdyby nie moi kuzyni, z pewnością nie udałoby mi się uniknąć zamążpójścia. Pewnego razu ciotki zamknęły mnie na dwa dni w moim pokoju i wypuściły dopiero, kiedy w domu pojawił się Geoffrey i zaczął nalegać, by pozwolono mu się ze mną zobaczyć.

Skrzywiła się. – Potem ograniczyli się już tylko do nalegania. Lecz kiedy na horyzoncie pojawił się lord Roberts, uznałam, że dość tego dobrego. Miał tyle lat, że mógłby być moim ojcem! Poza tym nie był… miły – dokończyła, marszcząc brwi. – Wreszcie ciotki uznały swoją porażkę i stwierdziły, że nie nadaję się do małżeństwa. Pozwolono mi więc wrócić do domu. Wiedziałam, że dziadek da mi przynajmniej kąt i utrzymanie.

Amy spojrzała srogo na przyjaciółkę. – Był załamany, gdy wyjechałaś. Pisałam ci.

Spojrzenie Kit spochmurniało, a fiołkowe oczy zasnuła szara mgiełka. – Wiem, lecz ciotki okazały się bardzo sprytne.

Na chwilę zapadła cisza. Wreszcie Kit westchnęła i powiedziała: – Cóż, skończyłam z Londynem i z mężczyznami. Doskonale mogę się obejść bez jednego i drugiego.

Amy zmarszczyła brwi. – Czy to rozsądne posuwać się tak daleko? W końcu, kto wie, czy gdzieś za zakrętem nie czeka na ciebie wspaniały dżentelmen?

– Jeśli tylko nie spróbuje wejść mi w drogę, wszystko będzie w porządku.

– Och, Kit. Nie wszyscy mężczyźni to zgrzybiali starcy albo fircyki. Niektórzy są całkiem w porządku. Jak George.

Kit mruknęła coś pod nosem i obróciła się na brzuch, wspierając brodę na dłoniach. – Dość o moich sprawach. Opowiedz mi o swoim George'u.

Jak się okazało, George był jedynym synem Smeatonów ze Smeaton Hall, położonego niedaleko Gresham Manor. Był starszy od dziewcząt o dwanaście lat i Kit nie potrafiła sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek go poznała.

– To pocieszające, że nie wyprowadzę się daleko – powiedziała na koniec Amy. – Musimy zaprosić cię z dziadkiem na kolację. Poznasz George'a i jego rodziców.

Widząc, że twarz Amy promienieje szczęściem, Kit przytaknęła z największym entuzjazmem, na jaki mogła się zdobyć. Nie trzeba było być szczególnie inteligentnym, by spostrzec, że Amy jest zakochana po uszy. Wkrótce straci najlepszą przyjaciółkę. Amy tymczasem paplała beztrosko dalej. W pewnej chwili Kit zmarszczyła brwi i zapytała, przerywając przyjaciółce:

– Dlaczego chcesz wyjść za mąż?

– Dlaczego?

Pytanie zaskoczyło Amy. Umilkła w pół słowa. Spojrzała na Kit i uświadomiła sobie, że przyjaciółka traktuje swoje pytanie dosłownie. Zastanowiła się więc przez chwilę, a potem, zebrawszy myśli, powiedziała: – Ponieważ go kocham i chcę być z nim przez resztę życia.

Spojrzała na Kit z nadzieją, że ją rozumie.

Fiołkowe oczy wpatrywały się w nią z niedowierzaniem.

– Chcesz za niego wyjść, ponieważ go kochasz?

A kiedy Amy przytaknęła, Kit zapytała: – Jak to jest być zakochaną?

Amy zmarszczyła brwi i zaczęła się zastanawiać. – Cóż – powiedziała po chwili – wiesz, jak to się odbywa, prawda?

– Oczywiście, że wiem.

Obie wychowały się na wsi, gdzie nie sposób było uchronić się przed tego rodzaju wiedzą. – Ale co to ma wspólnego z miłością?

– No… – mówiła dalej Amy – jeśli kochasz mężczyznę… chcesz to z nim robić.

Kit spochmurniała. – Więc ty naprawdę chcesz robić to ze swoim

George’em?

Amy zarumieniła się, lecz twierdząco skinęła głową.

Kit uniosła brwi, a potem wzruszyła ramionami. – Ale to wydaje się tak… pozbawione godności, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Amy parsknęła zduszonym śmiechem.

– A skąd wiesz, że będziesz chciała robić coś takiego? – drążyła dalej Kit, uważnie wpatrując się w twarz przyjaciółki. – Chyba jeszcze tego nie zrobiłaś, prawda?

– Oczywiście, że nie! – Amy zesztywniała z oburzenia.

– Więc skąd wiesz?

Amy westchnęła głęboko, a potem spojrzała na Kit pobłażliwie. – Możesz zorientować się po tym, co czujesz, kiedy mężczyzna cię całuje.

Kit spochmurniała.

– Całowałaś się już chyba z jakimś dżentelmenem, prawda, Kit? To znaczy, z kimś obcym, spoza rodziny. A ci dżentelmeni z Londynu nie próbowali cię całować?

Teraz to Kit się zaczerwieniła.

– Owszem, niektórzy – przyznała.

– I co, jak się wtedy czułaś?

Kit się skrzywiła. – Z jednym to było jak całowanie martwej ryby, a pozostali okazali się napalonymi krętaczami. Próbowali wsadzić mi język w usta! – Wzdrygnęła się demonstracyjnie. – To było okropne!

Amy zagryzła wargi, a potem pozwoliła sobie na drżące westchnienie.

– Cóż, wszystko w porządku. Tak chyba powinno być. Po prostu nie miałaś ochoty pójść do łóżka z żadnym z nich.

– Och… – Twarz Kit pojaśniała. – A jak powinnam się czuć, gdybym chciała… no wiesz co.

– Przespać się z mężczyzną?

Kit rzuciła jej piorunujące spojrzenie. – Tak, do licha! Jak czuje się dziewczyna, kiedy chce, by mężczyzna się z nią kochał?

Odwróciła się na plecy i wbiła wzrok w sufit.

– Miej litość, Amy, powiedz. Jeśli tego nie zrobisz, prawdopodobnie umrę jako zupełna ignorantka.

Amy zachichotała. – Nic podobnego. Teraz jesteś po prostu przygnębiona. Dowiedziałaś się o machinacjach ciotek i w ogóle. Dojdziesz do siebie i spotkasz właściwego mężczyznę.

– A jeśli nie spotkam? Lepiej mi powiedz.

Amy uśmiechnęła się i usiadła obok Kit.

– No dobrze, ale pamiętaj, że ja też nie mam w tych sprawach zbyt dużego doświadczenia.

– Masz go więcej ode mnie i powinnaś się nim podzielić.

– Musisz też mi obiecać, że nie będziesz zaszokowana.

Kit wsparła się na łokciu i spojrzała na przyjaciółkę.

– Powiedziałaś, że jeszcze nie..?

Amy się zarumieniła. – Ja… my nie zrobiliśmy tego. Jednak są pewne… czynności wstępne. Nie chciałabym, żebyś poczuła się zgorszona.

Kit spochmurniała, a potem opadła na łóżko. – Wypróbuj mnie.

– Cóż, po pierwsze: kiedy on cię całuje, powinno sprawiać ci to przyjemność. Jeśli odczuwasz wstręt, to nie jest mężczyzna dla ciebie.

– W porządku. Pocałował mnie i podobało mi się to. Co dalej?

– Powinnaś pragnąć, by nie przestawał cię całować i powinno sprawiać ci przyjemność, kiedy wsuwa ci do ust język.

Kit rzuciła przyjaciółce sceptyczne spojrzenie.

Amy zmarszczyła brwi. – To prawda. Twarz powinna ci płonąć i ciało też. Jak przy gorączce, tylko przyjemniej. Nogi uginają się pod tobą, ale to bez znaczenia, ponieważ on trzyma cię w uścisku. I z jakiegoś powodu nie słyszysz najlepiej, gdy jesteś całowana. Nie wiem dlaczego. Po prostu dobrze jest o tym wiedzieć.

– To brzmi, jakbyś opisywała symptomy jakiejś choroby – mruknęła Kit.

Amy zignorowała ją. – Czasami trudno jest oddychać, ale jakoś ci się to udaje.

– Cudownie… na dodatek się dusisz!

– On może całować także twoje oczy, policzki i uszy, a potem przesunąć wargi na szyję. To zawsze jest przyjemne.

Amy mruczała teraz niczym kotka, aż Kit zamrugała ze zdumienia.

– A potem – mówiła dalej Amy – w zależności od tego, jak rozwinie się sytuacja, on może dotykać twoich piersi, delikatnie ściskając je i głaszcząc. Na tym etapie zawsze czuję się tak, jakby stanik mojej sukni nagle stał się za ciasny.

Kit wpatrywała się w przyjaciółkę z otwartymi ustami, lecz Amy nie zamierzała na tym poprzestać.

– Moje sutki sztywnieją, a towarzyszy temu dość dziwne uczucie. A potem przychodzą uderzenia gorąca.

– Uderzenia gorąca?

– Mhm. Zaczynają się w piersiach i posuwają w dół.

– W dół? To znaczy gdzie?

– Do miejsca pomiędzy nogami. A wtedy… I to jest naprawdę ważne.

Amy pokiwała palcem. – Jeśli czujesz się tam rozpalona i wilgotna, to on jest dla ciebie właściwym mężczyzną. Łatwo zorientujesz się, czy tak jest, gdyż jeśli masz do czynienia z tym właściwym, na tym etapie myślisz już tylko o tym, jak wspaniale byłoby, gdyby w ciebie wszedł.

– To brzmi zdecydowanie okropnie – oświadczyła Kit skonsternowana.

– Och, Kit – powiedziała Amy, spoglądając na przyjaciółkę z nieukrywanym współczuciem. – To nie jest ani trochę okropne.

– Cóż, wierzę ci na słowo. Dziękuję, że mnie ostrzegłaś.

Przez chwilę leżała w milczeniu, wpatrując się w sufit. Jedyne doświadczenie Kit z miłością w niczym nie przypominało tego, o czym mówiła Amy. No cóż, nigdy dotąd nie była zakochana. Czując się tak, jakby wreszcie zrozumiała jakiś szczególnie trudny problem, który od lat wymykał się jej pojmowaniu, potrząsnęła głową.

– Jakoś nie wyobrażam sobie siebie rozpalonej i wilgotnej. Dla żadnego mężczyzny. Widocznie nie jestem stworzona do miłości.

– Nie możesz tego wiedzieć.

Kit uniosła dumnie zarysowane brwi, lecz Amy nie dała się zniechęcić. – Nie możesz po prostu postanowić, że jesteś na to odporna. Kiedy spotkasz właściwego mężczyznę, nie będziesz mogła się powstrzymać. Chodzi po prostu o to, że jesteś w tych sprawach taka… niewinna.

Kit otworzyła szeroko oczy.

– Niewinna? Czy nie mówiłam ci, że straciłam niewinność pewnego pięknego letniego wieczoru na tarasie domu mego wuja Fredericka?

Widząc, że Amy wpatruje się w nią z otwartymi ustami, sprostowała szybko: – Nie fizycznie. Lecz dowiedziałam się, co większość mężczyzn sądzi o miłości. Mam nadzieję, że twój George taki nie jest, wszak od każdej reguły istnieją wyjątki. Lecz dowiedziałam się, że to kobiety się zakochują, a mężczyźni wykorzystują ich słabość. Co do mnie, nie mam zamiaru się poddać.

– Co zdarzyło się na tarasie twego wuja?

Kit się skrzywiła.

– Miałam wtedy osiemnaście lat. Pamiętasz, co się wtedy czuje? Przypuszczam, że pogodziłam się już nieco z tym, że musiałam opuścić Cranmer. Wujowie i ciotki zaczęli nalegać, bym wyszła za mąż. I nagle okazało się, że jestem zakochana. A przynajmniej tak mi się wydawało.

Kit umilkła, a potem westchnęła głęboko ze wzrokiem nadal utkwionym w sufit.

– Był bardzo piękny. Kapitan gwardii, wysoki i przystojny. Lord George Belville, drugi syn księcia. Powiedział, że mnie kocha. Byłam taka szczęśliwa, Amy. Nie potrafię opisać, jakie to było uczucie mieć kogoś, kto szczerze się o mnie troszczy. Byłam… och, w takim stanie, jak ty teraz. Szalałam z radości. Ciotki wydały bal i Belville powiedział, że to doskonała okazja, aby poprosić wuja o moją rękę. W połowie wieczoru zniknęli razem w bibliotece. Byłam podekscytowana i nie mogłam znieść myśli, że nie będę wiedziała, co tam zostało powiedziane. Wymknęłam się więc i ukryłam na małym tarasie. Skulona pod oknami przysłuchiwałam się, o czym mówiono w bibliotece.

Usłyszałam… – Głos jej się załamał, zaczerpnęła jednak oddechu i dzielnie mówiła dalej. – Usłyszałam, że się ze mnie śmieją.

Amy odnalazła dłoń przyjaciółki i uścisnęła ją pocieszająco, lecz Kit ledwie to zauważyła.

– Wszystko zostało zaplanowane. Najpierw przedstawili mi czterech kandydatów do mojej ręki. Wszyscy byli starsi i niezbyt atrakcyjni. Gdy odmówiłam poślubienia któregokolwiek, ciotki uznały, że jestem zbyt romantyczna – to znaczy, jak to ujęły, dziedzicznie skażona samowolą i nieposłuszeństwem – by zaakceptować tak ewidentnie korzystne związki. Wyszukały więc Belville'a. Był równie ambitny jak one. Wkrótce, dzięki rodzinnym powiązaniom, miał objąć wysokie stanowisko w armii. Gdyby mnie poślubił, zapewniłby sobie poparcie moich wujów. A oni jego. Ja miałam posłużyć jako spoiwo tego sojuszu. Wszystko to stało się dla mnie jasne, gdy ich słuchałam. Belville chełpił się, opowiadając, jak łatwo było mnie usidlić.

Kit wyciągnęła ramiona, zmuszając się, by rozewrzeć zaciśnięte w pięść dłonie. Zaśmiała się bez cienia wesołości.

– Byli tacy pewni siebie. Gdy następnego dnia dałam Belville'owi kosza, po prostu nie posiadali się ze zdumienia.

Usiadła gwałtownie i odwróciła się, by spojrzeć Amy w oczy.

– Od tej pory bacznie się przysłuchiwałam, kiedy ci tak zwani konkurenci rozmawiali z moimi opiekunami. Bardzo pouczające doświadczenie. Widzisz więc, Amy, że choć zazdroszczę ci tego, co czujesz, zdaję sobie sprawę, jaka to rzadkość. Nie spodziewam się też, by miłość, tak jak ty ją rozumiesz, nagle mnie odnalazła. Czekałam na to sześć lat i nic się nie wydarzyło. Doskonale dam sobie radę sama.

Kit dostrzegła w brązowych oczach Amy współczucie i uśmiechając się ponuro, potrząsnęła głową.

– Nie ma powodu mi współczuć, ponieważ ja nie odczuwam żalu. Który spośród znanych ci mężczyzn pozwoliłby mi cieszyć się swobodą, jakiej zaznaję teraz? Mogę chodzić, gdzie chcę i być sobą.

– Ależ ty nie robisz nic niewłaściwego.

– Nie widzę powodu, by ściągać na siebie uwagę plotkarek, poza tym za nic w świecie nie skalałabym nazwiska dziadka, wywołując skandal. Lecz poza tym nie widzę powodu, aby się ograniczać. Mąż oczekiwałby, iż jego żona będzie przestrzegać pewnych zasad, że będzie siedziała w domu, zamiast uganiać się konno po piaskach. A także że mu się podporządkuje, a jej świat będzie kręcił się wokół niego. Tymczasem ja chciałabym czegoś innego.

Amy zmarszczyła brwi.

– Rozumiem, że zostałaś pozbawiona złudzeń, ale przysięgałyśmy sobie, że wyjdziemy za mąż z miłości, pamiętasz?

Kit się uśmiechnęła. – Z miłości albo wcale.

Amy zarumieniła się, lecz nim zdążyła coś powiedzieć, Kit mówiła dalej tonem świadczącym o tym, że pogodziła się z losem: – Ty wychodzisz za mąż z miłości. Ja wcale.

– Kit!

Kit się roześmiała. – Nie przejmuj się tak, głuptasku. Doskonale się bawię. Przysięgam: nie potrzebuję miłości, by czuć się szczęśliwą.

Amy zmilczała, lecz było dla niej jasne, że jest dokładnie na odwrót: Kit potrzebowała miłości, by w pełni stać się sobą.

Rozdział 3

Następne dwa dni spędziła, składając wizyty żonom dzierżawców, słuchając nowin o kłopotach i o tym, co wydarzyło się w ich rodzinach. Odnawiała w ten sposób więź pomiędzy nimi a Cranmer Hall, która mocno ucierpiała od śmierci babki Kit. Jednak gdy nie składała wizyt, często popadała w zamyślenie. Nie wiedziała, skąd bierze się ów ponury nastrój, ale nie potrafiła się otrząsnąć.

Rozmowa o miłości była błędem. Od tej pory nie zaznała bowiem spokoju. Dotąd Cranmer Hall wydawał się Kit doskonałym azylem. Teraz czuła, że czegoś jej brakuje. Nie było to miłe uczucie.

Na szczęście następnego dnia była zbyt zajęta, by snuć ponure myśli. Spencer wydawał kolację, w trakcie której zamierzał formalnie przedstawić ją sąsiadom. Kit udało się pojeździć konno po południu, wróciła jednak na czas, by się przebrać.

Goście przybyli punktualnie o ósmej. Kit przywitała ich, stojąc u boku Spencera, który wyglądał imponująco w jedwabnym żakiecie i białych bryczesach do kolan, z białą czupryną, wieńczącą dumną głowę. Jego twarz wyrażała ojcowską dumę.

Starannie wybrała suknię, odrzucając delikatny muślin i głęboko wyciętą satynę na rzecz wykwintnej toalety z jedwabiu o barwie akwamaryny. Swobodnie opadający materiał podkreślał smukłość jej figury. Dekolt sukni, choć dość głęboki i obszyty riuszką, jak przystało pannie w jej wieku, był jednak na tyle skromny, by nie urągać przyzwoitości. Kolor sukni podkreślał blask jej rdzawych kędziorów oraz kremową karnację.

Z błyszczącymi oczami skłoniła się namiestnikowi królewskiemu, lordowi Marchmontowi oraz jego żonie, otrzymując w zamian pełne aprobaty spojrzenie jego lordowskiej mości.

– Kathryn, moja droga, miło widzieć cię znowu wśród nas.

Kit uśmiechnęła się uprzejmie. – Doprawdy, milordzie, dla mnie to też przyjemność: wrócić i spotkać się ze starymi przyjaciółmi.

Lord Marchmont roześmiał się i poklepał ją po policzku. – Doskonale powiedziane, moja droga.

Przeszli do salonu, by zrobić miejsce kolejnym gościom. Kit znała wszystkich zaproszonych. Nie mogła się powstrzymać, by nie porównać szczerej radości, jaką odczuwała spotykając się z nimi, do nudy wyrafinowanych spotkań towarzyskich londyńskiej socjety.

Greshamowie przybyli jako ostatni. Po wymianie komplementów z sir Harveyem i lady Gresham Kit wsunęła dłoń pod ramię Amy i zapytała: – Gdzie twój George?

Wcześniej zasugerowała dziadkowi, aby zaprosił także narzeczonego Amy.

– Umieram z chęci, by poznać ten ideał, którego pocałunki sprawiają, że jesteś rozpalona i wilgotna.

– Ciii! Na miłość boską, Kit, mów ciszej! – szepnęła Amy, wbijając wzrok w plecy matki. Przekonawszy się, że lady Gresham niczego nie usłyszała, odwróciła się i spojrzała wprost w roześmianą twarz Kit. A potem westchnęła. – George był zmuszony się wymówić. Wygląda na to, że nie został jeszcze zwolniony z obowiązków, lecz pełni tu jakąś tajną misję.

Amy się skrzywiła. – Od czasu do czasu udaje mu się wykraść chwilę, ale nie tego się spodziewałam. W ciągu ostatnich tygodni nie widywałam go zbyt często.

– Och… – Kit nie zdołała wykrztusić nic więcej.

– Jednak – dodała Amy, prostując się – tak będzie jeszcze tylko przez kilka miesięcy. Przynajmniej jest bezpieczny w Anglii, nie musi wystawiać się na ostrzał Francuzów. – Uśmiechnęła się i ścisnęła ramię Kit. – Powiedział, że nie może się doczekać, by cię poznać.

Kit spojrzała na nią z niedowierzaniem. – Naprawdę tak powiedział czy tylko starasz się być lojalna?

Amy się roześmiała. – Masz rację. Jeśli pominąć przeprosiny, że nie może nam dziś towarzyszyć, w ogóle o tobie nie rozmawialiśmy.

Kit skinęła głową. – Rozumiem. Byliście zbyt rozgorączkowani, by sensownie rozmawiać.

Amy uśmiechnęła się, lecz nie potwierdziła domysłów Kit. Spacerowały wśród gości, gawędząc beztrosko. Konwersacja w salonie dotyczyła zagadnień uprawy roli i lokalnego rynku na towary rolnicze, lecz kiedy zasiedli przy długim stole, rozmowa zeszła na inne tematy.

– Jak widzę, Hendon się nie pokazał – zauważył lord Marchmont, spoglądając po zebranych, jakby przybycie lorda Hendona, który niedawno także powrócił w te strony, mogło pozostać niezauważone. – Myślałem, że tu będzie.

– Wysłaliśmy zaproszenie, lecz jego lordowska mość miał wcześniejsze zobowiązania – odparł Spencer, skinąwszy głową Jenkinsowi. Do jadalni weszli lokaje, wnosząc półmiski. Podano pierwsze danie.

Kit zamyśliła się nad krabami w sosie ostrygowym. To dziwne, że lord Hendon miał wcześniejsze zobowiązania. Kogo mógł odwiedzać, skoro wszyscy sąsiedzi siedzieli teraz przy ich stole?

– Szkoda – mówił dalej Spencer. – Nie zdążyłem jeszcze go poznać.

– A ja tak – powiedział lord Marchmont, częstując się turbotem.

– Och? – zauważył pytająco Spencer. Wszyscy umilkli, aby usłyszeć, co powie jego lordowska mość.

Lord Marchmont skinął głową. – Wydaje się solidny i rzetelny. W końcu to

chłopak Jake’a.

Jake Hendon był poprzednim właścicielem zamku i dóbr Hendon. Pamięć Kit przywołała mglisty obraz bardzo wysokiego mężczyzny o szerokich ramionach, imponującej postawie i błyszczących szarych oczach. Zabrał ją na przejażdżkę na grzbiecie swego ogiera, gdy miała osiem lat. Nie potrafiła sobie przypomnieć, czy poznała też jego syna.

– Czy te pogłoski, jakoby został mianowany królewskim komisarzem, są prawdziwe? – zapytał sir Harvey, spoglądając na jego lordowską mość. – Kolejna próba ukrócenia szmuglu?

– Na to wygląda. – Lord Marchmont podniósł wzrok znad talerza. – Ale to chłopak Jake’a. Sukces nie przewróci mu w głowie. Z pewnością nie będzie sprawiał kłopotów.

Mężczyźni przytaknęli, zadowalając się tym zapewnieniem. Przemyt był w Norfolk uznanym zajęciem, i to od stuleci. Kontrola to jedno, a całkowite wyplenienie to coś zupełnie innego. Gdyby nie szmugiel, skąd braliby swoją brandy?

Lady Gresham spojrzała wprost na lady Marchmont. – Poznałaś ten wzór męskich cnót, Amelio?

Lady Marchmont skinęła głową. – Owszem, poznałam. Bardzo miły dżentelmen.

– To dobrze. Jaki on jest?

Amy i Kit wymieniły spojrzenia, a potem nagle spuściły wzrok. Panowie zlekceważyli tak typowo kobiece pytanie, lecz damy niecierpliwie czekały na odpowiedź.

– Jest wysoki, jak jego ojciec. I ma te same dziwaczne włosy. Pamiętasz, Martho? Podobno był zarówno w armii, jak i w marynarce, ale nie jestem tego pewna. Zazwyczaj tak się nie dzieje, prawda?

Lady Gresham zmarszczyła brwi. – Przestań mówić ogródkami, Amelio. Jak bardzo młody lord przypomina ojca?

Lady Marchmont się roześmiała. – Ach, o to ci chodzi! – Machnęła niedbale dłonią. – Jest przystojny jak diabli, ale wszyscy Hendonowie tacy są.

– Co prawda, to prawda – zgodziła się pani Cartwright. – I potrafią oczarować nawet ptaki na drzewach.

– To także. – Jej lordowska mość skinęła głową. – Złotousty diabeł, oto kim jest ten chłopak.

Lady Dersingham westchnęła. – Miło wiedzieć, że w okolicy zamieszkał przystojny mężczyzna, którego wkrótce będzie można poznać. Jest na co czekać.

Reszta pań energicznie przytaknęła.

– Nie jest żonaty, prawda? – spytała lady Lechfield.

Lady Marchmont potrząsnęła głową. – Och, nie. Możesz być pewna, że

zapytałam. Dopiero co wrócił z zagranicy, gdzie pełnił służbę dla kraju. Był ranny i nadal utyka na lewą nogę. Powiedział, że w najbliższym czasie będzie miał mnóstwo pracy jako komisarz królewski, nie wspominając o tym, że musi przejąć zarządzanie rodzinnym majątkiem.

– Hm… – Lady Gresham spojrzała na siedzącą przy końcu stołu Kit. – Uważa, że będzie zbyt zajęty, by znaleźć sobie żonę, tak?

Lady Dersingham podążyła spojrzeniem za wzrokiem jej lordowskiej mości.

– Może mogłybyśmy mu pomóc? – powiedziała z namysłem.

Kit, zajęta przekazywaniem komplementów szefowi kuchni, co czyniła za pośrednictwem Jenkinsa, nie zwróciła uwagi na szacujące spojrzenia obu dam. Odwróciła się jednak na czas, by spostrzec, jak lady Gresham i lady Dersingham wymieniają pełne satysfakcji skinienia głową z lady Marchmont.

Kiedy damy zajęły się zawartością swoich talerzy, Kit podchwyciła figlarne spojrzenie Amy. Skrzywiła się, a potem spuściła wzrok. Złotousty diabeł, przystojny jak grzech. Taki opis mógłby pasować do każdego z moich londyńskich adoratorów, pomyślała cynicznie. Jeśli tylko mężczyzna jest wysoki, dobrze urodzony i nieprzesadnie brzydki, od razu czyni to z niego pożądaną partię! Prychnąwszy w sposób zgoła niegodny damy, zaatakowała swoją porcję krabów.

Rozdział 4

Krótko po jedenastej powozy gości opuściły podjazd oświetlony księżycem w pełni. Kit, która stała ze Spencerem na schodach, machając gościom na pożegnanie, impulsywnie objęła dziadka.

– Dziękuję, dziadku. To był uroczy wieczór.

Twarz Spencera pojaśniała. – Rzadka przyjemność, moja droga. – Weszli razem do holu. – Być może za kilka miesięcy zorganizujemy wieczorek taneczny, co ty na to?

Kit się uśmiechnęła. – Czemu nie? Kto wie, może nawet uda nam się zwabić obietnicą muzyki tajemniczego lorda Hendona?

Spencer się roześmiał. – Nic z tego, jeśli jest taki, jak jego ojciec. On nigdy nie mógł znieść całego tego zamieszania i strojenia się. Nie Jake.

– Tak, ale jego syn należy do innego pokolenia. Może okaże się zupełnie inny.

Spencer potrząsnął głową. – W miarę jak człowiek się starzeje, jedno staje się jasne. Ludzie tak naprawdę wcale się nie zmieniają. Pokolenie za pokoleniem, wciąż te same zalety i słabości.

Kit roześmiała się i pocałowała go w policzek. – Dobranoc, dziadku.

Spencer poklepał ją po ręce i odszedł.

Gdy tylko Kit znalazła się w swojej sypialni, niepokój powrócił. Pozwoliła, by Elmina pomogła jej zdjąć suknię, a potem odesłała pokojówkę na spoczynek. Owinięta szlafrokiem spacerowała niespokojnie po pokoju. Płomień świecy migotał, więc go zgasiła. Blask księżyca zapewniał aż nadto światła.

Pomyślała o tańcach, które chciał zorganizować Spencer. Skłoniła się i wykonała kilka tanecznych kroków, a potem opadła na siedzenie przy oknie i zapatrzyła się na pola. Z oddali dochodził szum morskich fal.

Pustka powróciła, to dziwne uczucie braku pełni, które zdążyło już zadomowić się w jej sercu. Próbowała je zignorować. Skupiając się na szumie dalekiego przypływu, pozwalała, by odgłosy morza ukołysały ją do snu. Prawie już jej się to udało, gdy nagle zobaczyła światło.

Błysk światła, przecinający ciemności. A potem, kiedy już niemal przekonała samą siebie, że to tylko wyobraźnia, drugi. Czy na przybrzeżnych wodach znajdował się statek, z którego wysyłano sygnały do… Do kogo? Ledwie zdążyła o tym pomyśleć, gdy na ciemnej wodzie pojawił się odblask sygnału najwidoczniej stanowiącego odpowiedź.

Kit wpatrywała się uważnie w ciemność, starając się oddzielić ciemniejszą masę klifu od Wash. Przemytnicy odbierali ładunek na plaży dokładnie na

zachód od Cranmer Hall.

Błyskawicznie wciągnęła bryczesy i ciasno obwiązała piersi płóciennym pasem, którego używała, kiedy jeździła konno w męskim przebraniu. Wsunęła przez głowę płócienną koszulę, a potem wcisnęła ramiona w rękawy surduta, nie zawracając sobie głowy wiązaniem troczków koszuli. Jeszcze pończochy i wysokie buty. Wcisnęła na głowę kapelusz, pamiętając, by zasłonić szyję i dekolt wełnianym szalikiem i ukryć w ten sposób biel koszuli. Ruszyła ku drzwiom, lecz zatrzymała się na chwilę. Pod wpływem impulsu zawróciła i podbiegła ku ścianie, gdzie nad toaletką wisiał jej rapier oraz pas. W minutę założyła pas. Uzbrojona, wyśliznęła się z domu i pobiegła ku stajniom.

Delia zarżała na powitanie, a potem stała spokojnie, gdy Kit zarzucała siodło na jej czarny grzbiet, ze znajomością rzeczy dociskając popręg. Wyprowadziła klacz – nie na dziedziniec, gdzie stukot żelaznych podków mógłby obudzić stajennych, ale na mały padok za stajniami. Wskoczyła na siodło i skierowała wierzchowca przed siebie, szeptem dodając mu odwagi. Delia bez trudu przeskoczyła ogrodzenie.

Czarne kopyta z łatwością pożerały mile. Piętnaście minut później Kit ściągnęła wodze i zatrzymała się pod osłoną drzew rosnących tuż nad klifem.

Kapryśne tego wieczoru chmury zasłoniły księżyc. Wytężając w ciemności zmysły, usłyszała najpierw miękki plusk wioseł, a potem niepozostawiający wątpliwości chrzęst. Łódź dobiła do brzegu. Niemal w tej samej chwili dobiegający z lewej strony szczęk sprawił, że spojrzała w tamtą stronę. Księżyc wyłonił się zza chmur i Kit zobaczyła coś, czego znajdujący się pod osłoną klifu przemytnicy zobaczyć nie mogli: oddział straży celnej.

Patrol torował sobie drogę przez porośnięty trawą i krzakami cypel. Niemal minutę Kit tylko im się przyglądała. Żołnierze byli uzbrojeni.

Nie dowiedziała się nigdy, co za szalony impuls kazał jej wtedy działać. Może było to wspomnienie widoku, jaki ukazał się jej oczom, kiedy wracała z konnej przejażdżki? Zobaczyła wtedy gromadkę dzieci rybaków, bawiących się pod rozciągniętymi na plaży sieciami. Cokolwiek nią kierowało, okazała się temu posłuszna. Podciągnęła wyżej szalik, zakrywając nos i brodę, i wcisnęła głębiej na głowę kapelusz. Zawróciła Delię i skierowała ją wzdłuż brzegu. W miejscu, do którego zmierzali celnicy, nie było ścieżki. Kit znała każdy skrawek wybrzeża, gdyż często odbywała tu przejażdżki. Zostawiła za sobą żołnierzy, lecz nie zjechała na plażę, dopóki nie upewniła się, że jej nie widzą. Nie mogła liczyć na to, że chmury zakryją księżyc akurat wtedy, gdy będzie trzeba, a nie chciała dopuścić, by ją dostrzeżono.

Gdy już znalazła się na plaży, skierowała konia wprost na przemytników. Modląc się w duchu, by nie uznali, iż samotny jeździec stanowi zagrożenie, puściła klacz galopem. Przypływ zagłuszył odgłos kopyt, więc nim się zorientowali, była już bardzo blisko. W ciemności błysnęły ku niej zdziwione

twarze, a potem zobaczyła, jak światło księżyca odbija się w kolbie pistoletu. Starając się obrócić Delię, burknęła ze strachem: – Nie bądźcie głupi! Na klifie jest oddział straży. Nie znaleźli jeszcze ścieżki, ale niedługo znajdą. Wynoście się stąd!

Nawróciła konia i obejrzała się za siebie. Przemytnicy stali jak rażeni gromem obok swojej łodzi.

– Dalej! – ponagliła ich. – Ruszcie się albo przybiją wasze tyłki do drzwi urzędu celnego w Lynn!

Poniewczasie uświadomiła sobie, iż posłużyła się skróconą nazwą miasta, używaną jedynie przez miejscowych. Najwidoczniej zwiększyło to jej wiarygodność, gdyż najwyższy z przemytników wysunął się z wahaniem ku przodowi, pilnując się, by nie podejść zbyt blisko Delii i jej okutych żelazem kopyt.

– Jest tu ładunek, z którym nie mamy co zrobić. Utopiliśmy w nim całą gotówkę. Jeśli go stracimy, nasze rodziny będą głodować.

Kit rozpoznała mężczyznę. Widziała go po południu na plaży blisko wioski, zajętego łataniem sieci. Przymknęła na chwilę oczy. No tak, takie już jej szczęście. Musiała się natknąć na szajkę najbardziej nieudolnych przemytników na całym angielskim wybrzeżu.

Otworzyła oczy. Mężczyźni nadal tam byli, błagając bezgłośnie, by im pomogła.

– Gdzie wasze kuce? – spytała.

– Nie sądziliśmy, że będą nam potrzebne. Nie przy tym ładunku.

– Ale… – Kit zawsze sądziła, że przemytnicy muszą mieć kuce. – Co zamierzaliście zrobić z towarem?

– Zwykle tego rodzaju rzeczy chowamy po prostu w jaskini pod tamtym pagórkiem. – Wysoki mężczyzna skinął głową, wskazując południe.

Kit znała tę jaskinię. Jako dziecko bawiła się w niej często z kuzynami. Teraz jednak żołnierze znajdowali się pomiędzy nimi a jaskinią. Przemieszczenie towaru łodzią też nie było możliwe, gdyż dostrzeżono by ich w świetle księżyca.

Jednak łódź można było wykorzystać do odwrócenia uwagi.

– Wy dwaj. Wyprowadźcie łódź na morze. Macie w niej sieci, prawda?

Z ulgą dostrzegła, że skinęli głowami. – Wyrzućcie ładunek i połóżcie go tuż pod klifem.

Spojrzała na klif, a potem na księżyc, który właśnie miał schować się za olbrzymią chmurą. Kit podziękowała w myśli swemu Aniołowi Stróżowi, po czym skinęła rozkazująco głową.

– Teraz! Ruszcie się!

Pracowali szybko. Wkrótce łódź była pusta.

– Wy dwaj! – zawołała Kit do mężczyzn, stojących w łodzi. Przybój stawał

się coraz głośniejszy i musiała krzyczeć, by ją słyszano.

– Wypłynęliście po prostu na połów, jasne? Dobiliście do brzegu, żeby odpocząć, nic więcej. Nie wiecie o niczym, interesują was tylko ryby. No, dalej, spuśćcie łódź i zachowujcie się tak, jakbyście naprawdę łowili!

Po chwili wiosła zanurzyły się w wodzie i łódka zaczęła przedzierać się przez fale. Kit zawróciła Delię i podjechała do klifu.

Wysoki mężczyzna już na nią czekał.

– Co teraz?

– Kamieniołomy w Snettisham – powiedziała Kit, ściszając głos. – I żadnego gadania. Muszą być tuż nad nami. Kierujcie się na północ i idźcie pod osłoną klifu. Będą się spodziewali, że pójdziecie na południe.

– Lecz tam są nasze domy.

Było ciemno i Kit nie mogła dostrzec, który z nich to powiedział.

– Co wolicie: później dotrzeć do domu czy skończyć w areszcie pod urzędem celnym?

Nie było więcej protestów. Ruszyli za nią, prychając i posapując. Kiedy znaleźli się blisko miejsca, gdzie widziała żołnierzy, odszukała ścieżkę prowadzącą na szczyt klifu.

– Sprawdzę, gdzie oni są – powiedziała. – Nie ma sensu, byście pchali się prosto w zasadzkę, do tego z rękami pełnymi przemycanych towarów.

Nie czekając, aby dowiedzieć się, co o tym sądzą, skierowała Delię na trakt. Na górze ruszyła brzegiem klifu ku miejscu, gdzie natknęła się na patrol. Gdy zatrzymała konia w cieniu wielkiego dębu, czekając, aż chmura odsłoni księżyc i będzie można rozejrzeć się po okolicy, usłyszała zbliżających się żołnierzy. Pomrukiwali głośno, niezadowoleni, że nie potrafią odnaleźć ścieżki prowadzącej w dół. Księżyc zaświecił jaśniej i zobaczyła, że skupiają się w gromadę na porośniętym trawą spłachetku gruntu, dokładnie naprzeciw niej.

Od strony klifu dobiegło wołanie: – Tutaj jest ścieżka, sierżancie! Co mamy robić? Łódź odpłynęła, a na plaży nie widać nikogo.

Krzepki mężczyzna oderwał się od grupki, podjechał na skraj klifu i spojrzał w dół. Zaklął.

– Nieważne. Widzieliśmy łódź. Rozdzielcie się. Połowa niech zjedzie na plażę i ruszy na południe. Reszta zostaje na klifie. Natkniemy się na nich, wszystko jedno którędy pójdą.

– Lecz na południe od nas znajduje się rejon sierżanta Osborne’a, sierżancie.

Krzepki mężczyzna szturchnął mówiącego. – Wiem o tym, głupi chłopcze! Lecz Osborne pilnuje teraz drogi do Sheringham, musimy więc przejąć jego obowiązki. No, dalej, zobaczmy, co uda nam się znaleźć.

Kit z ulgą patrzyła, jak się rozdzielają. Obie grupy ruszyły na południe. Zadowolona z wyników rekonesansu, wróciła do grupki przemytników, brnącej plażą na północ.

– Jesteście bezpieczni. Pojechali na południe.

Mężczyźni zrzucili ładunek z pleców i usiedli na piasku. – Dobrze, że mieliśmy tak niewiele towaru – powiedział wysoki, a potem spojrzał na Kit i wyjaśnił: – Na ogół jest tego znacznie więcej.

Wysoki, potężnie zbudowany mężczyzna, który zdawał się ich przywódcą, spojrzał na Kit.

– Te kamieniołomy, o których wspomniałeś, chłopcze. Gdzie one są?

Kit zagapiła się na niego. Nawet nie przyszło jej do głowy, że ktoś może nie wiedzieć, gdzie znajdują się kamieniołomy Snettisham. Spędzała tam wraz z kuzynami całe godziny. Miejsce to doskonale nadawało się na kryjówkę. Ale co będzie, jeśli już ich tam zaprowadzi?

Delia przestępowała niespokojnie z nogi na nogę, uspokoiła ją więc pieszczotami.

– Dam wam wskazówki. Z pewnością wolelibyście, żebym nie znał dokładnie miejsca, w którym ukryjecie towary.

Nerwowość klaczy posłużyła jej za usprawiedliwienie, by nieco się cofnąć. Przynajmniej jeden z mężczyzn miał pistolet.

– Spokojnie, chłopcze.

Wielki mężczyzna wysunął się do przodu. Delia zatańczyła i natychmiast się cofnęła. Mężczyzna się zatrzymał.

– Nie musisz się nas bać, przyjacielu. Uratowałeś nam dziś skórę, bez wątpienia. Przemytniczy honor nakazuje podzielić się z tobą zyskiem.

Kit zamrugała. Przemytniczy honor? Zaśmiała się lekko i obróciła Delię. – Uznajcie to za bezinteresowną przysługę. Nic od was nie chcę.

Przycisnęła pietami smukłe boki klaczy i Delia skoczyła do przodu.

– Zaczekaj!

Nuta paniki w głosie mężczyzny skłoniła Kit, by ściągnęła wodze i zawróciła. Mężczyzna szedł, potykając się przez piasek. Kiedy zbliżył się na odległość głosu, przez chwilę wpatrywał się w Kit, a potem spojrzał pytająco na swych kompanów. Choć było prawie ciemno, Kit spostrzegła, że kiwają potakująco głowami. Mężczyzna znowu przemówił.

– Sprawa wygląda tak: nie mamy przywódcy. Weszliśmy w ten interes, sądząc, że damy sobie radę, lecz sam widziałeś, jak to wygląda. – Wskazał brodą południe. – Ty potrafisz szybko myśleć. Nie chciałbyś stanąć na czele naszej grupy? Mamy dobre kontakty i w ogóle, ale nie dajemy sobie rady z organizacją.

Niedowierzanie i konsternacja walczyły o lepsze w umyśle Kit. Stanąć na czele…?

– To znaczy… chcecie, bym został waszym przywódcą?

– W zamian za udział w zyskach, oczywiście.

Delia się przesunęła. Kit podniosła wzrok i zobaczyła, że pozostali zrzucają

ładunek i podchodzą bliżej. Nie musiała obawiać się pistoletu, skoro byli aż tak objuczeni.

– Jestem pewien, że doskonale dacie sobie radę sami. Tym razem straż po prostu miała szczęście.

Lecz duży mężczyzna tylko potrząsnął głową.

– Spójrz na nas, chłopcze. Żaden z nas nie wie, gdzie znajduje się ten kamieniołom. Nie wiemy nawet, jaką wybrać drogę, aby bezpiecznie wrócić do domu. Jeśli zostawisz nas samych, pewnie wpadniemy w ręce żołnierzy, gdy tylko spróbujemy wdrapać się z powrotem na klif. A wtedy wszystko pójdzie na marne.

Księżyc wyszedł zza chmur i Kit zobaczyła twarze przemytników, uniesione i pełne dziecięcej ufności. Westchnęła. W co ona się znowu wpakowała?

– Co tam macie?

Nawet tak drobna oznaka zainteresowania sprawiła, że mężczyźni natychmiast się ożywili.

– Pokaż mu, Joe – powiedział wysoki, machając dłonią w kierunku najdrobniejszego z pozostałych. Mężczyzna przesunął się po piasku, nie spuszczając oka z Delii. Podszedłszy bliżej, posłał Kit bezzębny uśmiech, a potem zatrzymał się przy klaczy i odwinął nasączone olejem szmaty chroniące prostokątne pudło, płaskie i długie na metr. Brudnymi rękami zdjął okrywające zawartość pudła grube płótna.

W świetle księżyca zabłysło coś białego. Kit wytrzeszczyła oczy. Koronki! Przemycali brukselskie koronki! Nic dziwnego, że paczki były tak małe. Zawartość jednej łodzi przewieziona do Londynu i sprzedana za pośrednictwem kupców, mogła zapewnić tym ludziom i ich rodzinom utrzymanie przez miesiące. Kit szybko zrewidowała swoją opinię o umiejętnościach członków bandy. Może organizacyjnie byli do niczego, lecz znali swój fach.

– Czasami dostajemy też brandy – powiedział wysoki mężczyzna, podchodząc bliżej.

Kit zmrużyła oczy.

– Nic poza tym?

Słyszała, że na łodziach przewozi się nie tylko towary.

Choć ton jej głosu był szorstki, mężczyzna nie zawahał się i odparł szczerze:

– Nie mieliśmy niczego innego. Do tej pory brandy i koronki w zupełności nam wystarczały.

Czuła na sobie ich błagalne spojrzenia. Krew mieszkanki Norfolk zawrzała w jej żyłach. Przywódczyni gangu przemytników? Z jednej strony chciało jej się śmiać. Ale tylko trochę. Wyzbyta konwenansów awanturnicza część jej osobowości była co najmniej zaintrygowana. Ojciec Kit kierował przez krótki czas taką bandą, jak utrzymywał, dla zabawy. Dlaczego ona nie miałaby tego

robić? Kit skrzyżowała dłonie na łęku i rozważyła możliwości.

– Jeśli zostanę waszym przywódcą, będziecie musieli ograniczyć się do ładunków, które uznam za odpowiednie.

Spojrzeli po sobie, a potem wysoki zapytał: – Ile miałby wynosić twój udział?

– Nie będzie żadnego udziału.

Przemytnicy zaczęli coś mruczeć, a Kit uśmiechnęła się pod okrywającym jej twarz szalikiem.

– Nie potrzebuję towarów ani pieniędzy. Jeśli zgodzę się was przejąć, to tylko dla przyjemności. Co wy na to?

Przez chwilę naradzali się po cichu, wreszcie wysoki podszedł bliżej i zapytał: – Jeśli się zgodzimy, pokażesz nam kamieniołom?

– Jeśli się zgodzicie, od razu zaczniemy razem pracować. Jeśli nie, powiedzcie, a ja odjadę.

Delia zatańczyła na tylnych nogach.

Mężczyzna przesunął spojrzeniem po twarzach kompanów, a potem odwrócił się z powrotem do Kit.

– Stoi. Jak mamy do ciebie mówić?

– Możecie nazywać mnie Kit.

– Doskonale, chłopcze. Prowadź.

Dotarcie do kamieniołomu i znalezienie odpowiedniego tunelu, w którym mogliby urządzić sobie kryjówkę, zabrało im godzinę. Do tego czasu Kit dowiedziała się sporo o szajce. Rozprowadzali ładunek za pośrednictwem gospód w King's Lynn. Towary, które przybywały morzem, ukrywali najpierw w jaskini, aby po kilku nocach przewieźć je na kucach do ruin starego opactwa w Creake.

– Przekazujemy towary starej kobiecie, która mieszka w pobliskim domku, a ona zawsze ma dla nas przygotowaną zapłatę.

– Staruszka ma pieniądze?

– Taak… To prawdziwa stara wiedźma, więc pieniądze są u niej bezpieczne.

– Jakie to wygodne.

Ktoś zadał sobie sporo trudu, by zorganizować szmugiel. Nagle przyszło jej do głowy nieprzyjemna myśl.

– Czy w okolicy działają inne gangi?

– Tu, na zachodzie, nie, ale jest gang na wschód od Hunstanton. Duży gang. Jak dotąd nasze ścieżki nigdy się nie skrzyżowały.

I mam nadzieję, że tak pozostanie, pomyślała Kit. Ci biedacy to ludzie prości, rybacy, zmuszeni zajmować się szmuglem, gdyż połowy nie wystarczały, aby wyżywić rodziny. Lecz gdzieś tam czaili się prawdziwi przemytnicy, zdolni popełniać czyny, o jakich pisze się w policyjnych listach gończych. Z nimi nie miała ochoty się stykać. Najlepiej będzie trzymać się od

gangu z Hunstanton z daleka, postanowiła.

Kiedy koronki zostały bezpiecznie ukryte, wydała jasne i zdecydowane rozkazy co do tego, jak ma być przekazany ładunek. Nalegała też, aby w przyszłości kamieniołom stał się ich bazą i kwaterą.

– Celnicy będą się teraz bacznie przyglądać temu skrawkowi plaży, a jaskinia jest zbyt blisko. Od dzisiaj będziemy działali stąd.

Co powiedziawszy, zatoczyła dłonią krąg, wskazując otoczenie. Stali u wejścia do ciemnego tunelu, w którym złożono towary.

– Tutaj będziemy bezpieczniejsi. Jest tu mnóstwo miejsc, w których można się ukryć, poza tym nawet za dnia trudno jest śledzić kogoś, kto tu wejdzie.

Zamilkła na chwilę i przemaszerowała przed nimi, zastanawiając się.

– Jeśli już będziecie musieli wypłynąć łodziami, by przejąć ładunek, wyładujcie towary, gdy tylko łodzie dobiją do brzegu, a potem odeślijcie je natychmiast do wioski. Jeżeli ci, którzy nie będą potrzebni na łodziach, przyprowadzą kuce, ładunek da się szybko przetransportować. Potem można spokojnie zawieźć go do Creake.

Zgodzili się z nią ochoczo.

– Rzeczywiście, to doskonałe miejsce na kryjówkę, nie ma dwóch zdań.

Kiedy już mieli się rozstać, Noah zauważył rapier u boku Kit.

– Piękna zabaweczka – powiedział. – Umiesz się tym posługiwać?

Ledwie to powiedział, a już patrzył, nerwowo mrugając, na delikatnie połyskujące ostrze, którego czubek dotykał jego gardła. Przestraszony przesuwał spojrzeniem wzdłuż paskudnego ostrza, a potem zdobionej gardy, aż napotkał spojrzenie zmrużonych oczu Kit. Uśmiechnęła się chłodno.

– Tak, umiem.

– Och…

Wysoki mężczyzna nawet nie drgnął.

Kit odprężyła się i schowała broń. – To był taki drobny przejaw próżności.

Odwróciła się i podeszła do miejsca, gdzie czekała z postawionymi uszami Delia. Doskonale zdawała sobie sprawę, że za jej plecami mężczyźni wymieniają spojrzenia. Uśmiechnęła się z zadowoleniem. Wskoczyła na siodło, a potem spojrzała na małą bandę.

– Wiecie, jak wrócić do domu?

Skinęli głowami. – I wystawimy wartownika, by ostrzegł nas przed strażnikami, tak jak powiedziałeś.

– Doskonale. Spotkamy się tutaj w czwartek po wschodzie księżyca.

Kit zawróciła klacz i ścisnęła jej boki piętami. – Zobaczymy, co się wydarzy.

Rozdział 5

– Do licha! – George rzucił karty na stół zbity z sosnowych desek i spojrzał gniewnie na Jacka. – Nic nie zmieniło się przez ostatnich dwadzieścia lat. Nadal wygrywasz!

Jack błysnął w uśmiechu białymi zębami.

– Ciesz się, że to nie tytuł własności twego rodzinnego majątku leży tu pod moją dłonią.

Podniósł dłoń, odkrywając kupkę wiórów.

George odsunął krzesło i burknął zdegustowany: – Myślisz, że postawiłbym coś naprawdę wartościowego, grając przeciwko takiemu mistrzowi?

Jack zebrał karty i poskładał je, a potem zaczął przerzucać talię z prawej ręki do lewej i z powrotem.

Na zewnątrz wschodni wiatr zrywał z drzew liście i szarpał gałęziami, które uderzały w okiennice domku. Wewnątrz światło lampy połyskiwało na pochylonej głowie Jacka, rozświetlając złote pasma wyraźnie odbijające się od bardziej matowego brązu czupryny. Jeśli pominąć stół, izba umeblowana była bardzo oszczędnie. Właściwie znajdowało się tu jeszcze tylko ustawione pod ścianą olbrzymie łoże i równie wielka szafa obok. Mimo skromnego umeblowania, żaden z okolicznych farmerów nie ośmieliłby się postawić tu stopy. Łoże, choć stare, zrobione było z polerowanego dębu, podobnie szafa. Lniane prześcieradła i puchowa kołdra przeczyły wrażeniu skromnej chaty. Może tylko stół pasował do otoczenia, lecz choć zbity ze zwykłych desek, został jednak wygładzony i starannie oczyszczony. Cztery krzesła pochodziły z czterech różnych kompletów, lecz żadne w najmniejszym stopniu nie przypominało prymitywnych zydli, jakie zwykle widuje się w chatach rybaków.

Jack rzucił talię na blat, po czym odsunął się od stołu wraz z krzesłem i wyciągnął ramiona nad głową.

Uderzenia podków, stłumione przez wycie wiatru, zabrzmiały niczym głos z zaświatów. George oderwał wzrok od płonących w kominku drew. Przez chwilę nasłuchiwał, a potem spojrzał pytająco na Jacka.

Jack wbił wzrok w drzwi, które po chwili się otwarły, a w progu stanęła wysoka postać owinięta w ciężką, włochatą pelerynę i w kapeluszu nasuniętym niemal na oczy. Przybysz odwrócił się i zatrzasnął drzwi, odcinając ich od szalejącej na zewnątrz nawałnicy.

Jack odprężył się w widoczny sposób. Oparł ramiona na stole i powiedział: – Witamy z powrotem. Czego się dowiedziałeś?

Mężczyzna rzucił kapelusz na stół, a potem zdjął pelerynę i powiesił ją na

kołku w pobliżu drzwi. – Tak jak myśleliście, jest jeszcze jeden gang.

– I działa? – zapytał George, przysuwając krzesło bliżej stołu.

Nowo przybyły mężczyzna o imieniu Matthew usiadł wraz z nimi. – Działają, a jakże. Zeszłej nocy gładko i bez kłopotu przejęli ładunek brandy gdzieś pomiędzy Hunstanton a Heacham. Słyszałem, jak mówiono, że zajęli się też ładunkiem koronek, z którego zrezygnowaliśmy. Wiecie, tym, który został dostarczony razem z trunkami na drodze do Brancaster.

Jack zaklął.

– Do licha! Miałem nadzieję, że Tonkin sobie to wszystko wymyślił. – Zwrócił się do George'a. – Kiedy przyjechałem wczoraj do Huntington, Tonkin bez przerwy paplał o przemytnikach, których rzekomo zaskoczył, kiedy przejmowali ładunek na południe od Snettisham. Był bardzo dumny, że udało mu się odkryć na terenie Osborne'a gang, o którym tamten nic nie wiedział. Porozmawiałem sobie później z ludźmi Tonkina. Z tego, co powiedzieli, wynikało, że natknęli się na łódź rybaków odpoczywających na brzegu, a resztę Tonkin po prostu wymyślił.

Jack się skrzywił. – Teraz wygląda na to, że mówił prawdę.

– Czy to ma znaczenie? Jeśli działają na małą skalę… – Jack potrząsnął energicznie głową, więc George szybko umilkł.

– Jak najbardziej ma znaczenie. Musimy mieć ten odcinek wybrzeża pod całkowitą kontrolą. Jeśli pracuje tam inny gang, choćby nie wiem jak mały, skąd będziemy wiedzieli, co rozprowadza?

Wiatr zagwizdał w kominie, aż głownie w palenisku przygasły, a potem rozjarzyły się z nową siłą. Jack raptownie odsunął się od stołu.

– Musimy się dowiedzieć, kim są. – Spojrzał na Matthew. – A twoje kontakty? Nikt o niczym nie wspomniał?

Matthew potrząsnął głową. – Żadnych tropów.

George zmarszczył brwi. – A co z Osborne'em? Nie możemy mu polecić, by patrolował ten odcinek plaży?

– Nie możemy, bo wysłałem go, żeby pilnował plaży pomiędzy Blakeney a Cromer. Nie ma tam zbyt wielu przemytników – dodał z cieniem determinacji w głosie – a wzdłuż większej części wybrzeża dno jest tak muliste, że żaden zdrowy na umyśle kapitan nie podpłynie zbyt blisko brzegu. Tych kilka miejsc, gdzie da się przycumować, bez problemu można mieć na oku. Wysłałem tam jednak Osborne'a, aby mieć pewność, że nikt niczego nie zaniedba. Poza tym obawiałem się, by nie doszły go słuchy o naszej działalności i nie próbował nas przyłapać. Tonkin, niech będzie błogosławione jego beznadziejne serce, jest tak porażająco niekompetentny, że nie stanowi zagrożenia. Niestety, także dla tamtej szajki.

– A zatem – powiedział George z namysłem – Tonkin jest teraz formalnie odpowiedzialny za pilnowanie wybrzeża od Lynn do Blakeney?

Jack skinął głową.

– Kimkolwiek oni są – wtrącił Matthew – wygląda na to, że dobrze znają teren. Nikt nie widział, jak się przemieszczają, a przecież muszą przenosić ładunek.

– Kto wie? Może są lepiej zorganizowani niż my? – zauważył Jack. – W końcu jesteśmy w tej branży nowicjuszami.

George rzucił Jackowi pełne zawiści spojrzenie i powiedział: – Nie wierzę, że ktokolwiek przy zdrowych zmysłach nazwałby kapitana Jacka nowicjuszem w dziedzinie zuchwałych przedsięwzięć.

Jack uśmiechnął się szeroko. – Pochlebiasz mi, przyjacielu. Zastanówmy się, jak namierzyć ów tajemniczy gang.

– Musimy spotkać się z nimi oko w oko?

– A w jaki inny sposób, mój ty mądralo, moglibyśmy ich przekonać, żeby porzucili swe nielegalne zajęcie?

– Przekonać?

Jack spoważniał. – Jeśli nie posłuchają, nie pozostanie nam nic innego, niż wykonać za Tonkina jego robotę.

– Wiedziałem, że nie spodoba mi się to zadanie – stwierdził George ponuro.

Krzesło Jacka ze zgrzytem przesunęło się po podłodze. Wstał. – Na miłość boską, przecież to szmuglerzy!

George westchnął, a potem spuścił wzrok pod stanowczym spojrzeniem jasnych oczu Jacka.

– Podobnie jak my, Jack. Podobnie jak my.

Lecz Jack już go nie słuchał. Odwrócił się do Matthew. – Jakie ładunki zwykle przejmują? – spytał.

Rozdział 6

W tydzień później Kit, ukryta za drzewami porastającymi szczyt klifu, obserwowała, jak jej szajka wyciąga na brzeg łodzie. Wszystko odbywało się tak samo jak tamtej nocy, gdy ich uratowała, tyle że tym razem w okolicy nie było straży. Upewniła się co do tego, sprawdzając klif w obu kierunkach.

Mimo to była zdenerwowana i niespokojna. Od kiedy przyjęła dowództwo, jej szajka odebrała już pięć ładunków i to bez najmniejszego problemu. Jej szajka. Z początku bała się odpowiedzialności, jaka nagle spadła na jej barki. Teraz, za każdym razem, gdy udało im się bezpiecznie umknąć z plaży, czuła przypływ satysfakcji. Jednak dzisiejszy ładunek miał być inny niż poprzednie. Agent spotkał się z nimi w gospodzie w Lynn zeszłej nocy. Po raz pierwszy Kit towarzyszyła Noahowi podczas negocjacji. I dobrze się stało. Interweniowała i uzyskała wyższą cenę, a wszystko dlatego, że agent znalazł się w sytuacji przymusowej. Miał szkuner z dwudziestoma belami koronki i nikogo, kto mógłby odebrać ładunek. Byli jego ostatnią szansą. Kit słyszała już o tym, że straż patroluje okolice Sheringham, a gang z Hunstanton z niewiadomych powodów odmówił zajęcia się przesyłką. Nie znała powodów tej odmowy – i właśnie dlatego tak się denerwowała.

Do tej pory wszystko szło gładko. Noc była ciemna, a niebo granatowe. Delia zaczęła skubać trawę, nie przejmując się pohukiwaniem sowy. Kit z uśmiechem obserwowała, jak mężczyźni rozładowują łodzie. Nie byli głupi, po prostu brakowało im wyobraźni. Wystarczyło im pokazać, w jaki sposób mogliby działać sprawniej, a szybko to podchwycili.

Nagle Delia uniosła głowę, postawiła uszy i napięła mięśnie. Kit wytężyła zmysły, próbując dociec, co zaniepokoiło klacz. Nic. Nagle z lewej strony dobiegło ją pohukiwanie drugiej sowy. Delia przesunęła się bokiem. Kit spojrzała na wielki czarny łeb. Nie sowa? Nie czekając na potwierdzenie, obróciła konia i skierowała na ścieżkę, wiodącą w dół, ku plaży.

* * *

Tymczasem na szczycie klifu, pomiędzy drzewami, dwóch jeźdźców spotkało się z trzecim.

– Zauważyłem ich – mruknął Matthew, gdy Jack i George podeszli, prowadząc konie po zarośniętym rzadką trawą gruncie. Wskazał miejsce, gdzie dziesięć kuców obładowanych koronką, której oni nie wzięli, czekało spokojnie, aby wyruszyć do kryjówki. Gdy przyglądali się kucom, nagle z cienia pod klifem wyłoniła się sylwetka jeźdźca odzianego w czerń i ruszyła

galopem po piasku.

– A to co znowu? – mruknął Matthew.

– Czujka, którą przeoczyliśmy – stwierdził lakonicznie George.

– Ale skąd przemytnik wytrzasnął takiego konia? – zapytał Jack, przyglądając się, jak koń i jeździec fruną w kierunku łodzi, pokonując odległość bez najmniejszego wysiłku. – Ten gang okazał się nad podziw zmyślny.

George skinął głową.

– Zjedziemy na dół, skoro i tak wiedzą, że tu jesteśmy?

Jack się skrzywił.

– Zaczekajmy. Może pomyślą, że to straż.

I rzeczywiście tak się stało. Jeździec dotarł do grupy na piasku. Mężczyźni zaczęli pracować szybciej. Po kilku minutach łodzie wypłynęły znów na morze. Jeździec odsunął się od kuców, którym właśnie dociągano popręgi. Czarny koń tańczył, a jeździec obserwował szczyt klifu. Nie patrzył jednak w ich stronę.

George przykucnął i zapytał: – Ten koń jest całkiem czarny?

Jack skinął głową. – Na to wygląda. – Wziął do rąk wodze. – Ruszają. Jedźmy za nimi. Chciałbym zobaczyć, gdzie przechowują towar.

Kit nie mogła pozbyć się uczucia, że jest obserwowana. Jej zmysły, podobnie jak zmysły klaczy, pozostawały czujne, nerwy napięte. Nie wyjaśniła Noahowi, dlaczego wypadła z ciemności, nawołując ich do pośpiechu. Powiedziała tylko: – Tam ktoś jest. Nie czekałem, żeby się przekonać, kto to. Zbierajmy się.

W pięć minut później Delia dotarła na szczyt klifu. Kit zaczekała aż Noah, który prowadził pierwszego kuca, znajdzie się na wzniesieniu, a potem pochyliła się i powiedziała: – Idźcie na wschód, przez las Cranmerów, a potem cofnijcie się do kamieniołomu. Pokręcę się tu jeszcze i sprawdzę, czy nikt nas nie śledzi.

Zawróciła Delię i wjechała pomiędzy drzewa. Przez następną godzinę podążała śladem swych ludzi, sprawdzając po drodze teren. Od czasu do czasu Delia się płoszyła. Wtedy za każdym razem Kit czuła, jak jeżą jej się włosy na karku.

W końcu uświadomiła sobie, że to ją śledzą nieznajomi. Ściągnęła gwałtownie wodze. Śledzący musieli być konno, inaczej dawno by ich zgubiła. Nie zamierzali nikogo schwytać, interesowało ich, gdzie przechowują towar. Lecz teraz znaleźli się na ziemi Cranmerów, a tej okolicy nikt nie znał lepiej niż ona. Jej ludzie wkrótce zawrócą i ruszą do kamieniołomu, a ona uda się na wschód, prowadząc za sobą niepożądaną eskortę.

Poklepała błyszczącą czarną szyję Delii. – Pobiegamy sobie trochę, moja pani, ale najpierw nieco pokluczymy.

* * *

Zbliżali się do wioski Great Bircham, gdy Jack uświadomił sobie, że zgubili grupę z ładunkiem. Skierował konia na wzniesienie, z którego roztaczał się widok na oświetloną księżycowym blaskiem dolinę. Gdzieś przed nimi galopował jeździec.

– Do licha! Za szybko jedzie jak na jazdę za kucami. Oszukali nas.

George zatrzymał się obok niego.

– Może w lesie kuce szły szybciej, a jeździec zwolnił.

Jack potrząsnął zdecydowanie głową. Nagle, jakby potwierdzając słuszność jego domysłów, jeździec wyłonił się z cienia i pogalopował przez pola niczym czarna strzała, doskonale widoczna na tle posrebrzonej księżycowym blaskiem zieleni.

– Chryste! – westchnął George. – Tylko popatrz!

– Wolałbym patrzeć na coś innego – odparł Jack. A po chwili milczenia, gdy jeździec rozpłynął się w mroku pomiędzy żywopłotami, burknął: – Cóż, kimkolwiek jest, potrafi jeździć konno.

– Co teraz? – spytał Matthew.

– Pojedziemy do domu i zastanowimy się, jak nawiązać kontakt z tą szajką.

Udzieliwszy tej przygnębiającej odpowiedzi, potrząsnął wodzami, kierując swego ogiera, Championa, w dół grani.

* * *

Kit gnała z wiatrem w zawody. Krajobraz rozmywał się jej przed oczami. Obrała zwykłą drogę do Gresham Manor, zatoczyła koło, a potem wjechała na wzgórze górujące nad posiadłością, aby dać Delii odpocząć.

Ciekawe, co powiedziałaby Amy, gdybym nagle rzuciła żwirem w okna jej sypialni? Uśmiechnęła się na tę myśl. Amy była osóbką o dość konserwatywnych poglądach, mimo skłonności do stawania się rozpaloną i wilgotną, kiedy całował ją jej George.

Kit westchnęła, złożyła dłonie na łęku i zapatrzyła się na senny krajobraz. Od czasu, gdy zajęła się szmuglem, nie myślała o niepokojących rewelacjach Amy. Czy podniecenie z tym związane wypełniło dziwną pustkę, która tak dała się jej we znaki? Zastanowiła się i doszła do wniosku, że to nie tak. Po prostu zajmowanie się przemytem nie pozostawiało wiele czasu na pogrążanie się w nieokreślonej melancholii. I bardzo dobrze. Kit wzdrygnęła się, zdjęta nocnym chłodem, i chwyciła wodze. Czas ruszać do kamieniołomu.

* * *

Trójka jeźdźców podążała z wolna na północ. Kiedy minęli szczyt wzgórza, Jack ściągnął wodze i zaczekał na George’a, który jechał teraz obok niego.

Champion odwrócił łeb i wyciągnął długą szyję, spoglądając gdzieś poza George'a. Ruch ten zwrócił uwagę Jacka. Popatrzył w miejsce, gdzie spoglądał jego koń.

– Uciszcie się – mruknął ledwie słyszalnie. Ostrożnie odwrócił się w siodle i spojrzał za siebie. Dostrzegł błysk czerni, który przemknął przez pola za nimi, tym razem kierując się na zachód. Jeździec na koniu przeciął drogę, nadal w pełnym galopie. Jack przyglądał się, jak znika za linią drzew, rozgraniczającą pola.

Dopiero wtedy poluzował wodze i pozwolił Championowi się odwrócić. Koń stał, wpatrując się w miejsce, gdzie zniknął tajemniczy jeździec.

Jack uśmiechnął się złowieszczo. – A więc to tak.

– O co chodzi? – zapytał George. – To znowu ten jeździec? Dlaczego za nim nie pojedziemy?

– Pojedziemy. – Jack skierował Championa w dół drogi, zaczekał, aż dołączą do niego pozostali, i dopiero wtedy puścił konia w cwał.

– Nie możemy podejść zbyt blisko, żeby go nie ostrzec. Zastanawiałem się, co zdradziło nas poprzednio. Założę się, że ten czarny wierzchowiec to klacz. Nie została przedstawiona temu tu Championowi, więc jak każda dobrze wychowana dama płoszy się, ilekroć Champion znajdzie się w pobliżu.

– Czy Champion może nas do niej doprowadzić?

– Nie mam pojęcia – Jack poklepał jedwabistą szyję ogiera – ale nie możemy ryzykować. Nie podjedziemy zbyt blisko, dopóki jeździec nie zsiądzie.

*** * ***

Gdy Kit dotarła wreszcie do kamieniołomu, rozładowywano ostatniego kuca. Noah i reszta powitali ją z nieskrywaną ulgą.

– Myśleliśmy, że przytrafiło ci się coś złego, chłopcze.

Kit przeniosła nogę nad szyją klaczy i zsunęła się na ziemię. Czuła, jak krew szybko krąży jej w żyłach. – Jestem pewna, że ktoś nas śledził, ale nie udało mi się nikogo przyłapać. Na wszelki wypadek zatoczyłam obszerne koło.

Zarzuciła wodze na drewnianą podporę na skraju polanki, z dala od mężczyzn, którzy wręcz zabobonnie bali się klaczy.

– Co to za towar? – spytała, kierując się ku wejściu do tunelu.

Noah wskazał dłonią na skałę, gdzie leżał otwarty pakunek. – Towar pierwszej klasy.

Kit pochyliła się nad koronką, opierając dłonie na skale, by powstrzymać impuls, który nakazywał jej zdjąć rękawice i potrzeć materiał między palcami. Był to typowo kobiecy gest i mógłby ją zdradzić.

– Chyba lepszej jakości niż poprzednie dostawy. Jaka jest cena?

Pozostali mężczyźni siedzieli u wejścia do jaskini, żując tytoń i gawędząc

spokojnie, podczas gdy Kit i Noah uzgadniali plany.

Nie wiedziała, co ją ostrzegło. Nagle zjeżyły się jej włosy na karku. Odwróciła się i błyskawicznie dobyła broni. Ostrze ze świstem zakreśliło w powietrzu łuk. Od strony lasu zbliżało się ku nim trzech mężczyzn.

W jednej chwili zdarzyło się coś, co wprawiło ją w oszołomienie. Mężczyzna idący na czele – wysoki, dobrze zbudowany i z gołą głową – odskoczył do tyłu i nagle jej rapier zadźwięczał, napotykając opór stali. Kit przełknęła zimną gulę strachu, widząc, jak eleganckie ostrze jej broni styka się z dłuższym i o wiele groźniej wyglądającym. Mężczyźni towarzyszący nieznajomemu przeciwnikowi cofnęli się, by zrobić miejsce walczącym.

Na Boga! Będę musiała stoczyć szermierczy pojedynek!

Zdecydowanie zwalczyła impuls nakazujący jej rzucić broń i uciec. Zaczerpnęła głęboko oddechu i zmusiła się, by myśleć logicznie. Jeśli ten człowiek to przemytnik, nie może być zbyt wprawnym szermierzem. Ją zaś wyszkolił włoski mistrz fechtunku, przyjaciel Spencera. Nie ćwiczyła od lat, lecz kiedy przeciwnik przesunął się w lewo, instynktownie odskoczyła w przeciwną stronę. Ostrza zadźwięczały cicho.

Mężczyzna wykonał pierwszy ruch. Było to niepewne, sondujące pchnięcie. Odparowała je bez trudu, po czym zaatakowała w klasyczny sposób i natknęła się na perfekcyjnie wykonaną obronę. Dwie kolejne wymiany ciosów sprawiły, że serce podeszło jej do gardła. Ten człowiek umiał walczyć, a siła, z jaką władał szpadą, wręcz ją przerażała.

Z rosnącą paniką spojrzała na przeciwnika. Księżyc świecił z tyłu, pozostawiając jej twarz w cieniu. Nawet w tak słabym świetle dostrzegła marsowy grymas na przystojnej twarzy obserwującego ją nieznajomego. W chwilę później stało się z nią coś dziwnego. Zamrugała, skupiając wzrok na ostrzu, skrzyżowanym z drugim ostrzem. Lecz nieposłuszne jej woli spojrzenie powróciło ku twarzy mężczyzny. Kit westchnęła przez zaciśnięte gardło. Boże, ależ jest piękny! Rzeźbione rysy, płaszczyzna policzków pod wysokimi kośćmi policzkowymi, szerokie usta o wąskich wargach ponad znamionującą upór kwadratową szczęką. Włosy miał dość jasne, posrebrzone księżycowym światłem. Choć bardzo się starała, zmysły odmawiały jej posłuszeństwa i zmuszały, aby wbrew rozsądkowi wbijała wzrok w potężną sylwetkę stojącego naprzeciw niej mężczyzny. Poczuła, że gdzieś głęboko w jej trzewiach rodzi się drżenie. Ciepła słabość pozbawiała ją resztek sił. Może to strach przed zbliżającą się śmiercią, pomyślała. A potem usłyszała własny śmiech, ciepły, głęboki i uwodzicielski.

Na co czekasz? – zapytał głos w jej głowie. *Marzyłaś o tym, by spotkać mężczyznę, przy którym poczułabyś się tak, jak Amy w obecności George'a. I oto jest. Wszystko, co musisz zrobić, to odłożyć rapier i podejść bliżej.*

Na chwilę straciła czujność – i natychmiast została przywołana do porządku.

Przeciwnik bezlitośnie wykorzystał moment nieuwagi, by przeprowadzić atak. Kit nie miała dość sił, by go odeprzeć, lecz dzięki łutowi szczęścia i dobrej pracy nóg udało jej się przeżyć pierwszy wypad. Doskonale zdawała sobie sprawę, że nie przeżyje następnego.

I to tyle, jeśli chodzi o spełnianie się marzeń, kpiła w duchu z samej siebie. Ten facet zaraz mnie przebije szpadą, i sama będę sobie winna.

Jednak cios, którego tak się obawiała, nie nastąpił. Przeciwnik uczynił zdecydowany krok w tył. Tylko jeden, ale i to wystarczyło, by znalazł się poza zasięgiem jej broni. Opuszczał powoli szpadę, aż czubkiem wskazywała ziemię.

Kit spojrzała na twarz, która wywarła na niej tak piorunujące wrażenie. Spostrzegła, że mężczyzna jeszcze bardziej spochmurniał.

Umysł Jacka pracował gorączkowo pod naporem sprzecznych i wprawiających w zakłopotanie sygnałów. Champion przyprowadził ich prosto do klaczy. Gdy tylko zobaczyli na horyzoncie zwałowisko kamieni, natychmiast zorientowali się, dokąd zmierzają. Z coraz większym uznaniem myśleli o gangu – kamieniołom stanowił doskonałą kryjówkę. Zostawili wierzchowce na skraju, by klacz nie wyczuła obecności Championa i ich nie zdradziła.

Bez przeszkód dotarli do polanki. Jack natychmiast zauważył smukłą postać w czerni, pochyloną nad czymś, czego nie mógł dostrzec. Stopy same poniosły go w tym kierunku. I właśnie wtedy zaczęły się kłopoty.

Jeszcze nim chłopak się odwrócił, dzierżąc w dłoni rapier, Jack uświadomił sobie, że puls gwałtownie mu przyśpiesza, serce zaczyna szybciej bić, a jego samego ogarnia nastrój dziwnego oczekiwania, które nie miało nic wspólnego z niebezpieczeństwami nocy. To, że natychmiast musiał zmierzyć się z rapierem, jeszcze bardziej go skonsternowało. Zareagował instynktownie. Ręka sięgnęła do rękojeści natychmiast, gdy tylko usłyszał świst stali.

Z początku niedostatek światła utrudnił mu zadanie. Widział jedynie kontur sylwetki chłopaka, nic więcej. Wpatrując się intensywnie w mrok, wykonał pierwszy ostrożny ruch, badając możliwości przeciwnika, choć wiedział, że najprawdopodobniej pokonałby go bez trudu. Pierwsze pchnięcie było zatem niepewne. Odpowiedź młodzieńca wprawiła go w zdumienie – kto mógłby się spodziewać, że przemytnik będzie walczył wedle klasycznych włoskich reguł? Jednak następna wymiana pchnięć upewniła go, że z młodzieńcem coś jest nie w porządku. Ramię, dzierżące rapier, nie miało w sobie za grosz siły.

Patrzył na chłopca i z trudem powstrzymywał się, by nie potrząsnąć głową. Do diabła! Coś tu było nie tak. Chociaż nie widział oczu chłopaka, czuł na sobie jego wzrok. Młodzieniec wyraźnie mu się przyglądał. Efekt tego spostrzeżenia wstrząsnął Jackiem do głębi. Nigdy przedtem jego ciało nie zareagowało tak zdecydowanie, a już z pewnością nie wtedy, gdy gapił się na

niego mężczyzna.

Czubek rapiera poruszył się niezdecydowanie, więc Jack zaatakował, głównie po to, aby podtrzymać pozory walki, nim postanowi, co ma zrobić. Brak reakcji ze strony chłopca przesądził o tym, jaka ma być ta decyzja. Nie wiedział o gangu ani o tym chłopcu na tyle dużo, by wymuszać bezwarunkowe poddanie się. Chłopak nie był głupi; zdawał sobie sprawę, że walka może zakończyć się tylko w jeden sposób. Teraz wiedzieli o tym obaj. Jack cofnął się i opuścił szpadę.

Chłopak podniósł głowę.

Minęła pełna napięcia chwila. Potem rapier z wolna opadł. W głębi duszy Jack odetchnął z ulgą.

– Kim jesteś? – spytała Kit. Strach nadal ściskał ją za gardło, co sprawiło, że jej głos brzmiał ochryple i ciszej niż zazwyczaj. Zmysły Jacka odnotowały nie strach, lecz barwę i ton głosu. Zdarzało mu się już słyszeć tego rodzaju głos, choć nie z ust wyrostka. Lecz to, co podpowiadały mu zmysły, rozum odrzucał jako nieprawdopodobne. Pewnie to sprawa oświetlenia, pomyślał Jack. W blasku księżyca wszystko wydaje się inne.

– Jestem kapitan Jack, przywódca gangu z Hunstanton. Chcieliśmy porozmawiać, nic poza tym.

Chłopak stał jak wrośnięty w ziemię, ukryty w cieniu, który nie pozwalał dojrzeć jego twarzy. – Słuchamy – powiedział.

Jack schował szpadę do pochwy, poruszając się rozmyślnie wolno. Napięcie zelżało odczuwalnie, mimo to młodzieniec nie schował rapiera. Jack uśmiechnął się leciutko. Chłopak nie stracił głowy – gdyby sytuacja była odwrotna, Jack zachowałby się tak samo.

Kit poczuła się bezpieczniejsza, kiedy lśniące ostrze powędrowało z powrotem do pochwy. Sama nie miała zamiaru się rozbroić. Mężczyzna był niebezpieczny, zwłaszcza gdy jego rysy złagodniały tak jak teraz. Uśmiechnął się niemal niezauważalnie i Kit natychmiast spojrzała na jego usta. Jak by to było, poczuć je na swoich wargach? Czy poczułaby wtedy… Ledwie zdołała odepchnąć tę myśl na skraj świadomości, gdy uderzyła ją następna. Jak by się czuła, gdyby on się uśmiechnął?

Lecz on mówił. Kit walczyła ze sobą, by skupić się na słowach, nie zaś na głębokiej, aksamitnej barwie głosu nieznajomego.

– Chcielibyśmy, żebyście rozważyli pomysł połączenia sił – mówił tymczasem Jack. Przez chwilę czekał na odpowiedź, lecz ta nie nastąpiła. Jego towarzysze poruszyli się, lecz chłopak ani drgnął. – Równy wkład, równe zyski.

Nadal nic.

– Jeśli nasze gangi będą pracowały wspólnie, będziemy mogli opanować obszar wybrzeża od Lynn do Wells, a nawet dalej. Moglibyśmy dyktować

warunki, otrzymywalibyśmy więc przyzwoitą zapłatę, proporcjonalną do ryzyka.

Pomysł narodził się w jednej chwili. Jack bardzo się z tego cieszył, zważywszy, że tylko połowa jego umysłu była w stanie skupić się na formułowaniu argumentów. Ta druga skupiała się na chłopcu. Teraz, gdy kompani zaczęli spoglądać na niego pytająco, chłopak poruszył się nieznacznie.

– A co dokładnie na tym zyskamy?

Było to sensowne pytanie, lecz Jack mógłby przysiąc, że chłopak niewiele dba o odpowiedź.

Ostentacyjnie przysłuchując się argumentacji kapitana Jacka, przedstawiającego liczne korzyści płynące z faktu, że działa się jako część większej całości, Kit gorączkowo zastanawiała się, jak powinna postąpić. Sojusz z pewnością przyniósłby małej szajce większe zyski. Kapitan Jack udowodnił już, że jest kompetentny. I rozsądny. Nie wydawał się też przesadnie krwiożerczy. Noah i jego ludzie byliby przy nim bezpieczni.

Jednak co się tyczy samej Kit, wszystkie jej zmysły krzyczały głośno, że przebywanie w pobliżu kapitana byłoby równoznaczne ze zdemaskowaniem się. Zjadłby ją na śniadanie albo i gorzej. Nawet teraz, w mroku, nie była wcale pewna, czy udało jej się go zwieść. Miała wrażenie, że coś podejrzewał.

Tymczasem Jack skończył wyjaśnienia i czekał na odpowiedź.

– A co wy zyskacie, łącząc się z nami? – spytała.

Jack poczuł się jeszcze bardziej skonsternowany, gdyż do uczuć, jakie już wzbudził w nim chłopak, dołączyły niechętny szacunek oraz irytacja. Nie przyszedł na polankę z gotowym planem. Pomysł z połączeniem sił przyszedł mu do głowy pod wpływem chwili, bardziej po to, by ułagodzić młodzieńca, niż w jakimkolwiek innym celu. Nietrudno było wyjaśnić, co mały gang zyska, łącząc się z dużym, lecz jakież to korzyści mogliby odnieść oni? Poza tymi, o których nie mógł nawet wspomnieć.

Jack spojrzał wprost na smukłą postać, nadal kryjącą się w cieniu.

– Dopóki działacie niezależnie, agenci mogą was wykorzystywać, by dyktować ceny. Jeśli nie będziemy ze sobą konkurowali, wytrącimy im broń z ręki i będą musieli płacić więcej.

Umilkł, pozostawiwszy inny, bardziej drastyczny sposób pozbycia się konkurencji w sferze domysłów. Był pewny, że chłopak zrozumie przesłanie.

I tak się stało, Kit nie była jednak pewna, czy dobrze zrozumiała warunki połączenia i czy kiedykolwiek je zrozumie, gdy kapitan Jack nadal będzie przed nią stał.

– Potrzebuję czasu, by rozważyć waszą ofertę.

Jack uśmiechnął się, słysząc tę formalnie brzmiącą wypowiedź.

– Oczywiście. Wystarczy wam dwadzieścia cztery godziny?

Jego uśmiech był co najmniej równie deprymujący, jak mars na czole. Kit uznała, że chyba jednak woli, kiedy jest ponury. Ledwie udało jej się powstrzymać, by nie skinąć głową.

– Trzy dni – oznajmiła. – Potrzebuję trzech dni.

Spojrzała na twarze swoich ludzi. – Jeśli chcecie przyłączyć się do nich już teraz…

Noah potrząsnął głową.

– Nie, chłopcze. Ty nas uratowałeś, ty objąłeś przywództwo. Decyzja należy do ciebie.

Od strony pozostałych dobiegł ją pomruk aprobaty.

Przez twarz Jacka przemknęło zdumienie, starte natychmiast przez następne słowa chłopca.

Kit powiedziała do Noaha. – Będziemy w kontakcie.

Czuła się dość dziwnie. Była podekscytowana i uginały się pod nią kolana. Musi wydostać się stąd, i to szybko, zanim zrobi coś na tyle kobiecego, że nie sposób będzie tego nie zauważyć. Wyprostowała się więc, spojrzała na kapitana i po królewsku skinęła głową. – Spotkam się z wami tutaj za siedemdziesiąt dwie godziny. Wtedy otrzymacie odpowiedź.

Co powiedziawszy, ruszyła w kierunku Delii, modląc się, by nieoczekiwani i nieproszeni goście pogodzili się z odprawą.

Jej bezwiedna arogancja znów napełniła Jacka zwątpieniem. Odzyskał równowagę akurat na czas, by zobaczyć, jak smukła postać dosiada araba czystej krwi. Jack mógłby dać głowę, że to klacz. Zmrużył z namysłem oczy. Czy młodzieniec nie porusza się nazbyt płynnie? Kiedy już dosiadł konia, trudno było to ocenić, ale i wtedy jego nogi wydawały się niespotykanie długie w stosunku do wzrostu i o wiele zbyt krągłe w kształcie.

Chłopak skinął głową swoim ludziom i odjechał. Jack wpatrywał się w przyodzianą na czarno postać, dopóki nie rozpłynęła się w mroku, pozostawiając go z bólem głowy i, co gorsza, bez dowodu, który potwierdzałby to, co podpowiadały mu zmysły.

Rozdział 7

Gdy dojechali do domku, Jack nadal nie wiedział, co sądzić o młodym Kicie. Jego kompani zdradzili, jak chłopak ma na imię, ale nie potrafili powiedzieć o nim nic więcej. Byli rozsądnymi, solidnymi rybakami, których konieczność zmusiła do zajęcia się przemytem. Wydawało się nieprawdopodobne, by tacy mężczyźni, z których wielu było ojcami, mogli zaoferować lojalność i bezwarunkowe posłuszeństwo młodemu chłopakowi, gdyby się pod kogoś podszywał.

Jack pozostawił Matthew, by zajął się końmi, sam zaś wszedł do chaty. George podążył za nim. Jack zatrzymał się obok stołu i odpiął pas ze szpadą, po czym wrzucił go głęboko do szafy i zdecydowanym ruchem zamknął drzwi.

– Tak oto zakończył się nasz mały podstęp. – Rzucił się na krzesło, oparł ramiona na stole i przesunął dłońmi po włosach. – Boże! Mogłem zabić tego szczeniaka!

– Albo on ciebie. – George opadł na drugie krzesło. – Wyglądało na to, że wie, co robi.

Jack machnął niecierpliwie dłonią. – Został dobrze wyszkolony, ale brakuje mu siły.

George zachichotał.

– Nie każdy może mieć ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i być wystarczająco silnym, by wbiec na wieżę katedralną, trzymając pod każdą pachą po dziewce.

Jack prychnął, przypominając sobie jeden ze swoich bardziej szalonych wyczynów.

Widząc, że Jack nie zamierza się odezwać, George zaryzykował: – Skąd pomysł, aby połączyć siły? Myślałem, że jesteśmy tu po to, by wybadać rywali.

– Rywale okazali się diabelnie dobrze zorganizowani. Gdyby nie Champion, nie znaleźlibyśmy ich. Nie wyglądało też na to, by mieli ochotę się wycofać. A ja nie gustuję w zabijaniu szczeniaków z mlekiem pod nosem.

Na chwilę zapadła cisza. Jack nadal wpatrywał się w przestrzeń.

– Jak myślisz, kim on jest?

– Młody Kit? – George zamrugał, walcząc z sennością. – Synem kogoś z sąsiedztwa, tak przypuszczam. To tłumaczyłoby, skąd wziął takiego konia.

Jack pokiwał głową.

– Popraw mnie, jeśli się mylę, ale nie przypominam sobie, by ktoś z sąsiedztwa miał syna w tym wieku. Chłopcy Morgana są zdecydowanie starsi, dobiegają trzydziestki, prawda? A synowie Henry’ego Fairclougha zbyt

młodzi. Kit musi mieć około szesnastu lat.

George zmarszczył brwi.

– Ja też nie mogę sobie przypomnieć nikogo, kto by pasował. Może to jakiś krewny, który przyjechał tu w odwiedziny? Kto wie? – wzruszył ramionami. – To może być ktokolwiek.

– Właśnie że nie, i na tym polega problem. Młody Kit zna okolicę jak własną kieszeń. Pomyśl, jak długo go ścigaliśmy i jak galopował po polach. Znał każde drzewo, każdy płot. I, jeśli wierzyć Noahowi, to właśnie Kit powiedział im o kamieniołomach.

George ziewnął.

– Cóż, my też o nich wiedzieliśmy. Po prostu nie przyszło nam na myśl, by je wykorzystać.

Jack spojrzał na niego zdegustowany. – Brak snu odbija się na sprawności twego umysłu. Właśnie o to mi chodzi. Wiedzieliśmy o kamieniołomach, ponieważ się tu wychowaliśmy. Podobnie jak Kit. Co oznacza, że nietrudno będzie dowiedzieć się, kim naprawdę jest.

– I co wtedy? – mruknął George, tłumiąc kolejne ziewnięcie.

– Wtedy – odparł Jack, podrywając się i zmuszając George'a, by także wstał – zdecydujemy, co zrobić ze szczeniakiem. Coś zrobić musimy, gdyż jeśli jest synem jakiegoś znajomego, może nas rozpoznać. – I popychając George'a ku drzwiom, dodał: – A nie stać nas na to, by aż tak zaufać młodemu Kitowi.

Dopilnował, by zasypiający na stojąco George dotarł bezpiecznie do domu i dopiero potem wyruszył wraz z Matthew w drogę powrotną. Nic zatem dziwnego, że gdy wreszcie znalazł się w łóżku, był już niemal świt. Leżąc, wpatrywał się we wzór cieni na suficie sypialni.

Ani George, ani Matthew nie podejrzewali, że coś z Kitem jest nie tak. Matthew, przepytany na tę okoliczność podczas drogi powrotnej do domu Jacka, ocenił sytuację podobnie jak George: Kit musi być synem któregoś z okolicznych ziemian. Oczywiście, chłopak mógł też być bękartem, który dostał wierzchowca w prezencie od szlachetnie urodzonego ojca. Młodzieniec mógł go też po prostu „pożyczyć" z ojcowskiej stajni. Bez względu na to, jak było naprawdę, wierzchowiec stanowił ślad. Idąc tym tropem, w końcu dowiedzą się, kim jest tajemniczy jeździec.

Jack westchnął głęboko i zamknął oczy. Tożsamość Kita to jeden problem, nie najtrudniejszy do rozwiązania. Bardziej martwiła go własna reakcja. Co się stało? Minęło wiele lat, odkąd widok jakiejś osoby tak na niego podziałał. Tymczasem, z jakiegoś niepojętego powodu, smukła, odziana w czerń postać Kita zadziałała jak najsilniejszy afrodyzjak. Ciało Jacka zareagowało natychmiast. Do licha, był równie podniecony, jak Champion na tropie czarnej klaczy!

Prychnął zdegustowany i wcisnął nieogolony policzek głębiej w poduszkę.

Próbował nie myśleć o całej sprawie, a kiedy to nie poskutkowało, zaczął szukać rozwiązania, choćby najbardziej nieprawdopodobnego. Gdyby tylko mógł znaleźć powód, wreszcie przestałby o tym myśleć. Istniało duże prawdopodobieństwo, że będą musieli włączyć Kita w działania gangu. Tymczasem pomysł, by szczeniak kręcił się ustawicznie w pobliżu, budząc niepożądane emocje, był zbyt odrażający, by go w ogóle rozważać.

Może chłopak jest po prostu podobny do jednej z dawno odprawionych kochanek Jacka? Wyskoczył niczym diabeł z pudełka, gdy Jack najmniej się tego spodziewał, i stąd ta reakcja. A może to skutek przedłużającej się wstrzemięźliwości? Albo po prostu przejaw pobożnych życzeń? Jack uśmiechnął się w ciemności. Nie da się zaprzeczyć, że ładna, samowolna kobieta, z rodzaju tych, które mogłyby przewodzić gangowi przemytników, bardzo ubarwiłaby jego obecne życie. Jak dotąd mógł dokonywać podbojów jedynie pośród cnotliwych dziewic, których unikał z zasady, albo wdów na tyle zaawansowanych wiekiem, że mogły być jego matkami. Nic dziwnego, że bujna wyobraźnia zmuszonego do wstrzemięźliwości mężczyzny zaczęła wytwarzać fantazje.

Poczuł, że powoli opuszcza go napięcie. Po chwili niepostrzeżenie zaczął brać go we władanie sen, poczynając od stóp i łydek, poprzez biodra, na reszcie ciała kończąc. Lecz zanim pogrążył się w niebycie, nagle przyszedł mu do głowy pomysł, który pozwoli rozwiązać problem: pozbawi Kita maski. Niepożądane uczucie podniecenia minie, gdy tylko Jack przekona się, że ma przed sobą mężczyznę. George był tego pewny i Matthew też. A co ważniejsze, przemytnicy z gangu Kita także traktowali swego przywódcę jak mężczyznę. A oni chyba powinni wiedzieć?

Problem polegał na tym, że on, Jack, wcale nie był o tym przekonany.

* * *

Przez cały następny dzień Kit czuła się oszołomiona. Nie była w stanie skupić się na najprostszym nawet zajęciu, gdyż bez przerwy powracała myślami do strasznego dylematu, jakiemu będzie musiała stawić czoło.

Dwa razy pomyliła zioła, gdy chciała sporządzić napar dla cierpiącej na ból gardła pokojówki, więc zarzuciła ten zamiar i zdegustowana własnym zachowaniem ruszyła ku altance ulokowanej na końcu ogrodu różanego. Poranna mgła opadła i popołudnie było całkiem ładne; miała więc nadzieję, iż rześki wietrzyk rozwieje także opary, które spowiły jej umysł.

Altanka wśród róż stanowiła ulubione schronienie Kit. Westchnęła ciężko i opadła na drewnianą ławkę. Czuła się przyparta do muru i wewnętrznie rozdarta. Z jednej strony rozwaga nakazywała przyjąć propozycję kapitana Jacka i usunąć się w cień, po prostu pozwolić młodemu Kitowi rozwiać się we mgle. Niestety, ani jej ludzie, ani kapitan Jack tym się nie zadowolą. Znała ich

o wiele lepiej niż oni ją. Kapitana Jacka co prawda nie znała, a jeśli podąży za głosem rozsądku, nigdy go nie pozna.

Tchórz! – prychnęło z pogardą jej drugie ja.

– Widziałaś go? – spytała Kit, zaniepokojona tym, że już na samo wspomnienie kapitana jej serce zaczęło szybciej bić.

O, tak! – odparło z nieukrywanym zadowoleniem drugie ja.

Kit prychnęła. – Nawet w świetle księżyca wyglądał na takiego, który mógłby udzielić londyńskim rozpustnikom niezłej lekcji.

Bez wątpienia. Pomyśl o tym, jakiej lekcji mógłby udzielić tobie.

Kit się zarumieniła. – Nie jestem zainteresowana.

Dobre sobie, nie jesteś! Niemal pozieleniałaś z zazdrości, gdy Amy opisywała swoje przeżycia. Teraz los zsyła ci jedyną w swoim rodzaju okazję, byś mogła przeżyć coś podobnego, a ty co robisz? Uciekasz, ponieważ ten wspaniały okaz przyśpiesza bicie twego serca. Gdzie twoje zdecydowanie i gorąca krew Cranmerów?

Kit się skrzywiła. – Zawsze mogę liczyć na to, że ty mi o nich przypomnisz.

Poskromiwszy bardziej samowolną część swej natury, zaczęła rozmyślać o tym, jakim szaleństwem było zadawanie się z przemytnikami. Co prawda nie trwało to długo. Zaledwie kilka tygodni, podczas których doskonale się bawiła. Nie ma co zaprzeczać, nawet przed samą sobą. Podniecenie, strach, napięcie, a potem ulga i odprężenie stanowiły składnik jej diety, uzależniający narkotyk, którego nie chciała się wyrzec. Czym wypełni sobie czas?

Możliwość wycofania się z gry z każdą chwilą zyskiwała na atrakcyjności.

Potrząsnęła zdecydowanie głową. – Nie mogę ryzykować. On już coś podejrzewa. Mężczyznom nie można ufać, a mężczyznom pokroju kapitana Jacka – tym bardziej.

A kto tu mówi o zaufaniu? Jeśli on się dowie, że młody Kit nie jest do końca tym, za kogo się podaje, tym lepiej. Mogłabyś zaspokoić swoją ciekawość. Czy to wysoka cena za trochę doświadczenia, skoro czekają cię całe lata samotności i staropanieństwa? Wiesz, że nigdy nie wyjdziesz za mąż, więc dlaczego miałabyś strzec cnoty? Poza tym kto będzie wiedział? Zawsze możesz zniknąć, gdy twoi ludzie oswoją się z sytuacją.

– A co będzie, jeśli sprawy nie potoczą się tak, jak bym chciała, i zostanę schwytana?

Kit czekała, lecz samowolna część jej natury rozsądnie milczała. Westchnęła więc i zmarszczyła brwi na widok pokojówki, która spoglądała ku niej poprzez krzaki róż. Wstała z szumem wykrochmalonych halek i zapytała: – O co chodzi, Dorcas?

– Och, jest pani, panienko! Jenkins powiedział, że tu panienkę znajdę.

– Tak. I znalazłaś. – Kit wyszła z altanki. – Jestem potrzebna?

– Och, tak, jeśli można, panienko. Namiestnik i jego żona są tutaj. Siedzą

z panem w salonie.

Kit ukryła grymas niezadowolenia i weszła do domu. W salonie lady Marchmont spoczywała na sofie, przysłuchując się z ledwie skrywanym znudzeniem rozmowie swego męża ze Spencerem. Na widok Kit natychmiast się ożywiła.

– Kathryn, moja droga! – zawołała, ruszając ku niej z szelestem koronek.

Po wymianie zwykłych uprzejmości Kit usiadła obok gościa na sofie. Lady Marchmont pośpiesznie zaczerpnęła oddechu i powiedziała: – Wracamy właśnie z zamku Hendon, moja droga. To miejsce robi wrażenie, choć bez wątpienia potrzeba mu kobiecej ręki. Jestem pewna, że nie odkurzono zasłon, od kiedy umarła Mary. – Lady Marchmont poklepała dłoń Kit. – Przypuszczam, że nie pamiętasz lady Hendon. Umarła, kiedy obecny lord był jeszcze chłopcem. To Jake go wychował.

Jej lordowska mość umilkła. Kit czekała cierpliwie.

– Pomyślałem, że powinienem dyskretnie szepnąć słówko tu i ówdzie – uszu Kit dobiegł konspiracyjnie ściszony głos lorda Marchmonta. Spojrzała w stronę, gdzie z nachylonymi do siebie siwymi głowami siedzieli panowie.

– To prawdziwy cud, że chłopak całkiem się nie wykoleił. Bóg jeden wie, Jake był diabłem wcielonym, a przynajmniej wielu z nas tak sądziło. – Lady Marchmont wypowiedziała to zadziwiające oświadczenie z rozmarzonym uśmiechem na ustach.

Kit skinęła głową. Choć nie spuszczała wzroku z twarzy lady Marchmont, jej uwagę przyciągała w całości rozmowa panów.

– Hendon dał jasno do zrozumienia, że nieszczególnie interesuje go zwykła działalność handlowa. Rozgrywa o wiele ważniejszą grę, a krążą pogłoski, że na tym odcinku wybrzeża pojawia się ładunek zupełnie innego rodzaju.

Lord Marchmont umilkł znacząco.

Spencer prychnął. Gdy się odezwał, Kit uderzyła szorstkość jego głosu.

– A co to niby ma znaczyć?

– Jednak ośmielam się twierdzić, że nie powinno się oceniać książki po okładce. – Lady Marchmont uniosła brwi. – Być może w tym przypadku naprawdę mamy do czynienia z wilkiem w owczej skórze.

Kit uśmiechnęła się, choć nie słyszała ani słowa z tego, o czym mówiła lady Marchmont. Zbyt była zainteresowana tym, jakiż to ładunek mógł mieć na myśli wysoki komisarz.

– Chodzi o ludzi – oznajmił lord Marchmont, rozkoszując się aurą tajemnicy.

– Co prawda nie jestem tego pewna, lecz lepiej tak niż przeciwnie – zauważyła lady Marchmont nieco bez sensu, a jej twarz pojaśniała.

– Wygląda na to, że zablokowali szlaki prowadzące z Sussex i Kent, ale nie wyłapali wszystkich szpiegów.

Lord Marchmont przysunął się bliżej Spencera. – Uważają, że ci, którzy im się wymknęli, spróbują przedostać się do Anglii właśnie tędy.

– Ale wyobraź sobie tylko, moja droga, on żyje tutaj tak jak w mieście. Nie wstaje przed południem

– Lady Marchmont pozwoliła sobie na chrząknięcie zupełnie niegodne damy. – Oczywiście będzie musiał się zmienić. Potrzebuje kogoś, kto mógłby mu w tym pomóc. Po tylu latach nieobecności będzie mu trudno na powrót przystosować się do reguł wiejskiego życia.

Kit spochmurniała, jednak gdy lady Marchmont zaczęła przyglądać się jej z zastanowieniem, czym prędzej wypogodziła twarz i skinęła poważnie głową.

– Ośmielę się przyznać pani rację, lady Marchmont.

Dama zamrugała skonsternowana. Kit uświadomiła sobie, że popełniła błąd, i spróbowała skupić się na tym, co mówi jej lordowska mość, nie zaś na słowach jej małżonka.

Po chwili oblicze lady Marchmont się wypogodziło. – Och! Pomyślałaś sobie, że on musi być fircykiem? Ani trochę!

Machnęła pulchną dłonią, a Kit znowu przestała jej słuchać.

– Hendon zasugerował, abym rozpuścił dyskretnie wiadomość. Pośród właściwych ludzi, oczywiście.

Lord Marchmont odstawił filiżankę.

– Ubiera się w sposób bardzo szczególny, nieco po wojskowemu. Lecz pewnie ty wiesz o modzie więcej niż ja, skoro niedawno wróciłaś ze stolicy. – Lady Marchmont przygryzła pulchny palec. – Elegant – oznajmiła. – Mogłabyś określić go jako eleganta.

Oczy Kit błyszczały niczym w gorączce. W głowie jej szumiało.

– Czy on wie? – zapytał Spencer, przyglądając się uważnie lordowi.

Lady Marchmont pochyliła się i wyszeptała: – Lucy Cartwright zagięła na niego parol. Chciałaby ożenić go ze swoją najstarszą, Jane. Ale nic z tego nie będzie.

– Wygląda na to, że może potrzebować pomocy, jeśli dojdzie do starcia – powiedział lord Marchmont. – Straż celna nie funkcjonuje ostatnio jak należy.

– A mnie się wydaje, że on nie jest typem mężczyzny, który chciałby wziąć sobie za żonę młodą dziewczynę. To człowiek poważny, ma już trzydzieści pięć lat. Bardziej dojrzała kobieta z pewnością byłaby dla niego odpowiedniejsza. Rola pani zamku Hendon wymaga poświęcenia, a także czasu i pracy. To nie zajęcie dla płochej panienki.

Tubalny śmiech Spencera rozległ się echem w pokoju.

– To z pewnością prawda. Słyszałeś o obławie na drodze z Sheringham?

Dziadek Kit i jego gość zajęli się omawianiem ostatnich wyczynów straży celnej. Kit skorzystała z okazji, by się zorientować, o czym aktualnie mówi jej lordowska mość.

– Oczywiście, utyka, choć tylko nieznacznie. Lecz jego wygląd prawdziwego Hendona w pełni to rekompensuje.

Kit postarała się, by jej twarz wyrażała choć umiarkowane zainteresowanie.

Lady Marchmont wydawała się tym niezwykle podekscytowana. – Cóż, droga Kathryn, musimy się zastanowić, co by tu zorganizować, nie uważasz?

Drapieżny błysk w oku jej lordowskiej mości sprawił, że Kit natychmiast straciła zainteresowanie.

Dobry Boże! Ona próbuje wydać mnie za lorda Hendona!

Ku niezmiernej uldze Kit Jenkins wybrał właśnie ten moment, by wnieść tacę z herbatą. Gdyby nie to, z pewnością nie zdołałaby powstrzymać mimowolnego okrzyku protestu, który o mało nie wyrwał się jej z ust.

Rozmowa przy herbacie dotyczyła tematów ogólnych i Kit, przywykła do radzenia sobie w zdecydowanie bardziej wymagającym towarzystwie, bez trudu sprostała sytuacji.

Nagle Spencer klepnął się w udo. – Zapomniałem! – Spojrzał na Kit. – Jest do ciebie list, moja droga. Tam, na stoliku.

Skinieniem głowy wskazał stolik przy oknie.

– Do mnie? – Kit wstała i poszła po list.

Spencer skinął głową. – Od Juliana. Do mnie także napisał.

– Od Juliana? – Kit wróciła na sofę, przyglądając się kopercie zaadresowanej niedbałym pismem jej młodszego kuzyna.

– No dalej, czytaj. Jestem pewien, że lord i lady Marchmont ci wybaczą.

Lord Marchmont skinął łaskawie głową, jego żona uczyniła to ze znacznie większym ożywieniem. Kit złamała pieczęć Cranmerów i szybko przebiegła wzrokiem linijki tekstu pełne skreśleń i upstrzone dwoma co najmniej kleksami.

– Zrobił to! – powiedziała bez tchu, gdy treść listu w pełni do niej dotarła. – Zaciągnął się!

Spojrzała na Spencera z rozjaśniona twarzą i przekonała się, że dziadek podziela jej radość. Skinął głową.

– Tak. Najwyższy czas, by poszedł swoją drogą. To coś akurat dla niego, jestem tego pewny.

Kit skinęła głową. Julian od dawna pragnął zaciągnąć się do armii, lecz jako najmłodszy przedstawiciel rodziny Cranmerów był nieustannie chroniony i rozpieszczany. Stanowczo zabraniano mu też postępować według swojego uznania. Osiągnął pełnoletność zaledwie przed dwoma tygodniami i natychmiast podpisał kontrakt. Ostatni akapit listu sprawił, że Kit poczuła czystą, choć bolesną dumę.

Ty zdołałaś się uwolnić, Kit. Zdecydowałaś, czego pragniesz, i poszłaś swoją drogą. Ja postanowiłem zrobić to samo. Czy mogę liczyć, że będziesz życzyła mi szczęścia?

Dziadek i lord Marchmont omawiali ostatnie wieści z Europy. Lady Marchmont jadła ciastko z rodzynkami. Kit westchnęła z zadowoleniem i odłożyła list.

Wreszcie Marchmontowie zaczęli zbierać się do wyjścia. Lady Marchmont wpadła na pomysł, że powinni zorganizować bal, aby wprowadzić do towarzystwa nowego lorda Hendona i zaprezentować go sąsiadom.

– Od lat nie wydawaliśmy balu. To powinno być coś absolutnie szczególnego. Może maskarada? Będę potrzebowała twojej rady, pomyśl więc o tym, kochanie – lady Marchmont pokiwała pulchnym palcem i usadowiła się w powozie.

Kit uśmiechnęła się i pomachała gościom na do widzenia. Spencer poklepał lorda Marchmonta po ramieniu.

– Jeśli chodzi o tamtą sprawę, powiedz Hendonowi, że gdyby przyszło co do czego, może na nas liczyć. Cranmerowie zawsze stali ramię w ramię z Hendonami i nadal tak będzie. Zwłaszcza teraz, gdy jeden z naszych zaciągnął się do armii. Nie możemy dopuścić, żeby jakiś szpieg naraził młodego Juliana na niebezpieczeństwo, choćby tylko pośrednio.

Spencer się uśmiechnął. – Byle Hendon pamiętał, że jest Norfolczykiem z urodzenia i wychowania. Nie zamierzam rezygnować z mojej ulubionej brandy.

Znaczącemu błyskowi w oku Spencera towarzyszył nie mniej znaczący błysk w spojrzeniu lorda Marchmonta.

– Oczywiście, na Boga. On sam ma nieźle zaopatrzoną piwniczkę, zupełnie jak Jake. Wątpię, czy będziemy musieli mu tłumaczyć, że powinien przymknąć od czasu do czasu oko.

Lord Marchmont skinął Kit na pożegnanie i wspiął się do powozu. Drzwi zostały z hukiem zamknięte, woźnica chwycił lejce i ciężki wehikuł potoczył się podjazdem.

Kit zaczekała, aż zniknie, a potem ucałowała ogorzały policzek Spencera i mocno uściskała dziadka. Pomachała mu i zeszła ze schodów, by udać się na ostatni tego dnia spacer.

Przeszła wzdłuż chłodnych zielonych ścian, te zaś, niczym tunel, poprowadziły ją ku odosobnionemu zagajnikowi z fontanną pośrodku. Kit usiadła na kamiennym obramowaniu basenu i zanurzyła w wodzie palce. Zadowolenie, wywołane nowinami o Julianie, z wolna bladło, a jego miejsce zajął niepokój, związany z ujawnionymi właśnie zamierzeniami lady Marchmont.

To, że miejscowe damy będą się starały znaleźć Kit męża, było nieuniknione. Znały ją od urodzenia i oczywiście żadna nie aprobowała jej panieńskiego stanu. Kiedy na scenie pojawił się odpowiedni kawaler, lord Hendon, zaczęły z rozkoszą knuć intrygę, która miała doprowadzić Kit przed

ołtarz.

Skrzywiła się i otrząsnęła wodę z palców. Mogą sobie knuć i intrygować, ile dusza zapragnie. Ona już dawno pozbyła się młodzieńczej naiwności. Lord Hendon, pomimo że na pozór tak doskonale nadawał się na męża, z pewnością okazałby się następnym lordem Robertem. Nie, nie może być aż tak stary. Nie jeśli jest synem Jake'a. Musi mieć około czterdziestki. Zasuszony sztywniak, choć nie dość stary, by być jej ojcem.

Westchnęła, a potem wstała i strzepnęła spódnice. Na nieszczęście dla lady Marchmont nie po to uciekła z Londynu i od nalegań ciotek, by teraz stać się ofiarą intryg miejscowych dam.

Słońce schowało się za horyzontem i Kit ruszyła z powrotem do domu. Gdy przechodziła osłoniętymi żywopłotem alejkami, wzdrygnęła się, zdjęta nagłym strachem. Czy szpiedzy naprawdę próbują przedostać się do Anglii, i to akurat na tym odcinku wybrzeża? W tej sprawie całkowicie zgadzała się ze Spencerem. Można tolerować przemyt, pod warunkiem że szmuglowane są jedynie towary, a przemycanie szpiegów to nic innego jak zdrada. Czy gang z Hunstanton przejmuje też „ludzkie ładunki"?

Spochmurniała. W skroniach czuła pulsowanie. Dzień minął, a ona nie była ani trochę bliżej rozstrzygnięcia swego dylematu. Co gorsza, teraz musiała jeszcze unikać zdrajców.

Unikać lub im się przeciwstawić.

Rozdział 8

Spokojna kolacja w towarzystwie Spencera nie posunęła sprawy naprzód. Kit wcześnie udała się do swego pokoju, zamierzając przez kilka godzin rozważać wszelkie „za” i „przeciw”. Lecz kiedy znalazła się w sypialni, niepokój powrócił. Zdesperowana wskoczyła w męski strój i wyśliznęła się z domu tylną klatką schodową.

Do tego czasu była już ekspertem, jeśli chodzi o siodłanie Delii w ciemności i nakładanie jej uzdy. Wkrótce galopowała przez pola oświetlone blaskiem zachodzącego księżyca na wpół ukrytego za warstwą niskich, pędzonych wiatrem chmur. Galop na końskim grzbiecie, z wiatrem gwiżdżącym w uszach, pozwolił jej się odprężyć. Wreszcie mogła myśleć jasno.

Jednak, choć bardzo się starała, nie potrafiła znaleźć sposobu, by się wycofać. Jeśli młody Kit po prostu zniknie, samotne konne wyprawy w męskim stroju, zarówno w dzień, jak i w nocy, staną się bardzo niebezpieczne. Młody Kit musiałby zniknąć na dobre. Oczywiście panna Kathryn Cranmer będzie mogła odbywać stateczne przejażdżki po okolicy. Panna Kathryn prychnęła z pogardą. Do licha, nie odda wolności tak łatwo! Lecz skoro tak, nie pozostawało jej nic innego, jak tylko przyłączyć się do kapitana Jacka.

A może po prostu zrezygnować? Przestępcy często tak postępują. Reszta towarzystwa nie ma zwykle nic przeciwko temu, oczywiście jeśli członkowie gangu wiedzą, kim są ich byli kompani.

– Będę musiała stworzyć sobie fałszywą tożsamość – pomyślała Kit z zastanowieniem. – W Cranmer musi być jakieś miejsce, z którego mogłabym się wywodzić. Jakaś rodzina, z którą szmuglerzy nie mają kontaktu. Stara matka, histeryzująca, że jej najmłodszy syn naraża się na niebezpieczeństwo po tym, jak straciła już dwóch starszych… Ponuro skinęła głową. Będzie musiała wymyślić przekonujący powód, by młody Kit mógł się tak szybko wycofać.

Coś przypomniało jej o najnowszym zmartwieniu czającym się niczym duch w zakamarkach jej pamięci. Czy gang z Hunstanton pomaga w sprowadzaniu do Anglii szpiegów? A jeśli nawet, to czy nie powinna się o tym przekonać? Jeżeli przyłączy się do nich i podczas kilku spotkań nic się nie wydarzy, tym lepiej dla wszystkich. Lecz jeśli poczynią przygotowania, by przejąć „ludzki ładunek”, będzie mogła poinformować o tym lorda Hendona.

No tak, prychnęła pod nosem, lord Hendon. Cudownie! Cóż, kiedyś i tak będzie musiała go poznać.

Skierowała Delię na północny wschód, w stronę Scolt Head. Cypel był teraz

jedynie ciemniejszą plamą na ciemnej powierzchni wody. Szum fal się nasilił. Pojechała na północ od Cranmer, mijając po zawietrznej zamek Hendon, imponującą budowlę z miejscowego kamienia, usytuowaną na wysokim wzgórzu, skąd roztaczał się widok na całą okolicę.

Delia rozdęła chrapy, wciągając do płuc morską bryzę. Kit pozwoliła jej wydłużyć krok.

Czyż przyłączenie się do gangu z Hunstanton i wykrycie, czy nie rozprowadza on szpiegów, nie było jej patriotycznym obowiązkiem? Zwłaszcza że Julian zaciągnął się do armii.

Tuż przed nią grunt rozpłynął się w ciemności. Podjechała na skraj klifu i spojrzała w dół. Było tam ciemno i ponuro. Przybój nasilił się i łoskot uderzających o brzeg, a potem wycofujących się z sykiem fal, wypełnił uszy Kit.

Usłyszała zduszony okrzyk, a za chwilę następny.

Księżyc wypłynął zza chmur i Kit zrozumiała. Gang z Hunstanton rozładowywał na plaży towar.

Po chwili chmury znów zasłoniły księżyc, lecz Kit widziała dość, by się upewnić. Postać kapitana Jacka wyraźnie rysowała się na tle łodzi. Dwaj mężczyźni pracujący dziś u jego boku byli z nim także poprzedniej nocy.

Kit cofnęła konia i schroniła się w cieniu drzew. Gang prawie już rozładował łódź. Wkrótce skierują się… dokąd? Kit błyskawicznie podjęła decyzję. Odwróciła Delię i poszukała miejsca, z którego mogłaby obserwować skraj klifu, sama nie będąc widzianą. W końcu znalazła kryjówkę na małym wzgórzu, gdzie rosły mizerne pozostałości zagajnika. Bezpiecznie ukryta czekała, nie odrywając wzroku od wylotu ścieżki.

Po kilku minutach przemytnicy wyłonili się zza skraju urwiska i przemaszerowali pojedynczo u stóp wzgórza, na którym się ukryła. Odczekała, aż minie ją kapitan Jack, eskortowany przez dwóch towarzyszy, a potem policzyła do dwudziestu i ruszyła za przemytnikami. Minęli szerokim łukiem miasteczko Brancaster, a potem złożyli towar w starej stodole znajdującej się na polach na zachód od miasta. Kit przyglądała się temu z daleka, zbyt ostrożna, by podejść bliżej. Wkrótce mężczyźni zaczęli wychodzić. Oddalali się, niektórzy na piechotę, inni konno, prowadząc za sobą kuce.

Wreszcie pojawili się trzej jeźdźcy. Księżyc uśmiechnął się i Kit zobaczyła, jak jego blask odbija się we włosach kapitana Jacka. Jeden z jeźdźców ruszył na wschód, a kapitan Jack i drugi mężczyzna pojechali na zachód. Kit podążyła za nimi.

Trzymała się skraju ścieżki, a stukot końskich kopyt zagłuszał krok Delii. Na szczęście nie jechali szybko, w przeciwnym razie miałaby trudności z nadążeniem za nimi, chyba że zdecydowałaby się wyjechać na drogę.

Przejechali tak mniej więcej milę, a potem skierowali konie na wąski trakt prowadzący na południe. Stukot ciężkich kopyt podpowiedział Kit, w którą stronę skręcić. Ruszyła za nimi, powstrzymując Delię.

* * *

Jack i Matthew skręcili ostro i pojechali ścieżką prowadzącą szczytem wzgórza, ponad łąkami. W jego najwyższym punkcie, tuż przed miejscem, gdzie trakt skręcał ku drzewom wyznaczającym granicę pól należących do posiadłości Hendonów, Jack spojrzał w dół, na ścieżkę, którą dopiero co przebyli. Ten odruch wykształcił w sobie jakiś czas temu, nie chciał bowiem, by ktokolwiek z gangu, jadąc jego śladem, odkrył kryjówkę.

W dole rozciągała się monotonna ciemność. Jack już miał się odwrócić, gdy dostrzeżony kątem oka ruch zaalarmował jego zmysły. Zamarł, wpatrując się bacznie w ścieżkę. Cień, ciemniejszy od innych, wyłonił się spośród drzew i przemieszczał się w górę.

Matthew, zaalarmowany nagłą ciszą, wstrzymał konia i spojrzał w dół. Po chwili nachylił się do Jacka i spytał szeptem: – Młody Kit?

Jack skinął głową. Diaboliczny uśmiech wykrzywił lekko jego wąskie wargi.

– Jedź do chaty – szepnął – a ja dogonię naszego przyjaciela i zaproszę go na szklaneczkę brandy.

Matthew przytaknął, a potem ścisnął kolanami boki wierzchowca i odjechał.

Jack wprowadził Championa w głęboki cień tuż przy zagajniku. Młody Kit dał upust ciekawości w samą porę, bo Jack nie zamierzał spędzić kolejnej nocy, przewracając się z boku na bok i zastanawiając nad swoją żałosną obsesją na temat młodzieńca. A jaki mógłby być lepszy sposób na otrzeźwienie zmysłów niż wypić razem szklaneczkę brandy? Kiedy Jack raz obejrzy go sobie dokładnie w pełnym świetle, z pewnością pozbędzie się dziwnego, wprawiającego w konsternację, uczucia, jakie ogarniało go na widok chłopca.

* * *

Kit zbliżała się do szczytu wzgórza, gdy nagle jednostajny stukot kopyt ucichł. Uświadomiła sobie, dokąd prowadzi ścieżka. Zatrzymała wierzchowca i przez chwilę ze wstrzymanym oddechem wpatrywała się w ciemność. Po chwili kopyta znów zastukały. Westchnąwszy z ulgą, policzyła do dwudziestu, a potem skierowała Delię w górę ścieżki.

Wjechała na szczyt. Trakt prowadził dalej przez łąki, niewinny i pusty, spowity księżycowym blaskiem. Niedaleko przed nią ścieżka niknęła w zagajniku. Kępy drzew rzucały na trakt cienie, które wyglądały jak gigantyczne kałuże atramentu. Kit zatrzymała się i przez chwilę nasłuchiwała.

W oddali nadal postukiwały końskie kopyta, choć jeźdźcy, mijający właśnie zagajnik, pozostawali niewidoczni.

I bardzo dobrze. Kit ścisnęła obcasami smukłe boki Delii. Klacz przysiadła. Kit zmarszczyła brwi i spróbowała ją nakłonić do jazdy. Delia nie posłuchała.

Nagle Kit ogarnęło uczucie, że jest obserwowana. Coś ścisnęło ją w żołądku. Otworzyła szeroko oczy i spojrzała w lewo, gdzie stykające się ze sobą pola zapewniały bezpieczną drogę odwrotu. Nie namyślając się dłużej, skierowała Delię wprost na żywopłot. Klacz, której też pilno było do ucieczki, przesadziła przeszkodę i puściła się galopem.

Ukryty pośród drzew Jack zaklął serdecznie. Niech go diabli, jeśli pozwoli, by chłopak znów mu się wymknął! Wbił pięty w bok konia.

Championa nie trzeba było namawiać. Aż nazbyt chętnie rzucił się w pogoń za klaczą. Jack powstrzymał go, zadowalając się tym, by nie tracić z widoku podskakującego, okrytego czernią zadka. Zaczeka, aż klacz się zmęczy, a potem pozwoli, by jego siwek pokazał, na co go stać.

Tętent kopyt podpowiedział Kit, że śledzący ją jeździec wydostał się już na otwartą przestrzeń. Spojrzała za siebie i jej najgorsze obawy natychmiast się potwierdziły. Niech diabli porwą tego faceta! Nie zobaczyła niczego, co warte byłoby ryzyka, a on musiał przecież wiedzieć, że nie zdoła dogonić Delii. Dlaczego więc ją ściga?

Jednak, zanim skończyły się pola, Kit musiała zrewidować swoją opinię na temat umiejętności jeździeckich kapitana Jacka. Jego siwy ogier wydawał się niezmordowany, a Delia, która przebyła już tej nocy spory kawałek drogi, zaczynała opadać z sił. Zdesperowana Kit skierowała klacz ku plaży. Jazda po sypkim piasku z pewnością spowolni bieg ogiera, dając mu się we znaki bardziej niż lekkiej klaczy.

Nie starała się odnaleźć ścieżki. Delia sama wybrała drogę. Przez chwilę tańczyła niespokojnie na skraju klifu, a potem zaczęła schodzić, stawiając ostrożnie kopyta. Siwy ogier, ściśnięty widać mocno kolanami jeźdźca, niemal ześliznął się po miękkim zboczu i wylądował na płaskiej plaży, wzbudzając tuman piasku, zaledwie w kilka sekund po niej.

Kit wbiła pięty w boki Delii i klacz raz jeszcze rzuciła się do ucieczki, przerażona bliskością ogiera.

Ku rozczarowaniu Kit przypływ osiągnął już najwyższy poziom i właśnie zaczynał się cofać, pozostawiając jedynie wąski pas suchego piasku tuż przy podstawie klifu. Kit nie chciała ryzykować, iż zbytnio zbliży się do znajdujących się tam skał i głazów. A to oznaczało, że mogła poruszać się jedynie po twardym, mokrym piasku, pozostawionym przez cofające się fale. A na tak stabilnym gruncie ogier zyskiwał nad klaczą przewagę.

Pochylona nisko nad szyją Delii, czując, jak czarna grzywa chłoszcze jej policzki, modliła się o cud. Jednak głuchy stukot kopyt zbliżał się

nieubłaganie. Zaczęła się zastanawiać nad tym, jaką przedstawić wymówkę. Jak mogłaby usprawiedliwić bezsporny fakt, że ich śledziła?

Nic nie przychodziło jej do głowy. Żałowała, że nie zdobyła się na to, by stawić czoło przeznaczeniu, a nie uciekać. Spojrzała przed siebie, niemal gotowa się poddać i ściągnąć wodze, gdy nagle wydarzył się cud – zobaczyła skrawek stałego lądu. Klif wrzynał się tutaj w morze, a jego boki opadały łagodnie ku plaży. Gdyby tylko zdołała dojechać do porośniętych trawą wydm, miałaby szansę się wymknąć. Delia, choć zmęczona, i tak wspinałaby się szybciej niż ogier. Nagle, jak na zamówienie, zza chmur wyłonił się księżyc i oświetlił jej drogę.

Jack, który pozostawał zaledwie o długość konia z tyłu, też dojrzał cypel. Pora zakończyć pościg. Chłopak jeździł konno lepiej niż jakikolwiek zwiadowca, którego znał. Jeśli dotrze do wydm, nie uda się go dogonić. Jack rzucił wodze. Champion, wietrząc zwycięstwo, wydłużył krok, posłuszny rozkazowi, który nakazywał mu oddzielić klacz od klifu, uniemożliwiając jej w ten sposób nagłą zmianę kierunku.

Kit brakowało tchu. Wiatr wtłaczał jej powietrze z powrotem do płuc. Wydmy były już niemal w zasięgu, gdy coś jej kazało spojrzeć w lewo. Łeb siwego ogiera znajdował się na wysokości jej kolana.

Zdążyła tylko jęknąć, zanim dziewięćdziesiąt kilo dobrze wytrenowanych mięśni wysadziło ją z siodła.

Jack zrozumiał swój błąd, gdy tylko jego ciało zetknęło się z ciałem Kita. Próbował obrócić się w powietrzu, by złagodzić upadek, ale udało mu się to tylko częściowo. Zarówno ścigający, jak i ścigany runęli plecami na mokry piasek.

Siła uderzenia wyparła powietrze z płuc Jacka, pozbierał się jednak szybko. Usiadł i pochylił się nad zdobyczą, przezornie przytrzymując nogi Kita na wypadek, gdyby chłopak próbował walczyć. Tylko że on niczego takiego nie zrobił.

Jack zmarszczył brwi i czekał, aż uchylą się powieki, ledwie widoczne zza ronda trójgraniastego kapelusza. Tak się jednak nie stało. Ciało, rozciągnięte obok Jacka, a częściowo pod nim, pozostawało nieruchome.

Jack zaklął i pociągnął za róg kapelusza. Bogactwo błyszczących loków, widoczne ponad szerokimi, gładkimi brwiami sprawiło, że zmysły Jacka, i tak już pobudzone bliskością Kit, zareagowały gwałtownie.

Powoli, jakby obawiał się, że dziewczyna może rozpłynąć się pod dotykiem jego dłoni, przesunął palcem wzdłuż krzywizny jej policzka. Jedwabista gładkość skóry sprawiła, że dreszcz przeszył jego ciało od czubków palców po zgoła odleglejsze rejony. Ponieważ nie zanosiło się na to, by szybko odzyskała przytomność, wsunął palce w gęstwinę jedwabistych włosów. Ignorując uczucia, jakie to w nim wzbudziło, starannie obmacał tył głowy dziewczyny.

Pomiędzy lokami zaczynał się już tworzyć guz wielkości kaczego jaja. W piasku tuż pod jej głową znalazł kamień, na szczęście zagrzebany na tyle głęboko, iż raczej nie mógł spowodować nieodwracalnych szkód.

Cofnął dłonie i zapatrzył się znów na swego jeńca.

Młody Kit był załatwiony na dobre.

Skrzywiwszy się, spojrzał na gruby szal, zakrywający większą część jej twarzy. Przemiana młodego Kita w kobietę z pewnością zniweczy jego plany, tym jednak może zająć się później. W tej chwili trudno mu było zebrać myśli, a co dopiero podjąć mądrą decyzję. Świadczyło to dobitnie, jak wielki problem przedstawia sobą dziewczyna.

Powinien zdjąć jej ten szalik – z pewnością szybciej dojdzie do siebie, jeśli będzie mogła swobodnie oddychać. Lecz jakoś nie miał ochoty odkrywać dalszych partii jej twarzy, i nie tylko twarzy, jeśli już o tym mowa. To, co widział teraz – doskonałe, gładkie czoło, wdzięcznie wygięte brwi nad wielkimi, lekko skośnymi oczami w oprawie gęstych, brązowych rzęs, bujne loki, błyszczące nawet w świetle księżyca – jasno wskazywało, że reszta młodego Kita może okazać się równie zabójcza dla spokoju jego umysłu.

Zaklął pod nosem. Dlaczego, do diaska, musiał zapałać namiętnością akurat teraz? I to do dziewki przemytników, ni mniej, ni więcej!

Zapanowawszy z niejakim trudem zarówno nad swym umysłem, jak i ciałem, wyciągnął dłoń i sięgnął po szalik. Zawiązała węzeł mocno i starannie, toteż pozbycie się go wymagało sporo czasu i paru soczystych przekleństw. W końcu jednak udało mu się usunąć uparty materiał.

Natychmiast stało się oczywiste, dlaczego dziewczyna nosiła szal. Z ponurą miną przyglądał się rzeźbionym rysom, nieskazitelnej kremowej skórze, prostemu noskowi, lekko zadartej brodzie i pełnym, zmysłowym wargom, pobladłym teraz, ale wręcz dopraszającym się pocałunków, które mogłyby przywrócić im czerwoną barwę. Twarz młodego Kita świadczyła, że Jack ma przed sobą wcielenie kobiecości.

Zaintrygowany, prześliznął się spojrzeniem po leżącej obok postaci. Poduszka, wypychająca zwykle ramiona surduta, a przyciśnięta teraz do ramienia Jacka, wiele wyjaśniała. Zapatrzył się na pierś dziewczyny, powoli unoszącą się i opadającą. Luźny krój koszuli nie pozwalał dokonać właściwej oceny, lecz doświadczenie podpowiadało mu, że z pewnością warto byłoby pod nią zajrzeć. Uznawszy, że jeszcze zdąży dowiedzieć się, jak dziewczyna zdołała ukryć anatomiczne szczegóły swej kobiecej sylwetki, przystąpił do inspekcji jej nóg, nadal splątanych z jego kończynami. Okazały się one – a w tej kwestii Jack uważał się za eksperta – nadzwyczaj godne uwagi: niezwykle długie, smukłe, ale o dobrze wykształconych mięśniach.

Jack uśmiechnął się z aprobatą. Najwidoczniej dziewczyna często jeździ konno. Jak mogłaby się zachować, gdyby to on leżał teraz nieprzytomny?

Popuścił wodze fantazji na całe trzy minuty, a potem niechętnie przywołał się do porządku. Z westchnieniem spojrzał raz jeszcze na bladą twarz Kita. Czaszki kobiet są słabsze niż mężczyzn. Dziewczyna może odzyskać przytomność dopiero za kilka godzin.

Powędrował spojrzeniem wzdłuż plaży, ku miejscu, gdzie pod osłoną wydmy czekał cierpliwie Champion. Obok niego stała czarna klacz, niespokojna i płochliwa. Jack wyplątał się spomiędzy nóg dziewczyny, wstał i otrzepał z piasku ubranie. Zagwizdał, a Champion w odpowiedzi kłusem znalazł się przy nim. Klacz zawahała się, ale ruszyła w ślad za ogierem.

Jack chwycił wodze i przez chwilę mruczał uspokajająco do wielkiego ogiera, obserwując przy tym bacznie klacz. Delia podeszła powoli do Kit, opuściła łeb i delikatnie dmuchnęła w błyszczące kędziory. Dziewczyna nie poruszyła się.

– Ależ jesteś piękna – westchnął Jack, podchodząc bliżej. Czarny łeb natychmiast się uniósł, a jedno czarne oko spojrzało prosto na niego. Powoli sięgnął do uzdy. Z ulgą przekonał się, że klacz zaakceptowała dotyk jego dłoni. Poluzował wodze, a potem przywiązał je do kółka przy swoim siodle. Odsunął się, by sprawdzić, jak na to zareaguje Champion. Olbrzymi ogier zwykle nie tolerował innych koni, jeśli znalazły się zbyt blisko, lecz wystarczyła minuta, by Jack przekonał się, że nie ma co martwić się o klacz. Champion był dobrze wychowanym koniem, jeśli tylko zdecydował się okazać właściwe maniery. Teraz najwidoczniej postanowił wywrzeć na klaczy dobre wrażenie.

Jack uśmiechnął się i wrócił po dziewczynę. Podniósł ją, posadził na swoim siodle i oparł o łęk, a następnie usiadł za nią. Przyciągnął ją do siebie i ulokował się wygodnie w siodle. Głowa Kit opadła bezwładnie na jego pierś.

Odwrócił Championa przodem ku wydmom, a potem skierował na drogę prowadzącą ku chacie.

Rozdział 9

Nim dojechali, Jack musiał mocno zaciskać szczęki, by stłumić emocje, jakie budziło w nim ciasno wtulone kobiece ciało. Z każdym krokiem Championa czuł dotyk pełnych piersi i jeszcze bardziej wyprowadzające z równowagi tarcie kształtnych pośladków o swoje uda. Jazda była torturą, co z pewnością ucieszyłoby dziewczynę przebrana za młodego Kita, kimkolwiek była, jeśli tylko okazałby się na tyle głupi, by jej o tym powiedzieć. Podejrzewał, że dziewczyna ocknie się ze strasznym bólem głowy. Tam, na plaży, czuł się z tego powodu nieco winny. Teraz uważał, że dostała to, na co zasłużyła. Jego samego zaczynała boleć głowa – no i nie zanosiło się na to, by tej nocy mógł się choć trochę zdrzemnąć.

Podkowy Championa zastukały na ubitej ziemi wokół chaty. Drzwi domku otwarły się i Matthew wyszedł na zewnątrz.

– Co się stało?

Jack ściągnął wodze, nie podjeżdżając bliżej drzwi.

– Chłopak nie przyjął zaproszenia. Prawdę mówiąc, nawet nie zaczekał, by go wysłuchać. Musiałem użyć perswazji.

– Właśnie widzę – powiedział Matthew. Podszedł bliżej, z ewidentnym zamiarem uwolnienia Jacka od ciężaru.

Jack przełożył nogę nad łękiem i zsunął się z konia, nie puszczając Kit. Minął Matthew i skierował się do drzwi.

– Zaprowadź Championa i klacz do stajni. Nie powinieneś mieć z nią problemu.

Zatrzymał się na progu i odwrócił: – Potem możesz iść do domu. On nieprędko się ocknie. – Uśmiechnął się. – Młody Kit wolałby zapewne, by nikt poza mną nie widział go w tym stanie.

Matthew, obeznany z tym, co czują chłopcy i młodzi żołnierze, skinął głową. – Tak. Z pewnością da pan sobie radę sam. Pójdę więc. – Co powiedziawszy, chwycił wodze Championa i ruszył ku małej stajni.

Jack wszedł do chaty i kopnięciem zamknął za sobą drzwi. Oparł się plecami o szorstkie deski i łokciem zasunął rygiel. Potem wyprostował się i spojrzał na swoje brzemię. Dzięki Bogu, nałożył dziewczynie z powrotem kapelusz. Szerokie rondo osłoniło jej twarz na tyle, że mógł przejść z nią obok Matthew. Jack nie był pewny, dlaczego zdecydował się ukryć jej mały sekret przed wiernym sługą i towarzyszem. Być może postąpił tak dlatego, że nie miał jeszcze czasu zastanowić się, co ten sekret oznacza dla niej i dla niego, a wiedział z doświadczenia, że Matthew bez wahania skorzystałby z przywileju, który pozwalał długoletnim, oddanym sługom bez osłonek

wyrażać dezaprobatę, jeśli ich pan zachował się w sposób choć trochę odbiegający od przyjętych norm.

Lecz nim się zastanowi, musi przede wszystkim pozbyć się rozpraszającego uwagę ciała, które trzymał w ramionach.

Podszedł do łóżka i rzucił na nie Kit, jakby była kawałkiem gorącego żelaza. Prawdę mówiąc, zdążyła już rozpalić w nim ogień, a nie zanosiło się na to, by miał jak go ugasić. Kochanie się z nieprzytomną kobietą nie było w jego stylu. Spojrzał na milczącą, nadal nieruchomą sylwetkę. Poluzowany szalik leżał teraz na szyi dziewczyny. Kapelusz spadł zupełnie. W świetle lampy widać było błyszczące loki i ewidentnie kobiecą twarz.

Jack cofnął się gwałtownie.

Teraz, kiedy nie trzymał jej w ramionach, znowu mógł myśleć jasno. A nie trzeba było długo myśleć, by dojść do wniosku, że spoufalanie się z tą dziewczyną mogłoby okazać się niebezpieczne, jeśli nie dla niego osobiście, to dla jego misji. Nie myślał już o niej jako o „młodym Kicie". Zresztą, trzymając ją przez pół godziny w ramionach, przekonał się, że nie jest aż tak młoda. Z pewnością nie zbyt młoda.

Burknął coś pod nosem, a potem sfrustrowany obrócił się na pięcie i podszedł do kredensu. Nalał sobie solidną porcję brandy, zastanawiając się, czy dziewczyna też pija mocne trunki.

Co by zrobiła, gdyby jednak udało mu się zaprosić ją na szklaneczkę?

Jack się uśmiechnął. Uśmiech znikł jednak, gdy tylko spojrzał na łóżko. Do licha! I co on ma z nią zrobić?

Przemierzał niespokojnie pokój, rzucając od czasu do czasu spojrzenie na nieruchomą postać na łóżku. Brandy nie pomogła. Osuszył szklaneczkę i odstawił ją. Dziewczyna leżała bez ruchu. Jack westchnął przeciągle, a potem podszedł i stanął obok łóżka, wpatrując się w nią.

Była zbyt blada. Z wahaniem dotknął jej policzka. Okazał się pocieszająco ciepły. Pochylił się, zdjął jej skórzane rękawice i zaczął rozcierać małe, doskonale ukształtowane i delikatne dłonie. Nie pomogło. Jack się skrzywił. Oddychała płytko, gdyż jej pierś ściskały pasma materiału, zawiązane ciasno, by ukryć biust. Wyczuł je, gdy ją podnosił.

Ramiona miał jak z ołowiu, a stopy niemal wrosły mu w ziemię. Nie miał ochoty robić tego, co podpowiadał mu rozsądek, jednak nie było wyjścia. Im prędzej się z tym upora, tym lepiej.

Zmusił do działania niechętne ciało. Przewrócił dziewczynę na plecy i odwrócił jej twarz na bok, by nie udusiła się wciśnięta w poduszki. Zdjął jej surdut, a potem wyciągnął z bryczesów poły koszuli, starając się nie zwracać uwagi na zdecydowanie niemęską krzywiznę pośladków. Podciągnął koszulę do połowy pleców i znalazł płaski węzeł wciśnięty sprytnie pod pachę. Węzeł zawiązany był mocno i starannie. Jack klął, ciągnąc materiał i próbując

rozplątać supeł. Jego palce muskały jedwabistą skórę, chłodną w dotyku, a mimo to rozpalającą zmysły do białości. Nim węzeł wreszcie ustąpił, zdążył już niemal wyczerpać znany sobie zapas przekleństw, co dotychczas wydawało mu się raczej niemożliwe.

Usiadł na skraju łóżka, zbierając siły, aby wykonać następny ruch, i żałując wielce, iż nie może wyrzucić z umysłu piękna ujawnionego jego oczom: smukłe plecy, delikatne łopatki, jedwabista skóra. Nie śpiesząc się, poluzował warstwy materiału, a potem zsunął je niżej. Następnie szybko opuścił koszulę, odwrócił dziewczynę z powrotem na plecy i wstał.

Jej oddech natychmiast się pogłębił.

Nie minęła nawet minuta, a policzki Kit poróżowiały. Nadal jednak pozostawała nieruchoma. Widząc, że zanosi się na dłuższe czekanie, podszedł do stołu i z rezygnacją przyciągnął sobie krzesło. Oparł się wygodnie i wbił wzrok w swego nieprzytomnego gościa. Sięgnął po butelkę brandy.

Tymczasem Kit powoli odzyskiwała przytomność. Świadomość wracała w przelotnym błysku pamięci, mrowieniu w czubkach palców. Nagle jej powieki zadrżały. Ocknęła się, lecz nadal była zdezorientowana. Nie otwierała oczu, próbując myśleć. Pamiętała szaloną gonitwę na plaży i to, że kapitan Jack wyrzucił ją z siodła. Jednak nie potrafiła sobie przypomnieć, co było potem. Starała się rozpoznać otoczenie, nie otwierając oczu i posługując się innymi, poza wzrokiem, zmysłami. Nagle zamarła, uświadomiła sobie bowiem, iż leży na łóżku.

Zerknęła spod rzęs i zobaczyła pokój – ściany z nieheblowanych desek i starą dębową szafę. Poza tym że znajduje się w czyjejś sypialni, w czyimś łóżku, nie powiedziało jej to zbyt wiele.

Chyba domyślasz się, kim jest ten ktoś, prawda? A teraz leżysz w jego łóżku.

Nie bądź niemądra, złajała swoje drugie ja. Ostatecznie nadal jestem ubrana. Nagle uświadomiła sobie, że nie czuje ucisku płótna. Usiadła, gwałtownie wciągając powietrze.

Pasy materiału opadły niżej, uwalniając piersi. Zakręciło jej się w głowie. Jęknęła cicho i wsparła się na łokciach, zamykając oczy, aby złagodzić ból z tyłu głowy. Kiedy je znów otworzyła, zobaczyła kapitana Jacka. Przypatrywał jej się z drugiego końca pokoju. Siedział rozparty wygodnie na krześle, a na jego przystojnej twarzy malowało się zdenerwowanie.

Jack nie potrafiłby oderwać wzroku od bezspornego dowodu kobiecości Kit, choćby od tego zależało jego życie. Piersi dziewczyny sterczały prowokująco, wypychając przód koszuli, obciskającej bujne półkule i jędrne sutki. Leżała w bezruchu, gapiąc się na niego, a Jack poczuł, że ogarnia go wściekłość. A niech ją szlag! Czyżby robiła to specjalnie?

Kit dotknęła ręką głowy i zapytała, tłumiąc jęk: – Co się stało?

Koszula nie przylegała już tak do piersi dziewczyny i Jack poczuł, że znów

może normalnie oddychać.

– Uderzyłaś głową o kamień zagrzebany w piasku.

Kit usiadła i ostrożnie obmacała sobie czaszkę. Zapomniała już, jak głęboki i aksamitny głos ma Jack. Jej palce odnalazły solidnego guza na potylicy. Zamrugała i spojrzała na niego chmurnie. – Mogłeś mnie zabić przez ten swój głupi pościg.

Słysząc oskarżycielski ton jej głosu, Jack poderwał się tak gwałtownie, aż załamało się pod nim krzesło.

– Głupi pościg? – powtórzył z niedowierzaniem. – A jak nazwałabyś przebieranie się za mężczyznę i przewodzenie szajce przemytników? Czy to przejaw rozsądku? – Na myśl o tym, jak bardzo ryzykowała, ogarniał go coraz większy gniew. – Wyobrażasz sobie, co by się stało, gdyby cię nakryli? Umiesz pływać z kamieniami przywiązanymi do stóp?

Kit się skrzywiła. – Nie krzycz.

Opuściła głowę i ukryła twarz w dłoniach. Nie czuła się aż tak dobrze, by kruszyć kopie z kapitanem Jackiem tu i teraz. Zmierzenie się z nim byłoby trudne w każdych okolicznościach, a w tej chwili, kiedy tak bardzo kręciło się jej w głowie, starcie mogło zakończyć się jedynie porażką. I tak był zdenerwowany, choć nie wiedziała dlaczego. W końcu to ona miała na głowie guza.

– Gdzie jesteśmy?

– W miejscu, gdzie nikt nie będzie nam przeszkadzał. Chcę, żebyś odpowiedziała mi na jedno czy dwa pytania. W tych okolicznościach to chyba zrozumiałe, prawda? Zaczniemy od najprostszego: jak masz na imię?

– Kit.

Uśmiechnęła się za zasłoną dłoni. Niech sobie myśli, co chce.

– To znaczy Catherine, Christine, a może jeszcze inaczej?

Kit spochmurniała. – Nie musisz wiedzieć.

– To prawda. Gdzie mieszkasz?

Kit nie odpowiedziała. Bolała ją głowa. Wystarczył rzut oka, by potwierdzić, iż rzeczywiście znajdują się w małej chacie i są tu sami. Pocieszał ją jedynie fakt, że drzwi izby wychodzą prosto na dwór.

Jack z pochmurną miną wpatrywał się w połyskujące na pochylonej głowie Kit loki. W świetle lampy błyszczały niczym polerowana miedź. Podejrzewał, że w słońcu muszą wydawać się bardziej rude i jaśniejsze. Kolor jej włosów przywoływał odległe wspomnienia, których nie potrafił sprecyzować.

Gdy podciągnęła kolana, by wygodniej oprzeć na nich głowę, skrzywił się. Powinien dać jej trochę brandy, lecz nie miał ochoty podchodzić bliżej. Stół stanowił doskonałą osłonę i nie zamierzał z niej rezygnować. Dobrze przynajmniej, że miał na sobie strój „ubogiego wiejskiego dżentelmena”: luźno skrojone bryczesy pozwalały ukryć to i owo. Gdyby był w mundurze albo,

Boże uchowaj, w miejskim stroju, Kit od razu by się zorientowała, jakie wywiera na nim wrażenie. Wystarczy, że on o tym wie.

Nadal siedziała z opuszczoną głową. Jack westchnął z rezygnacją i sięgnął po butelkę. Wziął czystą szklaneczkę i napełniwszy ją do połowy najlepszą francuską brandy, jaką można było dostać w Anglii, podszedł do łóżka.

Kit usłyszała skrzypienie podłogi i uniosła twarz. Spojrzała wpierw na szklaneczkę, a potem na Jacka.

I wtedy sobie przypomniał. Zatrzymał się i przymknął na chwilę oczy. A potem przyjrzał się jej dokładniej i był już pewny.

– Kit… Kit Cranmer? – powtórzył, unosząc pytająco brew. Wyraz wpatrzonych w niego ametystowych oczu powiedział mu, że się nie myli.

Kit przełknęła ślinę, ledwie świadoma jego słów. Boże! To gorsze, niż sądziła. Jack był wspaniały – absolutnie, oszałamiająco, porażająco wręcz wspaniały – ta rozwiana grzywa brązowych włosów, przeplatanych złotem! Czoło miał szerokie, patrycjuszowski, arystokratyczny nos i kwadratową szczękę, nadającą twarzy zdecydowany wyraz. Ale to oczy wręcz ją zafascynowały: głęboko osadzone pod ukośnymi brwiami, połyskiwały srebrzyście w świetle lampy. I jeszcze te jego usta: dość wąskie, lecz wyraziste i ruchliwe. Jak by to było poczuć je…

Natychmiast odsunęła od siebie tę myśl. Wyschnięte gardło nieźle dawało się jej we znaki, sięgnęła więc po szklaneczkę. Ignorując dziwny dreszcz, jaki przeszył ją, gdy jej palce musnęły jego dłoń, i walcząc z rodzącą się paniką, sączyła brandy bardzo świadoma obecności mężczyzny. Stał tuż przy łóżku, górując nad nią niby wieża. Wcześniej skupiła się na jego twarzy, nie poświęcając zbyt wiele uwagi reszcie. Ile też może mieć wzrostu, zastanawiała się teraz. Wsparta na łokciach, uniosła głowę, by móc lepiej mu się przyjrzeć.

Koszula opięła się jej na piersiach.

Jack zesztywniał. Kit przesunęła się, aby na niego spojrzeć. Zacisnął szczęki, a jego rysy zastygły. A potem zauważyła, że nie wpatruje się w jej twarz. Wzrok miał utkwiony zupełnie gdzie indziej. Usiadła i jak gdyby nigdy nic upiła następny łyk brandy, wmawiając sobie przy tym, że Jack szacuje ją spojrzeniem zupełnie tak samo, jak jej adoratorzy w Londynie. Nie ma potrzeby rumienić się czy zachowywać jak spłoszona pensjonarka. Kolejny łyk alkoholu sprawił, że jeszcze bardziej się uspokoiła. Nie odpowiedziała na jego pytanie. I chyba będzie lepiej, jeśli tego nie zrobi. Ukrywanie swego pochodzenia nie miało sensu – kolor włosów i oczu i tak zdradzi ją przed każdym, kto choćby przez jakiś czas mieszkał w Norfolk.

– Wiesz już, z kim masz do czynienia – powiedziała. – A kim ty jesteś?

Jack potrząsnął głową, aby rozjaśnić umysł. Na Boga! Zbyt długo obywał się bez kobiety. Jego misja była poważnie zagrożona. Uznawszy, że lepiej będzie, jeśli natychmiast oddali się od łóżka, podszedł do stojącego pod ścianą

krzesła i usiadł na nim okrakiem, wsparłszy na oparciu ramiona. Zignorował pytanie; przynajmniej go nie rozpoznała.

– Wątpię, byś była córką Spencera. – Przyjrzał się jej uważnie, ale nie zauważył, by zareagowała. A zatem nie jest dzieckiem obecnego lorda Cranmera. – Miał trzech synów, lecz jeśli mnie pamięć nie myli, dwaj starsi nie byli podobni do reszty rodziny. Tylko najmłodszy wyglądał jak prawdziwy Cranmer. Christopher, najbardziej nieposkromiony z braci. – Przypomniał sobie coś jeszcze i uśmiechnął się chłodno. – Znany też jako Kit Cranmer. – Musiał trafić w sedno, gdyż Kit wygięła lekko kąciki warg. – A zatem jesteś córką Christophera Cranmera.

Kit uniosła brwi, a potem wzruszyła ramionami i przytaknęła. Kim on był, że znał jej rodzinę aż tak dobrze? Musiał pochodzić z tych stron, choć nigdy przedtem go nie spotkała. Spoglądając spod rzęs, oszacowała wzrokiem szerokie ramiona i napięte bicepsy. Jego surdut nie był wywatowany w ramionach. Wszystko, co widziała, było prawdziwe. Mocne uda naciągały materiał bryczesów. Kiedy tak siedział, nie mogła zobaczyć wiele więcej, lecz każdy, kto jeździł konno tak jak on, musiał być silny. Twarz pozostawała ukryta w cieniu, mimo to oceniła, iż pewnie jest po trzydziestce. Nie ma mowy, gdyby spotkała go kiedykolwiek przedtem, na pewno nie zapomniałaby tak doskonałego okazu mężczyzny.

– Kim była twoja matka?

Pytanie, zadane stanowczym, choć przyjaznym tonem, wyrwało Kit z zamyślenia. Przez minutę wpatrywała się w Jacka, nie rozumiejąc. A potem dotarło do niej, co miał na myśli. Spojrzała na niego pałającymi gniewem oczami i zaczerpnęła oddechu, gotowa wyrazić swe oburzenie. Nagle, gdy było już niemal za późno, jej drugie ja otrząsnęło się z oszołomienia i powstrzymało wybuch gniewu.

Poczekaj chwilę. Przestań, powstrzymaj się, zduś to, głuptasie! Miałaś wymyślić sobie tożsamość, pamiętasz? I oto masz, podał ci ją jak na talerzu. Co z tego, że uważa cię za bękarta? Lepsze to, niżby miał poznać prawdę, w którą i tak by nie uwierzył.

Oczy Kit się zaszkliły. Oblała się rumieńcem i spuściła wzrok.

Dziwny wyraz twarzy dziewczyny nie umknął uwagi Jacka, jednak rumieniec, który po nim nastąpił, mówił sam za siebie.

– Przepraszam – powiedział. – To było niestosowne pytanie.

Kit spojrzała na niego, zdumiona. On przeprasza?

– Gdzie mieszkasz? – zapytał, przypomniawszy sobie klacz. Upór i duma obecnego lorda Cranmera były równie szeroko znane, jak charakterystyczne cechy wyglądu jego rodziny. Zaryzykował więc: – Z dziadkiem?

Kit skinęła powoli głową, zastanawiając się gorączkowo. Doskonale się składa, pomyślała. Jej ojciec był ulubieńcem dziadka, więc nic dziwnego, że

Spencer zajął się nieślubnym dzieckiem swego syna. Musiała jednak być czujna. Kapitan Jack wiedział zbyt wiele o tutejszych rodzinach, by mogła beztrosko zmyślać. Na szczęście wieści o tym, że prawowita wnuczka Spencera wróciła już z Londynu, najwyraźniej do niego nie dotarły.

– Mieszkam w Hall – powiedziała, przypominając sobie jedną z maksym swego kuzyna Geoffreya. Jeśli już musisz kłamać, powtarzał Geoffrey, staraj się, by kłamstwo było jak najbliższe prawdy. – Dorastałam tam – mówiła dalej – lecz kiedy zmarła babcia, dziadek mnie odesłał.

Jeśli Jack pochodził z tych stron, pewnie zacząłby się zastanawiać, dlaczego dotąd jej nie spotkał.

– Odesłał? – powtórzył Jack z nieukrywanym zainteresowaniem.

Kit pociągnęła kolejny łyk brandy, wdzięczna za to, że tak cudownie rozgrzewa ją od środka. Poza tym myślało jej się teraz znacznie lepiej.

– Zostałam odesłana do Londynu, gdzie zamieszkałam z wikarym z Holme, który akurat przeprowadził się do Chiswick. – Kit przypomniała sobie młodego wikarego, pasował doskonale. – Nie podobało mi się w stolicy, więc kiedy wikary awansował, wróciłam do domu.

Kit modliła się w duchu, by Jack nie znał wikarego osobiście, nie miała bowiem pojęcia, czy został awansowany.

Jack także nie miał o tym pojęcia. Opowieść Kit brzmiała sensownie, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę jej kulturalną wymowę i eleganckie gesty. Gdyby dorastała w Cranmer pod okiem babki, a potem spędziła jakiś czas w Londynie, nawet mieszkając pod opieką nudnego wikarego, byłaby właśnie tak pewna siebie i spokojna, jaka się wydawała. To nie była prosta wiejska dziewczyna, a jej opowieść brzmi wiarygodnie. Mina Kit świadczyła, że ona też zdaje sobie z tego sprawę. Oczy Jacka się zwęziły.

– A zatem mieszkasz w Hall i Spencer przyznaje się do ciebie?

A to już, drogi panie, bardzo podchwytliwe pytanie.

Kit machnęła lekceważąco dłonią. – Och, przywykłam żyć na uboczu. Nauczono mnie, jak zajmować się gospodarstwem, i właśnie to robię.

Uśmiechnęła się, świadoma, że zdała test. Nawet Spencer nie wychowywałby wnuczki z nieprawego łoża na równych prawach z prawowitym potomstwem swego syna.

Jack spochmurniał. Dziewczyna była naprawdę bystra, lecz doskonale obyłby się bez jej uśmiechów. Rozjaśniały twarz Kit w sposób, który od wieków starali się uchwycić malarze. Kimkolwiek była jej matka, z pewnością nie brakowało jej urody, skoro wydała na świat córkę, która mogłaby rywalizować z Afrodytą.

– A zatem w dzień jesteś gospodynią Spencera, a w nocy młodym Kitem, przywódcą przemytników. Jak długo się tym zajmujesz?

– Nie dłużej niż kilka tygodni.

Kit wolałaby, by Jack przestał wpatrywać się w nią z tak nachmurzoną miną. Uśmiechnął się do niej w kamieniołomach. Chętnie obejrzałaby sobie to zjawisko jeszcze raz w świetle lampy, ale nic nie wskazywało na to, by Jack zechciał je zaprezentować. Uśmiechnęła się więc do niego. Jack jeszcze bardziej spochmurniał.

– Do licha! Jak ci się to udało? Zakrywałaś twarz, wypchałaś ramiona surduta, ale co się działo, kiedy któryś z nich cię dotknął?

– To się nie zdarzyło ani razu – odparła z nadzieją, że nie zarumieniła się na tyle mocno, by Jack mógł to zauważyć. – Chyba myśleli, że jestem chłopcem z dobrej rodziny, delikatniejszym i zbudowanym inaczej niż oni.

Jack prychnął, nie odrywając wzroku od twarzy Kit. Nagle jego oczy znów się zwęziły.

– Gdzie nauczyłaś się udawać młodzieńca… i całej reszty? Nie tak łatwo uchodzić za mężczyznę. Nie byłaś chyba na scenie?

Kit spojrzała mu w oczy i odpowiedziała, starannie ważąc słowa. Raczej nie należało wspominać o kuzynach, a już z pewnością nie o tym, jaki wpływ na nią wywarli.

– Miałam mnóstwo okazji, aby przyglądać się mężczyznom i temu, jak się poruszają. – Uśmiechnęła się protekcjonalnie. – Znam męski gatunek na wylot.

Jack uniósł brwi, a po chwili zapytał: – Jak długo zamierzałaś udawać przemytnika?

Kit wzruszyła ramionami. – Kto wie? Teraz, kiedy mnie nakryłeś, już nigdy się tego nie dowiemy, prawda?

Uśmiechnęła się z żalem. Krótka kariera młodego Kita dobiegła kresu. Koniec z podnieceniem i przygodami.

Brwi Jacka powędrowały jeszcze wyżej. – Zamierzasz się wycofać?

Kit spojrzała na niego, zdumiona. – Czy ty nie… – Zamrugała. – To znaczy, że mnie nie wydasz?

Jack znowu spochmurniał. – Nie mogę.

Nigdy nie uważał się za człowieka o konserwatywnych poglądach – no, chyba że występował jako Jonathon, a w tej chwili był zdecydowanie Jackiem, przywódcą przemytniczej szajki – lecz na samą myśl o tym, że Kit miałaby znów kręcić się w bryczesach pośród zgrai rybaków, narażając się na zdemaskowanie i Bóg wie jakie konsekwencje, obudziły się w nim opiekuńcze uczucia. Na zewnątrz spochmurniał i zmarszczył gniewnie brwi. W środku wrzał gniewem i przeklinał. Od początku przeczuwał, że młody Kit przysporzy mu kłopotów. Teraz już wiedział, jakiego rodzaju będą to kłopoty.

Miał ochotę jęknąć, lecz się powstrzymał. Kit przyglądała mu się, niepewna swego losu. Zaczerpnął głęboko oddechu. – Młody Kit będzie musiał działać – powiedział – dopóki twoi ludzie nie zostaną zaakceptowani jako część gangu z Hunstanton.

Kit udawała, że słucha, choć ledwie słyszała słowa. Wiedziała, że jest pociągająca. Gdyby tylko zechciała, w Londynie mężczyźni ścieliliby się jej do stóp. A jednak kapitan Jack nie reagował na nią tak jak inni. Nadal marszczył gniewnie brwi. Z rozmysłem wsparła się więc znów na łokciach i spojrzawszy mu śmiało w oczy, spytała: – Dlaczego?

Duże ciało Jacka zesztywniało nagle i było to dość przerażające. Rozkosznie przerażające. Kit poruszyła lekko ramionami, zbliżając do siebie łokcie. Poczuła, że koszula opina się jej na piersiach. Podniosła wzrok, by sprawdzić, jak Jack zareaguje na to przedstawienie, gotowa uśmiechnąć się z wyższością na widok jego zażenowanej miny. Zamiast tego zamarła, zdjęta przeczuciem nadchodzącego niebezpieczeństwa.

Oczy Jacka nie były już szare, lecz srebrne, czyste i błyszczące niczym polerowana stal. Nie patrzył na jej twarz. Spostrzegła, że drgają mu mięśnie nad zaciśniętą szczęką. Nagle zrozumiała. Nie reagował, ponieważ tego nie chciał, a nie dlatego, że jej uroda nie robiła na nim wrażenia. Tylko jego opanowanie stało pomiędzy nią a tym, co mógł zrobić – co pragnął zrobić. Przewróciła się ostentacyjnie na bok, rzekomo po to, by sięgnąć po brandy.

Jack, wstrząśnięty swoją reakcją, odetchnął głęboko, zastanawiając się ponuro, czy niemądra flirciarka wie, jak niewiele brakuje, by wcisnął ją w materac, na którym tak prowokująco prezentowała swoje wdzięki. Jeszcze sekunda, a odstawił krzesło i rzuci się na nią niczym wygłodniały ogier, którym przecież był.

Na szczęście dziewczyna się opamiętała. Później, kiedy już wypełni swoją misję, z ochotą pozwoli jej się uwieść, teraz jednak najważniejsze było zadanie. O co go pytała? Przypomniał sobie i zdobył się na odpowiedź.

– Chcę, by oba gangi się połączyły. Jeśli cię wydam, twoi ludzie staną się w okolicy pośmiewiskiem, co wcale mi nie pomoże. A jeśli nagle znikniesz, pomyślą, że to ja za tym stoję. Że wystraszyłem cię na śmierć albo i coś gorszego. Wtedy prawdopodobnie odmówią przyłączenia się do nas.

Kit zmarszczyła brwi i zapatrzyła się na bursztynowy płyn wirujący w jej szklaneczce. Jack proponował, by nadal udawała mężczyznę. Kto wie, jak długo. Jej prawdziwa tożsamość byłaby znana tylko im dwojgu. Ona jednak nie była wcale przekonana, że uda jej się dalej to ciągnąć. Co innego paradować w bryczesach, gdy wszyscy wokół są przekonani, że mają do czynienia z mężczyzną. Podejrzewała, że sprawy będą się miały zupełnie inaczej, jeśli jeden z obserwatorów, a zwłaszcza ten konkretny obserwator, będzie znał prawdę. Poza tym wcale nie chciała odgrywać przez Jackiem młodzieńca. Potrząsnęła zdecydowanie głową.

– Jeśli im wyjaśnię…

– Pomyślą, że cię wystraszyłem.

Kit spojrzała na niego i usiadła. – Nie, jeśli im powiem…

– Bez względu na to, co im powiesz.

Absolutne przekonanie w jego głębokim głosie nie zachęcało do kontynuowania dyskusji. Lecz to, co proponował, zakrawało na szaleństwo.

– Sam powiedziałeś, że postąpiłam głupio. Co będzie, jeśli moi ludzie i twoi dowiedzą się, kim jestem?

– Nie dowiedzą się. Już ja o to zadbam.

Jego przekonanie zdawało się niewzruszone. Jakie to nielogiczne, pomyślała Kit, kłócić się o coś, czego tak naprawdę wcale nie chcę. Im bardziej wnikliwie jednak rozpatrywała plan Jacka, tym bardziej niebezpieczny się wydawał. Na szczęście potrafi dobrze nad sobą panować. Jack oferował jej udział w przygodzie, co odpowiadało nieposkromionej stronie jej natury. Zmrużyła oczy i powiedziała, dobierając starannie słowa: – A skąd mogę wiedzieć, że ty mnie nie zdradzisz?

Oczy Jacka zabłysły. Dziewczyna niebezpiecznie zbliżyła się do sedna sprawy. Co ona sobie wyobraża? Że jest jakimś napalonym uczniakiem? Na chłodno, z rozmysłem, przesunął spojrzeniem po jej piersiach – niewidocznych teraz, lecz przecież wiedział, że tam są – zanim zatrzymał wzrok na spoczywających swobodnie długich nogach.

Kit się zaczerwieniła. I zaatakowała pierwsza, nim zdążył to zrobić Jack.

– Na przykład zachowując się tak jak teraz!

Niezupełnie to miała wcześniej na myśli, ale Jack dostarczył jej pretekstu, który doskonale obrazował jej punkt widzenia.

Jack zamrugał, a potem poczerwieniał ze zdenerwowania. Obrzucił ją groźnym spojrzeniem i powiedział gniewnie: – To się nie stanie! Co zyskałbym, wydając cię? – Przez chwilę przyglądał się jej przymrużonymi oczami. – Zapewniam, że potrafię zachowywać się tak, jakbyś była młodzieńcem, za którego cię uważają.

Wolał nie wspominać, co pomyśleliby sobie ci wszyscy mężczyźni, gdyby zauważyli, jak bardzo interesuje go młody Kit.

– Oczywiście nie mogę odpowiadać za twoje reakcje – dorzucił.

Kit zawrzała gniewem. Ze wszystkich niemożliwie zarozumiałych prostaków, z którymi się kiedykolwiek zetknęła, ten był najgorszy. Prawdopodobnie doskonale wie, jaki jest przystojny. Bez wątpienia mówiły mu to setki kobiet. Piekło zamarznie, zanim usłyszy coś takiego od niej! Kit zadarła dumnie brodę i zapytała: – Jakie reakcje?

Jack roześmiał się głośno. Wstał i gwałtownie odsunął krzesło. Wszelkie myśli na temat zadania, bezpieczeństwa i rozsądku wyparowały w obliczu tego wyzwania. Więc ona nie wie, o jaką reakcję mu chodzi? Ruszył w kierunku łóżka.

Kit miała wrażenie, że oczy zaraz wyskoczą jej z głowy. Przerażona, próbowała odsunąć się dalej, lecz łokcie zaplątały się jej w pościel i zamiast

się cofnąć, upadła płasko na plecy. A on już stał nad łóżkiem, rzucając na nią wielki cień. Spojrzał na Kit i wyciągnął rękę: – Chodź tutaj.

Oszalał. Nie miała zamiaru zbliżać się do niego. Zwłaszcza gdy tak szatańsko się uśmiechał. Uznała, że woli, gdy jest ponury i zły. Nie było to nawet w połowie tak niebezpieczne, jak ten uśmieszek. Sama spróbowała zrobić pochmurną minę.

Jack uśmiechnął się jeszcze szerzej, a jego oczy pojaśniały. Wreszcie pokaże tej sekutnicy, gdzie jest jej miejsce, teraz i zawsze. Przysparzała mu więcej kłopotów niż oddział pijanych kawalerzystów. Najpierw drażni się z nim, prężąc się na łóżku niczym kotka – pewny był, że zamruczałaby, gdyby ją wtedy pogłaskał – a teraz, kiedy wywołał na jej twarzy rumieniec, nagle zaczyna odgrywać przestraszoną dziewicę.

Lecz nie zwariował jeszcze na tyle, aby położyć się obok niej. Widząc, że nadal marszczy brwi, a jej ametystowe oczy rzucają fiołkowe błyski, wyciągnął rękę, starając się chwycić jej dłoń.

Na nieszczęście Kit wybrała ten sam moment, by usiąść. W tej pozycji mogła skuteczniej atakować Jacka słowami. Dostrzegła jego ruch, podobnie jak on jej, i oboje spróbowali wykonać unik. Palce Jacka zacisnęły się wokół nadgarstka Kit. Wyprostował się, by nie dopuścić do zderzenia się głowami. Kit zaś uniosła się i szarpnęła, próbując wyswobodzić dłoń. W rezultacie stało się dokładnie to, czego oboje starali się uniknąć. Jack, pociągnięty przez Kit, potknął się o nogi łóżka i upadł tuż obok niej.

Kit krzyknęła cicho i przerażona próbowała stoczyć się z łóżka. Wielka dłoń pochwyciła ją za biodro i przyciągnęła z powrotem. Usłyszała przekleństwo, którego nie zrozumiała. Nagle przypomniała sobie, jak mocowała się ze swymi kuzynami. Zamiast przeciwstawić się uściskowi, wykorzystała go dla własnych celów.

Jedynie błyskawiczne działanie uratowało intymne części ciała Jacka przed zetknięciem z kolanem Kit. Porzucając wszelkie pozory dżentelmeńskiego zachowania, pochwycił obie ręce dziewczyny i przytrzymał za głową, a potem usiadł jej na biodrach, wciskając ją w materac.

Ku zdumieniu Jacka, Kit nadal walczyła, wiercąc się pod nim i wyrywając.

– Leż spokojnie, niemądra kokietko, albo nie ręczę za konsekwencje!

To ją powstrzymało. Szeroko otwarte oczy wpatrywały się w niego. Przód koszuli wznosił się i opadał gwałtownie. Jack nie widział przez materiał jej piersi, lecz wspomnienie tego, co zobaczył wcześniej, głęboko wryło mu się w pamięć. Pokusa, by puścić ręce Kit i położyć dłonie na rozkosznych półkulach, rosła z każdą sekundą. Dłonie paliły go z niecierpliwości i tęsknoty.

Zmusił się, by podnieść wzrok. Spojrzał w oczy Kit i ze zdumieniem dostrzegł w nich panikę. Czyżby aż tak się go bała? Zamknął oczy, by nie widzieć wyzierającego z fiołkowych głębin błagania. Odetchnął głęboko. Do

licha, co tu się dzieje? Teraz Kit nawet wygląda jak przestraszona dziewica. W miarę jak odzyskiwał panowanie nad sobą, docierał do niego bezsporny fakt, że smukła postać, którą ściskał udami, leży pod nim zesztywniała ze strachu.

Czy to możliwe, by była dziewicą? Jack-światowiec z miejsca odrzucił to przypuszczenie. Kobieta jej pochodzenia, w jej wieku, na dodatek obdarzona taką urodą – która w dodatku oświadczyła, iż jest doskonale obyta z mężczyznami – nie mogła być dziewicą. Poza tym jej zachowanie świadczyło o tym, że posiada pewne doświadczenie. Nie, to nie to. Prawda wygląda tak, że Kit z jakiegoś powodu go nie chce. Może dlatego, że on pragnie jej? Niektóre kobiety już takie są. Jack szczycił się swoją znajomością kobiet. Spędził ponad piętnaście lat, studiując tę fascynującą dziedzinę. Oczywiście czynił to w czasie wolnym od wojaczki. Jeśli dziewczyna rzeczywiście czuje do niego awersję, da się to wykorzystać. A kiedy już młody przywódca gangu przestanie być potrzebny i będzie mógł zniknąć, Jack z rozkoszą poświęci tyle czasu, ile będzie trzeba, by zmienić nastawienie Kit.

Otworzył oczy i spojrzał na nią. Kit znów spochmurniała. Uśmiechnął się krzywo. Choć aż skręcało go z pożądania, ona nie chciała widzieć go na pokładzie. Jeszcze nie.

Zmienił uchwyt tak, że teraz kciukami dotykał wnętrza jej dłoni. Powoli, z rozmysłem począł zataczać kciukami kręgi, pieszcząc delikatną skórę. Z satysfakcją przyglądał się, jak oczy Kit stają się coraz większe i bardziej okrągłe.

Kit milczała. Zabrakło jej słów. Co gorsza, wydawało się jej, że traci rozum. Ani własne doświadczenia, ani też nic, co powiedziała Amy, nie przygotowało jej na to, co się z nią teraz działo. Nie potrafiła myśleć jasno, a przecież nawet jeszcze jej nie pocałował. Dotyk jego palców posyłał drobne dreszcze wzdłuż każdego nerwu, sprawiając, że cała uwaga Kit skupiała się na dłoniach, jakby po to, aby odwrócić uwagę od sączącego się podstępnie do żył ciepła, promieniującego od miejsca, gdzie łączyły się jej uda. Podobne ciepło promieniowało z ciała Jacka w miejscu, gdzie jej dosiadał. Oszołomiona, uświadomiła sobie, że odczuwa narastającą pokusę, by unieść biodra i przycisnąć do siebie oba gorące miejsca. Oparła się jej, z całych sił starając się przełamać czary, jakie na nią rzucił.

– Puść mnie, Jack.

Jej słowa zabrzmiały miękko, kobieco, nie stanowczo, jak zamierzyła.

Jack się uśmiechnął. To, że Kit wypowiedziała jego imię, sprawiło mu nie lada przyjemność.

– Puszczę cię, jeśli mi obiecasz, że zrobisz to, o co cię poproszę.

Kit zmarszczyła brwi. Czy to groźba? Trudno jej było zebrać myśli, zwłaszcza że Jack wpatrywał się w nią tak, jakby miał ochotę ją zjeść.

Schrupać kawałek po kawałeczku.

– Co masz na myśli?

– Pozostań młodym Kitem jeszcze przez dwa miesiące. Po tym czasie zorganizujemy wszystko tak, byś mogła się wycofać.

I rozpocząć nową misję: jako moja kochanka.

Jack uśmiechnął się do jej pięknych oczu. Głowę by dał, że stają się jeszcze bardziej fiołkowe w chwili rozkoszy. Nie mógł już się doczekać, aby potwierdzić te przypuszczenia.

Kit nadal oddychała gwałtownie. Potrząsnęła głową.

– To się nie uda.

– Uda się. Postaramy się o to.

Pomysł był kuszący, bardzo kuszący. Kit starała się odzyskać panowanie nad sytuacją.

– A jeśli odmówię?

Jack uniósł brwi i znowu wykrzywił wargi w tym swoim diabelskim uśmieszku. A potem westchnął dramatycznie i przestał głaskać jej dłonie. Kit poczuła ulgę i się odprężyła. Nie na długo jednak, gdyż Jack uniósł jej dłoń do ust i pocałował czubek palca. Kit otworzyła szeroko usta, zaszokowana.

Jack dostrzegł to i o mało się nie roześmiał. Kamień spadł mu z serca. I ona miałaby na niego nie reagować? Gdyby reagowała choć trochę mocniej, chodziłaby po ścianach.

– Jeśli nie przyłączysz się do mnie w tym handlowym przedsięwzięciu, będziemy musieli zastanowić się, jakiego rodzaju… współdziałanie sprawiłoby nam przyjemność.

Kit wpatrywała się w niego z nieukrywanym przerażeniem.

Jack odwrócił jej dłoń i wycisnął na niej namiętny pocałunek. Poczuł, że jej ciało sztywnieje.

– Najpierw trzeba by się przekonać, czy twoja niechęć do mnie nie jest jedynie powierzchowna.

Zerknął bezwiednie na koszulę Kit i jego myśli podryfowały ku skarbom, jakie zakrywała. Jedynie warstwa materiału chroniła piersi dziewczyny przed jego głodnym spojrzeniem. I jego pełnymi zapału zalotami. Niemal pragnął, by Kit podtrzymała swe zastrzeżenia i nie zgodziła się dłużej udawać chłopca. I niech jej opór potrwa na tyle długo, by szczypta perswazji okazała się konieczna.

Niechęć? Jaka niechęć? – zastanawiała się Kit ospale. Leżała tutaj, przerażona faktem, że Jack mógłby spostrzec, jak wielkie wywiera na niej wrażenie, a on sądził, że to niechęć? O mało nie parsknęła histerycznym śmiechem. Z pewnością by to zrobiła, gdyby nie była aż tak przestraszona. Nie rozumiała, co się z nią dzieje. Bliskość Jacka pozbawiała ją woli, a jego dotyk tylko pogarszał sytuację. Jeszcze kilka ruchów i zacznie go zachęcać.

Pomyślała o tym, co mogłoby się stać, gdyby Jack ją pocałował, i nagle podjęła decyzję.

– W porządku.

Jack powrócił spojrzeniem do twarzy, a myślami do słów Kit. – W porządku?

Kit usłyszała w jego głosie rozczarowanie. Zrealizowałby swą groźbę z entuzjazmem, pomyślała.

– Tak, do licha, w porządku! – Naparła na jego dłonie. – Jeśli pozostali wyrażą zgodę, pozostanę młodym Kitem, lecz tylko przez miesiąc. Dopóki moi ludzie nie wtopią się w strukturę twojego gangu.

Jack westchnął z głębi serca, a potem niechętnie puścił Kit. Nim się odsunął, posłał zwycięski uśmiech prosto w jej wielkie oczy, rozświetlone fiołkowymi iskierkami.

– Nie zmienisz zdania?

Spojrzenie, którym go obdarzyła zamiast odpowiedzi, rozbawiło go. Stoczył się z Kit i położył na plecach, chwilowo zadowolony. Kapitulacja Kit nie była dla niego zbyt pochlebna, ale miał przecież miesiąc, by nad tym popracować.

Kit także leżała spokojnie, zaskoczona faktem, że choć Jack był tak blisko, wystarczyło, że jej nie dotykał, i znów mogła jasno myśleć. Przypomniała sobie wątpliwości co do gangu z Hunstanton.

– Zakładam, że słyszałeś o nowym królewskim komisarzu, lordzie Hendonie, i jego zainteresowaniu przemytem? – zapytała.

Jack z trudem ukrył zaskoczenie. Co mogła usłyszeć? Założył dłonie za głową i powiedział do sufitu: – Wszyscy wiedzą, że straż celna działa ostatnio bardzo gorliwie. Na szczęście ograniczają się do okolic Sheringham.

Kit zmarszczyła brwi. – Nie o to mi chodzi. Słyszałam, że lord Hendon został wyznaczony, by szczególnie zainteresował się właśnie przemytem.

Jack obserwował profil Kit spod opuszczonych powiek. – Kto ci o tym powiedział?

– Podsłuchałam, jak ktoś rozmawiał o tym z dziadkiem.

– Kto taki?

– Namiestnik królewski.

Jack zacisnął wargi. Wieści, które miał rozpowszechnić lord Marchmont, nie brzmiały dokładnie tak. Zresztą być może lord Marchmont przekazał wszystko jak należy, tylko Kit coś pokręciła albo źle usłyszała. Nie wyobrażał sobie, by dwaj parowie Anglii rozmawiali swobodnie o takich sprawach w obecności gosposi Spencera.

– Skoro tak, będziemy musieli bliżej przyjrzeć się działaniom jego lordowskiej mości.

Kit prychnęła z pogardą i usiadła. – Jeśli on w ogóle zdoła zmusić się do czegokolwiek, co dałoby się określić mianem działania. Zaczynam dochodzić

do przekonania, że przybył tu jedynie po to, by osiąść w tym swoim zamku i wydawać polecenia z fotela.

Jack wpatrywał się w nią zdumiony. – Dlaczego tak sądzisz?

– Nigdzie się nie pokazuje, oto dlaczego. Jest tu już od kilku miesięcy, a mało kto go widział. Wiem o tym, ponieważ Spencer wydał uroczystą kolację. Lord Hendon też został zaproszony, ale wymówił się pod pretekstem, iż wcześniejsze zobowiązania nie pozwalają mu przybyć.

Powiedziała to ze zdecydowaną niechęcią w głosie.

– I co w tym takiego?

Kit skrzywiła szyderczo wargi. – Wcześniejsze zobowiązania wobec kogo, skoro wszystkie rodziny z sąsiedztwa przebywały tego wieczoru w Cranmer?

Nie zauważyła, że Jack nie pozostaje obojętny na jej słowa. Podniosła opróżnioną szklaneczkę i bez powodzenia starała się końcem szalika zetrzeć osad z dna. Nagle zachichotała.

– Co cię tak bawi?

– Zastanawiałam się, czy nie powinnam współczuć temu biedakowi. Pomyśl, co będzie, kiedy w końcu zdecyduje się wyjść z ukrycia. Damy z sąsiedztwa tak bardzo pragną go poznać. Pani Cartwright uznała, że byłby doskonałym mężem dla jej Jane, a lady Marchmont… – Kit umilkła, przerażona tym, że omal się nie wygadała.

– I kogóż to lady Marchmont przeznaczyła dla tego biednego czorta? – zapytał Jack, w każdej chwili gotów się roześmiać. I choć rozbawienie w jego głosie stanowiło zachętę do zwierzeń, Kit odparła jedynie: – Kogoś innego. I nie zazdroszczę tej pannie.

– Och? – wykrztusił Jack, wpatrując się w Kit zafascynowany. – Dlaczegóż to?

Kit bardzo podobało się, że siedzi tak sobie u boku Jacka, nie odczuwając zagrożenia ani strachu. Była dziwnie pewna, że nie zamierzał jej skrzywdzić. Przerażało ją nieco jego przekonanie, że wcześniej czy później nie oprze się jego zalotom, bo wiedziała, że to prawda. Lecz kiedy nie starał się jej uwieść, czuła się przy nim swobodnie. Nie widziała też powodu, by nie podzielić się opinią na temat wysokiego komisarza.

– Z tego, co o nim słyszałam, Hendon wydaje się sztywniakiem o zdecydowanie zaściankowych poglądach. – Przez chwilę przyglądała się trzymanej w dłoni szklance. – Musi mieć co najmniej pięćdziesiąt lat, a do tego utyka. Lady Marchmont powiedziała, że jest hedonistą. Nie wiem, co to oznacza, ale podejrzewam, że jest nudny i staroświecki.

Brwi Jacka powędrowały na niebosiężne wyżyny. Mógłby wyjaśnić Kit, co dokładnie miała na myśli lady Marchmont, tym bardziej że dopiero co zaprezentował jej próbkę wspomnianego hedonizmu. Nie zrobił tego jednak, bowiem musiał się skupić na poskramianiu gniewu, który, nie wiedzieć czemu,

go ogarnął.

– Zakładam, że go poznałaś.

– Nie – odparła Kit, potrząsając głową. – Prawie nikt go nie widział, nie możemy więc zrewidować naszych wyobrażeń, nawet jeśli są niesprawiedliwe i niepochlebne.

Cóż, pomyślał Jack, oto argument nie do odparcia.

Nagły poryw wiatru uświadomił Kit, gdzie się znajduje. Na Boga! Siedzi sobie jak gdyby nigdy nic na łóżku kapitana Jacka i gawędzi przez pół nocy. Musiała postradać rozum! Przesunęła się na skraj łóżka.

– Muszę iść.

Długie place zacisnęły się wokół jej nadgarstka. Uścisk nie był mocny, lecz Kit zdawała sobie sprawę, że nie zdoła się uwolnić.

– Przyjmuję, że się dogadaliśmy. Twoi ludzie przyłączą się do moich i odtąd będziemy działać razem.

Kit zmarszczyła brwi. – Jeśli moi się zgodzą. Będę musiała ich zapytać. Spotkajmy się w kamieniołomach, jak zaplanowaliśmy, a wtedy powiem ci, co zostało postanowione.

Spojrzała na Jacka. Twarz miał obojętną, a z jego oczu niczego nie dało się wyczytać. Mimo to zdawała sobie sprawę, że nie spodobało mu się to, co usłyszał. Nieświadomie uniosła wyżej brodę.

Jack dostrzegł ten gest milczącego oporu i przez chwilę zastanawiał się, czy nie przyciągnąć jej do siebie i pocałunkami nie wymusić zgody. Wargi Kit – miękkie, pełne i zniewalająco kobiece – stanowiły nie lada pokusę. Wyglądały ponętnie zwłaszcza wtedy, kiedy się dąsała. Z trudem odsunął od siebie te myśli. To, co proponowała, było w porządku, ale nie ufał jej na tyle, aby spotykać się z nią w kamieniołomach. Miał niemiłe podejrzenia, iż Kit zna je lepiej niż on.

– Zgodzę się zaczekać dwie noce pod warunkiem, że przyniesiesz mi wiadomość osobiście tutaj, nie do kamieniołomów.

Kit zmusiła się, aby nie myśleć o dłoni zaciśniętej wokół jej nadgarstka ani o muskularnym ciele wyciągniętym swobodnie na łóżku. I tak aż nadto dobrze zdawała sobie sprawę, jak bardzo jest bezradna. Spojrzała w oczy Jacka i zobaczyła w nich chłód i determinację. Czy to naprawdę będzie miało znaczenie, jeśli przyjdzie tu jeszcze raz?

Może i nie, będzie za to rozkosznie niebezpiecznie, zamruczało jej drugie ja.

– Doskonale.

Jack cofnął dłoń i Kit wstała, a potem natychmiast znowu opadła na łóżko, oblawszy się rumieńcem. Materiał, krępujący jej piersi, nadal był odwinięty. Nie mogła jechać do Cranmer z pasami płótna, zwisającymi wokół talii, a pomysł, by zatrzymać się gdzieś po drodze, rozebrać i naprawić szkody, też niezbyt do niej przemawiał.

Jack niemal od razu domyślił się, dlaczego Kit się rumieni. Roześmiał się, a od jego głębokiego, cichego śmiechu Kit ciarki przebiegły po skórze. Usiadł.

– Odwróć się i pozwól, że ci pomogę. – A kiedy Kit spojrzała na niego, zgorszona i oburzona, dodał: – Przecież to ja ci je zdjąłem.

Słysząc ten kpiący, żartobliwy ton Kit zaczerwieniła się znowu, a potem niechętnie odwróciła i zaczęła nieudolnie podciągać pasy, by umieścić je na właściwym miejscu. Co innego mogła zrobić? Widział już jej nagie plecy i niemal odkrytą pierś. Poczuła, że Jack przesuwa się na łóżku, a potem unosi jej koszulę.

– Przytrzymaj materiał na właściwym miejscu.

Kit wsunęła dłonie pod koszulę i przytrzymała płótno.

– Ciaśniej – powiedziała, czując, że Jack zawiązuje pasy tylko na tyle ciasno, by utrzymały się na piersiach.

Z tyłu dobiegło ją niewyraźne mruknięcie, mimo to Jack zacieśnił węzeł.

– Jeszcze ciaśniej.

– Chryste, kobieto! To, co robisz, powinno być zakazane prawem!

Kit zastanawiała się przez chwilę, a potem zachichotała i powiedziała: – Materiał nie spowoduje trwałej szkody.

W końcu węzeł został zawiązany tak mocno, jak tego chciała, a koszula opuszczona. Kit wstała i wepchnęła ją w spodnie, a potem wsunęła ramiona w rękawy surduta i zawiązała sobie wokół twarzy szalik.

Jack, rozciągnięty wygodnie na łóżku, krytycznym wzrokiem przyglądał się przemianie. Musiał przyznać, że przebranie było dobre. Nawet wiedząc, kim naprawdę jest Kit, z trudem rozpoznawał w niej kobietę.

– Twoja klacz jest w stajni koło chaty, dotrzymuje towarzystwa mojemu ogierowi. Nie podchodź do niego zbyt blisko, bo gryzie.

Kit skinęła głową. Odnalazła wepchnięty w kąt łóżka kapelusz i wcisnęła go na lśniące loki.

– Nie powiedziałeś mi jeszcze, gdzie jesteśmy.

– Dwie mile na północ od zamku Hendon.

Kit uśmiechnęła się chłodno pod osłoną szalika. Jack musi być do niej podobny z charakteru.

– Lubisz żyć niebezpiecznie, prawda?

Jack uśmiechnął się olśniewająco.

– Cóż, lepsze to niż nuda.

Kit skinęła po królewsku głową i ruszyła swobodnym krokiem ku drzwiom.

Jack uśmiechnął się po raz kolejny. Ze swoim nieco chropawym głosem i męskimi ruchami, które przychodziły jej z taką łatwością, bez trudu da sobie radę jeszcze przez miesiąc.

Kit zatrzymała się przy drzwiach i powiedziała: – A zatem do zobaczenia pojutrze w nocy.

Jack skinął głową, zachowując kamienną twarz.

– Tylko nie próbuj zniknąć. Twoi ludzie mogliby zrobić coś szalonego. A ja i tak wiem, gdzie cię znaleźć.

Po raz pierwszy tej nocy Kit zetknęła się z tymi cechami charakteru Jacka, które uczyniły z niego przywódcę bandy przemytników. Uznała, że nie będzie dostarczać mu satysfakcji i nie okaże, jak bardzo wytrąca ją to z równowagi. Pożegnała go więc tylko zamaszystym gestem, skłoniła się i odsunęła zasuwę.

– Przyjdę – rzuciła na progu i wyszła.

W chacie Jack opadł z powrotem na poduszki i zaczął rozmyślać o pierwszej kobiecie, która opuściła jego łóżko równie nietknięta, jak do niego weszła. Chwilowe zboczenie, pomyślał, ale i nowość zarazem. Był już głęboko zatopiony w marzeniach, gdy szybki tętent za oknem uświadomił mu, że Kit odjechała. Westchnął i przymknął oczy, żałując, że jeszcze cały miesiąc Kit będzie udawała chłopca.

Rozdział 10

Następnego ranka lord Hendon, nowo mianowany królewski komisarz, wszedł do biura straży celnej w King's Lynn w towarzystwie swego wieloletniego przyjaciela i kolegi, byłego oficera, George'a Smeatona.

Doskonale wiedział, że przybrawszy elegancką pozę i ulokowawszy kończyny na najlepszym krześle, z długimi do ramion włosami, związanymi na karku czarną wstążką, wygląda w każdym calu jak dobrze sytuowany dżentelmen, który niedawno wycofał się z czynnej służby. Lewa noga pozostawała wyprostowana, a pomagała jej w tym dyskretnie umieszczona w obcisłych bryczesach szyna. Rana stanowiła pamiątkę po piekle La Coruny i nosił ją przez całe miesiące po bitwie, teraz zaś przypominała mu o tym, że powinien kuleć – w odróżnieniu od kapitana Jacka, poruszającego się sprawnie na obu nogach.

Niedbale przerzucał strony w książce raportowej biura, a szafir w jego sygnecie przyciągał światło, rozszczepiając je niczym pryzmat i rzucając wokół zimne niebieskie błyski. Uszy wypełniał mu monotonny głos sierżanta Tonkina, który tłumaczył właśnie, dlaczego odziały straży nie odnoszą sukcesów w ściganiu przemytników na obszarze pomiędzy Lynn a Hunstanton. George siedział przy oknie, w milczeniu przysłuchując się tłumaczeniom Tonkina.

– To spryciarze, milordzie. Sądzę, że dowodzi nimi jeden z najbardziej doświadczonych ludzi w tej branży.

Jack z trudem zachowywał powagę. Ciekawe, co powiedziałaby Kit, gdyby to słyszała, pomyślał. Z demonstracyjnym zainteresowaniem słuchał wywodów Tonkina, świadomy, że już na samą myśl o tej niesamowitej kobiecie jego ciało zareagowało i ze stanu leniwej apatii przeszło w stan lekkiego podniecenia. Zmusił się, by skupić uwagę na tym, co mówi Tonkin.

Sierżant, krzepki osobnik o baryłkowatej klatce piersiowej, miał pospolite rysy, tępą twarz i uszy jak kalafiory. Ponieważ jego reputacja i tak pozostawiała wiele do życzenia, Jack usunął skuteczniej działającego oficera, Osborne'a, z zasięgu operacji, pozostawiając Tonkina, by całe odium nieskutecznej walki z przemytnikami spadło właśnie na niego.

– Gdybyśmy tylko mogli dostać w swoje ręce jednego z tych drani, wyciągnąłbym z niego prawdę.

Paciorkowate oczy Tonkina zabłysły. – A potem powiesilibyśmy kilku z nich na stryczku, żeby inni się przekonali, że nie warto bawić się w kotka i myszkę ze strażą.

– Rzeczywiście, sierżancie. Wszyscy zgadzamy się, że ten gang trzeba

powstrzymać. – Jack pochylił się w przód, wpatrując się w Tonkina przenikliwym spojrzeniem. – Skoro Osborne zajęty jest w okolicy Sheringham, pan powinien się skupić na patrolowaniu plaży pomiędzy Hunstanton a Lynn. Bo chyba ten gang działa wyłącznie w tamtej okolicy?

– Tak, proszę pana. Nie widziano ich dotąd w żadnym innym miejscu. – Przygwożdżony bacznym spojrzeniem Jacka, poruszył się zakłopotany. – Wybaczy pan, że zapytam. Jeśli wyślę swoich ludzi na ten odcinek wybrzeża, kto zajmie się patrolowaniem plaż Branchester? Przysięgam, że działa tam znacznie większy gang.

Twarz Jacka wyrażała teraz wyniosłe lekceważenie.

– Jedna rzecz w jednej chwili, Tonkin. Uporajcie się najpierw z szajką działającą pomiędzy Hunstanton a Lynn, potem będziecie mogli zająć się swoim większym gangiem.

Obraźliwie cyniczny ton jego głosu podziałał na Tonkina niczym policzek. Stanął na baczność i zasalutował. – Tak, proszę pana. Coś jeszcze, proszę pana?

Odprawiwszy Tonkina, wyszli z budynku straży. Przemierzyli zalany słońcem brukowany dziedziniec, przy czym George starał się dopasować krok do utykania Jacka.

Tymczasem Jack, wymachując nonszalancko laseczką, próbował zwalczyć wyrzuty sumienia. George'owi też nie powiedział o Kit. Nie miał wątpliwości, że George odniósłby się do sprawy z dezaprobatą i domagał się, żeby Kit się wycofała pod takim czy innym pretekstem.

Jack w zasadzie się z tym zgadzał. Nie wiedział tylko, jaki to mógłby być pretekst, a jako doświadczony oficer nie zamierzał przedkładać bezpieczeństwa jednej kobiety ponad bezpieczeństwo misji. Poza tym męczyło go przeświadczenie, że powinien był lepiej poradzić sobie z Kit, że niepotrzebnie wprowadził do tej znajomości podtekst seksualny. W przyszłości spróbuje ochłodzić stosunki, sprowadzić je na czysto służbowy grunt, przynajmniej dopóki Kit będzie występowała jako przywódca przemytniczej szajki. Potem nie będzie już zaplątana w sprawy związane z jego misją, będzie więc mógł zaprzyjaźnić się z nią tak blisko, jak tylko mu na to pozwoli.

Wyobrażanie sobie tego, jak będzie się z nią zaprzyjaźniał, nie pozwoliło mu zmrużyć oka przez większą część nocy.

– Lord Hendon, prawda?

Wypowiedziane stanowczym głosem powitanie, dobiegające z odległości nie większej niż pół metra, wyrwało Jacka z zamyślenia. Podniósł wzrok. Wysoki, potężnie zbudowany mężczyzna w starszym wieku stał mu na drodze. Bujna grzywa białych włosów i oczy o bystrym spojrzeniu i zdecydowanie fiołkowej, choć nieco spłowiałej barwie powiedziały mu, że ma do czynienia ze Spencerem, lordem Cranmer, dziadkiem Kit.

Jack uśmiechnął się i wyciągnął dłoń.

– Lord Cranmer?

Jego dłoń zniknęła w uścisku olbrzymiej łapy.

– Tak – odparł Spencer, zadowolony, że został rozpoznany. – Znałem dobrze twojego ojca, chłopcze. Marchmont wspominał mi o tobie. Jeśli będziesz potrzebował pomocy, wystarczy, że o nią poprosisz.

Jack podziękował mu gładko i przedstawił swego towarzysza, dodając: – Byliśmy razem w wojsku.

Spencer uścisnął rękę George'a.

– Jest pan zaręczony z Amy Gresham, prawda? Brakowało nam pana kilka dni temu.

– Hm… tak – wykrztusił George, rzucając Jackowi udręczone spojrzenie.

Jack natychmiast pośpieszył mu na pomoc i zrobił to w sposób równie czarujący, co skuteczny.

– Bardzo żałowaliśmy, że nie mogliśmy przyjąć pańskiego zaproszenia, ale wpadli do nas przyjaciele z Londynu, przywożąc wieści o naszym dawnym regimencie.

Spencer się roześmiał.

– To nie przede mną powinniście się tłumaczyć, panowie. Kiedy przystojni dżentelmeni wykręcają się od towarzyskich obowiązków, psują szyki damom. Pozwól, że udzielę ci rady, chłopcze – dodał, a w jego oczach zabłysły wesołe iskierki. – Widzę, że jesteś bardzo podobny do ojca. Lepiej będzie, jeśli stawisz czoło burzy, nim zmieni się w prawdziwy sztorm. Udawanie nieśmiałego w kontaktach z pięknymi damami wcale ich nie zniechęci. Po prostu będą bardziej się starały. Lepiej, by przekonały się same, że nie ma co zastawiać na pana sieci. Wtedy upatrzą sobie inną ofiarę.

– Wielkie nieba! To brzmi jak polowanie! – wykrzyknął Jack, zaskoczony.

– Bo to jest polowanie, zapewniam cię – uśmiechnął się Spencer. – Jesteś teraz w Norfolk, nie w Londynie. Tu bardzo chętnie się poluje.

– Będę miał na względzie pańskie ostrzeżenie – z uśmiechem powiedział Jack, niepoprawny szelma.

Spencer też się uśmiechnął. – Lepiej tak zrób, chłopcze. Nie chcielibyśmy zobaczyć cię przykutego za nogę do jakiejś paskudnej baby, która, tak się składa, jest najdroższą kuzynką którejś z tutejszych dam, prawda?

Wygłosiwszy to ponure proroctwo, odmaszerował, śmiejąc się pod nosem.

– Stary diabeł! – westchnął ciężko Jack. – Coś mi mówi, że ma rację.

Przypomniał sobie, co powiedziała Kit, siedząc na jego łóżku. – Udawanie osoby nieprzepadającej za życiem towarzyskim to niezły pomysł, jednak będziemy musieli pojawić się na kilku balach i kolacjach.

– My będziemy musieli? – George odwrócił się do przyjaciela, otwierając szeroko oczy. – Pozwól, że ci przypomnę, iż ja miałem dość rozsądku, by się

zaręczyć, i teraz nie muszę zawracać sobie głowy podobnymi bzdurami.

– Pozwolisz, bym sam stawił czoło wrogowi? – zapytał Jack, mrużąc oczy.

– Do licha, Jack. Przeżyłeś La Corunę. Z pewnością potrafisz poradzić sobie i w tej walce?

– Ach, lecz nie widzieliśmy jeszcze wroga, prawda? – A widząc, że George nie zrozumiał, wyjaśnił: – Paskudnej kuzynki lady Jakiejśtam. Pomyśl tylko, jak będę się czuł, gdy wpadnę w pułapkę na myszy i to wyłącznie dlatego, że nie osłaniałeś mi pleców.

George cofnął się, by spojrzeć na elegancką postać lorda Hendona, trzydziestopięciolatka, mężczyzny o szerokim i, w opinii George'a, niezrównanym doświadczeniu w kontaktach z płcią przeciwną, konsekwentnego zwycięzcę w amfiteatrze sal balowych i sypialń, prawdziwego, uznanego szelmę i rozpustnika pierwszej wody.

– Jack, moim skromnym zdaniem, damy z okolicy nie mają w walce z tobą cienia szansy.

*** * ***

Polanki przed chatą nie oświetlał nawet księżyc. Kit zatrzymała Delię pod rosnącym naprzeciw wejścia drzewem i przyjrzała się domkowi. Przez szparę w jednej z okiennic sączyło się światło. Była północ. Wszędzie panował spokój. Kit poluzowała wodze i skierowała Delię ku stajni.

U wejścia zsiadła i przełożyła lejce. Klacz rzuciła ostro łbem.

– Pozwól, że ja to zrobię.

Kit odskoczyła, zakląwszy cicho. Poczuła, że na jej dłoni zamyka się inna, większa, zdecydowanie odbierając jej wodze. Jack był jedynie cieniem u jej boku. Zdenerwowana jego niespodziewanym pojawieniem się i dotykiem, czekała w ciszy, aż Jack uwiąże klacz w boksie.

Ciekawe, gdzie są pozostali, zastanawiała się, wysilając wzrok, by dostrzec coś w ciemności.

– Poza nami nie ma tu nikogo – powiedział Jack, podchodząc. – Wejdź.

Kit musiała nieźle wyciągać nogi, by za nim nadążyć. Podszedł do drzwi i wszedł do chaty przed nią, kierując się prosto do stołu. Odsunął krzesło i usiadł z dala od niej. Kit zirytowało to bezceremonialne potraktowanie, nie odezwała się jednak. Zamknęła ostrożnie drzwi, po czym odwróciła się, przyjrzała Jackowi uważnie, a potem nieśpiesznie podeszła do stołu i stojącego naprzeciw Jacka krzesła.

Jack znów zmarszczył brwi, lecz tym razem Kit nie pomyślała nawet o tym, by skłonić go do zmiany nastroju. Zdjęła kapelusz, odwinęła z twarzy szal, a potem usiadła.

– I co postanowiliście? – zapytał Jack, gdy tylko jej pośladki dotknęły krzesła. Przygotowywał się do tego spotkania przez całą dobę. Teraz wiedział,

że był to czas stracony. Gdy tylko Kit pojawiła się na horyzoncie, jedyne, o czym mógł myśleć, to jak zaciągnąć ją do łóżka. I co z nią zrobić. Dlatego planował jak najszybciej zakończyć spotkanie i odesłać dziewczynę z powrotem.

Sadząc z wyrazu twarzy, ponury nastrój Jacka nie spotkał się z jej aprobatą. Cóż, on też miał do niej zastrzeżenia. Była przyczyną jego obecnych kłopotów. Nie dość, że tak działała na jego zmysły, to przez nią musiał jeszcze zmagać się z poczuciem winy. Dręczyło go, że z rozmysłem pomaga jej w mistyfikacji. Ani słowem nie wspomniał George'owi ani Matthew, kim naprawdę jest Kit. W dodatku Spencer, którego do tej pory traktował jak mglistą postać, jaką nietrudno usunąć z pamięci, teraz stał się dla niego człowiekiem z krwi i kości, który prawdopodobnie bardzo kocha swą nieobliczalną wnuczkę, nawet jeśli pochodzi ona z nieprawego łoża. Oczywiście, jemu też nie mógł się zwierzyć. Bo i co miałby mu powiedzieć? „I jeszcze słówko, staruszku: twoja nieprawa wnuczka udaje przemytnika"?

Zmusił się, by oderwać wzrok od połyskujących w świetle lampy loków Kit i zamiast tego zapatrzył się w jej fiołkowe oczy, podobne, choć zupełnie inne niż oczy Spencera.

Kit nie odpowiedziała, tylko z denerwującą opieszałością zdjęła rękawiczki do konnej jazdy, a potem spojrzała mu w oczy.

– Moi ludzie się zgodzili.

Spotkała się z nimi wcześniej tego wieczoru.

– Przyłączymy się do was od razu, pod warunkiem że będziecie informowali nas, jakiego rodzaju ładunek zamierzacie przejąć.

To ona postawiła ten warunek. Jej rybacy byli aż nazbyt zadowoleni, że mogą przyłączyć się do większej szajki.

Jack przestał marszczyć brwi i jego twarz przybrała wyraz obojętności. Do licha, a po cóż ona chce to wiedzieć? – zastanawiał się gorączkowo, lecz żaden powód nie przychodził mu do głowy.

– Nie – odpowiedział krótko, ciekaw, jak zareaguje.

– Nie? – powtórzyła. A potem wzruszyła ramionami. – W porządku. Ale sądziłam, że ci zależy, żebyśmy się do was przyłączyli.

Zaczęła na powrót wciągać rękawiczki.

Jack przestał udawać niewzruszonego.

– To, czego żądasz, nie jest możliwe. Jak mam dowodzić grupą, jeśli będę musiał za każdym razem dogadywać się z tobą, nim zgodzę się przyjąć ładunek? Przywódca może być tylko jeden, a na wypadek gdybyś zapomniała, to ja nim jestem.

Kit wsparła brodę na łokciu, nie spuszczając wzroku z twarzy Jacka. Była to mocna twarz, o wyraźnie zaznaczonej linii brwi i wysokich kościach policzkowych.

– Powinieneś zrozumieć, że czuję się odpowiedzialna za moich ludzi. Skąd będę wiedziała, czy nie działasz na ich szkodę, jeśli nie będę miała pojęcia, jakie ładunki przyjmujesz, a jakie odrzucasz?

Rozdrażnienie Jacka rosło z każdą chwilą. Kit posłużyła się jedynym argumentem, którego nie mógł odparować. Gdyby była mężczyzną, pochwaliłby ją za to nastawienie. Było właściwe u przywódcy, nawet tak małej grupy. Ale Kit nie jest mężczyzną, o czym pamiętał aż za dobrze.

Kit tymczasem mówiła dalej, ujawniając nie lada spryt i przebiegłość. – Rozumiem, że trzymanie agenta w niepewności, dopóki nie zdołasz się ze mną porozumieć, mogłoby sprawiać trudności. Lecz gdybym była przy tobie, kiedy będziesz wszystko z nim uzgadniał, uniknęlibyśmy straty czasu.

Jack potrząsnął głową. – Nie. To zbyt niebezpieczne. Mogłaś zwieść na wpół cywilizowanych rybaków, lecz ci, z którymi muszę się kontaktować, to ludzie zupełnie innego pokroju. Aż nadto chętnie sprawdziliby, co kryje się pod twoim przebraniem, a wtedy Bóg jeden wie, co mogłoby się wydarzyć.

Kit przyjęła tę ocenę sytuacji spokojnie, przesuwając rękawiczki między palcami. – Lecz dogadujesz się głównie z Nolanem, prawda? – zapytała.

Jack przytaknął. Nolan stanowił główne źródło informacji, choć w okolicy byli jeszcze trzej inni agenci.

– Spotkałam się już z Nolanem i nic się nie stało, więc z jego strony chyba nie grozi mi niebezpieczeństwo. Uzna mnie za młodego Kita, jak poprzednio. A jeśli zobaczy nas razem, będzie przekonany, że połączyliśmy siły, więc nie będzie próbował skontaktować się z moimi ludźmi za twoimi plecami. Przecież dlatego pragnąłeś być jedyny na tym wybrzeżu, czyż nie?

Jack nie odezwał się. Nie wiedział, co powiedzieć. Logika Kit była nieubłagana. Do diabła z nią!

Kit się uśmiechnęła. – A więc gdzie i kiedy odbędzie się spotkanie?

Jack spochmurniał. Został zapędzony do narożnika, w którym wcale nie miał ochoty się znaleźć. Miejsce spotkań zostało tak wybrane, by było w nim jak najmniej światła. Zmniejszało to ryzyko, że Nolan lub jego kompani mogliby rozpoznać Jacka, George’a czy Matthew. On ryzykował najbardziej – już dawno przekonał się, że nie można skutecznie zamaskować pasemek w jego włosach – znaleźli więc miejsce spotkań, gdzie światło zawsze było przyćmione, i nigdy nie zdejmowali naciągniętych głęboko na czoło kapeluszy. Jednak wyprawa z Kit do tawerny, gdzie zbierały się okoliczne rzezimieszki i złodzieje, była po prostu nie do pomyślenia.

– To nie wchodzi w grę.

Jack wyprostował się i oparł łokcie na stole, by skuteczniej uświadomić Kit, jakie to szaleństwo.

– Dlaczego? – Kit wpatrywała się w niego z determinacją.

– Ponieważ byłoby kompletnym szaleństwem zabrać kobietę, choćby nie

wiem jak dobrze przebraną, do złodziejskiej meliny – burknął Jack, niemal tracąc cierpliwość.

– Rzeczywiście – zgodziła się z nim Kit. – Dlatego nikt nie będzie podejrzewał, że młody Kit może być dziewczyną.

– Chryste! – zawołał Jack, przeczesując palcami włosy. – Nie dałbym złamanego grosza za to, że Kit będzie w tym miejscu bezpieczny, wszystko jedno, czy zostanie uznany za mężczyznę, czy za kobietę.

Kit wpatrywała się w niego przez dobrą minutę, a jej twarz wyrażała kompletny brak zrozumienia. Wreszcie zaczerwieniła się leciutko. Zdecydowana nie spuścić głowy, zaczęła z pozornym zamyśleniem przyglądać się butelce brandy.

– Ale ty też tam będziesz. Nie ma żadnego powodu, by któryś z nich…

– …czynił ci propozycje? – dokończył Jack, starając się, by zabrzmiało to jak najbardziej rzeczowo. Jeśli istnieje jakakolwiek możliwość, że uda mu się wystraszyć Kit, musi ją wykorzystać.

– Pozwól, że ci powiem, iż nawet ja nie chadzam do takich miejsc w pojedynkę. Zawsze towarzyszą mi George i Matthew.

Kit się ożywiła. – Tym lepiej. Będzie nas czworo, a zważywszy, że wszyscy jesteście potężnie zbudowani, niebezpieczeństwo nie powinno być zbyt duże.

Uniosła brew, spoglądając na Jacka i czekając, co powie.

Tak spokojnie oczekiwała na kolejny argument Jacka, gotowa natychmiast go odparować, i absolutnie przekonana, że się jej to uda, że Jack musiał się uśmiechnąć. Do licha! Przy tej diabelnej pewności siebie mogło jej się udać, oczywiście, gdyby odebrało mu rozum na tyle, by zgodził się ją zabrać. Tawerna Pod Kosem z pewnością nie przypadłaby jej do gustu; może nawet po pierwszej wyprawie z ulgą przystałaby na to, by Jack sam spotykał się z agentami.

Kit bez trudu się domyśliła, co Jackowi chodzi po głowie. Uśmiechnęła się, a on natychmiast spochmurniał.

A niech to wszyscy diabli! Chyba zwariował. Z trudem zwalczył pokusę, by jęknąć i ukryć twarz w dłoniach. Wysiłek, jaki musiał włożyć, by zapanować nad pobudzonymi zmysłami i zignorować żar w lędźwiach, osłabiał jego wolę. Gdyby Kit była zła, przestraszona czy podekscytowana, jakoś by sobie poradził. Tymczasem ona była spokojna i opanowana, doskonale przygotowana, by siedzieć tu, uśmiechać się do niego i prezentować logiczne argumenty, dopóki Jack nie skapituluje. Mógłby co prawda bez trudu wprawić ją w zmieszanie, lecz tylko przy użyciu środków, które zwróciłyby się przeciw jego opanowaniu.

– W porządku – powiedział przez zaciśnięte zęby, a jego twarz przybrała wyraz niewzruszonej stanowczości. – Możesz pójść z nami w nocy ze środy na czwartek pod warunkiem, że będziesz zachowywała się dokładnie tak, jak ci

powiem. Tylko ja znam twój mały sekret i proponuję, by tak zostało.

Kit skinęła głową, zadowolona, że udało jej się osiągnąć cel. Była zdecydowana zachowywać się dokładnie tak, jak sobie tego zażyczy Jack, byle tylko mogła dowiadywać się z pierwszej ręki, jaki ładunek będzie im oferowany. Jeśli pojawi się jakiś „ludzki towar", będzie miała dość czasu, by podnieść alarm, nie narażając swoich ludzi, a jeśli to możliwe, także ludzi Jacka.

Usatysfakcjonowana sięgnęła po kapelusz. – Gdzie się spotkamy?

Jack, który właśnie rozmyślał o tym, jakież to liczne niebezpieczeństwa mogą czyhać na Kit w tawernie Pod Kosem, obrzucił ją zdecydowanie niechętnym spojrzeniem.

– Tutaj. O jedenastej.

Kit uśmiechnęła się, a potem ukryła twarz pod szalikiem. Była dobrej myśli i żałowała, że nie ma dość odwagi, by spróbować wyrwać Jacka z ponurego nastroju. Jednak instynkt samozachowawczy, którego widać nie do końca się wyzbyła, podpowiadał jej, by dała sobie z tym spokój.

Jack wyciągnął się niedbale na krześle. Spotkanie nie przebiegło tak, jak sobie zaplanował, ale przynajmniej Kit wreszcie wychodziła. Przyglądał się, jak poprawia męskie przebranie, i postanowił, że nie pójdzie z nią do stajni. Jeśli tak bardzo chce udawać chłopaka, niech sama osiodła przeklętą klacz. Odpowiedział czymś w rodzaju prychnięcia na nonszalanckie skinienie głową, jakim go pożegnała. Nie zrobiło to na niej wrażenia. Zdawała się nieczuła na jego zły nastrój. Nic dziwnego, w końcu udało się jej postawić na swoim. Drzwi zamknęły się za nią i został sam.

Przeciągnął się, lecz nie odprężył, dopóki stukot kopyt nie ucichł w oddali. Wolał nie myśleć o tym, co może się wydarzyć w środę. Lista potencjalnych nieszczęść była zbyt długa. Wszystko zaś sprowadzało się do jednego: będzie musiał nad nią czuwać tak, by nikt się tego nie domyślił. Jęknął głucho zadowolony, że wreszcie może sobie na to pozwolić.

Rozdział 11

Pierwsza wizyta Kit w mrocznym świecie tawerny Pod Kosem przebiegała w tak denerwujący sposób, jak Jack się spodziewał. Siedziała obok niego przy stole z nieheblowanych desek, z nosem wetkniętym w kufel piwa, widział więc jedynie czubek jej głowy, osłoniętej głęboko naciągniętym kapeluszem. Miał nadzieję, że nie pije tego, co znajdowało się w kuflu; piwo domowej roboty było bardzo mocne, a nie mógł wiedzieć, czy Kit jest tego świadoma. Fakt, że niewiele o niej wiedział, czynił rolę protektora jeszcze trudniejszą. A młody Kit z pewnością potrzebował protektora, nawet jeśli ta przeklęta baba nie zdawała sobie z tego sprawy!

Zachowywała się tak, jakby nie zauważyła, ile zamieszania spowodowało jej pojawienie się u boku Jacka. Smukła postać, odziana w surową czerń, przyciągała spojrzenia bywalców, którzy otwarcie szacowali ją wzrokiem. Na szczęście powstrzymano się od wykonywania obscenicznych gestów. Jack i George ruszyli prosto do stołu, który zwykle zajmowali, prowadząc za sobą Kit. Gdy byli na miejscu, Jack wcisnął Kit pomiędzy ścianę a siebie. Zainteresowanie zbieraniny wyrzutków, która schroniła się tej deszczowej czerwcowej nocy w brudnych murach tawerny, rosło z każdą chwilą, a jego ośrodkiem była Kit.

– U licha, gdzie podziewa się Nolan? – burknął George. Siedząc naprzeciw Kit, niespokojnie rozglądał się po sali.

Jack się skrzywił. – Wkrótce tu będzie.

Powiedział zarówno George'owi, jak i Matthew o tym, jakie jest pochodzenie Kita, ale zataił jego płeć. Kit była na tyle podobna do reszty swojej rodziny, że i tak nie dałoby się tego ukryć – teraz uznali ją za nieprawego syna Christophera Cranmera, który wychowywał się w Hall pod opieką dziadka. Co zaś się tyczy życzenia szczeniaka, który zażądał, by dopuszczono go do negocjacji, skłonności opiekuńcze George'a wobec młodzieży okazały się tu nieoczekiwanie pomocne.

Zgodził się, że Kit powinien im towarzyszyć.

– Jeśli po wizycie w tym miejscu chłopak straci chęć do zabawy w przemytnika, tym lepiej – powiedział. – Przynajmniej w naszym towarzystwie zobaczy trochę innego życia i zyska doświadczenie, zdobyte w sposób bezpieczniejszy, niż gdyby miał starać się o nie sam.

Jack nie brał dotąd pod uwagę tego aspektu sprawy – i nie był wcale pewny, czy zgadza się z George'em. Jego towarzysz nie przewidział najwidoczniej, jakie zainteresowanie wzbudzi Kit w takim miejscu jak tawerna Pod Kosem. Teraz zarówno on, jak Matthew byli zdenerwowani i niespokojni nie mniej niż

Jack. Jedynym członkiem ich kompanii, który wydawał się absolutnie obojętny wobec panującego w pomieszczeniu napięcia, był ten, który stał się jego przyczyną.

Jack zerknął raz jeszcze na Kit. Uniosła nieco głowę, lecz nadal wpatrywała się w kufel. Dla każdego, kto mógłby się jej przyglądać, stanowiła przykład beztroskiej niewinności. Bawiła się leniwie kuflem, na pozór nieświadoma, jak ciężka stała się atmosfera wokół niej. Nagle Jack zauważył, że Kit zaciska palce na kuflu. Uśmiechnął się pod nosem. Więc nie jest tak zupełnie nieświadoma. Jeśli dopisze mu szczęście, dziewczyna śmiertelnie się wystraszy.

Kit tymczasem doskonale wyczuwała skupione na niej zainteresowanie mężczyzn. Powód owego zainteresowania wydawał jej się w najwyższym stopniu obrzydliwy, nie mogła jednak powiedzieć, że nie została ostrzeżona. Domyślała się też, iż Jack liczy na to, że będzie tak zdegustowana, że zaniecha pomysłu, aby w przyszłości odbywać z nimi podobne wyprawy. Jednak dopóki mężczyźni w tawernie tylko gapili się na nią, nie widziała powodu, by się obawiać. Nieraz już jej się przyglądano, i to zdecydowanie bardziej otwarcie – zwłaszcza kiedy mieszkała u ciotek w Londynie. Zresztą Jack znajdował się tuż przy niej. Od jego potężnego ciała wprost biło ciepło i bezpieczeństwo oraz siła podporządkowana żelaznej woli.

Zamieszanie przy drzwiach powiedziało im, że przybył ktoś nowy. Jack spojrzał ponad ramieniem Matthew. – To Nolan.

Agent podszedł do baru i zamówił piwo, a potem rozejrzał się po izbie i podszedł do ich stołu. Przyciągnął sobie nieheblowany stołek i przysiadł po lewej stronie Jacka. Wlepił wzrok w Kit, która podniosła głowę i odpowiedziała śmiałym spojrzeniem.

Nolan zmrużył oczy.

– Wy razem? – zapytał Jacka.

– Połączyliśmy siły. Dla wspólnych korzyści.

Jack uśmiechnął się, a Kit pomyślała: jak to dobrze, że nie uśmiecha się w ten sposób do mnie! Na myśl o tym przeszył ją dreszcz, lecz postarała się ukryć to wrażenie.

– I co to niby ma znaczyć? – zapytał Nolan, zdecydowanie niezadowolony.

– Znaczy to, drogi przyjacielu, że jeśli chcesz rozprowadzać w północnym Norfolk towary, będziesz musiał rozmawiać ze mną i tylko ze mną.

W głębokim głosie Jacka nie wyczuwało się żadnych emocji, najwyżej lekką nutę złośliwości.

Nolan wbił wzrok w Jacka, a potem spojrzał na Kit. – To prawda?

– Tak – odparła Kit i na tym poprzestała.

Nolan prychnął i zwrócił się znowu do Jacka: – Cóż, przynajmniej nie będę musiał wykłócać się z nowicjuszami, którzy potrafią obedrzeć człowieka ze

skóry.

Odwrócił się, by przyjąć kufel z rąk dobrze wyposażonej przez naturę dziewki służebnej, nie zauważył więc pełnego niedowierzania spojrzenia, jakim Jack obrzucił Kit. Zignorowała je i odwróciła wzrok tylko po to, by spostrzec, że kelnerka nie odrywa od niej wzroku. Czym prędzej spuściła głowę i zaczęła znowu wpatrywać się w kufel.

Kiedy już Jack i Nolan pogrążyli się na dobre w rozmowie o interesach, Kit podniosła wzrok. Kelnerka powróciła za bar, lecz nadal nie odrywała od Kit spojrzenia, przyglądając się jej z oczywistą zachętą. Kit zaklęła bezgłośnie.

– Dwadzieścia baryłek najlepszej brandy i dziesięć porto, jeśli tylko zdołasz zabrać je ze statku.

Nolan zamilkł, by pociągnąć ze swego kufla. Jak też on może to pić, zastanawiała się Kit. Piwo smakowało paskudnie.

– Damy radę. Te same warunki co zwykle?

– Tak.

Nolan zerknął czujnie na Jacka, jakby nie mógł uwierzyć, że ten nie podnosi ceny. – Kiedy chcielibyście się tym zająć?

Jack zastanawiał się przez chwilę, a potem powiedział: – Jutro. Księżyc będzie jeszcze w nowiu, ale światła wystarczy, by cokolwiek zobaczyć. Zapłata w ten sam sposób?

Nolan skinął głową.

– Gotówka przy odbiorze. Statek nazywa się „Mollie Ann”. Zacumuje za cyplem Brancaster jutro po zmroku.

– Dobrze. – Jack odsunął kufel i wstał. – Pora na nas.

Nolan skinął głową i zajął się popijaniem piwa.

Gdy wysunęli się zza stołu, Kit znalazła się przed Jackiem. Przodem szedł Matthew, a George zamykał pochód. Wyszli tak szybko i niespodziewanie, że nikt w tawernie nawet nie zdążył mrugnąć okiem. Na zewnątrz przystanęli, a Matthew poszedł przyprowadzić konie. Choć było ciemno, Kit dostrzegła porozumiewawcze spojrzenia, jakie wymienili między sobą Jack i George. Potem wsiedli wszyscy na konie i ruszyli przez pola, kierując się ku chacie.

Kiedy już się tam znaleźli, Jack nalał brandy, uniósłszy pytająco brwi pod adresem Kit. Potrząsnęła głową. Kilka łyków piwa, które wypiła w tawernie, wystarczyło aż nadto. Jack omawiał plany szajki tonem osoby przyzwyczajonej do posłuchu. Kit zaczęła się zastanawiać, kim też mógł być w przeszłości. Żołnierzem, to jasne, lecz umiejętność wydawania rozkazów wskazywała, że nie szeregowym. Uśmiechnęła się do tej myśli.

– Ile łodzi mogą zorganizować twoi ludzie?

Pytanie Jacka przywołało ją do rzeczywistości.

– Zakładając, że w każdej będzie dwóch wioślarzy? – spytała. Gdy przytaknął, odparła: – Cztery. Chcesz wszystkie?

– Byłoby ich dwa razy więcej niż nas – zauważył George.

– Tak, i dwa razy szybciej załadowalibyśmy baryłki.

Jack spojrzał na Kit. – Weźmiemy wszystkie cztery. Niech czekają na zachód od cypla. Jest tam zatoczka, o której mało kto wie, doskonała do naszych celów.

Zwrócił się do Matthew i George'a i omawiał z nimi, jak rozstawić resztę ludzi. Kit przysłuchiwała się temu niezbyt uważnie i podniosła wzrok dopiero wtedy, gdy George wyszedł.

Wkrótce Matthew też zaczął się zbierać.

– Dobranoc, chłopcze.

Kit odwzajemniła pozdrowienie skinieniem głowy oraz uśmiechem, który skrył szalik. Gdy tylko drzwi zamknęły się za wychodzącym, pośpiesznie odsunęła z twarzy materiał.

– Ufff! Mam nadzieję, że noce nie staną się zbyt ciepłe.

Jack odstawił butelkę na kredens i spojrzał na Kit. Za miesiąc, na długo zanim nastaną ciepłe sierpniowe noce, szalik nie będzie jej potrzebny. Za miesiąc nie będzie już udawała przemytnika. Za miesiąc będzie jego kochanką. Na myśl o tym natychmiast spochmurniał. On jednak nie przestanie udawać, gdyż nie może jej powiedzieć, kim jest, dopóki nie zakończy się jego misja. Westchnął bezgłośnie i wrócił do teraźniejszości.

– Jak rozumiem, nie byłaś zbudowana tym, co zastałaś w tawernie? Podobało ci się zebrane tam towarzystwo? – zapytał.

Kit wyciągnęła się swobodniej na krześle. – Z pewnością mogłabym się bez niego obejść – przyznała. – Lecz wszystko poszło gładko. Następnym razem mnie poznają i nie będę już dla nich taką atrakcją.

Pełen irytacji wzrok Jacka jasno wyrażał, co czuje. – Następnym razem… – burknął, przyciągając krzesło do stołu po przeciwnej stronie Kit i siadając na nim okrakiem. – Wyszłaś stamtąd cało jedynie dlatego, że byliśmy z tobą, a raczej trudno jest nas nie zauważyć. Mam nadzieję, że jesteś tego świadoma.

Kit otwarła szeroko oczy. – Do głowy by mi nie przyszło iść tam samej.

– Chryste, tylko tego brakowało! – Jack przeczesał palcami włosy. Złote pasemka zabłysły w świetle lampy. – To był wariacki pomysł. Nie powinienem w ogóle się zgodzić. Lecz pozwól, że wyjaśnię ci przynajmniej jedno. Gdybyś popełniła najmniejszy choćby błąd, zrobiła cokolwiek, po czym te oprychy uznałyby… – Zamilkł, szukając słów, którymi mógłby się posłużyć. Jedno spojrzenie na szczerą twarz Kit, jej oczy wyraźnie widoczne, gdy zdjęła szal i kapelusz, powiedziało mu, że nie była całkowicie obeznana z tym, co mogło wydarzyć się w takiej spelunce. – Uznałyby – mówił dalej, zdecydowany uświadomić jej, na jakie niebezpieczeństwo się naraża – że należy ci się nauczka, mielibyśmy burdę na zawołanie. I co byś wtedy zrobiła?

Kit zmarszczyła brwi.

– Schowałabym się za stołem – powiedziała w końcu. – Nie jestem zbyt dobra w walce na pięści.

Odpowiedź rozbawiła Jacka. Na samą myśl o tym, jak zaciska w pięści delikatne dłonie, którymi i tak nie byłaby w stanie wyrządzić nikomu krzywdy, po prostu musiał się uśmiechnąć.

Kit odpowiedziała słodkim uśmiechem. Na ten widok wszelki ślad wesołości znikł z twarzy Jacka, zastąpiony grymasem, który zaczęła już uważać za jego zwykły wyraz twarzy. A niech go! Potrafi się uśmiechać, wiedziała, że potrafi. Czarująco.

No, dalej, spraw, by się uśmiechnął.

Bądź cicho, powiedziała Kit do tego diabła, który w niej siedział. Nie mogę sobie pozwolić, by się z nim szamotać. Jeśli mnie dotknie, przestanę myśleć, i co wtedy?

Jeśli będziesz miała szczęście, położy cię na plecy – padła niewzruszona odpowiedź.

Chcę tylko, by się uśmiechnął, pomyślała Kit, wstrzymując się, by także nie zrobić pochmurnej miny.

– Zbyt się przejmujesz – zauważyła. – Wszystko się ułoży, przecież to tylko na miesiąc.

Jack przyglądał się, jak wciska na głowę kapelusz i owija luźno twarz szalikiem. Zdawał sobie sprawę, że powinien zakończyć tę maskaradę, a przynajmniej zakazać jej bywania w miejscach, które zdecydowanie się do tego nie nadawały. Problem polegał na tym, że nie miał pojęcia, jak to przeprowadzić. Przekonywał ją, a ona zbijała jego argumenty, uśmiechając się tak, że tracił zdolność rozsądnego myślenia i odczuwał już tylko palącą tęsknotę. Nie pracował dotąd z kobietą; na gruncie towarzyskim niewiasty nie stanowiły problemu, lecz zawodowo – najwidoczniej nie potrafił sobie z nimi radzić.

Kit wstała i skrzypienie przesuwanego po podłodze krzesła sprawiło, że znów na nią spojrzał.

– A zatem do jutra.

Kit uśmiechnęła się, na co Jack zareagował zwykłym grymasem. Poczuła przypływ irytacji. Ruszyła powoli ku drzwiom, z rozmysłem kołysząc biodrami. Przy drzwiach zatrzymała się, uniosła rękę i żartobliwie zasalutowała. Twarz Jacka miała teraz zdecydowanie ponury wyraz. Kit błysnęła w uśmiechu białymi zębami.

– Dobranoc, Jack.

Zamknęła za sobą drzwi i usłyszała coś, jakby odległy pomruk… Ciekawe, czy był to odgłos uderzających o brzeg fal, czy też źródło tego dźwięku leżało zdecydowanie bliżej, pomyślała.

* * *

Następna wyprawa po towar dała Kit przedsmak tego, co przygotował dla niej Jack. Wszystko szło doskonale. Stała na górze klifu, na wschód od zatoczki, w której przeładowywano towar, pilnując, czy nie zbliżają się straże. Protestowała. Przekonywała, że od zachodu i tak nic im nie grozi, lecz Jack tym razem był nieugięty i w pełni wykorzystał swoją przewagę. Rozkazał jej pozostać na cyplu. Z miejsca, gdzie stała, roztaczał się doskonały widok na plażę. Jej ludzie też tam byli. Przejmowali ładunek ze statku, a potem razem z załogami łodzi opuszczali otwarte wody i wracali do domu. Przemytnicy, którzy zajmowali się ładunkiem na plaży, umieszczali towary na grzbiecie kuców i kawalkada kierowała się do wnętrza lądu. Tym razem Jack postanowił ukryć ładunek w ruinach starego kościoła.

Ruin, zarośniętych w całości bluszczem, nie sposób było znaleźć, chyba że wiedziało się, iż tam się znajdują. Stara krypta, ciemna i sucha, stanowiła doskonałą kryjówkę.

– Do kogo należy ta ziemia? – spytała Kit, zwracając się do Jacka, który dosiadał swego ogiera tuż obok niej. Cofnęli się pod drzewa, by czuwać nad bezpieczeństwem przemytników rozładowujących baryłki i wtaczających je po stopniach starej krypty.

– Kiedyś należała do Smeatonów.

Ton Jacka sugerował, że już tak nie jest.

– A teraz? – dopytywała się Kit.

Domyśliła się odpowiedzi, zanim Jack jej udzielił.

– Teraz należy do lorda Hendona.

– Czy stawiasz sobie za punkt honoru, by działać tuż pod nosem królewskiego komisarza?

Delia odsunęła się, unikając kontaktu z głową ogiera. Kit zaklęła i mocniej ściągnęła wodze.

– Powiedz swojemu koniowi, by zachowywał się przyzwoicie.

Jack posłusznie schylił się i pociągnął siwka za uszy. – Słyszałeś, staruszku? – zapytał głośnym szeptem. – Twoje zaloty nie są teraz mile widziane. Ale nie przejmuj się. Kobiety to przewrotne stworzenia. Wierz mi, znam się na tym.

Kit zignorowała zaczepkę, świadoma, że gdzieś w jego słowach kryje się pułapka. Podczas krótkiej wymiany zdań zeszłej nocy przekonała się, że Jack potrafi być uszczypliwy; doszła do wniosku, że ma to coś wspólnego z jego usposobieniem.

– Miałeś mi powiedzieć, dlaczego upierasz się działać akurat na ziemiach lorda Hendona.

Jack uśmiechnął się w ciemności. Początkowo nie zamierzał zaspokajać jej ciekawości, lecz Kit potrafiła być uparta. A także uciążliwa. Była niczym

swędzące miejsce, którego nie można podrapać. Lecz wkrótce, obiecywał sobie, już wkrótce da jej to, na co zasłużyła. Widok jej rozkołysanej pupy, gdy szła do drzwi chaty poprzedniej nocy, niełatwo dawał się wyrzucić z pamięci.

– Czasami najbezpieczniej jest ukryć się jak najbliżej tego, kto cię ściga.

Kit przez chwilę rozważała jego słowa. – Bo wtedy ten ktoś łatwo może cię przeoczyć, szukając nieco dalej?

Jack skinął głową. Mężczyźni wyszli z krypty. Ostatnie baryłki zostały zabezpieczone. Jack ścisnął piętami boki konia.

Nie minęło wiele czasu, a gang się rozproszył. Kuce odprowadzono, a mężczyźni rozeszli się na piechotę. Wkrótce zostali już tylko Kit, Matthew, George i Jack. Odczekali kilka minut, by upewnić się, że ich ludzie są już bezpieczni. Potem George skinął na Jacka. – Do zobaczenia jutro.

Zniknął między drzewami. Na znak dany przez Jacka Matthew także odjechał. Miał zaczekać na swego towarzysza tuż za polanką.

Kit podniosła wzrok. Pora i jej ruszać w drogę. Uśmiechnęła się, nie zdając sobie sprawy, że wygląda na bardzo zmęczoną. – Moi ludzie i ja stawimy się na spotkanie w poniedziałek. Tak się umawialiśmy, prawda?

Jack skinął głową, żałując, że nie może odprowadzić jej do domu. Przedtem myśl o tym, że Kit jeździ samotnie po nocy, jakoś nie zakłócała mu spokoju. Nigdy nie obserwował, jak odjeżdża spod chaty. Dzisiaj wypuszczenie jej w noc, samej i zmęczonej, wydało mu się przejawem gruboskórności. Przez chwilę rozważał, czy nie nalegać, by pozwoliła mu się odprowadzić, jednak porzucił ten pomysł. Będzie się z nim kłóciła, protestowała i prawdopodobnie postawi na swoim. Poza tym wolał, by nie orientowała się, jak bardzo jest nią zainteresowany. Ignorowanie jej, gdy sądziła, że jest mu obojętna, przychodziło Jackowi z wystarczającym trudem. Ignorowanie jej w sytuacji, kiedy Kit zorientuje się, że połknął haczyk, byłoby po prostu niemożliwe, zważywszy, jak zachowywała się poprzedniego dnia. Jak każda inna kobieta nie byłaby w stanie zostawić go w spokoju, domagając się względów, których nie zamierzał jej na razie okazywać.

Kit, na wpół śpiąca i rozmarzona, uświadomiła sobie nagle, że wpatruje się w blady owal twarzy Jacka. Otrząsnęła się, wracając do rzeczywistości.

– Pojadę już. Dobranoc.

Jack ugryzł się w język. Siedząc sztywno w siodle, przyglądał się, jak Kit opuszcza polankę i kieruje się na południe. Od domu dzieliło ją dobre sześć mil jazdy w ciemności.

Zaklął cicho pod nosem, zawrócił Championa, pojechał na wschód i odnalazł Matthew. Bez słowa ruszyli poprzez uśpione pola i łąki. Przejechali już blisko milę, gdy Jack nagle ściągnął wodze. Matthew, drzemiący w siodle, podskoczył przestraszony.

– Do licha! Jedź przodem, ja dołączę później.

Odwrócił Championa i ścisnął piętami smukłe boki siwego ogiera, pozostawiając za sobą zdumionego Matthew. Kiedy znalazł się znów przy starym kościele, skierował siwka na południe i poluzował wodze pewien, że Champion podąży śladem arabskiej klaczy bez względu na to, jaką drogę obierze Kit.

Rozdział 12

Po pierwszej wspólnej wyprawie Kit upewniła się, że udawanie młodego Kita przez następny miesiąc nie będzie trudne. Niestety, nie wszystko układało się tak gładko. To podrażniona duma przysparzała jej problemów. Chodziło o dwie sprawy i za każdym razem przyczyną kłopotów był Jack, a raczej jego irytujące zachowanie.

W trzecim tygodniu współpracy Kit zasiadła w swej ulubionej altance, by w samotności zastanowić się, jak zmienić nastawienie Jacka, który uparcie odmawiał traktowania jej w sposób rozsądny. Kit zawsze stała na czatach. Mogłaby to zrozumieć, gdyby tylko Jack nie upierał się, by pełniła straż po wschodniej stronie cypla, jak najdalej od Hunstanton. Przecież jeśli celnicy zechcą przeprowadzić wypad, z pewnością nadejdą właśnie od strony Hunstanton, czyż nie?

Usiadła na ławeczce i zapatrzyła się na róże. Jakąkolwiek próbę kwestionowania jego rozkazów Jack kwitował wysoce zniechęcającym zmarszczeniem brwi, a jeśli to jej nie odstraszyło, grymasowi towarzyszył groźny pomruk. Następne byłoby zapewne opryskliwe burknięcie, lecz jak dotąd nie zdobyła się na to, by go wypróbować. Nie potrafiła oprzeć się wrażeniu, że została odsunięta i umieszczona tam, gdzie nic nie mogło jej zagrozić. Kit zmrużyła oczy. Wyglądało to tak, jakby Jack dobrze wiedział, że nic nie grozi im ze strony straży, a wysyłał ją w przeciwną stronę ot tak, na wszelki wypadek.

Do licha! To on nalegał, by kontynuowała maskaradę i wyrażając zgodę, nie spodziewała się, że będzie przydzielał jej wyłącznie symboliczne zadania. Dość tego! Porozmawia z nim jeszcze tego wieczoru. Na cyplu pomiędzy Holme i Brancaster miał czekać dziś na nich kolejny ładunek.

Odkąd połączyli siły, ruch towarów wyraźnie się ustabilizował – odbierali dwa ładunki tygodniowo, za każdym razem na innej plaży. Większość z nich przeznaczona była dla Nolana, tylko raz pojawił się inny agent. Przywożono głównie alkohol i koronki, gdyż był to towar o dużej wartości i jego przemyt bardzo się opłacał.

Kit wstała, szeleszcząc spódnicą. Opuściła altankę i weszła pomiędzy klomby róż, obojętna na otaczające ją ze wszystkich stron piękno. To, że nie uczestniczyła w działaniach gangu, stanowiło jeden problem, drugim były jej osobiste stosunki z Jackiem, a raczej ich brak.

Rozumiała, dlaczego zachował się tak, a nie inaczej, gdy pierwszy raz znalazła się w chacie. Lecz jego późniejsze zachowanie wprawiło ją w konsternację. Jack okazał, że jej pożąda, a potem nagle zaczął traktować ją

obojętnie, jakby po dokładniejszym przyjrzeniu się uznał, że nie jest godna zainteresowania. Dla kobiety, która miała u swych stóp londyńskich hulaków, takie zachowanie stanowiło nie lada wyzwanie.

Kit upuściła płatki, które zerwała z przekwitającej białej róży, i skierowała się w stronę domu. Inni przystojni mężczyźni, którzy pojawili się dotąd na horyzoncie, okazywali jej zainteresowanie, mimo że nie robiła nic, by je wywołać. Zainteresowanie Jacka, choć tak krótkotrwałe, obudziło w niej uczucia, jakich nie udało się obudzić nikomu innemu. Chciała czegoś więcej. Lecz Jack, niech będą przeklęte jego srebrzyste oczy, najwidoczniej nie miał zamiaru jej tego dostarczyć. Zachowywał się tak, jakby Kit naprawdę była chłopcem, a on nie był zdolny reagować na nią jak na kobietę.

Wchodząc na stopnie tarasu, uświadomiła sobie, że zaciska zęby. Zmusiła się, by rozluźnić mięśnie i złożyła w myśli przysięgę. Zanim opuści szeregi gangu z Hunstanton, będzie miała Jacka u swoich stóp. Brawurowe postanowienie, być może, lecz sama myśl o tym sprawiła, że ciało Kit przeniknął rozkoszny dreszcz.

Uśmiechnęła się leciutko. Tego właśnie było jej trzeba – wyzwania. Jeśli Jack nie pozwala jej zaznać dreszczyku emocji przy odbieraniu ładunku, z pewnością powinien zrekompensować jej to w inny sposób, czyż nie?

Weszła do pokoju śniadaniowego, gdzie opadła na sofę i kontynuowała swoje rozmyślania. Będzie musiała bardzo uważać, by Jack się nie domyślił, że ma wobec niego zamiary inne niż tylko te, związane z ich sojuszem. Jego zachowanie tej pierwszej nocy w chacie wskazywało, że chętnie posunąłby się dalej, niż miała ochotę mu pozwolić. To nie był człowiek z gminu. Żaden rybak nie roztaczał wokół takiej aury: pewności siebie, władzy, a także, często – arogancji. Jego sposób wysławiania się, umiejętności szermiercze, jego ogier – wszystko świadczyło o tym, że nie urodził się we wsi. No i poza wszystkim innym, był nieprzyzwoicie wręcz przystojny. A jednak romans, nawet przelotny, pomiędzy wnuczką lorda Cranmera a kapitanem Jackiem, przywódcą bandy przemytników z Hunstanton, był po prostu nie do pomyślenia.

Ale on sądzi, że jesteś bękartem, pamiętasz?

Tylko, że nim nie jestem, prawda? – zauważyła Kit, dyskutując z bardziej nieokiełznaną częścią swojej natury. I nigdy nie mogę zapomnieć, co jestem winna nazwisku Cranmerów.

Dlaczegóż to? Rodzina była aż nadto chętna, aby poświęcić cię dla swoich celów.

Tylko wujowie i ciotki, nie Spencer ani kuzyni.

Jesteś pewna, że nie chodzi po prostu o zwykły, staropanieński lęk przed obcowaniem z mężczyzną? Jak się dowiesz, czy Amy ma rację, jeśli nawet nie spróbujesz? A jeśli w ogóle masz taki zamiar, on nadaje się idealnie. Dlaczego

nie przyznasz, że kolana uginają się pod tobą na samą myśl o tych wszystkich wspaniałych mięśniach i diabelskich, srebrzystych oczach?

Och, cicho bądź!

Sięgnęła po robótkę. Wbiła igłę w materiał, przeciągnęła nitkę i zacisnęła wargi. Nudziła się. Potrzebowała czegoś ekscytującego. Dziś w nocy postara się po to sięgnąć.

* * *

Uszy Kit wypełniał ryk fal przyboju. Stała po zawietrznej stronie klifu, trzymając w dłoniach wodze i obserwując, jak zbierają się przemytnicy z Hunstanton. Mężczyźni stali w małych grupkach, a dźwięk ich burkliwych głosów ledwie tu docierał. Nikt do niej nie podszedł. Uważali młodego Kita za delikatnego chłopca pochodzącego z dobrej rodziny. Uznali, że najlepiej będzie, jeśli to kapitan Jack się nim zajmie.

Kit podniosła wzrok i zobaczyła zbliżającego się Jacka. Jechał na siwym ogierze, mając po bokach George'a i Matthew. Ufała w pełni umiejętnościom organizacyjnym Jacka. Już wcześniej, nim go poznała, słyszała opowieści o wyczynach szajki przemytników z Hunstanton, niektóre dość przerażające. W ciągu ostatnich trzech tygodni nie wydarzyło się jednak nic, co świadczyłoby, że były prawdziwe. Jack nie musiał się wysilać, aby narzucić swoją wolę – mężczyźni słuchali go instynktownie, rozpoznając w kapitanie urodzonego przywódcę.

Kit spojrzała na czarne fale, udekorowane po wierzchu koronką piany. Księżyc świecił słabo i nigdzie nie widać było łodzi.

Jack ściągnął wodze o kilka metrów od niej, a mężczyźni zebrali się wokół, by wysłuchać rozkazów. Potem zeszli na plażę i zasiedli tuż nad linią wody, nieruchomi niczym głazy. Jack zsiadł z konia, odesłał George'a i Matthew, polecając im, aby wypatrywali sygnałów ze statku, a potem podszedł do Kit.

Zatrzymał się tuż przed nią. – Z tamtego miejsca na górze będziesz miała dobry widok.

Ku zdumieniu Kit, wskazał zachodni kraniec klifu. Nagle przypomniała sobie, że znajdują się na cyplu. Jeśli straż w ogóle przybędzie, będzie musiała nadjechać ze wschodu. Na zachodzie było już tylko morze. Nadszedł właściwy czas, by stawić opór.

– Nie! – zawołała, przekrzykując fale.

Zrozumienie tego, co powiedziała, zajęło Jackowi chwilę. Zmarszczył brwi.

– Co to znaczy: nie?

– Chodzi mi o to, że nie ma sensu wystawiać straży w tym miejscu. Równie dobrze mogę zostać na plaży i przyglądać się rozładunkowi.

Jack wpatrywał się w nią. Nawet nie chciał rozważać myśli, że Kit mogłaby pałętać się po plaży, odsuwana na bok przez każdego rybaka, któremu wejdzie

w drogę. Usłyszał krzyk świadczący, że zauważono sygnał. Wkrótce łodzie znajdą się na plaży. Oszacował spojrzeniem smukłą postać przed sobą i potrząsnął głową. – Nie mam czasu teraz się o to spierać. Muszę dopilnować rozładunku.

– Doskonale. Pójdę z tobą.

Kit zawiązała wodze wokół rosnącego pod klifem krzaka i odwróciła się, by pójść za Jackiem.

– Marsz na klif, i to natychmiast!

Siła jego głosu omal nie zbiła jej z nóg. Kit cofnęła się, spoglądając na Jacka rozszerzonymi z przerażenia oczami. Górował nad nią, wskazując uniesionym ramieniem klif. Wpatrywała się w niego, sparaliżowana strachem. Spostrzegła, że zaciska zęby.

– Na miłość boską, rusz się!

Wstrząśnięta do głębi, wściekła ponad wszelkie wyobrażenie, odwiązała wodze od krzaka i wskoczyła na siodło. Spojrzała z furią na Jacka, który stał przed nią z rękami na biodrach, blokując drogę do plaży, a potem chwyciła wodze i skierowała Delię na ścieżkę prowadzącą w górę klifu.

Na szczycie zeskoczyła z siodła i zostawiła klacz, by popasła się na spłachetku skąpej trawy. Kipiąc gniewem, usiadła na wielkim płaskim głazie i podniósłszy kamień, cisnęła go w dół, na piasek. Szkoda, że nie mogę zdzielić nim Jacka, pomyślała. Stał na plaży, przy łodziach, wyraźnie widoczny z miejsca, w którym się znajdowała. Jeden rzut załatwiłby sprawę.

Prychnąwszy z pogardą, wsparła łokcie na udach i ukryła twarz w dłoniach. Boże, ależ on potrafi wrzeszczeć! Spencer też krzyczał, kiedy się wściekał, hałas nie robił na niej wrażenia. To, że dziadek wrzeszczał, stanowiło znak, że wyczerpał już własne argumenty i za chwilę ulegnie tym, które przedstawiła mu Kit. Lecz kiedy Jack wykrzykiwał rozkazy, oczekiwał, że będą spełnione. Natychmiast. W zestawieniu z tą niepokonaną siłą wszelki opór wydawał się po prostu śmieszny.

Absolutnie zdegustowana swoim tchórzliwym odwrotem, z ponurą miną przyglądała się, jak przemytnicy rozładowują łodzie.

Kiedy ostatnia baryłka znalazła się na grzbiecie kuca, wstała i otrzepała bryczesy z piasku. Cokolwiek zdarzyło się dzisiaj, był to ostatni raz, kiedy trzymała straż w niewłaściwym miejscu. A Jack niech sobie wrzeszczy, ile chce.

*** * ***

– I cóż? O co chodzi?

Jack postawił na stole baryłkę, którą przyniósł ze statku, i odwrócił się na pięcie, by spojrzeć na Kit. George pojechał do domu prosto z plaży, Matthew również został odprawiony do zamku. Jackowi wystarczyło jedno spojrzenie

na Kit, by uznać, że lepiej będzie znieść jej furię bez świadków. Na plaży przez chwilę łudził się, że skoro Kit potulnie podporządkowała się jego rozkazom, to znaczy, że zaniechała dąsów z powodu wyznaczenia jej posterunku, który nie był do niczego potrzebny. Powinien był wiedzieć lepiej.

Kit zignorowała jego stanowcze pytanie i zamknęła drzwi. Nieśpiesznie podeszła do miejsca, gdzie Jack zapalał właśnie lampę. Zdjęła kapelusz, rzuciła go na stół, a potem, w absolutnej ciszy, rozwiązała szal.

Jack wyprostował się i wsparł dłonie na stole. Nie usiadł, gdyż na stojąco czuł się pewniej. Wzrost i postawa zapewniały mu przewagę nad Kit. Zakładając, oczywiście, że ona też będzie stała. Jeśli się nie pośpieszy i nie przejdzie do rzeczy, nie ręczy za to, że kiedykolwiek będzie miała okazję to uczynić. Zacisnął zęby i czekał.

Kiedy szal spoczął obok kapelusza, Kit odwróciła się, by stanąć twarzą w twarz z Jackiem.

– Sugeruję, abyś przemyślał swoją politykę, jeśli chodzi o wystawianie straży. Jeśli jeszcze raz każesz mi zająć pozycję, która jest w oczywisty sposób nieprzydatna, po prostu przeniosę się w miejsce, które uznam za bardziej odpowiednie.

Jack zacisnął szczęki. – Będziesz robiła to, co ci się każe.

Kit uniosła brwi i spojrzała na Jacka z powątpiewaniem.

Jack stracił nieco ze swego spokoju.

– Do licha! Jeśli będziesz stała na czatach i akurat pojawi się straż… Skąd mogę wiedzieć, że nie zrobisz czegoś głupiego?

– Z pewnością nie ucieknę! – zawołała Kit. W jej oczach płonęło oburzenie.

– Wiem o tym! Gdybym sądził, że to zrobisz, nie miałbym obiekcji, aby postawić cię od strony bliższej Hunstanton!

– Przyznajesz, że z rozmysłem wyznaczałeś mi miejsce nie po tej stronie, co trzeba?

– Chryste! – Jack przesunął dłonią po włosach. – Posłuchaj. Nie jesteś w stanie pracować przy rozładunku, więc równie dobrze możesz stać na czatach.

– W ogóle nie potrzebujesz wystawiać posterunku – powiedziała Kit z naciskiem. – Nie teraz. Dobrze wiesz, że ludzie ze straży celnej otrzymali rozkazy, by patrolować plażę na południe od Hunstanton.

Oczy Jacka się zwęziły. – Skąd o tym wiesz?

Kit wzruszyła ramionami. – Wszyscy wiedzą.

– Kto ci powiedział?

Kit spojrzała czujnie na Jacka.

– Spencer. Usłyszał to od właściciela tawerny „Pod Różą i Kotwicą” w Lynn.

Jack się odprężył. A zatem Kit nie kontaktowała się z biurem straży. Nie

było go tu zbyt długo. Zapomniał już, jak na prowincji rozchodzą się wieści.

– Rozumiem.

– Zakładam, iż oznacza to, że następnym razem nie będę musiała sterczeć na klifie, kręcąc z nudów młynka palcami? – zapytała, rzucając mu spojrzeniem wyzwanie.

Zignorował je.

– A co, u licha, mogłabyś robić innego?

– Mogłabym pomagać przy rozładunku koronek – odparła, unosząc dumnie brodę.

– Doskonale – powiedział Jack. – A co by się stało, gdyby za którymś razem ktoś podał ci zamiast koronek baryłkę? Masz, odstaw ją na kredens.

Co powiedziawszy, bez ostrzeżenia podniósł baryłkę i podał ją Kit.

Kit wyciągnęła ręce i Jack cofnął dłonie.

On sam mógł nieść baryłkę pod pachą. Nie miał pojęcia, ile może udźwignąć Kit, lecz nie spodziewał się, że po prostu załamie się pod ciężarem.

Tymczasem pod Kit ugięły się kolana. Za wszelką cenę starała się zachować równowagę, lecz nie udało się jej. Baryłka przeważyła i dziewczyna klapnęła ciężko na podłogę, a potem upadła, przyciśnięta ciężarem. Jack podskoczył i podniósł baryłkę, nim zdołała wyrządzić jej krzywdę.

Przez chwilę Kit leżała na wznak i w milczeniu wpatrywała się w Jacka. Jednak gdy tylko odzyskała zdolność oddychania, jej piersi uniosły się gwałtownie, napierając na opinający je materiał, a w oczach zapłonęły fioletowe ogniki.

– Ty draniu! Jak mogłeś zrobić coś tak głupiego!

Jack odstawił ostrożnie baryłkę. Spojrzał na Kit rozciągniętą u jego stóp, a potem gwałtownie odwrócił wzrok, zaciskając wargi, by się nie roześmiać. Wyglądała, jakby miała ochotę go zabić.

– Pozwól…

Wyciągnął ręce i pomógł jej się podnieść. Nie ośmielił się spojrzeć jej w oczy, gdyż Kit spojrzeniem rozrywała go na strzępy. Bez wątpienia wkrótce posłuży się w tym celu językiem, pomyślał.

Kit tymczasem uświadomiła sobie, że pewna część jej anatomii mocno ucierpiała podczas upadku. – Do licha! To boli!

Wagę oskarżenia osłabił nieco fakt, że zostało wypowiedziane drżącymi wargami. Kit spochmurniała i Jack poczuł się jak kompletny głupiec. Próbował chronić Kit, a zamiast tego o mało jej nie zabił.

– Przepraszam.

Już miał się uśmiechnąć, by oczarować ją i przepędzić gniew, gdy nagle uświadomił sobie, co się stanie, jeśli to zrobi. Ona odpowie uśmiechem. Już wyobrażał sobie ten leciutki, niepewny uśmieszek. A wtedy będzie po nim.

– Jednak obawiam się, że to właśnie się stanie, jeśli dalej będziesz

odgrywała przemytnika.

Uświadomił sobie, jak niebezpiecznie blisko niej się znajduje, i czym prędzej cofnął się za stół.

Kit zesztywniała i zacisnęła palce z gniewu. Jej nieposkromione „ja” skorzystało z okazji i natychmiast dało o sobie znać.

Pamiętasz, jaka jest alternatywa wobec dreszczyku płynącego z zabawy w przemytnika?

Uśmiechnęła się do Jacka i z satysfakcją spostrzegła, że aż zamrugał. Uśmiechnęła się śmielej. A potem położyła sobie dłonie poniżej pasa, krzywiąc się demonstracyjnie.

– Masz, oczywiście, rację – wymruczała. – Nie przypuszczam, żebyś trzymał tu jakiś środek na stłuczenia? – zapytała, przesuwając dłońmi wzdłuż bujnej krzywizny pośladków.

Lata ćwiczeń w ukrywaniu uczuć nagle okazały się zupełnie nieprzydatne. Nie potrafił oderwać oczu od dłoni Kit. Jego ciało przeszło od stanu względnego pobudzenia, w jakim znajdował się zawsze w obecności dziewczyny, do stanu pełnego podniecenia, i to nim Kit zdążyła przesunąć dłonie do nasady ud. Umysł Jacka zarejestrował ukryte znaczenie wypowiedzianych ochrypłym głosem słów. Resztki zdrowego rozsądku opuściły go w sekundę. Jedynie instynkt samozachowawczy sprawiał, że tkwił jak przyrośnięty do podłogi, mając przed sobą stół – ostatni bastion, który oddzielał go od Kit.

To cisza w końcu sprawiła, że Jack otrząsnął się z oszołomienia. Podniósł wzrok i spostrzegł, że Kit przygląda mu się z błyskiem w oku. Ten błysk mógł oznaczać tylko jedno – satysfakcję.

– Ee… nie. Nie mam nic na stłuczenia.

Trzeba szybko ją stąd wyprawić.

– Ale musisz coś mieć – upierała się Kit, spuszczając wzrok. Jej spojrzenie padło na baryłkę. Uśmiechnęła się znowu. – O ile sobie przypominam, jest takie smarowidło, które sporządza się z brandy. – Spojrzała na Jacka, lecz jego twarz nie wyrażała niczego.

Smarowidło z brandy? Jack mimo woli zaczął wyobrażać sobie, jak wciera je w potłuczone ciało Kit, a jego ręce głaszczą ciepłe krzywizny, które dopiero co rozcierała dłońmi. Zesztywniał, zdecydowany pozostać tam, gdzie jest. Tylko przekonanie, że się z nim drażni, pozwalało mu nad sobą zapanować. Potrząsnął głową.

– Nie pomoże.

Kit wydęła wargi. – Jesteś pewny? – Jej dłonie delikatnie rozcierały pośladki. – Mocno się potłukłam.

Jack z najwyższym trudem nakazał swemu ciału, by nie reagowało. Zacisnął dłonie w pięści i wykrztusił przez zaciśnięte zęby: – Skoro tak, najlepiej

będzie, jeśli wyruszysz do domu, dopóki jeszcze możesz się poruszać.

Kit zmrużyła oczy, a potem wzruszyła ramionami i odwróciła się nieco, by wziąć kapelusz i szal.

– Więc od tej pory będę mogła pomagać przy łodziach? – spytała, obwiązując twarz.

Jack nie był w stanie się sprzeczać, lecz nie zamierzał dopuścić, by Kit wyprowadziła go w ten sposób w pole. – Porozmawiamy o tym jutro – powiedział, a w jego głosie czuło się napięcie.

Kit nałożyła kapelusz i odwróciła się, by nadal dyskutować, lecz Jack zmierzał już ku drzwiom.

– Zobaczymy, jaki towar przygotował dla nas Nolan. W końcu został ci jeszcze tylko tydzień czy coś koło tego.

Zatrzymał się z dłonią na klamce i obejrzał, modląc się w duchu, by Kit wyszła.

Kit ruszyła ku niemu. Jej oczy błyszczały zastanawiająco, a na ustach igrał wszystkowiedzący uśmieszek. – Myślałam, że chciałeś, bym udawała Kita przez dwa miesiące?

Była teraz zdecydowanie zbyt blisko. Zaczerpnął z trudem powietrza i otworzył drzwi.

– Zgodziłaś się na jeden miesiąc i to wystarczy. Nie ma potrzeby, byś narażała się dłużej.

I mnie torturowała, dodał w myśli.

Kit zatrzymała się i przekrzywiła głowę, by spojrzeć na niego spod ronda kapelusza. – Jesteś pewien, że jeden miesiąc wystarczy?

– Absolutnie.

Jack mówił teraz z większą pewnością siebie. Nabrawszy odwagi, chwycił Kit za łokieć i pomógł jej przejść przez próg, ryzykując kontakt fizyczny, aby uniknąć gorszego niebezpieczeństwa.

– Spotkamy się tutaj o jedenastej, jak zwykle. Dobranoc.

Kit spojrzała na niego rozszerzonymi oczami, ale przyjęła pomoc i pozwoliła się wyprowadzić. Stanęła w smudze światła, padającej z otwartych drzwi i uśmiechnęła się do niego. – A zatem do jutra – powiedziała, niemal mrucząc z zadowolenia.

Jack zamknął czym prędzej drzwi.

Kiedy dobiegł go stukot kopyt, westchnął z głębi serca i oparł się bezwładnie o drzwi. Spojrzał na swoje dłonie, nadal zaciśnięte w pięści, i powoli rozprostował długie palce.

Jeszcze tydzień. Chryste! Do tego czasu będzie już istnym wrakiem!

Odepchnął się od drzwi i ruszył ku baryłce. Lecz nim do niej sięgnął, wyobraził sobie Kit, jadącą samotnie w ciemności. Potrząsnął głową, spojrzał na sufit i jęknął sfrustrowany. A potem wyszedł, aby osiodłać Championa.

Rozdział 13

– Cóż, Kathryn, moja droga, jesteś naszym ekspertem. Jeśli ma to być prawdziwa maskarada, taka, by nikt nikogo nie mógł rozpoznać, jak mamy się do tego zabrać?

Lady Marchmont upiła łyk herbaty i spojrzała pytająco na Kit.

Kit znała starszą damę na tyle dobrze, iż mogła być pewna, że wzmianka o balu przebierańców nie została rzucona ot tak sobie. Dla wszystkich dam zgromadzonych w salonie lady Marchmont – a znajdowały się tam także: lady Dersingham, lady Gresham i Amy – jasne było, że bal miał służyć tylko jednemu celowi: wywabieniu tajemniczego lorda Hendona z jego zamku i przedstawieniu mu Kit. Kit, po której wiele się spodziewano, starannie przemyślała sprawę. Maskarada mogła bowiem okazać się korzystna także dla niej.

– Po pierwsze, musimy dać jasno do zrozumienia, że bal ma być prawdziwą maskaradą. To znaczy uczestnicy muszą się przebrać, nie tylko narzucić domina na stroje balowe.

Kit zmarszczyła brwi nad filiżanką herbaty. – Jak sądzicie, mamy dość czasu, by wszyscy zdążyli przygotować sobie kostiumy?

– Czasu jest mnóstwo – powiedziała lady Dersingham, niedbałym machnięciem odsuwając problem. – Nie jest nas znowu tak wiele. Nie powinno być z tym kłopotu. A ty jak sądzisz, Aurelio?

Lady Gresham skinęła głową.

– Jeśli wyślemy zaproszenia jeszcze dziś po południu, wszyscy będą mieli tydzień, żeby przygotować sobie przebranie. – Uśmiechnęła się. – Wprost nie mogę się już doczekać, aby zobaczyć kostiumy naszych przyjaciół. To, za kogo człowiek się przebiera, może wiele o nim powiedzieć.

Amy, siedząca obok Kit na sofie, zerknęła na przyjaciółkę.

Lady Marchmont sięgnęła po kolejny placuszek.

– Od lat nie organizowaliśmy tu tak obiecującej imprezy. To doskonały pomysł, Kathryn.

Kit uśmiechnęła się i upiła łyk herbaty.

– Jeśli nikogo nie da się rozpoznać, skąd będziemy wiedzieli, czy na bal nie wkradł się ktoś niepożądany? – spytała lady Dersingham. – Pamiętacie, jakie kłopoty mieli Colville’owie, kiedy na ich przyjęciu pojawili się koledzy Bertranda z uniwersytetu? Dulcie aż się popłakała, biedactwo. Niemal zepsuli wieczór przez swoją hałaśliwość i brak manier, a wykrycie, kim są, i pozbycie się ich zajęło wieki.

Ani lady Marchmont, ani też lady Gresham nie miały pojęcia, jak uniknąć

podobnego niebezpieczeństwa. Spojrzały na Kit.

Ona zaś miała przygotowaną odpowiedź. – Na zaproszeniach zamieścimy instrukcję, by każdy z gości miał przy sobie coś, co pozwoli zidentyfikować go jako osobę zaproszoną, nie zdradzając przy tym tożsamości. Musimy tylko wymyślić, co to mogłoby być.

– Masz jakiś pomysł? – spytała lady Marchmont.

– Może gałązka wawrzynu w butonierce albo przypięta do stanika pań?

Lady Marchmont skinęła głową. – Proste, lecz nie na tyle, by ktoś postronny na to wpadł.

Pozostałe panie zgodziły się z nią. Kit uśmiechnęła się. Amy uniosła brwi, spoglądając podejrzliwie na przyjaciółkę. Kit zignorowała to spojrzenie.

Następną godzinę damy spędziły na układaniu listy gości i dyktowaniu dziewczętom zaproszeń. Wręczono je następnie kamerdynerowi, by je rozesłał, i panie się pożegnały.

Lady Dersingham miała zabrać do swego powozu Kit. Amy wraz z matką miały wrócić powozem Greshamów. Kiedy czekały na stopniach, aż pojazdy zostaną podstawione, Amy spojrzała na Kit.

– Co ty knujesz? – spytała, zaciekawiona

Jej matka i lady Marchmont wymieniały ostatnie ploteczki, lady Dersingham zaś zeszła już po schodach, aby podziwiać rosnący u ich podnóża różany krzew.

– Dlaczego sądzisz, że coś knuję? – spytała Kit.

Obdarzyła przy tym przyjaciółkę niewinnym spojrzeniem fiołkowych oczu, co absolutnie nie zwiodło Amy.

– Planujesz jakiś diabelski figiel – oświadczyła. – Cóż to takiego?

Kit uśmiechnęła się szelmowsko.

– Postanowiłam dokładnie przyjrzeć się lordowi Hendonowi, nie dając mu możliwości, by zrobił to samo. Nie pozwolę, by podały mu mnie niczym gołąbkę na talerzu, smaczny kąsek, którym mógłby się delektować.

Amy już miała powiedzieć coś w obronie dam, lecz ugryzła się w język. – Co chcesz zrobić?

Uśmiech Kit stał się teraz iście szatański. – Powiedzmy, że przebiorę się tak, iż nikomu nie przyjdzie do głowy sądzić, że to ja.

Spojrzała z oddaniem na Amy. – Ciekawe, czy ty mnie rozpoznasz.

– Rozpoznam cię zawsze, bez względu na to, co będziesz miała na sobie.

Kit zachichotała. – W następną środę przekonamy się, czy rzeczywiście potrafisz obserwować.

Amy nie miała już czasu naciskać Kit i domagać się, aby zdradziła jej szczegóły swego przebrania. Powozy podjeżdżały pod Marchmont Hall, więc musiała pożegnać się z przyjaciółką.

– Odwiedź mnie jutro. Chcę usłyszeć coś więcej.

Kit skinęła głową i pomachała, ale jej roześmiane oczy mówiły jasno, że nie zamierza zdradzić nic więcej.

* * *

Jack zaparł się mocno stopami, usiłując przezwyciężyć siłę fal, kotłujących się wokół jego kolan. Spojrzał na smukłą postać stojącej obok Kit, modląc się, by nie straciła równowagi. Nawet w mroku nocy kształty, okryte przylegającą mokrą odzieżą, zdradziłyby płeć dziewczyny.

Jacht, na który czekali, nadpłynął z następną falą i obrócił się, gdy sternik zakręcił kołem sterowym. Matthew, stojący gdzieś na prawo od nich, ustabilizował dziób. Kit dłońmi w rękawicach chwyciła za burtę i wskoczyła na pokład. A przynajmniej spróbowała to zrobić.

Jack, spodziewając się, że Kit nie da sobie rady, podłożył jej pod pośladki swą wielką dłoń i dosłownie przerzucił dziewczynę przez burtę. Usłyszał, jak Kit wzdycha, lądując na pokładzie. Potem przypomniał sobie jej obolałą pupę. Skrzywił się i wskoczył na pokład. Jeśli nawet coś Kit zaboli, dobrze jej tak. On cierpiał nieustannie, a za te męki była odpowiedzialna właśnie ona.

Kit odczołgała się pośpiesznie, by zrobić Jackowi miejsce. Kiedy znaleźli się na tym samym poziomie, spojrzała na niego z furią. Chętnie powiedziałaby mu, co myśli o jego zachowaniu, jednak nie odważyła się otworzyć ust. Napięcie pomiędzy nimi było już tak silne, że byle co mogło spowodować wybuch, a ona była zbyt rozsądna, by dolewać oliwy do ognia.

Jeśli chodzi o nią, dzisiejsza noc stanowiła okazję, która mogła się już nie powtórzyć, i Kit nie zamierzała pozwolić, by Jack zepsuł jej zabawę. Dwa dni temu poszła z nimi jak zwykle do tawerny. Okazało się, że agent zorganizował niezwykły ładunek – bele flamandzkiego sukna, zbyt ciężkie i nieporęczne, by można było załadować je na wiosłowe łodzie. Ku zdziwieniu Kit, Jack zgodził się przejąć towar. Co prawda oferowano za niego bardzo wysoką cenę, Kit nie potrafiła sobie jednak wyobrazić, gdzie Jack zdoła znaleźć łodzie dość duże, by nadawały się do tej dostawy.

Lecz jakoś mu się to udało, a Kit miała na tyle rozumu, by nie zdawać pytań.

Przybyła dzisiaj na plażę zdecydowana walczyć, gdyby Jack znów chciał postawić ją na warcie. Wprawdzie spoglądał na nią z obawą, jednak przydzielił ją do grupy, która miała popłynąć w łodziach. Kit nie przyznałaby za nic, że kiedy okazało się, iż ma popłynąć razem z Jackiem oraz milczącym jak zwykle Matthew, znacznie jej ulżyło. Była bardzo podekscytowana, gdyż jacht stanowił najszybszą jednostkę ich małej floty. Zawsze marzyła o tym, by żeglować, lecz akurat tego kaprysu Spencer nigdy nie pozwolił jej zrealizować.

Stała przy relingu, przyglądając się, jak jacht toruje sobie drogę przez wzburzone fale. Statek, z którym mieli się spotkać, był na razie jedynie plamką

światła, błyskającą od czasu do czasu na horyzoncie poza redą.

Jack trzymał się od niej z daleka. Zabrał Kit ze sobą, gdyż bał się spuścić ją z oczu. Zmusił się, by oderwać spojrzenie od smukłej figurki w starym trójgraniastym kapeluszu, wciśniętym na burzę loków, i skupił wzrok na celu, do którego zdążali. Statek stanowił teraz ciemny kształt na horyzoncie, zbliżający się w miarę, jak pokonywali kolejne grzbiety fal. Za pośrednictwem Matthew Jack zaczął już rozpowszechniać pogłoski o tym, że młody Kit ma kłopoty i nie wiadomo, czy będzie w stanie nadal dowodzić szajką. Podobno dziadek chłopca, o którym nie było wiadomo nic bliższego, robił mnóstwo szumu wokół tego, że jego wnuczek wymyka się dokądś nocami.

Młody Kit wkrótce zniknie, lecz dla Jacka czekanie mogło okazać się i tak za długie. Zacisnął zęby na wspomnienie ostatniego wieczoru w Pod Kosem. Kit usiadła koło niego, na swoim zwykłym miejscu. Lecz tym razem, zamiast utrzymywać dystans, przysunęła się bliżej. O wiele bliżej, niż wydawało się pozostałym. Ciągły nacisk jej uda stanowił wystarczającą torturę. Lecz kiedy poczuł, że położyła dłoń na jego nodze, a jej smukłe palce zaczęły głaskać jego udo, o mało się nie zakrztusił.

Na szczęście Kit przestała, gdy pojawił się agent, w przeciwnym razie Jack nie byłby w stanie pertraktować. Prawdę mówiąc, wątpił, czy zdołałby odeprzeć pokusę, by odpłacić jej pięknym za nadobne. To zaś, wziąwszy pod uwagę kobiecą skłonność do zapominania w takich chwilach, gdzie się znajdują i co robią, mogłoby sprowadzić na nich nie lada kłopoty.

Od tej chwili postarał się, by Matthew znajdował się przez cały czas w pobliżu, co bardzo zdziwiło jego starego druha. Wolał jednak stawić czoło zdziwionemu Matthew niż kobiecie, zdecydowanej doprowadzić go do zguby na swój typowo kobiecy sposób. Niech nazywa go tchórzem, jak uczyniła wczorajszego wieczoru, gdy Matthew posłusznie towarzyszył im do chaty. Widać nie wie, że igra z ogniem. Lecz wkrótce się dowie. Lubieżne wyobrażenia tego, jak przeprowadzi swoją zemstę, wypełniały Jackowi bezsenne noce.

Jacht wyminął trzy wolniejsze lugiery z osprzętem rejowym stanowiące resztę floty przemytników z Hunstanton, a potem wykonał ostry zwrot i ustawił się wzdłuż kadłuba holenderskiej brygantyny. Matthew stał na dziobie, trzymając w dłoniach linę. Pozostali dwaj członkowie załogi zwinęli żagle. Gdy fale przysunęły statki bliżej siebie, Matthew rzucił linę oczekującym marynarzom z brygantyny i po chwili stali już bezpiecznie przycumowani u boku większego statku.

Jack powiedział do sternika: – Umocuj koło i każ chłopakowi pilnować.

Mężczyzna posłuchał. Jack odwrócił się i zobaczył, że Kit zmierza ku śródokręciu. Uśmiechnął się. Bele sukna to nie paczki z koronką. Przeładowanie szło gładko. Umocowane na linach bele opuszczali prosto do

ładowni jachtu. Kit przyglądała się temu, zaciskając dłonie na kole sterowym, gdy nagle jedna z bel zakołysała się tuż nad nią, grożąc zerwaniem lin. Jack skoczył na dach kabiny, dokładnie pomiędzy koło sterowe i ładownię, po czym ustabilizował olbrzymi zwój, chwytając go rękami i uwieszając się na nim, by powstrzymać kołysanie. Gdy belę wreszcie załadowano, Kit odetchnęła z ulgą.

Holenderski statek wiózł pełny ładunek, toteż pod koniec wszystkie łodzie przemytników były załadowane niemal po burty, a część towaru musiano umieścić wręcz na pokładzie, przywiązując bele do relingu. Wszystko przebiegało w absolutnej ciszy. Dźwięk niósł się na wodzie aż nadto dobrze.

Mężczyźni pracowali bez wytchnienia, a Kit, nie mając nic do roboty, wspomniała słowa Jacka wypowiedziane poprzedniego wieczoru, kiedy spóźniła się na spotkanie w stodole. Usiłowała wśliznąć się niepostrzeżenie, lecz Jack natychmiast ją dostrzegł. Uśmiechnął się i zapytał, czy miała problemy z wymknięciem się spod opieki dziadka. Choć nie wiedziała, o czym on mówi, zmarszczyła ponuro brwi i przytaknęła. Zaskoczona uświadomiła sobie, że mężczyźni uśmiechają się ze zrozumieniem. Później dowiedziała się, że Jack zaczął już przygotowywać ludzi na to, że młody Kit wkrótce zniknie. Najwidoczniej mówił poważnie, utrzymując, że jeden miesiąc na wycofanie jej to aż nadto długo.

Została młodym Kitem z przymusu, lecz teraz było jej żal rozstawać się z drugim „ja", stanowiącym przepustkę do życia pełnego emocji i przygód.

No i on jakoś nie padł ci jeszcze do stóp, prawda?

Kit patrzyła teraz na szerokie ramiona Jacka, snując fantazje o mięśniach kryjących się pod zgrzebną koszulą. Postanowiła, że zanim z nim skończy, postara się zrealizować przynajmniej część swoich fantazji. Jednak do tej pory reakcja Jacka na jej damskie sztuczki sprowadzała się do usztywniania mięśni i zaciskania szczęk. Postanowiła, że na tym się nie skończy.

Cichy gwizd powiedział im, że załadunek został ukończony. Zwolniono cumy i mniejsze łodzie odpłynęły od burty statku, dryfując, nim znalazły się w dostatecznej odległości, by można było bezpiecznie postawić żagle.

Kit, zwolniona od obowiązku czuwania przy sterze, co było zajęciem dokładnie tak samo bezużytecznym i niepotrzebnym, jak trzymanie straży na lądzie, chociaż nieskończenie bardziej podniecającym, ruszyła przez pokład, kierując się na dziób.

Mijała właśnie kabinę, gdy jacht wydostał się spoza osłony brygu, pochwycił wiatr w żagle i skoczył raptownie do przodu.

Kit wydała z siebie zduszony okrzyk. Nagły ruch jachtu rzucił ją na bele, przymocowane do relingu. Przebierając rozpaczliwie palcami, zdołała uchwycić się lin. Złapała głęboki oddech i spróbowała się podciągnąć. Jednak gdy tylko stanęła na nogach, usłyszała głośny trzask, zupełnie jakby złamała się olbrzymia gałąź.

– Pochyl się, Kit!

Zareagowała bardziej na ton głosu Jacka, niż na same słowa i zobaczyła, jak bom cofa się, przecinając powietrze w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą była jej głowa. Spojrzała na długie drzewce, kołyszące się ponad falami. Z jego końca zwisała lina. Chwyciła więc za tę linę i natychmiast uświadomiła sobie, że popełniła błąd. Bom pociągnął ją za sobą, o mało nie wyrywając jej ramion z barków. Wiatr wypełnił żagle i ciężko załadowany jacht przechylił się na sterburtę.

Oczy Kit rozszerzyły się ze strachu. Spojrzała na przewalające się za relingiem czarne fale i uświadomiła sobie, że nie potrafi pływać.

Uderzyła brzuchem o belę. Następny poryw wiatru o mało nie zbił jej z nóg. Wisiała teraz, wychylona do połowy za burtą. Chociaż nie znała się na żeglarstwie, nawet dla niej było jasne, że jeśli puści linę, jacht się przewróci.

Nagle czyjeś mocne dłonie zacisnęły się na linie tuż obok jej dłoni i pociągnęły w tył. Kit dodała swoją wagę do wagi Jacka i bom się cofnął. Lecz kolejny poryw wiatru wypełnił znów żagle, sprawiając, że Kit przylgnęła do beli, z rękami wyciągniętymi ponad relingiem. Jack zaś przylgnął do jej pleców.

Kit zapomniała o bomie, wietrze i żaglu, zapomniała o falach i o tym, że nie umie pływać, zapomniała o wszystkim, poza cudownym, a zarazem przerażającym uczuciem, jakie budził w niej fakt, że twarde męskie ciało przyciska ją do relingu. Tkwiła wciśnięta pomiędzy Jacka a belę sukna. Czuła, jak mięśnie jego klatki piersiowej sztywnieją, gdy stara się przyciągnąć bom, a brzuch napina się, kiedy wykorzystuje ciężar swego ciała, aby utrzymać ich w równowadze. Czuła dotyk jego ud, przyciśniętych do jej obolałych pośladków. Wsparte o pokład długie kolumny nóg Jacka niczym stalowe podpory kotwiczyły ich na pokładzie, przeciwstawiając się sile wyjącego wiatru. Czuła też twardy kształt jego pożądania, naciskający na nią nieco powyżej pośladków. Odkrycie to natychmiast przyciągnęło jej uwagę.

Nie jest nią zainteresowany, tak? Uważa Kit za nieatrakcyjną? Co za grę z nią prowadzi?

– Na miłość boską, kobieto! Odchyl się!

Wściekły szept Jacka przywołał Kit do rzeczywistości, przypominając jej o niebezpieczeństwie. Posłusznie dodała swój ciężar do ciężaru ciała Jacka. Razem naparli na bom.

Tymczasem Jack stawiał czoło wyzwaniu, z jakim nie zetknął się nigdy dotąd. Przymusowy kontakt z ciałem Kit stanowił piekielną torturę. Oddałby wszystko, byle tylko móc odsunąć ją na bok, lecz nie śmiał tego zrobić. Potrzebował jej, by zrównoważyć siłę wiatru i utrzymać panowanie nad jachtem. A wiatr ani przez chwilę nie ustał na tyle, by zdążył przywiązać linę do relingu.

Jacht mknął przed siebie, pokonując fale. Sternik halsował i obrócił łódź tak, że płynęli teraz z wiatrem i nie groziło im już, że jacht się wywróci.

Matthew pojawił się u boku Jacka i zawołał, przekrzykując wiatr: – Jeśli dasz radę utrzymać linę, wszystko będzie dobrze.

Jack skinął głową i odwrócił się. Chętnie zastąpiłby Kit starym kompanem, lecz ten zdążył już odejść. Jack z niedowierzaniem spojrzał na oddalające się plecy Matthew.

Choć Kit nie była pewna, jak zrodził się w niej ten pomysł, nagle uświadomiła sobie, że Jack także znajduje się w pułapce. A skoro tak, nadarza się doskonała sposobność, aby przyśpieszyć realizację celu, i to w stosunkowo bezpieczny sposób. Ciało Jacka zasłaniało ją przed wzrokiem innych mężczyzn. On zaś miał ręce zajęte trzymaniem liny i nie bardzo mógł cokolwiek przedsięwziąć, skoro plaża znajdowała się zaledwie o pięć minut od nich. Zdecydowana wypróbować swoje możliwości, przycisnęła się do niego plecami.

Nagłe sapnięcie tuż nad jej lewym uchem powiedziało Kit, że jej działanie odniosło skutek.

Wiercąc się, zyskała nieco więcej miejsca, mogła więc teraz kręcić pupą i czuć, jak napinają się mięśnie ud Jacka. Poruszając się powoli, ocierała się o przyciśniętego do niej mężczyznę, podniecając go dotykiem pośladków, bioder i ramion.

Jack zaklął bezgłośnie. Przygryzł wargę, by stłumić jęk. Do licha z tą kobietą! Co za diabeł ją opętał, że wybrała sobie akurat ten moment, by zademonstrować mu swoje możliwości? Czuł falowanie jej smukłego ciała i każdy pełen leniwego zadowolenia ruch. Wyginała się zmysłowo niczym kotka.

Wiatr wzmógł się i znowu przycisnął ich do burty. Jack zamknął oczy i z trudem skupił się na tym, by utrzymać linę. Nad swoim umysłem nie panował już niemal wcale.

Siła, z jaką wiatr cisnął ich na reling, zaparła dech w piersi Kit. Czekała, lecz Jack nie zamierzał się odsunąć. Jego oddech poruszał jej włosy tuż nad lewym uchem.

Jack cieszył się, iż może pozostać tam, gdzie jest. Nie zamierzał pozwolić, by Kit dalej ciągnęła swoją grę. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie szepnąć jej do ucha paru gróźb, lecz nic odpowiedniego nie przychodziło mu do głowy. Poza tym żywił uzasadnione podejrzenie, że jeśli się odezwie, jego głos zdradzi, co naprawdę czuje. Zacisnął więc usta i cierpiał, zapamiętując każdy ruch Kit, by potem odpłacić jej zań z nawiązką. Jeszcze tylko tydzień, pocieszał się.

Błysk piasku na plaży ucieszył go bardziej, niż niejednego wędrowca widok klifów Dover. Spostrzegł, że sternik daje mu znaki.

– Puść linę. Powoli.

Kit zrobiła, co powiedział, wystrzegając się szarpanego wiatrem żagla. Jack trzymał linę, dopóki nie upewnił się, że Kit ma już wolne ręce. Bom przesunął się, lecz koło sterowe także; jacht obrócił się i zwolnił, gdyż żagle straciły wiatr. Bom ruszył z powrotem na burtę.

Jack obserwował go i widział, na co się zanosi. Schylił się, pociągając za sobą Kit. Upadli razem na pokład.

Szybkie spojrzenie upewniło Jacka, że sternik zajęty jest utrzymywaniem jachtu na kursie, podczas gdy inni mężczyźni, w tym także Matthew, starają się umocować bom. Pokusa była zbyt silna, by jej się oprzeć.

Kit spostrzegła, że bom się cofa, lecz nie spodziewała się, że Jack chwyci ją za ramiona i praktycznie rzuci na pokład. Choć deski pokładu były twarde, lepsze to niż rozbita głowa, pomyślała. Widziała, jak mężczyźni walczą, starając się umocować szalejący bom. Oparła dłonie o pokład i zebrała siły, by wstać, gdy nagle wielka dłoń spoczęła na jej pośladkach.

Kit wstrzymała oddech. Dłoń nacisnęła lekko, poruszając się z wolna kolistym ruchem, a potem zmieniła kierunek. Kit poczuła, że pośladki palą ją żywym ogniem. Nagle dwa długie palce wśliznęły się pomiędzy jej uda.

Westchnęła głośno i poderwała się, by wstać, lecz ruch ten sprawił jedynie, że mocniej przycisnęła pośladki do pieszczącej je dłoni.

Zbyt zaszokowana, by myśleć, wyprostowała się i przykucnęła. Palce sięgnęły głębiej. Kit zerwała się na równe nogi. Jej twarz płonęła.

Z tyłu dobiegł ją kpiący, bardzo męski śmiech.

– Później, kochanie.

Twarde dłonie odsunęły Kit na bok i Jack minął ją, by sprawdzić, co dzieje się z bomem.

Kit uciekła, gdy tylko nadarzyła się sposobność. Wściekła, poruszona i wstrząśnięta, odczekała, aż zacznie się rozładunek, a potem odszukała Matthew i rzuciła: – Wejdę na klif i popilnuję, czy ktoś nie nadchodzi.

Matthew skinął głową. Kit bez niczyjej pomocy ześliznęła się po burcie jachtu, leciutko kołyszącego się na płytkiej fali i pobrnęła do brzegu.

Jack spostrzegł, że się oddala. Zaklął, podszedł do relingu i opierając dłonie na biodrach, zawołał: – Do licha, co on wyprawia?

– Młody Kit? – zapytał Matthew, który akurat przechodził nieopodal. – Idzie pilnować.

Nie zatrzymał się, nie miał więc okazji zobaczyć, jak usta Jacka rozciągają się w szatańskim uśmieszku. Czy to, co widział, miało przekonać go, że Kit woli już stać na straży niż pozostawać w pobliżu Jacka? Zachciało mu się śmiać. Akurat! Czuł, jak płonie, nawet podczas tych kilku minut na jachcie. Pożądała go tak samo jak on jej. Niedługo, już bardzo niedługo postara się sprawić, by ta mała kocica prężyła się i mruczała jak nigdy dotąd.

Zmusił się, by wrócić myślami do rzeczywistości. Należało rozładować bale, a nie było to łatwe zadanie.

* * *

Kit zaczekała, aż pierwsi mężczyźni opuszczą plażę, a potem ścisnęła piętami smukłe boki Delii i pognała do domu. Jej twarz nadal mieniła się różem i czerwienią. Nie mogła przestać myśleć o tych kilku minutach na pokładzie. I o obietnicy zawartej w ostatnich słowach Jacka.

Nie sądziła już, że wydaje mu się nieatrakcyjna. Zamiast tego zaczęła się zastanawiać, czy nie byłoby lepiej, gdyby więcej się z nim nie zobaczyła.

Skonsternowana uświadomiła sobie, że jej umysł po prostu odrzuca taką możliwość.

Przynajmniej wiesz teraz, o czym mówiła Amy.

Och, Boże, myślała Kit, tylko tego mi brakowało. Przecież nie mogłam zakochać się w Jacku. On jest przemytnikiem!

Przypomniała sobie, jak czuła się na pokładzie. Nawet teraz skóra na pośladkach paliła ją na wspomnienie jego dłoni. Kiedy palce Jacka dotknęły delikatnego miejsca pomiędzy udami, przeszył ją rozkoszny dreszcz. Gdy o tym pomyślała, zaczerwieniła się. Na wspomnienie tego, co powiedział wówczas Jack, jej serce zaczęło bić szybciej. A jeśli on mówił serio?

Rozważyła implikacje tego przypuszczenia i przełknęła gwałtownie. O co dokładnie mu chodziło? Czyżby naprawdę zamierzał..? Ścisnęła bezwiednie uda i Delia jeszcze bardziej wydłużyła krok.

* * *

Jack, znajdujący się o milę dalej, wskoczył na siodło. Jego ludzie rozeszli się, a towar został bezpiecznie ukryty.

– Pojeżdżę trochę, nim wrócę – powiedział do Matthew, po czym skierował Championa na szczyt klifu i ruszył w ślad za klaczą. Nocne wyprawy bardzo go męczyły, lecz nie mógł spokojnie zasnąć, dopóki się nie upewnił, że Kit dotarła bezpiecznie do domu.

W końcu za tydzień Kit wycofa się z przemytu, a wtedy, jeśli w ogóle będzie wracała z nocnego spotkania z Jackiem, uczyni to o bardziej sensownej godzinie – zdecydowanie bliższej świtu.

* * *

Popołudniowe słońce syciło złotem pasma włosów Jacka, spoczywającego w nonszalanckiej pozie na rzeźbionym krześle za biurkiem. Biurko, duże i ciężkie, stało pod oknami biblioteki, a klasyczne linie mebla doskonale

współgrały z szeregiem półek na książki, ustawionych wzdłuż ścian pomieszczenia.

Rodowy sygnet Hendonów rzucał jaskrawoniebieskie błyski na starą suszkę, gdy Jack bawił się od niechcenia nożem do otwierania listów, zrobionym z kości słoniowej. Chociaż ubrany był jak dżentelmen, otaczała go specyficzna aura, właściwa ludziom związanym z armią. Nikt, kto by go zobaczył, nie wątpiłby ani przez chwilę, że ma do czynienia z lordem Hendonem, panem zamku Hendon, królewskim komisarzem okręgu Północny Norfolk.

Teraz oczy królewskiego komisarza zasnuwała mgła zamyślenia, minę zaś miał nachmurzoną.

George przemierzał pokój, spoglądając od niechcenia na liczne publikacje o tematyce sportowej oraz wojskowej, poukładane na bocznych stolikach. Wreszcie zatrzymał się przed marmurowym kominkiem. Umieszczone nad nim lustro w pozłacanej ramie ukazywało budzący zaufanie wizerunek młodego wiejskiego dżentelmena ubranego w nierzucający się w oczy strój pozbawiony uderzającej dystynkcji i elegancji, jaka charakteryzowała Jacka. Przyjemnej powierzchowności towarzyszyło równie miłe usposobienie znajdujące odbicie w szczerym spojrzeniu brązowych oczu oraz ujmującym uśmiechu mężczyzny.

George wyjął zza oprawy lustra pozłacany kartonik.

– Widzę, że otrzymałeś zaproszenie na bal maskowy u Marchmontów. Wybierasz się tam?

Jack podniósł głowę i przez chwilę wyglądał, jakby nie wiedział, o czym mówi George. Potem skrzywił się i powiedział: – Trudno byłoby odmówić. Przypuszczam, że będę musiał się pokazać.

Ton, jakim zostało to powiedziane, odzwierciedlał brak entuzjazmu Jacka. Nie interesowało go życie towarzyskie – całe to uśmiechanie się i błahe rozmowy, partnerowanie w tańcu niezamężnym pannom, przy czym przez cały czas trzeba uważać, aby w kontaktach z nimi nie przekroczyć niewidzialnej granicy. Co za nudy. Poza tym akurat teraz miał na głowie znacznie poważniejszy problem.

Nie był wcale pewny, czy nie przekroczył tej granicy z Kit. Nie przyszła wczoraj na spotkanie, a stało się to po raz pierwszy. Złożył jej nieobecność na karb poczynań przesadnie troskliwego dziadka, co z pewnością okaże się korzystne, kiedy młody Kit będzie musiał zniknąć. Sam jednak doskonale wiedział, że to on jest przyczyną, iż Kit się nie pojawiła. Nie potrafił sobie wyobrazić, dlaczego miałaby poczuć się urażona jego zachowaniem, choć trzeba przyznać, że nie okazał się zbyt subtelny.

Kit była jednak dojrzałą kobietą i choć, jak wiele innych niewiast, lubiła drażnić się z mężczyznami i prowadzić gierki, jej zachowanie, ruchy, a także to, jak zareagowała na jego pieszczoty, jasno świadczyły, iż doskonale zdaje sobie sprawę, do czego prowadzą tego rodzaju zabawy. Po tym, jak

zachowywała się w tawernie, a potem na jachcie, trudno byłoby uwierzyć, że nie chce, aby to nieuchronne zakończenie nastąpiło. Mimo to nie potrafił sobie wyobrazić, jaki inny powód mógłby zatrzymać ją w domu ostatniej nocy.

Bez wahania odrzucił myśl, iż Kit należy do kobiet, które lubią podniecać mężczyzn, a potem się wycofują: była na to zbyt namiętna. A nawet jeśli się pomylił i Kit jest właśnie taka, nie pozwoli, by go w ten sposób potraktowała.

– W co się ubierzesz?

Pytanie George'a wyrwało Jacka z zamyślenia.

– W co się ubiorę? – Zmarszczył brwi. – Gdzieś pewnie znajdzie się jakieś domino.

– Nie przeczytałeś zaproszenia, prawda? – George rzucił kartonik na blat. – Tu jest jasno napisane, że obowiązują kostiumy. Domino nie wystarczy.

– Do licha!

Jack przeczytał zaproszenie, wykrzywiając z politowaniem wargi. – Wiesz, co to znaczy? Tłum pasterek i drezdeńskich mleczarek, uderzających cię w głowę swymi pastuszymi kijami lub trącających cię w goleń skopkami.

George roześmiał się i usiadł na krześle naprzeciw biurka. – Nie będzie aż tak źle.

Jack uniósł cynicznie brwi. – A ty, za kogo się przebierzesz?

George się zaczerwienił. – Za Arlekina. – Gdy Jack parsknął śmiechem, George zrobił urażoną minę. – Powiedziano mi, że to jedno z poświęceń, na które musi się zdobyć narzeczony.

– Dzięki Bogu, nie jestem zaręczony!

Jack ponownie przyjrzał się zaproszeniu. A potem uśmiechnął się z wolna.

Przyjaciel znał ten uśmiech aż nadto dobrze. – Co zamierzasz? – zapytał z drżeniem w głosie.

– Cóż, to chyba oczywiste, prawda?

Jack oparł się wygodnie. Jego oczy błyszczały oczekiwaniem. – Spodziewają się, że przyjdę przebrany, a mimo to możliwy do rozpoznania i stanę się głównym celem matrymonialnego ostrzału, prawda?

George przytaknął.

– Czy już ci mówiłem, że dotarły do mnie wieści, i to z wiarygodnego źródła, że lady Marchmont pragnie upolować mnie dla jednej ze swoich protegowanych?

George potrząsnął głową.

– No cóż, tak to wygląda. A zatem wydaje się oczywiste, że jeśli w ogóle mam pojawić się na tym balu, muszę mieć na sobie przebranie, które nie pozwoli im od razu mnie rozpoznać. W ten sposób zdołam rozeznać się w sytuacji. Pójdę tam jako kapitan Jack, pirat i przemytnik, przywódca szajki z Hunstanton.

Mina George'a wyrażała jawny sceptycyzm. – A co z twoimi włosami?

– Mam tu gdzieś perukę dziadka. Jeśli ją włożę, chyba zdołam prześliznąć się nierozpoznany, jak myślisz?

George przytaknął, acz bez przekonania. Jeśli Jack zakryje włosy, jego wzrost, choć słuszny, nie będzie już tak bardzo rzucał się w oczy. Jednakże… George bacznie przyjrzał się postaci za biurkiem. W Norfolk nie ma zbyt wielu mężczyzn zbudowanych tak jak Jack, pomyślał. Lecz nie było sensu się sprzeczać. Jack i tak zrobi, co zechce. Sukces jego planu będzie zależał od tego, na ile spostrzegawcze okażą się damy z okolicy. A większość z nich nie widziała Jacka od z górą dziesięciu lat.

– Kto wie? – zastanawiał się głośno Jack. – Może jedna z tych niewiast okaże się dla mnie odpowiednia?

George spojrzał na niego zdumiony.

– Czy mam rozumieć, że na serio rozważasz pomysł, by się ożenić? – zapytał z jawnym niedowierzaniem.

Jack machnął niedbale dłonią, jakby temat niezbyt go interesował.

– Kiedyś będę musiał, choćby po to, by spłodzić dziedzica. Ale nie myśl sobie, że chętnie pójdę w twoje ślady. Małżeństwo to piekielnie ryzykowny interes, jakkolwiek na to patrzeć.

George odprężył się, a potem skorzystał z okazji, by poruszyć temat, którego Jack zazwyczaj starannie unikał.

– A jakąż to kobietę wybrałbyś na żonę?

– Ja?

Jack otworzył szeroko oczy i przez chwilę rozważał problem. – Musiałaby posiadać odpowiednią pozycję i tym samym nadawać się na lady Hendon i matkę moich dzieci.

– Oczywiście.

– Poza tym… – Jack wzruszył ramionami, a potem się uśmiechnął. – Przypuszczam, że ułatwiłoby to wszystkim życie, gdyby była przynajmniej ładna i potrafiła porozmawiać przy filiżance porannej herbaty. Poza tym wymagałbym jedynie, aby trzymała się z dala od moich spraw.

– Ach – powiedział George sceptycznie. – A jakież to sprawy masz na myśli?

– Jeśli sądzisz, że zamierzam pogrążyć się w rozkoszach monogamicznego związku z kobietą, która jest zaledwie ładna, to się mylisz – powiedział Jack kwaśno. – Nigdy nie rozumiałem, na czym polega całe to zamieszanie wokół wierności i małżeństwa. Z tego, jak ja to rozumiem, te dwie rzeczy niekoniecznie muszą iść ze sobą w parze.

George zacisnął wargi, ale zbyt dobrze znał Jacka, aby pouczać go w tej materii. Zapytał więc tylko: – Nie utrzymujesz teraz żadnej kochanki?

Jack uśmiechnął się ze szczerą radością.

– W tej chwili nie. Ale wybrałem już kandydatkę, która doskonale nada się

do tej roli.

Jego srebrzyste oczy nabrały nieobecnego wyrazu, kiedy przypomniał sobie delikatne, a zarazem kobiece kształty Kit.

George chrząknął, lecz się nie odezwał.

– Tak czy inaczej – powiedział Jack, otrząsając się z zamyślenia – kobieta, którą poślubię, będzie musiała zrozumieć, że są w moim życiu sprawy, na które nie ma wpływu.

Nie potrafił sobie nawet wyobrazić, by mając Kit za kochankę, mógł jeszcze chcieć żony. A już z pewnością nie po to, by ogrzewała mu łoże – do tego Kit nada się doskonale.

Rozdział 14

Hałas, śmiech i odległe zawodzenie skrzypiec powitały Kit, kiedy wchodziła po stopniach Marchmont Hall. Przy drzwiach stał kamerdyner, bacznie wypatrując u każdego z gości wawrzynowej gałązki. Kit podeszła do niego i uśmiechając się, wskazała dłonią w rękawiczce listki wystające z dziurki w klapie surduta.

Kamerdyner skinął głową. Kit pochyliła się, zadowolona, że nie została rozpoznana. Lokaj widywał ją wystarczająco często, by można było potraktować spotkanie z nim jako próbę. Zyskawszy nieco pewności siebie, ruszyła nieśpiesznie ku szerokim podwójnym drzwiom, prowadzącym do sali balowej, zatrzymując się po drodze, by sprawdzić, czy zwykła czarna maseczka dostatecznie zakrywa jej twarz.

Gdy tylko przekroczyła próg, natychmiast uświadomiła sobie, że przygląda się jej wiele par oczu. Przez chwilę czuła się zaniepokojona, lecz pewność siebie wróciła, gdy tylko przekonała się, że goście spoglądają na nią jedynie z ciekawością. Nie potrafili rozpoznać eleganckiego młodzieńca. Spokojnie, jakby uznając to zainteresowanie za coś absolutnie jej należnego, podeszła do grupy gości, stojących w pobliżu parkietu. Gdy dowiedziała się o balu, poleciła Elminie, by przerobiła wieczorowy surdut w kolorze ciemnego błękitu, należący kiedyś do jej kuzyna Geoffreya, i zmusiła starszą pokojówkę, aby uszyła dla niej inekspryмable, przylegające do nóg niczym druga skóra. Błękitno-złota kamizelka służyła niegdyś jako podszewka brokatowej spódnicy i była na tyle długa, że maskowała kobiece kształty, które ciasny krój bryczesów z pewnością by ujawnił. Śnieżnobiała krawatka, pożyczona od Spencera, została zawiązana we wschodnim stylu. Brązowa peruka stanowiła największe wyzwanie; Kit znalazła cały ich kufer na strychu i spędziła wiele godzin, dokonując wyboru, a potem przycinając loki tak, by tworzyły bardziej współczesną fryzurę. Końcowy efekt w pełni ją zadowolił. Czuła się dumna ze swego przebrania.

Przyszła tu głównie po to, by zlokalizować wśród gości lorda Hendona. Wyobrażała sobie, że będzie stał otoczony wianuszkiem miejscowych dam, lecz kiedy rozejrzała się po sali, szybko stwierdziła, że nic z tego. Lady Dersingham stała obok podwyższenia dla muzyków, lady Gresham siedziała niedaleko drzwi wiodących na balkon, lady Marchmont zaś zajęła stanowisko tak blisko wejścia, jak tylko się dało. Widać było, że damy pilnie kogoś wypatrują.

Kit uśmiechnęła się pod maską. Ona była jedną z osób, których jej lordowskie moście tak niecierpliwie wyglądały, drugą miał być zapewne lord

Hendon. Ten jednak najwidoczniej jeszcze się nie zjawił. Kit zaczęła krążyć pomiędzy gośćmi, starając się przez cały czas mieć na oku przynajmniej jedną z dobrze życzących jej dam. Była pewna, że zareagują, gdy tylko królewski komisarz pojawi się na progu.

Kit uznała, że bal stanowi jedyną i niepowtarzalną okazję, aby w spokoju przyjrzeć się lordowi. Zamierzała ocenić, jakiż to człowiek kryje się za tytułem, a jeśli wynik tego badania ją zadowoli, przeprowadzić dalsze rozpoznanie. Skoro miała na sobie męskie przebranie, nietrudno przyjdzie jej znaleźć temat, który będzie mogła poruszyć w rozmowie z królewskim komisarzem.

Kit wypatrzyła Amy, przebraną w kostium Kolombiny, i ruszyła ku niej przez salę. Spostrzegła Spencera, rozmawiającego o uprawie roli z ojcem Amy, i ominęła go szerokim łukiem. Przekonała dziadka, aby pozwolił jej przybyć na bal samej. Gdyby pojawiła się u jego boku, od razu zostałaby rozpoznana i jej przebranie na nic by się nie zdało. Spencer zgodził się, przypuszczając, że Kit pragnie zbić z tropu przyjaciółkę i inne damy. Oddał więc do dyspozycji wnuczki mniejszy powóz. Jednak Kit przyjechała na grzbiecie Delii. Nigdy przedtem nie pokazała się w Marchmont Hall na wierzchowcu, więc żaden z chłopców stajennych nie mógł rozpoznać Delii.

Sala balowa Marchmont Hall była wąska i długa. Kit torowała sobie drogę przez tłum, kłaniając się od czasu do czasu ludziom, których znała, i ciesząc się w duchu, gdy spoglądali na nią skonfundowani. Nie odzywała się też bez potrzeby, gdyż znajomi mogliby rozpoznać charakterystyczne, nieco ochrypłe brzmienie jej głosu. Kit wolałaby tego uniknąć, zdawała sobie bowiem w pełni sprawę, że jej przebranie jest skandaliczne. Dlatego nie zamierzała pozostać w Marchmont Hall do chwili, gdy goście zdejmą maski.

Kiedy zbliżyła się do podium dla orkiestry, muzycy właśnie zaczęli stroić instrumenty.

– Hej, młodzieńcze!

Kit odwróciła się i spostrzegła, że zmierza ku niej gospodyni, prowadząc za sobą dziewczynę o dość przeciętnej urodzie. Kit wstrzymała oddech i skłoniła głowę, modląc się w duchu, by nie zsunęła się jej maska.

– Nie mam bladego pojęcia, kim jesteś, chłopcze, ale potrafisz chyba tańczyć?

Kit przytaknęła. Tak bardzo ulżyło jej, że nie została rozpoznana, iż nie pomyślała o tym, że rozsądniej byłoby zaprzeczyć.

– Doskonale! Możesz wiec zatańczyć z tą śliczną pastereczką. – Tu lady Marchmont ujęła dziewczę za rękę i przekazała ją Kit. Kit ujęła dłoń dziewczyny i skłoniła się nisko.

– Jestem oczarowany – mruknęła, zastanawiając się gorączkowo, czy potrafi tańczyć jak mężczyzna.

Pasterka dygnęła, a Kit skrzywiła się pod maską. Dziewczyna niemal się zachwiała; zdecydowanie powinna przećwiczyć ukłon przed lustrem.

Lady Marchmont westchnęła z ulgą i poklepawszy Kit na pożegnanie po ramieniu, wyruszyła na poszukiwanie dżentelmenów, którzy mogliby zatańczyć z samotnym panienkami.

Na szczęście muzycy właśnie zaczęli grać i rozmowa nie okazała się konieczna. Zajęły wraz z partnerką miejsce pośród korowodu i taniec się rozpoczął. Już po chwili Kit zorientowała się, że dla dziewczyny kotylion stanowi znacznie cięższą próbę niż dla niej. Kit uczyła swego czasu tańca młodszych kuzynów, znała więc męskie kroki. Jej ufność we własne umiejętności rosła z każdą chwilą, podczas gdy pasterka zmieniła się w istny kłębek nerwów i nieustannie myliła kroki. W pewnej chwili o mało się nie potknęła i Kit powiedziała najbardziej zachęcająco, jak tylko była w stanie: – Nie denerwuj się tak. Dobrze ci idzie, a będzie jeszcze lepiej, jeśli się odprężysz.

Dziewczę nagrodziło jej starania wymuszonym uśmiechem.

Kit westchnęła bezgłośnie i przez następnych kilka minut pracowała nad tym, by uspokoić nieszczęsną pasterkę i dodać jej pewności siebie. Udało jej się na tyle, że pod koniec dziewczyna uśmiechała się już normalnie, a kiedy muzyka umilkła, podziękowała Kit wylewnie.

*** * ***

Jack przyglądał się tańczącym z drugiego końca pokoju. Przybył piętnaście minut wcześniej, odziany w strój „niezamożnego wiejskiego dżentelmena”, czarną maseczkę i brązową perukę. Przez pierwsze trzy minuty wszystko szło doskonale. A potem sprawy wzięły w łeb i wieczór potoczył się zgoła nie tak, jak zaplanował. Najpierw rozpoznał go lord Marchmont, choć Jack nie miał pojęcia, jak do tego doszło. Rozpoznawszy, natychmiast zapragnął przedstawić Jacka małżonce. Niestety, lady Marchmont stała akurat w towarzystwie trzech innych dam i Jack musiał przywitać się też z nimi. Chcąc nie chcąc, poznał więc lady Gresham, lady Dersingham i lady Falworth.

Lady Marchmont, przekonana, iż wyświadcza mu przysługę, zapewniła figlarnie, że jest tu ktoś, kogo Jack koniecznie powinien poznać. Jack z trudem powstrzymał dreszcz zgrozy, zwłaszcza kiedy dostrzegł błysk w oczach pozostałych pań. Najwidoczniej sprzymierzyły się, by przykuć go do jakiejś przeklętej baby. Paradoksalnie, strach pomógł mu się uwolnić. Przez chwilę czarował panie rozmową, a potem opuścił je pod pretekstem, iż chciałby czegoś się napić. W ostatniej chwili przypomniał sobie, że powinien kuleć. Kalectwo, choć niewielkie, pomogło mu wymówić się od tańca. By odzyskać równowagę, potrzebował solidnego drinka. Matthew pojechał do tawerny Pod Kosem, by omówić warunki przejęcia kolejnej partii towaru. Jack żałował, że

nie może być z nim. Siedziałbym teraz spokojnie w tawernie, mając przed sobą kufel ohydnego piwska, pomyślał.

W alkowie za salą balową, gdzie podawano napoje, natknął się na George'a, zdecydowanie posępnego Arlekina. Na widok przyjaciela parsknął szczerym śmiechem. George spojrzał na niego z wyrzutem.

– Wiem, że wyglądam dość głupio, ale co miałem zrobić?

– Zerwać zaręczyny?

George zmiażdżył go spojrzeniem. – Nie powiem, żebym nie uważał tego za wystarczający powód.

Jack poklepał go po ramieniu. – Zapomnij o swoich kłopotach. Moje są gorsze.

George przez chwilę przyglądał się zaciśniętym szczękom przyjaciela. – Rozpoznali cię?

Jack skinął głową, sięgając po szklaneczkę brandy. – Prawie natychmiast. Bóg wie, co mnie zdradziło.

George już otwierał usta, by mu powiedzieć, ale nie zdążył.

– Boże w niebiosach! – zawołał Jack i o mało nie zakrztusił się brandy. Odwrócił się plecami do sali balowej i spytał zdumiony: – Do diabła! Co tu robi młody Kit?

George zmarszczył brwi i zaczął uważnie przyglądać się gościom. – Gdzie?

– Tańczy, uwierzysz? Z pasterką w bladoróżowej sukni, trzeci rząd od drzwi.

George zlokalizował smukłego młodzieńca wykonującego właśnie ostatnie figury kotyliona. – Jesteś pewien, że to on?

Jack przełknął odpowiedź: „Oczywiście, że jestem pewien, poznałbym jej nogi wszędzie". Zamiast tego powiedział jedynie: – Jestem.

George spojrzał na młodzieńca przez pokój. – Peruka?

– I najlepsze odświętne ubranie – powiedział Jack, ryzykując szybkie spojrzenie na salę. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnął, było zostać dostrzeżonym przez Kit. Jeśli namiestnik królewski tak szybko go rozpoznał, Kit nie będzie od niego gorsza. Tylko że ona zna go jako kapitana Jacka.

– Może Spencer go tu przyprowadził?

– Akurat! Już prędzej młody diabeł postanowił zobaczyć wreszcie, jak żyje druga połowa społeczeństwa.

George się uśmiechnął. – Cóż, chyba nic mu nie grozi. Po prostu będzie musiał wyjść, nim wszyscy zdejmą maski.

– Tak, ale co będzie, jeśli rozpozna któregoś z nas?

George natychmiast przestał się uśmiechać. – Och…

– Właśnie. Więc jak usuniemy Kita z tego czarującego zgromadzenia, by nie wywołać zamieszania?

Przez chwilę sączyli spokojnie brandy, rozważając problem. Jack nadal stał tyłem do sali, podczas gdy George, którego o wiele trudniej byłoby rozpoznać

w kostiumie Arlekina, pilnie przyglądał się Kit.

– Pożegnał się z partnerką i idzie przez pokój.

– Czy twoja narzeczona tam jest? – zapytał Jack. – Mógłbyś ją poprosić, aby wręczyła Kitowi bilecik?

George skinął głową. Jack wyjął mały notes i ołówek. Po chwili zastanowienia skrobnął parę słów, a potem starannie złożył karteczkę.

– To powinno wystarczyć – powiedział, wręczając notatkę George'owi. – Jeśli nie wrócę do czasu, aż wszyscy zdejmą maski, przeproś w moim imieniu.

Odstawił pustą szklaneczkę i odwrócił się, by wyjść.

Przerażony George zastąpił mu drogę. – A co, u licha, miałbym powiedzieć? Ten bal został zorganizowany, by wprowadzić cię do towarzystwa.

Jack uśmiechnął się ponuro. – Powiedz im, że zostałem wezwany, by zbadać przypadek fałszywej tożsamości.

* * *

Kit, uwolniona wreszcie od towarzystwa zapatrzonej w nią pasterki, umknęła czym prędzej z parkietu, kierując się w stronę, gdzie ostatnio widziała Amy. Lecz kiedy dotarła na miejsce, Amy już tam nie było. Przez jakiś czas spacerowała więc po sali, pilnując się, by nie wpaść w oko pasterce i lady Marchmont.

W końcu to Amy ją odnalazła.

– Przepraszam bardzo.

Kit odwróciła się i spojrzała na Kolombinę o zakrytej maseczką twarzy. Uśmiechnęła się pod maską, która o wiele staranniej zakrywała jej twarz. Pochyliła w ukłonie głowę, a gdy ją uniosła, spostrzegła, że Amy przygląda się jej, zmieszana i niepewna.

– Proszono mnie, bym doręczyła tę wiadomość… Boże, Kit!

Kit chwyciła przyjaciółkę za ramię i ścisnęła je ostrzegawczo.

– Ciszej, głuptasie! Co mnie zdradziło?

– Głównie oczy. Lecz także wzrost, postawa i coś w sposobie trzymania dłoni…

Amy objęła spojrzeniem doskonale skrojony surdut Kit, a potem spojrzała w dół, na smukłe nogi, których kształtu nie kryły obcisłe bryczesy do kolan i ozdobione szlaczkiem pończochy.

– Och, Kit!

Pełne przerażenia westchnienie przyjaciółki sprawiło, że Kit poczuła wyrzuty sumienia.

– Tak, właśnie dlatego nikt nie może się domyślić, kim jestem. Na miłość boską, Amy, nie czerwień się tak, bo ktoś pomyśli, że czynię ci nieprzystojne propozycje!

Amy zachichotała.

– Nie możesz też ująć mnie pod ramię ani w ogóle zbyt blisko się przysuwać. Myśl, Amy – dodała błagalnym tonem – inaczej wpakujesz mnie w nie lada tarapaty!

Amy posłusznie starała się wyobrazić sobie, że Kit to młodzieniec.

– To nie takie łatwe, zważywszy, iż znam cię przez całe życie i dobrze wiem, że nie jesteś chłopcem.

– Gdzie ta wiadomość?

Kit wyjęła z dłoni Amy karteczkę i rozwinęła ją. Przeczytała napisane tam słowa trzy razy, nim mogła uwierzyć własnym oczom.

Kit, spotkaj się ze mną na tarasie najszybciej, jak to możliwe. Jack.

– Skąd to masz? – spytała, spoglądając na Amy.

Amy odwzajemniła spojrzenie. George nalegał, by nie mówiła smukłemu młodzieńcowi, kto dał jej karteczkę, ale czy George wiedział, że ów młodzieniec to Kit? Zmarszczyła brwi.

– Nie wiesz, kto to napisał?

– Wiem, lecz zastanawiam się, kto ci to dał. Rozpoznałaś go?

Amy zamrugała. – Wiadomość była przekazywana z ręki do ręki. Nie mam pojęcia, kto ją napisał.

To przynajmniej jest prawda, pomyślała.

Kit, zaskoczona faktem, że Jack jest gdzieś wśród gości, nie zwróciła uwagi, że zwykle szczera i prostoduszna Amy udzieliła wykrętnej odpowiedzi. Zapomniawszy o tym, co przed chwilą mówiła, położyła dłoń na ramieniu przyjaciółki.

– Amy, obiecaj mi, że nie powiesz nikomu o moim przebraniu.

Amy gorliwie zapewniła, że dochowa tajemnicy.

– Oczywiście nie zostanę na balu do chwili, gdy wszyscy zdejmą maski. Czy mogłabyś powiedzieć lady Marchmont i Spencerowi, że źle się poczułam i wróciłam wcześniej do domu? Powiedz Spencerowi, że nie chciałam psuć mu zabawy.

Kit uśmiechnęła się posępnie. Gdyby została do końca balu, z pewnością zepsułaby Spencerowi nie tylko ten jeden wieczór.

– A co z liścikiem? – spytała Amy.

– Ach, to. – Kit wepchnęła karteczkę do kieszeni. – To tylko żart ze strony kogoś, kto też mnie rozpoznał.

– Ach, tak – powiedziała Amy, bacznie przyglądając się przyjaciółce. Męskie przebranie było niemal doskonałe. Skoro ona rozpoznała Kit z najwyższym trudem, komu jeszcze mogło się to udać?

– A teraz, moja droga, musimy się rozstać, inaczej ludzie zaczną się zastanawiać.

– Ale nie zrobisz niczego skandalicznego, prawda?

Kit powstrzymała chęć, aby uścisnąć przyjaciółkę. – Oczywiście, że nie. Właśnie robię, co mogę, by tego uniknąć.

Skłoniła się Amy z błyskiem w oku.

Wyraz twarzy Amy świadczył niedwuznacznie, iż uważa, że przyjście na bal w męskim przebraniu stoi w jawnej sprzeczności z chęcią uniknięcia skandalu. Dygnęła jednak i oddaliła się niechętnie.

Kit schroniła się za wielką palmą w kącie sali. Ostrożność nakazywała jej unikać Jacka, ale czy było to możliwe? Albo rozsądne? Jeśli nie pojawi się na tarasie, jemu z pewnością nie zabraknie odwagi, by przyjść do sali balowej i stanąć u jej boku. Nie, lepiej już spotkać się z nim na zewnątrz. W końcu co może grozić jej na tarasie domu królewskiego namiestnika?

Zaczęła przyglądać się gościom, szukając wśród nich mężczyzn o wzroście i postawie kapitana. Lecz żaden z nich nie był Jackiem. Ciekawe, co za szaleństwo skłoniło go, by pojawić się na balu. Podeszła do wysokich okien, wychodzących na taras biegnący wzdłuż całej długości domu.

Nocne powietrze wydało jej się rześkie i odświeżające w porównaniu z duchotą, jaka panowała w zatłoczonej sali balowej. Kit wzięła głęboki oddech, a potem rozejrzała się dookoła. Miała stawić się na tarasie, lecz gdzie dokładnie?

Poza nią przebywało tu jeszcze kilka par, które też wyszły zaczerpnąć świeżego powietrza. Nikt nie zwracał uwagi na smukłego młodzieńca w ciemnoniebieskim surducie. Kit przechadzała się przez chwilę, ostentacyjnie spoglądając w niebo i starając się sprawiać wrażenie, iż znużył ją tłok i gwar sali balowej. A potem zobaczyła Jacka, a raczej zarys jego sylwetki. Siedział na balustradzie w oddalonym kącie tarasu.

– Do diabła! Co ty tu robisz? – syknęła, podchodząc bliżej. Siedział oparty o ścianę, machając beztrosko nogą w wysokim bucie.

Jack, który przyglądał się, jak Kit nadchodzi, wyszeptał zaskoczony i oburzony: – Co ja tu robię? Natychmiast mów, skąd się tu wzięłaś, niemądra smarkulo?

Kit zauważyła niebezpieczny błysk w oczach, spoglądających na nią przez otwory w masce. Zadarła do góry brodę. – Nie twoja sprawa. Poza tym ja zapytałam pierwsza.

Jack zaklął bezgłośnie. Przejęty koniecznością usunięcia Kit z balu najszybciej, jak tylko się da, nie poświęcił ani chwili, aby wymyślić jakieś usprawiedliwienie swojej obecności.

– Jestem tu z tego samego powodu co ty.

Kit stłumiła śmiech. Pomysł, że Jack, w przebraniu, rozgląda się za potencjalną narzeczoną, wydał jej się doprawdy zabawny.

– Jak mnie poznałeś?

Jack uśmiechnął się kpiąco. – Powiedzmy, że pewne szczegóły twojej

anatomii wbiły mi się w pamięć.

Kit oblała się rumieńcem i jeszcze wyżej uniosła brodę. – Po co chciałeś się ze mną zobaczyć?

Jack zamrugał. Co ona sobie, u licha, wyobraża? – Chciałem mieć pewność, że skoro już zobaczyłaś, jak się bawi druga połowa społeczeństwa, uznasz za rozsądne zniknąć, nim ktoś cię rozpozna.

Kit spochmurniała za zasłoną maski. Ten człowiek jest doprawdy nie do zniesienia. Co on sobie wyobraża? Jak śmie wydawać jej polecenia?

– Doskonale potrafię sama zatroszczyć się o siebie, dziękuję.

Ton, jakim zostało to powiedziane, przekonał Jacka, że Kit nie zamierza wziąć sobie do serca jego sugestii. Westchnął ciężko i wstał. – Pomyślałaś o tym, jakie zamieszanie wywołałabyś, gdyby ta peruka zsunęła ci się przypadkiem w tańcu?

Zrobił krok w jej stronę, lecz stanął, gdy Kit się cofnęła. Rozejrzał się szybko i spostrzegł, że nie są sami. Na drugim końcu tarasu obejmowała się jakaś para.

Kit przez chwilę rozważała, czy nie powinna nalegać, aby Jack znowu usiadł. Zrezygnowała jednak. Wątpiła, by jej posłuchał. Choć doskonale potrafił wydawać rozkazy, trudno mu było się podporządkować. A w świetle księżyca jego wysoka, potężna sylwetka wydawała się szczególnie groźna i onieśmielająca. Zwłaszcza że Kit nie zamierzała być mu posłuszna. Cofnęła się jeszcze o krok.

– Dla ciebie bal już się skończył, Kit. Pora wracać do domu.

Kit cofnęła się o kolejny krok, a potem uznała, że dzieli ich wystarczająca odległość, by mogła bezpiecznie powiedzieć: – Nie zamierzam jeszcze wychodzić. Osoba…

Nie zdołała powiedzieć nic więcej, gdyż Jack zakrył jej usta dłonią i niemal w tej samej chwili objął ją wpół i podniósł. Nawet nie zorientowała się, gdy stanął z tyłu i ruszył ku balustradzie, niosąc ją przed sobą. Zaczęła się wyrywać, ale na próżno.

Jack usiadł na balustradzie, posadził sobie Kit na kolanach, a potem przełożył nogi na drugą stronę i zeskoczył na znajdującą się dwa metry niżej rabatkę, trzymając Kit bezpiecznie przed sobą.

Kit, rozwścieczona ponad wszelkie wyobrażenie, czekała, aż ją uwolni. Gdy to uczynił, odwróciła się błyskawicznie i zawołała: – Ty draniu! Jak śmiesz…

Ku zaskoczeniu Kit olbrzymia dłoń obróciła ją ponownie tak, że znalazła się plecami do Jacka. Znowu została zmuszona do milczenia w pół słowa, z własną maską wciśniętą w usta jako knebel. Materiał skutecznie stłumił krzyk oburzenia Kit. Odwróciła się raz jeszcze, sięgając do ust, by wyjąć maskę, lecz Jack odwrócił się wraz z nią. Poczuła, że chwyta jej nadgarstki, a potem związuje je czymś, prawdopodobnie chustą, którą miał na szyi.

Zaskoczona, zaczęła protestować, lecz knebel skutecznie tłumił wszelkie odgłosy.

Jack stał teraz przed nią. Widziała, jak przez szczeliny w masce błyszczą szelmowsko jego oczy.

– Na balu powinnaś zachowywać się jak dama, wiesz o tym, prawda?

Ciętą odpowiedź Kit stłumił po raz kolejny knebel. Jack zachichotał i pochylił się; nagle Kit uświadomiła sobie, że spogląda na zniszczone petunie lady Marchmont z pewnej wysokości. Jack zarzucił sobie Kit na ramię niczym worek kartofli i przytrzymując muskularnym ramieniem nogi dziewczyny, zaczął oddalać się od domu. Kit próbowała protestować, ale umilkła, gdy Jack przesunął dłonią po jej dogodnie wyeksponowanych pośladkach. Zapadła brzemienna znaczeniem cisza. Jack poklepał z upodobaniem jędrne półkule, po czym uśmiechnął się i ruszył przed siebie.

Kierował się ku zaroślom na końcu trawnika. Podążając ścieżką pomiędzy wysokimi żywopłotami, rozglądał się za miejscem, gdzie mógłby bezpiecznie złożyć swą zdobycz.

Ścieżka kończyła się zatoczką w kształcie wachlarza, znajdującą się tuż za skrzyżowaniem dwóch innych ścieżek. W zatoczce ustawiono kamienną ławkę o rzeźbionym oparciu. I to pomiędzy tym oparciem a wygiętym w kształt łuku żywopłotem Jack znalazł idealne miejsce, by pozostawić tam niechętną towarzyszkę.

Lecz nim to zrobił, odpiął pas, związał Kit starannie nogi w kolanach, a potem zsunął ją z sobie z ramienia i postawił.

Kit wpatrywała się prosto w jego twarz, płonąc bezsilnym gniewem i robiąc w myśli przegląd epitetów, którymi miałaby ochotę go obrzucić.

Jack uśmiechnął się i posadził ją na ławie. Zdjął maskę i wcisnął ją sobie do kieszeni.

– Muszę cię zostawić na czas, aż zorganizuję jakiś transport. Jak się tu dostałaś? Możesz mi powiedzieć, i tak szybko się dowiem.

Kit wpatrywała się w niego, lecz milczała.

– Delia? – zaryzykował Jack.

Kit skinęła niechętnie głową. Wystarczy, że Jack zajrzy do stajni, i już będzie wiedział.

– Doskonale.

Podniósł ją i Kit uświadomiła sobie, co zamierza zrobić. Zaczęła się szarpać i rozpaczliwie potrząsać głową, lecz Jack nie zwrócił na to uwagi. A potem wylądowała ułożona na boku w cienistej niszy za ławką.

Jack pochylił się nad nią.

– Jeśli zachowasz spokój, nikt nie będzie cię niepokoił.

A pająki? – pomyślała Kit, przerażona. Spojrzała na Jacka najbardziej błagalnie, jak tylko potrafiła, lecz on nie zwrócił uwagi. – Wkrótce wracam –

powiedział jak gdyby nigdy nic i zniknął jej z oczu.

Kit leżała cicho, zastanawiając się nad swoim położeniem. Nie mogła wręcz uwierzyć w to, co jej się przydarzyło. Została porwana! Porwana z balu u królewskiego namiestnika przez mężczyznę, co do którego nie miała pewności, czy może mu zaufać. Uznał, że Kit może coś zrobić źle i napytać sobie biedy, dlatego w typowy dla siebie, nieznoszący sprzeciwu sposób postanowił usunąć ją z widoku. Nie miała wątpliwości, że Jack tak właśnie postrzegał sytuację, więc jego działanie szczególnie jej nie zdziwiło. Coś innego martwiło ją i niemal wprawiało w panikę: nie wiedziała, co Jack zamierza z nią zrobić.

Dokąd ją zabierze? I co będzie, kiedy już się tam znajdą?

Tego rodzaju pytania nie sprzyjały spokojnemu oczekiwaniu w ciemności na powrót porywacza. Wprawna dłoń gładząca jej pośladki sprawiła, że na samo wspomnienie Kit przeszył nieznany, przyjemny dreszcz.

Próbując zapanować nad ogarniającym ją strachem, zmusiła się, by pomyśleć o tym, dlaczego Jack znalazł się na balu. Powiedział, że jest tu z tego samego powodu co ona. Prawdopodobnie miało to oznaczać, że pojawił się tam dla czystej przygody, aby zobaczyć, jak bawią się lepiej urodzeni. Z pewnością mógłby tak postąpić, już choćby dla zabawy – patrzcie, oto kapitan Jack, herszt bandy przemytników, na balu u królewskiego namiestnika.

*** * ***

Jack zatrzymał się w cieniu przed stajnią, próbując rozeznać się w sytuacji. W świetle lampy wiszącej za drzwiami siedziało tylko dwóch stajennych. Stangreci gości, także jego własny, przebywali zapewne w kuchni, bawiąc się w gronie służby. Wszystko będzie dobrze, pomyślał, jeśli tylko się nie okaże, że jeden z pozostawionych w stajni chłopców jest tym, który odbierał Delię od Kit.

– Wy dwaj! Mój koń, szybko! – zawołał władczym tonem, wychodząc z cienia.

– Pański koń, sir? – Stajenni wstali i spojrzeli na niego niepewnie.

– Tak, do licha, mój koń. Czarny arab.

– Tak, proszę pana. Już się robi.

Gorliwość, z jaką obaj rzucili się do boksu, upewniła Jacka, że wszystko jest w porządku. Delia nie zamierzała jednak pozwolić, by siodłali ją dwaj niezdarni stajenni. Jack minął ich i podszedł do klaczy. – Zostawcie ją. Sam to zrobię.

Miał do czynienia z Delią wystarczająco często, by zaakceptowała jego dotyk. Gdy tylko osiodłał klacz, wyprowadził ją na dziedziniec, a potem wskoczył na siodło, modląc się, by klacz nie znarowiła się pod jego ciężarem

i by stajenni nie spostrzegli, że strzemiona są dla niego za krótkie.

Bogowie jednak byli mu życzliwi. Delia zatańczyła pod nim i prychnęła, lecz zareagowała na wodze. Jack skinieniem głowy odprawił stajennych i wyprowadził klacz z dziedzińca. Gdy tylko stajnie zniknęły mu z oczu, skierował się z powrotem ku rezydencji i krzakom, gdzie pozostawił Kit.

* * *

Pierwszą oznaką świadczącą o tym, że nie jest już sama, był miękki chichot, po którym nastąpił cichy kobiecy jęk. Zamarła. Niemal w tym samym momencie jej uszu dobiegł szelest jedwabnej spódnicy. Kobieta usiadła na ławce.

– Kochanie! Jesteś doprawdy zbyt zapalczywy.

Nie znała kobiety, której sylwetka majaczyła zaledwie w ciemności. Księżyc połyskiwał na jej blond lokach i nagich ramionach.

– Zapalczywy? – Mężczyzna usiadł obok kobiety. Ton jego głosu wyrażał urazę. – A jak określiłabyś swoje zachowanie, to, że robiłaś cielęce oczy do tego diabła Hendona?

Kit uniosła brwi. Diabła?

– Doprawdy, Haroldzie. To takie prostackie. Nie robiłam niczego podobnego. Jesteś po prostu zazdrosny.

– Zazdrosny? – zapytał Harold głośniej.

– Tak, zazdrosny. Tylko dlatego, że lord Hendon ma cudownie szerokie ramiona.

– Nie sądzę, by to jego ramiona wywarły na tobie aż takie wrażenie, moja droga.

– Nie bądź wulgarny, Haroldzie.

Przez chwilę oboje milczeli, a potem odezwała się kobieta. – Po zastanowieniu ośmielam się twierdzić, że lord Hendon może być też godny uwagi w innych miejscach.

Harold burknął coś sfrustrowany i dwie sylwetki ponad Kit stopiły się w jedno.

Kit leżała w swoim zakątku, starając się zignorować westchnienia i śmieszne ciche pojękiwania, dochodzące z ławki. Przysłuchiwanie się im mogłoby zniechęcić do seksu na resztę życia. Powróciła do kontemplowania wizerunku lorda Hendona, jaki zaczął kształtować się w jej umyśle. Być może oceniła go zbyt pochopnie. Z pewnością diabeł o szerokich ramionach i wywierających równie imponujące wrażenie innych częściach ciała nie pasował do wyobrażenia, jakie sobie stworzyła. A kobieta na ławce sprawiała wrażenie osoby, która wie, o czym mówi.

Być może powinna bliżej przyjrzeć się Hendonowi. Ostatecznie po to

zjawiła się na balu, czyż nie? A teraz, kiedy zdążyła już niemal zmienić o nim zdanie, Jack wkrótce się pojawi i zabierze ją stąd, niwecząc szansę, by mogła bliżej przyjrzeć się królewskiemu komisarzowi.

Przypomniawszy sobie, że nie wie, dokąd Jack zamierza ją zabrać, spróbowała poluzować więzy na nadgarstkach, lecz bezskutecznie. Oczywiście gdyby zaczęła głośno jęczeć, być może zwróciłoby to w końcu uwagę zajętej sobą pary, lecz kiedy pomyślała o tym, jakich wyjaśnień musiałaby im udzielić, prędko zrezygnowała z tego pomysłu.

Gdyby na świecie była jakaś sprawiedliwość, lord Hendon znalazłby ją i uwolnił od Jacka i jego przerażających zapędów. Zrezygnowana, zapatrzyła się na widoczny z kryjówki skrawek nieba, modląc się w duchu, by para z ławki wreszcie sobie poszła.

– Kto tu idzie? – zapytała kobieta z paniką w głosie.

– Gdzie? – odpowiedział Harold, nie mniej przerażony.

– Z boku. Widzisz? Tam.

Nastąpiła chwila ciszy. Wszyscy troje wstrzymali oddech. A potem Kit usłyszała: – Do licha, to Hendon!

Harold wstał i pociągnął za sobą kobietę.

– Może powinniśmy na niego zaczekać. Mógł się zgubić.

Harold prychnął z dezaprobatą. – Wszystkie jesteście takie same. Padłybyście przed nim na twarz, gdyby tylko dał wam szansę. Nie możemy dopuścić, by przyłapał nas razem. A jak mu wyjaśnisz, że jesteś tu sama? Chodź już!

Dwie postaci oddaliły się i Kit została sama.

Lord Hendon był blisko, lecz ona nie mogła nawet stanąć na nogi. Szanse, że komuś przechodzącemu obok przyjdzie do głowy zajrzeć za ławkę, były znikome. Kit zamknęła z rozpaczą oczy i zaklęła w duchu.

Dwie minuty później żywopłot zaszeleścił. Kit otwarła oczy i zobaczyła, że Jack pochyla się nad nią. Podniósł ją, oparł o swoje biodro i pochylił się, by rozwiązać pas. Kiedy to zrobił, Kit opadła na ławkę.

Podczas gdy Jack zapinał pas, Kit spojrzała w głąb każdej z trzech ścieżek, odchodzących od niszy. Gdzie podział się lord Hendon?

– Za kim tak się rozglądasz? – zapytał Jack, zaciekawiony.

Kit spojrzała na niego.

Jack uśmiechnął się krzywo i wyciągnął rękę ku masce Kit.

Uwolniona od knebla, zwilżyła wargi i raz jeszcze rozejrzała się dookoła.

– Na ławce siedziała przez jakiś czas para. Przed chwilą odeszli, gdyż zobaczyli zbliżającego się lorda Hendona. Widziałeś go?

Jacka ścisnęło w żołądku. Potrząsnął głową i odpowiedział z przekonaniem: – Nie, nie widziałem.

Co takiego sprawiało, że wszyscy bez trudu go rozpoznawali? Peruka

skrywała mu włosy i nawet nie utykał. W milczeniu obserwował, jak Kit się rozgląda. Dlaczego tak interesował ją lord Hendon? Czy słyszała o nim coś, co pobudziło jej ciekawość? Jack skrył uśmiech. Jeśli tak, tym łatwiej będzie jej przyjąć do wiadomości prawdę, kiedy już ją usłyszy. Ujął Kit pod ramię i postawił.

– Chodź, przyprowadziłem Delię.

Przedarli się przez krzaki. Jack ani na chwilę nie puścił łokcia Kit. Nie rozwiązał jej też rąk – wolał nie przekonywać się na własnej skórze, jaką zemstę obmyśliła. Lepiej nie dawać Kit okazji, by mogła jej dokonać.

Kit szła obok niego, czując, jak jej wnętrzności zaciskają się w ciasny węzeł. Jack trzymał ją, jakby była jego własnością, a uczucie to potęgował jeszcze fakt, że nadal miała związane dłonie. Nie ośmieliła się żądać, by je rozwiązał. Zrobi to, kiedy uzna za stosowne. Gdyby poprosiła, z satysfakcją by odmówił.

Delia czekała przywiązana do gałęzi w miejscu, gdzie kończył się żywopłot. Jack podszedł do klaczy z boku, a potem stanął za Kit i rozwiązał jej dłonie.

Ulga trwała jednakże krótko, gdyż Jack prawie natychmiast chwycił ją za nadgarstki i związał je, tym razem z przodu.

– Co, u licha..? – zaprotestowała z niedowierzaniem.

– Nie mogłabyś jechać z rękami związanymi za plecami.

– Nie będę mogła jechać, jeśli moje ręce w ogóle będą związane.

Jack wykrzywił wargi w uśmiechu.

– Nie sądziłaś chyba, że wsadzę cię na grzbiet Delii i puszczę wolno, prawda?

Kit przełknęła ślinę. Nie spodziewała się tego, nie. Nie była jednak pewna, co zamierzał Jack.

– Gdybym to zrobił – kontynuował tymczasem Jack, odwiązując Delię – wróciłabyś na bal tak szybko, jak tylko Delia zdołałaby biec.

Kit nie mogła temu zaprzeczyć, milczała więc.

Jack zdjął perukę i wcisnął ją do juków przy siodle. – No dalej, wskakuj.

Trzymając jedną dłonią wodze, podsadził Kit.

Kit przełożyła nogę nad grzbietem Delii i usiadła. Natychmiast uświadomiła sobie, że strzemiona zostały wydłużone. Spojrzała na Jacka.

– Nie możemy jechać razem. Delia nie udźwignie nas obojga.

– Udźwignie. Nie pojedziemy szybciej niż cwałem, a może i to nie. Przesuń się do przodu.

Kit przez chwilę przyglądała się Jackowi w milczeniu, lecz kiedy włożył nogę w strzemię, uświadomiła sobie, że jeśli nie zrobi tego, co jej kazał, zostanie przygnieciona. Znowu. Odsunęła się więc najdalej jak mogła, lecz mimo iż łęk wrzynał się jej w brzuch, i tak siedzieli przyciśnięci ciasno do siebie. Delia przysiadła, lecz przyjęła podwójny ciężar. Jack usadowił się wygodnie w siodle i wsunął nogi w strzemiona. Podniósł Kit i przesunął ją

nieco. Było jej teraz wygodniej, ale i tak wspólna jazda okazała się nader denerwująca.

Jack dotknął boków Delii obcasami i klacz ruszyła. Kit była zbyt dobrym jeźdźcem. Nie mógł ryzykować, pozwalając, by włożyła nogi w strzemiona. Oznaczało to, że będzie musiał znosić dotyk jej kobiecych kształtów, ocierających się o niego wraz z każdym stąpnięciem klaczy.

Po kilku minutach jego cierpliwość była niemal na wyczerpaniu. Bolały go zaciśnięte nieustannie szczęki, lecz dolegliwość ta stanowiła jedynie odległe echo o wiele silniejszego bólu, jakim pulsowały jego lędźwie. Nieustanny ruch ocierających się o jego krocze jędrnych pośladków Kit podniecał go do szaleństwa, sprawiając, że niemal tracił nad sobą panowanie. Zacisnął mocniej zęby. Nie mógł zrobić nic więcej. Kit była jak wysypka, której nie wolno podrapać.

To zaś dla zdeklarowanego miłośnika niewieścich wdzięków, jakim był Jack, stanowiło nader bolesne doświadczenie.

Rozdział 15

Kit oblała się rumieńcem, żałując, że nie ma na twarzy maski. Przy każdym kroku Delii męskość Jacka napierała na jej pośladki. Nawet nie przeszło jej przez myśl, by się z nim droczyć. Zamiast tego modliła się w duchu, aby Jackowi nie przyszło do głowy droczyć się z nią. Rozgorączkowana i zdenerwowana faktem, że straciła niepowtarzalną okazję, by przyjrzeć się lordowi Hendonowi, przestraszona i niepewna, co zamierza Jack, wierciła się i bez przerwy poruszała w siodle, starając się odsunąć od niego jak najdalej.

– Do licha, kobieto, siedź spokojnie!

Pomruk Jacka był równie onieśmielający, jak nacisk jego męskości na pośladki Kit. Zamarła, lecz już po chwili wrażenie dyskomfortu wróciło. Musi zająć czymś myśli.

– Dokąd jedziemy?

Po opuszczeniu Marchmont Hall skierowali się na północny zachód. Mogli jechać dokądkolwiek.

– Do Cranmer Hall.

– Ach, tak.

Jack zmarszczył brwi. Czy mu się zdawało, czy w ochrypłym głosie Kit usłyszał rozczarowanie? Może mógłby zmienić plany i zabrać ją do chaty. Czy była gotowa dać sobie spokój z gierkami i pójść z nim do łóżka? Ostatnia kwestia ostudziła jego zapał. Pomimo iż Kit zachowała się stosunkowo spokojnie, nie sądził, by była szczególnie zadowolona, że porwał ją z balu. Za kilka dni wspomnienie tego, co zrobił, zblaknie. Za dwa dni, dokładnie rzecz biorąc.

Kit próbowała siedzieć nieruchomo, lecz jej myśli krążyły wokół fascynujących szczegółów anatomii Jacka. Zastanawiała się, czy lord Hendon mógł być lepiej niż Jack wyposażony i żałowała, że kobieta na ławce nie mówiła bardziej otwarcie. Sama Kit nie miała w tej mierze żadnego doświadczenia. Jednak ciągły nacisk w dolnej części jej pleców skłaniał do snucia najdzikszych spekulacji.

Szczęśliwie dla spokoju jej umysłu wspomnienie lorda Hendona, a raczej tego, że cel jej śmiałej i grożącej skandalem wyprawy nie został osiągnięty, na nowo rozpaliło gniew Kit. Starannie przemyślany i błyskotliwie wykonany plan spalił na panewce, i to zanim miała okazję choćby zerknąć na człowieka, który zaczął już budzić w niej zaciekawienie. Na samą myśl o tym Kit ogarnęło przygnębienie. Następną milę przejechała posępna i rozdrażniona.

Jack zabierał ją do domu, lecz jakoś nie była mu wdzięczna. Jakie miał prawo, aby się wtrącać?

Nagle Kit się wyprostowała. Nieważne, jakie przedstawił wytłumaczenie, i tak nie powinien był mieszać się w jej sprawy. A jednak jechała teraz do domu, odwożona tam niczym krnąbrne dziecko, przyłapane na podglądaniu zabawy dorosłych. A ona mu na to pozwoliła! Co się z nią dzieje? Nie dopuściła dotąd, by nikt, nawet Spencer, traktował ją tak arbitralnie.

– Naprawdę jesteś aroganckim wieprzem! – zawołała.

Jack, wyrwany z lubieżnych marzeń, nie mógł uwierzyć własnym uszom.

– Słucham?

– Słyszałeś, co powiedziałam. Gdybyś szczerze troszczył się o mnie, zawróciłbyś Delię i zabrał mnie z powrotem na bal. Tylko że teraz jest już za późno – dodała z żalem. – Nie starczyłoby mi czasu, nim wszyscy zdejmą maski!

– Nie starczyłoby ci czasu na co? – spytał Jack, zaciekawiony. Jeśli nie pojawiła się na balu dla samej frajdy, to po co?

– Chciałam spotkać się z kimś, zobaczyć, jaki on jest. A ty mnie porwałeś, nim nadarzyła się okazja!

Nuta szczerego żalu w jej głosie wystarczyła, by wzbudzić w Jacku współczucie. A także ciekawość.

– Czekałaś na mężczyznę? Kto to taki?

Kit zaklęła w duchu. Do licha! Że też nie potrafi utrzymać języka za zębami! Choć wygadała się w porywie gniewu, nie straciła do reszty rozsądku. – Nieważne. I tak go nie znasz.

– Wypróbuj mnie.

Kit zjeżyła się wewnętrznie. W głosie Jacka pojawiły się władcze nutki, którym tak trudno było się oprzeć.

– Zapewniam cię, że chodzi o kogoś, z kim ty na pewno nie jesteś po imieniu.

Jack był już teraz bardzo zaciekawiony. Na kogo Kit mogła czekać? A co ważniejsze: dlaczego? Jaki powód mogła mieć kobieta w rodzaju Kit, by rozglądać się za mężczyzną w przebraniu? Odpowiedź wydawała się tak oczywista, że Jack dziwił się, iż nie wpadł na to od razu, gdy tylko spojrzał na salę balową. Kit, która, o ile nie myliło go doświadczenie, musiała mieć już ponad dwadzieścia lat, wróciła ostatnio z Londynu, gdzie jej życie z pewnością było bogatsze. Zwłaszcza jeśli chodzi o mężczyzn. Nie miała teraz kochanka – mógłby postawić na to cały swój majątek – i rozglądała się za kimś z sąsiedztwa. Najwidoczniej miała już kogoś na oku. I nie był nim Jack…

A potem nagle go oświeciło. Przypomniał sobie, jak Kit zachowywała się, kiedy wydostał ją zza ławki. – Czekałaś na lorda Hendona.

Kit, postawiona wobec takiego oświadczenia, zrobiła skrzywioną minę. – A jeśli nawet? Nie twoja sprawa.

Jack z najwyższym trudem powstrzymał się, by nie parsknąć śmiechem.

Chryste, jego zadanie przeradza się w czystą farsę! Czy powinien jej powiedzieć? A jeśli mu nie uwierzy? Istniała taka możliwość, a gdyby spróbował ją przekonać, naraziłoby to jego misję. Do diabła! Będzie musiał ją przekonać, że jest lepszym kochankiem niż osławiony lord Hendon, którego reputację najwidoczniej znała.

Nagła wizja tego, co mogłoby się wydarzyć, gdyby w porę nie rozpoznał Kit i pozostał dłużej na balu, sprawiła, że o mało nie stracił nad sobą panowania. Ponowne pojawienie się w Norfolk we własnej postaci mogłoby okazać się bardziej niebezpieczne niż przebranie się za herszta przemytników. Miejscowe damy widać zagięły na niego parol – i to zarówno te z prawego łoża, jak i pozostałe. Mógłby skończyć z Kit jako swoją kochanką i jakąś paskudną protegowaną lady Marchmont w roli żony!

Oczy Jacka się zwęziły. Ten scenariusz nadal mógł się spełnić, lecz jeśli tak się stanie, odbędzie się to na jego warunkach, nie na ich.

Pełne odrazy prychnięcie sprawiło, że powrócił myślami do smukłej postaci, którą miał przed sobą na siodle. Czuł płynące od niej ciepło, gdyż dzieliła ich odległość nie większa niż dłoń. Z największym trudem powstrzymywał się, by nie przyciągnąć jej bliżej.

– Przez ciebie prawdopodobnie już nigdy nie będę miała po temu okazji!

Poruszyła się i natychmiast przypomniała sobie, co napiera na jej plecy. Była jednak tak zła, że gniew przezwyciężył dziewiczą skromność.

– Do licha! Nie możesz tego powstrzymać? Coś zrobić, żeby to znikło?

Już miała się odwrócić, by spojrzeć na to, co napawało ją takim lękiem, gdy Jack chwycił ją za ramiona i powstrzymał. – Można sprawić, żeby to znikło. Jeśli nie przestaniesz się wiercić, z pewnością do tego doprowadzisz – powiedział ostro.

Czyste pożądanie w jego głosie przestraszyło Kit na tyle, że posłuchała. W środku jednak cała wrzała z gniewu. Co dawało Jackowi taką władzę nad nią? Nawet najbardziej zepsutym spośród londyńskich hulaków nie udało się sprawić, by czuła się jak zdobycz, która zaraz zostanie pożarta, i to cal po calu. Jej skóra płonęła z oczekiwania. On był drapieżcą: za każdym razem, gdy groził, zamierała ze strachu. Zupełnie jakby fakt, że się nie rusza, mógł uchronić ją przed napaścią! Reagowała instynktownie, lecz wydawało się to tak nielogiczne, że pewnie by się roześmiała, gdyby tylko zdołała choć na chwilę się odprężyć!

Jack wpatrywał się w tył peruki Kit z pochmurną miną, tylko częściowo spowodowaną fizyczną niewygodą. Nie mógł przeoczyć efektu, jaki spowodowały jego słowa – Kit siedziała sztywno, jej ciało nie promieniowało już wabiącym ciepłem, przeciwnie, smukłą postać dziewczyny otaczała aura lodowatej dezaprobaty. Zaklął w duchu. Wolałby, żeby Kit zachowywała się bardziej zrównoważenie, nie tak jak teraz – w jednej chwili rozpalona, za

chwilę zimna jak lód. Za każdym razem, gdy napomykał o nieuchronnej intymności, sztywniała. Z pewnością nie dziewiczy lęk był tego przyczyną. A jeśli nie on, znaczyło to, że Kit po prostu się z nim bawi.

Zmrużył oczy. – Pozwól, że udzielę ci rady. Jeśli chcesz, by lord Hendon został twoim protektorem – a to ci dopiero dowcip: jakkolwiek na to patrzeć, Kit i tak zostanie jego kochanką – lepiej spuść trochę z tonu, przestań uprawiać gierki i polegaj raczej na tym, że twoja uroda zrobi swoje.

Kit oniemiała.

To nie szok spowodowany obraźliwym przypuszczeniem Jacka sprawił, że zamilkła z gniewu. Po chwili uznała to nawet za zabawne. Lecz fakt, że miał czelność sugerować, iż Kit nim manipuluje, wywołał w niej wściekłość. Jej źrenice rozszerzyły się, a palce zgięły niczym szpony. W Londynie widywała mnóstwo kobiet, które starały się manipulować mężczyznami – były to pospolite, niezbyt mądre kokietki, które miały więcej włosów niż rozumu. Nieraz wyśmiewała się z nich wraz z kuzynami. To, że Jack zaliczył ją do tej samej kategorii co tamte, stanowiło największą obrazę.

– Ja uprawiam gierki? – zapytała tonem, który sprawiłby, że Spencer natychmiast sięgnąłby po brandy. Lecz Jack nie przekonał się dotąd, na co stać Kit, gdy straci nad sobą panowanie. – Mój dobry człowieku, to dobry przykład do stwierdzenia, że kocioł przygania garnkowi.

Dobry człowieku? Pochmurna mina Jacka przypominała niebo przed burzą. – Do diabła! A co chcesz przez to powiedzieć?

Czy wspomniał coś o spuszczeniu z tonu? Przeklęta kobieta powinna występować na scenie. Nagle zaczęła traktować go niczym cholerna księżniczka swego sługę!

Dla Kit gniewny pomruk Jacka był niczym muzyka. Chętnie podyskutuje z tym draniem, którego arogancja doprowadza ją do szału.

– Chcę przez to powiedzieć – oznajmiła, starannie wymawiając słowa – iż nie umknęło mojej uwagi, że za każdym razem, kiedy zdobywam przewagę w dyskusji, a tobie zaczyna brakować argumentów, zaczynasz wywijać tym… tą rzeczą pomiędzy twoimi nogami niczym przeklętym mieczem Damoklesa!

Jacka zatkało.

– Zdobywasz przewagę w dyskusji? Tak określiłabyś swoje zachowanie wczoraj na jachcie?

Kit wzruszyła ramionami. – Zrobiłam to po prostu z ciekawości.

– Z ciekawości? – Jack ściągnął wodze i Delia zatrzymała się raptownie. – Po tym, jak od tygodni kręcisz tyłkiem?

– Och! – Kit odwróciła się, by na niego spojrzeć. – Robiłam to tylko dlatego, że zachowywałeś się, jakbyś był zimnym głazem! I ty mi zarzucasz, że tobą manipuluję? Ha!

Jack miał już dość. Jak mógł z nią dyskutować, jeśli potrafiła pozbawić go

zdolności myślenia, tylko kręcąc biodrami? Przesunął nogę nad karkiem Delii i zsunął się, pociągając za sobą Kit. Razem ześliznęli się na ziemię.

Kit strząsnęła dłoń Jacka i natychmiast na niego napadła. – Tam, gdzie chodzi o manipulowanie kimś, nie dorastam ci do pięt! Udawałeś, że jestem ci obojętna, chociaż wiedziałeś, że to najlepszy sposób, bym postarała się pozyskać twoje zainteresowanie. To nie ja manipuluję tobą, ale ty mną!

Jack puścił oskarżenie mimo uszu. Tylko jedno zdanie przykuło jego uwagę, gdyż stało w jawnej sprzeczności z logiką.

– Obojętna? – zapytał, wpatrując się w nią. Jak ona, u licha, mogła sądzić, iż Jack udaje, że jest mu obojętna? Cierpiał jak potępieniec, a ona oskarżyła go… Pochwycił dłonie Kit, nadal związane w nadgarstkach chustą.

– Czy tak wygląda obojętność?

Kit niemal westchnęła, zaskoczona. Był to jej pierwszy bezpośredni kontakt z męskim członkiem. Lecz zaskoczenie szybko ustąpiło fascynacji. Męskość Jacka pulsowała jej w dłoniach, promieniejąc ciepłem poprzez prążkowany materiał bryczesów. Była twarda w dotyku i zadziwiająco żywa. Smukłe palce Kit mimo woli zacisnęły się na obłym kształcie.

Teraz to Jack westchnął. Zaskoczony utratą panowania nad swoim ciałem, nie mówiąc już o reakcji Kit, zamknął oczy, odchylił głowę i zacisnął pięści. Zdziwiona Kit spojrzała na jego twarz i spostrzegła, jaki efekt wywołało jej działanie. Dziewicza skromność nie przeszkodziła jej, gdy – wpatrując się w niego, by pochwycić każdy cień malującej się na twarzy Jacka emocji – przesuwała powoli dłoń wzdłuż członka, dopóki jej ciekawskie palce nie odnalazły okrągłej, gładkiej główki.

Usłyszała, że Jack gwałtownie wciąga powietrze i jeszcze mocniej zaciska dłonie w pięści. Oddychał teraz nierówno. Instynktownie odwróciła kierunek, przesuwając palce w górę, by odnaleźć miejsce, skąd członek bierze początek. Ciało było tu zdecydowanie bardziej miękkie i Kit odkryła okrągły owoc ukryty w miękkim woreczku, który jakby skurczył się pod dotykiem jej dłoni. Jack jęknął i Kit poczuła, że ogarnia ją rozkoszna trwoga. A potem Jack się poruszył. Chwycił ją mocno za ramiona, a jego usta, ośmielone tym, co zrobiła, odnalazły bez trudu jej wargi. Objął ją ramieniem i przyciągnął bliżej. Drugą dłoń wsunął pomiędzy jej loki, zrzucając perukę, która zapomniana legła w kałuży księżycowego światła.

Jack nie potrafiłby już się cofnąć, choćby od tego zależało jego życie. Lata dość bezwzględnego poczynania sobie z kobietami znieczuliły jego serce; zawsze dotąd panował nad swymi zmysłami, o ciele nie wspominając. Lecz śmiały, a zarazem niewinny dotyk Kit sięgnął głęboko, odnajdując coś, co spoczywało zakopane pod warstwą światowego wyrafinowania i teraz zbudziło się do życia, coś ukrytego tam tak dawno temu, że zapomniał już, jak to jest bez reszty poddać się namiętności.

Pożądanie paliło mu krew, lecz doświadczenie podpowiadało, że kobieta, którą trzymał w ramionach, daleka jest od tego, by czuć to samo. Musi wykorzystać swój talent i zmienić sytuację.

Kit była jak sparaliżowana. Nie mogła się poruszyć, ręce miała uwięzione pomiędzy ich ciałami, z dłońmi nadal przyciśniętymi do intymnych części ciała Jacka. Lecz teraz nie miało to znaczenia. Jej wargi płonęły. I ten ogień pochodził od niego. Próbowała zaspokoić żądanie twardych, rozpalonych warg napierających na jej usta. Rozchyliła wargi, lecz to nie wystarczyło. Nagle język Jacka zatrzepotał wzdłuż obrzmiałych konturów. Kit zadrżała i dała mu to, czego się domagał.

Spodziewała się, że poczuje odrazę, jak przedtem. Tymczasem język Jacka gładził wnętrze jej ust, rozpalając płomienie, rozgrzewające ją od środka. Powolne, zmysłowe badanie jej ust wstrząsnęło Kit, odebrało jej siły. Rozpaczliwie pragnęła przywrzeć do Jacka jeszcze mocniej, ale nie było to możliwe.

Jack, czujny na każdą jej reakcję, dostrzegł to pragnienie. Uniósł głowę i podziękował niebiosom za to, że nie zawiódł go instynkt. Zaabsorbowany kłótnią, nie zwracał uwagi, dokąd jadą, mimo to zatrzymał Delię pod osłoną drzewa, którego gałęzie mogły zasłonić ich przed wzrokiem przypadkowego obserwatora. Odsunął się od Kit, uniósł jej związane dłonie i zarzucił sobie na szyję. A potem wyprostował się i mocno ją przytulił.

Kit nie miała czasu myśleć. Ledwo została uwolniona, a znów ją pochwycił. Tym razem tkwiła przyciśnięta do niego od ramion po uda. Wargi Jacka natychmiast odnalazły jej usta, a język podjął przerwaną pieszczotę, pozbawiając Kit chęci, by się bronić.

Bronić się? Dobry żart! W głowie miała pustkę, lecz ciało wydawało się aż nadto wrażliwe. Wrażliwe jak nigdy dotąd. Kit poczuła, że Jack rozluźnia uścisk i zdumiało ją, że utraciła władzę na swoim zmysłami. Nie widziała ani nie słyszała. Nie potrafiłaby sklecić dwóch sensownych słów. Ale z pewnością mogła czuć. Wielkie dłonie Jacka spoczęły na jej barkach. Przez chwilę sądziła, iż zamierza zakończyć pocałunek. Dreszcz ulgi przeszył ją, gdy Jack przesunął dłońmi wzdłuż jej pleców i talii. Lecz kiedy dłonie objęły jej pośladki, ciało Kit znów zapłonęło.

Jack zamruczał z satysfakcją, po czym rozluźnił uścisk. Podniósł Kit, przeniósł ją nieco i oparł o pień drzewa. Ich twarze znajdowały się przez chwilę na jednym poziomie. Pozwolił, by ześliznęła się z wolna po pniu, aż wreszcie jej stopy dotknęły gruntu. Udo Jacka przez cały czas tkwiło pomiędzy jej nogami.

Płomień ogarnął Kit, pozostawiając ją rozpaloną, wysuszoną, spragnioną. Przywarła wargami do jego ust, jakby szukając u niego ratunku. Strumyki płomieni płynęły jej w żyłach, tworząc pomiędzy nogami jezioro płynnego

ognia. Naparła łonem na twardą kolumnę uda Jacka, lecz nie przyniosło jej to ulgi. Płomień zapłonął żywiej i odtąd płonął już równo.

A potem Jack oderwał usta od jej warg. Zbyt osłabiona, by się skarżyć, oparła głowę o pień, i zdumiona własną reakcją cicho jęknęła.

– Oddychaj.

Kit posłuchała bez namysłu.

– Jeszcze.

Jack zgrabnie uwolnił piersi Kit z bandaży, a potem stłumił pełne zaskoczenia westchnienie dziewczyny, przyciskając znów wargi do jej ust. Usta Kit otwarły się dla niego niczym jaskinia pełna ofiarnego miodu. I choć zawładnęło nim najsilniejsze, najdziksze pożądanie, jakiego kiedykolwiek doświadczył, zdołał opanować się na tyle, aby nie sięgnąć po nią natychmiast. Wyciągnął Kit koszulę ze spodni, a potem rozsunął poły surduta i kamizelki, obnażając piersi. Kiedy jego dłoń zamknęła się na rozkosznej półkuli, dziewczyna zadrżała z przyjemności i Jack wiedział już, że Kit należy do niego.

Kit nie była w stanie myśleć, mogła jedynie czuć. Gdy Jack sięgnął tak śmiało do jej piersi, odruchowo zaprotestowała, lecz on to zlekceważył. Podobnie jak sama Kit, zwłaszcza gdy Jack zamknął palce wokół brodawki i gładził ją, dopóki nie stwardniała. Zdawał się wiedzieć, czego pragnie jej ciało, i to o wiele lepiej niż ona sama. Kiedy zaczął pieścić drugą pierś, Kit przycisnęła ją do wnętrza jego dłoni, rozpaczliwie szukając ulgi od dręczącego ją pożądania.

Jack odsunął się nieco, by móc podziwiać zdobycz. Kremowa skóra piersi Kit miała połysk i gładkość jedwabiu. Różowe pączki sutków ciemniały na kremowym ciele niczym ciasno związane węzełki. Kit miała piękne piersi – nieprzesadnie duże, lecz jędrne i rozkosznie zaokrąglone. Jeden truskawkoworóżowy sutek wyprężył się ku niemu zapraszająco i Jack pochylił głowę, by go posmakować. Objął wargami soczysty owoc i zaczął przesuwać językiem wokół wrażliwego czubka.

Kit przestała tłumić westchnienia. Zanurzyła palce we włosy Jacka, uwalniając je z uścisku wstążki. Jack zaczął ssać i Kit zacisnęła palce. Boże! Nie miała pojęcia, że potrafi czuć tak intensywnie. Dyszała nierówno, rozpaczliwie walcząc o każdy haust powietrza, ale nie miało to znaczenia. Liczyło się tylko to, co czuła.

W końcu Jack odsunął głowę od jej piersi. Krew w jego żyłach pulsowała. Przywarł wargami do ust Kit, podczas gdy jego palce szukały zapięcia bryczesów.

Kit zalała fala ulgi. Jack wydawał się zadowalać lekkimi pocałunkami, pozwalając tym samym, by Kit otrząsnęła się z oszołomienia, jakie wzbudziły w niej pocałunki. Próbowała zignorować palący ból w głębi trzewi, obudzony

pożądaniem i rosnący nieubłaganie, choć zapał Jacka zdawał się nieco stygnąć. Dzięki Bogu przestał, pomyślała Kit. Jej poczucie dobra i zła z pewnością zostało dziś beznadziejnie skompromitowane. Co takiego mówiła jej wtedy Amy? Najpierw pocałunek – Jack z pewnością pokonał tę przeszkodę. Kit z rozkoszą opierałaby się o to drzewo przez resztę nocy, gdyby tylko całował ją nadal tak jak przedtem, namiętnie i głęboko. Co miało wydarzyć się dalej? Jej piersi – Amy nie myliła się także pod tym względem. Dłoń Jacka dostarczyła jej nie lada przyjemności; rozumiała teraz niepojętą dla niej kiedyś skłonność kobiet do pozwalania mężczyznom, aby pieścili ich piersi. Kit zadrżała na wspomnienie ust Jacka na swoim sutku. Co też miało wydarzyć się dalej?

Cokolwiek to było, Kit wątpiła, czy powinna czekać, aż Jack spróbuje to wykonać. Nawet nieposkromiona część jej natury zgadzała się, że pora zabrać świeżo zdobytą wiedzę i zmykać. Rozkoszując się oszałamiającą bliskością swego nauczyciela – męskiego, ciepłego i podnieconego, walczyła, by odzyskać nad sobą kontrolę, wykrzesać choć trochę siły i stawić mu opór. Jack już posunął się zbyt daleko, ale na szczęście zaprzestał skandalicznie śmiałych pieszczot. Wyprowadził ją na szerokie wody, teraz pora wrócić ku bezpieczniejszym brzegom.

Kit z trudem zebrała siły i oderwała usta od warg Jacka, przerywając lekkie, drażniące pocałunki. Pozwolił jej na to bez słowa skargi, ale natychmiast pochylił głowę i wziął do ust jej sutek, rozpalając na nowo płomień, który, jak miała nadzieję, zdążył już nieco przygasnąć.

Potrząsnęła głową. Lecz zamiast słów stanowczego protestu, z jej ust wydobyło się tylko przeciągłe: – Jaaack!

Jedyny skutek tej nieudanej próby oporu sprowadził się do tego, że Jack położył dłoń na jej nagim brzuchu.

Kit otwarła szerzej oczy. Kiedy ona zbierała siły, Jack rozpinał jej bryczesy! Jack nadal ssał jej sutek i Kit mogła tylko mocniej zacisnąć palce na jego włosach, przytrzymując głowę przy swojej piersi i przyciskając biodra do jego ciała w szokująco intymny sposób.

A potem sprawy przybrały jeszcze gorszy obrót.

Długie palce Jacka wśliznęły się pomiędzy jedwabiste kędziorki jej płci.

Kit jęknęła, szukając w sobie sił, by opanować pożar zmysłów. Jack go podsycał, a ona nie potrafiła powstrzymać płomieni. I już tego nie chciała.

Musi go powstrzymać.

Palce Jacka rozsunęły miękkie ciało i delikatnie naparły.

Kit zapomniała o powstrzymywaniu. Przyjemność, jaką odczuła, była tak ostra i jednoznaczna… Jego palce zaczęły zataczać kręgi, najpierw w jedną, potem w drugą stronę. Jego wargi naparły na jej sutek i pomiędzy jej piersią a miejscem, którego dotykały jego palce przemknął rozpalony do białości piorun pożądania.

Kit wymówiła bezgłośnie jego imię, lecz on usłyszał i sprawiło mu to przyjemność. A potem znów zaczął ją całować. Nawet nie przyszło jej do głowy, by zaprotestować – przeciwnie, rozchyliła wargi, zachęcając go do pocałunku. Przylgnął do niej jeszcze mocniej i Kit poczuła na nagich, spragnionych pieszczot piersiach nacisk jego muskularnego ciała.

Materiał bryczesów napiął się na biodrach, więc bezwiednie rozpięła je, bez słowa zachęcając Jacka, by kontynuował pieszczotę. Gdy wsunął w nią palec, zadrżała i przypomniała sobie słowa Amy. Wilgotna i rozpalona. Teraz już wiedziała. Ona też była wilgotna i rozpalona. Dla Jacka.

Wszystkie jej zmysły skupiły się w tym jednym punkcie, po którym przesuwał się z drażniącą powolnością jego palec. Kit poczuła, że miękną jej kolana i roztapiają się nerwy. Gorąco uderzało jej do głowy. Próbowała przerwać pocałunek, zaczerpnąć oddechu, lecz nie pozwolił na to. Jego język zaczął wolny, powtarzający się taniec, to wsuwając się w głąb jej ust, to z nich wysuwając. Wewnątrz jej ciała palec poruszał się w tym samym rytmie.

Kit, niezdolna myśleć ani się wstydzić, zareagowała na budzące się rozkoszne pulsowanie, wiercąc się, unosząc w uścisku jego ramion i otwierając na dotyk jego dłoni.

Tymczasem Jack, upewniwszy się, że zwyciężył i Kit jest gotowa posunąć się dalej, postanowił wprowadzić rzecz w czyn. I niemal natychmiast natknął się na przeszkodę. A właściwie kilka przeszkód.

Trzy sekundy racjonalnego myślenia wystarczyły, by uzmysłowił sobie wagę problemu. Grunt wokół nich był nierówny i usłany kamieniami. Nie można było się na nim położyć, nawet gdyby mieli ze sobą koc, a nie mieli. Nie wiedział, pod jakim drzewem stoją, lecz kora była gruba i chropowata. Gdyby przycisnął Kit do pnia jeszcze mocniej, całe ciało miałaby poocierane. Jednak największy problem stanowiły jej bryczesy. Mocno dopasowane, przylegały do ciała niczym druga skóra. I choć Jack doskonale potrafił pozbyć się w potrzebie swoich spodni, choćby nie wiem jak się starał i nie wiem jak mocno ciągnął, bryczesy nie chciały zsunąć się z krągłych bioder Kit.

Jęknął głucho i przycisnął usta do warg Kit, pogłębiając pocałunek i próbując w ten sposób zaprzeczyć rzeczywistości. Do licha! Kit była rozpalona. Rozpalona i gotowa. Jego palec bez trudu wślizgiwał się w jej gorącą, śliską szczelinę, wzmagając pragnienie, by całkowicie zanurzyć się w jej słodkim ciele. Jack jednak zbyt dobrze znał reakcje kobiecego ciała, by mieć wątpliwości, że Kit jest już prawie u szczytu. Nie miał czasu, by powstrzymać swe zabiegi i prosić ją o pomoc w zdejmowaniu spodni! Zresztą trochę się bał, aby jej zapał nie ostygł. Poprowadził ją drogą ku spełnieniu i teraz już nie mógł zawrócić.

Sfrustrowany ponad wszelkie wyobrażenie, wiedziony pożądaniem, które wymknęło się spod kontroli, uwolnił swą męskość, wyrywającą się wprost ze

spodni. Szarpnął za materiał bryczesów Kit, by zrobić sobie jak najwięcej miejsca. Nie było go jednak wystarczająco dużo.

Jęknął udręczony i wsunął pulsujący członek pomiędzy jedwabiste kędziorki jej płci. Jeśli to jedyny kawałek raju, jaki może dostać tej nocy, trudno. Zadowoli się tym, co ma.

Kit jęknęła z ustami tuż przy ustach Jacka. Dobrze wiedziała, co zastąpiło nacisk jego ręki, ale nie dbała o to. Choć nie, przeciwnie… Chciała, by to coś pozostało pomiędzy jej udami. Ponieważ stali w niewygodnej, dziwacznej pozycji, Jack nie mógł w nią wejść, lecz czuła, jak nabrzmiała główka jego penisa naciska na miękkie fałdki jej płci. Instynktownie zacisnęła mięśnie wokół jedwabistej twardej kolumny i uwolniła usta, by zaczerpnąć drżącego oddechu.

Jack przycisnął głowę do skroni Kit. On także ciężko dyszał. Kit poczuła, że się z niej wysuwa. Jęknęła z żalem i uniosła biodra, próbując go zatrzymać. Z ulgą przekonała się, że Jack wrócił. Pchnął mocno biodrami, a twarda kolumna jego męskości rozdzieliła śliskie, nabrzmiałe ciało Kit i wsunęła się głębiej, posyłając rozkoszne dreszcze w głąb jej ciała. Jack wycofał się, a potem pchnął znowu. Tym razem dotarł głębiej i Kit zacisnęła palce na jego włosach, a jej ciało wyprężyło się w oczekiwaniu rozkoszy.

A potem to się stało.

Fale napięcia ogarniały ją, tłumiąc żar, aż eksplodował, posyłając dreszcze rozkoszy wzdłuż każdego nerwu. Zawładnęło nią nieopisane podniecenie, płomień ogarnął duszę i zmysły. Uwięziona na szczycie namiętności, skupiona wyłącznie na odczuwaniu, przywarła do Jacka, wymawiając bezgłośnie jego imię.

Żar buchnął i rozlał się płomieniem. Kit wypchnęła do przodu biodra, instynktownie pragnąc dać Jackowi rozkosz i tym samym zwiększyć własną przyjemność.

Równie instynktownie Jack przyjął dodatkowy milimetr, który pozwolił mu wsunąć się ciut głębiej w rozpalone ciało Kit. Westchnął, czując, jak zamyka się wokół niego paląca miękkość jej nabrzmiałej płci. Jednak najważniejsza pieszczota jej ciała nadal pozostawała poza jego zasięgiem. Jego mięśnie zadrżały, gdy na pożądanie nałożyła się frustracja. Ciężko dyszał, starając się opanować. Zalał go gorący miód jej namiętności, a słabe, pulsujące fale spełnienia pieściły jego męskość. Jack zapomniał o opanowaniu. Wysunął się z niej, a potem pchnął mocniej i znowu, i znowu. I jego zalała fala rozkoszy, pogrążając w błogim zapomnieniu.

Jack nie dowiedział się, jak wyglądają oczy Kit, kiedy szczytuje. Jednak gdy tylko odzyskał poczucie rzeczywistości, natychmiast pomyślał o tym, że następnym razem koniecznie musi zaspokoić ciekawość. Teraz był zbyt zadowolony z siebie, by cokolwiek mogło zepsuć mu nastrój. Mimo

ograniczeń to, co przeżył, warte było zapamiętania.

Spojrzał na Kit. Szok spowodowany rozkoszą minął, lecz nadal sprawiała wrażenie oszołomionej. Świadomy etykiety wymaganej w intymnych momentach, i to nawet w tak niezwykłych okolicznościach, ostrożnie wysunął się spomiędzy jej ud. Kit ocknęła się z oszołomienia dopiero, gdy Jack zebrał poły jej surduta. Zesztywniała i zamrugała szeroko otwartymi oczami. Czy to wszystko jej się przyśniło?

Wystarczyło jedno spojrzenie na twarz Jacka, by rozwiać tę nadzieję. Jego wargi wyglądały tak, jakby nie mógł się powstrzymać, by się bez przerwy nie uśmiechać. Z samozadowoleniem. Kit poczuła, że uginają się pod nią kolana. Jej ubranie było już uporządkowane i starannie zapięte. Jedynie pasy, którymi ściskała piersi, pozostały niezawiązane.

Próbowała nie myśleć o wilgoci pomiędzy nogami.

Na szczęście Jack przejął dowodzenie – oczywiście nieproszony. Wsadził ją na Delię i ruszyli znów na zachód, tym razem stępa.

Kiedy Kit uporała się jako tako z tym, co się wydarzyło, na horyzoncie majaczyły już ściany Cranmer Hall. Ona i Jack byli ze sobą. Myśl ta sprawiła, że ogarnęła ją panika, z lekka tylko złagodzona zaskakującym stwierdzeniem, że jednak nadal jest dziewicą. Nie pozbawił jej cnoty, tego była pewna. Przed laty babka zapoznała ją z obowiązkami żony i ostrzegła przed niezbyt miłą chwilą utraty dziewictwa, a wszak Kit nie czuła bólu ani dyskomfortu. Najmniejszego. Nie miała nic przeciwko temu, by Jack pieścił ją w tak zaskakująco śmiały sposób. Nie wstydziła się też, że pozwoliła mu wsunąć sobie tę rzecz pomiędzy uda. Przynajmniej nie wtedy. Teraz pogrążała się w poczuciu winy i wstydu, których nie czuła w jego ramionach, kiedy pocałunkami skłaniał ją do uległości. Jak mogła do tego dopuścić?

Z łatwością – odpowiedziało jej drugie ja. – *I zrobisz to znowu, a nawet więcej, jeśli on cię zechce.*

Stłumiła jęk i wsparła głowę na piersi Jacka, zbyt wyczerpana, by kłócić się sama ze sobą. Przynajmniej było jej teraz wygodniej. Jack rozwiązał jej ręce… po wszystkim, do licha z nim! Tam, pod drzewem, były takie chwile, że oddałaby wszystko, byle mieć wolne ręce. Teraz spoczywały skrzyżowane na łęku, podczas gdy Jack trzymał wodze. Jej ciało niemal stopiło się z jego ciałem, plecy przylgnęły dokładnie do klatki piersiowej Jacka, a uda do jego ud. Nic nie napierało już na pośladki Kit, widać zastosowane środki okazały się skuteczne. W ich kontakcie nie było niczego alarmującego. Gdyby chciała, mogłaby zapaść spokojnie w sen.

Delia stąpała ciężko, nieprzywykła do dźwigania podwójnego ciężaru.

– Którędy do stajni?

Cichy szept Jacka sprawił, że Kit ocknęła się raptownie. Z ciemności wynurzały się znajome kształty. Znajdowali się w kotlince tuż za Hall. Na

chwilę wsparła się na Jacku, chłonąc ciepło jego ciała i pragnąc, aby otoczył ją ramionami. Na myśl o tym znów ogarnęła ją panika.

– Wprowadzę Delię przez padok. Będę musiała przeskoczyć ogrodzenie.

Postać za nią przez chwilę milczała, a potem powiedziała: – W porządku. Zostawię cię tutaj.

Mocna dłoń chwyciła ją w talii. Kit zesztywniała, lecz Jack potrzebował po prostu oparcia, aby bezpiecznie zsunąć się z siodła. Uczynił to i podał jej wodze. – Zaczekaj, skrócę strzemiona.

Skrócenie pasków, wykonanych z twardej skóry, nie było łatwym zadaniem – zwłaszcza teraz, gdy nie potrafił myśleć jasno ani wykrzesać z siebie siły. Jego zdaniem to, co zaszło pod drzewem, powinno zaostrzyć apetyt kobiety, która musiała na co dzień poddawać się konwenansom.

W jej reakcji było jednak coś, co go ostrzegało, by jeszcze nie świętował zwycięstwa. Jej milczenie można było złożyć na karb zmęczenia. Lecz było w tym coś więcej. Może nie spodobało jej się to, że tak łatwo pozwoliła mu się okiełznać? Ukryty bezpiecznie w ciemności uśmiechnął się z satysfakcją. Przeczucie podpowiadało, że Kit może wzdragać się przed tym, by oferować mu więcej niż to, co już dostał. Prawie na pewno nie obejdzie się bez ustępstw z jego strony. A teraz nie mógł zaoferować jej niczego, nawet swego nazwiska.

Jednak za dwa dni Kit spędzi jakiś czas w jego łóżku. I mógłby postawić całą swą w pełni zasłużoną reputację na to, że potem już nie odejdzie z wysoko zadartą brodą.

Wyprostował się i wyjął z juków perukę. – Zobaczymy się jutro w starej stodole.

Kit już miała poszukać wymówki, lecz powstrzymała się. Obiecała mu cztery tygodnie, i będzie je miał. Skinąwszy lekko głową, nakierowała Delię i przeskoczyła ogrodzenie.

Pocwałowała przez spadzisty padok, zwalczając chęć, by się obejrzeć. Na pewno stał tam, gdzie go zostawiła, z rękami na biodrach, i obserwował ją. Pojawi się na spotkaniu jutro, a jeśli się okaże, że mają ładunek, także następnej nocy. Lecz od tej chwili będzie trzymała się od kapitana Jacka z daleka. Wiedziała już, na czym polega niebezpieczeństwo, nie mogła więc zasłaniać się nieświadomością.

Kiedy postać Kit znikła w ciemnej stajni, Jack odwrócił się i odszedł na północ. Księżyc świecił jasno i oświetlał mu drogę. Parę mil stąd zamek Hendon czekał na swego pana, a w nim łóżko z jedwabną pościelą, puste i zimne. Jack uśmiechnął się krzywo. Postanowił sobie, że zobaczy Kit wijącą się na tym łóżku w ekstazie, z włosami tworzącymi wokół jej głowy płomienną aureolę i palącą jego skórę tymi drugimi kędziorami, których dotykał, lecz jeszcze nie widział. Liczył noce, które upłynęły od chwili, gdy pierwszy raz jej dotknął, i wiedział, że zmysły go nie zwodzą. Teraz zakrawało to już na

obsesję.

Gdy jego nogi pokonywały kolejne mile, myślami był przy kobiecie, która aż tak poruszyła jego zmysły. Kit nie będzie po prostu kolejną kochanką. Żadna z tych, które były przed nią, aż tak go nie fascynowała. Po niej spodziewał się o wiele więcej niż tylko fizycznej przyjemności, chociaż za każdym razem, gdy na nią spojrzał, odczuwał nieprzepartą pokusę, by zanurzyć się w jej rozpalonym ciele. Jednak chciał posiąść Kit nie tylko dla zaspokojenia żądzy cielesnej. Pragnął doprowadzać ją do szczytu raz za razem. Chciał, aby krzyczała z rozkoszy w jego ramionach. I chciał też wiedzieć, że jest bezpieczna i blisko niego.

Zmarszczył brwi. Żadna kobieta nie wzbudziła w nim dotąd takich uczuć.

Rozdział 16

Ryk przypływu tłumił odgłos fal uderzających o kadłub rybackiej łodzi. Jack, stojąc po uda w wodzie, rozprostował na chwilę ramiona, a potem sięgnął po baryłkę, którą podawał mu Noah. Z beczułką na grzbiecie, po kolana w wodzie, skierował się ku plaży, gdzie inni członkowie gangu ładowali towar na kuce. Odczekał, aż mężczyźni skończą przywiązywać juki i odbiorą od niego ciężką baryłkę, a potem odwrócił się, by skontrolować sytuację.

Dotąd zdążyli już wypracować sobie pewną rutynę. Mężczyźni w opróżnionych dopiero co łodziach pochylili się nad wiosłami i sześć łódek przedarło się przez fale przyboju, ruszając na połów. Dopiero potem załogi będą mogły udać się do domów. Ostatnie baryłki zostały wreszcie przymocowane. Na nich ułożono bele koronki, spoczywające do tej pory na pobliskiej skałce.

Gdy wszystko zostało zrobione, Jack spojrzał na górujący nad plażą klif. Polecił Kit, by czuwała po wschodniej stronie cypla, lecz nie miał pojęcia, czy posłuchała. Bez wątpienia ta uparta kobieta zrealizowała swoją groźbę i przesunęła się na zachód. Poprzedniej nocy zjawiła się co prawda w starej stodole, lecz przyszła późno i przez cały czas stała w cieniu, pod ścianą stodoły. Znikła, gdy tylko skończyli omawiać szczegóły dzisiejszej wyprawy.

Nie zaskoczyło go to, lecz nie zamierzał dopuścić, by i tego wieczoru mu się wymknęła.

* * *

Kit zatrzymała Delię dwie mile na zachód od miejsca, gdzie przeładowywano towar. Oddaliła się już wystarczająco. Pora wracać, jeśli ma spotkać się z Jackiem na szczycie klifu, jak jej polecił. Mimo to nadal siedziała nieruchomo w siodle, wpatrując się w zachodni horyzont.

Żołądek miała ściśnięty, a nerwy trzepotały niczym motyle za każdym razem, gdy postać Jacka pojawiała się w jej myślach. Przeczuwała, co zaplanował na dzisiejszą noc, i uważała to za szaleństwo, jednak nie potrafiła sobie wyobrazić, jak mogłaby uniknąć realizacji tych planów.

Będzie musiała się z nim zobaczyć, przynajmniej to było jasne. Czy istniał jakiś sposób, by mogła wykręcić się od złowieszczego „później”, które padło tamtej nocy na jachcie? To, co powiedział, kiedy wracali z balu, jasno świadczyło, iż wziął jej zachowanie za zachętę. Kit się skrzywiła. Najwidoczniej nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo na niego działa. Jakikolwiek Jack miał powód do zachowania powściągliwości, Kit wpadła

w pułapkę.

Westchnęła cicho i podjęła decyzję. Będzie musiała mu wyjaśnić. Jako kobieta wychowana w określony sposób po prostu nie może brać pod uwagę innego rozwiązania.

Spadł drobny deszczyk i powietrze się ochłodziło, aż z pyska Delii zaczęła unosić się para. Kit już miała ściągnąć wodze i zawrócić klacz, gdy usłyszała charakterystyczne pobrzękiwanie.

A potem następne.

Wyostrzyła zmysły, czując, jak unoszą się jej włosy na karku. Słyszała już ten odgłos. Zadźwięczały strzemiona, potwierdzając domysły Kit. I nagle ich zobaczyła – oddział straży, jadący spokojnie cwałem.

Nie czekała, aby zobaczyć coś więcej. Skierowała Delię na pierwszą ścieżkę prowadzącą w dół klifu i popuściła wodze. Przywarła do szyi klaczy, czując, jak palą ją policzki, omiatane końską grzywą. Po chwili Delia gnała już po plaży, a piach pryskał jej spod kopyt.

* * *

Jack przeszedł wzdłuż szeregu kuców, automatycznie sprawdzając, czy ładunek został dobrze umocowany. Żeby mieć pewność, że Kit nie zniknie jak sen złoty, gdy tylko kuce dotrą na szczyt klifu, polecił jej, by na niego czekała, w obecności kilku osób. Kit nie była głupia. Niepodporządkowanie się tak jasno wyrażonemu rozkazowi wzbudziłoby podejrzenia, a tego z pewnością nie zaryzykuje. Zbliżał się już do ostatniego kuca, gdy zaalarmowało go dudnienie kopyt na ubitym piasku.

Z ciemności wyłoniła się czarna klacz. Kit. W pełnym galopie. Nadjeżdżająca z zachodu.

Nim zdążyła zwolnić, by nie przestraszyć kuców, Jack biegł już ku przodowi kawalkady, gdzie czekał na niego Matthew, trzymając wodze Championa. Wielki ogier przestępował z nogi na nogę, podekscytowany zbliżaniem się klaczy. Jego wielkie podkowy ubijały mokry piasek. Jack wskoczył na siodło w chwili, gdy Delia zatrzymała się tuż obok.

– Straż celna! Od strony Hunstanton! – zawołała Kit, zdyszana. – O milę lub więcej stąd.

Jack spojrzał na nią zdumiony. Milę lub więcej? Najwidoczniej nie posłuchała rozkazów i mocno oddaliła się od plaży. Stłumił pokusę, by nią potrząsnąć. Już on jej później pokaże! I z pewnością sprawi mu to przyjemność.

– Ukryjcie towar w starej krypcie – zawołał, zwracając się do Shepa. – Potem rozpuść ludzi. Ty dowodzisz.

Kuce miały zostać poprowadzone prosto do starej stodoły, lecz teraz było to

niemożliwe. Kit dała im szansę, by mogli bezpiecznie się oddalić. Pozostało tylko ją wykorzystać.

– Nasza czwórka – mówił dalej, wskazując siebie, Matthew, George'a i Kit – spróbuje odciągnąć strażników w kierunku Holme. Jeśli dopisze nam szczęście, nawet nie będą wiedzieli, że istniejecie.

Shep skinął głową na znak, że rozumie. Kuce ruszyły i po chwili zniknęły między wydmami, pokrywającymi wschodnią część przylądka. Będą poruszały się ostrożnie, starając się pozostać jak najdłużej w ukryciu, nim wreszcie skierują się na południe, ku ruinom kościoła.

– Gdzie dokładnie widziałeś straż? – zapytał Jack, zwracając się do Kit.

– Na klifie, jechali blisko krawędzi.

Jej głos pod wpływem emocji wzniósł się na wyższe rejestry, co groziło zdemaskowaniem. Jack mógł mieć tylko nadzieję, że George tego nie zauważył.

– Trzymaj się mnie – burknął, modląc się w duchu, żeby Kit miała na tyle rozsądku, by go posłuchać.

Dotknął piętami boków Championa i ogier ruszył, kierując się ku ścieżce prowadzącej na klif. Delia poszła za nim, a Matthew i George także starali się trzymać jak najbliżej.

Skręcili w głąb lądu, by skryć się pod osłoną szpaleru drzew rosnących równolegle do klifu w odległości mniej więcej stu metrów od urwiska. Nie musieli jechać daleko.

Jack stał w cieniu jodły, trzymając dłoń na chrapach Championa, aby stłumić ewentualne prychnięcie, i przyglądał się, jak oddział straży przejeżdża obok, nie zachowując czujności ani żadnych środków ostrożności. Potrząsnął z niedowierzaniem głową i spojrzał wymownie na George'a. Gdy tylko straż ich minęła, natychmiast dosiedli koni.

Nagłe pohukiwanie, dobiegające gdzieś z boku, przestraszyło Kit, która właśnie wsuwała nogę w strzemię. Usiadła wyprostowana i usłyszała przeciągły ptasi dryl, dobiegający tym razem z miejsca oddalonego od niej zaledwie o parę metrów. A potem Jack uderzył ostrzem noża o klamrę przy pasie, pomrukując niezrozumiale. Matthew i George natychmiast zrobili to samo. Kit wpatrywała się w nich zdumiona.

Oddalające się dudnienie kopyt ucichło nagle jak ucięte nożem. Matthew i George nadal hałasowali, uderzając nożami o klamry, podczas gdy Jack podprowadził Championa na skraj drzew. Stłumione pobrzękiwanie trwało do chwili, gdy Jack odwrócił się i syknął: – Jadą!

George i Matthew znieruchomieli, wpatrując się z uwagą w podniesioną dłoń Jacka. Nagle dłoń opadła.

– Teraz!

Pokrzykując z pozornym przerażeniem: „Straż!" wyprysnęli spod drzew,

kierując się na zachód. Jack obejrzał się i spostrzegł czarny łeb Delii tuż przy swym kolanie. Kit gnała pochylona nad szyją klaczy. Jack błysnął w uśmiechu zębami. Dobrze było tak pędzić, mając ją u boku.

Robili tyle hałasu, co gromada myśliwych polujących na lisa. Przynajmniej z początku, gdyż kiedy tylko stało się jasne, że oficerowie nakazali pościg, Jack zatrzymał się pod osłoną małego pagórka. Matthew i George zatrzymali gwałtownie konie tuż przy nim, a Kit nie śpiesząc się ściągnęła wodze o kilka metrów dalej. Szal, którym osłaniała twarz, nieco się odwinął, a nie chciała, by George i Matthew zobaczyli, jak dokładnie wygląda. Mżawka przeszła tymczasem w deszcz. Krople, spływające z przyklejonych do czoła mokrych loków, spływały jej po nosie. Uniosła głowę i spojrzała na zachód. Niskie, fioletowoczarne chmury pędziły po niebie, gnane chłodnym wiatrem.

Dobiegł ją głos Jacka.

– Rozdzielimy się. Kit i ja mamy szybsze konie. Wy dwaj pojedziecie na południe. Kiedy uznacie, że niebezpieczeństwo minęło, rozdzielcie się i jedźcie do domu.

– W którą stronę pojedziecie? – zapytał George, strząsając wodę z kapelusza.

Jack uśmiechnął się zuchwale. – Pojedziemy na zachód plażą. Szybko ich zgubimy.

George skinął głową, po czym wraz z Matthew obrócili konie i wjechali między drzewa rosnące wzdłuż prowadzącej na zachód drogi. Nie mogli się pokazać, póki Jack i Kit nie odciągną straży. Po obu stronach drogi rozciągało się bowiem otwarte pole, gdzie łatwo byłoby ich dostrzec.

Szwadron nadal znajdował się poza polem widzenia, po drugiej stronie pagórka. Jack podjechał bliżej Kit.

– Jest tu ścieżka prowadząca na plażę – powiedział, wskazując kierunek. Kit zamrugała, starając się dostrzec coś przez zasłonę deszczu. – Tam gdzie gałęzie wiszą nad klifem. Zjedź nią, za chwilę do ciebie dołączę.

Kit oparła się pokusie, by odpowiedzieć, że zaczeka. Ton Jacka sugerował jasno, iż nie będzie tolerował dyskusji. Skłoniła więc Delię do cwału i szybko zbliżyła się na skraj urwiska. U wylotu ścieżki zatrzymała się i spojrzała za siebie. Oddział okrążał właśnie pagórek. Musieli ich widzieć – Kit na skraju klifu i pędzącego ku niej Jacka. Domyśliła się, że Jack zwolnił, by upewnić się, że zostaną dostrzeżeni. Strażnicy krzyknęli głośno z radości i natychmiast chwycili przynętę. Kit pomknęła ku plaży, osiągając podnóże ścieżki w chwili, gdy Champion wylądował ciężko tuż obok Delii. Kit zdążyła już zapomnieć, że ta sztuczka stanowiła specjalność Jacka.

– Na zachód!

Kit obróciła Delię i poluzowała wodze. Klacz, wyczuwając napięcie, pomknęła do przodu, pozostawiając za sobą Championa. Kit uśmiechnęła się,

nie zwracając uwagi na spływające po twarzy krople deszczu. Lecz jej radość nie trwała długo. Wkrótce Champion dogonił Delię i odtąd słyszała stukot jego podków tuż za sobą. Najwidoczniej Jack postanowił trzymać się pomiędzy nią a ścigającymi.

Tymczasem Jack gnał, wpatrując się w powiewające poły surduta Kit i podziwiając łatwość, z jaką radziła sobie z koniem. Nie widział dotąd lepszego jeźdźca – razem, Kit i Delia w galopie, wyglądały niczym magiczne zjawisko. Jack się obejrzał. Strażnicy, niedorównujący im umiejętnościami i dosiadający gorszych koni, byli teraz zaledwie malejącymi z każdą chwilą postaciami na piasku.

Spojrzał przed siebie i już miał zawołać do Kit, by skierowała się na ostatnią przed cyplem ścieżkę, prowadzącą w górę, gdy jakieś poruszenie na szczycie przyciągnęło jego uwagę. Wytężył wzrok.

Niech diabli wezmą tego człowieka! Tonkin nie tylko nie posłuchał rozkazów i pojechał na wschód, ale wykazał też dość rozsądku, aby podzielić ludzi. Nie tyle poprowadzili razem z Kit straż na zachód, co raczej zostali tam zapędzeni niczym stado owiec. Plan Tonkina był oczywisty – starał się zapędzić ich na wąski zachodni cypel, by potem schwytać tam w pułapkę, oddzielonych od bezpieczeństwa stałego lądu kordonem straży.

Kit również dostrzegła ludzi na klifie. Zwolniła i się obejrzała. Champion nie zatrzymał się i Jack wjechał pomiędzy Delię a klif.

– Jedź dalej! – krzyknął, dostrzegłszy pytający wzrok Kit.

– Ale…

– Wiem! Po prostu jedź dalej na zachód.

Kit posłuchała, choć niezbyt chętnie. Ten człowiek oszalał. Jeśli pojadą dalej, wkrótce znajdą się na skraju lądu. Dotarła już niemal do miejsca, gdzie klif nagle opadał. Dalej było już tylko morze.

Tymczasem Jack pędził przed siebie, nie przejmując się niczym i rozmyślając nad tym, jak nieprzewidywalny okazał się sierżant Tonkin. Najwidoczniej Jack go nie docenił. Nadal trudno mu było uwierzyć, że Tonkin wykazał dość rozumu i odwagi, aby obmyślić pułapkę, a potem ją zastawić. Oczywiście, nic mu z tego nie przyjdzie, ale czego mógł się spodziewać? Jego sieć miała wielką dziurę, a to wystarczyło, by kapitan Jack mu się wymknął.

Od wschodu dobiegł ich odgłos grzmotu. Niebiosa otwarły się i deszcz lunął z niszczycielską siłą. Jack roześmiał się radośnie. Deszcz przeszkodzi Tonkinowi. Nim przemoczeni strażnicy upewnią się, że zdobycz im się wymknęła, będzie już ranek.

Kit usłyszała śmiech Jacka i spojrzała na niego zdumiona.

Dostrzegł wyraz jej twarzy i musiał się uśmiechnąć. Nadal pędzili prosto na zachód. Przypływ przybierał na sile, pochłaniając kolejne fragmenty plaży. Po lewej klif przechodził w odkrytą skałę, a potem opadał ku usianemu głazami

krańcowi cypla. Kit ściągnęła wodze. Champion także zwolnił. Jack skierował go ku skałom.

– No, dalej.

Jack ruszył pierwszy, wprowadzając Championa pomiędzy głazy. Fale przelewały się dołem, obmywając ciężkie podkowy wierzchowca. Delia szła za ogierem, a jej podkowy lekko postukiwały.

Po drugiej stronie cypla znajdowała się mała, piaszczysta zatoczka. Za nią połyskiwały bielą plaże południowej strony przylądka. Ledwie widoczna ścieżka prowadziła stamtąd w głąb lądu. Lecz straż z pewnością przyczai się właśnie tam, pomyślała Kit. Pod osłoną klifu ulewa nie dawała się tak bardzo we znaki. Jack wjechał do zatoczki. Kit zatrzymała Delię tuż obok Championa. Siedziała w siodle, wstrzymując oddech i wpatrując się w ląd po drugiej stronie.

– I co? Jesteś gotowa?

Kit zamrugała i spojrzała na Jacka.

– Gotowa?

Na widok jego uśmiechu, wyrażającego podniecenie i szatańską radość, przeszył ją dreszcz. Spojrzała, jak on, na drugą stronę zatoczki.

– Żartujesz – nie było to pytanie, lecz stwierdzenie.

– Dlaczego? I tak jesteś przemoczona do suchej nitki. Trochę więcej wody z pewnością nie może ci zaszkodzić.

Oczywiście miał rację. Nie mogła już bardziej przemoknąć. Był tylko jeden problem.

– Nie umiem pływać.

Teraz to Jack wpatrywał się w nią, wspominając noc na jachcie, kiedy o mało nie doszło do katastrofy. W kilku mocnych słowach powiedział, co myśli o niemądrych babach, które pchają się do łodzi, nie umiejąc pływać. Kit słuchała spokojnie, doskonale obeznana z argumentami Jacka. Spencer zwykle posługiwał się nimi, zabraniając jej żeglować.

– No dobrze, ale co w takim razie zrobimy? – spytała, kiedy Jack wreszcie zamilkł.

Jack zmarszczył brwi i przez chwilę przyglądał się odległemu brzegowi, mrużąc oczy. A potem podprowadził Championa bliżej Delii. Kit poczuła, że zaciska dłonie wokół jej talii.

– Chodź tutaj.

Nie miała wyboru. Jack podniósł ją i posadził przed sobą na siodle. Było dość wąskie i Kit siedząc czuła, że kolba jego rewolweru uciska ją w udo. Jack chwycił wodze Delii i przywiązał je do kółka z tyłu swego siodła, a potem zdjął pas.

– Siedź spokojnie.

Przyjrzał się bacznie talii Kit, a potem przeciągnął swój pas przez pas Kit.

– Co robisz? – spytała, obracając się, by coś zobaczyć.

– Do licha, kobieto! Siedź spokojnie. Później będziesz mogła do woli kręcić biodrami, ale nie teraz!

Wymruczane pod nosem słowa sprawiły, że Kit natychmiast posłuchała. Później. Podniecenie spowodowane ucieczką sprawiło, że zapomniała o jego planach na „później". Nerwowo przełknęła ślinę. To nie była odpowiednia chwila na rozpoczynanie dyskusji. Już zanim zaczęła się wiercić, Jack był na wpół podniecony, teraz…

– Robię po prostu pętlę. Jeśli przypadkiem ześliźniesz się z siodła, łatwiej mi będzie cię przytrzymać.

To, co powiedział, z pewnością nie wpłynęło dobrze na samopoczucie Kit.

– Jeśli się ześliznę?

Jack wyprostował się, nim zdążyła pomyśleć o innym sposobie ucieczki. – Trzymaj się mocno łęku. Kiedy znajdziemy się w wodzie, popłynę obok ciebie. – Co powiedziawszy, ścisnął piętami boki Championa.

Oba konie potraktowały przeprawę tak, jakby pływanie w środku nocy przez ciemne wody zatoki należało do ich stałych zwyczajów. Kit zazdrościła im braku wyobraźni. Sama, niestety, posiadała jej aż za dużo. Przywarła do łęku, uczepiwszy się obiema rękami gładkiej powierzchni. Gdy pierwsza fala sięgnęła jej nóg, poczuła, że Jack, którego ciepłe, solidne ciało zapewniało jej jakie takie poczucie bezpieczeństwa, zsuwa się z siodła. Stłumiła protest, który cisnął się jej na usta, odwróciła głowę i zobaczyła, że Jack unosi się na wodzie tuż obok niej.

– Pochyl się tak, jak przy szybkiej jeździe.

Kit posłuchała, zadowolona, że czuje w dole pleców nacisk jego ręki.

Po chwili fala przewaliła się nad nią, zalewając lodowatą wodą. Kit wrzasnęła i wyłoniła się, plując i prychając. Jack natychmiast znalazł się obok niej. Widziała tuż przy sobie jego twarz, czuła, jak obejmuje ramieniem jej plecy i podtrzymuje ją.

– Cii. Już wszystko dobrze. Nie puszczę cię.

Powiedział to tak pewnie, że Kit od razu poczuła się lepiej. Uświadomiła też sobie, że dłoń Jacka spoczywa teraz na jej piersi, lecz jakoś nie była w nastroju, by protestować. Gdyby tylko mogła przytulić się do niego jeszcze bardziej, z pewnością by to zrobiła, nie bacząc na konsekwencje.

Przypływ wdarł się przez wąskie ujście zatoki, pchnął ich niczym szczątki rozbitego statku i wyrzucił na plażę. Gdy tylko podkowy Championa dotknęły dna, Jack natychmiast wskoczył na siodło. Kit westchnęła z ulgą, uznając, że nie ma nic przeciwko temu, by Jack obejmował ją wpół ramieniem, przyciskając mocno do siebie. Było jej zbyt dobrze i czuła się zbyt bezpieczna, by protestować.

Jack powstrzymał Championa, który wyrywał się na brzeg, i pozwolił mu

wyjść na plażę dopiero, gdy nogi klaczy także dosięgnęły dna. Gdy tylko znaleźli się na piasku, puścił Championa w cwał, kierując go ku najbliższej dróżce i względnemu bezpieczeństwu rosnących tam drzew.

Kit zachowała spokój, czekając, aż Jack zatrzyma konia i ją zsadzi. Jednak nie zrobił tego. Przecięli linię drzew porastających kraniec klifu, a potem skierowali się wprost na południe. Ulewa nie ustawała. Kit, zdezorientowana, dopiero po kilku minutach uświadomiła sobie, dokąd jadą. Zabiera mnie prosto do chaty, pomyślała, otwierając szeroko oczy.

– Jack! Zatrzymaj się! Eee… – Za wszelką cenę starała się wymyślić jakiś pretekst, by go opuścić, lecz nic nie przychodziło jej do głowy.

Champion nie zwolnił.

– Musisz jak najszybciej zdjąć z siebie mokre ubranie – powiedział Jack.

Dlaczego, zapytywała się Kit w duchu, nadal sparaliżowana strachem. Przecież może to zrobić później. Za Boga nie potrafiła jednak wymyślić rozsądnego argumentu, który mogłaby przeciwstawić rozumowaniu Jacka. Postanowiła, że po prostu je zignoruje. – Mogę jechać sama. Zatrzymaj się i pozwól mi przesiąść się na Delię.

W odpowiedzi Jack skierował wierzchowca na drogę do Holme. Po kilku minutach byli już na ścieżce prowadzącej do chaty. Strach rozluźnił Kit język.

– Jack!

– Do licha, kobieto! Jesteś przemoczona. Nie możesz jechać w tym stanie aż do Cranmer. A jeśli sama tego nie zauważyłaś, to pozwól, że zwrócę ci uwagę, iż nadciąga burza.

Kit rzeczywiście niczego nie zauważyła. Obejrzała się szybko przez ramię i zobaczyła, że błyskawice przecinają ciemne niebo. Przestała protestować i przywarła mocniej do ciepłej piersi Jacka. Nienawidziła burzy z piorunami, a co gorsza, bała się ich także Delia. Jednak na razie klacz wydawała się spokojna, cwałując posłusznie za Championem. Może powinna poprosić Jacka, by odwiózł ją do domu. Nie… Wtedy mogliby zatrzymać się pod drzewem.

Bez wątpienia nie mogła sobie pozwolić, by się przeziębić bez widocznego powodu. Lecz co, u licha, zrobi, kiedy już znajdą się w chacie? Ta myśl sprawiła, że wspomniała ów męski drobiazg, który tylekroć uzmysławiał jej, o czym myśli Jack. Jednak tym razem, ku jej zdumieniu, nie czuła na pośladkach nacisku jego członka, choć jechała przyciśnięta do niego mocniej niż poprzednio. Co jest nie tak?

I wtedy uświadomiła sobie, że Jack mógł mieć na myśli po prostu to, co powiedział: powinna zdjąć mokre ubrania, by uniknąć przeziębienia. Oblała się rumieńcem. Zawstydzona, uświadomiła sobie, że to odkrycie przyniosło jej nie ulgę, lecz dotkliwe rozczarowanie. Nie mogła już dłużej się oszukiwać. Poczerwieniała jeszcze mocniej.

Dlaczego nie przyznasz, że chciałabyś spróbować tego właśnie z nim? Co

masz do stracenia? Tylko dziewictwo. A dla kogo miałabyś je oszczędzać? Wiesz, że Jack cię nie skrzywdzi. No, może ci zostawić jeden czy dwa siniaki, lecz tylko przypadkiem, nie rozmyślnie. Będziesz przy nim bezpieczna. Dlaczego nie zdecydujesz się na ten krok? I czy może być noc, która bardziej by się do tego nadawała? Wiesz, że nie znosisz zasypiać sama podczas burzy.

Milczała, zmagając się ze swymi demonami.

Tymczasem umysł Jacka jak najbardziej zajęty był obmyślaniem mającego nastąpić uwiedzenia. Lecz jemu także było zimno. Oboje musieli jak najszybciej schronić się przed lodowatym deszczem i wiatrem. Dwuznaczność tego, co powiedział wcześniej, była zamierzona; nie potrafiłby lepiej zaplanować wieczoru. Nie mógł się już doczekać, kiedy zdejmie z Kit mokre ubrania. Już on potrafi ja rozgrzać. To, co zamierzał, przepędzi każdy chłód.

Nie było lepszego sposobu, by przetrwać razem burzę.

Rozdział 17

Chata wyłoniła się z ciemności, niska i przysadzista, wtulona w osłaniający ją przed wiatrem stok. Jack podjechał prosto do stajni. Zsiadł z konia, a potem pomógł zsiąść Kit.

– Wejdź do środka. W kominku powinien palić się ogień. Dorzuć trochę drew. W szafie znajdziesz ręczniki. Zajmę się Delią.

Kit spojrzała na Jacka, ale w ciemności trudno było dostrzec wyraz jego twarzy. Wreszcie skinęła tępo głową i ruszyła do drzwi. Jego ostatnie słowa musiały z pewnością znaczyć, że będzie miała dość czasu, by się rozebrać i wysuszyć, zanim on wróci do chaty. Bez wątpienia w szafie znajdzie się też szlafrok lub coś, w co będzie mogła się owinąć. Najwidoczniej figle z jej bryczesami poprzedniej nocy stłumiły pożądanie Jacka, przynajmniej na jakiś czas. Albo to, albo też kąpiel w lodowatej wodzie osłabiła jego zapał. Kit skrzywiła się i nacisnęła klamkę.

W pomieszczeniu panował półmrok, rozjaśniony jedynie blaskiem żarzących się głowni. Kit westchnęła i opadła na klęczki. Drewno znajdowało się w koszyku z boku kominka. Dołożyła do paleniska, a potem usiadła i zaczęła wpatrywać się w ogień. Ciepło powoli rozchodziło się po jej zziębniętym ciele. Westchnęła ponownie i niechętnie podniosła się z klęczek.

Ręczniki znajdowały się na najwyższej półce szafy. Kit wyciągnęła kilka rozkosznie suchych lnianych płacht i podeszła z nimi do ognia. Rzuciła ręczniki na łóżko, wszystkie poza jednym, który rozpostarła na podłodze. Przyciągnęła bliżej krzesło i zaczęła zmagać się z przemokniętym ubraniem. Rzuciła na krzesło kapelusz, szal i surdut. Usiadła i zdjęła wysokie buty, a potem uklękła na skraju ręcznika i zerknąwszy czujnie na drzwi, zsunęła przez głowę koszulę. Niełatwo było uwolnić ramiona i barki z uścisku mokrego materiału, lecz jakoś jej się to udało. Więcej kłopotu sprawiły Kit pasy płótna ściskające piersi, gdyż ciasny węzeł zacisnął się jeszcze pod wpływem wody i teraz nie dawał się rozwiązać. Nim zdołała sobie z nim poradzić, wyczerpała niemal cały znany jej repertuar przekleństw. Warto było jednak się potrudzić: uwolnienie piersi spod warstw obciskającego je mokrego materiału przyniosło nie lada ulgę.

Przykucnęła, pozwalając, by ciepło kominka wygnało chłód z jej ciała. Sięgnęła za siebie i wzięła jeszcze jeden ręcznik. Pochyliła się i powiesiła go sobie na szyi, a potem jego końcami wytarła włosy, strząsając krople wody prosto w ogień. Gdy włosy przestały wreszcie ociekać wodą, osuszyła ramiona i plecy, a potem przesunęła go na piersi.

I wtedy otworzyły się drzwi.

Kit odwróciła się, wciągając raptownie powietrze i przyciskając do piersi ręcznik.

Jack stał w drzwiach i wyglądał tak, jakby całkiem zapomniał, po co tu przyszedł. Nic bardziej mylnego. Przyszedł uwieść Kit Cranmer i nic nie mogło sprawić, by o tym zapomniał. Wyglądał na zdezorientowanego, ponieważ oszołomił go widok Kit, klęczącej przed kominkiem, nagiej do pasa, z opadającymi na ramiona płomiennymi lokami. Kit z szeroko otwartymi oczami, które z ametystowych stawały się fiołkowe, z przyciśniętym do ciała ręcznikiem, nie ukrywającym bynajmniej dwóch rozkosznych sterczących wzgórków, z długimi nogami, których smukły kształt podkreślały jeszcze mokre bryczesy.

Jack zamknął powoli drzwi, nie spuszczając ani na chwilę wzroku z jakże kobiecej postaci otoczonej blaskiem płomienia. Nie odwracając się, zasunął skobel. Podszedł do stołu i położył na nim pistolet, a potem zrzucił z ramion surdut.

Kit, bezradna wobec hipnotyzującego spojrzenia jego srebrzystych oczu, trwała jak sparaliżowana, nie mogąc się poruszyć. Gdy ściągnął przez głowę koszulę, zamrugała, lecz natychmiast zahipnotyzowała ją gra świateł na szerokiej męskiej piersi. Nie zauważyła, by rozwiązywał włosy, mimo to opadały swobodnie na ramiona, brązowe i przetykane złotem. Klęknął na ręczniku tuż obok niej.

Jego dłonie zamknęły się na nagich ramionach Kit. Delikatnie przyciągnął ją do siebie.

Kit zatonęła spojrzeniem w srebrzystych oczach, w których płonęło pożądanie. Poczuła, że zaschło jej w ustach. Zadrżała, porwana przez siłę, której moc przekraczała skalę jej doświadczenia.

Jack przyglądał się, jak namiętność zmienia barwę oczu Kit w płonący fiolet. Gdy wysunęła język, by zwilżyć wargi, uznał, iż może sięgnąć po ręcznik. Oddała go bez słowa protestu. Spojrzał w dół, na skarby, które odsłonił. Przez chwilę przyglądał się, jak pod wpływem pieszczoty jego spojrzenia sutki Kit sztywnieją, zmieniając się w twarde węzełki.

Leniwie uśmiechnął się zadowolony i przeniósł spojrzenie na twarz Kit, na jej otwarte szeroko oczy i rozchylone do pocałunku usta.

Kit ledwie mogła oddychać, gdy Jack uniósł wreszcie dłonie, przesunął nimi wzdłuż jej szyi, a potem objął twarz, wsuwając palce pomiędzy ogniste pukle. Znieruchomiał na chwilę, wpatrując się w nią z niemym pytaniem w srebrzystych oczach.

Kit uświadomiła sobie, że tego pragnie. Równie mocno jak Jack. I w tej samej chwili podjęła decyzję. Odsunęła na bok nauki, których nie szczędzono jej podczas minionych dwudziestu dwu lat, i sięgnęła po to, czego pragnęło jej serce.

Gdy Jack pochylił głowę, uniosła się na kolanach, by spotkać się z nim w pół drogi.

Wycisnął na jej ustach płonący pocałunek, przechylając głowę, gdy Kit rozchyliła je dla niego. A ona położyła mu dłonie na barkach i zaczęła gładzić pieszczotliwie. Wystarczyły sekundy, a krew w niej zapłonęła, rozpalona ogniem jego pożądania.

Dzięki Bogu tym razem dłonie miała wolne i mogła do woli przesuwać nimi po ciepłej skórze mężczyzny, rozkoszując się siłą rysujących się pod nią mięśni i gładkością skóry pod sprężystym, brązowym owłosieniem. Jej ciekawskie palce odnalazły ukrytą wśród włosów brodawkę. Ścisnęła lekko i ku jej zadowoleniu brodawka zesztywniała pod dotykiem jej palców. Przesunęła dłońmi po umięśnionym torsie, a potem przeniosła je na szerokie plecy Jacka. I natrafiła na wodę. Jack nadal był mokry.

Odsunęła się i uwolniła język z rozkosznego pojedynku. Jack uniósł pytająco brwi. Sięgnął po nią, lecz powstrzymała go, kładąc mu dłoń na piersi. Sięgnęła po ręcznik.

Kropla wody spadła z włosów Jacka i potoczyła się w dół. Kit dostrzegła ją. Z uśmiechem pochyliła głowę i zlizała wodę. Jack zadrżał i przymknął oczy, zaciskając dłonie.

Kit uśmiechnęła się jeszcze bardziej uwodzicielsko. Zaczęła wycierać jego pierś, rozmyślnie powoli wykonując ręcznikiem małe kółka. Wstała i stanęła za plecami Jacka.

Jack przykucnął i nie protestował, zahipnotyzowany zmysłową pieszczotą Kit. Drażniący dotyk ręcznika stopiłby posąg. A przynajmniej by go rozpalił. Jego ciało było już bardzo bliskie tego stanu.

Gdy Kit pojawiła się znów przed nim, pochwycił ją za nadgarstki i pociągnął w dół, zmuszając, by przyklękła. Wyjął z jej dłoni ręcznik i odrzucił. Nie wziął jej w ramiona, lecz sięgnął do piersi i zamknął rozkoszne półkule w dłoniach, ściskając delikatnie i drażniąc kciukami twarde sutki.

Kit przymknęła oczy i bezwiednie pochyliła się ku Jackowi.

Jack pocałował ją, a potem opuścił dłonie na jej talię. To wszystko szło zbyt szybko, on zaś pragnął przeciągać sprawę najdłużej, jak się da. Nie chciał, aby od razu osiągnęła szczyt – miał co do niej inne plany.

Pocałunek spowolnił nieco reakcję Kit. Nie wrzała już, lecz gotowała się na wolnym ogniu. Instynktownie uświadomiła sobie, że Jack pragnie utrzymać ją w tym stanie. Nie wiedziała dlaczego, lecz nie był to odpowiedni czas na rozwiązywanie zagadek. Jego dłonie powędrowały teraz ku zapięciu bryczesów Kit. Mokry materiał utrudnił rozpinanie guzików, lecz razem jakoś sobie z tym poradzili. A potem Jack zdjął jej bryczesy, przesuwając dłońmi po chłodnych pośladkach.

Kit poruszała biodrami, by uwolnić się od oblepiającego materiału,

dziękując przy tym swemu Aniołowi Stróżowi, że ma na sobie spodnie do konnej jazdy, nie zaś tamte ineksprymable, w których była na przyjęciu. Tamte po prostu by z niej zerwał. Jack skłonił ją, by wstała, a potem ściągnął jej bryczesy do stóp i pomógł z nich wyjść. Lecz nim zdążyła opaść znów na kolana, pochwycił ją za biodra i przytrzymał. Stała teraz przed nim zupełnie naga.

Przez dłuższą chwilę Jack podziwiał jej piękno. A potem pochylił głowę, by oddać mu hołd.

Kit westchnęła, gdy jego wargi dotknęły jej pępka. Wsunęła mu palce we włosy i pochwyciła mocno jego głowę. Czuła, jak język Jacka, przesuwający się rytmicznie i nieśpiesznie po skórze, rozpala ogień w jej ciele. Gdy w końcu przesunął wargi, westchnienie Kit wypełniło pokój.

Czekała, by ją puścił, lecz Jack jeszcze nie skończył. Jego język badał krzywiznę jej biodra. Kit poczuła, że zsuwa ręce w dół i obejmuje wielkimi dłońmi jej pośladki. Zacisnął palce, czyniąc z niej swego więźnia. Uśmiechnęła się. I tak nie miała zamiaru uciekać.

A potem poruszył się, opadając niżej na kolana. Jego wargi powędrowały w ślad za resztą ciała.

– Jack! – zaprotestowała Kit, zaszokowana, lecz protest zakończył się jękiem. Kolana zawiodły ją i byłaby osunęła się na podłogę, gdyby Jack tak mocno jej nie trzymał. Jego usta przywarły tymczasem do jasnych kędziorków u zbiegu jej ud, a język dotknął ukrytego pod nimi miękkiego ciała.

Kit zachwiała się i przymknęła oczy. Pragnęła mieć go u swych stóp, ale nie chodziło jej o coś takiego. To było coś bardziej niż skandalicznego – coś, czego Amy nie potrafiłaby sobie nawet wyobrazić. Kit zadrżała, odchylając głowę. Jej umysł przestał funkcjonować. Jack uniósł tymczasem lewą nogę Kit, przerzucił ją sobie przez ramię i przesuwał ustami wzdłuż jedwabistego wnętrza jej uda, nim zaczął plądrować jej kobiecość tak samo nieustępliwie, jak czynił to wcześniej, całując ją.

Kit nie mogła myśleć. Jej świadomość skoncentrowała się w punkcie, gdzie gorące usta Jacka i jego jeszcze gorętszy język sprawiały, że cała płonęła. Opuściła mu ręce na ramiona i wbiła w nie konwulsyjnie paznokcie.

Jack zorientował się, że Kit dotarła niemal do punktu, po którym orgazm byłby już nieodwołalny. Natychmiast zmienił taktykę. Sprowadził ją znów znad krawędzi, pozwalając, by zżerający ją płomień nieco przygasł, nim znów rozpali go do białości. Od delikatnych pocałunków wokół okrytego kędziorkami wzgórka przeszedł do powolnej eksploracji rozpalonego ciała, otaczającego wejście do sekretnej jaskini Kit.

Dobrze ją ustawił: w tej pozycji, z nogą przerzuconą przez jego ramię, mógł podtrzymywać ją jedną ręką. Druga pozostawała wolna. Wykorzystał to, aby popieścić jej pośladki.

Skóra Kit była teraz wilgotna, lecz nie od deszczu. Przesunął dłoń po bujnej półkuli, a potem jego palce odnalazły szczelinę pomiędzy pośladkami i wśliznęły się tam, szukając miejsca, gdzie nawet niewielki nacisk wywierał pożądany skutek. Głośne westchnienie Kit powiedziało mu, że je znalazł. Przesunął jej kolano, otwierając ją szerzej i zataczając językiem kręgi wokół nabrzmiałego pączka jej kobiecości.

Ciekawe, jak długo ona zdoła to wytrzymać, zastanawiał się. Albo on.

Kit poddawała się kolejnym falom rozkoszy, przepływającym niczym ogień przez jej żyły. Pobudzone zmysły sprawiały, że była boleśnie świadoma każdego erotycznego ruchu, jaki wykonywał Jack. Poddawała się rozkoszy, upajając się szokującą intymnością. Jack tymczasem doprowadzał ją raz za razem do punktu, w którym czuła, że zaczyna wzbierać w niej to dziwne napięcie. A potem zwalniał, nie bacząc, że pragnęła rzucić się głową w dół ku swemu przeznaczeniu. Gdy zrobił to znowu, jęknęła niezadowolona. Poruszyła się gwałtownie w jego uścisku.

– Do licha z tobą, Jack!

Nie powiedziała mu jednak, by przestał. Nie wiedziała, czego dokładnie chce.

Lecz on wiedział, była tego pewna. Słyszała jego głęboki śmiech. Czuła, jak tym śmiechem wibruje jego ciało. Odsunął się, by na nią spojrzeć, a w jego oczach żarzył się srebrny płomień.

– Masz dość?

– Tak… nie!

Kit próbowała udawać zagniewaną, lecz próżne to były wysiłki.

Jack roześmiał się i opuścił jej kolano. Wstał i Kit zachwiała się ku niemu. Jego usta odnalazły jej wargi i płomienie zapłonęły znowu.

A potem Jack się odsunął. Kit oparła się o niego, zbyt słaba, by protestować. Podtrzymał ją, gładząc jej plecy i rozkoszując się ich jedwabistą gładkością. Kit była dobrze przygotowana, gotowa eksplodować. On zaś, dzięki Bogu, nadal nad sobą panował. Choć pewnie nie potrwa to już zbyt długo.

Kit jęknęła rozczarowana i uniosła twarz do pocałunku. Jack pocałował ją, lecz bardzo lekko. A potem odsunął się nieco i pocierając jej wargi swoimi, zapytał: – Rozumiem, że chcesz, bym w ciebie wszedł?

Kit zamrugała.

Nie mogła uwierzyć, że to słyszy. Po tym, co właśnie jej zrobił – co pozwoliła mu ze sobą zrobić – chciał, aby to powiedziała. Na głos. Zacisnęła buntowniczo wargi.

Jack uniósł brwi.

– Tak, do licha! Chcę, żebyś wsadził we mnie ten swój przeklęty miecz. W porządku?

Jack uśmiechnął się triumfująco, a potem porwał ją w ramiona. – Nie jestem

taki, bym miał rozczarować damę.

Dwoma krokami dopadł łóżka. Nie było to jego łoże w Hendon, zasłane jedwabną pościelą, ale na razie wystarczy. Wiatr wył za oknem, gdy kładł Kit na łóżko i wyciągał spod niej kołdry. Nie będą im potrzebne przez godzinę czy dwie.

Gdy tylko położył ją pośrodku łoża, natychmiast poczuła potrzebę, by się okryć. Lecz głodne spojrzenie Jacka powstrzymało ją i pozbawiło zahamowań. Przeciągnęła się niczym kotka i wsparta na poduszkach przyglądała się, jak Jack się rozbiera.

Najpierw zdjął buty, potem mokre bryczesy. Serce skoczyło jej do gardła, gdy zobaczyła to, co przedtem jedynie wyczuwała dotykiem. Jack sięgnął po ręcznik i wytarł nogi. A kiedy zaczął wycierać to, co sterczało pomiędzy nimi, Kit poczuła, że robi jej się sucho w ustach. To chyba niemożliwe? Lecz wszystko, co zrobił wcześniej, dobitnie świadczyło, iż Jack miewał już do czynienia z kobietami. Jednak to, co najwidoczniej zamierzał, nadal wydawało się Kit fizyczną niemożliwością.

Polano w kominku przewróciło się, posyłając wokół deszcz iskier, i Jack przypomniał sobie o obowiązkach gospodarza. Odrzucił ręcznik i przykląkł, by zająć się ogniem.

Kit odetchnęła głęboko raz, a potem drugi. Wszystko będzie dobrze. Jack najwidoczniej wie, co robi, nawet jeśli ona nie ma o tym pojęcia. Ciekawe, jakie to uczucie, poczuć to coś w sobie?

Zmusiła się, by myśleć o czymś innym: o blasku płomieni na jego skórze i rysujących się pod nią mięśniach. Spostrzegła, że Jack ma na ciele kilka blizn. Jej uwagę przyciągnęła zwłaszcza długa szrama po wewnętrznej stronie lewego kolana, wyraźnie widoczna w świetle płomieni. Łóżko ugięło się pod ciężarem Jacka. Natychmiast wziął ją w ramiona. Jasność myśli opuściła Kit, gdy tylko poczuła na ustach jego wargi.

Jack rozkoszował się smakiem jej ust, żarem ukrytym pod pozorami spokoju. Kit ochłodła nieco, lecz oznaczało to tylko, że będzie miał przyjemność ponownie rozpalić w niej płomień. Bez wątpienia miała już doświadczenia z mężczyznami, jednak zamierzał sprawić, by nigdy nie zapomniała tej nocy, tej chwili i tego mężczyzny. Podjąwszy postanowienie, zaprzągł do tego zadania zarówno umysł, jak i ręce.

Jego doświadczone palce odnajdywały każdy czuły punkt na ciele Kit. Dolna krzywizna pośladków szybko stała się jego ulubionym miejscem; Kit płonęła, gdy tylko jej tam dotknął. Zadowolony, że jest zabezpieczona przed chłodem, przyciągnął ją do siebie. Leżeli przytuleni od ramion po kolana. Lecz nim zgarnął ją pod siebie, uwiodła go jedwabista gładkość rozpalonej skóry, ocierającej się zmysłowo o jego ciało.

Kit zareagowała instynktownie na dotyk ciała mężczyzny. Nie doświadczyła

dotąd czegoś takiego. Zżerana ciekawością, potarła miękkim udem o jego twarde mięśnie, dziwiąc się szorstkości owłosienia na nogach Jacka i kontrastowi pomiędzy jego smukłymi mięśniami a jej uległym, miękkim ciałem.

Uświadomiła sobie, że Jack oddał jej inicjatywę i doszła do wniosku, że czas zaspokoić ciekawość. Podjęła decyzję: nie było sensu się ograniczać. Cokolwiek zrobi, ewentualna kara będzie taka sama. Otwarła oczy i przesunęła dłońmi po jego piersi, podziwiając ukryte pod skórą szerokie pasma mięśni. Spojrzała na jego twarz i zobaczyła zamknięte oczy, zaciśnięte szczęki i usta.

Nie przestając się uśmiechać, przesunęła dłonie niżej i przyglądała się, jak na jego twarzy i w całym ciele rośnie napięcie. Sięgnęła niepewnie i wzięła w dłonie jego męskość tak, jak uczyniła to przed dwoma dniami. Przesunęła palcami po pulsującym trzonie i odnalazła zaokrąglony czubek. Ścisnęła go i Jack zapomniał o opanowaniu. A także o tym, że zamierzał przeciągać rozkoszną torturę jak najdłużej. Teraz pragnął już tylko ugasić płomień, który w nim rozpaliła. Szybkim ruchem zgarnął ją pod siebie i oparł się na łokciach.

Kit westchnęła, lecz westchnienie ucichło, stłumione namiętnym pocałunkiem. Jack wsunął palce w jedwabiste loki, przytrzymując jej głowę, miażdżąc pocałunkami usta i posyłając gorące strzały pożądania wzdłuż każdego jej nerwu. Biodrami wciskał ją w materac. Kit chętnie przyjęła na siebie jego ciężar i chciała więcej, lecz zignorował ją. Poczuła, że lekko się unosi, a potem wsuwa dłoń pomiędzy ich złączone ciała, aby popieścić miękkie fałdki pomiędzy jej nogami. Jęknęła i otworzyła się dla niego. Wstrzymała oddech, gdy z wolna wsunął w nią palce. Poczuła, jak jego kciuk porusza się i znowu ogarnął ją płomień.

Jack cofnął dłoń. Kit zmarszczyła brwi i potrząsnęła głową, zbyt oszołomiona, by znaleźć słowa protestu. Wierciła się, rozpaczliwie szukając spełnienia. Jack naparł na nią udami, zmuszając, by rozchyliła nogi. Uczyniła to, a wtedy poczuła, że jego męskość napiera na nią, łagodząc tęsknotę rozbudzonego ciała.

Tego właśnie pragnęła. Jęknęła i instynktownie wypchnęła ku górze biodra.

Jack, choć otumaniony pożądaniem, nie utracił jednak zupełnie zdolności myślenia. Uprzytomnił sobie, że napotyka opór, którego się nie spodziewał. Z wysiłkiem oderwał wargi od ust Kit. Opuścił bezsilnie głowę. Odetchnął głęboko, by pozbyć się dręczącej wątpliwości, która mogła zepsuć wspaniale zapowiadający się wieczór. Gdy jednak wróciła mu jasność myślenia, to, czego przed chwilą doświadczył, przemówiło do niego tym wyraźniej. Do licha! Wyglądało to tak, jakby Kit nigdy dotąd nie rozkładała nóg. Zmarszczył brwi, Kit zaś jęknęła niecierpliwie. Jack odsunął na bok śmieszną wątpliwość. Kobieta, która wiła się teraz pod nim, domagając się spełnienia, z pewnością robiła to już przedtem. Wyprężył biodra i wszedł w nią powoli, rozkoszując się

ciepłem jej wnętrza.

Wystarczyło, że wsunął się w nią głębiej, by prawda uderzyła go niczym obuchem.

Zamarł, wpatrując się z niedowierzaniem w kobietę, która leżała naga w jego ramionach, z zaróżowioną z pożądania skórą, wyrazem ekstazy na twarzy i umysłem skupionym wyłącznie na miejscu, gdzie łączyły się ich ciała. Czuł, jak zaciska się wokół niego, mimo iż ledwie w nią wszedł.

– Chryste! – Opuścił głowę i wsparł brodę na jej policzku.

Kit otworzyła oczy, zdumiona i oszołomiona.

Jack nie patrzył na nią. Nie mógł.

– Jesteś dziewicą, Kit? – Jej milczenie wystarczyło za odpowiedź, jednak musiał usłyszeć to z jej ust. – Do licha, kobieto! Jesteś?

Ciche „tak” Kit ucichło, zagłuszone jękiem Jacka. Poczuła, że tężeje w jej ramionach. A potem powoli się odsuwa.

Zmuszenie się do tego niemal go zabiło, jednak dokonał tego. Wysunął się z ciepłego wnętrza jej ciała, a potem natychmiast usiadł i opuścił nogi na podłogę. Wsparł głowę na dłoniach, walcząc z pokusą, by na nią spojrzeć. Gdyby to zrobił, przegrałby walkę z własnym ciałem, które i tak buntowało się przeciwko gwałtowi, jaki mu zadawał.

Musi pomyśleć. Nie chodziło tylko o to, że Kit jest dziewicą, a on dawno temu zaprzestał uwodzenia niewinnych panienek. W tym fakcie kryło się coś o wiele bardziej znaczącego. Jęknął, rozpaczliwie starając się zebrać myśli zaprzątnięte osiągnięciem celu, który chyba będzie musiał porzucić, bo nie był już pewien, czy bezpiecznie jest go realizować.

Kit spochmurniała, wpatrując się w szerokie plecy Jacka. Coś musiało ją zdradzić, lecz teraz, gdy pożądanie pulsowało w jej krwi, nie była w nastroju, by podporządkować się kaprysom zdeklarowanego uwodziciela. Wiedziała od kuzynów, że tego rodzaju mężczyźni nie przepadają za dziewicami, przedkładając nad nie dojrzałe kobiety, które potrafią dać im więcej przyjemności, a stosunki z nimi nie grożą zbyt wielkimi komplikacjami. To niedobrze, jeśli Jack uległ tego rodzaju nonsensom. Doprowadził ją tak daleko. Nie ma mowy, by teraz opuściła jego łóżko równie dziewicza, jak do niego weszła.

Stwierdziwszy, że nie zanosi się na to, by Jack odzyskał rozum i wrócił w jej objęcia, usiadła. Najwidoczniej, jeśli chce, by znów skupił się na tym, co trzeba, musi jasno wyrazić, czego pragnie. Uklękła za nim na łóżku i położyła mu na barkach rozpostarte dłonie, z wolna przesuwając je na klatkę piersiową. Przywarła do Jacka, naciskając piersiami i biodrami na jego plecy.

Jack zesztywniał. Podniósł głowę, a ręce, zaciśnięte w pięści, opuścił na kolana.

Kit wtuliła twarz w jego szyję i wyszeptała mu cicho prosto do ucha: –

Jack? Proszę… Ktoś musi to zrobić. Chcę, żebyś to był ty.

Jackowi przemknęło przez myśl, że oto po raz pierwszy w życiu czuje się w sypialni niepewnie. Nie mógł myśleć, gdy podniecona Kit znajdowała się tak blisko. Fakt, że była dziewicą, krył w sobie znaczenie, które mu umykało, lecz kiedy Kit przytuliła policzek do jego ramienia, nie był już w stanie skupić się na niczym.

– Jack? Proszę…

Jaki mężczyzna z krwi i kości zdołałby oprzeć się takiemu błaganiu? On z pewnością nie potrafi.

Westchnął i – pokonany – odsunął na bok niepokojące przekonanie, że oto zamierza popełnić czyn, który będzie miał wpływ na całe jego przyszłe życie. Odwrócił się. Kit była tuż za nim. Czekała z niepokojem.

Serce podeszło jej do gardła, gdy napotkała spojrzenie jego płonących srebrnym ogniem oczu. Czy zrobi to, o co go prosiła? Gdy wbił w nią wzrok, jakby próbując dostrzec coś poza bieżącą chwilą i namiętnością, Kit zwątpiła. Opuściła ramiona. Srebrzyste spojrzenie powędrowało ku jej rozchylonym wargom, potem ku unoszącym się gwałtownie piersiom i w końcu ku jasnym kędziorkom pomiędzy szeroko rozrzuconymi nogami.

Jack jęknął i wziął ją w ramiona. – Jeden diabeł wie, Kit Cranmer, że jesteś najbardziej rozpustną dziewicą, jaką kiedykolwiek spotkałem.

Była to ostatnia jasna myśl, jaka przemknęła mu przez głowę. Ich wargi spotkały się w pocałunku zbyt namiętnym, by mógł być łagodny. Ogarnął ich szał pożądania, przezwyciężając wszelkie zahamowania. Gdy Jack opadł na nią, Kit przyjęła go z ochotą, ugniatając dłońmi jego plecy w rozpaczliwym błaganiu.

Jack zamknął oczy i wykrzywił twarz, rozkoszując się dotykiem prężącego się smukłego ciała. Kit zamierzała wystawić na próbę jego samokontrolę, a będzie to najcięższa próba tego rodzaju, jaką kiedykolwiek przeszedł.

– Zegnij nieco kolana. Tak będzie łatwiej.

Kit posłuchała szorstkiego polecenia, zbyt spragniona, by zastanawiać się nad tym, jaką przybiera pozycję. Jack rozsunął palcami fałdki jej płci, a potem poczuła, jak napiera na nią jego gładka i twarda męskość. Nacisk zwiększał się, w miarę jak Jack wsuwał się głębiej, zmuszając jej rozpalone ciało do uległości. Nie czuła bólu, jedynie napięcie, gdy dotarł do przeszkody, która czyniła ją dziewicą. I wtedy, ku rozczarowaniu Kit, Jack się wycofał. Kit zacisnęła mięśnie, próbując go zatrzymać.

Jack roześmiał się, ale śmiech prędko przeszedł w jęk.

– Odpręż się.

Mam się odprężyć? – pomyślała Kit oburzona. Być może on robił to już wiele razy, lecz dla niej to wszystko jest nowością. Powinien o tym pamiętać. Czy nie potrafi sobie wyobrazić, jak ona się czuje, gdy wdziera się w jej ciało,

w jej intymność? Na samą myśl o tym wcisnęła mocniej głowę w poduszkę. Jęknęła z ulgą i poczuła, że Jack wraca, lecz tylko po to, by po chwili znów się wycofać.

Stopniowo Kit podchwyciła rytm jego ruchów. Instynktownie zaciskała mięśnie, kiedy się wycofywał, a rozluźniała, gdy w nią wchodził. Chociaż była mocno podniecona, czuła jak jego męskość ociera się o jej wnętrze. Gdzieś w głębi jej trzewi zaczynał już płonąć ogień, wzbudzając fale napięcia.

Jack jęknął i to dodało jej otuchy. Opadł na nią, a ciężar jego ciała był jak balsam na obolałe z pożądania piersi Kit. Przytuliła go do siebie. Jej wargi odszukały jego wargi i zaatakowały z zapałem nie ustępującym jego zapałowi. Wstrzymała oddech, gdy Jack sięgnął językiem w głąb jej ust. Uczucie, jakie wywoływały pocałunki, było teraz, kiedy znajdował się w niej, całkiem inne. Czuła, jak rodzi się w niej napięcie. Czuła, jak jej ciało się pręży, a wargi szukają jego warg. Wsunął swą wielką dłoń pod jej pośladki i objął je. A potem, w chwili kiedy już niemal z niej wyszedł, jego długie palce wśliznęły się pomiędzy uda Kit i nacisnęły na miejsce, w którym łączyły się ich ciała. Kit niemal uniosła się nad łóżkiem, wyginając ciało w uścisku namiętności tak szalonej, że nie mogła nawet marzyć, by nad nią zapanować. Desperacko łaknąc powietrza, oderwała usta od ust Jacka i wcisnęła głowę mocno w poduszki. Poczuła, że Jack napiera na nią z całą mocą swych silnych mięśni i na moment jej wnętrze zapłonęło bólem. Zacisnęła palce na jego barkach, gdy wdzierał się w głąb jej ciała. Nagle ból roztopił się w eksplozji intensywnej rozkoszy. Jej mięśnie napięły się, potem rozluźniły, a płomień, wzbudzony rozkoszą, przemienił ból w przyjemność.

Nim Kit była w stanie uświadomić sobie cokolwiek poza wrażeniem przyjemnego ciepła, pozostawionego przez namiętność, minęło kilka minut. Płomienie żarzyły się w niej nadal, z wolna wracając ją rzeczywistości i uświadamiając, iż Jack trwa nieruchomo z policzkiem przytulonym do jej włosów i ciężko oddycha. Odzyskała zmysły na tyle, że czuła, jak głęboko w jej łonie pulsuje jego męskość.

Choć było to dla niego niczym szczególnie wyrafinowana tortura, Jack zamarł, napinając w wysiłku mięśnie. Doprawdy, można się było spodziewać, że ta przeklęta kobieta zrobi wszystko, co możliwe, by go upokorzyć i szczytować właśnie w tym momencie. Wreszcie wyrównał się rytm ich serc. Instynktowna odpowiedź na inwazję osłabła, gdy ciało oswoiło się z tym, że Jack spoczywa w niej głęboko. Gdy biodra Kit uniosły się lekko, na próbę, jakby chciała wciągnąć go dalej w głąb siebie, Jack odetchnął wreszcie i zaczął się poruszać.

Kit zareagowała natychmiast, zaskoczona odkryciem, jak łatwo mu było teraz ją ujeżdżać, kiedy zniknęła przeszkoda, która go powstrzymywała. Przycisnął znów wargi do jej ust. Przyjęła pocałunek z ochotą, napinając ciało,

gdy przelewała się przez nią fala przyjemności. Twarde pączki jej sutków przesuwały się po piersi Jacka tam i z powrotem, tam i z powrotem. Z trwożnym podziwem uświadomiła sobie, że rodzi się w niej znów to dziwne napięcie, a potem rośnie i nabrzmiewa, domagając się spełnienia.

Jack przestał ją całować. Oddychał teraz ciężko i wchodził w nią tak gwałtownie, że Kit kołysała się w pościeli. Zacisnęła mu palce na plecach i wypychała do przodu biodra, ponaglając go.

– Jack! – załkała po chwili, wstrzymując oddech.

Kolejny orgazm zagarnął ją, rzucając w otchłań zapomnienia. Nie słyszała już triumfalnego okrzyku Jacka, który podążył jej śladem.

* * *

Blask ognia malował na ścianach chaty tańczące cienie, pozłacając mięśnie pleców Jacka. Stał u nóg łóżka i z ponurą miną wpatrywał się w kobietę, która spała, skulona i naga, pod prześcieradłami.

Wspomnienie tego, jak wyglądała rozciągnięta pod nim, zaspokojona i ukojona, wstrząsnęło nim do głębi. Przywołanie obrazu różanych piersi, jędrnych i dumnie sterczących, wąskiej talii i bioder nie sprawiło mu najmniejszego kłopotu. A te jej nogi – długie i smukłe, o jędrnych i mocnych od jazdy konnej udach. Z pewnością zapewniła mu dziś jazdę życia. Spojrzał w dół, zadowolony, że wspomnienia zbyt go nie pobudziły. Kit była wyczerpana – bardziej własną reakcją niż jego pieszczotami. Nie planował dosiadać jej więcej dzisiejszej nocy.

Pociągnął łyk brandy z trzymanej w dłoni szklaneczki. Osiągnąwszy spełnienie, Kit zasnęła niemal natychmiast. Trzymał ją w objęciach, znużony, lecz bynajmniej nie senny, poddając się uczuciom, których nie potrafił do końca określić. Zapomniał o nich natychmiast, gdy tylko się poruszyła. Powieki Kit zatrzepotały, a potem się uniosły. Jej ametystowe oczy były ogromne i błyszczące. Przyglądał się jej, ciekawy, jak zareaguje. Ponieważ sam wiele razy znajdował się w podobnej sytuacji, był przygotowany na wszystko, począwszy od wymówek, po zadowolenie z siebie. Nic nie przygotowało go jednak na oszałamiająco piękny uśmiech, który rozświetlił jej twarz, ani na czułość w spojrzeniu. A już na pewno nie na gorący pocałunek, jakim go obdarzyła.

Jego ciało zareagowało natychmiast. Przyłapany w chwili słabości, nie był w stanie zapanować nad namiętnością. Kiedy jej palce zacisnęły się na jego męskości, a potem zaczęły gładzić ją i pieścić, w sekundę odpowiedział na wezwanie. Usłyszał, jak Kit śmieje się cicho, zachwycona jego reakcją.

– Niemądra kobieto, będzie cię bolało.

Lecz Kit tylko się roześmiała. Ten ochrypły, cichy, działający na zmysły

śmiech sprawił, że dobre intencje Jacka nie miały szans.

– Nic mnie nie boli. Ani trochę.

Leżał na plecach i próbował ją zignorować. Położyła się na nim, ocierając się o niego piersiami, by całować go długo i leniwie, badać jego usta tak, jak on to wcześniej robił. Opanowanie Jacka prysło ostatecznie, kiedy oderwała usta od jego warg i wyszeptała: – Pragnę, byś we mnie wszedł, Jack. Teraz.

Jak udało mu się zachować spokój wobec takiego zaproszenia? Nadal tego nie wiedział. Lecz Kit nie poddała się tak łatwo.

– Jestem rozpalona i wilgotna, Jack. Widzisz?

I bezczelna kobieta pochwyciła jego dłoń i poprowadziła palce Jacka ku miejscu, gdzie ciepła słodycz zwilżała jej uda.

Jack jęknął i wsunął w nią głęboko palce. Kit wstrzymała oddech. Niemal natychmiast przewrócił ją na plecy i jednym ruchem zanurzył się w zapraszającym cieple jej ciała. I nie poprzestał na tym.

Starał się pamiętać, że Kit jest nowicjuszką w miłosnej grze, lecz jej reakcje sprawiły, że szybko opuścił go rozsądek. Bez względu na to, jak mocno napierał, ona przyjmowała go w siebie i zachęcała, dorównując mu namiętnością. Z własnej inicjatywy otoczyła nogami jego biodra, otwierając się dla niego całkowicie. A kiedy dotarła już niemal do szczytu, Jack wspomniał, co sobie obiecał.

– Otwórz oczy.

Na szczęście usłuchała polecenia, wykrztuszonego przez zaciśnięte zęby. Następne pchnięcie posłało ją znów w otchłań rozkoszy. Gdy jej powieki opadły, Jack zamknął oczy usatysfakcjonowany. Wiedział już to, co chciał wiedzieć. Oczy Kit w chwili rozkoszy stawały się czarne.

Przekonany, że doznała całkowitego zaspokojenia, pchnął głęboko, szukając własnej drogi do raju. I znalazł ją.

Gdy ocknął się z oszołomienia, wywołanego rozkoszą, poczuł na policzku jej delikatny oddech. Zasnęła, gdy jeszcze był w niej, z nikłym, rozanielonym uśmiechem. Jack, bardzo z siebie zadowolony, przyciągnął Kit bliżej, bacząc, by się z niej nie wysunąć. Zasnął, czując w żyłach bicie jej serca.

* * *

Obudził się przed dziesięcioma minutami. Gdy tylko doszedł do siebie, ostrożnie wyplątał kończyny z uścisku Kit i naciągnął na nią kołdrę. A potem ruszył po brandy.

Intensywność doznanej rozkoszy to jedno. Bardziej martwiło go to drugie, dosyć irracjonalne uczucie, które po wydarzeniach nocy umocniło się w sposób wręcz alarmujący. Jej wyszeptana prośba stała się jego zgubą, i na wiele sposobów.

Prychnął zdegustowany i napił się brandy, a potem uniósł głowę, przysłuchując się cichnącej burzy. Wiatr nadal wył, a deszcz bębnił o dach i okiennice. Zagrzmiało kilka razy, lecz odgłos był odległy i Jack zorientował się, że najgorsze minęło. Przynajmniej tam, na zewnątrz. Jeśli chodzi o wydarzenia, które miały dziś miejsce w chacie, Jack był jak najdalszy od tego, by sądzić, że uwiedzenie Kit stanowiło koniec czegokolwiek. Wyglądało to raczej na początek.

Przesunął wzrokiem po kształtach ukrytych pod prześcieradłem. Gdyby w grę wchodziło wyłącznie pożądanie, nie miałby czym się martwić. Jednak to, co czuł do tej przeklętej kobiety, dalece wykraczało poza zwykłą żądzę. Skrzywił się. George z pewnością potrafiłby określić, o jakie uczucie tu chodzi, lecz Jack jeszcze nie był na to gotowy. Nie ufał temu, co czuł, zaczeka więc i zobaczy, co się wydarzy. Kto wie, jak Kit zachowa się jutro. Dotąd nieustannie go zaskakiwała.

Z westchnieniem dopił brandy i odstawił szklaneczkę na stół. Dorzucił do ognia, a potem położył się przy Kit. Poruszyła się i przywarła do niego przez sen. Jack uśmiechnął się i odwrócił na bok, wtulając pierś w jej plecy. Kit westchnęła z zadowoleniem, moszcząc się pod jego ramieniem. Przynajmniej nie będzie już musiał w nocy odprowadzać ją w ciemności do domu.

Rozdział 18

Świt barwił już niebo różem, gdy Kit wjechała na padok stajni Cranmer Hall. Zsiadła i wprowadziła Delię do boksu, a potem rozsiodłała klacz i wytarła ją. Delia przetrwała bezpiecznie burzę, stojąc w stajni obok Championa. Co zaś się tyczy Kit, nie była tego taka pewna.

Nie potrafiła przypomnieć sobie nawet jednego grzmotu, a co dopiero paniki, która zwykle ogarniała ją podczas burzy. To, co potrafiła sobie przypomnieć, wywoływało na jej twarzy rumieniec przez całą drogę do domu.

Ciężar ramienia Jacka rozerwał zasłonę snu. Przez kilka minut Kit leżała spokojnie, wspominając wydarzenia nocy. Jack spał mocno u jej boku. Wysunęła się z uścisku jego ramion, świadoma, że nie ma ochoty opuszczać ciepłego schronienia, które oferowały, lecz całkiem pewna, że nie chce tu być, kiedy Jack się obudzi.

Poklepała ostatni raz Delię i wyszła ze stajni. Wracając z tajemnych przejażdżek, zwykle wkradała się do domu przez wychodzące na taras okna pokoju śniadaniowego. Po chwili była już w swojej sypialni. Bez trudu zrzuciła suche teraz ubranie. Przebierała się w pośpiechu, przerażona, że Jack może się obudzić. Lecz on spał spokojnie, a na twarzy miał uśmiech, który zapamięta na długo.

Podobnie jak jego wargi. Kit oblała się rumieńcem i weszła do łóżka. Do licha z tym facetem! Owszem, chciała wreszcie stać się kobietą, ale czy musiał posuwać się tak daleko? Nie mogła myśleć o tym bez rumieńca. Musi postarać się lepiej nad sobą panować, inaczej Amy zacznie coś podejrzewać. Przez chwilę rozważała, czy nie zwierzyć się przyjaciółce, lecz odrzuciła ten pomysł. Amy byłaby przerażona. Zaszokowana samowolą Kit. Lecz Amy wkrótce wyjdzie za mąż z miłości. A ona, Kit, nie wyjdzie za mąż nigdy.

Podciągnęła kołdrę aż po samą brodę i przewróciła się na bok, boleśnie świadoma, że łóżko za nią jest puste i zaniepokojona faktem, że jej to przeszkadza. Będzie musiała jakoś usunąć ten epizod z pamięci, inaczej nawet Spencer zorientuje się, że coś zaszło. Nie była teraz w stanie analizować swoich uczuć ani oceniać postępowania. Zrobi to innym razem, kiedy znów będzie mogła jasno myśleć.

Zamknęła oczy zdecydowana zasnąć. Dowiedziała się wszystkiego, czego pragnęła się dowiedzieć; Jack był skrupulatnym nauczycielem. Jej ciekawość została w pełni zaspokojona. Pozostała też wolna i nieskrępowana. Jej misja przywódcy przemytników dobiegła końca. Nie musiała już pojawiać się na plaży i udawać, że do czegoś się przydaje. Wszystko układało się doskonale.

Tylko dlaczego nie może spać?

* * *

Siedem mil na północ od Cranmer Hall Jack ocknął się ze snu. Od razu zorientował się, że jest sam. Usiadł i rozejrzał się po pokoju, a potem, kiedy upewnił się, że nikt go nie widzi, opadł z powrotem na poduszki. Zmarszczył brwi zaintrygowany. Czy wszystko to mu się przyśniło?

Spojrzał w bok i zauważył dwa jaskraworude włosy, pozostawione beztrosko na poduszce. Zebrał je; błysnęły czerwienią w mrocznym świetle, przenikającym przez okiennice. Jack zaczął sobie przypominać. Uniósłszy pytająco brew, odrzucił kołdrę i spojrzał na czerwonobrązowe smugi na prześcieradle.

Nie, to mu się nie przyśniło. Gdy tylko jego misja dobiegnie kresu, zacznie od miejsca, w którym skończył ostatniej nocy.

Jęknął. Kogo on próbuje oszukać? Wypełnienie misji może mu zająć całe miesiące. Z pewnością nie potrafi czekać tak długo, a po ostatniej nocy wątpił, czy potrafi to także Kit. Choć ona pewnie jeszcze nie zdaje sobie z tego sprawy. Równie dobrze może stawić czoło prawdzie tu i teraz. Na dobre czy złe, Kit Cranmer pozostanie częścią jego misji, przynajmniej w dającej się przewidzieć przyszłości.

Powędrował spojrzeniem ku palcom, owiniętym rudym pasmem. Oczywiście cała ta sytuacja powinna była go zirytować. Tylko że to, co czuł, nie miało nic wspólnego z irytacją.

* * *

Cztery dni później irytacja zaczęła jednak dochodzić do głosu. Spędził sobotę i niedzielę w stanie szczególnego oszołomienia. Pojechał do chaty zarówno pierwszej, jak i drugiej nocy, lecz Kit się nie pojawiła. Jack ulżył sobie, odwiedzając swój gabinet na posterunku straży celnej i wyżywając się na sierżancie Tonkinie. Wypytywał go w sposób uniemożliwiający zorientowanie się, iż doskonale wie, co zaszło tamtej nocy na klifie. W ogniu pytań Tonkin stracił pewność siebie i mocno się tłumaczył, aż Jacka potem dręczyło poczucie winy. Ten człowiek był mu wprawdzie potrzebny jak wrzód na tyłku, lecz przecież wykonywał jedynie swoją pracę.

W poniedziałek pojechał do starej stodoły, przepowiadając sobie w duchu słowa, jakimi natrze Kit uszu, gdy potem znajdą się sami w chacie. Lecz Kit się nie pokazała. Najbardziej denerwowało go, że czuje się zraniony i odrzucony. Było to o wiele gorsze niż męki spowodowane niezaspokojonym pożądaniem. Do tego przywykł już bowiem podczas ostatnich kilku tygodni.

Stał teraz na piasku pod osłoną klifu i czekał na swój pierwszy „ludzki ładunek”. Z najwyższym trudem skupił się na chwili obecnej, wypierając z myśli wspomnienie rudowłosej hurysy w bryczesach. Spojrzał w górę, na

klif. Joe trwał na posterunku, lecz Jack wątpił, by sierżant Tonkin spróbował szczęścia tak szybko po niechlubnej porażce.

Nadpłynęła pierwsza łódź, a za nią trzy inne. Ładunek stanowiły baryłki i człowiek. Był w pierwszej łodzi, zamaskowany i okryty aż po oczy starą opończą. Matthew, stojący obok Jacka, prychnął na ten widok z pogardą.

Jack się skrzywił.

– Wiem, co czujesz, stary wiarusie. Ja też z przyjemnością zacisnąłbym mu dłonie na gardle. Ale i tak nie ucieknie.

Matthew rozejrzał się wokół. – Myśli pan, że major Smeaton dotarł już do Londynu?

– Jak znam życie, George nie marudził po drodze. Teraz pewnie przekazał już nowiny. Kiedy ten typ pojawi się w stolicy, czeka go powitanie, jakiego się z pewnością nie spodziewa.

– Dlaczego nie możemy zatrzymać go od razu?

– Ponieważ musimy się dowiedzieć, z kim spotka się w Londynie – odparł Jack, ruszając w dół plaży. Matthew niechętnie podążył za nim.

Jack nie poświęcił szpiegowi zbyt wiele uwagi, nie dając mu w ten sposób szansy, by go zapamiętał. Zdawał sobie sprawę, że jego przebranie nie jest doskonałe, a nie miał pojęcia, kim jest przybysz i w jakich sferach zwykł się obracać. Kolega oficer, a nawet osobisty ordynans oficera, mógłby go rozpoznać albo dostrzec, że w przywódcy gangu z Hunstanton jest coś dziwnego. Jack zajął się więc baryłkami i zignorował szpiega.

Mężczyznę wsadzono na kuca, a potem trzej starsi rangą członkowie gangu pojechali wraz z nim do ruin opactwa Creake. Stamtąd przybysz miał dostać się niepostrzeżenie do Londynu, nie wiedząc o tym, że zwiadowca Admiralicji depcze mu po piętach.

Jack, zadowolony, że wszystko poszło gładko, odwiózł baryłki do starej stodoły. Zostaną zabrane do opactwa następnej nocy. Gdy wszystko zostało zrobione, pozwolił ludziom się rozejść, a sam wraz z Matthew udał się do chaty, rzekomo po to, by się przebrać i wrócić do swojej tożsamości. Nie miał co prawda nadziei, że Kit się pokaże, ale nie mógłby zasnąć samotnie w jedwabnej pościeli na zamku, gdyby tego nie sprawdził.

Chata stała pusta.

Lord Hendon wrócił więc do domu, przeklinając rudowłose hurysy.

* * *

Środowa noc była bezksiężycowa i ciemna. Kit, siedząca na grzbiecie Delii, zaszyła się w najgłębszy cień pod drzewami otaczającymi chatę. Czekała, aż Jack wróci z tawerny Pod Kosem. Postanowiła, że nigdy więcej nie zbliży się do niego. Nic nie zmusiłoby jej, by weszła jeszcze raz do chaty. Nic poza wieścią, że gang z Hunstanton przejął ostatniej nocy „ludzki ładunek”.

Minione pięć dni jawiły się Kit niczym epoka. Dręczył ją niepokój wzrastający z każdym kolejnym dniem. Z pewnością był to przejaw spóźnionego poczucia winy. Nie mogła nawet spać. Nie musiała przekonywać samej siebie, jakie zagrożenie stanowi dla niej Jack. To przemytnik, nie pochodzi z jej sfery i trudno byłoby uznać go za odpowiedniego zalotnika. Wydarzenia piątkowej nocy zostawiły ślad zarówno w jej umyśle, jak i ciele. Chciała wiedzieć – teraz już wie. Nie oznaczało to jednak, że potrafiłaby odwrócić się plecami do Spencera i wszystkiego, co sobą przedstawiał. Była kobietą z wyższej sfery, choć czasem mocno jej to przeszkadzało. Po tamtej burzliwej nocy Jack nie był już tylko zakazanym owocem – stanowił ucieleśnienie niebezpieczeństwa.

Pozostała w domu w poniedziałek, lecz następnego dnia zajechała na chwilę do wioski. Noah i jego towarzysze bez wahania opowiedzieli jej, co porabiali w nocy.

Ten brak lojalności wobec własnego kraju nie zdziwił Kit. Wątpiła zresztą, by żyjąc na odludziu, zdawali sobie sprawę, kim jest przybysz, a Jack z pewnością im tego nie powiedział. Lecz nic jej nie przekona, że Jack nie służył kiedyś w armii. A skoro tak, musiał wiedzieć, kogo przemyca.

Delia się poruszyła. Kit westchnęła. Nie powinna była przychodzić. Wcale nie chciała tu być. Jednak nie mogła pozwolić, by do kraju przemycano szpiegów. Jeśli uda jej się powstrzymać Jacka, wszystko będzie w porządku. Jeśli nie… Pomyśli o tym później.

Jej uszu dobiegł szczęk uprzęży. W nocnej ciszy dźwięk niósł się daleko nad polami. Po pięciu minutach zobaczyła Jacka, Matthew i George’a. Nadjeżdżali z północy, od strony wybrzeża. Kit wstrzymała oddech.

Dochodzili już do stajni, gdy Jack uświadomił sobie, że Kit jest gdzieś w pobliżu. A raczej uświadomił mu to Champion. Zwietrzył klacz i teraz zdecydowanie odmawiał wejścia do stajni bez swojej ukochanej. Jack zsiadł z konia i chwycił go za uzdę.

– Idź do domu, Matthew, zostanę tu jeszcze trochę.

Matthew mruknął pod nosem: – Tak, proszę pana – po czym obrócił wierzchowca i skierował się na południe, do zamku Hendon.

Widząc, że George przygląda mu się podejrzliwie, Jack uśmiechnął się szelmowsko i rzekł: – Zaprosiłbym cię, lecz podejrzewam, że ktoś tam na mnie czeka.

George spojrzał na niego zrezygnowany. Jack dobrze wiedział, że przyjaciel nie zapyta go, kto czeka w chacie. Absolutnie nie aprobował hulaszczych wyczynów Jacka.

– Zakładam, że dasz sobie radę sam?

Jack uśmiechnął się szerzej. – Zdecydowanie.

– Tak myślałem. – Zawrócił swego kasztana, lecz zatrzymał się jeszcze, by

dodać: – Sparzysz się pewnego dnia, Jack. Mam nadzieję, że będę wtedy w pobliżu, by ci powiedzieć, że dostałeś to, na co zasłużyłeś.

Jack roześmiał się głośno. George ścisnął piętami boki konia i odjechał.

Jack zapamiętał, w którą stronę spoglądał Champion, ale tylko przemówił do konia stanowczo. Ogier, złajany, potrząsnął buntowniczo siwym łbem, ale pozwolił wprowadzić się do stajni. Jack rozsiodłał potężnego rumaka i wyczyścił go w rekordowym tempie.

Spodziewał się, że Kit wyjdzie z ukrycia, gdy tylko tamci odjadą. Kiedy tak się nie stało, Jack stanął przed domkiem, zastanawiając się, czy Champion mógł się pomylić.

Kit obserwowała go z daleka. Do chwili gdy się pokazał, doskonale wiedziała, co robić. Lecz kiedy tylko go zobaczyła, wspomnienia tamtej burzliwej nocy powróciły, zmieniając ją w kłębek nerwów. Może byłoby lepiej, gdyby spotkała się z nim za dnia?

Jack, który wyczuwał obecność Kit, podobnie jak Champion wyczuwał Delię, stracił wreszcie cierpliwość. Wsparłszy dłonie na biodrach, spojrzał w kierunku kępy drzew po drugiej stronie polanki i zawołał: – Wyjdź, Kit! Nie zamierzam bawić się z tobą w chowanego w ciemności.

Subtelna groźba w jego głosie sprawiła, że Kit podjęła decyzję. Niechętnie wyprowadziła Delię spod osłony drzew. Nagle przyszło jej do głowy, że nie ma pojęcia, co Jack sądzi o tym, iż nie spotkała się z nim do tej pory. Ściągnęła wodze, lecz było już za późno. Jack postąpił krok w przód i chwycił uzdę Delii. W następnej chwili poczuła w talii jego dłonie. Stłumiła cisnące się na usta słowa protestu. I tak nie zostałyby wysłuchane. Fakt, że jej ciało zareagowało tak mocno na dotyk Jacka, zdumiał ją i przestraszył, ograniczyła się więc do tego, by zmobilizować całą siłę woli. Sprawa wyglądała o wiele groźniej, niż przypuszczała. Nie może dopuścić, by Jack domyślił się, jak na nią działa. Zsadził ją z konia i puścił natychmiast. Kit odetchnęła z ulgą. Tymczasem Jack bez słowa wprowadził Delię do stajni. Kit poszła za nim, niepewna, jakie czeka ją tu przyjęcie i jaki obrót przybiorą sprawy.

Jack nie zauważył jej reakcji, a to dlatego, że był zbyt zajęty opanowywaniem gwałtownych uczuć, jakie wzbudziła w nim jej obecność. Dotąd żadna kobieta nie działała na niego tak jak ona. To było coś nowego, denerwującego i niepokojącego zarazem. Cierpiał jak diabli, a ból umiejscowił się w dwóch zupełnie różnych miejscach. Zamierzał dopilnować, by Kit przyniosła mu ulgę przynajmniej w jednej z dwóch dolegliwości, których stała się przyczyną – tej łatwiejszej do wyleczenia. Co zaś się tyczy drugiej, nie był pewny, czy nawet ona potrafi dać sobie z nią radę.

Delia weszła ochoczo do boksu i stanęła przy Championie. Jack rozsiodłał ją i wyczyścił. Zdawał sobie sprawę, że Kit stoi w drzwiach, lecz ignorował to tak długo, jak potrafił. Gdyby dopuścił do świadomości fakt, że tam się

znajduje, natychmiast rzuciłby ją na siano.

Kit spostrzegła, że Jack zdejmuje Delii siodło i już miała zaprotestować, tłumacząc, że nie zostanie tu długo. Słowa protestu zamarły jej jednak na ustach. Prawdę mówiąc, przyszło jej do głowy, że chyba lepiej będzie w ogóle się nie odzywać. Jack wydawał się zdenerwowany i tak spięty, że czuła się przy nim zdecydowanie niepewnie.

Nim miała czas podjąć decyzję, Jack skończył oporządzać Delię i wyszedł ze stajni. – Chodź – powiedział tonem niedopuszczającym sprzeciwu.

Zaniepokojona Kit zorientowała się, że podąża za nim ku drzwiom chaty. Wszedł pierwszy i przytrzymał je dla niej. Płonący w kominku ogień napełniał pokój różowawym blaskiem. Zebrawszy całą godność, na jaką było ją stać, podeszła do stołu i rzuciła na krzesło kapelusz. Odwijała właśnie szal, gdy odgłos zasuwanego skobla przyprawił ją o drżenie. Choć nagle opadła z sił, zmusiła się, by kontynuować to, co robi. Zdjęła więc szal i położyła go obok kapelusza. A potem odwróciła się, by stanąć z Jackiem twarzą w twarz.

Tylko że on był tuż za nią. Natychmiast pochwycił ją w ramiona. Poczuła na wargach jego usta i jęk protestu zmienił się w jęk pożądania, a potem pełne zadowolenia kwilenie, gdy zetknęły się ich języki. Niezdolna się oprzeć, położyła mu dłonie na ramionach i poddała się uściskowi. Pamiętała, po co tu przyszła. Ma skłonić Jacka, by się opamiętał i obiecał, że nie będzie pomagał szpiegom. Wiedziała jednak, że nie będzie w stanie nic zrobić, dopóki namiętne powitanie nie dobiegnie końca. Do tego czasu może swobodnie się nim cieszyć. Zresztą i tak nie mogła się skupić, gdyż język Jacka siał zamęt w jej myślach.

Tymczasem Jack nie przewidywał dziś żadnego myślenia. Po co komu myślenie? Nie widział też potrzeby, aby poskramiać swe żądze; przecież Kit już mu się oddała. Jako doskonały kochanek zatroszczy się o jej potrzeby. Teraz jednak potrafił myśleć tylko o tym, by jak najszybciej zaspokoić własne. Prymitywna żądza, której zaspokojenia odmawiał sobie tak długo, a którą ona nasyciła jedynie na krótko, by potem kazać mu czekać przez pięć dni i cztery noce, szalała w nim i domagała się zaspokojenia.

Od niej oczekiwał teraz jedynie, że się rozluźni w jego objęciach, dając mu przyzwolenie, by się z nią kochał.

Ciało Jacka otuliło Kit, twarde i rozpalone namiętnością. Czuła się w jego objęciach bezpieczna, a zarazem podniecona. Naparł na nią i zmusił, by przesunęła się w tył, aż jej uda oparły się o stół. Nawet w tym stanie, na wpół odurzona namiętnością i pożądaniem, uświadomiła sobie, że grozi jej niebezpieczeństwo. Lecz nim zdołała pomyśleć o obronie, Jack położył dłonie na jej piersiach, spowitych w płócienne pasy. Kit poczuła dyskomfort, który natychmiast zmienił się w ból. Jej piersi nabrzmiały pod dotykiem Jacka i materiał wrzynał się teraz w miękkie ciało.

Na szczęście Jack zrozumiał, dlaczego westchnęła tak boleśnie. Wyszarpnął jej koszulę z bryczesów i zadarł na tyle wysoko, by móc sięgnąć bandaży. Kit uniosła ramię, by ułatwić mu rozsupłanie węzła. Tym razem Jack poradził sobie błyskawicznie i po chwili Kit mogła już oddychać swobodnie.

A potem usta Jacka odnalazły jej sutek i Kit zabrakło tchu. Jack przesunął językiem po wrażliwym ciele i z ust Kit dobyło się ni to westchnienie, ni to jęk. Wyprężyła się. Jack podniósł ją i posadził na skraju stołu. Sam stanął pomiędzy jej rozłożonymi szeroko udami. Ta pozycja przekonała Kit, że Jack nie zamierza ograniczyć powitania do pocałunku czy pieszczoty, choćby nie wiem jak intymnej. Nie była pewna, jak to zrobi, ale wiedziała, co chodzi mu po głowie.

Przeszył ją dreszcz radosnego oczekiwania, co tylko przyśpieszyło bieg wydarzeń. Jack przywarł na powrót ustami do jej ust, rozpoczynając językiem miłosny pojedynek. Kit uczestniczyła w nim nader chętnie, a wszelka myśl o tym, po co tu przyszła, zatonęła pod falą namiętności. Objęła go ciasno ramionami i przytuliła się do jego ciała. Czuła dowód jego pożądania, pulsujący mocno i natarczywie na jej miękkim brzuchu.

Gdy Jack położył jej dłonie na kolanach, a potem przesunął je wzdłuż ud, żołądek Kit zacisnął się w oczekiwaniu. Wsunął dłoń pomiędzy jej uda i objął nią wzgórek, pieszcząc go palcami poprzez materiał bryczesów. Kit jęknęła cicho, lecz pocałunek stłumił jęk. Znajome ciepło już rozlewało się w jej żyłach, a gdzieś w głębi ciała otwierała się pustka, którą tylko on mógł zapełnić.

Jack roześmiał się cicho, ze zrozumieniem, a potem sięgnął do zapięcia jej bryczesów. Kit za nic nie potrafiła wyobrazić sobie, co zamierza. Dlaczego po prostu nie zaniesie jej na łóżko? Lecz nie zamierzała się spierać. Jack już zsuwał jej spodnie z bioder. Odsunął się, by zdjąć wysokie buty Kit. Nie sprawiło mu to kłopotu, a w ślad za butami powędrowały bryczesy. Kit siedziała teraz na skraju stołu, naga od pasa w dół, z zadartą koszulą, która odsłaniała jej piersi. Oparła się na łokciach i oblała rumieńcem. Lecz zapomniała o wstydzie, gdy tylko jej spojrzenie napotkało spojrzenie Jacka. W jego oczach płonęły srebrzyste płomienie.

Z zapartym tchem przyglądała się, jak Jack się wyprostowuje. Miała wrażenie, że zaraz zostanie pożarta, kawałek po kawałeczku. Zadrżała z rozkosznego strachu i wyciągnęła do niego rękę. Jack, bardzo męski, uśmiechnął się i podszedł bliżej, z rękami na guzikach sztruksowych bryczesów. Rozpiął je i uwolnił w pełni gotową męskość.

Kit otworzyła szeroko oczy. W uszach czuła bicie serca. Nagle zrozumiała. Zamierzał wziąć ją tu i teraz – na stole.

Czasu starczyło jej jednak tylko na cichy okrzyk protestu. Jack chwycił ją bowiem mocno za biodra i wszedł w nią. Kit spięła się wewnętrznie

w oczekiwaniu bólu, lecz ból się nie pojawił. Jej ciało powitało go chętnie, prężąc się i zachęcając, aby zanurzył się w nią głębiej.

Była gotowa, by się z nim kochać. Pożądała go i jej ciało najwidoczniej o tym wiedziało. Podobnie jak Jack.

Jack zaczął poruszać się w stałym rytmie i oczy Kit przysłoniła mgła. Tym razem było inaczej. Pożądanie Jacka znalazło w niej odbicie. Na jego ruchy odpowiadała instynktownie, unosząc biodra, by wziąć go w siebie jak najgłębiej. Czuła, jak zaciska palce na jej biodrach. Przymknęła bezwiednie oczy i opadła na stół, kurczowo ściskając przedramiona Jacka, wbijając palce w mięśnie, które napinały się, gdy przytrzymywał Kit, gdy się w nią wbijał.

Żar w głębi jej ciała narastał, tłumiąc wszelkie inne odczucia. Skupiła się na akcie, wszechogarniającym i niszczycielskim.

– Unieś nogi.

Oplotła go nogami.

Jack jęknął i wszedł w nią głębiej, pożądając każdego milimetra, jaki mógł zdobyć. Ciało Kit witało go narastającym żarem.

Nagła rozkosz spadła na nią z siłą eksplozji. Wygięła ciało, wbijając paznokcie w ramiona Jacka. W odpowiedzi pochylił się i wziął do ust jej sutek. Kit głośno krzyknęła. Fale przyjemności rosły i rosły, załamując się w porażającej rozkoszy, która napełniła jej żyły płynnym ogniem. Wnętrze jej ciała pulsowało bezwiednie i nie przestało nawet wtedy, gdy Jack osiągał własny szczyt, wytryskując głęboko w niej.

Jack zaczerpnął oddechu i spojrzał na Kit, leżącą przed nim w lubieżnej pozie. Ledwie przytomna, walczyła gorączkowo o oddech, czekając, aż wróci jej świadomość.

Nie potrafił się powstrzymać, by nie uśmiechnąć się z zadowoleniem, lecz uśmiech zmienił się w grymas, gdy uświadomił sobie przykrą prawdę. Kit wróciła do niego dopiero po pięciu dniach. Gdy tylko jej dotknął, była jego, lecz najwidoczniej była z tych kobiet, które potrafią obywać się bez mężczyzny. Istniały sposoby, by to zmienić. Musi sprawić, aby płonęła z pożądania tak samo jak on, nie mogąc się doczekać, by się z nim kochać, i to jak najczęściej. Nie wiedział, ku czemu i w jakim kierunku zmierzają, czuł jednak, że ich losy splątały się nieodwołalnie i przynajmniej jeśli chodzi o niego, ta więź sięga głęboko. W tej sytuacji wzmocnienie więzi, która trzymała ją przy nim, wydawało się dobrym pomysłem.

Kit leżała spokojnie, czekając, aż Jack coś zrobi. Sama nie miała siły nawet się poruszyć. Rozkosz wyczerpała ją fizycznie, ale i wyprała jej umysł z wszelkich myśli. Pamiętała, że przyszła tu, by o czymś z Jackiem porozmawiać, ale nie mogła sobie przypomnieć, dlaczego ta sprawa wydawała jej się aż tak pilna. Dopóki jej ciało będzie pulsowało rozkoszą, a Jack będzie w niej, z pewnością nie zdoła sobie przypomnieć, o co jej chodziło.

Gdy się odsunął, otworzyła oczy. Spod na wpół przymkniętych powiek przyglądała się, jak Jack zdejmuje ubranie. Nagi, podszedł do niej z uśmieszkiem samozadowolenia na wargach i w głębi srebrzystych oczu. Powinna czuć się dotknięta, lecz mogła zdobyć się jedynie na to, by odpowiedzieć słabym uśmiechem.

– Wstań.

Chwycił ją za ręce i pomógł się unieść. Kiedy zdejmował jej surdut, a potem koszulę, Kit zastanawiała się, jak zdoła kiedykolwiek zasiąść z nim przy tym stole. Wystarczy, że Jack spojrzy na blat, a Kit już zacznie skręcać się z zażenowania.

Ulżyło jej, gdy wziął ją w ramiona i ruszył w stronę łóżka, najwidoczniej zdając sobie sprawę, że siły opuściły ją podobnie jak zdolność myślenia. Westchnęła z zadowoleniem, kiedy położył ją na pościeli. Wtuliła się w jego ramiona, wreszcie spokojna i odprężona.

Z łóżkiem jakoś sobie poradzi. Stół to jednak coś zupełnie innego.

Rozdział 19

Była wspaniała letnia noc, ciepła i balsamiczna. Kit na grzbiecie Delli na skraju klifu czekała na kapitana Jacka. Na granatowym niebie unosił się blady sierp księżyca, dając jedynie tyle światła, by można było odróżnić ludzi od kamieni. Przemytnicy stali na plaży blisko klifu i wiatr przynosił stłumione odgłosy ich rozmowy.

Spoglądając na fale, uderzające o brzeg w regularnym rytmie, uświadomiła sobie, że ich ruch odzwierciedla stan jej ducha. Jack uwolnił nieuświadomione tęsknoty, które teraz domagały się zaspokojenia, popychając ją ku nieznanemu losowi. Głęboko zakorzenione poczucie lojalności wobec swej klasy i dziadka kazało jej się wycofać. Tymczasem środowa noc okazała się katastrofą. Kit skrzywiła się z dezaprobatą. Rozkoszną katastrofą, niemniej katastrofą. Zamierzała przekonać Jacka, by okazał rozsądek i zrezygnował z przemycania szpiegów. Zamiast tego ona została uświadomiona, że jej silna wola przy Jacku jest tylko złudzeniem.

Nikt, nawet Amy, nie ostrzegł Kit przed płonącą w jej ciele gorączką, a także przed uczuciem dotkliwej pustki, która teraz, gdy droga była już otwarta, rosła w niej i ogromniała. Tęskniła za tym, by przeżyć znów moment zjednoczenia. Tęskniła za płomieniem, który przemieniał gorączkę we wszechogarniającą namiętność. Tych tęsknot doświadczyła już po pierwszej nocy w chacie; tego niepokoju, który próbowała stłumić i zignorować. To, co się stało w środę, kazało jej spojrzeć prawdzie w oczy: była uzależniona od kochania się z Jackiem.

Delia przesunęła się w bok, prychając cichutko. Kit spojrzała na plażę, lecz niczego nie dostrzegła. W środę zamierzała poruszyć temat szpiegów, gdy tylko dojdzie do siebie po namiętnym powitaniu. Jack jednak nie pozwolił, by tak się stało. Rozsądna rozmowa nie leżała w jego planach. Noc przerodziła się w ciąg wzajemnego zaspokajania się. Kit nie mogła zaprzeczyć, że to jej się podobało. Już Jack o to zadbał!

Skrzywiła się i poprawiła w siodle. Owszem, uległa pieszczotom Jacka, nie zamierzała jednak dopuścić, by namiętność przejęła władzę nad jej życiem. Tym bardziej że nie potrafiła pozbyć się myśli, iż Jack zaplanował wydarzenia środowej nocy, a przynajmniej jej drugą część, i przeprowadził je niczym wojenną kampanię. O świcie pomógł Kit się ubrać i osiodłał Delię. Powiedział jej też o dzisiejszym spotkaniu na plaży. Nie uznał przy tym za konieczne, by pojawiła się na spotkaniu w starej stodole.

Oczywiście nie pokazała się tam. Uznała, że jeśli to zrobi, Jack nabierze pewności, że zdołał ją od siebie uzależnić. Zamiast tego położyła się wcześniej

do łóżka. Jak się jednak okazało, nie po to, by spać. Prawie pół nocy przewracała się z boku na bok, zmagając się z trawiącą ją gorączką i niezaspokojonym pożądaniem.

Czy Jack celowo zatruł ją namiętnością?

Nagle w polu widzenia pojawiły się szerokie ramiona Jacka. Kit przyglądała się, jak nadjeżdża z George'em i Matthew u boku. Omiótł ją srebrzystym spojrzeniem i uśmiechnął się przelotnie. Zsiadł z konia i mężczyźni natychmiast stłoczyli się wokół niego.

Kit zaczekała, aż wszyscy znajdą się na swoich stanowiskach, a George i Matthew ruszą za przemytnikami. Dopiero wtedy postąpiła naprzód i zapytała: – Gdzie chciałbyś mnie dzisiaj mieć?

Natychmiast ugryzła się w język. Jack spoglądał w dół, na plażę, lecz słysząc jej słowa, natychmiast odwrócił głowę. Przez chwilę Kit obawiała się, że usłyszy coś, co musiało mu się cisnąć na usta.

Jacka kusiło, aby to zrobić. Dźwięk jej schrypniętego głosu, wypowiadającego tak dwuznaczne pytanie, sprawił, że przeszył go dreszcz pożądania. Mimo to nałożył pokrywkę na ten szczególny garnek i odstawił go, by gotował się na wolnym ogniu. Wykrzywił wargi w leniwym, szatańskim uśmieszku.

– Pomyślę o tym przez następną godzinę czy dwie. Przekażę ci moją decyzję później, w chacie.

Kit żałowała, że nie przychodzi jej na myśl nic, co mogłoby zetrzeć z jego warg ten zarozumiały uśmieszek.

– Tymczasem – mówił dalej Jack, nagle pełen werwy – możesz stanąć na warcie. Sama wybierz miejsce, bo mnie i tak nie posłuchasz.

Kit uniosła dumnie brodę. Odwróciła się i wsunęła stopę w strzemię, zamierzając wsiąść.

Dotyk wielkiej łapy na pośladkach zburzył jej spokój. Jack przesunął po nich dłonią, a potem podsadził ją na siodło. Kit wylądowała na końskim grzbiecie, chwytając gwałtownie powietrze. W świetle dnia jej spojrzenie spaliłoby go na popiół. W blasku księżyca stał z rękami wspartymi na biodrach, wbijając w nią wzrok protekcjonalnie i arogancko.

Kit zawrzała z furii. Zacisnęła usta i chwyciła wodze. Gdyby dała upust uczuciom tu i teraz, jej przebranie nie byłoby warte funta kłaków.

Gdy już znalazła się na klifie, zajęła pozycję, która pozwalała jej obserwować plażę, i zsiadła z konia. Przemierzała skraj klifu, zbyt rozgniewana, by usiąść. Ściskała w dłoniach rękawice, spoglądając na plażę i starając się zapanować nad gniewem.

Jak on śmie? Te słowa nie dawały jej spokoju, ale wydawały się zbyt łagodne, by oddać stan jej uczuć. Lecz dobrze wiedziała, skąd bierze się śmiałość Jacka. Doskonale się orientował, jaką ma nad nią władzę. Niech będą

przeklęte te jego srebrzyste oczy! Gdyby nie konieczność dowiedzenia się czegoś o szpiegach, więcej by się do niego nie zbliżyła. Rozważyła jednak wszelkie możliwości. Jeśli nie pozna pewnych faktów, na przykład dat przejęcia ładunku, nie będzie sensu ujawniać maskarady. Gdyby Spencer dowiedział się, co porabia jego wnuczka, zabroniłby jej przebierać się za przemytnika i uniemożliwił powstrzymanie szpiegów.

Kit czuła jednak nie tylko gniew. Ciągle jeszcze drżała po przelotnej pieszczocie Jacka. Do licha z tym facetem! Jeśli potrzebowała jeszcze potwierdzenia, że środowa noc została zaplanowana, ta w pełni świadoma pieszczota upewniła ją o tym ostatecznie. Jack celowo rozpalił w niej ogień zmysłowej przyjemności, a teraz wystarczy byle dotyk, by go podsycić. Kit zacisnęła zęby.

Jack był zdecydowanie zbyt pewny siebie! I, co gorsza, pewny jej. Na plaży wszystko szło swoim trybem, jak zawsze, kiedy Jack dowodził. Kit przyglądała się pogrążona w myślach. Chata Jacka znajdowała się na ziemi lorda Hendona. I nie kto inny, jak lord Hendon bardzo dogodnie odesłał sierżanta Osborne’a, by patrolował plaże Sheringham, sierżantowi Tonkinowi zaś polecił, by obserwował brzeg Wash. Ktoś obdarzony podejrzliwym umysłem mógłby doszukać się tu jakiegoś związku.

Kit prychnęła. Jedyny związek polegał prawdopodobnie na tym, że lord Hendon, podobnie jak pozostali arystokraci z okolicy, przymykał oko na szmugiel. Przemyt alkoholu czy koronek jeszcze można wytłumaczyć, ale przemycanie szpiegów to coś zupełnie innego. Jack przekroczył granice.

Gdy kuce ruszyły ścieżką w górę klifu, wstała i chwyciła zwisające swobodnie wodze Delii. Wskoczyła na siodło i skierowała klacz ku drzewom rosnącym na skraju pola. Tam się zatrzymała i zaczekała, aż ostatni kuc znajdzie się na szczycie klifu. A potem, nim pojawił się siwy ogier, zawróciła Delię w kierunku Cranmer Hall i ruszyła przed siebie galopem. Czarne podkowy pożerały milę za milą. A kiedy z cienia wyłonił się zarys domu, Kit mruknęła cicho: Hop! I Delia przefrunęła nad ogrodzeniem padoku.

Była w domu. Wymknęła się z pułapki Jacka, przynajmniej na tę noc. Być może zapłaci za to niepokojem i gorączką, ale zapłaci chętnie. Pomijając wszystko inne, tak było bezpieczniej.

A Jack z tą swoją chełpliwą arogancją może spędzić noc samotnie.

* * *

W niedzielne popołudnie, po poranku spędzonym cnotliwie w kościele, a potem za stołem zastawionym do śniadania, Kit siedziała na grzbiecie Delii ukryta w cieniu drzew przed chatą Jacka. Nie ufała już sobie. Już nie była pewna, jakie powody ją tu przywiodły. Niepewna sukcesu swoich zamierzeń, przygryzła wargi i spojrzała na zamknięte drzwi. Nie sposób było się

zorientować, czy w chacie ktoś przebywa.

Jeśli zostanie tu dłużej, a Champion jest w stajni, zwęszy Delię i zacznie rżeć, a wtedy nie będzie już miała przewagi, jaką dałoby jej zaskoczenie. Zresztą jeśli pozostanie tu jeszcze choć przez chwilę, opuści ją odwaga i umknie do domu z podkulonym ogonem. Podjęła decyzję i skierowała Delię ku prześwitowi pomiędzy drzewami. Podjechała do stajni, zsiadła z konia i wprowadziła Delię do środka.

Z mroku wyłonił się olbrzymi zad Championa.

Kit zatrzymała się niepewna, co czuje: ulgę, podniecenie czy strach. Ogier odwrócił głowę. Kit wprowadziła Delię do sąsiedniego boksu. Uwiązawszy klacz, zaczęła się zastanawiać, czy ma ją rozsiodłać. W końcu zrobiła to, nie przyznając się przed sobą, że mówi to wiele zarówno o jej zamiarach, jak i nadziejach. Wytarła klacz, wytężając słuch, by podchwycić najsłabszy dźwięk zwiastujący niebezpieczeństwo.

Coś ściskało ją w brzuchu, nerwy miała napięte do granic. Nigdy dotąd tak się nie czuła, nawet wtedy, gdy jako dziesięciolatka musiała się przyznać, że bez pozwolenia dosiadła ulubionego ogiera Spencera i wybrała się na przejażdżkę. Wybuchy gniewu Spencera nie przerażały jej ani nie przyprawiały o drżenie. Myśl o tym, jak będzie wyglądał Jack, kiedy za kilka minut go zobaczy, owszem.

Jak powita ją tym razem?

Na wspomnienie ostatniego powitania zatrzymała się w połowie drogi i omal nie zawróciła, by osiodłać Delię i uciec. Lecz przypomniała sobie, po co tu przyszła. Nie może tak po prostu zapomnieć o szpiegach. Zacisnęła zęby, a potem ruszyła zdecydowanie ku drzwiom.

Zatrzymała się z ręką na klamce, ogarnięta uczuciem, że zbliża się do legowiska szczególnie niebezpiecznego zwierza. Chłód metalu sprawiał, że trzęsły się jej palce. Cała drżała z oczekiwania. Prawdę mówiąc, nie wiedziała, gdzie leży źródło niebezpieczeństwa. W nim? A może w niej?

* * *

Tymczasem Jack spoczywał rozciągnięty na łóżku, z rękami założonymi za głową. Wpatrywał się w sufit.

Jak długo potrwa, nim to do niej dotrze? I sprowadzi ją do niego?

Prychnął niezadowolony i zmarszczył brwi. Kiedy wymyślił sobie, że zaszczepi pod jedwabistą skórą Kit namiętność, nie przewidział, że to tak zaostrzy jego erotyczny apetyt. Od środowej nocy przez cały czas był wygłodniały. I przez Kit nie był w stanie zaspokoić tego głodu. Żadna inna kobieta nie potrafiłaby tego dokonać. Zamknął się więc w chacie, by w samotności oddawać się ponurym rozmyślaniom.

Pragnął jej, Kit, rudowłosej hurysy w bryczesach.

Kiedy ją pieścił, mruczała jak kotka. Gdy jej dosiadał, wyginała się dziko. A później, gdy zaspokoili już namiętność, przytulała się do niego niczym biało-ruda koteczka. Jego kociątko.

Jego rasowe kociątko. W łóżku była arystokratką, bez względu na swoje pochodzenie. Jej zachowanie podczas gry miłosnej otwierało zupełnie nowe perspektywy, nawet dla kogoś tak doświadczonego jak on. Sądził, że wie już o kobietach wszystko, tymczasem ona udowodniła, że się myli. Udawane reakcje wysoko urodzonych dziwek z towarzystwa zawsze go nudziły. Zachwycała go naturalność Kit, to, że kochanie się sprawiało jej taką przyjemność. W końcu z satysfakcjonującą regularnością udawało mu się zamieniać okrzyki protestu Kit w jęki rozkoszy.

Przeciągnął się, próbując złagodzić napięcie mięśni, i jeszcze bardziej spochmurniał. Dwadzieścia cztery godziny wstrzemięźliwości to dla niego było za dużo, siedemdziesiąt dwie godziny stanowiły prawdziwą torturę. Poza tym fakt, że Kit radziła sobie w tej sytuacji lepiej niż on, był bolesnym ciosem dla jego męskiej dumy.

Klamka w drzwiach się poruszyła.

Jack poderwał się, nim rozum przejął kontrolę nad instynktem, narzucając mu opanowanie. Impuls nakazywał mu natychmiast wstać z łóżka, zakraść się do drzwi i stanął tuż za nimi. Lecz jeśli to Kit była jego gościem, mógłby wystraszyć ją na śmierć, pojawiając się tak niespodziewanie.

Drzwi otworzyły się powoli. Cień smukłej postaci w trójgraniastym kapeluszu padł na podłogę. Jack się odprężył. Uśmiechnął się, bardzo z siebie zadowolony, a potem wspomniał minione siedemdziesiąt dwie godziny. Nie było gwarancji, że Kit zjawiła się, by ulżyć mu w cierpieniu. Przybrał więc obojętną minę i opadł z powrotem na poduszki.

Kit omiotła wzrokiem widoczną część chaty. Jack nie siedział przy stole. Przełykając nerwowo ślinę, zaczerpnęła oddechu i przekroczyła próg. Zatrzymała się tuż za drzwiami i opierając się o nie dłonią, zmusiła się, by spojrzeć na łóżko.

Leżał tam rozciągnięty wygodnie na pościeli, promieniejący arogancją umięśniony samiec, i obserwował ją. Z drapieżnym błyskiem w srebrzystych oczach.

Kit wstrzymała oddech. Zaschło jej w ustach. Czuła, że oczy niemal wychodzą jej z orbit.

Jack spojrzał w te oczy i od razu się domyślił, po co przyszła. Jego zmysły zareagowały, lecz zmusił się do zachowania spokoju, nim wróci mu jasność myśli. Jego ciało zesztywniało, gotowe poderwać się, natychmiast pochwycić ją w ramiona i przycisnąć, rozgniatając wargi, piersi i biodra. Lecz jeśli to zrobi, co stanie się wtedy?

Drzwi znajdowały się w połowie drogi pomiędzy łóżkiem a stołem, niezbyt

blisko jednego i drugiego. Sądząc po tym, jak wyglądało ich ostatnie powitanie, prawdopodobnie wylądują na podłodze. Choć Jack nie miał nic przeciwko temu, aby od czasu do czasu poddać się namiętności, nie był szczególnie dumny z tego, że wziął ją na stole. Nie wiedział, co Kit o tym sądzi, lecz kiedy zobaczył później czerwone plamy na jej pośladkach, poczuł się paskudnie winny. Zbyt często robił jej siniaki, choć nigdy celowo. Niektórych, jak ślady pozostawione przez jego palce na biodrach Kit, nie dało się uniknąć, gdyż ciało miała bardzo delikatne. Nie musiał jednak dokładać do tego jeszcze tych spowodowanych bezmyślnością.

– Zamknij drzwi – powiedział. Choć starał się, by jego głos nie zdradził, jak bardzo jej pożąda, udało mu się to tylko częściowo.

Oczy Kit zaokrągliły się jeszcze bardziej. Czując dziwną ociężałość, posłusznie odwróciła się, by wypełnić polecenie. Palce nie chciały jej słuchać i dopiero po chwili metaliczny szczęk upewnił ją, że drzwi są zamknięte. Powoli odwróciła się, podświadomie oczekując, że Jack wstanie. Nie zrobił tego.

– Chodź tutaj.

Kit się zastanawiała. Choć czuła się tak, jakby ją zahipnotyzowano, nie straciła do reszty rozsądku. Lecz Jack tak omotał ją siecią zmysłowych przyjemności, że puls zaczął już jej przyśpieszać w oczekiwaniu tego, co się wydarzy. Przyjmując do wiadomości to, co nieuniknione, postawiła jedną stopę przed druga i powoli, zachowując ostrożność, zbliżyła się do łóżka.

– Zatrzymaj się.

Stanowczy, groźny rozkaz zatrzymał ją o metr od łóżka.

– Zdejmij surdut i kapelusz.

Kit poczuła, że coś ściska ją w brzuchu. Zdjęła kapelusz i upuściła go, a potem zrzuciła z ramion surdut i pozwoliła mu opaść na podłogę. Czuła, jak pod spojrzeniem wpatrzonych w nią srebrzystych oczu w jej wnętrzu zaczyna żarzyć się płomień.

– Zdejmij te przeklęte bryczesy.

Żar wybuchnął płomieniem. Spojrzała na Jacka, zaszokowana sugestią. Kusiło ją, by się podporządkować.

Jack z najwyższym trudem zmuszał się, by leżeć nieruchomo. Oczy Kit płonęły fioletem, rzucając wokół iskry namiętności. Nie był wcale zdziwiony, widząc, że sięga do zapięcia spodni. Przyglądał się, jak je rozpina, a potem powoli zsuwa z bioder, ukazując kremowy brzuch i jasne kędziorki poniżej.

Kit poruszała się jak we śnie, oderwana od rzeczywistości. Spostrzegła, że Jack z trudem hamuje pożądanie i poczuła radość z tego, że ma nad nim taką władzę. Rozmyślnie wolno zdjęła wpierw jeden wysoki but, a potem drugi. Pozbyła się bryczesów i rzuciła je w ślad za surdutem i butami, a potem odwróciła się i stanęła przed nim naga.

Nie poruszył się, lecz Kit widziała, ile wysiłku kosztuje go, by pozostał tam, gdzie był.

– Podnieś koszulę i uwolnij piersi – wykrztusił przez zaciśnięte zęby, nie spuszczając wzroku ze skarbów, jakie miał przed sobą. Zaschło mu w ustach od oczekiwania na to, co jeszcze miał zobaczyć.

Kit posłuchała, zastanawiając się, dlaczego nie kazał jej rozebrać się do końca. Uznała jednak, że miał jakiś powód. Po chwilowym namyśle zwinęła więc przód koszuli i przytrzymała go zębami. Nagłe poruszenie na łóżku powiedziało jej, że słusznie uczyniła, poddając się impulsowi. Na szczęście węzeł puścił szybko. Rozwinęła materiał. Powoli. Długa wstęga spowijała jej ciało aż pięć razy. Puściła koszulę tuż przedtem, nim opadł ostatni zwój. Jej piersi, wolne teraz i dumnie wzniesione, prześwitywały przez cienkie płótno koszuli.

Jack stłumił jęk. Nie potrafił sobie wyobrazić, gdzie Kit nauczyła się takich sztuczek; przypuszczenie, że mogła stosować je instynktownie, sprawiło, że omal nie stracił nad sobą kontroli. By zyskać nieco na czasie, krytycznie przyglądał się stojącej przed nim postaci. Światło wpadało przez okno po drugiej stronie chaty. Kit stała pomiędzy oknem a łóżkiem, mógł więc przyjrzeć się jej dokładnie. Leniwie badał wzrokiem każdą krzywiznę jej ciała, doskonale zdając sobie sprawę, że to ją podnieca. Na myśl o tym, co to oznacza, wykrztusił:

– Podejdź i uklęknij obok mnie na łóżku.

Kit posłuchała bez pośpiechu i przysiadła na piętach na materacu z końskiego włosia. W tej pozycji koszula zakrywała jej nogi, pozwalając odpocząć od napięcia, jakie wzbudzał wbity w nią wzrok Jacka. Nie miał na sobie surduta. Jego koszula nie była uszyta z tak wytwornego materiału jak jej, lecz mięśnie jego ramion i klatki piersiowej rysowały się pod nią nader wyraźnie. Kit spojrzała na pierś Jacka, a potem niżej, ku miejscu, gdzie koszula znikała w bryczesach. Nie mogła nie zauważyć wypukłości zaczynającej się tuż poniżej.

Jack zorientował się, na co Kit patrzy. Trzymając dłonie bezpiecznie wciśnięte za głowę i walcząc o to, by nie stracić tchu, poprosił: – Rozbierz mnie.

Kit spojrzała na niego zdumiona. Otworzyła usta, by zaprotestować, lecz się powstrzymała. Widać było, że rozważa pomysł, który przyszedł jej do głowy. Ciekawe, jaką torturę znowu planuje, pomyślał Jack.

Kit, choć zdumiona własnym posłuszeństwem, zdawała sobie sprawę, że podniecenie ich obojga wzrasta. Ponieważ nigdy przedtem nie rozbierała mężczyzny, przez minutę zastanawiała się, jak się do tego zabrać.

Jack wstrzymał oddech. Kit poruszyła się i oparła mu dłonie na piersi. A potem zawisła nad nim okrakiem i śmiało przysiadła na jego udach.

Usłyszała, jak wciąga gwałtownie oddech, i poczuła, że uwięziony pod nią twardy pal się porusza. Przesunęła się do przodu, przyciskając się do niego, świadoma, że bryczesy Jacka przynajmniej na razie zapewniają jej jako takie bezpieczeństwo. Spojrzała w górę. Zobaczyła, że Jack zaciska powieki, że drgają mięśnie na jego twarzy. Z uśmiechem kobiecego triumfu zabrała się do rzeczy, wyciągając mu koszulę z bryczesów, a potem przeciągając ją przez głowę.

Uwolniony od koszuli, opadł z powrotem na poduszki. Cierpiał, był jednak zdecydowany zobaczyć, jak Kit da sobie radę z resztą.

Kit rozsunęła poły swojej koszuli i zabrała się za pas przy bryczesach. Po chwili guziki były już rozpięte. Spojrzała z nabożnym lękiem na to, co właśnie ukazało się jej oczom. Męskość Jacka wzwiedziona pulsowała pośród włosów pokrywających jego twardy brzuch. Bez zastanowienia sięgnęła, aby jej dotknąć, popieścić.

Jack jęknął, niezdolny się powstrzymać. Zamknął oczy, nie chcąc widzieć, co będzie dalej. Delikatny dotyk warg Kit sprawił, że jeszcze bardziej zesztywniał; wilgotna pieszczota języka, niedoświadczonego, lecz wiedzionego nieomylnym instynktem, złamała wreszcie jego opanowanie. Nie mógł dłużej leżeć spokojnie w obliczu takiej prowokacji. Mimo to udało mu się powstrzymać, by nie wsunąć dłoni w jej loki i nie skierować ust Kit tam, gdzie pragnął je czuć najbardziej. Zamiast tego przycisnął dłonie do bioder i zsunął z nich bryczesy. Z jego pomocą Kit wkrótce uporała się z nimi, zsuwając się niżej na łóżku, by zdjąć Jackowi buty i oswobodzić nogi.

Ześliznęła się z łóżka, z butami Jacka w dłoni i odwróciła, aby podziwiać swoje dzieło. Nagi, wystawiony na jej spojrzenie, przedstawiał się po prostu wspaniale. Za żadne skarby nie zdołałaby powstrzymać uśmiechu, który rozświetlił na chwilę jej twarz.

– Wracaj tutaj.

Spojrzała mu w oczy i to, co spostrzegła w ich srebrzystej głębi, sprawiło, że przeszył ją dreszcz pożądania. Z nieudawaną ochotą zajęła poprzednią pozycję, płonąc żądzą i zastanawiając się, co też Jack wymyśli.

Jack, oszołomiony namiętnością, nie był w stanie do końca jasno myśleć. Przyglądał się, jak Kit wchodzi z powrotem na łóżko, a potem spogląda na jego ciało. Klękając, przycisnęła kolanem skraj koszuli, ta zaś napięła się, uwydatniając sutki. Jak łatwo byłoby przewrócić ją na plecy i zanurzyć się w jej rozgrzanym ciele! Lecz w ciągu minionych siedemdziesięciu dwóch godzin nieraz oddawał się rozkosznym marzeniom i teraz postanowił wprowadzić w życie przynajmniej niektóre z nich. Lecz czy wystarczy mu siły woli?

– Dosiądź mnie.

Polecenie przerwało Kit kontemplację jego ciała. Dosiąść go?

Jack odczytał w zdumionych, pociemniałych oczach Kit pytanie i uśmiechnął się z trudem.

– Kiedy cię dosiadam, to ja wykonuję całą robotę. Teraz kolej na ciebie.

Kit wpatrywała się w niego, próbując zrozumieć, czego po niej oczekuje. A potem spojrzała w dół, ku miejscu, gdzie spośród ciemnej gęstwiny wyłaniał się jego członek.

– Pokażę ci.

Chwycił ją za ręce i skłonił, by nad nim kucnęła.

– Siądź na mnie okrakiem, jak przedtem.

Kit posłuchała, omal nie spadając z łóżka, gdy członek Jacka podskoczył, jakby wychodząc jej na spotkanie. Zamarła z szeroko rozłożonymi nogami i kolanami po obu stronach jego bioder. Bez tchu czekała, zdumiona uczuciem dziwnej słabości, jakie nagle ją opanowało.

Jack z najwyższym trudem zmusił się, by leżeć nieruchomo. Wystarczyłby jeden ruch w górę, by zanurzyć członek w jej gorącym ciele.

Przez chwilę oddychał urywanie, unikając spoglądania na miejsce, gdzie jego członek mościł sobie miejsce. Kolejny oddech dał mu siłę, aby przesunąć dłonie wzdłuż ramion Kit i zamknąć je na jej barkach.

– Pochyl się i pocałuj mnie.

Kit posłuchała zaintrygowana nagłym zwrotem akcji. Zaczęło się tak, jak Jack powiedział: od tego, że go pocałowała. Lecz Jack szybko przejął inicjatywę. Wsunąwszy palce we włosy Kit, przytrzymywał jej głowę, buszując językiem w jej ustach. Kit nie protestowała. Żar w niej już płonął, musiała tylko znaleźć sposób, by go ugasić.

Jack przeniósł dłonie na barki Kit i ustawił ją tak, jak chciał. Klęczała teraz z rękami i nogami po obu stronach jego ciała. Oderwał usta od jej warg i przyciągnął ją bliżej, by móc dotknąć ustami okrytego koszulą sutka. Kit westchnęła głośno, co zdopingowało go do dalszych wysiłków. Lizał płótno, dopóki nie przywarło do różowego, sterczącego zuchwale sutka, a potem wciągnął obrzmiałe ciało głęboko do ust i zaczął ssać. Kit jęknęła i zadrżała. Oczy miała zamknięte, usta rozchylone. Jack zajął się teraz drugą piersią i powtórzył pieszczotę.

Kit jęczała za każdym razem, kiedy przypuszczał kolejny udany atak na jej zmysły. Pomiędzy udami czuła napięcie i dziwną tęsknotę. Musiała jakoś ją złagodzić; wiedziała, jak to zrobić. Lecz Jack bezlitośnie podsycał płonący w niej ogień, jakby nie zdawał sobie sprawy, czego Kit potrzebuje.

– Jack! – zawołała, wkładając w tę sylabę całą swą tęsknotę. Natychmiast poczuła, że Jack unosi jej koszulę, by sięgnąć pomiędzy uda. Westchnęła z ulgą, gdy wsunął w nią najpierw jeden, a potem dwa palce. Palce poruszyły się i Kit zaczerpnęła gwałtownie powietrza, koncentrując się na tym, co czuje. Jack zaczął poruszać dłonią w rytmie, który już znała, odpowiedziała więc nań,

poruszając biodrami. Usta Jacka nadal pieściły jej piersi, jego język przesuwał się po wrażliwych brodawkach, posyłając ogniste strzały w głąb jej ciała.

Jack odczekał, aż oddech Kit stanie się szybki i nierówny, a jej biodra zaczną napierać na jego dłoń, szukając ulgi i rozkoszy. I wtedy powiedział: – Teraz weź mnie w siebie.

Wykrztuszone przez zaciśnięte zęby polecenie ledwie dało się zrozumieć, lecz Kit zrozumiała. Nie potrzebowała dalszej zachęty. Przesunęła się nieco, gdzie czekał już jego członek, pulsując z chęci, by ulżyć jej w potrzebie. Opuściła się na niego, wyginając biodra. Gdy tylko poczuła, że w nią wchodzi, opadła do tyłu, przyjmując go w siebie jednym gładkim ruchem.

Jackowi zaparło dech. Chwycił ją za biodra i lekko uniósł. Kit natychmiast przejęła inicjatywę, unosząc się, dopóki niemal nie wysunął się z rozgrzanego wnętrza jej ciała, a potem nadziewając się na niego tym mocniej. Jack tymczasem, gdy tylko upewnił się, że Kit wie, co robi, zaczerpnął drżącego oddechu i skupił uwagę na jej piersiach, ciepłych i stężałych z pożądania pod dręczącą osłoną koszuli.

Kit rozkoszowała się uczuciem, że to ona sprawuje nad wszystkim kontrolę, to ona narzuca rytm. Rozsunęła szeroko uda i wzięła go głębiej w siebie. Eksperymentowała, zaciskając mocno mięśnie, to znów zbliżając do siebie uda, by zmniejszyć penetrację.

Czuła, jak dłonie Jacka zaciskają się na jej piersiach w rytm jej ruchów. Jego palce odnalazły sutki. A potem zaczął poruszać pod nią biodrami, wsuwając się w nią, gdy opuszczała się na niego. Nagle Kit zrozumiała, dlaczego nie pozwolił jej zdjąć koszuli. Jej skraj przesuwał się po udach Kit, to unosząc się, to opadając w rytm jej ruchów. Wyobraziła sobie widok, jaki ukazywał się wtedy oczom Jacka i poczuła, iż żar w jej wnętrzu zmienia się w płynny ogień, który niechybnie pochłonie wkrótce wszystkie jej zmysły. Zmusiła się, by otworzyć oczy. Jack patrzył na nią. Chciwie.

Jęknęła i na powrót zacisnęła powieki. Głowa opadła jej do tyłu, a płomienie w jej wnętrzu buchnęły żywym ogniem. Usztywniła mięśnie, próbując powstrzymać nieuchronne, przedłużyć słodką torturę choć o chwilę.

Lecz Jack nie zamierzał niczego przedłużać. Zmysłowy widok ich złączonych w uścisku ciał, jego członka, wślizgującego się w nią tak gładko, pobudził go ponad wszelkie wyobrażenie. Poczuł, że Kit sztywnieje, usiłując odwlec spełnienie. Puścił piersi dziewczyny i chwycił ją za biodra, przytrzymując nieruchomo. A potem, sycąc oczy widokiem, zanurzył się w nią głęboko.

I to wystarczyło.

Osiągnęli szczyt rozkoszy, walcząc o oddech, wpatrując się w siebie szeroko otwartymi oczami. Na tę jedną chwilę ich dusze połączyły się podobnie jak ciała.

Orgazm sprawił, że Kit zupełnie opadła z sił. Osunęła się na pierś Jacka, on zaś przyciągnął ją do siebie. Leżała teraz na nim, z głową wetkniętą pod brodę kochanka.

Zasnęła w jego objęciach.

Kiedy się zbudziła, leżeli przytuleni pod kołdrą. Nie potrafiła sobie przypomnieć, by pod nią wchodziła, lecz Jack leżał uśpiony tuż obok, obejmując ją opiekuńczo ramieniem. Kit uśmiechnęła się sennie, czując pod policzkiem bicie serca kochanka. Leżąc tak w cieple jego uścisku, czuła się bezpieczna, zaspokojona i zadowolona. Po raz pierwszy od środowej nocy.

Zerknęła na okno, gdzie brzask różowił już niebo. Niedługo trzeba będzie się zbierać.

Wspomniała, czym zajmowali się przez noc, i niemal zachichotała z zadowolenia. A potem oprzytomniała, uświadomiła sobie bowiem, że nie potrafi żyć bez Jacka. Ogień w jej żyłach stanowił narkotyk, bez którego nie potrafiła dłużej się obywać. Tylko on mógł go rozpalić i ugasić.

Lecz Jack przemycał szpiegów.

Kit przywarła mocniej do ciepłego boku mężczyzny. Wiedziała ponad wszelką wątpliwość, że Jack sam nie jest szpiegiem. Po prostu nie zdawał sobie sprawy, że przemycanie ludzi to coś innego niż szmugiel alkoholu. Następnym razem postara się jasno mu to uświadomić. Jack musi się opamiętać.

Od tego, czy jej się uda, zależy bowiem ich los. Kit westchnęła. Porozmawia z nim, kiedy następnym razem się spotkają. Nie ma potrzeby psuć nastroju już teraz.

Ostrożnie odsunęła się od Jacka, lecz on natychmiast przyciągnął ją do siebie, obejmując ciężkim od snu ramieniem. Kit spojrzała na okno. Może nie jest jeszcze tak późno, pomyślała. Obróciła się i podciągnęła wyżej, by sięgnąć ustami jego ust. I obudziła go pocałunkiem.

Rozdział 20

Łuski opadły jej z oczu w poniedziałkową noc. Postanowiła, że weźmie udział w spotkaniu w starej stodole. Choć nie czuła się już zobowiązana, by uczestniczyć w przejmowaniu towarów na plaży, musiała zobaczyć się z Jackiem, by się dowiedzieć, co sądzi o przemycaniu ludzi. A czyż może być lepsza po temu okazja niż powolna jazda do chaty? Nie miała złudzeń co do tego, jak długo będą w stanie dyskutować, kiedy już znajdą się na miejscu. Lecz w ciągu ostatnich dwóch miesięcy zaledwie raz przedmiotem szmuglu był człowiek, i Kit sądziła, że nie musi się śpieszyć. Miała dość czasu, aby spokojnie popracować nad Jackiem.

Kiedy dotarła na miejsce, spotkanie było w toku. Wśliznęła się w bezpieczny cień z tyłu stodoły i znalazła zakurzoną skrzynię, na którą mogła się wdrapać. Kilku przemytników zauważyło, że przyszła, i przywitało ją skinieniem głowy, by natychmiast powrócić do słuchania Jacka stojącego w stożku światła padającego z pojedynczej lampy.

Kit spostrzegła, że Jack omiata ją spojrzeniem, lecz jego głos nie zdradził niczego. Opisywał właśnie ładunek, jaki mieli odebrać następnej nocy na plaży na wschód od Holme. Kit przysłuchiwała się temu jednym uchem, zafascynowana tym, jak światło lampy maluje złotem pasma włosów Jacka.

Jack zwrócił się tymczasem do Shepa: – Ty i Johnny zabierzecie pasażera o świcie z Creake i zaprowadzicie go prosto na plażę.

Kit zamarła.

Shep skinął głową. Jack zwrócił się teraz do Noaha: – Wy go przejmiecie. Wasza łódź ostatnia podpłynie do statku. Przekażecie pasażera i zabierzecie resztę ładunku.

– Tak – odparł Noah, pochylając głowę.

– A zatem załatwione. Jack przyjrzał się zniszczonym, obojętnym twarzom otaczających go kompanów. – Spotkamy się jak zwykle w czwartek.

Członkowie szajki rozeszli się, pomrukując i pochrząkując, znikając w mroku po dwóch lub trzech. Lampę ściągnięto na dół i przygaszono.

Kit siedziała na skrzyni z opuszczoną głową i twarzą ukrytą pod rondem kapelusza. Jack spojrzał na milczącą postać. Ogarnęły go rosnące z każdą chwilą złe przeczucia. Co u licha znów było nie tak? Spodziewał się, że Kit przyjdzie, lecz jej obojętność wprawiała go w konsternację. Oczekiwał, że po tym, co wydarzyło się w niedzielę, nie będzie mogła się doczekać następnego spotkania.

George i Matthew podeszli do Jacka, gdy stał w otwartych drzwiach.

– Jadę prosto do domu – powiedział George ściszonym głosem świadomy,

że Kit czeka w ciemności. Uniósł pytająco brwi.

Jack zacisnął zęby i skinął energicznie głową. George wyśliznął się w noc.

– Ty też lepiej już jedź.

– Tak jest – odparł Matthew i wyszedł, nie zadając pytań. Jack przyglądał się przez chwilę, jak wierny sługa i towarzysz dosiada konia i znika za zasłoną drzew, kierując się ku rozciągającym się od południa otwartym polom.

Tymczasem Kit zmagała się ze sobą w ciemności, starając się uporządkować myśli. Jack musiał dowiedzieć się o przybyszu już w środę, podczas spotkania Pod Kosem. I choć spędziła z nim całą środową noc, a potem niedzielne popołudnie, nawet nie zająknął się na ten temat. I w taki oto sposób wykorzystała Jacka jako źródło informacji. Teraz zostały jej zaledwie dwadzieścia cztery godziny na podjęcie decyzji.

Kit nadal milczała, więc Jack w końcu odwrócił się i wszedł do stodoły. Zatrzymał się na skraju ciemności, gdzie nie sięgał blask księżyca, i spojrzał w stronę, gdzie siedziała Kit.

– O co chodzi?

Słysząc jego niecierpliwy ton, Kit aż się zjeżyła. Lecz Jack nie mógł tego zauważyć. Skorzystała z tego, że jest ukryta w ciemności, by się zastanowić i opracować strategię. Zamierzała wyperswadować Jackowi zajmowanie się zdradzieckim procederem. Nadal warto było spróbować. Lecz stara stodoła, z luźnymi deskami w ścianach i dziurawym klepiskiem, nieszczególnie nadawała się na miejsce rozmów o zdradzie, zwłaszcza z osobą o zdradę podejrzewaną.

– Muszę z tobą porozmawiać.

Jack wsparł dłonie na biodrach i rozgniewany wpatrzył się w ciemność. Porozmawiać? Znów chce wypróbowywać na nim stare sztuczki? Był cholernie zmęczony nagłymi zmianami jej nastroju. Po wydarzeniach niedzieli sądził już, że ich stosunki się unormowały: to znaczy, że Kit zaakceptowała swoją pozycję jako jego oficjalnej kochanki. To prawda: nie wiedziała, czyją jest kochanką, lecz Jack nie przypuszczał, by fakt, że przywódca szajki przemytników zmieni się w pana na zamku, stanowił dla Kit różnicę. Założył, że tak nie będzie, i kropka.

A potem przypomniał sobie, jak Kit patrzyła na niego, gdy byli razem w chacie. Jej nastawienie zmieniło się dopiero później. Przypuszczając, że wie, co mogło być tego przyczyną, zaproponował: – Jeśli chcesz rozmawiać, najlepiej będzie wrócić do chaty.

Kit wstała i ruszyła do wyjścia.

Jack usłyszał ją. Odwrócił się i wyszedł, nie oglądając się, czy Kit idzie za nim. Podszedł do miejsca, gdzie stał uwiązany do karłowatej jodły Champion, i wskoczył na siodło. Nakłonił wierzchowca do cwału, nie zważając na jego opór. Ogier chętnie ruszył przed siebie dopiero wtedy, gdy Delia dogoniła ich

pośrodku pierwszego pola.

Jack jechał w milczeniu. Usiłował przeniknąć spojrzeniem mrok, rozmyślając o kobiecie u swego boku. Dlaczego miałoby jej przeszkadzać, że Jack przemyca szpiegów? Czy w ogóle orientowała się, że to są szpiedzy? Dojechali do drogi i Jack skierował Championa na ubity trakt.

Kit ruszyła w ślad za Championem i spojrzała na uparty profil Jacka. Nie wyglądało to zachęcająco. Lecz obserwacja ta, miast zniechęcić, jeszcze umocniła Kit w postanowieniu. Matthew był oddanym sługą Jacka, a George najbliższym przyjacielem, lecz żaden z nich nie miał na niego wpływu. Najwyższa pora, by ktoś zmusił aroganta do przyjrzenia się temu, co robi. Nie spodziewała się, że Jackowi spodoba się, iż to ona ma być tym kimś, lecz męska duma nie może stanowić wymówki. Powie mu, co o nim sądzi, nie oglądając się na jego uczucia.

Skręcili na południe i pojechali krętą dróżką prowadzącą na szczyt wzgórza. Kit przyglądała się, jak Jack spogląda wstecz, niemal automatycznie sprawdzając, czy nie są śledzeni. Dróżka poniżej wydawała się pusta. Spostrzegła, że Jack się krzywi, skręcając w kierunku chaty. Podążyła jego śladem, cały czas gromadząc w myślach argumenty.

Jack zatrzymał się przed stajnią i wprowadził Championa. Kit zrobiła to samo, uwiązując Delię w sąsiednim boksie. Obrawszy wreszcie strategię, zaatakowała prosto z mostu:

– Wiesz, że ludzie, których przemycasz na statki i na ląd, to szpiedzy, prawda?

Jack nie odpowiedział. Zdjął Championowi siodło i rzucił je na przegrodę oddzielającą boksy. Kit wbiła wzrok w ciemność. A zatem Jack zamierza utrudnić sprawę.

– Byłeś w wojsku, czyż nie? Musisz zatem wiedzieć, jaki rodzaj informacji przenoszą ci ludzie.

Gdy cisza się przedłużała, Kit rzuciła na przegrodę swoje siodło i wsparła się na nim, mówiąc: – Musiałeś znać ludzi, którzy zginęli w walce. Jak możesz pomagać wrogowi, wiedząc, że zabija naszych żołnierzy?

Jack zamknął oczy, aby nie widzieć obrazów, które podsuwała mu pamięć. Znać ludzi, którzy zginęli? Stracił cały oddział, wysłany do piekła ostrzałem dział i kartaczy. On sam ocalał tylko dlatego, że jeden z jego żołnierzy osłonił go własnym ciałem. A także dlatego, że Matthew jakimś cudem zdołał go odnaleźć pośród krwawej łaźni klęski i odwrotu.

Champion przestąpił z nogi na nogę, przywracając Jacka rzeczywistości. Jack zmusił się, by rozewrzeć zaciśnięte pięści. Ująwszy garść słomy, zaczął wycierać błyszczącą szarą sierść. Musiał się ruszać, robić coś, pozwolić, by słowa potępienia Kit – choć niezasłużone – spadały na jego głowę. Gdyby zareagował, prawda od razu wyszłaby na jaw, a jeden Bóg wie, że gra, którą

prowadzili, była na to zbyt niebezpieczna.

Kit uświadomiła sobie, że Jack nie zamierza odpowiedzieć. Mimo to nie rezygnowała, zdecydowana mu uświadomić, że postępuje źle.

– Nie możesz o tym zapomnieć tylko dlatego, że tobie udało się ocalić skórę.

Jack zastygł w bezruchu, zwalczając pokusę, by opowiedzieć jej, jak mało zapomniał. Zamiast tego zmusił się, by w milczeniu nadal obrządzać Championa.

Kit spojrzała w jego stronę niepewna, czy Jack ją widzi, czy też nie. Również chwyciła garść słomy i zaczęła wycierać Delię.

– Przemyt to jedno. Być może nie jest zgodny z prawem, ale to po prostu nieuczciwość. Natomiast czerpanie korzyści ze sprzedawania informacji wojskowych to coś więcej. To zdrada!

Jack uniósł brwi. Kit powinna zająć się polityką. Skończył wycierać Championa. Rzucił słomę i ruszył do drzwi. Zbliżając się do chaty, usłyszał za sobą zduszone przekleństwo. Gdy mijał próg, usłyszał, że Kit podąża za nim. W chacie skierował się prosto do kredensu, gdzie stała baryłka brandy.

Kit weszła do chaty i zatrzasnęła za sobą drzwi. – Cóż, tak czy inaczej… – zamilkła, mrugając w nieprzeniknionych ciemnościach, jakie spowiły chatę, gdy zamknęła drzwi. Usłyszała ciche przekleństwo, a potem szurgot krzesła, o które Jack najwidoczniej się potknął. Niemal natychmiast jej uszu dobiegł trzask zapałki, a potem pomieszczenie zalało miękkie światło. Jack podkręcił knot, by lampa ledwie się paliła. A potem chwycił szklaneczkę, napełnił ją do połowy brandy i opadł na krzesło po drugiej stronie stołu, wyciągając przed siebie długie nogi i wpatrując się ponuro w Kit.

– Tak czy inaczej – powtórzyła Kit stanowczo, próbując zignorować całą tę panoszącą się męską nonszalancję – nie możesz dalej przemycać szpiegów. Być może jest to opłacalne, ale wiąże się ze zbyt dużym ryzykiem.

Spojrzała na postać po drugiej stronie stołu, bezduszną jak drewno. W półmroku ledwie mogła dostrzec rysy jego twarzy, a co dopiero jej wyraz.

– Co za przywódca świadomie naraża swoich ludzi na ryzyko?

Jack poruszył się niespokojnie. Kit trafiła w sedno. Zawsze szczycił się tym, że dba o tych, którzy służą pod jego komendą.

Kit spostrzegła, że cios trafił celu, mówiła więc dalej: – Przemyt to przestępstwo zagrożone banicją; za zdradę trafia się na szubienicę. Z rozmysłem narażasz na wyrok śmierci ludzi niezdających sobie sprawy z ryzyka.

Jack nadal milczał, aż Kit straciła wreszcie cierpliwość.

– Do licha! Oni mają rodziny, które muszą utrzymać! Jeśli zostaną schwytani i powieszeni, kto zajmie się ich bliskimi?

Jack zerwał się na równe nogi, przewracając krzesło. Kit cofnęła się

odruchowo.

– Do licha! Co ty wiesz o troszczeniu się o innych? O braniu na siebie odpowiedzialności? Do diabła, jesteś kobietą!

Po tym wybuchu Jackowi wrócił rozsądek. Oczywiście, że Kit jest kobietą. I nie wie nic o dowodzeniu oraz wiążących się z tym problemach. Nie powinien był dopuścić, by słowa kobiety tak zalazły mu za skórę. Zmarszczył brwi i sięgnął po brandy, spojrzeniem zmuszając Kit do milczenia. A jednak coś przeoczył. Powinien był zwrócić większą uwagę na to, dlaczego Kit tak bardzo przeszkadza, że on przemyca szpiegów. Doświadczenie podpowiadało mu, że kobiety jej pokroju nie przywiązują wagi do tego rodzaju abstrakcyjnych spraw. Słyszał kto kiedykolwiek o kobiecie niskiego rodu pouczającej swego arystokratycznego kochanka na temat moralności w polityce?

Kit z wysiłkiem otrząsnęła się spod wpływu onieśmielającego spojrzenia Jacka i wbiła w niego wzrok. Wsparła dłonie na biodrach i otworzyła usta, aby zaatakować jego poglądy na temat roli kobiet.

Lecz Jack odezwał się pierwszy, dźgając powietrze długim palcem dla podkreślenia wagi swych słów. – Jesteś kobietą. Nie jesteś przywódcą przemytników. Po prostu bawiłaś się, udając młodzieńca i dowodząc grupką rybaków, to wszystko.

Odstawił z hukiem szklankę na stół, a potem oparł się o niego dłońmi i pochylił w przód.

– Gdybym nie pojawił się w porę i nie uwolnił cię od odpowiedzialności, już dawno byłoby po tobie. Nic, absolutnie nic nie wiesz o tym, jak dowodzić mężczyznami.

Oczy Kit rzucały fioletowe błyski. Rozchyliła usta, gotowa natychmiast go zrugać.

Jack nie zamierzał jednak dać jej po temu szansy. – A jeśli ubzdurałaś sobie, że będziesz mogła pouczać mnie w tej materii, to dobrze ci radzę: zachowaj dla siebie swoje niewczesne opinie!

Furia ogarnęła Kit. Krew zapłonęła w żyłach. Gniew przezwyciężył rozsądek.

– Rozumiem – wycedziła, wpatrując się zwężonymi oczami w onieśmielającą postać po drugiej stronie stołu, tego samego stołu, na którym leżała pięć dni temu, podczas gdy on stał pomiędzy jej rozrzuconymi bezwstydnie nogami, podniecony i trawiony żądzą.

Zamrugała i odpędziła precz niepotrzebne wspomnienie.

– Skoro tak, będę musiała… – umilkła, lecz było już za późno. Spojrzała w obserwujące ją czujnie szare oczy.

– Będziesz musiała..?

Natychmiastowa reakcja Jacka oraz zwodniczo miękki ton jego głosu

zaalarmowały Kit. Lecz była zdesperowana. Zadarła do góry brodę, wojowniczością pokrywając niepokój.

– Będę musiała zrobić, co tylko będę mogła, abyś nie został schwytany.

Opanowując strach, poprawiła szal. Pora się zbierać.

Jack poczuł, jak ogarnia go chłodny spokój, nie pozostawiając miejsca na emocje. Nie dał się nabrać i od razu zrozumiał, co Kit miała na myśli. – Chciałaś powiedzieć, że będziesz musiała donieść o naszej działalności władzom.

Kit uniosła głowę tak szybko, że prawda nadal wyzierała jej z oczu. Cisza zawisła pomiędzy nimi, a milczenie Kit potwierdziło przypuszczenia Jacka skuteczniej, niż gdyby się przyznała.

Uświadomiła sobie, że wpakowała się w pułapkę. Poczerwieniała. Zaprzeczanie na nic by się nie zdało, spróbowała więc innej taktyki.

– Jeśli nadal będziesz przemycał szpiegów, nie pozostawisz mi wyboru.

– I kogo planujesz przekonać, Spencera? – zapytał Jack, przesuwając się niepostrzeżenie wokół stołu.

Kit, skupiona na jego słowach, wzruszyła ramionami, unosząc brwi.

– Być może. A może zwrócę się do lorda Hendona. W końcu zajmowanie się takimi sprawami należy do jego obowiązków.

Spojrzała na Jacka i przekonała się, że jest już po tej stronie stołu i nadal się zbliża. Serce podeszło jej do gardła. Przypomniała sobie, jak zaskoczył ją na tarasie Marchmont Hall. Już wtedy nie doceniła szybkości, z jaką się poruszał. Cofnęła się czym prędzej, wpatrując się w oczy kochanka. W ich szarej głębi, która nie miała teraz w sobie nic srebrzystego, odczytała jego intencje.

– Co ty wyprawiasz? – spytała zirytowana. Jakie to do niego podobne, sprowadzić wszystko do seksu.

Jack, choć tak doświadczony, nie mógł się powstrzymać, by nie podziwiać stanowczości Kit, mimo iż zdawał sobie sprawę, jakie stanowi zagrożenie. Upewniwszy się, że w razie potrzeby dotrze do drzwi szybciej niż ona, zatrzymał się o dwa metry przed Kit i napotkał spojrzenie jej ametystowych oczu.

– Obawiam się, kochanie, że nie będziesz mogła teraz stąd wyjść. Nie po tym, co sobie powiedzieliśmy.

Wspomniał, co dla niej zaplanował, i na jego wargach pojawił się mimowolny uśmiech.

– Chyba zdajesz sobie sprawę, że nie mogę dopuścić, byś pobiegła do lorda Hendona?

Niech Bóg ma go w opiece, gdyby to zrobiła!

Kit oceniła odległość pomiędzy nimi i uznała, że jest dostateczna. Pomimo tego, co powiedział, ton jego głosu ani też postawa nie zdradzały groźby.

– A jak chcesz mnie powstrzymać? Czy nie byłoby prościej zaprzestać

przemycania szpiegów?

Potrząsnął zdecydowanie połyskującą złotem głową.

– Uważam – powiedział – że najlepiej będzie, jeśli zatrzymam cię tutaj.

– Nie zostanę dobrowolnie, a ty śpisz jak zabity.

Jack uniósł brwi, lecz nie próbował zaprzeczać.

– Zostaniesz, jeśli przywiążę ci ręce do wezgłowia łóżka. – Widząc, że Kit spogląda na niego otwartymi szeroko ze zgrozy oczami, dodał: – Pamiętasz, już raz leżałaś tutaj ze związanymi rękami? Tym razem będziesz leżała na plecach na środku mojego łóżka.

Kit poczuła jak mimo woli budzi się w niej pożądanie. Starała się je zignorować. Zamrugała, aby odpędzić obrazy, przywołane jego słowami, ochrypłym tonem jego głosu.

– Jeśli zniknę, zrobi się zamieszanie. Będą mnie szukać.

– Być może, ale zapewniam cię, że nie będą szukać tutaj.

Nagle Kit zrozumiała. Prawda uderzyła ją niczym obuchem. Niepowiązane dotąd ze sobą fakty ułożyły się we właściwym porządku. Spojrzała na Jacka.

– Jesteś w zmowie z lordem Hendonem.

Odcień zdumienia, a zarazem pewności, obecny w jej głosie, powstrzymał Jacka. Przeszył go dreszcz oczekiwania. Była tak blisko prawdy. Czy odgadnie resztę? A jeśli tak, co sobie pomyśli?

Teraz to on się spóźnił. Zamiast zaprzeczać, wzruszył więc ramionami. – A jeśli nawet? Nie ma powodu, byś traciła czas, zastanawiając się nad tym. Mam dla ciebie inne, o wiele pilniejsze zajęcie.

I wygłosiwszy tę deklarację intencji, postąpił o krok w przód.

Kit cofnęła się z oczami rozszerzonymi strachem. On jest szalony. Już przedtem nieraz odnosiła takie wrażenie.

– Jack!

Lecz on nie zwrócił uwagi na wypowiedziane władczym tonem ostrzeżenie.

Kit zaczerpnęła oddechu, a potem rzuciła się do wyjścia.

Nie zdążyła zrobić nawet dwóch kroków, kiedy poczuła na policzku podmuch powietrza. Krzyknęła i odskoczyła od drzwi. Jack przemknął obok niej i uderzył barkiem w drewniane płyciny. Kit usłyszała szczęk zamykanej zasuwy.

Przerażona rozejrzała się rozpaczliwie po pokoju i zobaczyła szpadę Jacka opartą o szafę. Z bijącym dziko sercem chwyciła ją i odwróciła się, wyciągając z pochwy błyszczące ostrze. Sprezentowała broń, zataczając łuk śmiertelnie niebezpieczną, srebrzystą klingą.

Jack zamarł, dobrze poza zasięgiem ciosu. I zaklął w duchu. To Matthew znalazł szpadę, wetkniętą w kąt szafy. Zabrał ją, oczyścił i naostrzył. I najwidoczniej zostawił w przekonaniu, że jego pan powinien jej używać.

Tymczasem jego pan, w pełni zmysłów, żałował teraz, że szpady, którą nosił

przez dziesięć albo i więcej lat, diabli nie wzięli. Gdyby miał do czynienia z inną kobietą, po prostu podszedłby do niej i spokojnie odebrał broń. Lecz Kit, choć musiała użyć obu rąk, aby utrzymać szpadę, z pewnością nie zawahałaby się jej użyć. Nie wierzył ani przez chwilę, że chciałaby go nią przeszyć, lecz zanim sama doszłaby do tego wniosku, mogłaby nie mieć dość sił, aby powstrzymać raz wymierzony cios. Być może nie zabiłaby Jacka, lecz z pewnością mogłaby poważnie go zranić. Albo, co gorsza, zranić siebie.

Myśl ta sprawiła, że Jack zaczął poruszać się ostrożniej. Nie odrywając wzroku od Kit, próbował przelać nieco spokoju w strwożone fiołkowe oczy. Nie wiedział, czy Kit naprawdę wpadła w panikę, ale nie sądził, by zgodziła się odłożyć szpadę. Nie po tym, jak usłyszała, czym jej zagroził. Powoli okrążył łóżko, oddalając się od niej. Kit, zaintrygowana, śledziła spojrzeniem każdy jego ruch.

Wiedziała, że oddycha zbyt szybko. Próbowała opanować panikę, ale nie była już niczego pewna. Zmarszczyła brwi, kiedy Jack zatrzymał się po drugiej stronie łóżka. Co on knuje? Nie zdążyłaby dobiec do drzwi, Jack był na to zbyt szybki. Stała zwrócona plecami do rogu pokoju. Jack zadziałał tak szybko, że Kit ledwie to spostrzegła. W jednej chwili stał spokojnie, z rozstawionymi stopami i dłońmi zwisającymi swobodnie po bokach, a w następnej chwycił kołdrę i narzucił ją na ostrze, pociągając Kit na łóżko, by odebrać jej szpadę. Kit krzyknęła, słysząc, jak broń uderza o podłogę gdzieś poza zasięgiem jej rąk. Ramiona Jacka zamknęły się wokół niej, lecz uścisk ten wydał jej się, nie wiedzieć czemu, opiekuńczy.

Walka nie zdałaby się na nic. Leżała przyciśnięta do materaca ciężarem ciała Jacka. Wylądował na niej, wypierając powietrze z płuc. Posłużył się ciałem, by zdusić jej opór, więżąc jej nogi pomiędzy swoimi, przyciskając ją biodrami i przytrzymując głowę. Kit, wciśnięta w pościel i na wpół uduszona, musiała poczekać, aż Jack zmieni pozycję. Dopiero wtedy mogła otworzyć usta, by natrzeć mu uszu. Jednak z jej ust nie dobył się żaden dźwięk. Zamiast tego wargi Jacka odnalazły jej usta i jego język wypełnił pustkę wzbierającym żarem i wonią brandy.

Mięśnie zaczęły odmawiać Kit posłuszeństwa. Leżała spokojnie, odurzona pocałunkami. Nagle przypomniała sobie, czym zagroził jej Jack. Nie mogła dopuścić, aby przywiązał ją do łóżka. Zebrała siły do ostatniej próby. Wiedziała, że będzie miała tylko jedną szansę.

Przez dłuższą chwilę unosiła się na fali, a potem, bez ostrzeżenia, napięła mięśnie i spróbowała zepchnąć go z siebie.

Gwałtowność jej ataku zaskoczyła Jacka. Lecz, zamiast stłumić opór, po prostu wciskając ją mocniej w materac, postanowił przetoczyć się wraz z nią. W pozycji, w jakiej znajdował się przed atakiem, nie był w stanie dosięgnąć owej szczególnie wrażliwej strefy w dolnej części jej pośladków, więc

odwrócenie pozycji wydało mu się dobrym pomysłem. Przetoczył się na plecy, pociągając Kit za sobą. I uderzając głową o krawędź łóżka, ukrytą pod zmiętoszoną pościelą.

Kit natychmiast zorientowała się, że Jack stracił przytomność. Jego usta znieruchomiały, a palce wysunęły się spomiędzy jej włosów. Spojrzała na twarz kochanka, dziwnie wypraną z emocji, rozluźnioną i przepełnioną spokojem. W panice zsunęła się z niego, po czym położyła mu dłoń na piersi i odetchnęła z ulgą, czując, że jego serce bije równo i mocno. Zaintrygowana, wsunęła dłoń pod pościel i wymacała zaokrągloną krawędź łóżka. Zaspokoiwszy ciekawość, ułożyła nieprzytomnego mężczyznę wygodnie na materacu i podłożyła mu pod głowę poduszkę.

A potem usiadła i się zamyśliła. Jak długo Jack pozostanie nieprzytomny? Był silnym, twardym mężczyzną, więc pewnie niedługo. Co oznaczało, iż należy przeprowadzić taktyczny odwrót. Bardzo się starała go nakłonić, by się opamiętał, lecz to, co powiedział i co zrobił, przekonało ją, że nie ma innego wyjścia: musi zacząć działać.

* * *

Słońce późnego popołudnia wpadało przez otwarte drzwi chaty, połyskując na pozłacanych brzegach kart, którymi bawił się Jack. Długimi palcami poskładał talię, lecz szybko znów ją rozrzucił.

Skrzywił się. Łatwo jest radzić innym, by się odprężyli przy stawianiu pasjansa. Jemu to jakoś nie pomagało. Jednak, pomimo iż jego żywiołowa natura buntowała się przeciwko bezczynności, i tak niewiele było do zrobienia. Gdy ocknął się w środku nocy, leżąc samotnie w łóżku, z potłuczoną głową, w pierwszej chwili pomyślał, że to Kit go ogłuszyła. Lecz szybko przypomniał sobie, jak wyglądały ostatnie chwile, nim stracił przytomność i odgadł prawdę. Niewielka pociecha. Kit oznajmiła przecież, i to stanowczo, że zamierza napytać mu biedy.

Irytacja znów dała o sobie znać. Otrząsnął się z zadumy i spojrzał na karty.

Co ona zrobi? Nie czuł się na siłach, by to przewidzieć, tym bardziej że ciągle nie domyślał się, dlaczego Kit tak bardzo sprzeciwia się przemycaniu szpiegów. Zagroziła, że pójdzie do lorda Hendona. Rozważywszy wszystkie „za” i „przeciw”, Jack udał się więc rankiem do domu i wydał swemu kamerdynerowi, Lovisowi, szczegółowe polecenia. Na szczęście Lovis znał go na tyle dobrze, by nie okazać nawet śladu zdziwienia. Jackowi pozostało już tylko mieć nadzieję, iż żadna inna rudowłosa kobieta nie przybędzie niezapowiedziana do lorda Hendona.

Wiedziony narastającym niepokojem, pojechał do Hunstanton i starannie przepytał Tonkina. Jego polecenia powinny były zostać zrozumiane

i wykonane bez zastrzeżeń, lecz tymczasem zainteresowanie Tonkina „wielką szajką” nabrało znamion obsesji. Wprawdzie Jack wydał odpowiednie rozkazy, jednak zupełnie nie ufał staremu brutalowi. Podejrzewał, że Tonkin nie ufa z kolei jemu. Facet nie był głupi, jedynie niekompetentny i przyzwyczajony siłą wymuszać posłuszeństwo. Jack wyjechał z Hunstanton bardziej zdenerwowany, niż był przedtem.

Uczucie, które ostatnio zadomowiło się w jego trzewiach, było mu aż nadto znajome. Lata wojaczki, które spędził zarówno jako żołnierz, jak i tajny agent, sprawiły, że wykształciła się w nim swego rodzaju czujność, wyostrzony szósty zmysł, który ostrzegał go o niebezpieczeństwie. Z uszami wypełnionymi jednostajnym stukotem podków Championa skierował się ku chacie, spoglądając na horyzont, gdzie zaczęły się już zbierać burzowe chmury. Wiedział, że wkrótce rozszaleje się nawałnica, obracając wniwecz jego starannie obmyślony plan. Choć wobec sił natury czuł się zupełnie bezradny, przywykł stawiać czoło wyzwaniom i dawno temu wykształcił w sobie umysłową i fizyczną dyscyplinę, która pomagała mu przetrwać każdą burzę.

Jednakże fakt, iż Kit tkwi po uszy w niebezpieczeństwie, sprawił, że ledwie utrzymywał nerwy na wodzy. Teoretycznie powinien był do tej pory podjąć jakieś kroki, by zażegnać zagrożenie, jakie stanowiła dla jego misji i dla samej siebie. W rzeczywistości nie bardzo wiedział, co mógłby zrobić, nie narażając swojej misji. Zmuszony spędzić kilka bezczynnych godzin w oczekiwaniu na wieczorne spotkanie na plaży, poświęcił je na rozważanie rozmaitych możliwości. Jedyną, która mogła okazać się skuteczną, było porwanie. Będzie musiał uważać, by nie zobaczył go nikt z Cranmer Hall, lecz mógłby przetrzymać Kit w chacie przez jakiś tydzień, dopóki nie ucichnie wrzawa. Potem zaś, jeśli misja się przedłuży, co było bardziej niż prawdopodobne, przeniesie Kit do zamku. Tam im obojgu będzie wygodnie. I będą bezpieczni. Kit zostanie jego więźniarką, lecz po pierwszym napadzie furii, który niechybnie nastąpi, zapewne nie będzie zbyt mocno oponowała. Już on się postara, by miała czym się zająć.

Pomysł, by spokojnie spędzać z nią czas, poznać ją i dowiedzieć się, skąd się wzięły jej mocne przekonania, wydał mu się nagle niezwykle kuszący. Jack zapomniał o kartach, zaabsorbowany niespodziewaną wizją przyszłości, której do tej pory nie uważał za atrakcyjną. Kobiety, jak mocno wierzył, miały w życiu do spełnienia tylko jedną rolę: zaspokajać życzenia swoich mężczyzn. Żona arystokraty – jego, na przykład – powinna rodzić mu dzieci, zajmować się gospodarstwem, pełnić rolę pani domu i wspierać męża w dążeniu do zachowania pozycji społecznej. Poza tym zajmowałaby w jego myślach mniej więcej tyle miejsca co Lovis czy Matthew. Liczne kochanki Jacka miały tylko jedno zadanie: być zawsze do dyspozycji. Większość czasu spędzały

w sypialni, leżąc na plecach i dogadzając mu. O ile potrafił sobie teraz przypomnieć, komunikował się z nimi jedynie za pomocą specyficznego języka, złożonego z jęków, westchnień i cichych okrzyków. Nie interesowało go, co myślą. Na żaden temat.

Przerzucając z roztargnioną miną karty, wpatrywał się przed siebie niewidzącym wzrokiem. Im dłużej o tym myślał, tym bardziej był przekonany, że porwanie Kit to doskonały pomysł. Po dzisiejszej nocy, jeśli oboje przetrwają nadchodzącą burzę, zacznie działać.

Spencerowi, oczywiście, trzeba będzie o wszystkim powiedzieć. Nie mógłby wykraść staremu człowiekowi wnuczki – najwyraźniej kochanej – i pozwolić mu niepotrzebnie ją opłakiwać. Pociągnie to za sobą złamanie jednej z żelaznych zasad Jacka, który nigdy, nawet jako dziecko, nie mówił ludziom więcej, niż potrzebowali wiedzieć. Ten nawyk dobrze mu się przysłużył na przestrzeni lat. Nie mógł jednak brać na swoje sumienie Spencera. Nie mógł też pozwolić Kit nadal zajmować się tą niebezpieczną krucjatą.

Na myśl o rudowłosej hurysie natychmiast spochmurniał. Nie marzył o tym, żeby czuć do niej to, co czuł, ale nie miało sensu zaprzeczać. Kit była kimś znacznie więcej niż tylko ostatnią pozycją na długiej liście jego kochanek; zależało mu na niej tak, jak nie zależało na nikim do tej pory. Gdy tylko zamknie ją bezpiecznie w chacie, wbije jej do rudej głowy, że musi zmienić swoje postępowanie. Koniec z niebezpiecznymi eskapadami.

Czy Kit okaże się niemądra i spróbuje nakłonić jego ludzi, by wystąpili przeciw niemu? Wzdrygnął się. Nie ma potrzeby martwić się tym przedwcześnie. Zatrzasnąwszy w myślach drzwi do swej prywatnej izby tortur, z rozmysłem przetasował karty.

Po dziesięciu minutach spokój słonecznego popołudnia zakłócił zbliżający się od wschodu tętent. Jack uniósł głowę. Zarówno jednostajny stukot kopyt, jak kierunek wskazywały, że to George przybywa wcześniej na spotkanie. Błysk smukłego kasztanowego grzbietu pomiędzy drzewami sprawił, że Jack uśmiechnął się leciutko. Musi oderwać myśli od Kit, więc z rozmowa z George'em dobrze mu zrobi.

Jednak gdy George pojawił się w drzwiach, na jego twarzy malował się wyraz niesmaku i dezaprobaty.

Powitalny uśmiech zamarł Jackowi na ustach. Uniósł brwi.

George zatrzymał się przed stołem i wbił wzrok w szare oczy Jacka. A potem dostrzegł baryłkę na kredensie. – Zostało jeszcze coś w środku?

Jack chrząknął, po czym wstał i sięgnął po szklaneczkę. Po chwili wahania wziął drugą szklaneczkę dla siebie i napełnił obie do połowy. Czy burza właśnie się zaczyna? – pomyślał.

George przyciągnął sobie do stołu krzesło i opadł na nie.

Jack postawił przed nim brandy i usiadł na swoim miejscu. – I cóż? Lepiej

powiedz, nim zjawi się tu Matthew.

George pociągnął łyk alkoholu i spojrzał na otwarte drzwi. Wstał, zamknął je, a potem wrócił do stołu. Odstawił szklaneczkę, ale nie usiadł. – Wybrałem się dziś odwiedzić Amy.

Zamilkł i patrzył przed siebie z nieprzytomną miną. Jack nie potrafił się oprzeć.

– I co, chce odwołać ślub?

George poczerwieniał i zmarszczył brwi. – Oczywiście, że nie! Na miłość boską, bądź rozsądny. To poważna sprawa. – Jack posłusznie spoważniał. George skrzywił się, lecz mówił dalej: – Gdy wyjeżdżałem, wdałem się w pogawędkę z Jeffriesem, stajennym Greshamów. Ten człowiek to istna kopalnia wiedzy na temat koni.

Jack poczuł, że coś ściska go w żołądku, lecz zachował obojętną minę.

George patrzył teraz całkiem przytomnie. – Rozmawialiśmy o rodowodach koni w okolicy. Wspomniał o arabskiej klaczy, wymuskanej i czystej krwi. Powiedział też, że koń należy do przyjaciółki Amy.

– Przyjaciółki Amy?

Jack zamrugał i zasłona opadła. Wiedział już, co nastąpi. Sam mógł się tego domyślić. W zachowaniu Kit dało się zauważyć wystarczająco dużo niekonsekwencji. Gdyby tak bardzo jej nie pożądał, na pewno już dawno by ją zdemaskował. Przyszło mu na myśl, że w głębi duszy doskonale wiedział, kim jest Kit, tylko nie chciał stawić czoła prawdzie, jednak natychmiast wyparł to ze świadomości.

– Serdecznej przyjaciółki – potwierdził George z głęboką dezaprobatą w głosie. – Panny Kathryn Cranmer. Dla przyjaciół i rodziny: Kit Cranmer. – George opadł na krzesło. – To córka Christophera Cranmera, wnuczka Spencera. Jego prawowita wnuczka – dodał, wpatrując się w twarz Jacka.

Prawowita wnuczka Spencera. Myśl ta sprawiła, że Jackowi niemal zakręciło się w głowie. Nad niedowierzaniem i szokiem szybko zapanowało przemożne pragnienie, aby pochwycić Kit i mocno nią potrząsnąć. Jak śmiała podejmować tak skandaliczne ryzyko! Najwidoczniej Spencer nie potrafił zmusić jej do posłuszeństwa. Jack postanowił, że dopilnuje, by rudowłosa hurysa w bryczesach uświadomiła sobie ogrom swych win. Nie żeby miała okazję jeszcze kiedykolwiek włożyć bryczesy. Będzie musiała się nauczyć, i to szybko, jak dbać o siebie i swoją reputację. On zaś jako lord Hendon będzie miał wszelkie prawo upewnić się, że przyszła lady Hendon jest bezpieczna.

Ponieważ do tego sprowadzały się tak naprawdę rewelacje George’a. Jako panna Kathryn Cranmer Kit była jak najbardziej odpowiednią kandydatką na wakujące stanowisko lady Hendon. A zważywszy, czym się ostatnio zajmowali, nie było możliwości, by pozwolił jej wyśliznąć się z sieci. Teraz miał ją tam, gdzie chciał, i to nie tylko pod jednym względem. Porozmawia

jutro ze Spencerem i razem ustalą przyszłość pewnej rudowłosej hurysy.

Uśmiechnął się na samą myśl o tym.

George dostrzegł ten uśmiech i westchnął ciężko.

– Sądząc po wniebowziętym wyrazie twojej twarzy, sprawy pomiędzy tobą a Kit zaszły o wiele dalej, niżbym sobie życzył?

Jack uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Chryste! – George przeczesał palcami ciemne włosy. – Przestań tak się uśmiechać i powiedz, co zamierzasz z tym zrobić?

Jack zamrugał i jego uśmiech znikł. – Nie bądź głupi. Ożenię się z tą przeklętą kobietą, to oczywiste.

George wpatrywał się w niego, zbyt zdumiony, by się odezwać.

Jack stłumił irytację wywołaną faktem, że George mógł rozważać jakąkolwiek inną możliwość. Że sądził, iż Jack mógłby ją rozważać. To wszystko wina Kit. Kobieta paradująca po okolicy w bryczesach stawała się zwierzyną łowną. Dobrze, że tylko George wie, kim jest Kit. Nagle uderzyła go pewna myśl.

– Kiedy domyśliłeś się, że Kit to kobieta?

George zamrugał, a potem wzruszył ramionami. – Mniej więcej tydzień temu.

– Co ją zdradziło? – zapytał Jack, zaciekawiony.

On sam uważał, że Kit dobrze udaje młodzieńca.

– Głównie ty – odparł George nieobecnym tonem.

– Co to znaczy: ja?

Gniewny ton Jacka otrzeźwił George'a. Błysnął uśmiechem i powiedział: – Sposób, w jaki zachowywałeś się w jej obecności, prowadził tylko do jednego wniosku. Nie wiem, jak przemytnicy, lecz ja i Matthew znamy cię wystarczająco dobrze, by zauważyć różnicę.

– Hm! – chrząknął Jack, pociągając solidny łyk brandy. Czy wszyscy wiedzieli? Teraz, kiedy dowiedział się, kim jest Kit, oceniał jej zachowanie o wiele bardziej krytycznie. Nie był też pewny, czy podoba mu się, że miała wystarczająco silne nerwy, by sprostać takiemu ryzyku. Nie wróżyło to dobrze spokojowi ich małżeńskiego pożycia.

Podniósł wzrok i przekonał się, że cienie są już dłuższe. Mieli spotkać się na plaży tuż po zapadnięciu zmroku. Miał nadzieję, że Kit się pokaże. Teraz, kiedy już wiedział, jak cenny stanowi łup, tym bardziej pragnął, by była bezpieczna. Nie zdecydował jeszcze, jak zaaranżuje powrót Kit do Cranmer i co powie Spencerowi. Lecz bardzo chciał, aby została z nim tej nocy.

Pragnął uspokoić ją, przeprosić, oświadczyć się i kochać do świtu.

Reszta nie zależała już od niego; pozostawi bieg spraw w rękach bogów.

Rozdział 21

Gdy Kit dotarła na brzeg, skały klifu smagał chłodny, północno-wschodni wiatr. Ciemne chmury przesłaniały księżyc. W jego nikłym świetle zobaczyła, że przemytnicy rozładowują już łodzie. Kuce czekały w szeregu na plaży. Przypływ był tej nocy wysoki, a fale załamywały się z hukiem. Po chwili zaczął też padać lekki deszczyk.

Spojrzała w bok, starając się przebić wzrokiem wilgotne ciemności i zobaczyła przemytnika na czatach. Wdrapał się na pagórek, skąd roztaczał się dobry widok na okolicę. Nie zauważył Kit, gdyż nadjechała pod osłoną miotanych wiatrem drzew, jednak z pewnością nie przegapiłby całej grupy jeźdźców.

Kit spojrzała znowu na łodzie. Jack, wysoki i barczysty, przedzierał się przez fale, niosąc po baryłce pod każdą pachą. Widok ten nie przyniósł ulgi jej udręczonemu umysłowi.

Jak powinna postąpić? Ostatnia noc minęła jej na spieraniu się ze sobą i rozważaniu możliwości. W końcu wszystko sprowadzało się do jednego: musi rozstrzygnąć, czy naprawdę wierzy, że Jack bierze udział w szpiegowskiej grze. Odpowiedź, choć niepoparta niczym poza wewnętrznym przekonaniem, brzmiała: „nie”. A to znaczy, że będzie musiała porozmawiać z lordem Hendonem. To najbezpieczniejszy sposób.

Jack przyznał się, że królewski komisarz wie o jego roli w gangu, lecz prawdopodobnie oznacza to jedynie, iż sam kupuje szmuglowaną brandy. Kit miała nadzieję, że wpływowemu protektorowi powiedzie się tam, gdzie ona poniosła klęskę. Bez wątpienia lord Hendon zdoła wlać trochę rozumu do upartej głowy Jacka. Nie mogła uwierzyć, by przymykał oczy na przemycanie szpiegów. Była też pewna, że potrafi go przekonać, iż Jack nie jest zdrajcą i że po prostu zachował się nierozważnie.

Lecz lorda Hendona nie było w zamku. Gdy wreszcie zebrała się na odwagę i pojechała tam podczas popołudniowej przejażdżki, stajenny poinformował ją, że jego pan wyjechał wcześnie rano i nie wiadomo, kiedy wróci. Wróciła do Cranmer jeszcze bardziej zmartwiona niż przed wyjazdem. Będzie musiała szybko dotrzeć do lorda Hendona i porozmawiać z nim, inaczej opuści ją odwaga. Albo też Jack pochwyci ją i przywiąże do łóżka.

Groźba ta sprawiła, że Kit musiała wreszcie stawić czoło rzeczywistości. Zmagała się ze swoim sumieniem, od kiedy ich związek przekroczył granice przyzwoitości, lecz teraz brzemię winy wręcz ją przytłaczało. Pogrzebała ostatnią szansę, by zawrzeć odpowiednie małżeństwo, i choć nie martwiło jej to zbytnio, doskonale zdawała sobie sprawę, jak bardzo fakt ten zasmuciłby

Spencera, gdyby tylko się o nim dowiedział. Władza Jacka nad jej ciałem i zmysłami sięgała co prawda daleko, lecz Kit była zbyt mądra, by całkowicie się jej podporządkować. Wiedziała, że postępując tak, zmierzałaby prostą drogą do katastrofy.

Dlatego czekała tu dzisiaj, zdecydowana śledzić szpiega, którego Jack sprowadzi ze statku. Gdyby udało jej się odnaleźć następne ogniwo siatki, mogłaby poinformować o tym lorda Hendona, a wtedy podjęto by śledztwo właśnie w tym punkcie i nie byłoby potrzeby wspominać o Jacku i szajce z Hunstanton. Trzymać się prostej drogi i potępiać ludzi za to, że przemycają szpiegów to jedno, a zdradzać ludzi, których się zna, i skazywać ich na stryczek – to coś zupełnie innego. Nie była do tego zdolna.

Niektórym spośród przemytników nie ufała za grosz, jednak nie byli to ludzie z gruntu źli. Pod przywództwem niewłaściwego człowieka mogli dopuścić się złych czynów, lecz odkąd ich znała, zachowywali się rozsądnie, a nawet na swój sposób uczciwie. Nie zrobili nic, by zasłużyć na stryczek. Nic poza szmuglowaniem szpiegów.

Mżawka przeszła tymczasem w deszcz. Kropla wody wśliznęła się pod kapelusz i spłynęła powoli po szyi Kit. Poruszyła głową i spojrzała na zachód, w stronę Holme.

To, co zobaczyła, sprawiło, że zesztywniała w siodle. Delia, zaalarmowana, uniosła łeb i spojrzała na grupkę żołnierzy ze straży celnej, torujących sobie drogę wzdłuż klifu. Jeszcze sto metrów i będą mogli dostrzec, co dzieje się na plaży.

Zdusiwszy przekleństwo, spojrzała na przemytnika stojącego na czatach. Z pewnością musiał ich widzieć? Jakby w odpowiedzi, w miejscu gdzie ukrywał się przemytnik, błysnął płomień. Potem dał się słyszeć strzał, stłumiony przez ryk przyboju. Kit usłyszała go, lecz było oczywiste, że ani Jack, ani jego ludzie, ani też żołnierze niczego nie usłyszeli. Jedni i drudzy zachowywali się tak, jakby nie wiedzieli o sobie nawzajem.

– Och, Boże!

Kit zmusiła Delię, by przysiadła na tylnych nogach. Nie wiedziała, co robić. Nie było szans, by przemytnik, pełniący rolę czujki, zdążył zejść z klifu i na czas ostrzec kompanów. A to oznaczało, że Kit ma do wyboru tylko dwie możliwości: ostrzec gang albo siedzieć cicho i przyglądać się, jak zostaje unicestwiony.

Delia wyrwała się spod osłony drzew i ruszyła prosto ku miejscu, gdzie znajdowała się najbliższa ścieżka wiodąca w dół. Nie minęły sekundy, a były już na plaży, niemal unosząc się ponad piaskiem i mknąc ku mężczyznom przy łodziach.

*** * ***

Jack wziął od Noaha kolejną baryłkę i ruszył przez wodę ku plaży. Przypływ był tego wieczoru wysoki i piasek wirował mu wokół nóg. Fale opryskiwały podnóże klifu pióropuszami białej piany, a ryk przyboju zagłuszał wszelkie inne dźwięki. Lecz ponura mina Jacka nie była spowodowana warunkami zewnętrznymi. Martwił się o Kit.

Nawet George nie wiedział o tym, iż zagroziła, że ujawni działalność szajki. Informacja ta była dla niej zbyt niebezpieczna, by mógł podzielić się nią choćby z najlepszym przyjacielem. Jednak przeczucie, iż oto nadciąga burza, a ich los wkrótce się dopełni, z godziny na godzinę stawało się coraz bardziej intensywne. A on nie wiedział, gdzie jest Kit, a tym bardziej co robi.

Matthew wrócił z zamku, przynosząc niepokojące wieści. Kit była tam, lecz prześliznęła się przez oka jego sieci. Fakt, że jej postanowienie było na tyle stanowcze, iż próbowała zobaczyć się z lordem Hendonem, bardzo niepokoił Jacka. Czy zwróci się do kogoś innego, skoro nie udało jej się spotkać z królewskim komisarzem? Jack załadował baryłkę na kuca, żałując, że nie może pozbyć się ciężaru zmartwień równie łatwo jak beczułki.

Błysk czerni na skraju pola widzenia sprawił, że się odwrócił. Natychmiast rozpoznał Kit. I niemal w tej samej chwili zrozumiał, dlaczego tak gna. Nawałnica właśnie się zaczynała.

Wykrzyczał głośno komendę i jego ludzie zaczęli poruszać się dwa razy szybciej, umocowując ostatnie baryłki i wdrapując się na łodzie. Desperacka walka o to, by oczyścić plażę z ludzi i towaru, była już w toku, gdy Jack i George podbiegli ku miejscu, gdzie Kit musiała zahamować.

Kit dostrzegła, że na nią czekają. Jack stał z rękami opuszczonymi wzdłuż bioder, gotów pochwycić uzdę Delii i uspokoić zdenerwowaną klacz. Ściągnęła wodze i cofnęła się poza zasięg jego rąk.

Jack zaklął i ruszył ku niej.

Kit poderwała klacz, która stanęła na tylnych nogach, młócąc powietrze czarnymi kopytami. Gdy Jack się zatrzymał, Kit pozwoliła klaczy opaść na cztery nogi, lecz trzymała wodze krótko.

– Straż. Tylko sześciu. Mogą tu być w każdej chwili!

Musiała nieźle wytężyć głos, aby przekrzyczeć fale.

Jack skinął szybko głową. – Jedź na wschód!

Jeśli byłyby jakieś wątpliwości co do natury wykrzyczanego stanowczym tonem rozkazu, uniósł ramię, wskazując w kierunku Brancaster. Lecz Kit zdawała sobie sprawę, że przemytnicy nie zdołają na czas umknąć z plaży. Straż była zbyt blisko.

Wraz z porywem wiatru ich uszu dobiegł okrzyk. Jeźdźcy tłoczyli się na skraju klifu, ich konie ślizgały się na sypkim piasku.

Kit spojrzała na przemytników. Łodzie właśnie odpływały, a kuce były niemal gotowe do wymarszu. Matthew pobiegł, by przyprowadzić konie Jacka

i George’a. Jeszcze pięć minut i wszyscy będą bezpieczni. Popatrzyła na Jacka. Ich spojrzenia spotkały się i Jack wyczytał w oczach Kit decyzję. Sięgnął po wodze Delii, lecz Kit była szybsza. Ścisnęła obcasami boki klaczy, która skoczyła przed siebie. I popędziła. Na zachód.

– Chryste! – George podbiegł do Jacka, wpatrując się w malejącą postać Kit. – Nie da rady!

– Da – burknął z przekonaniem Jack. – Musi – dodał pod nosem.

Kit, która z tej odległości wyglądała jak czarna strzała, trzymała się skraju fal, możliwie daleko od podstawy klifu. Strażnicy spostrzegli ją i przystanęli. Kiedy stało się jasne, że jeździec zamierza ich wyminąć, poruszyli się niezdecydowanie, a potem, krzyknąwszy, aby się zatrzymała, ruszyli, by ją pochwycić. Nie docenili jednak szybkości Delii i poruszali się zbyt wolno. Kit przemknęła obok nich i pognała w kierunku Holme. Strażnicy ruszyli w pościg, klnąc i pokrzykując.

Jack zmełł w ustach przekleństwo, odwrócił się i zaczął wykrzykiwać rozkazy. Po chwili na plaży zostali już tylko on i George. Nie trwało to jednak długo. Wkrótce nadjechał Matthew, prowadząc wierzchowce. Jack wskoczył na siodło, wołając: – Będzie musiała skręcić w stronę lądu, zanim dojedzie do Holme. – Ścisnął obcasami boki wierzchowca i Champion skoczył do przodu.

Jack pochylił się nad szyją konia. Gnał przed siebie, czując, jak mocno bije mu serce, i starając się rozeznać w sytuacji. Czy Kit powiadomiła straż, a potem zmieniła zdanie?

Na myśl o tym poczuł ucisk w piersi. Pojawiły się wątpliwości, ale je zwalczył. Kit ściągnęła na siebie pościg i była w poważnym niebezpieczeństwie. Teraz skupi się więc na tym, by uratować jej jedwabistą skórę. Na pytania przyjdzie czas później.

Zmusił się, by myśleć jasno. Kit nie jest mistrzynią pościgu i ucieczki, ale Delia to najszybsza klacz po tej stronie kanału. Jednak Holme, ze swym skalistym cyplem, blokującym plażę, było tuż-tuż, a Kit nie mogła zgubić pościgu, nie zjeżdżając z plaży. Będzie musiała skręcić w głąb lądu, kierując się na pola lub w stronę zachodniego wybrzeża.

Deszcz przybrał na sile. Jack powitał z zadowoleniem ukłucia zimnych kropli na twarzy. Zaklął soczyście, czując, jak strach ściska mu żołądek i ścina krew. Straż miała nad nimi sporą przewagę. Widzieli już cypel, lecz plaża przed nimi była pusta. Jack podjechał do miejsca, skąd w górę klifu biegła dobrze widoczna ścieżka. W miejscu, gdzie się zwężała, piasek był mocno rozjeżdżony. Jack wyjął pistolet, dał znak George’owi i Matthew, a potem wjechał na ścieżkę. Na szczycie klifu nie było nikogo. Jack zsiadł z konia i zbadał grunt. George i Matthew minęli go szerokim łukiem.

– Tutaj – zawołał cicho George. – Wygląda, jakby był ich cały oddział.

Jack wskoczył na konia i podjechał, by przyjrzeć się fragmentowi drogi

prowadzącej na zachód. Gdy uniósł głowę, minę miał ponurą. Kit odciągnęła pościg najdalej, jak tylko się dało. Zmierzała ku plaży na północ od Hunstanton, jadąc po łachach białego piasku, na którym konie straży nie mogłyby doścignąć Delii. Bez wątpienia zamierzała wjechać na klif gdzieś pomiędzy Heacham lub Snettisham, a potem zniknąć pośród pól i zagajników Cranmer.

Był to dobry plan, o ile wzięło się pod uwagę wszystkie okoliczności. Jack, którego nie opuszczało przeczucie zbliżającej się katastrofy, modlił się w duchu, by tym razem, po raz pierwszy w życiu, zawiodła go zdolność przewidywania.

W milczeniu ścisnął obcasami boki Championa.

* * *

Daleko przed nimi, na białym piasku obmywanym falami Wash, Kit objęła szyję Delii, gnając z wiatrem w zawody. Gdy upewniła się, że straż chwyciła przynętę, zwolniła nieco, by pozostać w polu widzenia żołnierzy. Na szczycie klifu w pobliżu Holme musiała zwolnić jeszcze bardziej, obawiając się, że zniknie ścigającym z oczu. Niczym posłuszne szczeniaki podążyli za nią z nosami przy ziemi, pozwalając się zaprowadzić na plażę nad Hunstanton. Teraz byli już zbyt daleko od Brancaster, by mogli zagrozić Jackowi i jego ludziom. Pora zgubić pościg i wrócić do domu.

Delia gnała niestrudzenie. Kit spostrzegła, że wkrótce rozpoczynał się trakt prowadzący do Heacham. Zatrzymała Delię i spojrzała za siebie.

Ani śladu ścigających.

Odchyliła głowę i roześmiała się radośnie. Śmiech odbił się echem od klifu. Przestraszona zamilkła. Tu, w Wash, przybój był o wiele łagodniejszy niż na północnym wybrzeżu. Wszystko wydawało się tak niewiarygodnie ciche i spokojne. Przezwyciężając dreszcz lęku, skierowała Delię na trakt.

Niemal do niego dotarła, gdy nagle z ukrycia wyłoniła się grupa jeźdźców i ruszyła ku niej, w dół klifu. Był to drugi oddział straży. Oficerowie głośno coś wykrzykiwali, mimo to ledwie ich słyszała. Nagle ciemności nocy rozjaśnił błysk.

W lewym ramieniu poczuła przejmujący ból.

Delia cofnęła się. Instynktownie skierowała ją na południe. Klacz ruszyła galopem, wydłużając krok i szybko znalazła się poza zasięgiem strzału. Strażnicy rzucili się w pościg, krzycząc głośno.

Lecz Kit pozostawała głucha na ich wrzaski.

Przytuliła policzek do szyi klaczy i wczepiła się palcami w jej czarną grzywę, czując, jak chłoszcze ją po twarzy. Kopyta Delii zadudniły na piasku, unosząc Kit na południe.

* * *

Jack, George i Matthew natknęli się na grupkę straży na południe od Hunstanton. Żołnierze zaniechali już bezowocnego pościgu. Przez chwilę jeździli to tu, to tam, rozczarowani i niezadowoleni, a potem przegrupowali się i skierowali na trakt, prowadzący w górę klifu.

Jack, ukryty w cieniu stromego zbocza, odetchnął z ulgą.

Odgłos strzału odbił się groźnym echem nad wodą.

Jackowi krew zastygła w żyłach. Zaklął po cichu. Kit jest ranna, był tego pewien.

Żołnierze też usłyszeli strzał i zamiast skierować się w drogę powrotną, zawrócili i pognali cwałem po piasku. Gdy tylko oddalili się wystarczająco, Jack dał sygnał, by podążyć za nimi.

* * *

Tymczasem Kit jechała dalej, przezwyciężając słabość i białą mgłę bólu i starając się skupić na tym, co powinna zrobić. Palący ból w ramieniu pozbawiał ją sił. Jeśli zostanie na piasku, Delia będzie gnała przed siebie, dopóki Kit nie osunie się z siodła. Każdy krok klaczy sprawiał, że jej ramię przeszywały ukłucia bólu. Długo nie zdoła im się oprzeć. A wtedy dopadnie ją straż. Pomyślała o Spencerze i zacisnęła zęby. Musi jakoś wydostać się z plaży.

Jakby w odpowiedzi na bezgłośną modlitwę Kit, tuż przed nią pojawiła się wąska dróżka, prowadząca na klif Snettisham. Kit zaczerpnęła głęboko powietrza, zebrała siły i skierowała Delię na wąski trakt. Klacz zaczęła się wspinać, gdy tylko dostrzegła dróżkę.

Fala zimna i ciemności zamknęła się wokół Kit, lecz ją zwalczyła. Kierowała klaczą za pomocą rąk i kolan, wodze, bezużyteczne, wlokły się po ziemi. Zrobiła wszystko, co mogła, by skierować Delię ku kamieniołomom w Snettisham.

Gdzieś z tyłu ścigający głośno domagali się jej krwi, pokrzykując i zachęcając się wzajemnie.

Zimny całun mgły ponownie zamknął się wokół Kit. Objęła mocniej błyszczący kark Delii, przyciskając policzek do ciepłej, wilgotnej skóry. Odsunęła z twarzy szal, by łatwiej jej było oddychać. Lecz nawet to okazało się bolesne.

Z ciemności wyłoniło się wejście do kamieniołomu. Delia zwolniła posłusznie i Kit wjechała powoli do środka. Gdyby tylko mogła odpocząć i zebrać siły… do Cranmer było już stąd niedaleko.

Delia sama wybierała drogę pomiędzy głazami, a stukot jej kopyt tłumiła splątana trawa, zarastająca nieużywane ścieżki. Policzek Kit unosił się i opadał zgodnie z rytmem kroków klaczy. Wokół była tylko czerń: zimna i głęboka,

pusta i pozbawiona bólu. Czuła, jak zamyka się wokół niej. Skupiła wzrok na czarnej szyi klaczy. Czerń ruszyła ku niej i wypełniła wszystkie jej zmysły. Czerń. Nic, tylko czerń.

* * *

Scena, jaka w końcu ukazała się oczom Jacka, George'a i Matthew, była po prostu groteskowa. Oddział konny trzymał się plaży aż do traktu, prowadzącego do Heacham, a potem wjechał na szczyt klifu i podążył na południe. Ruszyli w milczeniu za żołnierzami. Hałas, dobiegający od szlaku, prowadzącego do Snettisham skłonił ich, by zawrócili i wjechali do wioski od innej strony, kryjąc się w ciemnościach.

W wiosce panował zamęt. Wieśniaków obudzono i wyciągnięto z łóżek, aby przeszukać ich domy. Duży oddział straży przeszukiwał obejścia.

Jack, George i Matthew przyglądali się temu z niedowierzaniem. Rzut oka wystarczył im, by przekonać się, że Delii i Kit tu nie ma. Jack, prychnąwszy z pogardą, ściągnął wodze Championa. Wycofali się do małego zagajnika, który od wioski dzieliło jeszcze pole.

George zatrzymał swego kasztana obok Championa.

– Musiała im się wymknąć.

Jack siedział nieruchomo, próbując w to uwierzyć i czekając, aż strach rozluźni uścisk wokół jego serca. W końcu westchnął: – Pewnie masz rację. Jedźcie do domu, a ja sprawdzę, czy Kit wróciła do Cranmer.

George potrząsnął głową.

– Nie, zostaniemy z tobą, dopóki wszystko się nie wyjaśni. Skąd będziesz wiedział, że wróciła do domu?

– Jest pewien sposób, by dostać się po cichu do stajni. Jeśli Delia tam jest, to znaczy, że Kit wróciła.

Wspomnienie tego, jak klacz trwała przy Kit, kiedy tamtego wieczoru zrzucił ją z siodła na plaży, dodało mu otuchy.

– Delia nie zostawi Kit.

George chrząknął i skierował konia w stronę Cranmer Hall.

Dotarcie do stajni nie nastręczyło problemów, nieco więcej czasu zajęło im sprawdzenie, czy znajduje się tam Delia. Po kilkunastu minutach Jack wrócił do przyjaciół czekających na zewnętrznym padoku. Jego ponura mina mówiła sama za siebie.

– Nie ma jej tam? – spytał George.

Jack potrząsnął głową.

– Myśli pan, że ją trafili? – To Matthew, jak zwykle ponury, ubrał ich myśli w słowa.

Jack zaczerpnął z trudem oddechu, a potem westchnął krótko. – Tak. Gdyby było inaczej, już by wróciła.

– Zgubiła ich w Snettisham, więc prawdopodobnie utknęła gdzieś pomiędzy Snettisham a domem.

George podskoczył, przestraszony, gdy Jack uderzył go w ramię.

– Masz rację! – syknął. – Kamieniołomy w Snettisham. Na pewno tam się ukryła.

Wskoczyli na siodła. George skrzywił się pod osłoną mroku. Kamieniołomy były olbrzymie, stare wyrobiska łączyły się z nowymi. Żaden z nich nie znał ich wystarczająco dobrze; Snettisham znajdowało się zbyt daleko od zamku Hendon, by mogło stanowić plac ich młodzieńczych zabaw. Inaczej sprawa miała się z Cranmerami: kamieniołomy znajdowały się niemal na progu ich posiadłości. Odnalezienie rannego przedstawiciela rodziny Cranmerów w kamieniołomach z pewnością zabrałoby mnóstwo czasu. Czasu, którego Kit, być może, nie miała.

Lecz George nie wziął pod uwagę Championa. Wrócili do Snettisham i przekonali się, że strażnicy odjechali, a we wsi panuje spokój. U wejścia do kamieniołomów Jack popuścił Championowi cugli. Ogier ruszył kłusem, zatrzymując się od czasu do czasu, by powęszyć. George nie mógł się nadziwić, że Jack wykazuje tyle cierpliwości, lecz kiedy spojrzał na jego twarz, przekonał się, że jest ściągnięta i ponura. Tak zmartwionego nie widział go jeszcze nigdy.

Champion poprowadził ich w głąb starych wyrobisk. Nagle rzucił się do przodu. Jack ściągnął wodze, powstrzymując go. Ześliznął się na ziemię i uspokoił konia, a potem dał znak przyjaciołom, by także zsiedli. Zaintrygowani posłuchali i usłyszeli dziwne mamrotanie, dobiegające zza najbliższego zakrętu.

Matthew wziął konie, skinąwszy głową, gdy Jack dał mu znak, aby uciszył Championa. George pośpieszył za Jackiem w kierunku, skąd dobiegał odgłos.

Jack, z pistoletem w dłoni, wysunął głowę z cienia skały i zerknął za zakręt. Blask księżyca oświetlił zgarbione ramiona sierżanta Tonkina, posuwającego się powoli do przodu, ze wzrokiem wbitym w ścieżkę. Jego wierzchowiec wlókł się z tyłu, nie wykazując oznak zainteresowania sytuacją.

– Przysiągłbym, że go trafiliśmy. Z pewnością się nie mylę. Musiał dostać przynajmniej w ramię.

Nadal mamrocząc, podążał dalej ścieżką. Nagle z boku pojawiła się pusta przestrzeń. Tonkin zatrzymał się, a potem skręcił i zniknął im z widoku.

Jack i George podążyli za nim ukradkiem.

Przed nimi znajdował się niewielki placyk. Widoczny na drugim jego końcu stary tunel wyglądał niczym czarne wrota piekieł. Przed nimi, czarna jak najczarniejszy cień, stała Delia. Głowę miała uniesioną, a uszy postawione. U stóp klaczy leżała jakaś postać, nieruchoma i milcząca.

– Wiedziałem! – zapiał radośnie Tonkin. Puścił wodze i rzucił się w przód.

Delia odskoczyła. Tonkin zamachał rękami, aby odpędzić spłoszone zwierzę. A potem chwycił stary trójgraniasty kapelusz i ściągnął go z głowy leżącej postaci.

W milczeniu wpatrywał się w oświetloną księżycowym blaskiem twarz otoczoną aureolą rudych loków.

– Do licha! – zawołał, po czym osunął się w nieświadomość, trafiony w tył czaszki ciosem wymierzonym kolbą pistoletu.

Jack zmełł w ustach przekleństwo, odsunął nieprzytomnego Tonkina i przykląkł obok Kit. Drżącymi palcami odszukał na jej szyi puls. Bił słabo, lecz równo. Jack odetchnął z ulgą. Przymknął na chwilę oczy, ale otworzył je, gdy George ukląkł po drugiej stronie Kit. Leżała na brzuchu. Z pomocą George'a odwrócił ją na plecy.

– Chryste! – zawołał George, blednąc. Przód koszuli Kit był cały czerwony. Z rany w ramieniu nadal obficie sączyła się krew.

Jack zacisnął zęby, zmagając się ze strachem, który zacisnął lodowate palce na jego sercu. Zachowując kamienną twarz, odsunął połę surduta Kit, przezwyciężając szok i starając się działać racjonalnie. Nieraz już opatrywał żołnierskie rany. Ta była poważna, lecz niekoniecznie śmiertelna. Jednak kula utkwiła głęboko w ciele dziewczyny.

Jack odwrócił się i zawołał Matthew.

– Jedź po doktora Thrushborne'a. Nie wiem, jak to zrobisz, lecz sprowadź go do Cranmer Hall najszybciej, jak się da.

Matthew chrząknął i wsiadł na konia.

Jack i George opatrzyli ranę, używając do tego celu oddartych rękawów swych koszul oraz chust na szyję. Kit i tak straciła zbyt wiele krwi.

– Co teraz? – zapytał George, kucając.

– Zabierzemy ją do Cranmer. Thrushborne'owi można zaufać.

Jack wstał i strzelił palcami, by przywołać Delię. Klacz zawahała się, ale w końcu podeszła.

– Będę musiał powiedzieć Spencerowi prawdę.

– Całą prawdę? – zapytał George, gramoląc się na nogi. – Czy to rozsądne?

Jack potarł pięścią czoło i zastanowił się. – Zapewne nie. Powiem mu tyle, ile będę musiał. Wystarczająco dużo, aby wyjaśnić to, co trzeba.

Przywiązał wodze Delii do siodła Championa.

– A co z Tonkinem? Zobaczył zbyt wiele.

Jack obrzucił nieruchome ciało sierżanta niechętnym spojrzeniem.

– Choć bardzo chciałbym usunąć go z powierzchni ziemi, jego zniknięcie wzbudziłoby zbyt wiele zainteresowania.

Zacisnął szczęki. – Będziemy musieli go przekonać, że się pomylił.

George nie odezwał się więcej; pochylił się i podniósł Kit.

Jack wskoczył na siodło, a potem wziął Kit z rąk George'a. Ostrożnie

przycisnął ją do piersi, opierając jej głowę na swoim ramieniu. Zmartwiony spojrzał na George'a. – Będę potrzebował twojej pomocy, by dotrzeć do Cranmer. A kiedy już tam się znajdziemy, zostaw mnie i jedź do domu. – Uśmiechnął się, lecz była to tylko kiepska parodia zwykłego junackiego uśmiechu kapitana Jacka. – Będę miał i tak wiele do wyjaśnienia, nie musisz i ty mi dokładać.

Rozdział 22

Dwie mile, dzielące ich od Cranmer, to były najdłuższe dwie mile, jakie Jack kiedykolwiek przebył. Kit nie odzyskała przytomności i tak pewnie było lepiej. To, że została poważnie ranna, było już wystarczająco okropne. Dobrze, że nie musiał patrzeć, jak zmaga się z bólem. Poczucie winy narastało w Jacku z każdą chwilą. Rozpaczliwie martwił się o Kit. Strach nie pozwalał mu normalnie myśleć, zaćmiewając umysł i rozsądek.

Teraz wiedział przynajmniej, że ich nie zdradziła. Gdyby Tonkinowi doniesiono, że jego „wielka szajka" będzie dziś przejmowała towar, wszyscy żołnierze straży celnej znaleźliby się tej nocy na północnych plażach. Zamiast tego Tonkin wysłał jedynie mały patrol, by sprawdził podejrzany obszar. Żołnierze mieli po prostu szczęście.

Z ciemności wyłoniło się Cranmer Hall. Dom Kit drzemał pośród ciemnych ogrodów, spokojny i bezpieczny. Jack zatrzymał się przed frontowymi schodami. Zsunął się z siodła, trzymając Kit w ramionach. George przywiązał swego kasztana do krzaka przy podjeździe, a potem chwycił wodze Championa.

– Kiedy już znajdę się w środku, zabierz go do stajni z tyłu domu.

George skinął głową i odprowadził siwka.

Jack wszedł na schody i zaczekał przed ciężkimi dębowymi drzwiami, aż George do niego dołączy. Gdy tak się stało, z kamienną twarzą wskazał głową wielką mosiężną kołatkę i powiedział: – Obudź ich.

George skrzywił się, ale posłuchał. Usłyszeli szelest biegnących stóp. Odsunięto rygle i ciężkie drzwi otworzyły się do środka. George zniknął w mroku u stóp schodów. Jack śmiało przekroczył próg.

– Wasza pani miała wypadek – powiedział, przyglądając się czterem zaszokowanym twarzom i starając się odgadnąć, który z mężczyzn może być kamerdynerem Cranmera.

– Jestem lord Hendon. Proszę obudzić lorda Cranmera. Natychmiast. Powiedzcie mu, że jego wnuczka została ranna. Wszystko wyjaśnię, gdy tylko zaniosę ją na górę. Gdzie jest jej pokój?

Mówiąc to, zmierzał już śmiało ku schodom. U podnóża zatrzymał się i odwrócił, unosząc brwi w geście zniecierpliwienia i modląc się w duchu, by kamerdyner zachował się, jak przystoi jego profesji, i nie wpadł w panikę.

Jenkins sprostał wyzwaniu.

– Tak, milordzie – powiedział, westchnąwszy głęboko. – Ten oto tu Henry wskaże panu, gdzie znajduje się pokój panny Kathryn. Przyślę tam natychmiast jej pokojówkę.

Jack skinął głową, zadowolony, że nie będzie musiał radzić sobie z roztrzęsioną służbą.

– Posłałem swojego człowieka po doktora Thrushborne'a. Wkrótce powinni tu być.

Wszedł na schody, poprzedzany przez Henry'ego, niosącego kandelabr.

Jenkins poszedł za nimi.

– Doskonale, milordzie. Wyślę kogoś, by ich wyglądał. I zaraz poinformuję o wszystkim lorda Cranmera.

Jack skinął głową i ruszył za Henrym ciemnym korytarzem prowadzącym w głąb jednego ze skrzydeł budynku. Lokaj zatrzymał się przy ostatnich drzwiach i otworzył je na oścież.

Jack, zmartwiony tym, że Kit ma na sobie zimne i wilgotne ubranie, spojrzał na kominek.

– Rozpal ogień. Najszybciej, jak potrafisz.

– Tak, milordzie – odparł Henry i zajął się kominkiem.

Jack podszedł do łóżka z czterema słupkami. Ukląkł na białej kapie i delikatnie ułożył na niej Kit, ostrożnie wyciągając spod niej ramiona. Podłożył jej pod głowę poduszkę i podsunął pod zranione ramię zagłówek.

Odsunął się od łóżka, próbując opanować strach.

Był przecież na wojnie. Dwa razy o mało nie zginął. Jednak otępiający lęk, który ściskał teraz jego serce, przechodził wszystko, czego kiedykolwiek doświadczył. Nie dopuszczał do siebie myśli, że Kit może nie przeżyć. Była to możliwość, z którą nie potrafiłby się pogodzić. Wstrzymując oddech, zmagał się ze sobą, próbując skupić myśli na chwili bieżącej, na tym, co było jeszcze do zrobienia. Najbliższe godziny okażą się krytyczne. Kit musi przeżyć. Trzeba też będzie ochronić ją przed konsekwencjami własnych działań. Wszystko w swoim czasie. Na razie trzeba zdjąć z niej mokre ubranie.

Odwrócił się, by sprawdzić, jak sobie radzi Henry. Ogień płonął już na palenisku, oświetlając pokój i napełniając go ciepłem.

– Dobrze. Teraz idź i potrząśnij nieco pokojówką.

– Elminą? – spytał Henry, spoglądając na Jacka szeroko otwartymi oczami.

Jack zmarszczył brwi.

– Pokojówką panny Kathryn.

Odprawił Henry'ego skinieniem głowy, zastanawiając się przelotnie, co też jest nie tak z Elminą.

Henry skinął głową i wyszedł posłusznie, choć minę miał nietęgą.

Jack przez chwilę przechadzał się przed kominkiem, rozcierając zdrętwiałe ramiona. Jednak Elmina nie pojawiła się. Zaklął i podszedł do łóżka. Ostrożnie zdjął opatrunek. Rana przestała już krwawić, zabrał się więc do zdejmowania mokrych ubrań. Nie było to łatwe zadanie.

Zdjął Kit surdut i właśnie próbował rozwiązać troczki koszuli, kiedy drzwi

za nim otwarły się, a potem zamknęły. Usłyszał zbliżające się kroki i szelest spódnic.

– *Mon Dieu! Ma pauvre petite! Qu'est-ce qui s'est passé?*

Jack zamrugał, przytłoczony zalewem francuszczyzny, który nastąpił po tym wstępie. Spojrzał na drobną ciemnowłosą kobietę, która pojawiła się po drugiej stronie łóżka i pochyliła nad Kit, kładąc dłoń na jej czole. Nagle zauważyła, co robi Jack, i trzepnęła go z furią po dłoniach.

Jack cofnął się zaskoczony gwałtownym atakiem i następującą po nim, równie gwałtowną, przemową. Spojrzał na koniec łóżka, gdzie stały jeszcze dwie pokojówki. Po ich niepewnych minach zorientował się, że nie rozumieją po francusku. Babsztyl, prawdopodobnie Elmina, tracił cenny czas, załamując słownie dłonie nad Kit i obrzucając Jacka wyzwiskami. Najmniej obelżywe z nich brzmiały: „szubrawiec" i „oszust".

Lecz kiedy okrążyła łóżko i spróbowała wyprowadzić go z pokoju, Jack wreszcie się otrząsnął. – Milczeć! – zawołał płynną francuszczyzną. – Przestań jęczeć, kobieto! Musimy natychmiast przebrać ją w coś suchego!

Pochylił się znów nad Kit i wrócił do rozwiązywania tasiemek. Jego francuski powstrzymał wreszcie Elminę.

– Będziemy potrzebowali bandaży i gorącej wody. Możesz postarać się przynajmniej o to?

Sarkazm w jego głosie sprawił, że Elmina oprzytomniała. Zaczerpnęła głośno oddechu. Jack spojrzał na nią i uniósł władczo brew. Elmina zerknęła na nieruchomą postać na łóżku, a potem odwróciła się i zaczęła wydawać polecenia.

– Ella, przynieś wszystkie stare prześcieradła, jakie tylko uda ci się znaleźć. Poproś panią Fogg. Emily, biegnij do kuchni i przynieś kociołek z gorącą wodą. I powiedz kucharzowi, żeby przygotował trochę kleiku.

Jack potrząsnął głową.

– Nie będzie w stanie jeść. Przynajmniej dopóki nie wydobędziemy z niej kuli.

– *Mon Dieu!* To ona nadal tam jest?

Ostatnia tasiemka wreszcie puściła. Jack spojrzał w czarne oczy Elminy, żarzące się niczym węgle w pobladłej z niepokoju twarzy. Choć poruszała się żwawo, musiała być znacznie starsza, niż się wydawało. I sądząc po tyradzie, jaką wygłosiła, bardzo oddana Kit. Jak kociątku udało się wymknąć spod opieki starej kocicy?

– Twoja pani ma szczęście, że żyje. Będzie potrzebowała pomocy, by utrzymać się w tym stanie. A teraz pomóż mi zdjąć to z niej.

Wyciągnął ukryty w bucie ostry nóż i szybko rozciął koszulę.

– Podejdź i weź ze sobą ręcznik.

Elmina chwyciła mały ręcznik, który leżał na toaletce Kit, i podeszła do

łóżka. Jack oczyścił ranę z pozostałości materiału, a potem przykrył zranione ciało ręcznikiem.

– Pomóż mi pozbyć się rękawa.

Z pomocą Elminy zdjął Kit rękaw, nie urażając rany. A potem uniósł nóż i sięgnął do mokrych bandaży, spowijających piersi Kit.

– *Monsieur!*

– Co znowu! – prychnął Jack.

Czarne oczy Elminy były teraz okrągłe niczym spodki. Zacisnęła dłonie, nie spuszczając wzroku pod spojrzeniem gniewnych oczu Jacka.

– Pana nie powinno tu być, *monsieur*. To niewłaściwe. Sama się nią zajmę.

Niewłaściwe? Jack zamknął oczy sfrustrowany. Ani on, ani Kit nie mieli w sobie za grosz pruderii. Otworzył oczy.

– Do licha, kobieto! Widziałem każdy cal skóry twojej cennej pani. Teraz zamierzam zadbać o to, by przeżyła. Do licha z tym, co właściwe, a co nie!

Mówił po angielsku, toteż Elminie chwilę zabrało zrozumienie jego słów. Nim w pełni do niej dotarły, Jack skorzystał z okazji, by wsunąć nóż pod bandaże i rozciąć je.

Elmina krzyknęła więc tylko *Sacre Dieu!*, po czym niechętnie się poddała. Mruczane pod nosem uwagi o tym, jacy szaleni są Anglicy i jaki szokujący brak ogłady wykazują pewne osoby, dały się słyszeć przez dobre dziesięć minut.

Przyniesiono bandaże oraz gorącą wodę. Jack przyglądał się, jak Elmina przemywa ranę. Jej dłonie poruszały się pewnie. Widać było, że pokojówka wie, co robi. Kiedy paskudny otwór po kuli został oczyszczony, Jack pomógł założyć opatrunek. Kit oddychała teraz nieco swobodniej, lecz nadal była przerażająco blada.

Jack pozostawił przy rannej Elminę, nakazawszy jej wpierw surowo, aby wezwała go natychmiast, jeśli dziewczyna odzyska przytomność albo pojawi się doktor Thrushborne. Na korytarzu oparł się bezsilnie o ścianę i przymknął oczy. Na chwilę poddał się rozpaczy. Kit leżała tak nieruchomo, jej skóra była tak zimna… Tylko oddech świadczył, że tli się w niej życie. Nawet jeśli rana nie okaże się śmiertelna, przy takim osłabieniu nietrudno o zapalenie płuc, a wtedy jej życie będzie wisiało na włosku.

Spróbował wyobrazić sobie, jak mógłby żyć bez niej, i nie potrafił. W końcu otworzył oczy i oderwał się od ściany. Kit jeszcze nie umarła. Jeśli ona może walczyć, będzie stał u jej boku.

Z ponurą miną ruszył na spotkanie ze Spencerem.

Jenkins czekał na niego u szczytu schodów. – Lord Cranmer jest w swoim gabinecie, milordzie. Czy byłby pan uprzejmy pójść za mną?

Jack uśmiechnął się słabo. Zaiste, nie wyglądał teraz na milorda, raczej był podobny do Cygana. I właśnie miał powiedzieć jednemu z najbliższych

przyjaciół swego ojca, że uwiódł jego wnuczkę.

Apartamenty Spencera znajdowały się w innym skrzydle. Jenkins zapukał, a potem przytrzymał otwarte drzwi. Jack odetchnął głęboko i wszedł.

W pokoju mrok rozjaśniała jedynie mocno przykręcona lampa, ustawiona na stole pośrodku wielkiego pomieszczenia. W jej niepewnym świetle Jack zobaczył mężczyznę, którego spotkał w King's Lynn kilka miesięcy temu. Spencer, ubrany w szlafrok, siedział w fotelu. Grzywa białych włosów była ta sama, nie zmieniły się także krzaczaste brwi ponad głęboko osadzonymi oczami. Jednak malujący się w tych oczach niepokój był czymś nowym, podobnie jak bruzdy, okalające wyraziście zarysowane usta i zapadnięte teraz policzki. Wiedziony spojrzeniem Spencera, zatrzymał się w kręgu światła, świadomy, że gospodarz zesztywniał, kiedy zobaczył, jak dziwacznie Jack się prezentuje. Nagle uniósł dłoń i gestem odesłał służącego, który stał dotąd u jego boku.

Kiedy zamknęły się za nim drzwi, Spencer uniósł agresywnie brodę. – I cóż? W co się, pan i Kathryn, wpakowaliście?

Jack, który czuł się tak, jakby stał przed sądem wojennym, zarzucił przyrodzoną arogancję i powiedział prosto z mostu: – Obawiam się, że Kit i ja zaprzyjaźniliśmy się bardziej, niż można by uznać za właściwe. Krótko mówiąc, uwiodłem ją. Jedyne, co mogę powiedzieć na swą obronę, to fakt, że nie wiedziałem wtedy, iż jest pańską wnuczką.

Spencer prychnął z niedowierzaniem. – Nie poznał pan, że pochodzi z Cranmerów?

Jack skinął głową. – Widziałem, że ma w sobie krew Cranmerów, lecz… – Wzruszył ramionami. – Istniały inne możliwości.

Spencer spojrzał na niego ostro. – Pozwoliła panu sądzić, że jest kimś innym, tak?

Jack zawahał się.

– Równie dobrze możesz mi powiedzieć – oświadczył Spencer. – Nie zamierzam zemdleć z szoku. Powiedziała ci, że jest bękartem, tak?

Jack skrzywił się, wspominając tamtą noc, tak dawno temu. – Powiedzmy, że kiedy wyraziłem takie przypuszczenie, nie zaprzeczyła. A ja nie spodziewałem się, że pańska wnuczka może jeździć sama po nocy, do tego w bryczesach.

Spencer westchnął głęboko. Powoli opuścił głowę. Przez chwilę patrzył przed siebie nieobecnym wzrokiem, a potem burknął: – Moja wina, nie da się ukryć. Nie powinienem był pozwolić, aby wyrosła na tak samowolną pannę.

Mijały minuty, a Spencer zdawał się pogrążony w ponurych rozmyślaniach. Jack czekał, niepewny, co chodzi starcowi po głowie. Wreszcie Spencer otrząsnął się i spojrzał Jackowi prosto w oczy. – Nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem. Powiedziałeś, że ją uwiodłeś. I co zamierzasz z tym zrobić,

ha?

Jack uśmiechnął się krzywo. – Oczywiście ożenię się z nią.

– Do licha, pewnie, że się ożenisz! I jak myślisz, spodoba ci się to, że będziesz miał za żonę dziką kotkę? – zapytał, spoglądając na Jacka oczami o zwężonych źrenicach.

Jack uśmiechnął się krótko. – Nie mogę już się doczekać.

Spencer prychnął i machnięciem dłoni wskazał mu krzesło. – Nie wydajesz się szczególnie zmieszany takim obrotem spraw. Lecz Jenkins wspomniał, że Kit została ranna. Co się stało?

Jack przyciągnął do stołu fotel i usiadł, korzystając z chwili przerwy, by opracować własną wersję wydarzeń. – Kit i ja spotykaliśmy się w starym domku rybackim przy północnej granicy moich ziem.

Spencer skinął głową. – Znam go. Zatrzymywaliśmy się tam, kiedy wybieraliśmy się z twoim ojcem na ryby.

– Właśnie tam jechałem, gdy usłyszałem strzały, a potem krzyki i tętent kopyt. Podjechałem bliżej, aby zobaczyć, co się dzieje. Zobaczyłem pościg na plaży. Straż goniła jeźdźca. Tylko że tym jeźdźcem była Kit.

– Postrzelili ją? – zapytał Spencer z niedowierzaniem, a jego potężna postać znieruchomiała zatrważająco.

– Nic jej nie będzie – zapewnił go Jack pośpiesznie. – Kula utkwiła w lewym ramieniu, zbyt wysoko, by mogła wyrządzić poważniejsze szkody. Posłałem już po Thrushborne’a. Wyjmie kulę i Kit wyzdrowieje – dodał, modląc się w duchu, by okazało się to prawdą.

– Obedrę ich ze skóry! Dopilnuję, by zawiśli na własnych szubienicach! Ja… – starszy pan umilkł, zaczerwieniony z gniewu.

– Myślę, że powinniśmy działać rozważnie – powiedział Jack. Jego spokojny ton wywarł pożądany skutek. Spencer zwrócił się teraz do Jacka.

– Chcesz powiedzieć, że zamierzasz pozwolić, by tym draniom uszło na sucho, że wpakowali kulę w twoją przyszłą żonę? – zapytał, a jego pociemniałe z gniewu oczy wyzywały Jacka, by przyznał się do takiej słabości.

– Ach, widzi pan, o to mi właśnie chodzi – odparł Jack, nie spuszczając wzroku. – Oni nie wiedzieli, że strzelają do mojej przyszłej żony.

Zapadła cisza, przerywana jedynie trzeszczeniem fotela, gdy Spencer się poruszył.

Jack wpatrywał się w swoje dłonie. – Tak czy inaczej, wolałbym, by władze nie wiedziały, że moja przyszła żona jeździ sama po nocy, przebrana za mężczyznę.

Po dłuższej chwili Spencer westchnął ciężko. – Doskonale. Rób, jak chcesz. Bóg wie, że nigdy nie potrafiłem ściągnąć Kit cugli. Może tobie lepiej się powiedzie.

Jack nie był o tym do końca przekonany, zwłaszcza kiedy przypomniał

sobie, że młody Kit był dość kłopotliwym podwładnym.

– Jest pewna komplikacja – powiedział i Spencer natychmiast podniósł głowę. Do złudzenia przypominał teraz starego byka szykującego się do szarży. – Sierżant Tonkin z Hunstanton widział Kit bez kapelusza i szalika, którym zakrywała zwykle twarz. Nim pozbawiłem go przytomności, zdążył dobrze się jej przyjrzeć. Gdy tylko dojdzie do siebie, natychmiast się tu zjawi.

Wyraz twarzy Spencera jasno świadczył, że chętnie zamknąłby Tonkina w lochu i wyrzucił klucz. – Więc co zrobimy? – spytał niechętnie.

– Przyjdzie tu, by zadawać pytania i będzie chciał zobaczyć Kit. Ostatnią osobą, jaką będzie się spodziewał tu zastać, będę ja. Żeby zrobić coś więcej, niż tylko zadawać pytania, potrzebuje mojej zgody. Powiemy mu, że jedliśmy wczoraj we troje kolację, by uczcić zaręczyny moje i Kit. Zostałem do późna, ponieważ musieliśmy wszystko omówić. Nie czuje się pan dobrze, dlatego ślub będzie skromny i odbędzie się najszybciej, jak to możliwe.

Spencer zrobił ponurą minę, lecz nie odezwał się. Jack mówił więc dalej:

– Dziś rano przyjechałem wcześnie, aby zobaczyć się z panem sam na sam i omówić resztę spraw. W ten sposób wyjaśnimy, dlaczego jestem tu o tej porze.

– A jeśli będzie nalegał, aby zobaczyć się z Kit?

– Wątpię, by nalegał, zwłaszcza gdy ja tu będę. Lecz jeśli będzie się upierał, powiemy mu, że Kit pojechała do Greshamów, aby podzielić się nowiną z przyjaciółką.

Spencer skinął powoli głową, rozważając szczegóły planu.

Drzwi otwarły się i do pokoju wszedł Jenkins. – Przyjechał doktor Thrushborne, milordzie. Pyta o lorda Hendona.

Jack wstał. Spencer zaczął z trudem się podnosić, lecz Jack dał mu znak, by został. – Kit jest teraz nieprzytomna, nie przyda się pan na nic. – A kiedy Spencer opadł z powrotem na fotel, posapując z lekka, dodał: – Przyjdę i przekażę panu, co powiedział Thrushborne.

Spencer, z pobladłą twarzą i zaciśniętymi ustami, przytaknął. Jack skinął głową, a potem ruszył prosto do pokoju Kit.

Boże, spraw, by przeżyła!

Opowiedzenie o wszystkim Spencerowi było wystarczająco przykre, zwłaszcza że starszy pan obwiniał się o to, że nie potrafił poskromić Kit. Jack nie potrafił jednak usprawiedliwić własnego postępowania. Powinien był zadziałać wcześniej, bardziej stanowczo. Powinien był lepiej się nią zaopiekować. Dobrze, że Thrushborne już tu jest. Zajmował się Hendonami i Cranmerami od dziesięcioleci. Z pewnością da się przekonać, by trzymać język za zębami, choć pewnie to przekonywanie trochę potrwa.

Wszedł do pokoju Kit bez pukania. Drobna postać w czerni spadła na niego niczym poryw huraganu. – Proszę wyjść! Nie potrzebujemy pana, *monsieur*!

Będzie pan tylko przeszkadzał. Będzie pan…

– Przestań, Elmino. Poprosiłem lorda Hendona, aby tu przyszedł.

Spokojny ton głosu doktora Thrushborne'a powstrzymał Elminę w pół kroku. Jack wyminął ją. Thrushborne wycierał ręce w czysty ręcznik. Za nim, na stole przyciągniętym do łóżka, widać było rozłożone instrumenty.

Thrushborne spostrzegł Jacka. Machnął w stronę leżącej nieruchomo Kit i uniósł pytająco brwi. – Domniemywam, że zna pan tę damę dość dobrze?

Jack nie pofatygował się, by odpowiedzieć.

– Czy ona przeżyje? – Tylko to go teraz interesowało.

Thrushborne uniósł brwi jeszcze wyżej. – O, tak. Tak sądzę. To zdrowa, młoda kobieta, jak pan bez wątpienia wie. Wydobrzeje, jeśli tylko wydobędziemy z niej ten kawałek metalu.

Jack podejrzewał, że Thrushborne doskonale się bawi. Nieczęsto jakiś Hendon zdany był na jego łaskę. Jednak właściwie nie obchodziło go to. Nie potrafił oderwać spojrzenia od nieruchomej postaci na łóżku.

Thrushborne chrząknął. – Będzie mi pan potrzebny, by ją przytrzymać, gdy zacznę wyjmować kulę. Jest ledwie przytomna, a nie chcę podawać jej teraz środka znieczulającego.

Jack skinął głową i zbierał siły, by stawić czoło czekającej go próbie. Wykonywał polecenia Thrushborne'a, starając się nie posiniaczyć Kit, gdy trzymał jej prawe ramię i przyciskał lewe, by ją unieruchomić. Gdy doktor wsunął kleszcze w głąb rany, Kit westchnęła boleśnie i zaczęła się szamotać. Jej jęki szarpały mu nerwy. Gdy spod zamkniętych powiek spłynęły łzy, a z gardła dobył się stłumiony szloch, Jack poczuł, że ściska go w dołku. Zacisnął zęby i zaczął recytować w duchu litanię przekleństw, koncentrując się na tym, by dokładnie wykonywać polecenia. Elmina pochylała się nad Kit, trzymając jej głowę i przemywając czoło wodą lawendową. Jack przypuszczał jednak, że Kit pozostaje obojętna na wszystko prócz bólu.

W końcu Thrushborne wyprostował się, wymachując kleszczami.

– Mam ją! – zawołał rozpromieniony, po czym wrzucił kleszcze do miseczki i przystąpił do tamowania krwi, która znów popłynęła obficie.

Nim Kit została obandażowana i napojona laudanum, Jack czuł, że i jemu kręci się w głowie.

– Domyślam się, że nie powinienem wspominać, iż w ogóle widziałem się z panną Kathryn? – zapytał Thrushborne, szykując się do wyjścia.

Jack otrząsnął się i powiedział: – Tak. Został pan wezwany do pana Spencera.

Doktor zmarszczył brwi. – Moja gospodyni widziała, że przyjechał po mnie pański służący. Jak to wyjaśnię?

– Byłem tutaj, gdy Spencer poważnie zaniemógł, i wysłałem po pana Matthew zamiast kogoś spośród tutejszej służby.

Thrushborne skinął szybko głową. – Wpadnę znów przed południem. Aby się przekonać, co ze Spencerem, oczywiście.

Jack uśmiechnął się słabo, choć z wdzięcznością. Uścisnęli sobie dłonie. Thrushborne wyszedł, Elmina za nim, zabierając pokrwawione szmaty, aby je spalić. Jack, pozostawiony sam na sam z Kit, przeciągnął się, by ulżyć bolącym plecom. Będzie musiał porozmawiać ze Spencerem i dopilnować, by służba, zarówno tutaj, jak i w zamku Hendon, wiedziała wszystko, co potrzeba, by dobrze odegrać swoje role. Nie wątpił, że to uczynią. I u Hendonów, i u Cranmerów służący pochodzili z rodzin, które mieszkały i pracowały na terenie posiadłości. Z pewnością okażą się rozsądni. Tonkina nie lubił nikt, kto go znał, a straż celna w ogóle nie cieszyła się sympatią. Przy odrobinie wysiłku i starania wszystko powinno pójść dobrze. Jack westchnął ciężko i odwrócił się, by spojrzeć na łóżko. Kit leżała sztywno wyprostowana, nie rozkosznie rozciągnięta, jak przywykł ją widywać. Minie nieco czasu, zanim znów zobaczy ją w tej pozycji. Ile dokładnie? Trzy tygodnie, może cztery. Jack rozważał, jak długo będzie musiał czekać, nie dopuszczając do siebie możliwości, iż może więcej jej nie zobaczyć. Kit przeżyje. Musi przeżyć. Nie mógłby bez niej żyć. Pusta przestrzeń obok Kit wyglądała zachęcająco, lecz czekał na niego Spencer, zresztą Elmina pewnie wkrótce wróci. Jack westchnął ciężko i spojrzał raz jeszcze na śpiącą piękność. Jej pierś unosiła się i opadała. Oddychała płytko, lecz miarowo. Jack wyciągnął rękę, by odsunąć z czoła Kit jedwabisty lok, a potem pochylił się i delikatnie ucałował blade usta.

Z trudem zmusił się, by wyjść z pokoju. Elmina zapowiedziała, że posiedzi przy Kit przez resztę nocy, a on musiał zobaczyć się ze Spencerem.

* * *

– Sierżant Tonkin, milordzie. – Jenkins przytrzymał drzwi biblioteki z miną wyrażającą wyniosłe lekceważenie.

Sierżant Tonkin przestąpił próg, a potem zawahał się, ściskając w dłoniach służbowy kapelusz. Spostrzegł siedzącego za biurkiem Spencera i pewnym krokiem ruszył w jego stronę.

Spencer obserwował go z udawanym arystokratycznym znudzeniem. Jack siedział na krześle w połowie długiego pokoju i stamtąd przyglądał się Tonkinowi. Sierżant nie spostrzegł go jeszcze, skupiony na celu. Zatrzymał się na dywanie przed biurkiem i zasalutował, roztaczając wokół aurę agresywnego samozadowolenia.

– Milordzie – zaczął. – Zastanawiałem się, czy mógłbym zamienić słówko z panną Cranmer.

Spencer zmarszczył krzaczaste brwi. – Z moją wnuczką? Na jaki temat?

Wypowiedziane stanowczym tonem pytanie sprawiło, że Tonkin zamrugał.

Przestąpił z nogi na nogę.

– Mam powód, by sądzić, że pańska wnuczka mogłaby pomóc nam w dochodzeniu.

– Jak, u licha, może pan przypuszczać, że Kathryn mogłaby wiedzieć cokolwiek o tym, czym się pan zajmuje?

Tonkin zesztywniał. Zerknął na Spencera, a potem wypiął pierś i złowróżbnym tonem oznajmił: – Kilku moich ludzi ścigało wczoraj w nocy herszta szajki przemytników. Ten człowiek, to znaczy ten przywódca, został postrzelony. Znalazłem go… znaczy się herszta… w kamieniołomach.

– Więc? – zapytał Spencer, przybierając zniecierpliwiony wyraz twarzy. – Skoro go złapaliście, na czym polega problem?

Tonkin zaczerwienił się i poluzował palcem kołnierzyk. – Ale właśnie go nie złapaliśmy… znaczy się herszta.

– Nie złapaliście? – Spencer pochylił się z niedowierzaniem. – Ten człowiek był ranny, a wy pozwoliliście mu zbiec?

Jack, który bacznie obserwował Tonkina, rozpoznał moment, gdy sierżantowi z pomocą pośpieszyła jego obsesja. Zamiast wić się pod palącym spojrzeniem Cranmera, wyprostował się i stał jakby kij połknął, wpatrując się w Spencera oczami jak paciorki.

– Zanim inni członkowie szajki mnie znokautowali, dobrze przyjrzałem się facetowi, to znaczy… – Zacisnął zęby, a potem odetchnął głęboko i mówił dalej: – Dobrze przyjrzałem się jego twarzy. Zobaczyłem miedziane loki – stwierdził, rozkoszując się własnymi słowami – i bladą, delikatną twarz o lekko zadartej brodzie. A kiedy Spencer nadal zdawał się nie rozumieć, dorzucił: – To była twarz kobiety, milordzie.

W bibliotece zapadła cisza.

Spencer zmarszczył brwi, a Tonkin skinął z przekonaniem głową. – Właśnie, milordzie. Gdybym nie widział tego na własne oczy, nigdy bym nie uwierzył.

Twarz Spencera wyrażała jedynie zdziwienie. – Nadal nie rozumiem, sierżancie, co to wszystko ma wspólnego z moją wnuczką. Chyba nie mówił pan poważnie, że mogłaby być panu pomocna?

Na twarzy Tonkina odmalowało się zwątpienie, a potem podejrzliwość. Otworzył usta.

Jack natychmiast się wtrącił. – Ja także uważam, iż będziecie musieli wyjaśnić, sierżancie, dlaczegóż to panna Cranmer miałaby się okazać bardziej pomocna w wyjaśnieniu, co wspólnego mają ze szmuglem Cranmerowie, niż sam lord Cranmer. Jestem zmuszony przypomnieć panu, że tego rodzaju sprawy nie są na ogół domeną pań.

Tonkin odwrócił się zaskoczony i przez chwilę jego twarz wyrażała wściekłość i niekłamaną podejrzliwość. Szybko jednak odzyskał panowanie nad sobą. Wyprostował się jeszcze bardziej i zasalutował. – Dzień dobry,

milordzie. Nie zauważyłem pana.

Nagle zdał sobie sprawę z tego, co powiedział Jack. – Coś wspólnego, milordzie?

Jack przybrał znudzoną minę.

Tonkin zebrał się w sobie i potrząsnął głową. – Nie, sir.

Z zadartą brodą, wyprostowany na baczność, przemawiał, spoglądając gdzieś ponad głowę Jacka.

– Wiem, co widziałem, sir. Ta kobieta dosiadała wspaniałego czarnego wierzchowca. Widziałem na własne oczy dziurę, jaką kula mojego podwładnego zrobiła w jej ramieniu.

Tonkin zacisnął wargi, z najwyższym trudem powstrzymując się, by nie powiedzieć, czyje to było ramię. Jack spojrzał mu w oczy i zrozumiał. W spojrzeniu Tonkina widać było fanatyzm i determinację. Zacisnąwszy szczęki, spoglądał kątem oka na Spencera.

Jack stłumił impuls, by chwycić sierżanta za gardło. – Być może, sierżancie, gdybyście powiedzieli nam, co się dokładnie zdarzyło, jego lordowska mość mógłby wyjaśnić panu sprawy?

Tonkin zawahał się, spoglądając to na Jacka, to na Spencera, a potem skinął powoli głową. I zaczął mówić.

* * *

Kit leżała na łóżku w swojej sypialni, próbując sobie przypomnieć, jak się tam znalazła. Ramię paliło ją żywym ogniem, było jej gorąco, a już po chwili straszliwie marzła. Przymknęła nadwrażliwe na światło oczy i usłyszała, jak drzwi otwierają się, a potem zamykają.

– Jest tu sierżant Tonkin, proszę pani – szepnęła Emily, jedna z pokojówek, obsługujących piętro. – Jenkins właśnie wprowadził go do biblioteki.

– To ten człowiek ze straży celnej, prawda? – zapytała Elmina od strony kominka. Kit zmarszczyła brwi. Straż? Tutaj?

– To okropny człowiek – wyjaśniła Emily. – Koniecznie chce zobaczyć się z panienką Kathryn. Jenkins powiedział, że podobno widział jej twarz.

– Jego lordowska mość się tym zajmie – odparła Elmina, nie zdradzając śladu przejęcia. – I jest tu także lord Hendon, prawda? Zobaczysz, wszystko będzie dobrze.

– Elmina! – zawołała Kit, unosząc się na zdrowym łokciu. Skrzywiła się, czując ból w zranionym ramieniu. Jej cichy okrzyk sprawił, że zarówno Elmina, jak i Emily natychmiast podbiegły do łóżka.

– Przygotuj mi gołębioszarą suknię. Szybko.

Jednak Elmina, której twarz wyrażała absolutne przerażenie, stała niczym wrośnięta w podłogę. – Nie, nie, *petite*. Jesteś o wiele za słaba, by wstać.

Otworzy ci się rana.

– Jeśli nie zejdę na dół i Tonkin mnie nie zobaczy, mogę nie pożyć wystarczająco długo, aby wyzdrowieć.

Zacisnąwszy zęby, usiadła na skraju łóżka. Nagle wróciła jej pamięć. Zamknęła oczy, czekając, aż minie zawrót głowy. – Do licha! Elmino! Nie kłóć się ze mną, inaczej sama to zrobię.

Groźba poskutkowała, jak zwykle zresztą. Elmina ruszyła do garderoby, mrucząc pod nosem. Po chwili wróciła, niosąc szarą suknię i bieliznę Kit.

– Lord Hendon jest na dole – zaryzykowała.

– Słyszałam.

Kit spojrzała na ubrania, zastanawiając się, jak zdoła je założyć. Unoszenie lewego ramienia nie wchodziło w grę. Teraz miała na sobie płócienną koszulę nocną, zapinaną wysoko pod szyję i ozdobioną przy dekolcie riuszką. Wybrała szarą suknię, gdyż miała niewielki dekolt, pozwalający ukryć bandaże. Jeśli włoży suknię na koszulę, być może Tonkin niczego nie zauważy.

Wstała, przezwyciężając zawrót głowy, i cicho, by nie marnować energii, poprosiła Elminę, aby pomogła jej założyć suknię. Czuła się słaba niczym nowo narodzone kocię. Już samo utrzymywanie się na nogach stanowiło wysiłek. Kiedy Elmina sznurowała suknię, Kit szybko rozważyła, co też może dziać się na dole. Jeśli Tonkin widział jej twarz, z pewnością nie odejdzie, dopóki jej nie zobaczy. Miała nadzieję, że Spencer nie straci cierpliwości, nim ona nie zejdzie na dół. Najbardziej zagadkowe wydawało się jej, dlaczego królewski komisarz wybrał sobie akurat ten dzień, by złożyć poranną wizytę. Być może, jeśli tylko zdoła myśleć wystarczająco jasno, uda jej się wykorzystać go do pozbycia się Tonkina. Później opowie mu o Jacku i poprosi, by pomógł jej także w tej sprawie.

Na razie nie była w stanie wyobrazić sobie, jak zdoła o tym mówić przy Spencerze, ale tym zajmie się później. Teraz należało przede wszystkim pozbyć się Tonkina.

Elmina skończyła sznurować gorset sukni i pośpieszyła wyszczotkować Kit włosy. Kit spojrzała w dół. Pokój zakołysał się, więc szybko uniosła głowę. Wbiła wzrok w lustro po przeciwnej stronie i spróbowała zrobić krok czy dwa. Dokona tego, choćby miało ją to zabić. Zadarła do góry brodę. Nie zrobiła niczego, czego musiałaby się wstydzić; nie pozwoli, by taki bezwzględny brutal jak sierżant Tonkin obrzucił błotem nazwisko Cranmerów.

*** * ***

Na dole Tonkin walczył, by zachować twarz. Podpytywany umiejętnie przez Jacka, wyjaśnił, co zdarzyło się w nocy. Wydarzenia, opowiedziane w ten sposób, straciły wiele ze swojej chwały.

Kiedy już było po wszystkim, Jack rozsiadł się wygodnie i zaczął spokojnie omawiać ze Spencerem ewentualne powiązania kogokolwiek z rodziny Cranmerów. Zerkał przy tym co i rusz na Tonkina, toteż bez trudu wyłapał moment, gdy sierżant zaczął się niecierpliwić. Choć mocno zirytowany, nie zamierzał rezygnować. Kiedy Spencer zakończył wyliczanie znanych mu bękartów każdego ze swoich synów, Jack spokojnie powiedział: – Lecz sierżant Tonkin twierdzi, że twarz, którą zobaczył, musiała należeć do kobiety. Czyż nie tak, Tonkin?

Tonkin zamrugał, a potem skinął z zapałem.

– Tak jest, sir. To była kobieca twarz.

Spencer zmarszczył brwi, a potem potrząsnął głową. – Nie przychodzi mi na myśl żaden Cranmer o zniewieściałej twarzy.

– Niechętnie o tym wspominam – powiedział Jack – ale czy nie mogłaby to być jakaś krewna?

Niemal usłyszał, jak Tonkin wzdycha z satysfakcją.

– Nie ma nikogo takiego – odparł zdecydowanie Spencer. – Kathryn to jedyna dziewczyna w rodzinie, a ona nie wchodzi w rachubę.

Jack uśmiechnął się przelotnie i skinął głową.

– Przepraszam, wasza lordowska mość – wtrącił Tonkin, widocznie skonsternowany – ale dlaczego nie?

– Co: dlaczego nie? – zapytał Spencer, pochmurniejąc.

Tonkin zacisnął zęby. – Dlaczego to nie mogła być panna Cranmer, milordzie?

Jack i Spencer przez chwilę wpatrywali się w niego z niedowierzaniem, a potem parsknęli śmiechem. Tonkin poczerwieniał. Spoglądał to na jednego, to na drugiego, i widać było, że z każdą chwilą staje się bardziej podejrzliwy.

Spencer opamiętał się pierwszy. – Doskonały żart, sierżancie, ale zapewniam, że moja wnuczka nie zadaje się z przemytnikami – powiedział, machając dłonią.

Tonkin zareagował, jakby wymierzono mu policzek.

– Uważam – wtrącił Jack, dostrzegając rosnące zacietrzewienie Tonkina – że sierżant powinien się dowiedzieć – tylko po to, by przyjąć niewinność pańskiej wnuczki jako bezsporny fakt – że wczoraj wieczorem jedliśmy tu kolację z panną Cranmer. Zasiedzieliśmy się do późna, omawiając szczegóły zbliżającego się ślubu.

Tu Jack uśmiechnął się do Tonkina, prezentując minę zadowolonego z siebie narzeczonego.

– Ślubu? – powtórzył Tonkin.

– Właśnie – powiedział Jack, poprawiając mankiet. – Panna Cranmer i ja wkrótce się pobieramy. Za kilka dni należy spodziewać się zapowiedzi.

Jack uśmiechnął się znowu, demonstrując absolutną pewność siebie. –

Jesteście pierwszą osobą, która ma szansę nam pogratulować, sierżancie – dodał.

– Eee…. tak, oczywiście. To znaczy mam nadzieję, że będzie pan bardzo szczęśliwy, sir – wyjąkał Tonkin, a potem umilkł.

Drzwi za nim się otworzyły.

Mężczyźni się obejrzeli. Trzy pary oczy przywarły do smukłej postaci w szarej sukni, która pojawiła się w progu. Na wszystkich trzech twarzach odmalował się jednaki szok.

Kit dostrzegła to i postąpiła w przód, przerywając wiele mówiącą ciszę.

– Dzień dobry, dziadku – powiedziała, podchodząc do Spencera. Położyła prawą dłoń na ramieniu starca i pocałowała go w policzek, wdzięczna, że nie ujawnia zdumienia. Wyprostowała się, walcząc z falą przyprawiającego o zawrót głowy bólu i spojrzała prosto na Tonkina.

– Słyszałam, że sierżant pytał o mnie. W czym mogę panu pomóc, sierżancie?

Było to śmiałe posunięcie. Jack wstrzymał oddech, zastanawiając się, czy Tonkin może się zorientować, jak bardzo blada jest Kit. Dla Jacka było to oczywiste, lecz sierżant najwidoczniej nie widział Kit przed wczorajszym wieczorem. Z sercem podchodzącym do gardła zmusił się, by rozluźnić mięśnie. Gdy tylko zobaczył Kit, zerwał się na równe nogi, z najwyższym trudem przezwyciężając odruch, by do niej podbiec. Jak zdołała ubrać się i zejść na dół, pozostawało zagadką. Lecz teraz nie pora o tym myśleć. Ważniejsze było, jak długo Kit zdoła utrzymać się na nogach. Spostrzegła go, gdy tylko weszła do pokoju. W jej oczach dostrzegł szok, którego nie zdołał stłumić nawet ból.

Sierżant Tonkin wpatrywał się w nią bez słowa. Po chwili spojrzał na Jacka, następnie na Spencera. A potem zerknął ukradkiem na Kit i zatrzymał wzrok na jej lewym ramieniu.

Kit, świadoma, że się jej przygląda, stała wyprostowana, zachowując spokojny, beztroski wyraz twarzy i czekając, aż sierżant wyłuszczy sprawę. Trzymała się przy tym kurczowo ramienia Spencera, który zorientowawszy się w sytuacji, nakrył jej dłoń swą wielką ręką. Promieniejące z niej ciepło i siła wzmocniły Kit, pozwalając jej zachować więź z rzeczywistością.

Tymczasem Spencer wpatrywał się w Tonkina. W jego spojrzeniu dało się dostrzec wyniosłość i arogancję. Zdawało się, że na moment czas się zatrzymał.

Jack przerwał chwilę niezręcznej ciszy, podchodząc jak gdyby nigdy nic do Kit.

Gdy tylko się poruszył, Kit natychmiast na niego spojrzała. Patrzyła, jak się zbliża, rozchyliwszy wargi, by ukryć, z jakim trudem oddycha. Myślało jej się teraz znacznie wolniej. Powiedziano jej, że lord Hendon jest u Spencera.

Jednak w pokoju nie było nikogo poza sierżantem i Jackiem. I to musiał być Jack. Choć nigdy dotąd nie widziała go tak elegancko ubranego, leniwy wdzięk jego ruchów rozpoznałaby wszędzie bez chwili wahania. Mężczyzna, który właśnie się do niej zbliżał, był hultajem i nicponiem pierwszej wody, nawykłym do poruszania się po salonach. Lecz był to także Jack. Kit z trudem powstrzymała chęć, by zamknąć oczy i spokojnie się zastanowić.

Jack zatrzymał się tuż przy niej. Spojrzała mu w oczy i dostrzegła w nich troskę i siłę. Sięgnął po jej prawą dłoń, unosząc ją z ramienia Spencera. Pozwoliła mu na to, czując, jak ogarnia ją ulga. Jack objął ją wpół i podtrzymał.

Świadomy, jak wygląda to w oczach Tonkina, uniósł do ust dłoń Kit i ucałował ją. – Sierżantowi zdawało się, że widział cię tej nocy, kochanie. Dziadek i ja właśnie wyjaśnialiśmy mu, że musiał się pomylić. – Spojrzał w zamglone bólem ametystowe oczy i uśmiechnął się, by dodać jej otuchy. – Na pewno ucieszy cię wiadomość, iż zapewniłem ci alibi. Nawet tak gorliwy żołnierz, jak sierżant Tonkin, musi przyjąć do wiadomości, że jedząc z nami kolację i omawiając szczegóły naszego ślubu, nie mogłaś jednocześnie galopować po wzgórzach.

– Och? – westchnęła Kit. Nie musiała udawać zdumienia. Oderwała wzrok od Jacka i spojrzała na sierżanta. Kolacja? Ślub? Poczuła, że robi jej się słabo. Jack natychmiast zacieśnił uścisk wokół jej talii.

Widoczne zmieszanie Kit przeważyło szalę i przekonało Tonkina. Jack dostrzegł to w jego spojrzeniu, w zmianie wyrazu twarzy. Wojowniczość, widoczna dotąd w zachowaniu sierżanta, znikła, pozbawiając go pewności siebie.

Przełknął i lekko zasalutował. – Widzę, że nic pani o tym nie wiadomo, panienko. – Spojrzał czujnie na Jacka, potem na Spencera. – Jeśli nie mają panowie nic przeciwko temu, chyba już sobie pójdę.

Jack skinął głową. Spencer tylko wpatrywał się w sierżanta.

Tonkin zasalutował po raz ostatni, odwrócił się i szybko wyszedł.

Ledwie za sierżantem zamknęły się drzwi, Spencer odwrócił się na krześle. Na jego twarzy ulga walczyła o lepsze z niepokojem. – I co to wszystko ma znaczyć, moja panno? – wyszeptał groźnie.

Kit nie odpowiedziała. Gdy usłyszała, że zamykają się drzwi, oparła się mocniej na ramieniu Jacka i zamknęła wreszcie oczy. Siła woli, która podtrzymywała ją do tej pory, nagle gdzieś się rozwiała. Poczuła, że ramiona Jacka zamykają się wokół niej. Była bezpieczna, wszyscy byli bezpieczni.

Gdzieś, jakby z oddali, dobiegał głos Spencera. Westchnęła cicho i pogrążyła się w zapomnieniu, silniejszym niż ból i zwątpienie.

Rozdział 23

Przez następny tydzień służba Cranmer Hall i zamku Hendon usilnie starała się, by nieobecność ich państwa nie została zauważona. Lord Cranmer był rzekomo poważnie chory i nie opuszczał łóżka. Panna Kathryn Cranmer trwała przy jego boku. Obowiązki związane z opieką nad dziadkiem uniemożliwiały jej widywanie kogokolwiek poza domownikami. Lord Hendon był zaś jak zwykle nieuchwytny.

Tymczasem prawda wyglądała tak, że Spencer pozostawał w swoich pokojach, zbyt zmartwiony, by można było liczyć na jego pomoc. Jack spędzał większość czasu z Kit, pomagając w opiece nad nią. Rana w ramieniu goiła się dobrze, lecz osłabienie spowodowane upływem krwi sprawiło, że przeziębienie, którego nabawiła się tamtej nocy w kamieniołomach, przeszło w coś znacznie gorszego. Gorączka stale rosła i tylko Jack miał dość siły, by móc ją przytrzymać, uspokoić i zmusić do wypicia przepisanej przez lekarza mikstury. Tylko jego głos przenikał opary mgły, która spowijała co jakiś czas umysł Kit, pozostawiając ją oszołomioną, osłabioną i zamroczoną.

Doktor Thrushborne, zmartwiony stanem pacjentki, pojawiał się w Hall każdego ranka, a także po południu.

– Miało tu miejsce połączenie kilku niekorzystnych czynników – tłumaczył Jackowi. – Znaczny upływ krwi, a do tego przeziębienie. Wszystko, co możemy zrobić, to utrzymywać ją w cieple, dbać o to, by nie zakłócano jej spokoju. Pozwólmy, aby natura pracowała za nas.

Kiedy minęły dwa kolejne ponure dni, stwierdził, odpowiadając na niezadane pytanie Jacka: – To, że jest ciągle z nami, to najlepszy znak. Panna Kathryn nie odznacza się zbyt silną posturą, lecz wszyscy Cranmerowie są uparci jak diabli. Nie sądzę, by zamierzała już nas opuścić.

Jack nie potrafił zdobyć się na uśmiech. Jego świat skurczył się do rozmiarów tego jednego pokoju. Nie opuszczał Hall, chyba że tylko po to, by pojechać do Hunstanton i uciszyć w ten sposób podejrzenia Tonkina, czy też pokazać się na mszy w Docking. Matthew krążył pomiędzy Hall a zamkiem Hendon, przekazując polecenia, dostarczając swemu panu ubrań i zanosząc wieści George’owi, który przejął tymczasowo zwierzchnictwo nad przemytem. W pokoju obok sypialni Kit ustawiono łóżko, by Jack mógł się zdrzemnąć. Wtedy nad Kit czuwała Elmina. Nigdy nie trwało to jednak dłużej niż kilka godzin.

Nie dlatego, że jej nie ufał. Zdążył się już dowiedzieć, że Elmina była pokojówką matki Kit i opiekowała się swoją *petite* od jej narodzin. Jednak podobnie jak Spencer nie potrafiła skłonić podopiecznej do uległości. Drugiej

nocy, gdy zapadł na chwilę w sen, wyciągnąwszy się w ubraniu na łóżku, obudziły go odgłosy zawodzenia i kłótni. Wszedł do sypialni Kit i zobaczył, że ta wstała z łóżka i chwiejąc się na nogach przerzuca garderobę, podczas gdy Elmina napomina ją bezsilnie. Wszedł, wziął Kit na ręce i nie zwracając uwagi na szarpaninę oraz wyzwiska, zapakował ją do łóżka. Przy okazji dowiedział się, że Kit potrafi kląć płynnie także po francusku.

Walczyła z nim nawet, kiedy leżała, lecz w końcu musiała się poddać. Jack był po prostu silniejszy. Kiedy gorączka rosła, nie poznawała go i bardzo denerwował ją fakt, że musi słuchać kogoś, kogo nawet nie zna. Jej zachowanie sprawiło, iż w Jacku ugruntowało się przekonanie, że jego kociątko robiło, co tylko mu się podobało, od kiedy po raz pierwszy postawiło stopę poza kołyską.

A kiedy gorączka jeszcze bardziej wzrosła, pozbawiając ją nawet odrobiny sił, a on mógł tylko obserwować bezsilnie jej zmagania ze śmiercią, przyrzekł sobie, że jeśli Kit przeżyje, już on się postara, aby przez resztę życia nic jej nie zagroziło. Bez niej jego życie nie byłoby wiele warte, wiedział to teraz dobrze. Uważał te uczucia za przejaw słabości, lecz nie mógł zaprzeczyć, że istnieją. Podobnie jak nie mógł zaprzeczyć, że to on jest częściowo odpowiedzialny za to, iż Kit tak długo brała udział w maskaradzie. Kiedy to wszystko się skończy, przejmie za nią odpowiedzialność. I będzie to obowiązek, który potraktuje poważniej niż jakikolwiek dotąd w całym swoim życiu.

Jeśli chodzi o Kit, cały ten tydzień przeminął jej w mglistym oszołomieniu, przerywanym chwilami jako takiej jasności umysłu. Drżała z zimna, aby po chwili oblewać się potem. Głowa bolała ją tak, że zupełnie nie mogła myśleć. Mimo to była świadoma opiekuńczej obecności Jacka przy swoim boku. Trwał przy niej niczym skała, stanowiąc jedyny stały punkt w oszalałym świecie. Podczas tych chwil, kiedy odzyskiwała świadomość, zdawała sobie sprawę, że tą osobą jest Jack. I choć nie była w stanie pojąć, dlaczego Jack znajduje się w jej sypialni, mogła tylko być mu wdzięczna.

Koniec przyszedł nagle.

Pewnego dnia, wcześnie rano, otworzyła oczy i przekonała się, że świat przestał wirować. Zobaczyła Jacka śpiącego w fotelu przy łóżku. Uśmiechnęła się i poruszyła, by móc w pełni nacieszyć się tym widokiem. Tępy ból w lewym ramieniu sprawił, że znieruchomiała. Marszcząc brwi, przypomniała sobie tamtą noc na plaży i swoją ucieczkę przed żołnierzami. Została postrzelona, a mimo to dotarła do kamieniołomów. Potem nie pamiętała już niczego. Najwidoczniej Jack ją znalazł i przywiózł do domu.

Uśmiechając się na myśl o tym, że Jack tak się o nią troszczy, iż stawił czoło gniewowi Spencera i został na noc, natknęła się na pierwszą trudność. Jak Jackowi udało się przekonać Spencera, by pozwolił mu zostać nie tylko w Hall, ale w jej sypialni? Próbowała skupić myśli, lecz umysł odmawiał

posłuszeństwa, nasuwając jedynie mgliste wspomnienia. Sierżant Tonkin był jakoś w to zamieszany. Być może przez jakiś czas w kamieniołomie pozostawała przytomna i słyszała, jak wydaje rozkazy podwładnym. Kit spochmurniała i westchnęła w duchu. Z czasem sobie przypomni.

Pomyślała, że powinna pójść do Spencera i powiadomić go, że czuje się już lepiej. Zawsze tak się o nią martwi, kiedy jest chora. Zgięła ramię i zerknęła na nie, lecz zobaczyła tylko bandaże. Czuła jedynie umiarkowany ból.

Spojrzała znów na śpiącego Jacka, wchłaniając widok jego znajomych rysów niby ożywczy napar. Jego kości policzkowe rysowały się pod skórą ostrzej, niż zapamiętała. Zazwyczaj gładkie policzki pokrywał krótki zarost. Jack wydawał się zaniedbany i wyczerpany, inny niż ten, którego pamiętała. Zmarszczyła brwi. Niejasne wspomnienie wróciło, męczące i nieuchwytne.

Skrzywiła się i potrząsnęła głową. Ciążyły jej powieki. Jeszcze za wcześnie na wstawanie. Zresztą Jack spał i wyglądał, jakby bardzo potrzebował wypoczynku. Może by się tak zdrzemnąć, tylko do czasu, aż Jack się obudzi?

Uśmiechnęła się leciutko i na powrót zapadła w sen.

* * *

Świadomość, że jest obserwowany, przedarła się przez opar snu. Jack otworzył oczy i napotkał wlepione w siebie ametystowe spojrzenie. Kit patrzyła na niego tak, jakby zobaczyła ducha. Wyraz jej twarzy podpowiedział Jackowi, że nie musi jej przypominać, co zaszło w bibliotece Spencera.

– Lord Hendon?

Słabość w głosie Kit wynikała bardziej z szoku, niż choroby. Nagle w jej oczach zapłonęły fioletowe ognie.

– Ty jesteś lordem Hendonem!

Jack skrzywił się, słysząc oskarżycielski ton głosu Kit. Usiadł i potarł dłońmi twarz. To do niej podobne, tak nagle wrócić do przytomności. Wszelkie jego wyobrażenia o tym, jak to będzie wyjaśniał sytuację słabej, potulnej kobiecie, raptownie straciły na aktualności. Kit była przytomna, przy zdrowych zmysłach, czuła się dobrze i ani trochę się nie zmieniła.

Kit podskoczyła, gdy Jack opuścił dłonie na poręcze fotela. Zerwał się na równe nogi, po czym, uśmiechając się idiotycznie, porwał ją na ręce wraz z pościelą, posadził sobie na kolana i zaczął całować. Na jego twarzy malowała się radość i niekłamana ulga.

Usta Kit, ciepłe i słodkie, smakowały Jackowi lepiej niż ambrozja. Ona jednak uparcie zaciskała wargi. Walczyła, lecz był to próżny wysiłek, Jack zaś czuł się w pełni usprawiedliwiony, by zignorować jej opór.

Kit próbowała protestować, lecz Jack pozostał głuchy na jej pomruki. Była zmieszana, wściekła – i zdecydowana powiedzieć mu o tym, nim zdąży pozbawić ją zdolności myślenia. Lecz było już za późno. W jej wnętrzu

rozprzestrzeniało się znajome ciepło. Zacisnęła mocniej wargi, czując, jak jej ciało bezwstydnie reaguje na bliskość Jacka. Wargi Kit rozchyliły się bezwiednie, by dać mu nagrodę, której szukał. W końcu objęła go i oddała pocałunek z zapałem kobiety, która zbyt długo musiała obywać się bez miłości.

W jego ramionach natychmiast poczuła się jak w niebie.

Jack przesunął dłonią i Kit się skrzywiła. Natychmiast oderwał usta od jej ust. – Do licha! Zapomniałem o twoim ramieniu!

– Zapomnij o moim ramieniu – powiedziała Kit, przyciągając bliżej jego głowę. Jednak po chwili stało się jasne, że niechcący przywróciła Jackowi rozsądek. Kiedy znów się od niej odsunął, nie protestowała.

Jack spojrzał Kit głęboko w oczy, zastanawiając się, ile zdołała zapamiętać. Jakkolwiek brzmiałaby odpowiedź, pora już była najwyższa, aby powiedzieć jej o zaręczynach. Wstał, ułożył Kit z powrotem w łóżku, poprawiwszy uprzednio poduszki. Opatulił ją kołdrą, lecz na szczęście nie wrócił na fotel. Przysiadł obok, trzymając jej rękę w dłoniach. Spojrzał dziewczynie w oczy i się wyprostował. Oświadczanie się powinno być doprawdy o wiele łatwiejsze.

– Jak się domyśliłaś, jestem lordem Hendonem.

– Nie kapitanem Jackiem?

– Nim także – przyznał. – Lordem Hendonem i kapitanem Jackiem.

– Kiedy się dowiedziałeś, kim ja jestem?

– Wieczorem tego dnia, kiedy zostałaś postrzelona. – Wspomnienia wróciły, nie pozwalając mu spokojnie siedzieć. Wstał i zaczął przemierzać pokój. – Wiedziałem, że musisz mieć w sobie krew Cranmerów, ale sądziłem, że pochodzisz z nieprawego łoża, jak zresztą doskonale wiesz.

Obrzucił ją oskarżycielskim spojrzeniem, na co Kit zareagowała niewinną miną.

– Tego popołudnia odwiedził mnie George. Wcześniej widział się z Amy…

– Z Amy? – powtórzyła Kit z niedowierzaniem.

Jack zatrzymał się, by jej wyjaśnić, lecz bystry umysł Kit już poradził sobie z tą zagadką. – George to George Smeaton?

Jack skinął głową. – Dorastaliśmy razem.

Kit próbowała poskładać fragmenty układanki, które wpadały jej do rąk.

– Stajenny Greshamów wyjaśnił mu, do kogo należy czarna arabska klacz. George przyszedł i powiedział mi o tym.

Kit rozmyślała gorączkowo, wypełniając puste miejsca, dopasowując brakujące fragmenty. Jeden szczególnie niepokojący fragment nabrał nagle niezwykłej wręcz wagi.

– Nadal nie wszystko pamiętam – zaczęła – lecz przypominam sobie, że była mowa o ślubie…?

Starała się, aby pytanie to zabrzmiało możliwie niewinnie, lecz kiedy brwi

Jacka uniosły się gwałtownie i arogancko, serce w niej zamarło.

– Naturalnie, zważywszy na okoliczności, będziemy musieli się pobrać.

Ani ton jego głosu, ani też błysk w szarych oczach nie sugerowały, by istniała inna możliwość.

Kit zamrugała. – Pobrać?

Tak po prostu? Wyjść za mąż za mężczyznę pokroju Jacka? Gorzej: za lorda pokroju Jacka? Na miłość boską! Nigdy już nie będzie mogła być sobą.

– Chwileczkę – powiedziała, starając się, aby jej głos brzmiał stanowczo. – Nie jestem pewna, co dokładnie się stało. Kiedy zdążyliśmy się zaręczyć?

– Jeśli chodzi o mnie – powiedział Jack groźnie, spoglądając na nią z błyskiem w oku – jesteśmy zaręczeni od chwili, kiedy błagałaś mnie, bym odebrał ci dziewictwo.

– Ach… – Kit poczuła się nieco zmieszana. Ten punkt nie podlegał kwestii. Spróbowała podejść go z innej strony.

– A kiedyż to wpadłeś na pomysł, aby się ze mną ożenić?

Jack spochmurniał i spróbował zbić ją z tropu, świadomy konsekwencji, jeśli odpowie nie tak, jak trzeba.

– Po tym, jak dowiedziałeś się, kim jestem?

Jack jeszcze bardziej spochmurniał.

Jego reakcja wystarczyła za odpowiedź. – Jeśli zdecydowałeś się na małżeństwo tylko po to, aby ocalić moją reputację, możesz o tym zapomnieć. – Usiadła. – Postanowiłam, że nie wyjdę za mąż, więc ta szarada nie jest w ogóle potrzebna.

Jackowi zabrakło słów, gdy sobie uświadomił, że Kit go odrzuca. – Szarada? – burknął w końcu. – Do licha z szaradami! Jeśli tak bardzo nie chcesz wychodzić za mąż – choć moim zdaniem, nie wiesz nic o małżeństwie – trzeba było pomyśleć o tym, zanim mi się oddałaś. Ty mi się zaoferowałaś, ja przyjąłem ofertę. Teraz za późno, by się rozmyślić. – Wsparł dłonie na biodrach i rozgniewany, wpatrywał się w Kit. – A na wypadek gdyby to jeszcze do ciebie nie dotarło, pozwól, że uświadomię ci, iż kobiety twego pochodzenia nie mogą oddawać się mężczyznom takim jak ja i oczekiwać, że zdołają potem urwać się z haczyka!

Oczy Kit miotały płomienie. – Do licha! Nie ma sensu, byś się ze mną żenił, skoro tego nie chcesz!

Jack o mało się nie zakrztusił. – A co to ma z czymkolwiek wspólnego? Oczywiście, że chcę się z tobą ożenić!

To na wpół wykrzyczane oświadczenie sprawiło, że obydwoje oprzytomnieli.

Jack zastanowił się i doszedł do wniosku, że powiedział wszystko, co należało. I tak musi się kiedyś ożenić. Chce ożenić się z Kit. Prawdę mówiąc, jeśli chodzi o niego, to oni już byli małżeństwem. Teraz chodziło tylko o to, by

przekonać Kit.

Kit obserwowała go z pochmurną miną. Lord Hendon szybko stawał się o wiele większym zagrożeniem, niż był nim kiedykolwiek kapitan Jack. Jack był aroganckim hultajem, który potrafił pobudzić jej zmysły jedną pieszczotą, wystarczająco sprawnym i odważnym, by związać ją i uprowadzić, kiedy nie chciała być mu posłuszna. Lecz nie istniało niebezpieczeństwo, że będzie musiała go poślubić. Lord Hendon posiadał wszystkie cechy Jacka, i to spotęgowane. Skoro Jack potrafił krzykiem wymusić posłuszeństwo, to podejrzewała, że wystarczy, aby lord Hendon uniósł swe dumne brwi, a ludzie natychmiast rzucali się wykonywać jego polecenia. Kit z trudem się powstrzymała, by głośno nie prychnąć. I on się spodziewał, że będzie chciała wyjść za takiego człowieka? Jak mógł tak sądzić?

Spojrzała wprost w srebrzystoszare oczy i w ich głębi dojrzała coś, co niemal zaparło jej dech. Nagle uświadomiła sobie, co oznacza jego czujne milczenie.

Chciał ją poślubić. Pragnął jej.

Zrzuciła raptownie przykrycie i spuściła nogi z łóżka. Zapomniała już, jak to jest, kiedy się jest obiektem polowania. A teraz, skoro znów się nim stała, wolała być przynajmniej w ruchu.

– Zostań w łóżku, Kit.

Rozkazujący ton Jacka dotknął Kit do żywego. Obrzuciła go piorunującym spojrzeniem, lecz nim zdążyła wyrazić oburzenie słowami, Jack powiedział: – Doktor Thrushborne niedługo przyjdzie do ciebie z wizytą, tak jak każdego ranka przez cały ubiegły tydzień.

– Tydzień? – powtórzyła Kit, spoglądając na Jacka z niedowierzaniem. To nie mogło trwać aż tak długo. – Jaki dziś dzień?

Jack musiał chwilę pomyśleć, nim sobie przypomniał. – Wtorek.

– Dobry Boże! Straciłam cały tydzień!

– Mogłaś stracić życie.

Rozważny, nieśpieszny ton jego głosu obudził czujność Kit.

Jack podszedł bliżej. Zatrzymał się przy łóżku, unieruchomił Kit nogi jednym ramieniem i pchnął ją z powrotem na poduszki, a potem okrył kołdrą.

– Żadnych więcej sztuczek, Kit. Na miłość boską, zostań w łóżku i rób to, co ci powie doktor Thrushborne. Historyjka, którą wymyśliliśmy…

Jack usiadł na łóżku i zapoznał Kit z wymyśloną przez siebie historią. Kit przysłuchiwała się, próbując nie zatracić do reszty poczucia rzeczywistości i przynajmniej pozorów normalności. Jednak nic już nie wydawało się takie samo.

Jack skończył opowiadać. – Elmina wkrótce tu będzie. Ja muszę teraz pojechać do zamku Hendon, lecz wrócę wieczorem.

Wstał, zastanawiając się, co jeszcze mógłby powiedzieć. Nie był pewny, czy

Kit pogodziła się z tym, że nie zdoła uniknąć małżeństwa, więc nie powiedział jej, jak prędko ma odbyć się ceremonia. Cóż, najwyższa pora, by ktoś przejął pieczę nad Kit Cranmer. A tym kimś jest on.

Kit, zaintrygowana i zaciekawiona zarazem, nie potrafiła wyzbyć się ponurej miny. Spojrzała na Jacka, górującego nad nią i nad łóżkiem. Ze zdumieniem dostrzegła, jak jego twarz rozjaśnia tak charakterystyczny dla niego leniwy uśmiech. Szybko się pochylił i pocałował ją w czoło, zmniejszając napięcie. A potem ujął Kit pod brodę i dotknął wargami jej ust w pocałunku, który miał w sobie ciepło i obietnicę.

Na koniec musnął leciutko jej włosy i wyszedł.

Kit opadła z jękiem na poduszki. Musiała pomyśleć.

Problem polegał na tym, że brakowało jej czasu.

Elmina weszła do pokoju, nim Jack minął podest. Kit, zaintrygowana faktem, że pokojówka tak szybko zaakceptowała pojawienie się w jej życiu mężczyzny, nie mogła się powstrzymać, by nie zadać Elminie paru pytań. To, czego się dowiedziała, wprawiło ją w tym większe zmieszanie. Najwidoczniej podczas jej choroby Jack przejął kontrolę nad biegiem spraw – i nad nią – a wszyscy, nawet Spencer, udzielili mu swego błogosławieństwa.

Nim zdążyła sobie uświadomić, jak się z tym czuje, pojawił się Spencer. Rozmowa okazała się bardziej nieprzyjemna, niż się spodziewała. Bardzo szybko okazało się, że Spencer wini siebie za to, że jego wnuczka wyrosła na kobietę tak niezależną i samowolną, co niepomiernie zirytowało Kit. Jej charakter był tylko jej sprawą. Sama musi dźwigać ten krzyż i nikt nie był winien temu, że jest, jaka jest.

Kochała Spencera właśnie za to, że nigdy nie próbował ściągać jej cugli. Teraz, nękana wyrzutami sumienia, potulnie zgodziła się wyjść za mąż. Przekonała Spencera, lecz kiedy wyszedł nieco uspokojony, zaczęła się zastanawiać, czy zdoła przekonać siebie.

Następnie na progu pojawił się doktor Thrushborne. Był zdumiony, widząc ją w tak dobrej kondycji. Zbadał ranę i stwierdził, że goi się dobrze. Zadowolony, pogratulował jej z okazji zbliżającego się ślubu, przekomarzając się z nią na temat pierwszego połogu. Pozwoliła mu na to, gdyż bardzo go lubiła.

Zgodził się, by Kit już opuściła łóżko, pod warunkiem że pozostanie w domu i nie będzie się przemęczała.

Właśnie dlatego, kiedy po południu przyjechały z wizytą Amy oraz pani Gresham, Kit leżała na sofie w salonie.

– Amy! – zawołała Kit, unosząc się gwałtownie. Natychmiast przypomniała sobie jednak o ranie i o tym, że nie ma pojęcia, jak dużo Amy wie. Czy George zwierzył się narzeczonej? Kit wahała się tak długo, że lady Gresham zdążyła wejść do salonu.

– Nie wstawaj, kochanie – powiedziała, pochylając się i nadstawiając do pocałunku policzek. – Całe hrabstwo już wie, jaka byłaś dzielna, opiekując się Spencerem. Przyjmuję, że ma się lepiej?

Kit skinęła głową, żywiąc gorączkową nadzieję, że Spencer pozostanie w swoich pokojach.

– Z przyjemnością muszę powiedzieć, że nastąpiła znaczna poprawa.

To przynajmniej było prawdą.

Lady Gresham zaczęła sadowić się w fotelu, układając wokół fałdy spódnicy. Kit uśmiechnęła się do Amy, która odpowiedziała uśmiechem, najwidoczniej nieświadoma, co się naprawdę działo. Być może George jest równie skryty jak Jack, pomyślała Kit.

– Doskonale – powiedziała lady Gresham uszczęśliwiona i się uśmiechnęła. – Wpadłyśmy tu w zeszłym tygodniu, a także wczoraj. Mam nadzieję, że doniesiono ci o tym. Pierwszy raz przyjechałyśmy po to, by przekonać się, jak sobie radzisz, a drugi, by ci pogratulować. Usłyszałyśmy nowiny w niedzielę i po prostu nie mogłyśmy się doczekać, aby to zrobić.

Kit za wszelką cenę starała się ukryć zdziwienie. Jakie nowiny? W niedzielę? Ogarnęło ją podejrzenie, że znów wpadła w zastawioną przez Jacka sieć.

– To było tak niespodziewane nagle usłyszeć zapowiedzi – powiedziała Amy, kładąc dłoń na ramieniu przyjaciółki. – Lord Hendon bardzo ładnie cię wytłumaczył, prawda, mamo?

– Jest taki czarujący – westchnęła lady Gresham – i tak zniewalająco przystojny. Zupełnie jak jego ojciec.

Kit odczekała, aż pokój przestanie wirować. Mogłaby opowiedzieć lady Gresham, jak bardzo czarujący potrafi być lord Hendon i jak niebezpiecznie przystojny.

– A jaki był jego ojciec? – spytała, by zyskać na czasie i opanować gniew. Jeśli zacznie krzyczeć, czym wytłumaczy swoją reakcję?

Lecz zapowiedzi? Do licha, jak udało mu się to przeprowadzić?

Wspomnienia lady Gresham na temat poprzedniego lorda Hendona były niczym w porównaniu z tym, co Kit mogłaby powiedzieć o jego potomku. Lecz zanim lady Gresham uświadomiła sobie, z kim rozmawia, i powściągnęła język, Kit zdążyła się już opanować.

Reszta wizyty upłynęła na wesołym omawianiu szczegółów ceremonii. Kit puściła wodze fantazji. Co innego mogła uczynić? Nie mogła powiedzieć lady Gresham, że zapowiedzi zostały odczytane bez jej zgody. Nawet gdyby to zrobiła, złożono by to na karb zmęczenia spowodowanego wytężoną opieką nad Spencerem. Poza tym, choć była na Jacka wściekła, nie zamierzała zrywać zaręczyn. Jack wyłożył jej swój punkt widzenia wystarczająco jasno. Była w pułapce. Równie dobrze może więc się uśmiechać i cieszyć tym, co ma

nastąpić.

Gdy wreszcie udało jej się oddalić na jakiś czas do ulubionej altanki pośród róż, gdzie zasiadła, spoglądając na czerwone smugi zachodu, barwiące niebo szkarłatem, pomyślała, że chyba wypracowała sobie właściwe nastawienie. Nie ma wyboru: musi poślubić Jacka. Już i tak o mało nie wywołała skandalu. Samodzielnie podejmowała decyzje i popełniała błędy na własny rachunek i dokąd ją to zaprowadziło.

Czy ślub z Jackiem zwiastował tak okropny los? Kit poruszyła się na ławce i uśmiechnęła bezwiednie. Perspektywa zostania lady Hendon nie była taka znów ponura. Poza tym Jack jest doskonałym kochankiem, więc fizyczną satysfakcję ma zagwarantowaną. Co więcej, wydawał się bardzo zainteresowany nauczeniem jej wszystkiego, co chciałaby wiedzieć. Tylko że Kit nie była bezmyślną panienką, którą oczarował przystojny mężczyzna. Znała Jacka zbyt dobrze. Jego władczość, jego przyzwyczajenie do wydawania rozkazów, upór, by wszystko szło po jego myśli – rozpoznała te cechy od razu. Były wystarczająco trudne u kapitana Jacka, przemytnika. U lorda Hendona, jej męża, mogą okazać się nie do przyjęcia.

I to ją martwiło.

Kit oparła przedramiona na parapecie i wtuliła twarz w rękaw. Żołądek ściskał jej się w ciasny supeł za każdym razem, gdy próbowała wyobrazić sobie, jak będzie się zachowywał Jack, gdy już zostaną mężem i żoną. Bardzo ceniła sobie świeżo odzyskaną wolność. Jako jej mąż Jack będzie miał większe niż ktokolwiek przed nim prawo, aby ją kontrolować. A on już czynił aluzje do tego, że nie podoba mu się samowola Kit – jeżeli nie bezpośrednio, to pośrednio. Jeśli za niego wyjdzie, będzie musiała pogodzić się z tym, że Jack pozostawi jej tylko tyle swobody, ile uzna za stosowne. Czy zdoła tolerować taką sytuację?

Pomyślała o Amy i o przysiędze, jaką złożyły sobie jeszcze w dzieciństwie. Wyjdzie za mąż z miłości albo wcale. Tylko czy kocha Jacka?

Zmarszczyła czoło. Skąd ma to wiedzieć? Nigdy przedtem nie była zakochana, ale i nie czuła do mężczyzny tego, co czuła do Jacka. Czy to właśnie jest miłość?

Prychnęła zdegustowana i odsunęła na bok to pytanie. I tak za niego wyjdzie.

Czy on ją kocha?

Jeszcze większa niewiadoma, lecz o wiele bardziej istotna. Pragnął jej, w to nie wątpiła nawet przez chwilę. Lecz miłość? Nie należał do osób, które przyznałyby się do takiej słabości. Tak właśnie wielu mężczyzn postrzega miłość, a kim ona jest, by ich krytykować? Za każdym razem, kiedy myślała o Jacku albo gdy ją całował, miękły jej kolana. Jednak to, że i Jack mógłby słabnąć z miłości, było po prostu nie do pomyślenia.

Czy będzie potrafiła sprawić, by ją pokochał? Nawet gdyby tak się stało, i tak pewnie nigdy by się nie przyznał. Czy potrafiłaby zmusić go również do tego?

To ci dopiero wyzwanie.

Uniosła brwi. Być może w ten sposób powinna postrzegać swoje małżeństwo: jako wyzwanie. Coś, co trzeba pochwycić i ukształtować na swoją modłę. Już ona dopilnuje, by Jack powiedział, że ją kocha.

Ciepły dotąd wiaterek pochłodniał, zwiewając z różanych krzewów resztki zapachu. Kit wpatrywała się w kwiaty, dopóki ich kontury nie rozpłynęły się w mroku. Była już prawie pora kolacji. Trzeba iść, stawić czoło przyszłości.

Uśmiechnęła się leciutko. Bez wątpienia pożycie z Jackiem okaże się wyzwaniem dla jej cierpliwości i opanowania. Lecz będą i nagrody. Już nie mogła się doczekać, by po nie sięgnąć.

– Mogłem się domyślić.

Odwróciła się przestraszona. Jack stał u wejścia do altanki, opierając się ramieniem o futrynę. Ponieważ zachodzące słońce znajdowało się za nim, nie mogła odczytać wyrazu jego twarzy.

– Elmina powiedziała, że Thrushborne kazał ci zostać w domu.

Kit już miała zapytać, jakim prawem ośmiela się kwestionować jej postępowanie, lecz w tonie Jacka nie było agresji. Prawdę mówiąc, w jego głosie dało się wyczuć wahanie, jakby nie był do końca pewny jej reakcji. Kit zmusiła się, by zrobić obojętną minę. Jeśli ma spędzić z tym mężczyzną resztę życia, nie od rzeczy będzie wykazać odrobinę taktu. Zgodnie z tym, co mówiła lady Gresham, nawet niewielka ilość tego towaru bardzo przydawała się w małżeńskim pożyciu.

– Byłam o mile stąd – powiedziała, przyglądając się, jak Jack zaciska szczęki, z najwyższym trudem powstrzymując się, by nie zapytać, o czym myślała. Kit pochyliła głowę, skrywając uśmiech. – Robi się chłodno. Właśnie miałam wracać.

Uniosła się, by wstać, a Jack momentalnie znalazł się przy niej. Kit była zadowolona, gdy ujął jej dłoń. Nie protestowała, gdy objął ją opiekuńczo ramieniem. To całkiem przyjemne uczucie, pomyślała, być traktowaną jak figurka z porcelany. Przynajmniej przez Jacka. Ruszyli z wolna przez ciemniejący ogród, gdzie woń róż mieszała się z zapachem drzewa sandałowego. Oto, co powinno było zwrócić jej uwagę dużo wcześniej. Perfumy o zapachu drzewa sandałowego, nieodłącznie kojarzące się z kapitanem Jackiem, nie mogły należeć do człowieka choćby umiarkowanie zamożnego. Lecz zapach był tak znajomy, że nie uznała tego za podejrzane.

Ciepło potężnego ciała tuż przy jej ciele uspokajało ją, a zarazem rozpraszało. Mimo iż była tak osłabiona, bliskość Jacka sprawiała, że puls Kit momentalnie przyśpieszał. Poczuła, że się jej przygląda. Uścisk jego ramienia

wzmógł się niedostrzegalnie. Kit wiedziała, że jeśli uniesie głowę, Jack przyciągnie ją do siebie i pocałuje.

Nie zrobiła tego jednak. Nie była jeszcze gotowa. Gdy ją całował, traciła rozum i mógł zrobić z nią, co tylko chciał. Potrzebowała czasu, aby przywyknąć do myśli, że za trzy tygodnie przez cały czas będzie znajdowała się w stanie owego szczególnego upojenia.

Kiedy wchodziła po schodach wsparta na ramieniu Jacka, zastanawiała się, czy wystarczy jej siły i charakteru, by być lady Hendon i jednocześnie pozostać sobą.

Rozdział 24

Zaślubiny Jonathona, lorda Hendona, i panny Kathryn Cranmer stały się w tej części Norfolk wydarzeniem roku. Na przykościelnym placu tłoczyły się kobiety ze wsi odległych nawet o kilka mil od małego kościółka w Docking, do którego od wieków uczęszczali zarówno Hendonowie, jak i Cranmerowie. Pokojówki z okolicznych domów przepychały się z żonami farmerów, walcząc o lepsze miejsca do obserwacji i wydawania rozlicznych „ochów" i „achów". Wszystkie zgadzały się co do tego, że pan młody – ubrany w surdut w kolorze butelkowej zieleni oraz spodnie o barwie kości słoniowej, z brązowymi włosami, związanymi czarną wstążką – nie mógł być przystojniejszy. Przybył wcześnie, co bardzo mu się chwaliło, i zniknął w kościele. Towarzyszył mu przyjaciel, pan George Smeaton ze Smeaton Hall.

Przerwa, która teraz nastąpiła, nie dłużyła się oczekującym, gdyż wypełniły ją rozkoszne plotki. Pan młody, jego chwalebna służba w armii oraz odziedziczony po przodkach tytuł zapewniały dość tematów do rozmów. Jedyne opowieści o pannie Kathryn pochodziły z czasów, gdy była jeszcze uczennicą. Lecz nawet i te były wystarczająco smakowite, by zadowolić najbardziej złaknione plotek osoby. Wszyscy zgadzali się przy tym, że nowa lady będzie musiała wyzbyć się skandalizującego zachowania. Gdy wreszcie wysiadła z powozu Cranmerów, spowita w obłok koronki w kolorze kości słoniowej, ozdobiona sznurami pereł, obecni wstrzymali oddech, a potem głęboko westchnęli z satysfakcją.

Gwar dochodzący z dziedzińca podpowiedział Jackowi, że Kit przybyła. Odwrócił się powoli i spojrzał na nawę. Kit zatrzymała się na chwilę w kruchcie, by zapłakana Elmina mogła poprawić długi tren. Przyglądał się, jak zmierza ku niemu wsparta na ramieniu Spencera. Uśmiechała się pogodnie pod welonem, zadarłszy brodę w sposób, który nauczył się rozpoznawać. Gdy się zbliżyła, Jack spojrzał jej w oczy i uśmiechnął się tak, że niepodobna było mu się oprzeć. Kit wyglądała doskonale. Perły zdobiły jej szyję, zwieszały się z uszu. Perłowe rozetki przytrzymywały na ramionach ciężki tren. Nawet stroik, utrzymujący na miejscu welon, skomponowany był z pereł. Lecz zdaniem Jacka żadna z nich nie mogła równać się z perłą, którą skrywała ślubna suknia.

Ceremonia była krótka i prosta. Żadne z głównych uczestników nie zawahało się, wypowiadając pewnym głosem słowa przysięgi, doskonale słyszalne dla zgromadzonej publiczności.

A potem pozostało już tylko stawić czoło gościom, ustawionym w szereg pomiędzy ołtarzem a powozem Hendonów. Gdy wszyscy złożyli im życzenia,

Jack pomógł Kit wsiąść i wskoczył za nią do powozu.

– Do Cranmer Hall, Matthew.

Woźnica odwrócił się i ku swemu zdumieniu Kit spostrzegła, że jest nim jak zwykle ponury Matthew.

– Tak, proszę pana – uśmiechnął się tym razem i skinąwszy Kit na powitanie głową, zaciął konie. Para szybkonogich gniadoszy błyskawicznie wywiozła powóz poza dziedziniec.

Jadąc wiejskimi dróżkami, zalanymi słońcem bądź poprzecinanymi pasami cienia, nie mieli czasu na rozmowę. Zbyt byli zajęci przyjmowaniem życzeń oraz pozdrowień ze strony wieśniaków i okolicznych mieszkańców zgromadzonych wzdłuż drogi. Dopiero gdy powóz skręcił w długi podjazd do Cranmer Hall, Jack mógł rozsiąść się wygodnie i okiem znawcy ocenić suknię panny młodej.

– Jak ci się to udało? – zapytał. To, że Kit wyczarowała tego rodzaju kreację, mając do dyspozycji tak mało czasu, zakrawało na cud.

– Należała do mojej matki – odparła Kit, spoglądając na wykończony perłowymi guziczkami rękaw z koronki. – Mama bardzo lubiła perły.

Jack uśmiechnął się krzywo. Dotąd nie kojarzył Kit z czymś tak kobiecym jak biżuteria. Ciekawe, jak będzie wyglądała w szmaragdach Hendonów, pomyślał. Muszą być gdzieś w zamku. Odnajdzie klejnoty i wyśle do Londynu, by je oczyszczono i na nowo oprawiono; ich dotychczasowa, bogato zdobiona oprawa nie pasowała do delikatnej urody Kit.

Postanowili, że ceremonia odbędzie się późnym popołudniem, po niej zaś nastąpi przyjęcie połączone z balem. Jack siedział na honorowym miejscu za stołem, przyglądając się, jak Kit oczarowuje znajomych. Jej ogładzie i towarzyskim zdolnościom nie sposób było czegokolwiek zarzucić. Od dnia, kiedy to znalazł ją wieczorem w altance, zachowywała się wzorowo, podtrzymując w ten sposób bajkę o zaręczynach. Nawet najbystrzejszy obserwator nie doszukałby się w jej zachowaniu śladu niekonsekwencji. Odgrywała swoją rolę tak dobrze, iż nawet Spencer zachowywał się teraz tak, jakby to małżeństwo było od dawna planowane, nie zaś wymuszone okolicznościami. Kit była spokojna i pewna siebie i choć nie demonstrowała przesadnej skromności, nic nie wskazywało, by znała swego męża w intymny sposób.

Co było, oczywiście, całkowitym oszustwem. Tylko on wiedział, że elegancka lady Hendon sztywnieje, ilekroć znajdzie się w pobliżu swego nowo poślubionego małżonka, tamując reakcje swojego ciała, które zwykle wzbudzała jego bliskość. Tylko on był świadomy, że unika jego wzroku, posługując się wszelkimi możliwymi kobiecymi sztuczkami, by to ukryć.

Zastanawiał się, czy postępuje tak świadomie.

Od tamtego wieczoru w altance zaledwie ją pocałował. Nie dała mu szansy

na nic więcej, on zaś, domyślając się, z czego wynika ów brak entuzjazmu dla ich związku, nie postarał się, by taką okazję stworzyć. Będzie dość czasu, by na powrót ją omotać, kiedy już się pobiorą, uznał.

Teraz byli małżeństwem i Jack zaczął gwałtownie tracić cierpliwość.

Poza tym nie spodziewał się, że Kit tak doskonale poradzi sobie w towarzystwie. Oczekiwał, iż będzie potrzebowała pomocy, aby wejść w rolę lady Hendon. Tymczasem stało się wręcz odwrotnie i rola ta pasowała do niej niczym druga skóra. Teraz rozumiał, dlaczego sąsiedzi tak gładko przełknęli bajeczkę o zaaranżowanym związku. Kit była doskonałą kandydatką, wręcz urodzoną i wychowaną do tej roli. Sześć lat spędzonych w Londynie jeszcze dodało jej poloru. Pomijając wszystko inne, sam fakt, iż przetrwała te lata nietknięta, stanowił najwyższą gwarancję, że nie jest jedną z tych kobiet, które nazywał w duchu pozłacanymi dziwkami z towarzystwa. Słowem: w jej zachowaniu czy postawie moralnej nie było niczego, co chciałby zmienić. Nie mógł jedynie znieść tego, że teraz trzymała go na dystans.

Pomyślał o chwilach, które spędzili w chacie. Stłumił wspomnienia, klnąc w duchu. Pociągnął kolejny łyk brandy i patrzył, jak jego żona rusza w tany z szlachcicem z jednego z sąsiednich dworów. Musiała zdawać sobie sprawę, że podoba mu się w nowej roli. Czyżby próbowała udawać, że do końca wyzbyła się samowoli, że ją poskromił?

Jack uśmiechnął się leniwie. Jeśli takie są jej zamiary, spotka ją nie lada niespodzianka. Może próbuje odgrywać potulną żonę, lecz głęboko w niej tli się żar. A on wie, jak zmienić go w płomień. Spojrzał na zegarek. Było wcześnie, lecz nie zbyt wcześnie. Zresztą, kto ośmieliłby się go krytykować?

Podniósł głowę i spojrzał ku miejscu, gdzie przy drzwiach siedziała Elmina. Dostrzegł, że skinęła głową i wymknęła się z sali. Jack przeprosił i odszedł od stołu.

* * *

Kit zaśmiała się z kolejnego kiepskiego dowcipu, stanowiącego ledwie zawoalowaną aluzję do seksualnej sprawności jej męża i zgrabnie sprowadziła rozmowę na bezpieczniejsze tory. W ciągu wieczoru nieraz okropnie ją kusiło, by dać się ponieść emocjom i powiedzieć droczącym się z nią gościom, jak wygląda prawda. A prawda była o wiele bardziej szokująca, niż mogli przypuszczać.

Muzyka ucichła, podziękowała więc majorowi Satterthwaite'owi i ruszyła przez pokój. Po chwili otoczyły ją miejscowe damy, z lady Gresham, Marchmont i Dersingham na czele. Rozmowa dotyczyła poważnego tematu odnowy wnętrz zamku Hendon. Kit słuchała jednym uchem, potakując w odpowiednich miejscach bądź wyrażając zdziwienie. Podczas pobytu w Londynie udoskonaliła sztukę konwersacji, która angażowała jedynie jej

usta, nie umysł. Tylko w ten sposób można było zachować zdrowy rozum w londyńskich salach balowych.

Cóż, damy nie wspominały przynajmniej o tym, co miało dziać się tej nocy w ich sypialni. Każda aluzja do nocy poślubnej jeszcze zwiększała zdenerwowanie Kit, zirytowanej tym, że reaguje tak irracjonalnie.

Dlaczego, u licha, miałaby denerwować się tym, co nastąpi? Co Jack mógłby zrobić – jej albo z nią – czego nie zrobił dotąd? Wspomnienia ich ciał splecionych w miłosnym uścisku powróciły, aby ją dręczyć. Uśmiechnęła się i przytaknęła słowom lady Dersingham, zastanawiając się w duchu, czy gorączka naprawdę pomieszała jej rozum.

A potem zobaczyła, że Jack zbliża się ku niej przez tłum, zatrzymując się od czasu do czasu, by porozmawiać z gośćmi, którzy domagali się jego uwagi. Jednak srebrzystoszare oczy wpatrywały się w żonę. Kit zaparło dech. Poczuła, że budzi się w niej znajome uczucie, iż jest zwierzyną tropioną przez myśliwego. Nie, to nie gorączka zaćmiła jej umysł.

Odwróciła wzrok od zbliżającego się nieubłaganie Jacka i spojrzała na miłą twarz lady Gresham, rozpaczliwie próbując wymyślić powód, który pozwoliłby jej zostać tu dłużej. Nie chciała jechać do swego nowego domu. Do zamku Hendon.

Gdy tylko Jack przyłączył się do nich, od razu zorientowała się, że nie ma na co liczyć. Wszystkie panie dosłownie rozpłynęły się w uśmiechach na dźwięk jego głębokiego głosu. Kit nie zadała sobie trudu, by próbować uniknąć tego, co nieuniknione. Zadarła wysoko brodę i skinęła grzecznie głową, kiedy zasugerował, że powinni opuścić przyjęcie.

– Tak, oczywiście, tylko się przebiorę. – Co powiedziawszy, uciekła na górę.

W sypialni czekała na nią niespodzianka. Zamiast nowej sukni podróżnej, którą poleciła przygotować, zobaczyła wspaniałą amazonkę z aksamitu w kolorze szmaragdu. Gdy weszła, Elmina właśnie wygładzała obfitą spódnicę sukni.

– Skąd to się wzięło? – spytała, podchodząc do łóżka.

– Lord Hendon przysłał ją dla ciebie, *ma petite*. Powiedział, byś ją włożyła. Czyż nie jest piękna?

Kit przyjrzała się sukni i uznała, że nie sposób nie zgodzić się z Elminą. Przez chwilę zastanawiała się, rozważając możliwości. Odruchowo chciała odmówić noszenia garderoby, którą wybrał dla niej mąż. Stłumiła impuls i postanowiła postępować ostrożnie. Amazonka oznaczała jazdę konną. Kit zsunęła z ramion ciężką ślubną suknię. Elmina pomogła jej zsunąć spódnicę przez biodra. Uwolniona z halek zasiadła przy toaletce, a pokojówka odpinała jej welon.

Nie rozmawiali o tym, jak dostaną się do zamku Hendon. Kit pozostawiła to Jackowi. Sądziła, że pojadą powozem. Amazonka świadczyła, że miało być

inaczej.

Kit poczuła przypływ entuzjazmu i poleciła Elminie się pospieszyć. Zwariowana nocna jazda to coś, czego potrzebuje, by pozbyć się tego głupiego drżenia. Ucisk w żołądku zelżeje, gdy tylko będzie mogła ruszyć galopem przez pola.

Obróciła się przed lustrem, aprobując gust męża. Jak to możliwe, że się domyślił? Uśmiechnęła się krzywo. Jack znał ją na tyle, by wiedzieć, że będzie wolała jechać konno, a w tych okolicznościach nie mogła odmówić założenia amazonki. Już kiedyś zauważyła, że Jack jest mistrzem manipulacji.

Gdy pojawiła się na szczycie schodów i spojrzała w dół, wyglądało to tak, jakby całe Norfolk zgromadziło się tego dnia w Cranmer Hall. Podbudowana świadomością, że wygląda dobrze, uśmiechnęła się do gości. Zeszła na dół, a zebrani rozstąpili się, tworząc rodzaj alei prowadzącej ku miejscu, gdzie czekał na nią Jack. Nawet z tej odległości Kit dostrzegła w jego oczach błysk uznania. Na twarzy Jacka malowała się też nieskrywana duma.

Widocznie udało jej się podziękować jakoś za życzenia gościom zgromadzonym u podnóża schodów, gdyż wydawali się zadowoleni, lecz ona mogła myśleć jedynie o Jacku. Gdy się zbliżyła, wyciągnął dłoń, a ona podała mu swoją, ledwie świadoma rozlegających się dookoła wiwatów. Potem Jack mocniej ścisnął rękę żony i wyprowadził ją na zewnątrz.

Niektórzy zauważyli strój Kit i zaczęli szeptać. Szepty zmieniły się w głośne okrzyki, gdy tłum, przepychając się w drzwiach, zobaczył dwa wierzchowce przestępujące niecierpliwie z nogi na nogę w blasku księżyca. Delia wyglądała niczym tańczący cień rozświetlony nieco bielą kwiatów, które ktoś wplótł w jej grzywę. Tuż obok niej pobłyskiwał blady bok Championa.

Kit odwróciła się do Jacka.

– Nie boisz się? – zapytał, unosząc pytająco brew.

Kit zaśmiała się nerwowo. Uśmiechając się, sprowadził ją ze schodów i pomógł dosiąść klaczy, a potem wskoczył na grzbiet Championa.

Tylko Spencer podszedł bliżej, by ich pożegnać. Pozostali goście zbyt obawiali się koni, które tańczyły, krzesząc podkowami iskry. Spencer wszedł pomiędzy wierzchowce i uścisnął dłoń Kit, a potem położył ją na łęku, poklepując na pożegnanie. Następnie odwrócił się do Jacka. – Opiekuj się nią, chłopcze.

Jack się uśmiechnął. – Obiecuję.

I to, pomyślał, obracając Championa, jest przysięga równie zobowiązująca, jak ta, którą złożył wcześniej w kościele.

Konie nie potrzebowały zachęty, gdyż spieszno im było opuścić hałaśliwy dziedziniec. Przyzwyczajone biec razem, ruszyły ochoczo, aby pokonać dzielące je od Hendon pięć mil. Podczas jazdy Jack nie odczuwał potrzeby rozmowy. Jedno spojrzenie na twarz Kit upewniło go, że ten błyskotliwy

pomysł stanowił mistrzowskie pociągnięcie.

Uśmiechnął się nieznacznie. Doskonale zdawał sobie sprawę, że zważywszy na stan, w jakim się znajdował, przebywanie w ciasnym powozie z Kit, ze świadomością, że natychmiast po przybyciu będą musieli stanąć przed zgromadzoną służbą, byłoby torturą.

Konna jazda była bezpieczniejsza.

Obok niego Kit rozkoszowała się powiewem wiatru na twarzy. Regularny stukot kopyt Delii uspokajał szalejący puls, aż wreszcie bieg jej krwi dostosował się do rytmu kroków klaczy. W powietrzu czuła podekscytowanie i atmosferę wspólnej przyjemności. Zerknęła na Jacka, a potem spojrzała przed siebie i się uśmiechnęła.

Pędzili przez noc, spowici miękkim blaskiem księżyca, który oświetlał im drogę. Ciemna bryła zamku Hendon pojawiła się przed nimi za szybko, zwiastując koniec odprężającej jazdy. Nerwy natychmiast dały znać o sobie. Zobaczyła nadbiegających stajennych. Jack pomógł jej zsiąść u podnóża schodów prowadzących do wielkich dębowych drzwi jej nowego domu. Ledwie dotknęła stopami ziemi, a już znalazła się z powrotem w jego ramionach.

Powstrzymała okrzyk i spojrzała na niego gniewnie.

Jack uśmiechnął się i wniósł żonę na schody, a potem przeniósł ją przez próg. Kit zamrugała, oślepiona mrowiem świateł, które powitały ich w holu. Ledwie Jack ją postawił, opanowała się i przystąpiła do pozdrawiania nowej służby.

Pamiętała jedynie Lovisa, i to słabo. Poznała go, kiedy w dzieciństwie była raz z wizytą w zamku. Jacka nie było wtedy w domu. Wielu spośród tutejszych służących miało rodzinę w Cranmer, więc Kit posuwała się z wolna wzdłuż długiego szeregu, zatrzymując się na chwilę, aby posłuchać o powiązaniach pomiędzy tutejszą służbą a ludźmi, którzy służyli w jej dawnym domu. Gdy wreszcie dotarła do końca szeregu i przyjęła dygnięcie zaspanej pomywaczki, usłyszała tuż za sobą głęboki głos Jacka.

– Czy mógłbyś odprowadzić lady Hendon do jej sypialni, Lovis?

Lovis skłonił się nisko. – Oczywiście, milordzie.

Kit stłumiła uśmiech, domyślając się, że ma do czynienia z tradycją, której najwidoczniej wypadało przestrzegać. Lovis ruszył przodem, przejęty powagą chwili. Kit poszła za nim krętą klatką schodową. Gdy doszli do zakrętu, z ulgą spostrzegła, że jej mąż pozostał na dole i rozmawia ze służącym; o ile zdołała zapamiętać, z głównym stajennym. Przekonanie, że Jack da jej nieco czasu, by mogła opanować nerwy, uspokoiło ją nieco i serce przestało tłuc się jej w piersi.

Proszę, Boże, niech wszystko odbędzie się spokojnie i powoli. Zbyt często ich powitanie przypominało pojedynek furii.

Pokój, do którego wprowadził ją Lovis, był ogromny. Zamek Hendon wzniesiono wokół pierwotnej wieży. Rozejrzawszy się dookoła, stwierdziła, że jej sypiania mogła kiedyś być częścią wielkiej sali. Solidne kamienne mury pokryte zostały tapetą, a potem pomalowane. Okna i drzwi ginęły niemal w grubych ścianach. Otwory okienne, pierwotnie niewielkie, powiększono, i Kit była pewna, że kiedy rankiem odsunie zasłony, jej oczom ukażą się widoki, z których słynął zamek. Jej zaspanym, sytym rozkoszą oczom.

Wzdrygnęła się i czym prędzej przystąpiła do oglądania mebli. Wszystkie były wspaniałe. Zatrzymała się przy łożu z czterema słupkami. Było olbrzymie, przykryte zieloną satynową kapą. Na wezgłowiu wyryto herb Hendonów.

Ciekawe, jakie to uczucie, leżeć nago na bladej satynie, pomyślała. Nagle przypomniała sobie, że nie ma tu żadnych ubrań. W panice rzuciła się ku wielkiej mahoniowej szafie i zaczęła otwierać drzwi i wyciągać szuflady. Znalazła kompletną garderobę – suknie, bieliznę, dodatki – wszystko starannie poskładane, jakby mieszkała tu od zawsze. Tylko że te rzeczy nie należały do niej. Jej bagaż był teraz gdzieś pomiędzy Cranmer a Hendon. Tam gdzie Elmina.

Zaintrygowana, wyjęła śliczną koszulę nocną z woalu. Strząsnęła ją i uniosła przejrzysty ciuszek. Natychmiast stało się jasne, że wybrał go jej mąż – dla niej.

Pomstując pod nosem na wszystkich lubieżników, zwinęła szokującą koszulę w ciasną kulę i wepchnęła z powrotem do szuflady. Wymacała następną i pomyślała, przestraszona: Chyba nie wszystkie będą takie?

– Co robisz?

Kit podskoczyła i odwróciła się, by spojrzeć na męża. Ku jej zaskoczeniu nie pojawił się od strony korytarza, lecz stał w progu drzwi, których przeznaczenia nie zdążyła jeszcze zbadać. Prawdopodobnie prowadziły do jego apartamentów. Przełknęła nerwowo. Uśmiech na twarzy Jacka sprawił, że motyle, które na dobre zagnieździły się jej w żołądku, zaczęły gwałtownie machać skrzydełkami.

– Eeee… Szukałam nocnej koszuli.

Jack uśmiechnął się szerzej i Kit pożałowała, że nie ugryzła się w język.

– Nie będzie ci potrzebna.

Oderwał się od drzwi i ruszył ku niej, a jego uśmiech z każdym krokiem stawał się bardziej diaboliczny. – Postaram się, by było ci ciepło.

– Eee…. Jack, zatrzymaj się! – Kit uniosła w panice dłonie. – Nie powinieneś posłać po pokojówkę?

Niemądre pytanie wywarło spodziewany efekt. Otrzeźwiło go, lecz także sprawiło, że spochmurniał, a jego oczy pociemniały.

Zatrzymał się pośrodku sypialni żony i wsparł dłonie na biodrach, by tym

łatwiej ją onieśmielić i zmusić do porzucenia tej głupiej pozy. Miał dosyć.

– Do diabła, kobieto! Co się z tobą dzieje? Na wypadek gdybyś zapomniała, przypominam, że doskonale wiem, jak cię rozebrać. Nie potrzebuję pokojówki, by mi pokazała, jak to zrobić.

Wygłosiwszy tę deklarację, ruszył ku niej, ale zatrzymał się, kiedy zobaczył w oczach Kit niekłamane przerażenie.

Co się z nią dzieje? Kit sama chciałaby to wiedzieć. Gdyby przyszedł do niej jako kapitan Jack, w sekundę znalazłaby się w jego ramionach. Kochanie się z kapitanem Jackiem było łatwe. Może dlatego, że wspólna przyszłość nie wchodziła w grę.

Jednak nie było sposobu, by mogła uznać mężczyznę, który stał teraz pośrodku jej sypialni, za kapitana. Wyglądali tak samo, lecz na tym kończyło się podobieństwo. To był lord Hendon, jej mąż. Doskonały krój jego surduta, delikatny materiał koszuli, błyszczące, starannie uczesane włosy, a zwłaszcza sygnet z szafirem, połyskujący na prawej ręce, to wszystko podkreślało jeszcze różnicę. To był mężczyzna, którego poślubiła, którego przysięgła szanować i być mu posłuszną. To był mężczyzna, który, począwszy od dzisiejszego wieczoru, miał stać się dla niej wszystkim. Mężczyzna, który miał nad nią władzę, jakiej nie miał nikt przedtem. Nic dziwnego, że nie była w stanie kochać się z nim tak, jak kochała się z kapitanem Jackiem.

To po prostu nie było to samo. On nie był tym samym człowiekiem. Z ust Kit dobyło się drżące westchnienie. Nieważne, co myślał o tym Jack: ona nigdy dotąd się z nim nie kochała.

Jack przyglądał się, jak miotające Kit uczucia odbijają się na jej twarzy, i jego konsternacja rosła. To niemożliwe, by Kit się denerwowała. Z drugiej strony nie zauważył dotąd, by była aż tak znakomitą aktorką. Tymczasem jej zogromniałe nagle oczy były niczym jeziora pełne lęku. Palce zacisnęła na drzwiach szafy tak mocno, że pobielały jej kostki. A kiedy zadrżała, porzucił niedowierzanie i przyjął do wiadomości oczywisty fakt: Kit była zdenerwowana.

– Do licha!

Ruszył w kierunku łóżka, przeczesując dłonią włosy. Bezwiednie pociągnął przy tym za koniec czarnej wstążki, rozwiązał ją i rzucił na podłogę. Długie pasma włosów opadły mu na ramiona. Zerknął na Kit, która tkwiła jak skamieniała obok szafy. Jeśli była zdenerwowana, mógł tylko mieć nadzieję, że nie spuści wzroku z jego twarzy i nie popatrzy na wypukłość, która psuła doskonałą linię jego spodni. A niech to diabli! Zanosiło się na to, że będzie musiał wykazać się cierpliwością, a nie był wcale pewny, czy go dziś na to stać.

– Chodź tutaj – powiedział, starając się ukryć, jak bardzo jej pożąda. Jednak udało mu się to tylko po części.

Panika znów ogarnęła Kit, lecz kiedy Jack wyciągnął dłoń, skinąwszy na nią władczo, zawahała się, a potem podeszła i wsunęła w jego dłoń drżącą rękę. Jack natychmiast przyciągnął ją do siebie i mocno przytulił.

– Odpręż się – szepnął prosto w miękkie loki tuż przy jej uchu. Teraz, gdy była tak blisko, jasno zdawał sobie sprawę, jak bardzo jest zdenerwowana. Stała sztywno w jego ramionach, drżąc z napięcia. Nie był na tyle głupi, by domagać się wyjaśnień. Zamiast tego jego usta odnalazły miejsce, gdzie tuż pod jej uchem bił puls.

Kit zadrżała, zastanawiając się, jak zdoła przetrwać tę próbę. Tymczasem usta Jacka pieściły jej policzki i linię brody. Uświadomiwszy sobie, że nie zostanie natychmiast pożarta, odprężyła się nieco w cieple jego uścisku i pozwoliła, by zaczął ją całować.

Kiedy jej wargi rozchyliły się bezwiednie, Jack z najwyższym trudem zmusił się, aby zapanować nad swoim ciałem. Do licha! W co on się znowu wpakował? Wyglądało na to, że będzie musiał obchodzić się z nią jak z jajkiem, a to przecież tamte naturalne reakcje Kit podczas ich wcześniejszych miłosnych potyczek doprowadzały go do szaleństwa. Za każdym razem, gdy wydawało mu się, że doprowadził do tego, iż ich stosunki przybrały określony kształt, Kit wynajdywała nowy sposób, aby go dręczyć. Westchnął w duchu i przystąpił do uwodzenia swojej nowo poślubionej żony.

Tymczasem Kit, nieświadoma, ile sprawia mu kłopotu, poczuła, jak węzeł w jej żołądku się rozluźnia. Jack gładził teraz leniwie jej ukryte bezpiecznie pod ubraniem ciało, pieszcząc bez pośpiechu językiem miękki kontur jej ust, jakby zamierzał spędzić na tym odurzającym zajęciu całą noc. Wiedziała, że tak się nie stanie, ale i tak czuła się pewniej. Całował ją coraz bardziej namiętnie, a jego pieszczoty stały się tak intymne, że wreszcie Kit, rozgrzana i podniecona, z ochotą zsunęła z ramion żakiet. Przysunęła się jeszcze bliżej i przycisnęła obolałe z pożądania piersi do jego klatki piersiowej. Jack ugniatał dłońmi jej plecy, przyciskając ją do siebie i ustawiając tak, by jej uda znalazły się naprzeciw jego ud. Czuła na brzuchu jawny dowód jego pożądania. Uświadomiła sobie, że w jej wnętrzu rodzi się znajoma tęsknota.

To, co nastąpiło później, było niczym starannie wyreżyserowana podróż w krainę rozkoszy. Jack trzymał na wodzy swe pożądanie i nie popuścił sobie cugli nawet wtedy, gdy Kit leżała pod nim naga, dysząc z pożądania, z rozrzuconymi szeroko nogami i zapraszająco uniesionymi biodrami. Zanurzył się w jej ciepłym wnętrzu, zaciskając zęby, aby zachować panowanie nad sobą i przysięgając sobie, że da jej noc miłości, jakiej Kit nigdy nie zapomni.

Wypełnił ją i Kit westchnęła głęboko. Zamknęła oczy, rozkoszując się uczuciem bycia posiadaną. Jej skóra była teraz o wiele wrażliwsza, nabrzmiałe piersi bolały, a ciało domagało się spełnienia. Gdy Jack poruszył się w niej,

zagryzła wargi i pozostała nieruchoma, uzmysławiając sobie jego siłę, jego twardość i moc jego pożądania. A potem zaczęła poruszać się wraz z nim, ulegając własnej potrzebie, karmiącej, a zarazem kojącej jego pożądanie. Objęła go ramionami, oplotła nogi wokół jego bioder i poddała się rytmowi miłości. Ich ciała płonęły, rozgrzane i śliskie. A kiedy spełnienie było tuż-tuż, Kit westchnęła i poddała się żarowi namiętności i oszałamiającemu, spalającemu wszystko wokół płomieniowi rozkoszy.

Gdy potem leżeli zaspokojeni w swoich ramionach, a Jack czuł, jak zanikają ostatnie spazmy rozkoszy Kit i z wolna ogarnia ją błoga senność, nagle wstrząsnęło nim uczucie zaborczego triumfu. Kit jest jego. Odzyskał swoją nieposkromioną kobietę. I nigdy nie pozwoli jej odejść.

Westchnąwszy z zadowolenia, pogłębionego jeszcze satysfakcją z dobrze wykonanego zadania, odwrócił się na bok, nie wypuszczając z ramion Kit i delikatnie przytulając ją do siebie.

Kit, w połowie drogi z raju, poczuła, że Jack zmienia pozycję, jednak rozkoszne zmęczenie nie pozwoliło jej zaprotestować. Zapomniała już, jak to jest stracić zdolność myślenia, poddać się namiętności, zatracić w zmysłowej rozkoszy. Chciała, by pierwszy akt małżeńskiej miłości odbył się spokojnie i powoli, i tak właśnie się stało. Kochanie się z Jackiem stanowiło silny narkotyk, a ona zdążyła się już od niego beznadziejnie uzależnić. Nie było sensu temu zaprzeczać, a więc równie dobrze może zaakceptować to uzależnienie i potraktować je jak wyrok losu, któremu trzeba się podporządkować.

Kto wie, co gotuje im przyszłość. Po dzisiejszej nocy, cokolwiek się stanie, będzie musiała stawić czoło świadomości, że tylko jeden mężczyzna może otworzyć dla niej drzwi raju.

Jej mąż. Jack, lord Hendon.

Rozdział 25

Następnego ranka Kit weszła do pokoju śniadaniowego zawstydzona, że jest już tak późno. Nie miała zwyczaju zmuszać służby, by na nią czekała, zaspała jednak, wyczerpana sposobem, w jaki mąż postanowił ją obudzić.

To, że Jack spoglądał na nią znacząco i uśmiechał się leniwie, nie pomogło Kit w odzyskaniu pewności siebie. Usiłując zachować godność, podeszła do kredensu i zajęła się nakładaniem potraw, modląc się w duchu, aby rumieniec na jej policzkach uszedł uwagi rozpustnika, siedzącego przy drugim końcu stołu.

Sądziła, że do tej pory Jack zdąży już wyjść z domu – by zająć się tym, czym zazwyczaj zajmują się dżentelmeni – jednak na wszelki wypadek założyła nową suknię w ulubionym kolorze pierwiosnka. Miała nadzieję, że Jack to doceni. On sam wyglądał jak zwykle obrzydliwie przystojnie, gdy tak spoczywał rozparty wygodnie na krześle, trzymając długimi palcami uszko filiżanki i zerkając na rozpostartą przed sobą wczorajszą gazetę.

Kit odwróciła się, trzymając w dłoniach talerz. Problem, gdzie powinna usiąść, został natychmiast rozwiązany przez Lovisa, który odsunął dla niej krzesło przy drugim końcu stołu. Ignorując męża, usiadła i wzięła do ręki widelec. Kątem oka dostrzegła, że Jack odprawia Lovisa niedbałym machnięciem dłoni.

Odczekał, aż za kamerdynerem zamkną się drzwi, a potem zauważył: – Cieszy mnie, że odzyskałaś apetyt.

Kit spojrzała na swój talerz i dopiero teraz uświadomiła sobie, że znajduje się na nim solidna porcja ryżowego placka, dwa wędzone śledzie, porcja nerek i bekonu. Na wierzchu placka leżał plaster szynki, a na nim kopczyk pikli. Przekrzywiła głowę na bok, jeszcze raz przyjrzała się talerzowi i powiedziała: – Cóż, jestem głodna.

To jego wina, że czuje taki głód, więc nie powinien się z nią przekomarzać.

– Właśnie widzę.

Kit spojrzała na męża akurat na czas, by dostrzec w jego oczach błysk zadowolenia z siebie, nim przybrały bardziej niewinny wyraz. Żałowała, iż nie może powiedzieć lub zrobić czegoś, co usunęłoby ten błysk z jego spojrzenia.

Widząc, że Kit nadal się w niego wpatruje, Jack uniósł brwi i z fałszywą troską powiedział: – Musisz jeść, aby podtrzymać siły. Podejrzewam, że rola lady Hendon okaże się bardziej męcząca, niż się spodziewałaś.

Kit spojrzała na niego ostrzegawczo płonącymi z gniewu oczami. Jack roześmiał się, a potem odstawił filiżankę, wstał, okrążył stół i podszedł do niej. – Nie zamierzałem zostawiać cię samej tak szybko, lecz muszę pędzić,

rozejrzeć się nieco po polach. Wrócę około południa.

Kit przypomniała sobie poranne zajęcia i ugryzła się w język, choć miała ochotę poprosić, by Jack wziął ją ze sobą. Spojrzała na niego, starając się zachować obojętną minę.

– Pani Miles oprowadzi mnie dziś po domu. Z pewnością będę tak przejęta, że nawet nie zauważę, że cię nie ma.

Jack próbował zachować powagę, lecz nie udało mu się. Zagrzmiał głośnym śmiechem. Wsunął palec w loki przy uchu Kit i szepnął: – Nieważne. Dlaczego nie miałabyś wykorzystać tego czasu, by zastanowić się nad bardziej interesującymi aspektami, wynikającymi z bycia lady Hendon? Gdy wrócę, będziemy mogli o tym podyskutować…

Kit zesztywniała. Jack z pewnością nie miał na myśli..?

Tymczasem Jack przesunął palce na bardziej wrażliwą skórę pod jej uchem. W ślad za palcami powędrowały wargi, pozostawiając drażniący ślad szybkich pocałunków. Nim Kit zdążyła ochłonąć, uniósł jej brodę, pocałował ją w usta i wyszedł.

Tłumiąc zgoła niegodne damy przekleństwo, otrząsnęła się, by zapomnieć o rozkosznym dreszczu, który przebiegł jej po skórze, westchnęła głęboko i zaczęła jeść.

Ranek upłynął jej na nieuchronnym i uroczystym zapoznawaniu się z obowiązkami pani na zamku Hendon.

Służba, zadowolona, że ich pan wybrał na małżonkę damę z okolicy, okazywała jej przychylność. Kit odziedziczyła umiejętność prowadzenia domu po babce, toteż rozmawiała ze służbą w sposób, który zaowocował wzajemnym zrozumieniem. Nim minęło południe, dzierżyła już ster mocno w dłoniach.

Jack nie wrócił na lunch. Kit, przyzwyczajona zadowalać się własnym towarzystwem, spacerowała trochę po ogrodzie, a potem, znudzona tak umiarkowanym wysiłkiem, poszła na górę, by przebrać się w swój nowy strój do konnej jazdy. Dzień był ładny, wiał lekki wiatr. Czyż mógłby być lepszy sposób spędzenia popołudnia niż konna przejażdżka po włościach jej męża?

Stajnie były olbrzymie. Budynki postawiono wokół dwóch łączących się ze sobą dziedzińców. Kit przeszła wzdłuż boksów, szukając Delii. Z drugiego dziedzińca nadszedł główny stajenny. Spostrzegłszy Kit, zbliżył się pośpiesznie, ściągając z głowy czapkę. – Dzień dobry, jaśnie pani.

Kit czekała, by ją zapytał, w czym może pomóc. Lecz widząc, że stoi, mnąc w dłoni ze zdenerwowania nakrycie głowy, zlitowała się nad nim.

– Chciałabym dosiąść mojego konia, jeśli można. Czarna klacz.

Ku zaskoczeniu Kit mężczyzna mocniej ścisnął czapkę i wydawał się jeszcze bardziej zmieszany. Kit zmarszczyła brwi. Jej dobry humor ulotnił się, zastąpiony paskudnym podejrzeniem. – Gdzie Delia?

– Pan kazał zaprowadzić ją na tylny padok, milady.

Kit wsparła dłonie na biodrach. – A gdzie jest ten padok?

Stajenny machnął dłonią, wskazując południe. – Za tamtymi wzgórzami.

Zbyt daleko, by dotrzeć tam na piechotę. Nim Kit zdążyła zadać następne pytanie, stajenny dodał: – Pan powiedział, że można ją przyprowadzić tylko wtedy, gdy on sam wyda takie polecenie.

Kit zawrzała gniewem. Nie było jednak sensu wyżywać się na stajennym; on tylko wykonywał polecenia. To osobę, która wydała te polecenia, należało złajać i Kit miała na to wielką ochotę. Odwróciła się na pięcie i powiedziała: – Powiadom mnie, gdy tylko lord wróci do domu.

– Jeśli pani mi wybaczy, milady, lord wrócił dziesięć minut temu.

Oczy Kit zabłysły. – Dziękuję… Martins, prawda?

Stajenny się skłonił.

Kit podziękowała mu wymuszonym uśmiechem i pomaszerowała z powrotem do domu.

Znalazła Jacka w bibliotece. Weszła do pokoju i odczekała, aż Lovis zamknie za nią drzwi. Dopiero wtedy podeszła do męża. Stał za swoim biurkiem z arkuszem papieru w dłoni. Spojrzała na niego i natychmiast uświadomiła sobie, że wszelkie próby ukrycia gniewu są z góry skazane na niepowodzenie. Nabrała do płuc powietrza, lecz Jack natychmiast przejął inicjatywę.

– Przykro mi, że nie było mnie na lunchu. Jak tam obchód domu? Rzucił papier na suszkę i obszedł biurko.

Kit, zbita z tropu tym zwyczajnym pytaniem, zamrugała, a potem uświadomiła sobie, że Jack się zbliża. Na pewno chce ją pocałować. Natychmiast cofnęła się za krzesło.

– Eee… dobrze. Co zrobiłeś z moją klaczą?

Widząc, że atak z flanki się nie powiódł, Jack odwrócił się i stawił jej czoło. Przez chwilę przyglądał się żonie, aby ocenić, jak bardzo jest rozgniewana. Fakt, że schroniła się za krzesłem, świadczył, iż Kit nie czuje się zbyt pewnie. – Odesłałem ją na padok dość duży na to, by mogła swobodnie rozprostować nogi.

– Rozprostowuje nogi wystarczająco często. Jeżdżę na niej codziennie.

– Czas przeszły.

Kit zmarszczyła brwi. – Przepraszam?

– Jeździłaś na niej codziennie.

Widząc, że nie zanosi się na dalsze wyjaśnienia, zacisnęła zęby i zapytała: – Co chcesz przez to powiedzieć?

– Od teraz będziesz jeździła na Delii tylko wtedy, gdy ja będę przy tobie. Poza Championem nie ma w okolicy wierzchowca, który mógłby równać się z tą czarną błyskawicą, którą ty nazywasz koniem. Nie obarczę moich

stajennych niewykonalnym obowiązkiem dotrzymania ci kroku. A zatem albo będziesz jeździła ze mną, albo zadowolisz się spokojniejszym wierzchowcem i będziesz brała ze sobą stajennego.

Kit nie wiedziała dotąd, jak to jest czuć się jak balon, z którego wypuszczono powietrze, lecz teraz tak właśnie się czuła. A przy tym była tak wściekła, że nie wiedziała, który punkt zaatakować najpierw.

Oczywista riposta – że Delia to jej klacz – spotkałaby się z równie oczywistą odpowiedzią. Ponieważ była jego żoną, wszystko, co posiadała, należało do niego. Lecz jego nakazy były oburzające. Oczy Kit zabłysły niebezpiecznie.

– Jonathonie – powiedziała, używając po raz pierwszy pełnej wersji jego imienia – jeżdżę konno, od kiedy nauczyłam się chodzić. Tu, na wsi, jeździłam sama przez całe życie. Nie będę…

– Postępowała dalej w ten wysoce niestosowny sposób.

Kit przygryzła język, aby nie zacząć krzyczeć. Wypowiedziane obojętnym tonem oświadczenie zabrzmiało o wiele groźniej, niż kiedykolwiek brzmiały tyrady Spencera. Odetchnęła głęboko i starając się, aby jej głos brzmiał rozsądnie, powiedziała: – Wszyscy w okolicy wiedzą, że jeżdżę sama. Nikogo to nie obchodzi. Kiedy jadę na Delii, jestem bezpieczna. Jak zdążyłeś już zauważyć, nikt nie jest w stanie mnie dogonić. Żadnego z naszych sąsiadów nie oburza to, że jeżdżę sama.

– Żaden z sąsiadów nie wyobraża sobie, że będę ci na to pozwalał.

Kit z trudem przełknęła przekleństwo, które cisnęło się jej na usta. Mąż nadal wpatrywał się w nią z życzliwą obojętnością, pewien, że i tak wygra w tej małej potyczce. Nie miała teraz do czynienia z Jackiem. To był Jonathon, lord Hendon, i będzie musiała nauczyć się, jak sobie radzić z tą stroną jego osobowości.

Spróbowała od innej strony. – Dlaczego?

Jack nie miał w zwyczaju się tłumaczyć, tym razem czuł jednak, że dobrze będzie wyjaśnić swoje stanowisko. Dopiero zaczynał poskramiać Kit i z pewnością nie zaszkodzi, jeśli będzie znała powody jego postępowania. – Po pierwsze, jesteś teraz lady Hendon, więc twoje postępowanie stanie się punktem odniesienia i wzorem dla innych. Jestem pewien, że gdybym ja nie zwrócił ci na to uwagi, zrobiłaby to lady Marchmont i jej towarzyszki.

Przerwał, by implikacje tego, co powiedział, dobrze zapadły Kit w pamięć. Podszedł od niechcenia do krzesła, za którym się schroniła, i mówił dalej: – Poza tym troszczę się o twoje bezpieczeństwo.

Kolejna pauza sprawiła, że udało mu się zmusić ją, by spojrzała mu w oczy. – A nie uważam samotnych przejażdżek po okolicy za dostatecznie bezpieczny sposób spędzania wolnego czasu.

Czy naprawdę chodziło mu o jej dobro? Kit otworzyła usta, lecz Jack podniósł dłoń, by ją uciszyć.

– Oszczędź mi argumentów, Kit. Nie zmienię zdania. Spencer pozwalał ci jeździć samotnie o wiele za długo. On sam pierwszy by to przyznał.

Kit zesztywniała, kiedy wzrok Jacka prześliznął się po jej smukłej sylwetce. Uśmiechnął się ledwie dostrzegalnie i powiedział: – Nie jesteś już dzieckiem, moja droga. Prawdę mówiąc, stanowisz nader smakowity kąsek. Nie chciałbym, by ktoś inny go próbował.

Uniósłszy arogancko brew, czekał na jej komentarz. Kit zagryzła wargi, a potem wypaliła: – Gdybym była w bryczesach, żaden mężczyzna nie spojrzałby na mnie więcej niż raz.

Jack uśmiechnął się szerzej i Kit poruszyła się niespokojnie. Uśmiech Jacka był niepokojący, ponieważ uśmiechały się tylko jego usta, nie oczy. – Jeśli kiedykolwiek natknę się na lady Hendon w bryczesach, wiesz, co zrobię?

Aksamitny ton jego głosu sparaliżował Kit. Nie mogła oderwać wzroku od oczu Jacka, a gdzieś we wnętrzu jej ciała zaczęły pełgać małe płomyki. Powoli, niczym zahipnotyzowana, potrząsnęła głową.

– Gdziekolwiek wtedy będziemy, we wnętrzu czy na dworze, z największą rozkoszą ściągnę z niej rzeczone bryczesy.

Kit przełknęła.

– A potem…

– Jack! – zawołała, rzucając mu pochmurne spojrzenie. – Przestań! Próbujesz mnie przestraszyć?

Jack uniósł brwi, a potem wyciągnął rękę i nim Kit zdołała temu zapobiec, odsunął krzesło i przyciągnął ją do siebie. Schwytana w pułapkę jego ramion, spojrzała mu w oczy, czując, jak przyśpiesza jej puls. Jack uśmiechnął się zdecydowanie szatańsko i zapytał: – Doprawdy?

Kit za Boga nie byłaby w stanie określić, czy żartował sobie z niej, czy też nie.

– Wypróbuj mnie, jeśli mi nie wierzysz.

Wyzwaniu towarzyszyło spojrzenie, które natychmiast przekonało Kit, że lepiej będzie nie sprawdzać, czy Jack naprawdę blefuje.

– Ale ja potrzebuję ruchu i ćwiczeń fizycznych – powiedziała, wygładzając mu klapy.

Gdy tylko to powiedziała, natychmiast uświadomiła sobie, że popełniła błąd. Jej oczy się rozszerzyły. Za skarby świata nie spojrzałaby teraz na Jacka.

Jack milczał przez dłuższą chwilę, a kiedy Kit była już bardzo zdenerwowana, zapytał z umiarkowanym zainteresowaniem: – Doprawdy?

Kit nie zamierzała odpowiadać.

– Będę miał to na względzie, moja droga. Jestem pewien, że uda mi się wymyślić parę nowych sposobów gimnastyki.

Kit nie wątpiła w to. Przekonanie w jego głębokim głosie świadczyło, że on także. Kit przypomniała sobie maksymę lady Gresham: Jeśli wszystko inne

zawiedzie, spróbuj się przymilać.

– Jack…

Lecz on tylko potrząsnął głową. – Daj spokój, Kit. Nie zmienię zdania.

Kit spojrzała w jego poważne teraz oczy i uznała, że nie zdoła go przekonać. Westchnęła z rezygnacją i skrzywiła się sfrustrowana.

Pocałował jej odęte wargi. I nie przestawał ich całować, dopóki nie uległa. Czując, jak opuszcza ją zdolność logicznego myślenia, bohatersko przeklęła w myślach wszystkich władczych mężczyzn, po czym z rozkoszą poddała się akurat temu jednemu.

Przez resztę dnia wypracowała sobie nastawienie, które było przykładem posłuszeństwa żony. Cała była na tak. Mąż nalegał, ona ustępowała. Jeśli nie może wygrać na całej linii, postara się przynajmniej uzyskać jak najwięcej. Niestety, Jack przejrzał jej zamiary. A kiedy wykorzystał nową potulność Kit i skłonił ją do wyrażenia zgody, by wcześnie udali się na spoczynek, Kit nagle wróciła do swego zwykłego, zadziornego sposobu bycia. Tylko że było już za późno.

Czas jej zemsty nadszedł, gdy w dwa dni później wynikła kwestia dokonania zakupów w Lynn. Szybko stało się jasne, że Jack z niechęcią myśli o tym, że mógłby stracić ją z oczu choćby na kilka godzin. Kit wzruszyła tylko ramionami i powiedziała: – Jeśli chcesz wybrać się ze mną, proszę bardzo, nie mam nic przeciwko temu. – Nie podnosząc wzroku, wpatrywała się w rękawiczki, które właśnie zapinała. – Chociaż nie wyobrażam sobie, jak zdołasz przetrzymać wszystkie te wizyty, które będę musiała złożyć w najbliższych tygodniach. Z drugiej strony, damy z pewnością byłyby zachwycone, gdybyś mógł mi towarzyszyć.

Wygrała walkowerem, lecz kiedy schodziła z frontowych schodów, zobaczyła, że obok powozu stoi nie jeden, lecz dwóch lokajów. Zawahała się na chwilę, zaskoczona widokiem, lecz zdążyła już zmądrzeć na tyle, że potrafiła cieszyć się zwycięstwem, chociaż nie było całkowite. Lokaje chodzili za nią krok w krok podczas całego pobytu w mieście.

Pomimo tych paru kwestii spornych, pierwszy tydzień jej małżeńskiego pożycia upłynął bez większych wstrząsów. Siedząc przed kominkiem w bibliotece, ziewnęła i oddała się jednemu ze swoich ulubionych zajęć: obserwowaniu, jak brązowe włosy jej męża połyskują złotem w świetle lampy. Jack siedział za ustawionym w rogu pokoju wielkim biurkiem, przeglądając księgi. Ich stosunki nabrały pewnej rutyny, co było Kit na rękę. Po tylu spędzonych samotnie latach dobrze było wiedzieć, kiedy Jack pozostanie z nią, a kiedy pozwoli jej umysłowi odzyskać dostateczną jasność, by mogła stawić czoło bardziej światowym obowiązkom lady Hendon. Ku swemu zdumieniu, szybko doszła do wniosku, iż życie małżeńskie jednak jej odpowiada.

Dzień Kit zaczynał się o świcie, choć nie wstawała z łóżka przed dziewiątą.

Jej nawyk jeżdżenia konno przed śniadaniem umarł śmiercią naturalną, gdyż zastąpiły go miłosne zmagania z Jackiem. On sam nadal jeździł wcześnie, choć Kit nie była w stanie sobie wyobrazić, jak znajduje na to siłę. Po krótkiej drzemce wstawał, podczas gdy Kit leżała rozciągnięta wygodnie pod zielonym przykryciem, czując miłe znużenie, niezdolna się poruszyć, a co dopiero myśleć. W końcu wstawała, kąpała się, ubierała i zjadała śniadanie – zazwyczaj sama – a potem omawiała z panią Miles bieżące obowiązki i wydawała polecenia. Czas przed obiadem zajmowały jej wyprawy do spiżarni, pralni, kuchni czy ogrodów. Jack zwykle przyłączał się do niej w porze lunchu, potem zaś, każdego dnia poza jednym, towarzyszył jej podczas przejażdżki, jeśli tylko miała na to ochotę. Przyjęła jego propozycję, wdzięczna, że nie musi zaniechać codziennych przejażdżek na Delii.

Pewnego popołudnia, gdy Jacka wezwano do Hunstanton, Kit przełknęła dumę i poprosiła, by osiodłano dla niej klacz, którą wybrał Jack. Eskortowana przez starszego stajennego, wybrała się do Gresham Manor.

Nowo poślubionych małżonków pozostawiano zwykle na kilka tygodni w spokoju, by mogli przywyknąć do zmiany trybu życia. Potem należało rozpocząć wizyty towarzyskie. I uczestniczyć w proszonych kolacjach. Kit wiedziała, czego się spodziewać, i perspektywa prowadzenia ożywionego życia towarzyskiego jej nie przerażała. Zastanawiała się jednak, jak jej niechętny tego typu rozrywkom mąż da sobie radę.

Wizyta u Amy przebiegła w miłej atmosferze, lecz Kit przekonała się, że Jack miał rację, ostrzegając ją, iż jako lady Hendon będzie zdecydowanie bardziej na świeczniku, niż byłaby kiedykolwiek panna Cranmer. Kit musiała dopiero przyzwyczaić się do myśli, że jest postrzegana jako osoba stojąca wyżej niż lady Gresham. Jej lordowska mość wyrażała się z aprobatą i uznaniem na temat eskorty Kit. Kit ugryzła się w język. Amy umierała z chęci, by porozmawiać z przyjaciółką na osobności, lecz lady Gresham, ciekawa szczegółów ich pożycia, nie opuściła dziewcząt ani na chwilę. Kit wyjechała z Manor, odnosząc wrażenie, iż rozczarowała przyjaciół, pozostając sobą i nie zmieniając się pod wpływem osławionych zdolności Jacka. Wracała do zamku Henon, chichocząc przez całą drogę, co wielce zdziwiło stajennego.

Ogień zatrzeszczał i zasyczał, gdy zabłąkana kropla deszczu spłynęła kominem na palenisko. Kit stłumiła kolejne ziewnięcie. Wieczory były zwykle spokojne. Przynajmniej dopóki nie znaleźli się w sypialni. Lecz nawet tam atmosfera nieco się uspokoiła. Charakter ich miłosnych igraszek uległ zmianie. Jack, wiedząc, że nie muszą śpieszyć się na drodze do raju, posuwał się krok po kroku, tak jak życzyła sobie Kit, pozwalając, by z wolna pogrążali się w świecie zmysłowej przyjemności. Jego dotyk był wspaniały, jego wyczucie czasu bez zarzutu. Każdej nocy znajdował nowe drzwi, które należało otworzyć, nowe drogi do zbadania. Każda z nich wiodła na szczyt, poza

którym leżało bogactwo nieopisanych doznań. Kit nader chętnie zgłębiała tajniki wiedzy na temat osiągania rozkoszy, a Jack był cierpliwym nauczycielem.

Westchnęła i uśmiechnęła się do jego pochylonej głowy.

Nie mogła już się doczekać następnej lekcji.

* * *

Obudził ją huk gromu. Zwinęła się w kłębek i podciągnęła wyżej kołdrę, mimo to grzmot nadal dźwięczał jej w uszach. A potem przypomniała sobie, że jest mężatką i wyciągnęła rękę, by dotknąć męża. Jej dłoń natrafiła na pustkę. Jacka w łóżku nie było.

Kit usiadła i spojrzała najpierw na skłębioną pościel, potem na pokój. Błyskawica oświetliła sypialnię. Jaskrawobiałe światło przeniknęło przez szczelinę w zasłonach. Kit się wzdrygnęła. Gdzie jest jej maż, kiedy go potrzebuje?

Następny grzmot sprawił, że zerwała się na równe nogi. Chwyciła skandalicznie przejrzysty, jedwabny negliż, który Jack kazał jej wkładać po to tylko, by potem z przyjemnością go z niej zdejmować, i owinęła się nim ciasno. Zawiązała mocno pasek i zmarszczywszy brwi, ruszyła do drzwi, które, jak przypuszczała, prowadziły do sypialni Jacka. Jakikolwiek miał powód, by akurat tej nocy zostawić ją samą i spać we własnym łóżku, zamierzała go przekonać, że w burzliwe noce jego miejsce jest przy niej.

Tak jak przypuszczała, drzwi prowadziły do sypialni pana domu. Była olbrzymia. I pusta. Kit rozejrzała się po ciemnych kątach i przysiadła na łóżku, uświadamiając sobie zapomniany fakt.

Lord Hendon to kapitan Jack.

Po tym, jak wyzdrowiała, uznała za oczywiste, że koniec z zabawą w przemytników. Była przekonana, że lord Hendon też tak uważa, i nie myślała więcej o szajce z Hunstanton. Tymczasem kapitan Jack najwidoczniej zamierzał nadal chadzać własnymi ścieżkami.

Niepomna szalejącej za oknami burzy, usiadła na łóżku i zaczęła się zastanawiać. Lecz fakty nie chciały do siebie pasować. Kiedy zrobiło jej się zimno, opadła na poduszki i przykryła się kołdrą. Lord Hendon został królewskim komisarzem po to, aby położyć kres przemycaniu szpiegów. Ten sam lord Hendon, w przebraniu kapitana Jacka, był aktywnie zaangażowany w przemycanie szpiegów. Pomimo iż Jack nigdy o tym nie mówił, z wyrywkowych napomknień innych osób zorientowała się, że miał za sobą wojenną przeszłość, i to nie byle jaką. Jeśli wierzyć temu, co mówił Matthew, jej mąż był przeklętym bohaterem. Więc dlaczego, u diaska, zajmuje się przemycaniem szpiegów?

Sfrustrowana, poklepała poduszkę i wsparła na niej głowę. W tej układance brakowało kilku fragmentów. A Jack najwidoczniej prowadzi nader skomplikowaną grę. Poczuła, że ciążą jej powieki. Ziewnęła. Mogła zrozumieć, dlaczego nie powiedział jej wcześniej. Jednak nie była już przemytniczką, była jego żoną. Dlaczego nie powiedział jej teraz? Skinęła lekko głową i głębiej wcisnęła ją w poduszki. Zamknęła oczy. Zostanie tu, dopóki Jack tego nie zrobi.

* * *

Zasłony przy łóżku zafalowały, poruszone powiewem. Drzwi otwarły się, a potem zamknęły. Kit obudziła się raptownie. Ponieważ jej oczy przywykły do ciemności, natychmiast rozpoznała barczystą sylwetkę męża. Jack przeszedł przez pokój i zatrzymał się przy umywalce.

Nie dostrzegł jej w cieniu skrywającym łóżko.

Kit przyglądała się, jak ściąga koszulę, a potem chwyta ręcznik i suszy włosy. Wsłuchała się w dobiegające zza okna odgłosy: burza mijała i mocno padał deszcz. Gdy Jack przesunął ręcznikiem po ramionach i piersi, zorientowała się, że musi być przemoczony. Usiadł na krześle i z wysiłkiem zdjął wysokie buty. Gdy wstał, pochylając się, aby je odstawić, zapytała: – Jaki był dzisiaj ładunek? Brandy czy koronki?

Spostrzegła, że mięśnie jego pleców napinają się, a potem rozluźniają. Jack wyprostował się powoli i spojrzał wprost na nią. Kit wstrzymała oddech. Cisza była tak głęboka, że słyszała, jak deszcz uderza o okna.

– Brandy.

Kit objęła ramionami kolana. – Nic poza tym? – spytała niewinnie.

Jack nie odpowiedział. Nie planował, że Kit będzie czekała na niego w sypialni. Nie opracował też żadnej historyjki, która mogłaby zaspokoić jej ciekawość. Od Spencera dowiedział się o kuzynie Julianie; więc już rozumiał, dlaczego Kit tak bardzo zależy, by powstrzymano szpiegów. Idealna żona dla królewskiego komisarza. Jednak wyjaśnianie jej czegokolwiek nie wchodziło w grę.

Miał do czynienia z kobietą, która ochoczo zgodziła się zostać przywódcą szajki przemytników i nieraz postępowała wbrew jego rozkazom. Nawet najmniejsza aluzja do tego, co działo się naprawdę, mogłaby okazać się zbyt niebezpieczna w skutkach.

Pragnąc jak najszybciej znaleźć się w ciepłym łóżku, zdjął przemoczone bryczesy i pozostawił je na podłodze. Wytarł nogi ręcznikiem i zerknął na łóżko. Skoro Kit już tu jest…

Kit próbowała zignorować uczucie oczekiwania, które podrażniało jej zmysły.

– Jack, co…

Stłumiła okrzyk, gdy Jack wylądował na łóżku obok niej. Odsunął przykrycie i zerwał z niej przejrzysty negliż, a potem zgarnął ją pod siebie. Jego wargi odnalazły jej usta, a jego dłonie spoczęły na jej ciele. Po chwili, wypełnionej namiętnymi pocałunkami, Kit zdołała wreszcie się odsunąć.

– Ty ośle! – zawołała. – Przemarzłeś! Przeziębisz się i umrzesz!

Ciało Jacka było lodowate, całe, z wyjątkiem jednej części, która nurzała się już w cieple u zbiegu jej ud.

– Nie przeziębię się, jeśli mnie rozgrzejesz.

Kit westchnęła, gdy wsunął pod nią wielką dłoń i uniósł jej biodra, otwierając ją dla siebie. Poczuła, jak napinają się mięśnie jego pleców. Wszedł w nią, twardy jak stal, gładki jak jedwab. Kit westchnęła ponownie, bezwiednie wyginając ciało w łuk.

Jego wargi szukały jej warg. Poruszali się razem, Kit poddawała się rytmowi, narzucanemu przez Jacka, to unosząc się, to opadając, podsycając płomień, aż wreszcie ogarnęła ich rozkosz, unosząc wysoko i niemal topiąc swym żarem.

Później Jack zsunął się z Kit i przewrócił na bok, przyciągając ją do siebie tak, iż leżała zwrócona do niego plecami. Przez chwilę mościł się na łóżku, a kiedy uznał, że jest mu wygodnie, natychmiast głęboko zasnął.

Kit, przyciśnięta ciężkim ramieniem i niemal śpiąca, skrzywiła się. Małżeństwo z lordem Hendonem nie zmieniło niczego. Tam, gdzie chodziło o przemyt, nadal był kapitanem Jackiem. A kapitan Jack chadzał własnymi drogami.

Rozdział 26

Dlaczego jej nie powiedział? Słowa dźwięczały Kit w uszach niczym refren, kiedy skręcała na podjazd Greshamów. Nie widziała swego nieznośnego męża od świtu, kiedy to doprowadzoną na skraj wyczerpania przeniósł ją z powrotem do jej sypialni. Słabo przypominała sobie, że chyba wspominał coś o tym, że musi sprawdzić, jak wyglądają zagajniki. Lecz nie oszukał Kit. Doskonale wiedziała, że wynalazł sobie zajęcie poza domem, by uniemożliwić jej zadawanie pytań. Bez wątpienia sądził, że czas stępi ciekawość Kit.

Prychnęła i zsunęła się z siodła, nie czekając, aż pomoże jej w tym stajenny. – Czy rodzina jest w domu, Jeffries?

– Lord Gresham wybrał się do Lynn, panienko… to znaczy, wasza lordowska mość. – Jeffries uśmiechnął się i chwycił uzdę klaczy. – Lady Gresham pojechała dokądś powozem. Lecz panienka Amy jest w domu.

– Doskonale!

Kit podeszła do domu i weszła przez jedno z francuskich okien wprost do pokoju śniadaniowego.

Amy była w środku, leniwie bawiąc się igłą. Na widok Kit podskoczyła zdumiona. – Och, wspaniale! Mama pojechała do lady Dersingham. Będziemy mogły porozmawiać.

Nagle spostrzegła rumieniec Kit i to, jak energicznie ściąga rękawiczki.

– Co się stało? – spytała, spoglądając na nią rozszerzonymi oczami.

– Ten mój przeklęty mąż jest zamknięty w sobie niczym ostryga!

Kit rzuciła rękawiczki na stolik i zaczęła przemierzać pokój długimi krokami, bardziej pasującymi do młodego Kita niż lady Hendon.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – Amy zmarszczyła brwi i opadła z powrotem na leżankę.

Kit spojrzała na przyjaciółkę. Amy nie wiedziała nic o drugim wcieleniu jej męża, mimo to pokusa, by się zwierzyć i na chwilę zrzucić ciężar z piersi, była niezwykle silna.

– Co powiesz o dżentelmenie, który nie zgadza się opowiedzieć żonie – umilkła, szukając właściwych słów – o szczegółach transakcji, które zawiera, mimo iż wie, że to ją interesuje i byłoby poczytane za dowód zaufania czy czegoś takiego?

Amy zamrugała. – Dlaczego to cię interesuje?

Proste pytanie sprawiło, że Kit o mało nie krzyknęła z irytacji. Burknęła coś pod nosem i nadal chodziła po pokoju, próbując opanować emocje. Dlaczego chciała wiedzieć, co robi jej mąż? Bo chciała, i już. Kiedy była młodym Kitem, a on kapitanem Jackiem, czuła się częścią jego przygód. Nie byłaby w stanie

pogodzić się z tym, że bycie jego żoną oznacza, iż zostanie odsunięta od tego, co tak bardzo go dotyczy. Poza tym gdyby wiedziała, co się dzieje, z pewnością mogłaby okazać się pomocna.

Zatrzymała się przed Amy.

– Powiedzmy, iż fakt, że tego nie wiem, doprowadza mnie do szaleństwa. Poza tym – dodała, odrzucając zamaszyście szeroką spódnicę – to kwestia honoru. Gdyby był prawdziwym dżentelmenem, z pewnością by mi powiedział.

Amy wyglądała na zdumioną i absolutnie skonsternowaną. – Chcesz powiedzieć, że Jonathon nie jest prawdziwym dżentelmenem?

Teraz to Kit zamrugała. – Oczywiście, że jest! – zawołała, spoglądając na Amy spod zmarszczonych brwi. – Nie to chciałam powiedzieć.

Amy przez chwilę przyglądała się przyjaciółce z pełnym uczucia zrozumieniem, a potem poklepała sofę obok siebie. – Siadaj, Kit. Przez ciebie kręci mi się w głowie. A teraz powiedz mi, czy to naprawdę takie podniecające?

Kit zupełnie nie wiedziała, o co chodzi. Opadła na siedzenie obok Amy i zmarszczyła brwi. – Co mianowicie?

– No wiesz…

Rumieniec na twarzy Amy sprowadził Kit na właściwy trop. – Ach, to. – Machnęła lekceważąco dłonią, lecz nagle zmieniła zdanie. Pogroziła Amy palcem i powiedziała: – Wiesz, to, co mi powiedziałaś… no, że robisz się wilgotna i rozpalona… to nie jest nawet połowa tego, co się dzieje.

– Och? – westchnęła Amy, prostując się.

– Nie – oświadczyła Kit. – W rzeczywistości jest znacznie gorzej.

A potem zamyśliła się i umilkła.

– Kit! – zawołała Amy, oburzona. – Nie możesz się teraz zatrzymać. Ja powiedziałam ci wszystko, co wiedziałam. Teraz twoja kolej. W przyszłym miesiącu wychodzę za mąż. To twój obowiązek – powiedzieć mi, czego mam się spodziewać.

Kit rozważyła słowa przyjaciółki. Amy miała rację, lecz ona nie czuła się na siłach opisać to, czego doświadczyła.

– Chcesz powiedzieć, że ty i George nie posunęliście się dalej, niż tylko pocałunki i trochę pieszczot?

– Oczywiście, że nie. – Twarz Amy wyrażała raczej niesmak niż szok.

– Jonathon też nie posunął się z tobą dalej, zanim za niego wyszłaś, prawda?

Oczy Kit się zaszkliły. – Nasz związek nie rozwijał się w ten sam sposób, jak twój i George’a – odparła zduszonym głosem. Z trudem odsunęła od siebie wspomnienia tego, jak daleko posunął się Jack. Nawet gdyby opowiedziała Amy okrojoną wersję tego, co się naprawdę zdarzyło, jej przyjaciółka byłaby całkowicie zaszokowana.

– Przepraszam, Amy, lecz nie potrafię ci wyjaśnić. Dlaczego nie zapytasz George'a? Właśnie nadchodzi.

Przez okna pokoju śniadaniowego widać było zdążającego od strony stajen George'a. Dotarł do okna i zatrzymał się zaskoczony widokiem Kit. Po chwili opanował zdumienie, wszedł do środka i przywitał się z Amy, pochylając się nad jej dłonią, zanim ją ucałował.

Kit, która bacznie przyglądała się przyjaciółce, dostrzegła nagły rumieniec Amy i błysk w jej oczach. Gdy spojrzenia narzeczonych się spotkały, twarz George'a złagodniała. Musnął wargami dłoń Amy, nie spuszczając wzroku z twarzy narzeczonej. Jej spojrzenie w pełni odzwierciedlało ciepłe uczucia, widoczne w spojrzeniu George'a. Kit poczuła się zdecydowanie niepotrzebna.

W końcu George z widoczną niechęcią puścił Amy, odwrócił się do Kit i ujął na powitanie jej dłoń.

– Kit.

Skłoniła się z wdziękiem. Od kiedy porzuciła przebranie młodego Kita, spotkali się zaledwie dwa razy. Za każdym razem Kit odnosiła wrażenie, że George bardziej niż Jack ma jej za złe samowolę i nieokiełznany sposób bycia.

– Amy i ja rozmawiałyśmy właśnie o tym, czy mąż powinien być wobec żony otwarty i szczery – powiedziała, spoglądając na George'a niewinnie. – Może dla podtrzymania rozmowy mógłbyś przedstawić nam swój pogląd na tę sprawę.

George uniósł brwi, a jego twarz przybrała czujny wyraz. – Podejrzewam, że zależy to w dużym stopniu od natury ich związku, nie sądzisz?

Uśmiechnął się do Amy i usiadł obok niej.

– To prawda – przyznała Kit – lecz jeśli wszystko układa się dobrze, czy mąż nie powinien zaufać żonie? Czy nie jest to następny logiczny etap ich związku? Jakie mężczyzna może mieć powody, by taić coś przed żoną?

Następne pół godziny minęło im na szczególnej, pełnej aluzji rozmowie. Kit i George nawiązywali do skrytości i powściągliwości Jacka, a Amy nie rozumiała, o czym mówią. Starała się nakłonić przyjaciółkę, by zrzuciła ciężar z piersi i opowiedziała, na czym dokładnie polega problem, podczas gdy George starał się niepostrzeżenie powstrzymać ją od tego. Później poplotkowali trochę, a George'owi udało się nawet omówić pewne sprawy związane z weselem, gdyż taki był powód jego wizyty.

Kit uświadomiła sobie, że narzeczeni woleliby zostać sami, wstała więc i zapięła rękawiczki. – Muszę jechać. Jestem pewna, że mąż nie byłby zadowolony, gdybym przebywała na dworze po zmroku.

Wygłosiwszy ten gorzki komentarz, uścisnęła serdecznie Amy, skinęła głową George'owi i majestatycznie wyszła z pokoju.

Amy spojrzała w ślad za nią, westchnęła, a potem wsunęła się prosto w ramiona George'a. Przytulił ją i pocałował z uczuciem. Po chwili Amy

wyswobodziła się z uścisku.

– Martwię się o Kit. Coś ją dręczy… coś poważnego. – Spojrzała narzeczonemu w oczy. – Nie podoba mi się, że będzie jechała sama, do tego w takim nastroju.

George się skrzywił. – Kit to duża dziewczynka.

Amy przysunęła się bliżej. – Tak, ale… – Jej oczy zabłysły. – Mama i tak zaraz będzie w domu.

George westchnął. – Doskonale.

Pocałował Amy raz jeszcze, a potem ją odsunął. – Ale spodziewam się nagrody następnym razem.

– I dostaniesz ją – zadeklarowała Amy. – Oby tylko mamy nie było w domu.

George uśmiechnął się zdecydowanie szelmowsko. – Wrócę.

Pomachał Amy na pożegnanie i odszedł w kierunku stajen.

Dogonił Kit, gdy wyjeżdżała ze stajni, dosiadając kasztanowatej klaczy. – Gdzie Delia? – zapytał zdumiony.

Przez chwilę Kit wydawało się, że nie da rady się opanować i zaraz wybuchnie gniewem. – Nie pytaj! – odparła, mrożąc George'a spojrzeniem i obróciła wierzchowca.

– Zaczekaj! – zawołał George. – Pojadę z tobą kawałek.

Kiedy po minucie wyjechał ze stajni, Kit właśnie uczyła klacz chodzić w kółko na tylnych nogach, czemu z bezpiecznej odległości przyglądał się stajenny. Podjechała do George'a i razem skierowali się na północny zachód.

George spojrzał na Kit. – Rozumiem, że Jack nie wyjaśnił ci, dlaczego bawi się w przemytnika?

Oczy Kit zwęziły się niebezpiecznie. – Wyjaśnianie to nie jego specjalność.

George się roześmiał. A kiedy Kit spojrzała na niego rozgniewana, wyjaśnił: – Nawet nie wiesz, jak bliska jesteś prawdy. Ani wyjaśnienia, ani przepraszanie nie leżą w zwyczaju Jacka. Podobnie było z jego ojcem.

Kit zmarszczyła brwi.

– Ktoś powiedział, że jego ojciec był „hedonistą". Czy to właśnie miał na myśli?

George się uśmiechnął. – Jeśli powiedziała to kobieta, niekoniecznie, ale ma to wiele wspólnego z tym, co próbuję ci powiedzieć. Jack to urodzony przywódca, Hendonowie są nimi od pokoleń. Przywykł do tego, że to on podejmuje decyzje. Wie, czego chce, co trzeba zrobić, i wydaje odpowiednie polecenia. Nie oczekuje, że będzie musiał wyjaśniać swoje działania, i nie lubi, gdy się tego od niego wymaga.

– Tyle domyśliłam się sama.

George spojrzał na Kit. Była wyraźnie niezadowolona.

– Jeśli to dla ciebie jakaś pociecha, wiedz, że choć Matthew i ja znamy go niemal przez całe życie, przy czym większość tego życia spędziliśmy razem,

ani słowem nie wyjaśnił, dlaczego włączył cię do szajki. Nie powiedział nawet, że jesteś kobietą.

Jechali dalej w milczeniu. Kit rozważała słowa George'a. Jego słowa mimo wszystko poprawiły jej nastrój. Najwidoczniej jej mąż był zdeklarowanym autokratą, i to od dawna; jeśli George miał rację, odziedziczył tę cechę po przodkach. Równie jasny był fakt, że nikt z ludzi mu bliskich nie spróbował dotąd zmienić nastawienia Jacka. Determinacja, by to uczynić, a przynajmniej zmusić go do okazywania jej szacunku, rosła z każdym krokiem potulnej klaczy.

Przed nimi pojawiło się rozwidlenie. Stąd jedna z dróg prowadziła do Smeaton Hall. Kit ściągnęła wodze.

– Wiesz, o co chodzi z tym przemytem, prawda?

George zatrzymał się obok niej i westchnął. – Tak, ale nie mogę ci powiedzieć. Jack jest moim zwierzchnikiem w tej sprawie. Nie mogę mówić bez jego zgody.

Kit skinęła głową i wyciągnęła rękę. – Dziękuję.

George spojrzał jej w oczy, a potem pocieszającym gestem uścisnął palce Kit. – W końcu ci powie.

Kit skinęła głową. – Wiem. Kiedy będzie po wszystkim.

George mógł się tylko uśmiechnąć. Skłonił się i odjechał, a Kit ruszyła w swoją stronę. Teraz rozumieli się znacznie lepiej niż kiedykolwiek przedtem.

*** * ***

Kit przyglądała się paczkom, leżącym na przeciwległym siedzeniu powozu. Czy materiału wystarczy? Przyjechała do Lynn kupić trochę batystu. Po ostatniej nocy uznała, że batystowe koszule będą dla Jacka odpowiedniejsze, zwłaszcza w te dni, gdy musiał zajmować się sprawami majątku. Wczorajszy dzień spędził, pomagając przerzedzać zagajniki. Powinna była się domyślić, że Jack jest tego rodzaju ziemianinem, który zsiada z konia, zdejmuje surdut, zakasuje rękawy i pomaga swoim ludziom. Natknęła się na niego przypadkiem, gdy weszła do jego sypialni, szukając paska od swego jedwabnego negliżu. Przepadł gdzieś tamtej burzliwej nocy, gdy Jack zastał ją w swoim łóżku. Jęk dobiegający zza otwartych drzwi skłonił ją, by tam zajrzała.

Pomieszczenie przerobiono na pokój kąpielowy z olbrzymią miedzianą wanną pośrodku. Jack właśnie zanurzał się w parującej wodzie. Był do niej odwrócony plecami i kiedy pochylił się, by oprzeć głowę na kolanach, zobaczyła, jak paskudnie podrapane ma plecy.

– Do licha! Co ty robiłeś?

Weszła do łazienki, zapominając zupełnie o pasku, nieświadoma, że Matthew stoi obok swego pana.

Jack odwrócił się gwałtownie, rozlewając wodę, a potem skrzywił się, odchylił i wsparł głowę na oparciu wanny. – Przedzierałem się przez jeżyny.

Machnięciem dłoni odesłał Matthew, na co powinna była zwrócić uwagę.

Stała obok wanny z dłońmi wspartymi na biodrach, przyglądając się tym fragmentom ciała męża, które była w stanie dostrzec. Jack otworzył oczy i zerknął na nią poprzez obłok pary. – Na pewno ci ulży, gdy powiem, że podrapałem sobie jedynie plecy.

Uśmiechnął się i Kit prychnęła pod nosem. – Pochyl się i daj mi zobaczyć.

Musiała nalegać, lecz w końcu pozwolił obejrzeć zadrapania. Niektóre z nich były głębokie i lekko krwawiły, lecz nie było to nic poważnego.

– Skoro już tu jesteś, równie dobrze ty możesz zająć się moimi obrażeniami – powiedział, podając jej gąbkę.

Kit zrobiła minę i chwyciła przynętę. Powinna była, oczywiście, przewidzieć, jakimi drogami wędrują myśli Jacka. Lecz jakoś nie przyszło jej do głowy, że wanna może być wystarczająco obszerna, aby pomieścić ich oboje. A już z pewnością nie wyobrażała sobie, że mogliby uprawiać takie akrobacje w obrębie jej śliskich ścianek.

Jeszcze jedno doświadczenie, które zawdzięcza mężowi.

Kit odsunęła na bok rozpraszające wspomnienia. Przeliczyła jeszcze raz łokcie materiału i pożałowała, że nie wzięła ze sobą Elminy. Jednak Lynn nie znajdowało się tak daleko, żeby nie mogła ponownie tu przyjechać, jeśli zajdzie taka potrzeba. Odwróciła się do okna, by powiedzieć stangretowi, że mogą jechać, gdy jej uwagę przyciągnął wytworny kapelusz, zupełnie nie na miejscu w prowincjonalnym Lynn.

Zaintrygowana przysunęła się bliżej okna, by przyjrzeć się postaci pod kapeluszem.

– Wielki Boże! – zawołała, wpatrując się w mężczyznę, jakby zobaczyła ducha.

Był to Belville, lord George Belville.

Kit zamrugała, a potem spojrzała jeszcze raz. Cztery lata, jakie minęły od czasu, gdy dała mu kosza, nie posłużyły jej dawnemu wielbicielowi. Nadal był wysoki i mocno zbudowany, lecz jego twarz stała się bardziej nalana, a brzuch powiększył się znacząco. Skóra mężczyzny miała ziemisty odcień właściwy osobom, które zbyt wiele czasu spędzają w szulerniach. Rysy, które Kit zapamiętała jako rzeźbione, zgrubiały z powodu nadużywania alkoholu i innych przyjemności. Lord był teraz zaledwie karykaturą człowieka, którego o mało nie poślubiła.

Dreszcz przeszedł jej przez kark i rozprzestrzenił się na ramiona. Kryjąc się w zacienionym wnętrzu powozu, patrzyła, jak dawny adorator mija plac i wchodzi do najlepszej w Lynn gospody. Belville był człowiekiem, który najlepiej czuł się w dużym mieście. Co zatem robił w Lynn?

Przy drzwiach zatrzymał się i uważnie przyjrzał wszystkim, których dostrzegły jego blade oczy. Potem wszedł, nie śpiesząc się, i zamknął za sobą drzwi.

Kit opadła na poduszki, marszcząc w zamyśleniu brwi. Po chwili wychyliła się z okna po przeciwnej stronie powozu i powiedziała Joshowi, by zawiózł ją do domu. Z jakiegoś powodu nie chciała, aby Belville ją zobaczył. Przedstawiał sobą tę część jej życia, która minęła i nie miała już dla Kit znaczenia. Nie zamierzała dopuścić, by jego obecność przyćmiła obecne szczęście.

Gdy powóz wytoczył się na otwartą drogę, zmarszczka na czole Kit się pogłębiła. Belville był jedynie rządowym urzędnikiem, nie mógł jej skrzywdzić. A zatem dlaczego poczuła niepokój?

* * *

Kiedy Jack tego wieczoru wszedł do jej pokoju, Kit była już w łóżku.

Zatrzymał się w drzwiach, obserwując jej zamyśloną twarz. Co ona znów knuje? Objął spojrzeniem burzę loków, pełne usta i delikatne rysy, a potem przesunął je na pociągającą sylwetkę, spowitą w jedwab o barwie kości słoniowej. Nie zauważyła go dotąd, jej sutki wyglądały jak miękkie różowe koła na szczytach bujnych piersi. Ramiona miała obnażone, kremowe niczym koszula i równie jedwabiste. Prosta koszula przywarła do jej kształtów, podkreślając wcięcie w talii i zmysłową bujność bioder. Trójkąt rudych włosów u zbiegu ud prześwitywał przez cienki materiał. Z upodobaniem przyglądał się długim, smukłym udom i kolanom z dołeczkami, wystającym z fałd koszuli. Poniżej kształtnych łydek różowiły się delikatne, małe stopy. Powoli znów przeniósł wzrok na jej twarz. Poczuł, jak coś ściska go w żołądku, a znajome napięcie w lędźwiach powiedziało mu, że wkrótce będzie gotów do miłości. Uśmiechnął się krzywo i wszedł po cichu do pokoju. Dobrze było wiedzieć, że wystarczy wyciągnąć rękę, by zapewnić sobie satysfakcję. Oto jedna z mniej zachwalanych korzyści z małżeństwa, pomyślał.

Kiedy okrążał pokój, gasząc świece i rozsuwając zasłony, zastanawiał się, cóż znowu wymyśliła ta jego dzikuska. Po raz pierwszy myślała o czymś zupełnie innym, nie o nim.

– Pojechałam dzisiaj do Lynn.

– Tak? – powiedział, powstrzymując się przed zgaszeniem ostatniej świecy.

– Mhm. – Kit rozejrzała się i zlokalizowała Jacka stojącego ze srebrnym przyrządem do gaszenia świec w dłoni. Jego twarz oświetlał z jednej strony płomień świecy, a włosy migotały złotem w ciepłym świetle. – Widziałam tam lorda Belville'a.

– Kim jest lord Belville?

Kit uśmiechnęła się figlarnie. – Można powiedzieć, że to stara miłość.

Jack spochmurniał i stłumił płomyk. Teraz pomieszczenie oświetlała tylko pojedyncza świeca przy łóżku Kit i wpadający przez okna blask księżyca. Jack podszedł do łóżka.

– Co to znaczy: stara miłość?

W głębi duszy ochrypły ton jego głosu i pochmurna mina sprawiły Kit przyjemność, jednak nie chciała, by Jack demonstrował swą zaborczość. Natychmiast odrzuciła pomysł, by wzbudzić w nim zazdrość. Lecz obecność Belville'a w Lynn naprawdę ją zaintrygowała, poza tym uważała, że Jack powinien dowiedzieć się o napiętych stosunkach żony z lordem od niej samej, nie od Belville'a.

– Gdy miałam osiemnaście lat, niemal przyjęłam jego oświadczyny.

Jack pociągnął za pasek ciemnoniebieskiego jedwabnego szlafroka i zsunął go z ramion. Kit nie mogła się powstrzymać, by nie spoglądać na jego mocne i bardzo teraz podniecone ciało, pieszcząc spojrzeniem każdy mięsień i z góry ciesząc się na przyjemność, jaka wkrótce stanie się jej udziałem. Poczuła, że zaschło jej w gardle. Miała szczerą nadzieję, że wzmianka o Belville'u nie zepsuje im wieczoru.

– Opowiedz mi o tym – burknięte, gdy kładł się przy niej, brzmiało obiecująco.

Kit zwilżyła wargi. Spróbowała powędrować spojrzeniem do jego twarzy i zawrócić zbłąkane myśli ze ścieżki, którą ochoczo podążały. Utkwiła spojrzenie w srebrzystych oczach Jacka, połyskujących pod ciężkimi powiekami.

– Nie opowiadałam ci, jak moi wujowie i ciotki porwali mnie i wywieźli do Londynu, aby tam wydać za mąż? Oczywiście za kogoś, kto mógłby być im przydatny.

Jack skrzywił się lekko i potrząsnął głową. – Połóż się, zamknij oczy i zacznij od początku.

Kit wydała z siebie drżące westchnienie i zrobiła, jak jej polecił. Jego głos przeszedł w cichy pomruk. Opowiedziała, co wydarzyło się po śmierci babki i jak zabrano ją podstępem z Cranmer Hall. Poczuła, że Jack zmienia pozycję i unosi się na łokciu. Kiedy doszła do tego, jak znalazła się w Londynie, poczuła, że Jack rozwiązuje pierwszą z jedwabnych wstążek, utrzymujących na miejscu koszulę.

Umilkła. Jej powieki zatrzepotały.

– Zamknij oczy. Mów dalej.

Kit musiała zaczerpnąć jeszcze raz drżącego oddechu, nim była w stanie to uczynić. Jej historia rozwijała się powoli, podtrzymywana mruczanymi pod nosem zachętami Jacka. Równie wolno jej koszula została rozpięta aż po same stopy. Mówiła właśnie o tym, jak odtrąciła pierwszego starającego się, kiedy poczuła, że Jack rozwiązuje tasiemki na ramionach. W chwilę później nie

miała już na sobie koszuli.

Umilkła i leżała nago obok swego męża.

– Co było potem?

– Ach….

Chociaż zebranie myśli wymagało od Kit wielkiego wysiłku, podjęła opowieść. Jack dotykał jej czubkami palców, przesuwając nimi po skórze Kit. W ślad za palcami poszły usta, ale nie czuła jego ciała. Było tak, jakby pieścił ją duch. Wkrótce jej sutki stwardniały na szczytach nabrzmiałych z pożądania piesi. Żołądek miała ściśnięty w ciasny węzeł. Jej uwrażliwiona nagle skóra niecierpliwie czekała na następny dotyk.

Kit nie miała pojęcia, na ile spójna jest jej opowieść, lecz Jack zdawał się za nią nadążać. Jego głos, głęboki i wibrujący namiętnością, zachęcał ją, ilekroć się zawahała. A kiedy usta Jacka dotknęły jej pępka, a palce ścisnęły uda, poddała się.

Zwalczając pokusę, by otworzyć oczy, odparła na jego zachęcające pytanie prostym: – Jack, nie mogę myśleć, kiedy tak leżę.

– Więc się odwróć.

Leżała już na boku, kiedy nagle pojęła. Zawahała się i byłaby wróciła do poprzedniej pozycji, gdyby dwie wielkie dłonie nie pochwyciły jej za biodra i nie przewróciły na brzuch. Zrezygnowana wtuliła policzek w poduszkę, czując pod sobą zmysłowo śliski jedwab. Chłód pościeli przyniósł ulgę obolałym z pożądania piersiom i złagodził ten inny ból, ukryty głęboko w miękkiej krągłości jej brzucha. Powietrze owiało nagie plecy Kit. Jack nadal leżał obok, nie dotykając jej.

Kit uznała, że protest poskutkował i Jack nie zamierza zrobić na razie nic więcej, podjęła więc przerwaną opowieść. Doszła właśnie do momentu, gdy Belville się jej oświadczył, i wtedy poczuła na pośladkach dotyk palców Jacka. Poruszały się, zataczając zmysłowe, powolne kręgi i choć ledwie jej dotykał, ciało Kit natychmiast obudziło się do życia.

– Jack! – wykrztusiła, otwierając oczy. Próbowała się odwrócić, lecz Jack pochylił się, przyciskając ją piersią.

– Co było dalej? – zapytał, wtulając usta w jej kark.

Kit czym prędzej opowiedziała o podsłuchanej rozmowie, ledwie świadoma tego, co mówi. Jack nadal delikatnie pieścił jej pośladki i tylną część ud. Kiedy doszła do tego, jak stanowczo odrzuciła oświadczyny Belville’a, poczuła, że druga dłoń Jacka zamyka się na jej piersi. Jęknęła cicho. Dłoń na jej pośladku znieruchomiała, a palce drugiej ścisnęły lekko pierś. Kit poczuła, jak jej ciało tężeje i bezwiednie rozsunęła uda. Dłoń Jacka natychmiast wsunęła się pomiędzy nie, skłaniając Kit, by rozsunęła nogi jeszcze szerzej. Kit poczuła, że napięcie staje się nie do zniesienia. Jack wsunął w nią palec i Kit drgnęła z rozkoszy, wydając z siebie długo powstrzymywany jęk. Palec wsunął się

głębiej. Kit zagryzła wargi, aby nie jęczeć. Po chwili do jednego palca dołączył drugi. Westchnęła głęboko.

– Powiedz mi jeszcze raz: co zrobił Belville?

Świat zawirował Kit przed oczami, mimo to opowiedziała mu tak szybko i dokładnie, jak tyko mogła, skoncentrowana na tym, co robiły jego palce, to wsuwające się w nią, to znów wysuwające, sięgające głęboko, to znów kręcące młynka. Skończyła opowieść, zanim do reszty straciła zdolność mówienia.

– Jack! – wykrztusiła cicho. Jego imię było wszystkim, na co mogła się zdobyć.

Usłyszał ją i cofnął palce. Ku swemu zaskoczeniu przekonała się, że Jack unosi jej biodra i wpycha pod brzuch poduszkę. Poczuła na sobie jego ciężar, a potem coś naparło od tyłu na jej uda i pośladki.

Wszedł w nią gwałtownie. Jej umysł rozpadł się na kawałeczki. Westchnęła głęboko zaszokowana. Jack nie poruszał się przez chwilę, pozwalając jej przywyknąć do nowej pozycji, do tego, jak szczelnie ją wypełnia i jak głęboko. A potem zaczął się poruszać.

Kit szybko podchwyciła rytm, to unosząc się, to opadając. Dosiadał jej długo, ujeżdżał mocno, a każde głębokie, kontrolowane pchnięcie doprowadzało ją o krok bliżej ekstazy. Wierciła się pod nim, bez słów błagając o więcej. A kiedy w końcu pochwyciła ich fala rozkoszy i przewaliła się nad nimi, pozostawiając wyczerpanych i oszołomionych rozkoszą, Jack opadł na nią bezwładnie. Pocałował Kit w ucho i z uśmiechem podniósł się, by spocząć obok niej na łóżku.

– Kotku, gdybyś wykazała choć trochę więcej zapału, musiałbym cię związać!

* * *

Gdy Jack ocknął się z głębokiego snu, księżycowy blask rysował na podłodze sypialni Kit skomplikowany wzór światła i cienia. Leżał spokojnie, rozkoszując się chwilą i ciepłem oplatających go jedwabistych kończyn. Oddech Kit był niczym pocałunek motyla na jego szyi. Z trudem oparł się pokusie, by zacieśnić uścisk.

Stojący zegar w korytarzu wybił godzinę jedenastą.

Jack stłumił westchnienie i delikatnie uwolnił się z objęć Kit. Wyśliznął się z ciepłego łóżka i odnalazł na podłodze swój szlafrok. Owinął się nim, spojrzał na śpiącą żonę, a potem z uśmiechem na ustach ruszył do swego pokoju.

Gdy tylko za Jackiem zamknęły się drzwi, Kit otworzyła oczy. Zamrugała gwałtownie, a potem usiadła, drżąc, gdy zimny podmuch owionął jej nagie ramiona. Podciągnęła kołdrę pod brodę i zaczęła nasłuchiwać.

Lecz jej uszu dochodziło jedynie ciche tykanie zegara.

Wyśliznęła się szybko z łóżka i podbiegła do szafy. Musi się pośpieszyć, jeśli chce dogonić Jacka w drodze na nocne spotkanie.

Rozdział 27

Uszy Jacka wypełniał cichy szum fal rozbijających się o plażę Brancaster. Wychylił się zza skały i spojrzał na oświetlony blaskiem księżyca piasek. Stojący pod klifem Champion parsknął, niezadowolony, że przywiązano go przy wałachu Matthew. Pozostali przemytnicy dopiero mieli się pojawić; łodzie nie będą tu wcześniej niż za godzinę.

Jack skrzyżował ramiona i przygotował się na czekanie. Wspomnienie jedwabistego ciała, które tak niechętnie opuścił, rozgrzewało go. Gorąca kobieta z tego jego kociątka. Udało jej się krańcowo odmienić jego poglądy na małżeństwo. Zanim wtargnęła w jego życie, konieczność ustatkowania się i zarządzania rodzinnym majątkiem była dla niego ciężkim obowiązkiem, na który nie miał ochoty. Teraz niczego nie pragnął bardziej, niż skierować swoją energię na to, by być lordem Hendonem, przyglądać się, jak rosną jego dzieci i cieszyć się żoną. Nie wątpił, że Kit potrafi go zabawić w sypialni i poza nią. Kiedy zakończy się ta misja, będzie mógł pójść swoją drogą. Teraz, za sprawą swojej dzikuski, wiedział już, dokąd ta droga prowadzi.

Rozmyślania o Kit przypomniały mu o lordzie Belville'u. Nie był pewny, dlaczego o nim wspomniała. Bez sympatii, to pewne. Zresztą Kit należy teraz do niego i dość o tym. Tyle że zaskoczyła ją jego obecność w Lynn. A ten człowiek interesował go jedynie poprzez związki z ministerstwem.

Chmura wodnego pyłu, gnana rześkim wiatrem, przepłynęła obok i Jack zmarszczył brwi. Czy to możliwe, by Belville był częścią siatki, którą on, George i tyle innych osób starają się rozwikłać? Owszem, to jest możliwe, odpowiedział sobie.

Po miesiącach ostrożnej, uważnej pracy powoli zbliżali się do końca. Z początku zadanie Jacka polegało jedynie na tym, by zablokować szlaki, którymi szpiedzy wydostawali się z Norfolk. Lecz sukces, jaki odniósł, zostając przywódcą przemytników z Hunstanton, a potem monopol jego szajki na transport ludzi, sprawiły, że przełożeni stali się bardziej ambitni.

Pomimo iż zablokowano przemyt ludzi i towarów w hrabstwach Sussex i Kent, rządowi nie udało się zidentyfikować co najmniej jednego ważnego źródła. Oznaczało to, że zdrajcy nadal przekazywali z Londynu informacje. Tymczasem plany letniej kampanii Wellingtona były zbyt ważne, by można było ryzykować, że zostaną ujawnione i dostaną się w ręce Francuzów. Dlatego Jacka, George'a i starannie dobrane grono innych osób na jakiś czas zwolniono z czynnej służby. Poproszono ich, aby oddali się na usługi służb cywilnych, podlegających lordowi Whitleyowi, podsekretarzowi w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych.

Gdy pierwszy ze szpiegów, których odebrali przemytnicy z Hunstanton, dotarł do Londynu i zaprowadził ich wprost do następnego ogniwa szpiegowskiej siatki, rząd zaczął działać jeszcze ostrożniej. Podczas gdy jedna grupa oficerów śledziła kuriera z Londynu, starając się dotrzeć do źródła jego informacji, którym był prawdopodobnie ktoś z wojskowego establishmentu, rząd postanowił nie ograniczać się do biernego wyłapywania szpiegów, ale podstawić Francuzom swojego człowieka. Sir Anthony Blake, alias Antoine Balzac, był „szpiegiem", którego przemycono do Francji tej nocy, gdy Kit została postrzelona. Zamiast planów prawdziwej kampanii, wiózł informacje przygotowane przez oficerów niedawno zwolnionych ze służby. Informacje zostały tak spreparowane, by przejść kontrolę Francuzów. Rząd otrzymał już dowody, że podstęp się udał i fałszywe informacje zaowocowały pożądanymi ruchami wojsk, co z pewnością pomoże księciu w prowadzeniu kampanii.

Tego rodzaju zysk wart był ryzyka. Ocalono wiele istnień ludzkich. Postanowiono więc, że gra będzie toczyła się do końca, i to był właśnie ów ostatni rzut kostką.

Anthony miał zawieźć do Francji kolejny pakiet informacji, lecz tym razem zażąda, by w zamian powiedziano mu, kim jest londyński zdrajca. Podczas ostatniego pobytu nawiązał kontakt z francuskim oficerem łącznikowym, który przejawiał wielką słabość do koniaku. Człowiek ten znał szczegóły zbliżającej się operacji. Anthony był pewny, że będzie mógł wyciągnąć z niego przynajmniej tyle, aby naprowadziło ich to na ślad zdrajcy.

Rząd bardzo tego potrzebował. Kurier, którego wysłali do Londynu, został zabity. Ten cios tylko zwiększył ich determinację. Pragnęli wykryć zdrajcę, i to za wszelką cenę. Nawet jeśli Anthony'emu nie uda się poznać nazwisk, sama informacja o tym, ilu szpiegów kryje się pośród wojskowego establishmentu, wystarczy, by misja warta była ryzyka.

Z oddali dobiegł Jacka stłumiony stukot końskich kopyt. Rozpoznał kasztankę George'a. Na widok mężczyzny na drugim koniu uśmiechnął się i wyprostował. Gdy konie zatrzymały się przy nim, pochwycił uzdę wierzchowca przybysza.

– Hej, Tony! Gotowy na kolejną porcję *la vie francaise*?

Sir Anthony Blake uśmiechnął się i zsiadł z konia. Anthony, jeden z wybrańców lorda Whitleya, potomek jednego z najstarszych angielskich rodów, był w połowie Francuzem. Nauczył się francuskiego na kolanach matki i przyswoił sobie francuski sposób zachowania oraz gestykulację. Na dodatek był szczupły, elegancki, czarnowłosy i czarnooki. Fakt, że mógł bez trudu uchodzić za Francuza, bardzo przysłużył się Jego Królewskiej Mości podczas wojny z Francją. Teraz czarne oczy Anthony'ego zabłysły: – Gotowy jak zawsze. Jak sytuacja?

Jack zaczekał, aż George i Anthony spętają swoje wierzchowce, i dopiero

potem odpowiedział: – Jeśli chodzi o ciebie, wszystko pozostaje bez zmian, lecz doniesiono nam, że widziano w tych stronach dżentelmena związanego z ministerstwem. Wiesz coś o lordzie Belville'u?

Anthony zmarszczył brwi. Jego włości leżały w Devon; Londyn to nie jego rejon. Podobnie jak Jack i George, nie wiedział o nim zbyt wiele.

– Jeśli myślę o właściwym człowieku, to dość nieciekawy osobnik. Otrzymał stanowisko wyłącznie dzięki wpływom swego ojca. Nie cieszy się w towarzystwie dobrą opinią, ale jak dotąd nie wzbudził naszego zainteresowania.

Jack się skrzywił. – Domyśliłem się tego. Jeśli będzie się tu kręcił bez powodu, dowiem się o tym.

Cała trójka zaczęła omawiać szczegóły wyprawy Antoine'a.

– Nie będę ryzykował i wrócę tą samą drogą, chyba że zdarzy się coś niespodziewanego.

Jack skinął głową. – Nadciąga nasz oddziałek.

Przemytnicy zaczęli zbierać się na plaży.

– Bóg wie, jak zareagują, kiedy dowiedzą się, że pomagali mateczce Anglii – powiedział Jack, po czym uśmiechnął się krzywo i ruszył wydawać rozkazy.

* * *

Kit, ukryta na klifie za kępą wiechliny, zmarszczyła w zadumie brwi. Kim jest trzeci mężczyzna?

Ledwie zdążyła tu za Jackiem, gdyż potulna klacz nie dorównywała szybkością Championowi ani czarnemu wierzchowcowi Matthew. Poza tym musiała zaczekać, aż Jack i Matthew opuszczą stajnie i nieco się oddalą. Jednak dzięki temu, że noc była księżycowa, a zamek położony na wzgórzu, zobaczyła z góry dość, aby domyślić się, że mężczyźni zdążają do chaty. Ukryła się pośród otaczających ją drzew dosłownie na chwilę przed tym, jak wyłonił się z niej Jack przebrany za kapitana. Podziękowała wtedy niebiosom, że nie siedzi na grzbiecie Delii. Championa nie interesowała kasztanowa klacz, więc bez wahania słuchał poleceń Jacka. Kit trzymała się z tyłu przez całą drogę ku wybrzeżu, a kiedy już tam dotarła, musiała dobrze się rozglądać, by odkryć, w którym miejscu Jack i Matthew zeszli z klifu. Zdziwiło ją, że na górze nie pozostawiono straży.

A potem przybył George i jego towarzysz. Było coś w tym, jak się trzymał, jak rozmawiał z Jackiem i George'em, co nie pozwalało Kit sądzić, iż przybyły jest nowo zwerbowanym przemytnikiem.

Kit zobaczyła, że Joe odłącza od reszty i wraca na klif. A zatem to on miał być czujką. Mniej więcej dwadzieścia metrów od miejsca, w którym się ukryła, znajdowało się niewielkie wzniesienie, odsunięte nieco od skraju klifu. Gdyby Joe na nim stanął, z pewnością by ją dostrzegł.

Kiedy więc zaczął wspinać się ścieżką, odczołgała się dalej, ku ukrytej w głębokim cieniu szczelinie. Wejście zasłaniały kępy wiechliny, choć dno wydawało się piaszczyste. Kit zerknęła ku miejscu, gdzie stała ukryta między drzewami klacz, po czym wśliznęła się do szczeliny.

Opadła na piasek i wytarła dłonie w bryczesy, a potem przysunęła się bliżej wyjścia. Spojrzała w lewo, gdzie praca szła pełną parą. Naprzeciw niej stały trzy konie, w tym Champion. Spętano je i pozostawiono pod nawisem klifu. Za nimi rozpościerały się wydmy, tu i ówdzie pokryte kępami morskiej trawy. Kit wysunęła się ze szczeliny i okrążyła konie, poklepując po drodze chrapy Championa. Minęła wydmy i podkradła się bliżej, tak iż w końcu stała zaledwie o kilka metrów od Jacka, George'a oraz ich nieznajomego towarzysza.

Towaru nie było zbyt wiele, toteż Jack i George mogli ograniczyć się do pilnowania.

Kit spojrzała w górę. Nie widziała Joego, lecz uświadomiła sobie, że jeśli wartownik podejdzie do skraju klifu, natychmiast ją zobaczy. Nie obawiała się odkrycia. Jack wbił swoim ludziom do głów, że pod żadnym pozorem nie wolno im nikogo dźgnąć ani zastrzelić. Groziło jej co najwyżej to, że zostanie zamknięta w swoim pokoju w zamku Hendon. I dowie się, co Jack zrobi, kiedy przyłapie ją w bryczesach. Kit odsunęła tę rozpraszającą myśl i skupiła się na mężu i jego towarzyszach. Niestety, milczeli.

* * *

Kiedy ostatnia łódź została rozładowana, Jack odwrócił się i powiedział do Anthony'ego: – Powodzenia.

Anthony pochylił głowę, lecz nie odezwał się. Ruszył w dół plaży, wykonując pierwszy krok na drodze najeżonej niebezpieczeństwami.

Jack spojrzał w ślad za nim. Przyglądał się, jak łódź wypływa za linię przyboju i zbliża się do zakotwiczonego na pełnym morzu statku. Wydał ostatnie rozkazy i polecił odtransportować ładunek do starej krypty. Przez jakiś czas obaj z George'em marudzili na plaży, jakby nie chcieli za bardzo oddalać się od przyjaciela. Matthew przechadzał się spokojnie, czekając na towarzyszy.

Za nimi zagrzebana w piasku Kit gubiła się w domysłach. Skąd to: „Powodzenia"? I dlaczego była tak pewna, że Jack miał ochotę uścisnąć nieznajomemu dłoń, lecz z niewiadomego powodu się powstrzymał? Poza tym wszystko, co zobaczyła, świadczyło, że ów mężczyzna jest Francuzem.

Przygryzła wargi, a potem potrząsnęła głową. Nie mogła uwierzyć, że Jack przemyca szpiegów. Do diaska z nim! Nie mógł rozwiać jej wątpliwości? To wszystko jego wina. Spokój jej umysłu legł w gruzach, bo on żywił organiczną niechęć do tego, by rozumiano sens jego poczynań!

Kit powstrzymała prychnięcie i obejrzała się przez ramię.

Zamarła.

Nie dalej niż dwa metry od niej, tak blisko, że jego cień niemal jej dotykał, stał wysoki mężczyzna. Kit stłumiła okrzyk grozy. Szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w masywną sylwetkę i mięsiste policzki. Mężczyzna gapił się na Jacka i George'a, którzy nadal wpatrywali się w morze. Najwidoczniej nie dostrzegł jeszcze Kit, skulonej u jego stóp. Blask księżyca odbijał się od długich luf pistoletów, które trzymał w dłoniach.

Tym mężczyzną był lord Belville.

Kit zabrakło tchu.

– Chyba możemy już iść.

Głos Jacka przełamał mrożącą krew w żyłach ciszę. Belville minął skamieniałą ze strachu Kit i pokonał ostatnich kilka metrów, dzielących go od mężczyzn. Jeszcze krok i znalazł się przed Jackiem i George'em, którzy odwrócili się, by podejść do koni. Matthew podążał tuż za nimi.

– Nie tak szybko, panowie.

Jack zatrzymał się raptownie, zaskoczony widokiem uzbrojonego mężczyzny, nadchodzącego od strony wydm. Z tej strony nie spodziewał się niebezpieczeństwa. Do licha, a gdzie podziewa się czujka?

Belville odgadł najwidoczniej, o czym myśli Jack, wykrzywił bowiem wargi w nieprzyjemnym uśmiechu. – Obawiam się, że waszego wartownika spotkał przykry wypadek.

Spojrzał na palce prawej ręki, zaciśnięte wokół kolby pistoletu. – Podrzynanie gardła to cichy interes, tyle że diabelnie brudzący.

Kit niemal czuła, jak krew zastyga jej w żyłach. Spostrzegła, że rysy Jacka tężeją. Boże! Jeśli czegoś nie zrobi, Jack zginie! Przycisnęła palce do ust i zmusiła się, by myśleć jasno.

Dzięki Bogu, Belville zdawał się pogrążony w rozmowie. – Muszę przyznać, że początkowe niepowodzenia uznaliśmy za zwykły pech. Kiedy jednak francuscy przyjaciele przestali nas zachęcać, a potem powiedzieli, że nie potrzebują już naszych usług, uznaliśmy, że przyda się małe śledztwo.

Belville przemawiał potoczyście, lecz jego jowialne zachowanie kontrastowało z widokiem paskudnych pistoletów, które trzymał w dłoniach.

– Być może – zasugerował – zważywszy, ile sprawiliście kłopotu, zechcielibyście powiedzieć mi, kim jesteście i dla kogo pracujecie. Oczywiście, zanim wpakuję po kulce w każdego z was.

Kit nie wierzyła, by Jack powiedział mu cokolwiek, nawet pod groźbą śmierci, ale nie zamierzała czekać, by się o tym upewnić. Przypomniała sobie o pistolecie przytroczonym do siodła Jacka. Oby tylko był naładowany, modliła się w duchu. Wypełzając tyłem z krzaków, usłyszała głos męża. – Jesteś lord George Belville, prawda?

Ciekawe, co on na to, zastanawiała się Kit. Pośpieszyła w kierunku koni,

skryta za wydmami.

Jack przeklinał swoją głupotę, wpatrując się bez zmrużenia powiek w oczy Belville'a. Powinien był dać Kit szansę, by powiedziała mu, dlaczego spotkanie z Belville'em aż tak ją zaniepokoiło. Powinien był zaufać jej instynktowi. A teraz Joe nie żyje. I jeden Bóg wie, jak im uda się uniknąć znalezienia się w podobnej sytuacji.

– Skąd wiesz, kim jestem? – zwodniczo łagodny ton głosu Belville'a znikł zastąpiony burknięciem.

– Zostałeś zidentyfikowany przez kogoś powiązanego bezpośrednio z królewskim komisarzem. Można powiedzieć, że ta osoba ma u komisarza posłuch.

Jack usłyszał, jak George krztusi się u jego boku. Zaczął ostrożnie rozważać szansę. Sytuacja nie wyglądała zachęcająco. Belville dzierżył dwa pistolety, a zza pasa wystawała mu rękojeść trzeciej, mniejszej broni. Prawdopodobnie miał też nóż. Nawet gdyby nie trafił za pierwszym razem – choć nie wiadomo, dlaczego miałoby się tak stać, łajdak miał przecież mnóstwo miejsca, a na plaży nie było za czym się schować – nadal miałby przewagę w walce na noże z Matthew czy George'em.

Pozostawało im tylko zagadywać Belville'a i modlić się o cud.

– Kim jest ta osoba? Ten bliski znajomy królewskiego komisarza?

Jack uniósł brwi. – Ach, nie będziemy przecież zdradzać sekretów. To niełądnie, prawda?

Belville wycelował broń. – Nie wierzę, że ktoś taki w ogóle istnieje.

Jack wzruszył ramionami. – Więc skąd wiedziałem, kim jesteś? Nie spotkaliśmy się dotąd.

Lufy drgnęły lekko. Belville wpatrywał się w Jacka zwężonymi oczami.

Kim jesteś?

* * *

Poza zasięgiem wzroku i słuchu palce Kit zacisnęły się na kolbie małego pistoletu, ukrytego przy siodle Championa. Westchnęła z ulgą. Teraz musi tylko zdążyć na czas.

Gdy wpełzła pomiędzy wydmy, dobiegł ją głos Belville'a, gniewny i władczy. Z pewnością nie spodobało mu się to, że został rozpoznany. Jack odpowiedział, a jego głos brzmiał tak pewnie, że Belville jeszcze bardziej się zdenerwował. Kit zmusiła się do zachowania ostrożności i pełzła dalej, modląc się, by ostry język jej męża nie sprawił, że zostanie zastrzelony, nim zdąży przyjść mu na ratunek.

– Powiedzmy, że jestem kimś, kto chciałby wejść w ten interes – powiedział Jack, nadal wpatrując się w Belville'a. – Być może, jeśli porozmawiamy, okaże się, że nasze interesy nie wykluczają się nawzajem?

Belville zmarszczył brwi, rozważając propozycję. W końcu powoli potrząsnął głową. – W tym, co robisz, jest coś dziwnego. Wysłałeś dziś człowieka. Henry i ja chętnie dowiedzielibyśmy się, co ze sobą zabrał. W ministerstwie tylko my dwaj pracujemy dla Francuzów. Henry jest tego całkiem pewny. A to oznacza, że grasz na dwie strony, co mogłoby kosztować mnie i Henry'ego głowę. – Belville uśmiechnął się i był to doprawdy przerażający widok. – Obawiam się, drogi panie, że twoje dni w tym interesie dobiegły kresu.

Co powiedziawszy, uniósł pistolety.

Trzy metry za nim Kit zatrzymała się gwałtownie, spoglądając na Belville'a szeroko otwartymi, zogromniałymi z przerażenia oczami. Chwyciła pistolet Jacka w obie dłonie, poderwała go, zamknęła oczy i nacisnęła spust.

Huk wystrzału odbił się echem od ściany klifu. Jack i George zachwiali się, pewni, że zaraz poczują palący ból. Lecz kiedy chmura dymu po wystrzale rozwiała się, spojrzeli jeden na drugiego i uświadomili sobie, iż żaden z nich nie został trafiony. Matthew podbiegł, zdumiony, że nic im się nie stało. Zdziwieni, spojrzeli na Belville'a.

Ciastowata twarz zbladła, a nalane rysy zastygły w wyrazie niedowierzania. Oba pistolety dymiły, lecz ślady na piasku u stóp Jacka i George'a świadczyły, że Belville nie uniósł broni dostatecznie wysoko, by strzelić celnie.

Jack, zdumiony ponad wszelkie wyobrażenie, spojrzał w oczy mężczyzny i spostrzegł, że zasnuwa je mgła. Belville zatoczył się, a potem upadł na piasek.

Padając, odsłonił Kit, która stała za nim z oczami niczym dwa ciemne stawy i dymiącym pistoletem w dłoni.

Jack zapomniał o Belville'u, o misji i szpiegach. W sekundę pokonał dzielącą ich odległość i chwycił Kit w ramiona, przyciskając ją do siebie, wściekły i wdzięczny zarazem.

– Przeklęta kobieto! – powiedział z twarzą wtuloną w jej loki. – Jak, u diabła, tu się dostałaś?

Szok i ulga osłabiły jego gniew. Sięgnął po pistolet, który i tak wyśliznąłby się z omdlałych palców Kit, i zaklął cicho. – I co ja mam z tobą zrobić?

Kit zamrugała skonsternowana. Właśnie zabiła człowieka. Poruszyła się w ramionach Jacka, próbując zerknąć mu przez ramię, lecz Jack trzymał ją mocno, zasłaniając sobą miejsce, gdzie Matthew i George pochylali się nad ciałem Belville'a.

– Stój spokojnie.

Nie mając wyboru, posłuchała. Niemal natychmiast zakręciło się jej w głowie. Zbladła i zatoczyła się w ramionach Jacka.

– Wszystko w porządku. Oddychaj głęboko.

Kit usłyszała słowa otuchy i zrobiła, co jej kazano. Po chwili świat przestał

wirować.

A potem podszedł do nich George.

Jack trzymał Kit mocno, przyciskając jej twarz do piersi. Czuła bicie jego serca, mocne i równe. Łzy napłynęły jej do oczu. Zaniepokojona własną słabością zamrugała, by je powstrzymać.

Jedno spojrzenie na twarz George'a upewniło Jacka, że Belville zginął, chciał jednak, by usłyszała to także Kit.

– Nie żyje? – zapytał więc.

George skinął głową.

– Trafiony prosto w serce.

Jack stłumił śmieszny impuls, by zapytać Kit, gdzie nauczyła się tak strzelać. Nawet z bliskiej odległości strzał w serce, oddany w sytuacji przymusu, wymagał umiejętności. Oraz odwagi. Ale tej miała zawsze pod dostatkiem.

Nutka rezygnacji w głosie obu mężczyzn sprawiła, że Kit podniosła głowę.

– Nie chcieliście, by zginął? – spytała, wpatrując się w Jacka.

Ku swej irytacji, Jack nie potrafił przekonać Kit na tyle szybko, by nie wzbudzić jej podejrzeń. Szok w jej spojrzeniu skłonił go, by wyznał coś przynajmniej zbliżonego do prawdy. – Byłoby lepiej, gdybyśmy ujęli go żywcem, jednak – zapewnił pośpiesznie – w tych okolicznościach bardzo się cieszymy, że w ogóle żyjemy. Nie myśl, że się skarżymy.

Jack nie potrafił odgadnąć, co Kit teraz czuje. Wydawała się o wiele bardziej skonsternowana niż on. Na szczęście George pospieszył mu z pomocą.

– Matthew twierdzi, że jeśli zostawimy tu ciało, morze je zabierze.

Jack skinął głową. Zniknięcie to najlepsze rozwiązanie. Obecność ciała należałoby jakoś wyjaśnić, a to mogłoby narazić misję.

– Joe… Musimy go znaleźć!

Głos Kit przywołał mężczyzn do rzeczywistości, uświadamiając im ich obowiązki.

– Nie! – zawołali jednym głosem.

– Zabiorę cię do domu – powiedział Jack. – George się nim zajmie.

Lecz Kit odsunęła się od niego, jak mogła najdalej, i potrząsnęła energicznie głową. – Ale on może jeszcze nie… Nie. Musimy poszukać go natychmiast.

Obaj mężczyźni usłyszeli nutkę histerii w jej głosie. Spojrzeli na siebie zaniepokojeni.

– Chodźcie! – ponaglała ich, ciągnąc Jacka za rękaw. – On może tam umiera, a wy się kłócicie!

Ani Jack, ani George nie mieli zbyt wielkiej nadziei, że Joemu udało się przeżyć, lecz żaden z nich nie czuł się na siłach, by przekonywać o tym Kit. Jack westchnął i uwolnił Kit z objęć, nie puszczając jej dłoni. Weszli we trójkę na klif i podeszli do pagórka.

Żałosna kupka szmat, oto co pozostało z Joego. Piasek wokół był ciemny od krwi, która wypłynęła z otwartej rany w gardle. Kit stała, nie mogąc oderwać spojrzenia od zwłok. Nagle załkała konwulsyjnie i ukryła twarz na piersi Jacka.

George pochylił się nad Joem, ale biedny człowiek nie zdradzał najmniejszych oznak życia.

Kit z trudem zaczerpnęła powietrza. Całymi tygodniami stała na czujce, bawiąc się w przemytnika i nie przejmując się światem. To była tylko gra. Lecz śmierć Joego nie była grą. Gdyby nadal pracowała z Jackiem, to ona leżałaby teraz u stóp pagórka. A tak, zginął Joe. Wszelka skrucha z powodu tego, że zamordowała człowieka, znikła, wsiąkając w ziemię razem z krwią Joego. Pomściła go i była z tego zadowolona.

Nagły przypływ emocji osłabił ją i musiała znów wesprzeć się na mężu. Jack zorientował się, że Kit traci siły i zaklął.

Dla Jacka widok martwego wartownika był niczym nocny koszmar. Oczywiście w najgorszej jego wersji skuloną na piasku postacią była Kit. Fakt, że to Joe został zabity, złagodził nieco szok, lecz Jack nadal był wstrząśnięty. Przycisnął do siebie mocno Kit, czerpiąc pociechę z ciepła jej smukłego ciała.

George spojrzał na przyjaciela.

– Ja i Matthew zajmiemy się tym. Na miłość boską, zabierz ją do domu. I nie zostawiaj samej.

Jack nie potrzebował dalszej zachęty. Zaniósł swą milczącą żonę do miejsca, gdzie pozostawili konie, i posadził na Championa, a potem wskoczył na siodło i przycisnął ją do siebie. – Gdzie twój koń?

Kit powiedziała mu, gdzie zostawiła klacz. Jack podjechał prosto do tego miejsca, przywiązał kasztankę do siodła Championa i skierował się prosto do zamku Hendon. Śpieszył się, by jak najszybciej wpakować Kit do łóżka i napoić brandy. Już zaczynała drżeć. Jack nie miał doświadczenia w opiece nad kobietami, które przeżyły szok, czuł jednak, że może być tylko gorzej.

Kiedy jechali przez oświetlone księżycowym blaskiem pola, Kit starała się zebrać myśli. Zabiła człowieka. Bez względu na to, jak sobie to tłumaczyła, i tak prześladowało ją poczucie winy. Mimo to gdyby znalazła się w tej samej sytuacji, postąpiłaby podobnie. Belville zabiłby Jacka, a do tego nie mogła dopuścić. Kiedy na horyzoncie zamajaczyła sylwetka zamku Hendon, przyjęła do wiadomości prosty fakt i pogodziła się z nim: Jack należał do niej, a ona, jak każda samica, była gotowa zabić w obronie tych, których kocha.

– Będziemy musieli zrobić coś dla rodziny Joego.

Nagła uwaga wyrwała Jacka z zamyślenia. – Nie martw się. Zajmę się tym.

– Tak, ale… – Kit mówiła dalej, nieświadoma, że paple bez ładu i składu.

Jack uspokajał ją, zapewniając, że wszystko będzie dobrze. W końcu umilkła, lecz wybuch pozbawił ją reszty sił. Oparła się o niego ciężko. Jack

skupił się na tym, by prowadzić Championa przez ciemne pola. W jego głowie kłębiły się myśli i sprzeczne emocje. Nim dojechał do stajni, księżyc zdążył już zajść i wokół było zupełnie ciemno.

Krzyknął na Martinsa, który wybiegł, wpychając koszulę w bryczesy. Jack zsiadł z konia, a potem pomógł zsiąść Kit, ignorując zaszokowane spojrzenie stajennego. To, że żona miała na sobie bryczesy, było w tej chwili najmniejszym z jego kłopotów. Zostawił konie Martinsowi i zaniósł Kit do domu. Weszli przez boczne drzwi. Tuż za nimi stała na stole pojedyncza świeca. Jack zignorował ją i zaniósł Kit prosto do sypialni.

Kiedy już tam dotarli, rozebrał ją, ignorując jej protesty i traktując delikatnie, niczym dziecko. Chwycił ręcznik i zaczął nacierać Kit energicznie, aż zaróżowiła się jej skóra. Wtedy zostawił ją na chwilę, leżącą nago na łóżku, i wrócił do swego pokoju, nakrywszy wpierw żonę kołdrą. Gdy wrócił, on także był nagi. W dłoniach niósł dwie szklaneczki brandy. Wsunął się pod przykrycie, czując jedwabiste ciało Kit tuż obok siebie.

– Masz. Wypij to. – Przystawił jej szklaneczkę do ust i nalegał, by wypiła wszystko. Osuszył swój kieliszek jednym haustem, a potem odstawił go na stół, opuścił się niżej na łóżku i wziął Kit w ramiona.

Ku jego zdumieniu Kit odwróciła się, by na niego spojrzeć. A potem przyciągnęła bliżej głowę męża, zachęcając go do pocałunku. Całował ją, aż poczuł, że wraca do życia.

Chociaż nie zamierzał kochać się tej nocy, kiedy leżał potem obok niej, zaspokojony, musiał przyznać, że Kit dobrze wybrała czas. Połączyli się, by zaspokoić potrzebę bliskości i utwierdzić się w przekonaniu, że oboje żyją. Potrzebowali tego, jak nigdy dotąd.

Jack ziewnął i mocniej objął Kit. Nim zaśnie, musi jeszcze przemyśleć kilka spraw. Ktoś będzie musiał zawieźć do Londynu wiadomość o śmierci Belville'a. Wyglądało na to, że „Henry" jest zwierzchnikiem lorda w szpiegowskim fachu i pracuje w ministerstwie. Kimkolwiek był, powinni go zidentyfikować, nim zorientuje się, że Belville zniknął, i się przyczai. Czy George mógłby pojechać do Londynu? Nie. Ten, kto tam pojedzie, będzie musiał wyjaśnić, co stało się z Belville'em. Tylko on, Jack, ponosi odpowiedzialność za czyny swojej żony, nikt inny.

Będzie musiał wyruszyć, i to wcześnie rano.

Spojrzał na kędzierzawą głowę Kit, przytuloną do jego boku, i się skrzywił. To jej się nie spodoba, ale cóż, nie ma wyjścia.

Obraz Kit, stojącej w ciemności z dymiącym pistoletem w dłoni, powrócił i pewnie będzie go często nawiedzać. Nie był w stanie określić, co czuł, gdy ją zobaczył i uświadomił sobie, co zrobiła. Nadal tego nie potrafił.

Żaden mąż nie powinien przechodzić przez to, na co naraziła go Kit. Gdy wróci z Londynu, będzie musiał jasno jej to wyłożyć.

Rozdział 28

Kiedy Kit obudziła się i zobaczyła list na poduszce, jęknęła i zamknęła oczy. Gdy je otwarła, list nadal tam był.

Do licha z Jackiem! Co teraz? Mrucząc pod nosem francuskie przekleństwa, usiadła na łóżku i złamała pieczęć. Jej przepełniony gniewem krzyk zwabił do pokoju Elminę.

– *Ma petite!* Jesteś chora?

– Ja nie, ale ten przeklęty, nadęty komisarz z pewnością będzie, gdy tylko wpadnie mi w ręce! Jak on śmiał tak mnie zostawić!

Kit upuściła list i odrzuciła przykrycie, nie bacząc, że jest naga. Przyjęła szlafrok, który zaszokowana Elmina narzuciła jej na ramiona. Włożyła go, zanim zorientowała się, że jest to jeden z jedwabnych fatałaszków, które kupił jej Jack.

– Jaki pożytek z tych rzeczy, skoro nie ma go tutaj, by je oglądał? – zapytała z furią, wpatrując się w sufit. Elmina przezornie milczała.

Do czasu, aż się wykąpała i zjadła bardzo samotne śniadanie, furia Kit przerodziła się w zimny gniew. Przeczytała list męża jeszcze trzy razy, a potem podarła go na strzępy.

Zdecydowana o tym nie myśleć, próbowała zająć się codziennymi obowiązkami, ze zmiennym szczęściem. Jednak gdy nadszedł wieczór, a ona nadal była sama, zabrakło jej zajęć, które rozpraszałyby ponury nastrój. W końcu, po tym jak zjadła kolację we wspaniałym odosobnieniu jadalni, udała się do biblioteki, gdzie zasiadła przy ogniu, wpatrując się smętnie w puste krzesło za biurkiem.

To nie było w porządku.

Choć nie miała zbyt wielu przesłanek, by móc odgadnąć zamiary Jacka, jej podejrzenia rosły. Pomogła mu zdobyć kontrolę nad wszystkimi przemytnikami w okolicy. Nie wiedziała, po co mu to było potrzebne, lecz była pewna, że to z jego inicjatywy ich grupy się połączyły. Choć ciągle pytała, odmawiał ujawnienia swych planów. Nawet gdy zagroziła, że go wyda, nie zmienił stanowiska. A potem ocaliła ich przed żołnierzami, omal nie tracąc przy tym życia. Czy osłabiło to postanowienie Jacka, by utrzymywać ją w niewiedzy? Ani trochę!

Kit prychnęła i poruszyła się na krześle, zsuwając pantofelki i wpychając zmarznięte palce stóp pod spódnicę.

Lecz jego reakcja na ostatnie wydarzenia przeszła wszystko, co uczynił dotąd. Popędził do Londynu, rzekomo po to, by wyjaśnić sprawy związane ze śmiercią Belville’a. Kit zmrużyła oczy i wykrzywiła szyderczo usta. I tu się

potknął. Nie było po co jechać do Londynu, skoro uzgodnili, że Belville po prostu zniknie, a po jakimś czasie wszyscy uznają, że stał się ofiarą zdradzieckich prądów. Żałowała, że nie wie, z kim Jack spotka się w stolicy. Bez wątpienia udzieli tej osobie wyjaśnień, których jej odmówił.

Westchnęła i przeciągnęła się. Lampy przygasły. Równie dobrze mogłaby już iść na górę, do pustego łóżka. Nie było ucieczki od faktu, że mąż po prostu jej nie ufał, że nie był do tego zdolny.

Zacisnęła w wąską linię pełne wargi. Ametystowe oczy zabłysły. Wsunęła stopy w pantofle i wstała.

Znajdzie sposób, by dać do zrozumienia swemu nieznośnemu mężowi, że jego nastawienie jej nie odpowiada.

Ruszyła stanowczym krokiem do łóżka.

* * *

Niedzielny świt zastał Kit nie tylko bez męża, ale i przepełnioną bezużyteczną energią – to ostatnie stanowiło naturalną konsekwencję pierwszego. Odsunęła zasłony i spojrzała na bajkową scenerię za oknem. Zielone pola błyszczały od rosy niczym klejnoty pod łaskawym niebem, na którym próżno by szukać choć jednej chmurki. Na jego nieskazitelnym błękicie ptaki wyśpiewywały radosne serenady.

Oczy Kit zabłysły. Pośpieszyła do garderoby. Będzie musiała włożyć ineksprymable; Jack tak gorliwie zdejmował z niej bryczesy, że Elmina będzie musiała je zeszyć.

Odziana jak chłopak, wymknęła się z pogrążonego we śnie domu. Osiodłanie klaczy nie było rzeczą trudną. Ruszyła szybko na południe, by nie zobaczyli jej stajenni. Dotarła do padoku, gdzie trzymano Delię. Klacz przybiegła ochoczo, gdy tylko Kit na nią gwizdnęła. W okamgnieniu zdjęła siodło z wierzchowca, na którym przyjechała, i osiodłała Delię, a potem wpuściła kasztankę na padok, gdzie mogła paść się swobodnie, podczas gdy ona i Delia będą cieszyły się swoim towarzystwem.

Pojechała wprost ku północnemu wybrzeżu, mijając w niewielkiej odległości chatę. Delia mknęła niczym strzała i kiedy dotarły na klif, nastrój Kit znacząco się poprawił. Krew płynęła żwawo w jej żyłach, oddychała głęboko, przepełniona radością. Uniosła ręce do słońca i się przeciągnęła. Jak cudownie jest żyć, pomyślała.

A byłoby jeszcze cudowniej, gdyby jej nieprzyzwoicie przystojny mąż był tu teraz z nią. Kit odsunęła tę myśl, nie chcąc psuć sobie nastroju, i zaczęła rozglądać się za ścieżką prowadzącą w dół klifu.

Ruszyła plażą na wschód, a potem zbliżyła się do ściany urwiska, by znaleźć drogę, która pozwoliłaby jej dostać się na górujący nad Brancaster cypel

w kształcie kowadła. Puściła Delię, by klacz sama wybierała drogę przez plażę, gdzie przemytnicy z Hunstanton przejęli tyle ładunków.

Znalazła ciało w ostatniej płytkiej zatoczce przed wschodnim krańcem cypla.

Cofnęła Delię o kilka metrów i przez chwilę przyglądała się rozciągniętej tuż przy linii wody postaci. Fale obmywały nogi leżącego. Najwidoczniej wyrzucił go na plażę cofający się przypływ. Mężczyzna nie poruszał się i wyglądał jak martwy.

Jego czarne włosy przywołały wspomnienie.

Kit zsiadła i ostrożnie zbliżyła się do ciała. Gdy stało się jasne, że mężczyzna nie przedstawia sobą zagrożenia, odwróciła go na plecy. I natychmiast rozpoznała. Obrzuciła zdziwionym spojrzeniem aroganckie brwi i arystokratyczne rysy francuskiego szpiega Jacka. Choć był śmiertelnie blady, nadal żył – widziała, jak jego puls uderza płytko u podstawy szyi.

Co mogło się stać? I, co ważniejsze, jak powinna postąpić?

Stłumiła westchnienie, a potem pochyliła się, wsunęła dłonie pod ramiona mężczyzny i wciągnęła go głębiej na piasek. Teraz fale nie mogły już go dosięgnąć. A potem usiadła obok, aby się zastanowić.

Jeśli był francuskim szpiegiem, powinna przekazać go straży. Co Jack by o tym pomyślał? Z pewnością nie byłby pod wrażeniem. Skoro jednak była lojalną obywatelką brytyjską, cóż innego jej pozostawało? Co powinno przeważyć: obowiązek wobec męża czy wobec kraju? I czy naprawdę oba stały ze sobą w sprzeczności, czy była to iluzja, którą Jack posługiwał się, aby osiągnąć swoje cele?

Kit jęknęła i przeczesała palcami włosy. Żałowała, że nie ma tu Jacka, nie po to, by zajął się wszystkim, ale by mogła rozeznać się w swoich uczuciach i osiągnąć jako taki spokój ducha.

Lecz Jack był daleko, a jego francuski przyjaciel pilnie potrzebował pomocy. Przemarzł i już na pierwszy rzut oka widać było, że musiał spędzić w wodzie sporo czasu. Wyglądał na człowieka silnego i zdrowego, lecz najwidoczniej był wyczerpany. Powinna zabrać go w jakieś suche, ciepłe miejsce, i to jak najprędzej.

Rozważyła możliwości. Był wczesny ranek. Jeśli od razu zabierze się do rzeczy, być może nikt ich nie zauważy. Chata to najbezpieczniejsze miejsce – mogłaby przechować tam chorego. Do tego znajduje się niedaleko. Wstała i przyjrzała się mężczyźnie. Na szczęście był szczuplejszy niż Jack. Bez większego trudu udało jej się przesunąć go w głąb plaży, powinna więc poradzić sobie dalej.

Przez chwilę rozważała szczegóły planu. Podziękowała niebiosom, że kiedyś nauczyła Delię różnego rodzaju sztuczek. Teraz klacz posłusznie uklękła obok Francuza. Kit ciągnęła, szarpała i pchała jego bezwładne ciało, aż

w końcu udało jej się wsadzić go na siodło tak, iż policzkiem przywarł do szyi klaczy, a jego ręce zwisały po obu bokach wierzchowca. Zadowolona, wdrapała się z tyłu na siodło i kazała Delii się podnieść. Mężczyzna o mało się przy tym nie zsunął, jednak w ostatniej chwili Kit udało się go przytrzymać. Delia czekała cierpliwie, aż przygotowania zostaną zakończone, a potem ruszyły przed siebie tak szybko, jak było to możliwe.

Zsunięcie się z konia było już zdecydowanie łatwiejsze. Kit zsiadła pierwsza, a potem podtrzymywała nieprzytomnego mężczyznę, aż omdlewały jej ramiona, dopóki nie spoczął w końcu na ziemi. Zirytowana własną bezradnością, ułożyła go w wygodniejszej pozycji, po czym weszła do chaty, by przygotować łóżko.

Znalazła stare prześcieradło i rozpostarła je na materacu. Będzie musiała zdjąć z mężczyzny ubranie, lecz jeszcze nie teraz. Najpierw musi wykorzystać je, by miała za co chwycić, gdy będzie wciągała go do chaty, a potem na łóżko. Dokonanie tego nie było łatwe, mimo to po jakimś czasie spoczął wreszcie na prześcieradle, wysoki, smukły i wystarczająco przystojny, by Kit zwróciła na to uwagę.

Jack nie zostawiał noży byle gdzie, lecz jego szpada nadal tkwiła schowana w szafie. Kit dobrze ją wykorzystała, przecinając ubranie Francuza. Próbowała nie patrzeć na niego, kiedy go rozbierała i przewracała na brzuch, aby wyciągnąć spod spodu zabłocone prześcieradło. Mężczyzna miał na ramionach i barkach siniaki, jakby stoczył z kimś walkę, a na biodrze wielki krwiak, powstały, gdy o coś uderzył. Poza tym był jednak cały i, na pozór, zdrowy. Przekonawszy się o tym, naciągnęła na niego kołdrę i zadowolona z dobrze wykonanego zadania, zaczęła rozpalać ogień, by ogrzać w nim cegły. Następnie, gdy pacjent był już suchy i było mu w miarę ciepło, przygotowała herbatę i usiadła, czekając.

Ciepło sprawiło, że mężczyzna wkrótce poruszył się i przewrócił na plecy. Kit podeszła do łóżka, a potem z ufnością pochyliła się, aby położyć choremu rękę na czole.

Silne palce zamknęły się wokół jej nadgarstka. Ciężkie powieki uniosły się, odsłaniając czarne oczy, zamglone gorączką. Mężczyzna wpatrywał się w nią uporczywie.

– *Qui est-ce vous etes?*

Czarne oczy omiotły spojrzeniem wnętrze chaty, a potem powróciły do twarzy Kit.

– *Ou sont-nous?*

Na pytania należało odpowiedzieć. Kit odezwała się więc po francusku:

– Jest pan całkiem bezpieczny. Musi pan tylko odpocząć.

Próbowała uwolnić rękę, lecz on jeszcze wzmocnił uścisk. Zirytowana tą demonstracją męskiej brutalności, przeprowadzoną w najmniej odpowiednim

momencie, dodała umyślnie szorstko: – Jeśli mnie pan posiniaczy, Jack nie będzie zadowolony.

Wzmianka o mężu Kit sprawiła, że mężczyzna natychmiast puścił jej nadgarstek. Wlepił w nią swe czarne oczy, widocznie skonsternowany.

– Jesteś… znasz… kapitana Jacka?

Kit skinęła głową. – Można tak powiedzieć. Przygotuję panu coś do picia.

Ku niekłamanej uldze Kit od tej pory mężczyzna zachowywał się poprawnie, choć nie przestawał jej obserwować. Posłusznie wypił słabą herbatę i niemal natychmiast zapadł w niespokojny sen.

Kit zagryzła wargi, przyglądając się, jak chory rzuca się po materacu. Mamrotał coś po francusku. Podniosła się i stanęła w nogach łóżka. Nie była pewna, na ile jego umysł pozostał jasny, a na ile zamroczyła go gorączka. Gdyby podeszła zbyt blisko, mogłaby znaleźć się w niebezpieczeństwie.

Nagle mężczyzna przewrócił się na plecy i zaczął oddychać spokojniej. Ku zdumieniu Kit odezwał się też w doskonałej angielszczyźnie: – Jest ich tylko dwóch… Zostało już tylko dwóch drani. Hardinges pił zbyt szybko…. Kretyn odpłynął, zanim zdążyłem coś z niego wyciągnąć. – Zamilkł i zmarszczył czarne brwi. – Nie, zaczekaj. Jest jeszcze jeden ślad… choć Bóg wie, że bardzo słaby. Hardinges stale mamrotał coś o „synach księcia”. Myślę, iż mogło to oznaczać, że jeden z dwóch pozostałych drani jest synem księcia, ale nie mogę być pewny. Jednak nie przypuszczam, aby Hardinges posłużył się poetycką przenośnią. – Lekki uśmiech rozświetlił smagłą twarz. – Cóż, Jack, przyjacielu, obawiam się, że to wszystko, czego zdołałem się dowiedzieć. Więc lepiej wsiądź na swoją szarą bestię i pędź do Londynu, przekaż wieści. Cokolwiek mają zamiar zrobić, muszą zrobić to szybko. Sępy już się zbierają. Wiedzą, że coś się święci, i są zdecydowani dowiedzieć się, co to takiego. Jeśli w naszym gnieździe jest jeszcze jakiś szczur, znajdą go.

Długa przemowa najwidoczniej wyczerpała siły mężczyzny. Zamilkł na dłuższą chwilę, a potem zapytał: – Jack?

Kit wzdrygnęła się przestraszona. – Jack już tu jedzie.

Mężczyzna westchnął i zapadł głębiej w poduszki. Jego usta wypowiedziały bezgłośnie słowo „Dobrze”, a potem znów zapadł w sen.

Kit siedziała w ciszy, przerywanej jedynie delikatnym pochrapywaniem i starała się poskładać wszystko, czego dowiedziała się o działalności męża. Jack był królewskim komisarzem na cały północny Norfolk. Wyznaczono go na to stanowisko, by zapobiegł przemycaniu szpiegów. I najwidoczniej, nie potrafiąc zadowolić się jedynie wyłapywaniem tych, którzy pojawili się po tej stronie kanału, postanowił wysłać do Francji własnego szpiega.

Wszystko to bardzo pięknie, ale dlaczego nic jej nie powiedział?

Kit przechadzała się przed kominkiem, spoglądając od czasu do czasu na pacjenta. Jack nie miał powodu, by jej nie ufać, zwłaszcza po tym, jak

przysłużyła się jego misji, chociaż zrobiła to bezwiednie. Było zatem boleśnie jasne, iż jej mąż żywił przestarzałe poglądy na to, jakie miejsce powinna zajmować w jego życiu żona. Tylko że Kit nie zamierzała zadowalać się rolą, jaką jej wyznaczył.

Pragnęła dzielić z nim życie, nie zaś przebywać na jego peryferiach w charakterze okazjonalnego pomocnika, trzymanego na odległość ramienia za pomocą racjonowania informacji.

Oczy Kit zabłysły. Zacisnęła wargi. Pora poświęcić więcej czasu i energii, aby nauczyć Jacka, jak ma wyglądać jego małżeństwo.

* * *

Kiedy uznała, iż może bezpiecznie opuścić Francuza – który nie był wcale Francuzem – nastał już późny ranek. Nie było możliwości, aby zdołała ukryć męskie przebranie, nie próbowała więc tego robić. Pojechała prosto do zamkowych stajni i zeskoczyła zgrabnie z siodła. Martinsowi oczy omal nie wyskoczyły z orbit na jej widok.

– Zajmij się Delią, Martins. Możesz odprowadzić ją na tylny padok i zabrać stamtąd kasztankę. Nie będę już dziś jeździła.

– Tak, milady.

Kit wmaszerowała do domu, zdejmując po drodze rękawice. W holu natknęła się na Lovisa. Spojrzała na niego wyzywająco, lecz Lovis stanął na wysokości zadania i ani przez chwilę nie dał po sobie poznać, iż widok Kit w męskim przebraniu do głębi wstrząsnął jego konserwatywną duszą.

– Chciałabym jak najszybciej wysłać wiadomość do pana Smeatona, Lovis. Napiszę liścik, niech ktoś ze służby czeka w gotowości, aby natychmiast zawieźć go do Smeaton Hall.

– Doskonale, proszę pani. – Lovis podszedł, gotów otworzyć przed nią drzwi biblioteki. – Syn Martinsa będzie czekał.

Kit przyciągnęła krzesło do biurka męża i położyła przed sobą arkusz czystego papieru. Napisanie listu nie sprawiło jej kłopotu, zawiadamiała w nim po prostu George'a, by wyruszył natychmiast do chaty, na pomoc swemu „francuskiemu" przyjacielowi, którego zostawiła tam w stanie *hors de combat*. Przerwała na chwilę, po czym dopisała ostatnie zdanie:

Jestem pewna, że skoro cieszysz się o wiele większym zaufaniem Jacka niż ja, będziesz wiedział, co dalej robić.

Podpisała się zamaszyście z ponurym uśmiechem na ustach. Być może dokuczanie George'owi nie było do końca fair, lecz jakoś nie żywiła dziś przyjaznych uczuć wobec osób, które pomogły jej mężowi osiągnąć obecny stopień arogancji. Przybiła na liście oficjalną pieczęć, wiedząc, że skłoni to George'a, aby wyruszył do chaty i przejął za wszystko odpowiedzialność.

Zadzwoniła na Lovisa i wręczyła mu list, prosząc, by jak najszybciej go

wysłał.

Przez następnych dwadzieścia minut ledwie się poruszyła, zajęta rozważaniem sposobów, które pozwoliłyby zwrócić uwagę Jacka na wady jego charakteru.

W końcu doszła do wniosku, że sposób jest tylko jeden. Skomplikowane wybiegi nie zdadzą się na nic. Jack był o wiele lepszy w manipulowaniu ludźmi niż ona. Prawdę mówiąc, nie bardzo wiedziała, jak mogłaby osiągnąć cel, posługując się typowo kobiecymi sztuczkami. Gdyby poszła tym tropem, pewnie skończyłaby, leżąc pod nim na plecach, on zaś pozostałby równie arogancki jak przedtem. I równie niechętny do ustępstw. Nie, musiała zrobić coś wystarczająco dramatycznego, co wstrząsnęłoby nim i skłoniło, by spojrzał na sprawę z jej punktu widzenia.

Zdeterminowana, wyjęła z biurka kolejny arkusz papieru i usiadła, aby napisać list do swego nieobecnego małżonka.

* * *

Jack wrócił do domu w poniedziałek wieczorem. Musiał czekać do rana, aby rozmówić się z lordem Whitleyem. Rozważono kilka pomysłów, które pozwoliłyby wywabić z kryjówki człowieka zwanego Henrym. Teraz pozostawało tylko czekać, aż wróci Anthony, aby przekonać się, czy są jeszcze inni zdrajcy, których należałoby wyśledzić. A potem będzie po wszystkim.

Jack westchnął głęboko, wchodząc po frontowych schodach zamku. Drzwi otworzył mu Lovis.

– Milordzie, pan Smeaton prosił, by dać to panu natychmiast, gdy tylko przekroczy pan próg.

Jack rozerwał złożony arkusz. Przez chwilę odcyfrowywał niewyraźne pismo George’a, a potem ciężko westchnął. Zawahał się, rozważając, czy wysłać Kit wiadomość. Nie wróci na kolację. Prawdę mówiąc, wątpił, czy pojawi się w domu, nim ona pójdzie spać. Na tę myśl uśmiechnął się leniwie i wyszedł za drzwi. Lepiej będzie, gdy ją zaskoczy.

– Wrócę dziś dosyć późno, Lovis. Nie mów nikomu, że tu byłem.

W chacie powitał go Anthony, który czuł się już znacznie lepiej. George’a nie było, gdyż został zaproszony na kolację do Gresham, Jack miał więc wysłuchać sam opowieści o przygodach przyjaciela.

– To jedna z niedogodności stanu narzeczeńskiego – skomentował Jack nieobecność George’a, po czym przyciągnął krzesło bliżej łóżka i usiadł na nim okrakiem. Z opowieści Antoine’a wynikało, że Francuzi pojmali go nie dlatego, że coś podejrzewali, lecz po to, by go wypytać na wypadek, gdyby wiedział więcej, niż dobrowolnie im powiedział. Uciekł, ukrywszy się na statku, zmierzającym do Bostonu po drugiej stronie Wash. Niestety, okazało się, że wybrał sobie na kryjówkę statek przemytników. Ci zaś nie lubią

pasażerów na gapę. Musiał więc stoczyć walkę, a potem skoczyć za burtę, aby uniknąć zadźgania.

Opowieść Anthony'ego dowodziła, że Francuzi rozpaczliwie łakną informacji. Wiadomość, że w Londynie pozostało tylko dwóch zdrajców, brzmiała dla Jacka niczym muzyka.

– Dostaliśmy ich – powiedział, a potem opowiedział Anthony'emu, co wydarzyło się na plaży w noc jego odjazdu, przedstawiając Kit jako szeregowego członka gangu.

– George coś o tym wspominał – rzekł Anthony. – Powiedział jednak, że ty lepiej mi to przedstawisz, gdyż śmierć Belville'a dotyczy cię osobiście. Co, u licha, mógł mieć na myśli?

Jack wykazał przynajmniej tyle poczucia przyzwoitości, że się zaczerwienił. – Nie pytaj.

Anthony spojrzał na niego kpiąco zaskoczony. – Ukrywanie czegoś przed przyjaciółmi nie jest zbyt mądre, Jack, mój chłopcze.

– W końcu i tak poznasz tę tajemnicę, więc nie skarżyłbym się na twoim miejscu.

A dostrzegłszy zaintrygowany wyraz twarzy Anthony'ego, dodał czym prędzej: – Whitley sądzi, że Henry, czyli jak podejrzewamy, sir Henry Colebourne, lada dzień znajdzie się za kratkami. To zaś, w połączeniu z twoimi informacjami, oznacza, że koniec jest bliski. Wyłapiemy ich wszystkich.

Anthony opadł na poduszki, wzdychając ciężko. – Czy oni sobie poradzą, gdy wszyscy się wycofamy?

– Jestem pewien, że im się to uda. Ja osobiście mam teraz, że tak powiem, nowe pola do uprawy – powiedział Jack, uśmiechając się radośnie.

Anthony przestał wpatrywać się w sufit, zdumiony nagłym zainteresowaniem Jacka życiem w cywilu. – Nie przypuszczam – powiedział, przyglądając się bacznie przyjacielowi – by twoje nagłe upodobanie do spokojnej egzystencji miało coś wspólnego z rudowłosym chłopakiem, który mnie tu przywiózł?

A widząc zaambarasowaną minę przyjaciela, dodał spokojnie: – Czyżbyś zmienił upodobania, Jack?

Jack powstrzymał cisnącą się na usta wulgarną odpowiedź. Jego oczy zabłysły. – Z tego, co powiedziałeś, wnoszę, iż moja żona miała na sobie bryczesy, kiedy cię tu przywiozła?

– Twoja żona? – zawołał Anthony i natychmiast zaniósł się kaszlem. Gdy przyszedł do siebie, oparł się o poduszki, po czym wbił w Jacka zdumione spojrzenie. – Żona?

Jack skinął głową, niezdolny skryć uśmiech. – Miałeś przyjemność poznać Kathryn, lady Hendon, znaną jako Kit. – Zamilkł, a potem wzruszył ramionami. – To właśnie ona zastrzeliła Belville'a.

– Och… – wykrztusił Anthony, z trudem przyjmując do wiadomości to, co mówił Jack. – Ale jak, u licha, taka drobina zdołała przytaszczyć mnie z plaży aż tutaj?

Jack wstał. – Prawdopodobnie pomogła jej w tym determinacja. To cecha, którą odznacza się w nadmiarze. Zostawię cię teraz, Tony. – Podszedł do łóżka i położył Anthony'emu dłoń na ramieniu. – Rano przyślę tu Matthew z koniem, by zabrał cię do zamku. Odpoczywaj, a ja najszybciej, jak tylko się da, przekażę informacje, które przywiozłeś. Whitleya ucieszy wiadomość, że wykryliśmy wszystkich szpiegów.

– Dzięki, Jack.

Anthony opadł z powrotem na poduszki i w tej pozycji przyglądał się, jak jego przyjaciel zmierza ku drzwiom. – Ale dlaczego tak się śpieszysz?

Jack się zatrzymał. – Muszę porozmawiać z żoną o tym, co właściwe, a co nie. Taki szelma jak ty z pewnością by tego nie zrozumiał.

Zamykając drzwi, usłyszał jeszcze, jak Anthony woła: – Ho, ho!

Skierował się do stajni. Nie przyłapał co prawda Kit na gorącym uczynku, ale to prawie to samo, czyż nie?

Kiedy dotarł do domu, był już mocno zniecierpliwiony. Wszedł przez boczne drzwi i wziąwszy ze stołu świecę, ruszył prosto do sypialni żony.

I stanął jak wryty, gdy w bladym świetle zobaczył niezakłóconą płaszczyznę zielonej satyny, pod którą nie kryły się rozkosznie zaokrąglone kształty Kit.

Przez chwilę po prostu wpatrywał się w łóżko, niezdolny myśleć. A potem, czując, jak mocno bije mu serce, przeszedł do swego pokoju. Lecz jego łóżko też było puste. Na widok zwyczajnej białej koperty, opartej o poduszkę, zaczęły drżeć mu dłonie. Wosk ze świecy rozlał się plamą po podłodze.

Odetchnął głęboko, odstawił świecę na stolik przy łóżku, po czym opadł na materac i sięgnął po kopertę. Była zaadresowana do Jonathona, lorda Hendona. Fakt, że użyła jego oficjalnego imienia i tytułu, nie wróżył najlepiej.

Zacisnął usta i złamał pieczęć.

Oficjalny ton zarezerwowano widać wyłącznie dla tytułu, gdyż znajdująca się w środku wiadomość była prosta i zwięzła.

Drogi Jacku,

Mam dosyć. Wyjeżdżam. Jeśli chciałbyś coś mi wyjaśnić, z pewnością domyślisz się, gdzie mnie szukać.

Twoja oddana, kochająca
i szanująca Cię żona,
Kit

Pierwszą myślą Jacka było, że Kit zapomniała dodać „posłuszna", najwidoczniej spodziewając się, że jego wyobraźnia nie sięga aż tak daleko. Potem przeczytał list jeszcze raz i uznał, że nie może, uczciwie mówiąc, czuć

się dotknięty doborem przymiotników, jakich użyła.

Siedział na łóżku i przysłuchując się tykaniu stojącego w holu zegara, starał się dojść, co też ten list w rzeczywistości oznacza. Nie wierzył, by Lovis przekazał mu wiadomość od George'a, a zapomniał powiedzieć, że opuściła go żona. Przeczytał list jeszcze raz, starając się zignorować uczucie dziwnej pustki, która boleśnie ściskała mu serce. A potem położył się z założonymi za głowę rękami i zaczął myśleć.

Zdenerwowała się, gdyż nie opowiedział jej o swojej misji. Próbował wyobrazić sobie, jak George opowiada o tym Amy, i nie potrafił. Na moment poczuł się usprawiedliwiony, uczucie to rozpłynęło się jednak natychmiast, gdy tylko obraz Kit wyparł z jego myśli obraz Amy. No dobrze, Kit nie była podobna do swej przyjaciółki, a ich związek różnił się od tego, jakie będzie zapewne małżeństwo George'a i Amy.

On i jego misja wiele zawdzięczali Kit, wiedział o tym aż nadto dobrze. Podobnie jak o tym, że Kit tęskniła za przygodą i szukała jej, gdzie tylko mogła. Potrafił zrozumieć zdenerwowanie żony faktem, że nie chciał wtajemniczyć jej w swe plany. Lecz żeby tak go opuścić… Tego rodzaju emocjonalnemu szantażowi nigdy się nie podda. Chryste, gdyby nie wiedział, że jest bezpieczna w Cranmer, szalałby z niepokoju! Bez wątpienia Kit spodziewa się, że natychmiast przybiegnie, pragnąc za wszelką cenę ją odzyskać i obiecując wszystko, czego zażąda.

Nie zrobi tego.

Przynajmniej nie od razu. I tak jutro będzie musiał pojechać znów do Londynu, przekazać nowiny lordowi Whitleyowi. Zostawi Kit, by podusiła się we własnym sosie, schwytana w pułapkę własnych zamysłów. A kiedy wróci, pojedzie do Cranmer, zobaczy się z nią i wtedy będą mogli porozmawiać o swoim związku. Spokojnie i rozsądnie.

Próbował wyobrazić sobie spokojną, rozsądną dyskusję ze swoją żoną. Zasnął, nim mu się to udało.

Rozdział 29

Kit westchnęła z ulgą i zastukała kołatką do drzwi swego kuzyna Geoffreya. Wąski dom na Jermyn Street stanowił londyńską siedzibę trzech synów wuja Kit, Fredericka. Miała nadzieję, że przynajmniej jeden z nich przebywa teraz w stolicy.

Drzwi otworzył jej Hemmings, lokaj Geoffreya. Służył w rodzinie od lat i dobrze znał Kit. Mimo to minęła chwila, nim zdołał rozpoznać ją w tym przebraniu.

– Dobry wieczór, Hemmings. Zastałam moich kuzynów? – spytała, mijając zaskoczonego mężczyznę. Hemmings otrząsnął się z oszołomienia i zamknął drzwi. A potem odwrócił się i znowu wbił wzrok w Kit. Kit westchnęła. – Wiem. Ale tak było bezpieczniej. Czy Geoffrey tu jest?

Hemmings przełknął. – Pan Geoffrey wyszedł na kolację, panienko. Z panem Julianem.

– To Julian jest w domu?

Gdy Hemmings skinął głową, nastrój Kit natychmiast się poprawił. Julian musiał przyjechać na przepustkę. Fakt, iż będzie mogła zobaczyć się także z nim, stanowił jedną z niewielu przyjemnych stron tej skądinąd smutnej sytuacji.

Wyjechała z zamku w niedzielę po południu, to znaczy ponad dobę temu, ubrana jak lady Hendon. Nie miała przy sobie zbyt dużego bagażu, gdyż mogłoby to wzbudzić podejrzenia. Zabrała jedynie małą czarną torbę. Powiedziała Lovisowi, że została wezwana do chorej przyjaciółki i że brat dziewczyny będzie na nią czekał w Lynn. Wiadomość, którą zostawiła mężowi, wszystko wyjaśni, zapewniła. Wystarczy, jeśli Josh odwiezie ją do Lynn i zostawi w gospodzie. Tak też się stało, a kiedy nocny dyliżans wyruszył o ósmej wieczorem do Londynu, uwoził w swym wnętrzu smukłego, eleganckiego młodzieńca, zakrytego po uszy szalem.

Powóz wlókł się niemiłosiernie i dotarł do stolicy późnym popołudniem. Kit musiała przejść spory kawałek, by znaleźć stosunkowo czystą dorożkę. Dorożka wlokła się niemiłosiernie, toteż gdy Kit, zmęczona i głodna, wreszcie znalazła się pod domem kuzynów, było po szóstej.

– Pan Bertram wyjechał na tydzień na wieś, panienko. Czy przygotować dla pani łóżko?

Kit uśmiechnęła się, znużona. – To byłoby cudownie, Hemmings. Byłabym też wdzięczna, gdybyś zdołał zorganizować mi cokolwiek do jedzenia.

– Oczywiście, panienko. Zaczeka pani w salonie?

Zaprowadził Kit do salonu. Gdy tylko została sama, pozbierała

porozrzucane na wszystkich meblach magazyny i zapadła w fotel. Nie wiedziała, jak długo tak siedziała, zakrywając dłonią oczy i starając się przezwyciężyć dziwną słabość oraz zawroty głowy, spowodowane zapewne długim przebywaniem w kołyszącym się powozie. Nie jadła przez cały dzień, mimo to z trudem wmusiła w siebie posiłek, który Hemmings w końcu przed nią postawił.

Gdy tylko skończyła, natychmiast udała się do sypialni. Umyła twarz i rozebrała się, rozmyślając o tym, co też Jack by uczynił, gdyby przyłapał ją tak odzianą. Uśmiechnęła się leciutko, lecz zaraz spoważniała.

Czy dobrze zrobiła, wyjeżdżając? Bóg jeden wie. Niewygody podróży sprawiły, że nieco ochłonęła, mimo to jej determinacja nie zmniejszyła się ani trochę. Jacka trzeba zmusić, by zaczął zwracać uwagę na jej potrzeby, a to zniknięcie z pewnością spełni swoją rolę. Jack za nią pojedzie, była tego pewna. Nie wiedziała jednak zupełnie, jak mąż się zachowa, kiedy już do niej dotrze.

Jakoś przedtem nie przyszło jej do głowy zastanawiać się nad tym.

Potrząsając lokami odłożyła ubranie i wsunęła się pomiędzy czyste prześcieradła. Przynajmniej dziś w nocy będzie mogła spać spokojnie, nie słysząc pochrapywania i pochrząkiwań innych pasażerów. A jutro, gdy będzie znów w stanie myśleć jasno, zacznie martwić się o Jacka i o to, jak zareaguje.

Gdyby sprawy przybrały naprawdę zły obrót, zawsze może się wytłumaczyć.

* * *

Następnego dnia jadła właśnie śniadanie odziana w strój młodego Kita, kiedy drzwi otwarły się i do jadalni wszedł nieśpiesznie Geoffrey. W jedwabnym, kolorowym szlafroku i zawiązanej starannie pod szyją krawatce wyglądał trochę jak dandys. Jedno spojrzenie na jego zaskoczoną minę upewniło Kit, że Hemmings jej pozostawił przekazanie nowin.

– Dzień dobry, Geoffreyu – powiedziała, unosząc do ust filiżankę z kawą i spoglądając na kuzyna ponad jej brzegiem.

Geoffrey nie marnował czasu. Gdy tylko rozeznał się w jej przebraniu, szok widoczny na jego twarzy ustąpił miejsca niedowierzaniu. – A co ty tu, u diabła, robisz?

– Uznałam, iż dobrze mi zrobi, jeśli na tydzień czy dwa wyjadę z Hendon. Nie cieszysz się, że mnie widzisz? – spytała z uśmiechem.

– Do licha, Kit, wiesz, że tak. Ale…

Geoffrey przeczesał dłonią ciemne loki. – Gdzie, do diaska, jest twój mąż?

– Mam nadzieję, że właśnie tu jedzie – odparła Kit, porzucając pozę nonszalancji.

Geoffrey wbił w nią wzrok, a potem sięgnął raptownie po filiżankę. – Chwileczkę, moja droga. Zacznij od początku. Jaką to niebezpieczną grę prowadzisz?

– To nie gra.

Westchnęła i oparła łokcie na stole. Geoffrey przysunął sobie krzesło. A kiedy machnął dłonią, zachęcając ją w ten sposób, by mówiła dalej, Kit opowiedziała, co się zdarzyło. W jasnym świetle poranka nie brzmiało to zbyt przekonująco. A próba wyjaśnienia Geoffreyowi własnych uczuć okazała się jeszcze bardziej bezowocna. Toteż nie była wcale zdziwiona, gdy Geoffrey wziął stronę jej męża.

– Oszalałaś – ocenił. – Jak przypuszczasz, co on zrobi, gdy już cię odnajdzie?

Kit wzruszyła ramionami, wyobrażając sobie tę chwilę.

Geoffrey zesztywniał. – Powiedziałaś mu, dokąd się wybierasz?

Kit potrząsnęła głową i Geoffrey odetchnął z ulgą.

– Lecz Jack się domyśli.

Geoffrey spojrzał na nią. Nie to chciał usłyszeć. Przez chwilę przyglądał się kuzynce, a potem zapytał: – Nie jesteś przy nadziei, prawda?

Teraz Kit zagapiła się na niego. – Oczywiście, że nie!

– Dobrze już, dobrze – zawołał, unosząc uspokajającym gestem dłonie. – Pomyślałem tylko, że to mogłaby być dobra wymówka, gdyby Hendon stanął nagle na progu. Wszyscy wiedzą, że kobiety w ciąży dziwnie się zachowują.

Kit spojrzała na niego zła i zirytowana. – Nie o to chodzi! Chcę, aby zdał sobie sprawę, że nie pozwolę odsunąć się na bok, wepchnąć do bezpiecznej kryjówki za każdym razem, kiedy on uzna, że nie powinnam angażować się w to, co akurat robi.

Geoffrey przyłożył dłoń do czoła. – O mój Boże!

Drzwi otworzyły się ponownie i do jadalni wszedł Julian, najmłodszy z braci, jedyny młodszy od Kit. Geoffrey siedział, wpatrując się w filiżankę, podczas gdy Kit i Julian wymieniali nad jego głową gorące pozdrowienia, a Kit wtajemniczała kuzyna w powody swego przybycia. Kiedy w końcu zajęli się jedzeniem, Geoffrey powiedział: – Nie możesz tu zostać, Kit.

Kit zrzedła mina. – Och…

– Nie chodzi o mnie – zapewnił ją Geoffrey, ignorując ponure spojrzenie, jakim obrzucił go brat. – Lecz proszę, zastanów się, jak poczuje się twój mąż, gdy tu przybędzie i zastanie cię włóczącą się po Jermyn Street w bryczesach? – Zamilkł na chwilę, a potem dodał: – Zmieniłem zdanie. Owszem, to mi przeszkadza, a to dlatego, że to mnie Hendon obedrze ze skóry, gdy cię tu znajdzie.

– Mam ze sobą suknię.

Geoffrey wzniósł oczy do sufitu. – Z całym szacunkiem, Kit, bieganie po Jermyn Street w sukni mogłoby okazać się jeszcze bardziej niebezpieczne dla twej reputacji niż paradowanie w bryczesach.

Kit się skrzywiła. Geoffrey miał rację. Mieszkała w Londynie wystarczająco długo, by znać zasady. Jermyn Street stanowiła teren łowiecki dobrze urodzonych kawalerów z towarzystwa. Kobiety takie jak Kit nie mieszkały przy Jermyn Street.

– Ale dokąd mogłabym pójść? I, na miłość boską, nie wspominaj o swoich rodzicach.

– Jestem tchórzem, nie idiotą – odpalił Geoffrey.

Trójka kuzynów zasiadła, aby rozważyć możliwości. Żadna nie wydawała się dość dobra. Nagle Julian podskoczył i zawołał: – Jenny… Jenny MacKillop!

Panna Jennifer MacKillop była guwernantką synów Fredericka Cranmera, a także towarzyszką i opiekunką Kit, zanim ta została wprowadzona do towarzystwa. Teraz odeszła na emeryturę i wyjechała do Southampton, aby opiekować się starzejącym się bratem.

– Napisała do mnie kilka miesięcy temu – powiedziała Kit. – Jej brat zmarł i zostawił Jenny dom. Zostanie w nim do końca roku, nim postanowi, co robić dalej.

– A zatem tam właśnie się udasz – powiedział Geoffrey, spoglądając na Kit stanowczo. – Jak myślisz, kiedy Hendon może się tu zjawić?

– Nie mam pojęcia – odparła, wiercąc się niespokojnie.

Geoffrey westchnął. – Doskonale. Lepiej zaczekam, aż się pojawi, zionąc ogniem. Nie! – powiedział, ledwie Julian zdążył otworzyć usta. – Sądząc po tym, co o nim słyszałem, Jonathon Hendon zje cię żywcem, zanim zatrzyma się, by zadać ci pytanie. Ja mam przynajmniej tyle rozumu, że mogę się z nim zmierzyć. Ty będziesz towarzyszył swej ślicznej kuzynce do Southampton.

Julian się rozpromienił. – Mogę wziąć twoją kariolkę?

Geoffrey westchnął z głębi serca. – Jeśli znajdę na niej choć jedno zadrapanie, odmalujesz ją własnymi rzęsami!

Julian wydał okrzyk radości.

Geoffrey uniósł brwi. – Nie pomyślałabyś, że on już się goli, co?

Kit zachichotała.

Geoffrey się uśmiechnął. – Tak już lepiej. Zacząłem się zastanawiać, czy jeszcze umiesz się śmiać.

– Och, Geoffreyu! – Kit położyła dłoń na dłoni kuzyna i uścisnęła ją.

Geoffrey odwzajemnił uścisk. – Dobrze już. Proponuję, byś wyjechała najszybciej, jak to możliwe. Jeśli Julian będzie uważał na bydło na drodze, powinniście dotrzeć na miejsce przed nocą. Mam nadzieję, że Jenny zdoła pomieścić was oboje.

Skoro plany na najbliższą przyszłość zostały ustalone, Kit nalała sobie jeszcze jedną filiżankę kawy. Nie chciała jechać do Southampton. Znajdowało się zbyt daleko od zamku Hendon. Nie sposób było się nie zgodzić z rozumowaniem Geoffreya. Jack nie byłby zadowolony, gdyby się przekonał, że zamieszkała w kawalerskim gospodarstwie. Poza tym chętnie zobaczy się z Jenny. Być może rozmowa z dawną mentorką oderwie ją od obecnych problemów.

* * *

Jack obudził się w piątkowy poranek w paskudnym humorze. Leżał na plecach, wpatrując się bezmyślnie w sufit. Życie, tak bogate i pełne obietnic jeszcze kilka dni temu, stało się szare i puste.

Tęsknił za żoną.

I nie tylko to. Nie potrafił funkcjonować, wiedząc, że nie ma jej tutaj, w miejscu, do którego przynależała. Nie mógł spać. Nie potrafił przypomnieć sobie, co jadł przez ostatnie trzy dni. Bez przerwy zastanawiał się nad tym, co przeoczył, jakie okazje zmarnował i dlaczego nie domyślił się, do czego zmierza Kit.

Pozwalanie jej na tak długi pobyt w Cranmer Hall stanowiło błąd. Teraz to dostrzegał. Jednak nie wiedział przedtem, jak nieobecność Kit wpłynie na stan jego umysłu i ciała.

Jęknął cicho, po czym odrzucił kołdrę i usiadł. Nie ma co się zastanawiać, pora naprawić błąd. Wrócił z Londynu późnym wieczorem, mając nadzieję, że Kit ochłonęła i czeka na niego w domu. Tymczasem powitała go samotność i puste łóżko w jej sypialni. Jego puste łóżko wyglądało jeszcze mniej zachęcająco.

Ubrał się z niezwykłą starannością. Włożył poranny surdut, odznaczający się prostotą i elegancją, zdecydowany wywrzeć wrażenie na żonie każdym aspektem swej osobowości. Wiedział dokładnie, co zrobi. Powita ją chłodno, a potem będzie nalegał, aby porozmawiali sam na sam. Wtedy wyjaśni jej, dlaczego fakt, iż go opuściła, stanowi przykład zachowania niegodnego lady Hendon i dlaczego żadne okoliczności na świecie nie mogą usprawiedliwić jej nieobecności przy domowym ognisku. Potem przywiezie przeklętą kobietę do domu, wycałowawszy ją wpierw do utraty tchu. Proste.

Chwycił filiżankę z kawą i polecił, by osiodłano Championa.

* * *

Jeśli tu jej nie ma, to gdzie, u diabła, jest?

Jack przeczesał drżącą dłonią włosy, burząc fryzurę i sprawiając, że złote pasma opadły na zmizerniałą twarz. Przemierzał pokój śniadaniowy

Greshamów niczym zamknięty w klatce ranny tygrys.

Amy przyglądała się mu szczerze zdumiona.

– Czy nie mogłabyś, kochanie, przygotować nam czegoś do przekąszenia? – zapytał George, uśmiechając się do Amy, by dodać jej otuchy. Pomógł narzeczonej wstać, podprowadził do drzwi i otworzył je.

Gdy Amy umknęła, zamknął drzwi i spojrzał Jackowi stanowczo w oczy. – Mówiłem ci, żebyś nie zostawiał Kit samej – powiedział z naganą w głosie. – A ty wyjechałeś, nie wyjaśniając dlaczego. Wcale nie dziwi mnie, że cię rzuciła.

Jack zatrzymał się i spojrzał na przyjaciela.

George skrzywił się i sięgnął do kieszeni surduta. – Trzymaj – powiedział, podając Jackowi liścik, który napisała do niego Kit. – Miałem nadzieję, że nie będę musiał ci tego pokazywać, lecz najwidoczniej żona zna cię lepiej niż ja i wie, jaki potrafisz być uparty.

Jack, zaintrygowany, wziął liścik i wygładził go.

– Przeczytaj ostatnie zdanie – pośpieszył z pomocą George.

Jack posłuchał.

Jestem pewna, że skoro cieszysz się o wiele większym zaufaniem Jacka niż ja, będziesz wiedział, co dalej robić.

Jack zmiął kartkę i zaklął.

– Skąd miałem, u licha, wiedzieć, że ona aż tak się tym przejmie? – powiedział, spoglądając gniewnie na George’a. Jednak ani jego słowa, ani gniewny ton nie wywarły na George’u wrażenia.

– Doskonale wiedziałeś, że Kit chciała wszystkiego się dowiedzieć. Psiakość, zasłużyła sobie na to, zważywszy, co zrobiła tej nocy na plaży. Jeśli zaś chodzi o jej ostatni postępek, mogę tylko powiedzieć, że i tak była cholernie wyrozumiała.

Jack nie mógł uwierzyć własnym uszom. – Chyba nie pochwalasz jej postępowania?

– Zdaję sobie sprawę, że jest okropnie samowolna. Ale to cię nie usprawiedliwia.

Jack wpatrywał się w przyjaciela zwężonymi z gniewu, pociemniałymi oczami, oparłszy ręce na biodrach. – Chcesz mi powiedzieć, że opowiedziałeś Amy o naszej misji?

George, na którym wojownicza poza Jacka nie wywarła wrażenia, rozsiadł się na sofie. – Oczywiście, że nie. Lecz Kit to nie Amy.

Jack wykrzywił usta w bolesnym grymasie. Zaczął znów krążyć niespokojnie po pokoju, zmarszczywszy groźnie brwi.

– Gdybym jej powiedział, kto wie, w co mogłaby się wpakować. Nasze działania były zbyt niebezpieczne. Nie mógłbym narazić jej na takie ryzyko.

George westchnął. – Do licha, Jack… Od początku wiedziałeś, jaka ona jest.

Dlaczego się z nią ożeniłeś, jeśli nie byłeś gotowy podjąć ryzyka?

– Ożeniłem się z nią, ponieważ ją kocham, do cholery!

– Cóż, jeśli tak, wszystko powinno się ułożyć.

Jack spojrzał na niego podejrzliwie. – Co to dokładnie miało znaczyć?

– To znaczy – wyjaśnił George – że pragnąłeś jej, ponieważ jest taka, jaka jest. Nie możesz zmienić jej pod tym czy innym względem, pozostawiając resztę. Czy byłbyś zadowolony, gdyby zmieniła się w drugą Amy?

Jack ugryzł się w język, tłumiąc niepochlebną odpowiedź.

George się uśmiechnął. – Właśnie. Nie twój typ. Na szczęście ja mam w tym względzie inny gust.

Drzwi otwarły się i George uśmiechnął się ciepło do Amy, która weszła do pokoju, wyprzedzając kamerdynera, niosącego tacę zastawioną mocnymi trunkami i filiżankami do herbaty. Odprawiwszy lokaja, nalała sobie i narzeczonemu herbaty, podczas gdy George napełnił solidną szklaneczkę brandy i podał ją Jackowi.

– A teraz, skoro omówiliśmy już różnice w naszych poglądach, powiedz, co dokładnie się wydarzyło.

Jack przyjął szklaneczkę, marszcząc ostrzegawczo brwi. – Wróciłem z Londynu w poniedziałek wieczorem i natychmiast, ledwie przestąpiłem próg, otrzymałem twoją wiadomość. Poszedłem, aby zobaczyć się z naszym przyjacielem, a potem wróciłem do zamku. Kit już nie było. – Wypił łyk brandy, a potem wyjął z kieszeni list. – Skoro już pokazujemy sobie epistoły mojej żony, możecie przeczytać i to.

George wziął list. Przebiegł oczami nieliczne linijki tekstu i zacisnął wargi, by powstrzymać uśmiech. – Cóż – zauważył – nie można powiedzieć, by nie wyrażała się jasno.

Jack chrząknął i odebrał George’owi list. – Doszedłem do wniosku, że wróciła do Cranmer Hall i uznałem, że będzie tam bezpieczna, dopóki nie wrócę z Londynu, gdzie pojechałem, aby przekazać Whitleyowi nowiny.

– Niezbyt rozsądne posunięcie – powiedział George zirytowany.

– Nie myślałem wówczas zbyt rozsądnie – burknął Jack, podejmując niespokojny marsz. – Daj spokój, George, właśnie przeżyłem najgorszy poranek w życiu. Po pierwsze, pojechałem do Cranmer. Nie dotarłem nawet do Hall. Natknąłem się na Spencera, kiedy zażywał konnej przejażdżki. Zanim zdążyłem się odezwać, zapytał mnie, co u Kit.

George uniósł brwi. – Czy to możliwe, by ją osłaniał i próbował zbić cię z tropu?

Jack potrząsnął głową. – Nie, był ze mną absolutnie szczery. Zresztą nie sądzę, by Spencer poparł Kit w tej sprawie.

– To prawda – przyznał George. – Co mu powiedziałeś?

– A co mogłem powiedzieć? Że straciłem z oczu jego wnuczkę, którą

zaledwie miesiąc wcześniej przysięgałem chronić, dopóki śmierć nas nie rozłączy?

George skrzywił wargi, lecz nie odważył się uśmiechnąć. – Po tym, jak przecierpiałem najbardziej nieprzyjemną rozmowę w całym moim życiu, popędziłem z powrotem do zamku. Nie zapytałem wcześniej służby, w jaki sposób moja żona opuściła dom, gdyż najwidoczniej postarała się, by wyglądało to normalnie, a ja nie chciałem wzbudzać plotek. Jak się okazało, powiedziała Lovisowi, że została wezwana do chorej przyjaciółki. Kazała woźnicy zawieźć się do Lynn w niedzielę po południu, skąd miał ją zabrać brat tej kobiety. Sprawdziłem to. Wzięła pokój na noc i zapłaciła z góry. Kolację zjadła u siebie. Potem już nikt jej nie widział.

George zmarszczył brwi. – Czy ktoś rozpoznał ją jako młodego Kita?

Jack rzucił mu udręczone spojrzenie. – Nie wiem. Przyjechałem tutaj, mając nadzieję, że po prostu zostawiła fałszywy trop i ukryła się u Amy.

Zamilkł i westchnął, a rysy jego twarzy wyostrzyły się ze zmartwienia.

– Dokąd, u licha, mogła pojechać?

– Skąd ta gospoda w Lynn – zastanawiała się Amy, która do tej pory w milczeniu przysłuchiwała się dyskusji, sącząc herbatę. George odwrócił się i spojrzał na narzeczoną, która patrzyła przed siebie z nieobecnym wyrazem twarzy. Nagle Amy uniosła brwi. – Stamtąd odjeżdża dyliżans do Londynu.

– Londyn? – Jack zatrzymał się w pół kroku. – Do kogo mogłaby udać się w Londynie? Do ciotek?

– Na Boga, nie! – Amy uśmiechnęła się protekcjonalnie. – Nawet nie zbliżyłaby się do nich. Przypuszczam, że pojechała do Geoffreya.

George spostrzegł minę Jacka i czym prędzej wtrącił: – Kim jest Geoffrey?

Amy zamrugała. – Jej kuzynem, oczywiście. To Geoffrey Cranmer.

Jack odprężył się w widoczny sposób. – Dzięki ci, Panie, za drobne łaski. Gdzie mieszka ten Geoffrey?

Amy zmarszczyła z namysłem brwi i upiła kolejny łyk herbaty. – Czy Jermyn Street brzmi dobrze?

– Aż za dobrze – powiedział złowróżbnie Jack, wciągając rękawiczki. – Dziękuję, Amy.

George odwrócił się, gdy Jack ruszył do drzwi. – Na miłość boską, Jack, nie rób niczego, czego mógłbyś potem żałować.

Jack zatrzymał się przy drzwiach z wyrazem cierpienia na twarzy. – Nie obawiaj się. Poza tym, że nieźle nią potrząsnę i udzielę jej jeszcze paru napomnień natury fizycznej, zamierzam spędzić bardzo, bardzo wiele czasu, wyjaśniając mojej żonie różne sprawy, całe mnóstwo spraw.

*** * ***

Była piąta po południu. Geoffrey spoglądał na stojący na kominku elegancki zegar, zastanawiając się, czym wypełnić sobie czas do kolacji. Właśnie podjął decyzję, gdy natarczywe stukanie do drzwi powiedziało mu, że oto nastąpił moment, którego wyczekiwał od trzech dni.

– Lord Hendon, sir.

Hemmings ledwie skończył mówić, a Jonathon Hendon już był w pokoju. Potoczył wokół ostrym, pełnym irytacji spojrzeniem, a potem z denerwującym spokojem wbił wzrok w twarz Geoffreya.

Geoffrey zrobił niewzruszoną minę i wstał na powitanie oczekiwanego gościa. Wewnętrznie przyznawał tymczasem Kit rację co do kilku punktów, które usiłowała mu wytłumaczyć. Mężczyzna stojący teraz pośrodku jego salonu, zdejmujący rękawiczki z wielkich dłoni i odpowiadający na jego powitalne skinienie głową z szorstką uprzejmością, nie sprawiał wrażenia człowieka, którego łatwo można by skłonić do negocjacji. Teraz rozumiał, dlaczego Kit czuła się zmuszona uciec z domu tylko po to, by zwrócić uwagę męża.

To, co wiedział na temat Jonathona Hendona, pochodziło głównie z plotek – sam pierwszy gotów był przyznać, że nie stanowią one wiarygodnego źródła. Hendon był od niego o kilka lat starszy, a ich ścieżki rzadko się krzyżowały. Jednak reputacja Jacka jako żołnierza i zawadiaki była wręcz legendarna. Bez wątpienia, gdyby kraj nie znajdował się w stanie wojny, on i Kit poznaliby się znacznie wcześniej. Ale jak ta dzierlatka, jego kuzynka, zdołała stawić czoło temu uosobieniu męskiej siły, demonstrowanej teraz w salonie domu na Jermyn Street, przechodziło jego wyobrażenia.

– Uważam, Cranmer, że trzymasz tu coś, co należy do mnie.

Stalowa determinacja w głębokim, aksamitnym głosie przybysza natychmiast obudziła instynkt samozachowawczy Geoffreya. Nigdy nie umiał radzić sobie z rozgniewanymi mężami.

– Nie ma jej tutaj.

Lepiej powiedzieć to od razu.

Jack wbił w niego spojrzenie szarych oczu i widać było, że nieco się odprężył. – A zatem gdzie jest?

Pomimo iż Kit poleciła mu, by powiedział jej mężowi, gdzie się znajduje, gdy tylko się pojawi, Geoffrey zbyt był zaciekawiony, by tak od razu udzielić informacji. Gestem zachęcił Jacka, by usiadł. Zaproszenie zostało przyjęte. Geoffrey jak gdyby nigdy nic podniósł karafkę i nalał wina. Wręczył gościowi kieliszek. – Oczekuję pana od trzech dni.

Ku zdumieniu Geoffreya Jack zaczerwienił się lekko.

– Myślałem, że ta przeklęta kobieta jest w Cranmer. Pojechałem po nią dziś rano i dowiedziałem się, że Spencer jej nie widział. Kilka godzin zajęło mi dowiedzenie się, dokąd jeszcze mogła się udać. Gdyby Amy Gresham nie

przypomniała sobie o panu, nadal uganiałbym się za własnym ogonem po Norfolk.

Słysząc desperację w tak na pozór stanowczym głosie Jacka, Geoffrey spoważniał. – Wie pan – powiedział – że Kit z pewnością nie chciała pana zmartwić.

– Wiem o tym – odparł Jack, wpatrując się intensywnie w twarz Geoffreya. – Więc gdzie ona jest?

Choć władczy ton Jacka miał w sobie coś, czemu trudno było się oprzeć, Geoffrey nadal się wahał. – Hm… nie przypuszczam, by zechciał pan uśmierzyć moje kuzynowskie obawy, udzielając mi jakiegoś zapewnienia?

Przez chwilę Jack tylko wpatrywał się w Geoffreya, lecz uderzyła go szczerość widoczna w jego spojrzeniu. Oto jeszcze jeden człowiek, który, doświadczywszy samowoli Kit, nauczył się z nią żyć.

– Proszę się nie obawiać, nawet jeden rudy włos nie spadnie jej z głowy. Jednakże – dodał, a jego głos odzyskał stanowczość – poza tym nie mogę niczego obiecać. Zamierzam zabrać żonę z powrotem do Hendon tak szybko, jak tylko będzie to możliwe.

Szczerość, brzmiąca w jego głosie, powinna była przekonać Geoffreya, zamiast tego unaoczniła mu, że plan Kit zawiera poważną lukę.

– Jestem pewien, że ona chętnie z panem wróci. – Geoffrey zmarszczył brwi. Czy Kit wyjaśniła swemu onieśmielającemu małżonkowi, dlaczego od niego uciekła? – Prawdę mówiąc, odniosłem wrażenie, iż spodziewała się, że przyjedzie pan po nią natychmiast.

Jack zmarszczył brwi, ani trochę niezmieszany. Jeśli Kit nie zamierzała się z nim targować – powrót do domu w zamian za obietnice, które poczyni – to o co mogło jej chodzić? Przyznanie, że chciała wrócić do domu, pozbawiało ją argumentu przetargowego, który mogłaby wykorzystać, by zmusić go do udzielenia obietnic.

Jego zdumienie musiało być widoczne, gdyż Geoffrey spochmurniał.

– Nie jestem pewien, czy wszystko dobrze zrozumiałem, z kobietami nigdy nie wiadomo. Ale Kit dała mi do zrozumienia, że jej… hm… wycieczka miała na celu nakłonienie pana, by usiadł pan i się zastanowił.

Jack wpatrywał się w Geoffreya, rozmyślając gorączkowo. Czy Kit byłaby dość szalona, by przedsięwziąć taką rzecz tylko po to, by mu uświadomić, że powinien zwracać większą uwagę na jej uczucia? Zmusić go jedynie do tego, by przyznał, że rozumie?

Odpowiedź była oczywista. Na samo wspomnienie tego, jak bardzo martwił się w ciągu tych ostatnich czterech dni, jęknął głucho. Wsparł czoło na dłoni i zerknął na Geoffreya akurat w porę, by dostrzec uśmiech na jego twarzy.

– Czy ktokolwiek ostrzegał pana, Cranmer, by nigdy się pan nie żenił?

* * *

Jack wyciągnął długie nogi w kierunku miłego ciepła, płynącego od ognia, rozpalonego w kominku salonu Geoffreya. Kuzyn Kit zaprosił go na kolację, a potem, kiedy Jack przyznał, iż szuka dla siebie lokum, gdyż Hendon House został wynajęty na sezon, zaoferował mu też nocleg. Do tego czasu zarówno Geoffrey, jak i młody Julian doskonale się już czuli w towarzystwie Jacka, a obu starszych mężczyzn mocno ubawił sposób, w jaki stosunek Juliana do Jacka zmienił się od czujnej grzeczności niemal do kultu należnego bohaterom. Pomijając fakt, że miał gdzie spędzić miło wieczór, Jack wątpił, czy następnym razem Kit znajdzie u swych kuzynów schronienie, kiedy ucieknie do miasta.

Choć, oczywiście, następnego razu i tak nie będzie.

Nim Geoffrey wyszedł z Julianem, by spędzić wieczór w mieście, opowiedział Jackowi o Jenny MacKillop i jej związkach z rodziną Cranmerów. Julian nakreślił obraz porządnego domu położonego przy jednej z najlepszych ulic w Southampton. Kit była tam bezpieczna. Jack wiedział, że będzie mógł położyć rękę na jej rudej głowie, kiedy tylko zechce. Najchętniej zrobiłby to od razu. Jednak doświadczenie podpowiadało mu, by się wstrzymał. Musi pomyśleć, nim spotka się z kochającą, oddaną i szanującą go żoną.

Po namyśle uznał, iż niedostatecznie zwracał uwagę na to, co mówi Kit. Ignorował żądania i nie wtajemniczał jej w nic, gdyż tak było mu wygodnie. Nie słuchał tak uważnie, jak powinien, gdy ostrzegała go przed Belville'em, zbyt pogrążony w kontemplowaniu wdzięków żony, by zwracać uwagę na jej inteligencję. I odkładał sprowadzenie Kit z powrotem z Cranmer, wiedząc, że sprowokuje to dyskusję na temat, którego nie życzył sobie podejmować.

Jack poruszył się niespokojnie. Przyznanie się do tylu błędów i podjęcie postanowienia, że w przyszłości będzie sprawował się lepiej, nie przyszło mu łatwo.

Wiedział jednak, że będzie musiał się zmienić. Kocha tę przeklęta kobietę. A ona kocha jego. Nigdy tego nie powiedziała, lecz czuł to za każdym razem, kiedy przyjmowała go w siebie. Nawet wtedy, gdy oddała mu się tamtej nocy w chacie, z pewnością nie uczyniła tego ot tak sobie, i to właśnie czyniło ową chwilę szczególną. Dla niej, a teraz także dla niego, miłość i pożądanie stanowiły dwie części tej samej całości – stopione w jedno, by nigdy już się nie rozłączyć.

Zatem będzie musiał przeprosić. Za to, że nie powiedział jej wszystkiego, co miała prawo wiedzieć, i że traktował ją tak, jakby jej nie ufał, podczas gdy on po prostu troszczył się o jej bezpieczeństwo. Nie sądził, iż żona mogłaby wspierać go także w tego rodzaju działalności – lecz Kit taka właśnie była. Była jego przyjaciółką i partnerką, bardziej wyczuloną na jego potrzeby

i zdolną je zaspokajać, niż miałby prawo oczekiwać mężczyzna.

Jack uśmiechnął się do płomieni, sącząc brandy. Jest szczęściarzem i doskonale zdaje sobie z tego sprawę. Niewątpliwie Kit będzie potrzebowała zapewnienia, że Jack się poprawi. I bez wątpienia pomoże mu wytrwać w postanowieniu, poszturchując go, jeśli okaże się to konieczne, i przypominając o wydarzeniach, które właśnie mają miejsce.

Jack prychnął z zadowoleniem, osuszył szklaneczkę i pogrążył się w rozmyślaniach o tym, jak zareaguje na jego widok żona.

Jedną sprawę zdecydowany był postawić jasno, i to w sposób tak jednoznaczny i spektakularny, by nawet jego rudowłosa hurysa nigdy o tym nie zapomniała. Pod żadnym pozorem nie zgodzi się cierpieć znów mąk niepewności, nie wiedząc, gdzie ona jest i czy nic jej nie grozi. Będzie musiała przyrzec, że nie zaangażuje się więcej, nawet przypadkiem, w przedsięwzięcia, od których jego złotobrązowe włosy całkowicie posiwieją. Wymusi na niej przyrzeczenie, iż będzie mówiła mu o każdym przedsięwzięciu, nim swoim zwyczajem rzuci się na łeb na szyję w niebezpieczeństwo – on zaś bez wątpienia będzie w stanie zapobiec wielu niebezpiecznym sytuacjom, a w innych po prostu się do niej przyłączy. Kto wie? Pod wieloma względami są przecież do siebie aż nazbyt podobni.

Jack przez dłuższą chwilę wpatrywał się w płomienie. Potem, usatysfakcjonowany faktem, że udało mu się ustalić najważniejsze punkty zbliżającej się rozmowy z żoną, zajął się obmyślaniem, jak zdobyć ją szturmem.

Pomimo iż Kit tak interesowała się niektórymi sprawami swego męża, nie zapytała go dotąd o rodzinne interesy. Być może – zważywszy że Cranmerowie ograniczali się do uprawy i dzierżawienia ziemi – nie przyszło jej do głowy, że jest o co pytać. Tymczasem jeden z brygów Hendonów stał właśnie w basenie londyńskiego portu i wraz z porannym odpływem miał wyruszyć do macierzystego Southampton. „Albeca” przyjmie na pokład ładunek, a potem wyruszy do Lizbony oraz Brugii, skąd powróci do Londynu. Jak wszystkie jego większe statki, „Albeca” wyposażona była w dużą kabinę, przeznaczoną do użytku właściciela.

Zarekwiruje „Albecę”. Statek będzie mógł popłynąć w zamierzony rejs, lecz po wypłynięciu z Brugii zawinie do jednego z portów w Norfolk i wysadzi ich na brzeg. Jako środek transportu, mający przewieźć jego żonę z Southampton do Norfolk, statek posiadał przewagę nad powozem czy dyliżansem. Poza wszystkim innym ten sposób podróżowania zapewni im dość czasu, który będą mogli spędzić tylko we dwoje.

Pora sprowadzić Kit z powrotem.

Do miejsca, do którego przynależy.

Rozdział 30

Kit wpatrywała się w niezapominajki pochylające swe niebieskie główki w okolonym murem ogródku Jenny, zastanawiając się, czy Jack o niej zapomniał. Był poniedziałek i od czasu, gdy opuściła zamek Hendon, minął już prawie tydzień. Była przekonana, że Jack podąży za nią natychmiast, gdy tylko wróci z Londynu, co miało nastąpić najdalej we wtorek. Minuta wystarczyłaby, by się domyślił, gdzie jej szukać. Cranmer Hall nie wchodził w rachubę, podobnie jak domy ciotek. Pozostawali tylko kuzyni, a przecież wspomniała Jackowi, jak bardzo lubi Geoffreya. Oczywiście wyjazd do Southampton mógł opóźnić go o dzień czy dwa. Mimo to powinien był już pokazać swe aroganckie oblicze w schludnym saloniku Jenny.

Zmarszczyła czoło i przygryzła dolną wargę. Czuła się skonsternowana. Przedtem jakoś nie przyszło jej do głowy, że Jack może zachować się inaczej, niż oczekiwała. Czyżby źle oceniła sytuację? Mężczyźni często dziwnie reagują, a jej ucieczka z pewnością nie spodobałaby się żadnemu mężowi. Nie spodziewała się jednak, że Jack mógłby zbytnio przejmować się tym, co jest uznawane za właściwe, lub tym, jak odbije się na nim postępowanie żony. Czy się myliła?

Wiedziała, że Jack ją kocha, chociaż nie miała pojęcia, skąd bierze się owa pewność. Kochał ją, podobnie jak ona jego, i wszelkie „jak”, „kiedy” i „gdzie” ani trochę jej nie obchodziły.

Lecz skoro tak, dlaczego jeszcze go nie ma?

Westchnęła ciężko.

Zamyślona, nie usłyszała, że ktoś zbliża się ku niej po trawie. Mimo to jej zmysły natychmiast zareagowały na obecność Jacka. Odwróciła się zaskoczona i zobaczyła, że jest tuż przy niej.

Spojrzeli na siebie. Serce Kit zatrzymało się na chwilę, a potem zaczęło bić jak szalone. A potem dostrzegła wyraz jego twarzy – stanowczy, nieobecny. Ani jeden mięsień nie drgnął, zdradzając cieplejsze uczucia.

– Dzień dobry, moja droga – powiedział Jack, starając się, by ton jego głosu nie odzwierciedlał tego, co czuje. Wysiłek niemal go zabił. Trzymał ramiona sztywno przy bokach, by natychmiast nie pochwycić jej w objęcia. Na to, obiecał sobie, przyjdzie czas później. Najpierw musi pokazać żonie, jak poważnie traktuje jej postępek.

– Przyjechałem zabrać cię do domu. Jenny właśnie pakuje twoje rzeczy. Wyjedziemy, gdy tylko skończy.

Kit wpatrywała się w niego zdumiona, zastanawiając się, jak to możliwe, by słowa, na które czekała, zostały wypowiedziane w sposób, który sprawił, że

nie czuła absolutnie nic. Radości, ulgi – nawet poczucia winy. W tonie Jacka można było doszukać się jedynie obojętności. Wpatrywała się w twarz męża, podświadomie oczekując, że jego surowe rysy złagodnieją. Jednak kamienna maska pozostała niewzruszona.

Po raz pierwszy w życiu nie była pewna, co czuje. Emocje, jakich spodziewała się doświadczyć, gdy Jack ją odnajdzie, nadal były, lecz tak zmieszane z tymi, które pojawiły się teraz – niedowierzaniem i odradzającym się gniewem, że rezultatem była kompletna konsternacja.

Dosłownie zakręciło się jej w głowie.

Jej twarz pozostała obojętna, gdyż umysł nie zasygnalizował, co chce wyrazić. Wargi miała rozchylone, jakby chciała wypowiedzieć słowa, których nie potrafiła jeszcze sformułować. Czuła się tak, jakby występowała w sztuce, a ktoś podmienił tekst roli.

Jack bez słowa zaoferował jej ramię. Kit nie była w stanie się odezwać, położyła więc drżącą dłoń na rękawie surduta męża.

Uśmiechnięta Jenny czekała już na nich w holu. U jej stóp stała torba podróżna Kit. Kit, nadal próbując rozpaczliwie rozeznać się w taktyce Jacka i odpowiednio zareagować, z nieobecną miną ucałowała byłą guwernantkę, obiecując, że do niej napisze i pożegnała się, przez cały czas świadoma dominującej obecności Jacka przy swoim boku.

Czy to możliwe, aby zupełnie nie zrozumiał, co chciała mu powiedzieć?

Opadła na poduszki wynajętego powozu, zaintrygowana tym, że nie był to jeden z pojazdów rodziny. Zamrugała, gdy Jack zamknął za nią drzwi. A potem uświadomiła sobie, że wolał jechać wierzchem, niż dać się zamknąć w tym samym wnętrzu co ona.

Nagle Kit nie była już pewna, co czuje. Ogarnęło ją przygnębienie. Co tu się dzieje?

Po dziesięciu minutach powóz zatrzymał się raptownie. Kit siedziała wyprostowana w oczekiwaniu. Jack wykrzyknął polecenie. Uszu Kit dobiegł wrzask mew i poczuła powiew świeżej morskiej bryzy. Gdzie oni są? Lecz nim zdążyła uchylić okno i wyjrzeć przez nie, Jack otworzył drzwi. Wyciągnął rękę, ale nie patrzył jej w oczy.

Trzymając nerwy na wodzy, spokojnie umieściła dłoń w jego dłoni. Pomógł jej wysiąść. Jedno spojrzenie wystarczyło, by przekonać Kit, że będzie musiała odłożyć na później wyjaśnienie Jackowi, co sądzi o jego przesadnie stoickiej postawie. Stali na nabrzeżu, tuż obok dużego statku. Wokół pełno było pak, skrzyń, lin i haków. Marynarze kręcili się wokół nich, wszędzie panował hałas i zamęt. Jack skłonił Kit, by przestąpiła zwój liny. Trzymając żonę za łokieć, prowadził ją wzdłuż zatłoczonego nabrzeża ku miejscu, gdzie na pokład statku wiódł trap z linową poręczą.

Kit spojrzała na trap, to unoszący się, to opadający razem z kołyszącym się

na falach statkiem. Westchnęła, powstrzymując się, by nie poprosić Jacka o przeniesienie na pokład.

Ledwie zdążyła się odwrócić, Jack pochylił się i w następnej chwili Kit spoglądała z góry na wzburzone zielone fale, podczas gdy Jack szybko wspinał się po trapie. Wściekłość zwyciężyła opanowanie. Kit zamknęła oczy i zobaczyła czerwoną mgłę. Jej palce zacisnęły się w szpony. Chciała zostać przeniesiona, ale w ramionach, nie przerzucona przez bark niczym worek kartofli!

Na szczęście trap był krótki. Gdy tylko stanęli na pokładzie, Jack natychmiast ją postawił. Kit pośpiesznie odsunęła się od męża. Jednak nie było to potrzebne, gdyż Jack zdążył już się odwrócić i właśnie mówił: – Oto kapitan Willard, moja droga.

Kit z najwyższym trudem opanowała gniew. Nie chciała marnować go na nikogo innego, ale zachować całą furię na Jacka. Z nieruchomą twarzą i zaciśniętymi w wąską linię ustami odwróciła się do wysokiego, jowialnego mężczyzny z brzuszkiem, odzianego w mundur z galonami kapitana.

Skłonił się jej głęboko. – Czy wolno mi powiedzieć, że to przyjemność powitać panią na pokładzie, lady Hendon?

– Dziękuję – odparła, pochylając sztywno głowę. Zachowanie mężczyzny wydało jej się zbyt przepełnione szacunkiem jak na kapitana witającego pasażera.

– Zaprowadzę lady Hendon do naszej kajuty, Willard. Ty zaś rób, co uważasz.

– Dziękuję, milordzie.

Nagle Kit domyśliła się prawdy. Jack jest właścicielem statku. Oto kolejny szczegół, o którym zapomniał jej powiedzieć.

Tymczasem Jack poprowadził ją ku rufie, gdzie zaczynały się schodki prowadzące do korytarza mieszczącego kabiny rufowe. Przy każdym kroku napominał się, by wytrwać w postanowieniu. Przecierpiał cały tydzień, zamartwiając się. Z pewnością godzinka niepewności i poczucia winy nie jest zbyt srogą zemstą za te męki? To, że Kit wstrząśnięta jest jego obojętnością, było aż nadto widoczne. Zdumione, pełne nadziei spojrzenie, jakim obdarzyła go w ogródku Jenny, sprawiło, że omal nie pękło mu serce; drżenie palców żony, kiedy kładł sobie jej dłoń na rękawie omal nie doprowadziło do tego, by zaniechał swych planów. Nic dziwnego, że nie śmiał potem spojrzeć jej w oczy.

Wnoszenie Kit na pokład niemal go pogrążyło. Nawet niosąc ją przerzuconą przez ramię nie był wcale pewny, czy kiedy wejdą, zdoła się zmusić, by ją wypuścić ze swych rąk, co z pewnością zaszokowałoby biednego Willarda.

Nie mógł ryzykować ani chwili dłużej. Zostawi ją w kabinie, dopóki godzina kary nie dobiegnie kresu, a potem łaskawie podda się uczuciom.

Schodząc za Kit wąskimi schodkami, zamknął oczy i zacisnął zęby. Jego postanowienie słabło z każdym mijanym stopniem. Widok kołyszących się bioder żony wystawiał jego wolę na zdecydowanie zbyt ciężką próbę.

Kajuta Jacka znajdowała się na końcu krótkiego korytarzyka i zajmowała na rufie przestrzeń o powierzchni kwadratu. Drzwi, które otworzył przed Kit, prowadziły do pomieszczenia używanego jako gabinet i jadalnia. Stąd pojedyncze drzwi wiodły do sypialni. Oba pokoje miały okna zamiast bulajów, umieszczone pod pokładem rufowym.

Jaskrawe światło odbijające się od powierzchni wody sprawiło, że Kit zamrugała. Kiedy jej oczy przywykły do blasku, odetchnęła i odwróciła się, by stanąć oko w oko z mężem.

I zobaczyła, że Jack znika za drugimi drzwiami.

– Sypialnia jest tutaj – powiedział, wyłaniając się niemal natychmiast. Kit uświadomiła sobie, że zostawił tam jej torbę. Jego zachowanie nie zmieniło się w najmniejszym stopniu. Był uprzedzająco grzeczny, lecz obojętny, niemal nieobecny, jakby byli znajomymi odbywającymi wspólny rejs. I nadal nie patrzył jej w oczy.

– Zostawię cię, byś mogła się odświeżyć. Odpłyniemy, gdy zacznie się przypływ.

Co powiedziawszy, odwrócił się, by wyjść.

Kit ogarnął gniew tak silny, że aż się zachwiała. Chwyciła poręcz krzesła, by nie upaść. Tak po prostu? Zostanie pozostawiona w kabinie niczym sztuka bagażu, a on sobie pójdzie? Niedoczekanie!

To już nie był gniew, ani nawet furia, ale coś znacznie, znacznie silniejszego.

– Wrócisz?

Słowa, wypowiedziane precyzyjnie, lodowatym tonem, sprawiły, że Jack się zatrzymał. Odwrócił się powoli. Był już w pobliżu drzwi. Kit stała zwrócona plecami do okna, nie mógł więc odczytać wyrazu jej twarzy.

Wpatrywał się w żonę, czując znajomą tęsknotę w ramionach, w lędźwiach. Była tak diabelnie piękna. Pomimo jej mało zachęcającego tonu, jego gniew stopniał, pozostawiając bolesną pustkę.

– Dziwne – powiedział. – To ja zamierzałem zadać ci to pytanie.

Szczera niepewność, ujawniony ból, przedarły się przez zasłonę gniewu Kit. Nic innego nie mogłoby sprawić, by oprzytomniała. Zamrugała… i nagle zrobiło jej się zimno.

– Nie myślałeś chyba, że porzuciłam cię na zawsze?

Jack nadal wydawał się wstrząśnięty i Kit spochmurniała.

– Nie zamierzałam… to znaczy ja…

Nagle oprzytomniała. To po prostu śmieszne! Co on wbił sobie do głowy? Odetchnęła głęboko, zacisnęła palce na poręczy krzesła i utkwiwszy wzrok

w szarych oczach męża, powiedziała wyraźnie: – Chodziło mi jedynie o to, by zwrócić twoją uwagę na fakt, iż życzę sobie być informowaną o tym, co się wokół mnie dzieje. Nie zamierzałam przebywać poza domem dłużej niż kilka dni.

Jack uniósł powoli brwi. – Rozumiem. – Zamilkł, a potem podszedł bliżej i powiedział: – Nie przypuszczam, by przyszło ci do głowy, że mógłbym martwić się o twoje bezpieczeństwo?

Kit odwróciła się nieco i mógł teraz widzieć jej twarz.

– I że zważywszy na twoją skłonność do pakowania się w niebezpieczne sytuacje, mógłbym się zastanawiać, czy coś ci się nie stało?

Zaintrygowane spojrzenie Kit jasno mówiło, że coś takiego nie przyszło jej do głowy. Nagle gniew Jacka skrystalizował się i uzewnętrznił w słowach. – Do licha, kobieto! Zamartwiałem się na śmierć!

Jego krzyk wstrząsnął Kit. Chwyciła znów poręcz krzesła i zamrugała.

– Przepraszam, nie zdawałam sobie sprawy…

Umilkła, przyglądając się, zafascynowana, jak jej mąż walczy, by odzyskać nad sobą panowanie. Nie widziała jeszcze, by je stracił. Cały drżał z furii i napięcia, dusząc w sobie gniew. Jego szare oczy płonęły ciemnym płomieniem.

Jack usłyszał jej słowa poprzez mgłę sprzecznych emocji oraz tłumionych lęków, które nagle znalazły ujście. Gniew przezwyciężył wszystko inne. Przeklęta kobieta naprawdę niczego nie rozumiała.

– Skoro tak – powiedział głosem, w którym dźwięczała stal – lepiej uważnie mnie posłuchaj, kochanie. Jeśli jeszcze raz narazisz się na niebezpieczeństwo, a mnie nie będzie przy twoim boku, przysięgam, że wygarbuję ci skórę.

Kit, sparaliżowana jego spojrzeniem, poczuła, że jej oczy robią się coraz bardziej okrągłe, a po grzbiecie przechodzą miłe dreszcze. Powiedział „kochanie”. Na początek wystarczy. Jego wyznanie brzmiało obiecująco.

Jack z trudem zmusił się, by pozostać tam, gdzie był – zaledwie o metr od żony. Jeśli jej teraz dotknie, nie zdoła oprzeć się namiętności. Wbił wzrok w oczy Kit, po czym oświadczył jasno i wyraźnie: – Kocham cię, jak dobrze o tym wiesz. Kiedy pakujesz się w niebezpieczeństwo, martwię się o ciebie!

Jej oczy szukały jego oczu, a zaciśnięte dotąd usta złagodniały. Odwrócił się gwałtownie i zaczął przemierzać pokój.

– To nie jest jakieś tam zwykłe zmartwienie! Kiedy mnie ogarnia, nie mogę myśleć jasno! Wiem, że dotąd nie musiałaś słuchać nikogo. Lecz wyszłaś za mnie i przysięgłaś mi posłuszeństwo. I odtąd będziesz mi posłuszna.

Jack podszedł jeszcze bliżej i utkwił w Kit onieśmielające spojrzenie.

– Będziesz informowała mnie, zanim wypuścisz się na eskapadę, jakiej nie zaaprobowałaby twoja droga przyjaciółka Amy. A jeśli ci zabronię, po prostu o tym zapomnisz. Jeśli nie, przysięgam na wszystko, co święte, zamknę cię

w twoim pokoju!

Teraz już prawie krzyczał. Jego groźba dosięgła Kit, nim zdążyła uporać się z tym, co powiedział wcześniej. Kocha ją. Powiedział to, głośno i wyraźnie. Wpatrywała się w niego w milczeniu, pieszcząc spojrzeniem stanowcze linie szczęki i policzka. Czy niepokój o nią naprawdę doprowadzał go do takiego stanu? Czy miłość wywierała na niego aż taki wpływ? Zastanawiała się gorączkowo.

Jack jęknął sfrustrowany i wymaszerował z kajuty, zatrzaskując za sobą drzwi. Biegiem pokonał schodki, kierując się na przedni pokład. Chciał jedynie ochłonąć, nim wróci do kabiny i będzie namiętnie kochał się z żoną. Miotały nim uczucia tak silne, że wręcz bał się do niej zbliżyć. Zbyt łatwo było posiniaczyć jej delikatne ciało.

Kit wpatrywała się w zamknięte drzwi. Jej twarz straciła wszelki wyraz. Zesztywniała, a w jej fiołkowych oczach zapłonął płomień.

Jak on śmie! W jednej chwili przysięga, że ją kocha, a po chwili wychodzi, jakby powiedział ostatnie słowo.

Ha! Kit odetchnęła i zebrała się w sobie, wspierając ręce na biodrach. Oczy jej się zwęziły. Jeśli Jack sądzi, że uda mu się uciec i uniknąć rozmowy, usłyszenia, jakie ona ma wobec niego żądania, to bardzo się myli! Pragnęła przyciągnąć jego uwagę i udało jej się. Tyle że nie trwało to wystarczająco długo.

Ruszyła zdecydowanie do drzwi.

* * *

Jack stał tymczasem na pokładzie i wsparty o reling przyglądał się, jak dziób przełamuje fale. Zrzucili już cumy i właśnie zbliżali się do wejścia do portu. Wkrótce wypłyną na otwarte morze i pokład zacznie mocniej się kołysać. Odetchnął głęboko i poczuł, że wraca mu rozsądek.

Nie potrafił powiedzieć, kiedy sprawy wymknęły się spod kontroli. Dokładnie zaplanował tę rozmowę. Zamierzał wyjaśnić Kit, co czuł, kiedy groziło jej niebezpieczeństwo, i uświadomić, że będzie musiała poddać się ograniczeniom z uwagi na jego miłość do niej. I pewnie by mu się udało, lecz szczere zdumienie Kit faktem, iż żywi wobec niej tak silne uczucia, sprawiło, że stracił nad sobą panowanie i zachował się o wiele bardziej agresywnie, niż pierwotnie zamierzał.

Skrzywił się. Nie to było najgorsze. Zapomniał o reszcie tak starannie przygotowanego przedstawienia, i to tej najważniejszej. Nie powiedział Kit, że rozumie jej pragnienie, by wiedzieć, w co się zaangażował, i że w przyszłości zamierza dzielić z nią także tę stronę życia.

Jack wciągał właśnie do płuc ostatni ożywczy haust morskiego powietrza, gdy uświadomił sobie, że z tyłu coś się dzieje. Odwrócił się i dostrzegł Kit,

kierującą się ku niemu i nieświadomą, iż marynarze usuwają się jej pospiesznie z drogi. Jedno spojrzenie na zawziętą twarz żony uświadomiło mu, że Kit zaraz zepsuje to, co właśnie zaplanował.

Przez chwilę pozwolił sobie podziwiać jej zgrabną postać w eleganckiej podróżnej sukni i błyszczącą w słońcu aureolę włosów. Jednak nie należało tracić czasu. Kit nie była aniołem. Za chwilę, gdy zbliży się jeszcze bardziej, bezpowrotnie zniszczy jego reputację… lub zrobi coś jeszcze gorszego.

Kit musiała skupić uwagę na tym, aby pokonać drabinkę, trzymając w garści spódnice. Na górze spostrzegła wysoką postać Jacka, wspartego o reling, i ruszyła prosto ku niemu. Pokład wydawał się jej doskonałym miejscem, by powiedzieć mu, co sądzi o jego żądaniach i o tym, czego spodziewa się po niej w przyszłości.

Kiedy znalazła się na pokładzie, puściła spódnicę, wygładziła ją i spojrzała na męża.

Zaskoczona, stwierdziła, że znajduje się tuż przed nią.

Płonące gniewem fiołkowe oczy napotkały spojrzenie szarych, roześmianych.

Roześmianych? Kit otworzyła usta, by zmiażdżyć Jacka słowami.

Zapomniała, jak szybko potrafi się poruszać. Nim pierwsza sylaba spłynęła z języka Kit, wargi Jacka zamknęły się wokół jej ust, tłumiąc gniewne słowa. Kit szarpnęła się, lecz objął ją mocno i trzymał w pułapce ramion. Jej serce już przyśpieszało bieg, przepełnione oczekiwaniem. Było zbyt późno, by zacisnąć zęby. Jack natychmiast wykorzystał fakt, że miała rozchylone wargi i wdarł się językiem w miękką jaskinię jej ust.

Do licha! Chciała rozmawiać! To dlatego wyjechała z zamku Hendon!

Próbowała powstrzymać budzące się w niej pragnienie. Jednak nie było to możliwe. Płomyki pożądania migotały i rosły, zmieniając się w znajome ciepło. Stłumiwszy jęk, zmieniła plany i poddała się pokusie, by przylgnąć do muskularnego ciała, które napierało na nią, obiecując spełnienie.

Gdy Kit poddała się uściskowi, Jack wiedział już, że wygrał rundę. Pomimo iż wokół nich marynarze pogwizdywali i pokrzykiwali, nie przestawał jej całować, zbyt wygłodniały po tygodniowym poście, by szybko położyć kres przyjemności. Chęć znalezienia się w miejscu bardziej odosobnionym sprawiła, że podniósł wreszcie głowę. Spojrzał w szeroko otwarte oczy Kit, pociemniałe już z namiętności.

Uśmiechnął się leniwie. Serce mocniej zabiło Kit w piersi.

– Zamierzam znieść cię na dół, do naszej kajuty. Na miłość boską, nic nie mów.

Uniósł arogancko brew, lecz Kit mogła tylko wpatrywać się w niego. Mówić? Żeby mówić, trzeba myśleć, a chwilowo nie była do tego zdolna.

A potem, gdy Jack przykucnął i zarzucił ją na ramię, uświadomiła sobie,

gdzie się znajduje. Boże, wszyscy na nich patrzą! Jej policzki oblały się szkarłatem, gdy Jack niósł ją w dół po drabince. Bez trudu mogła wyobrazić sobie uśmiech na jego twarzy.

Jej obawy potwierdziły się, gdy zsunął ją z barku, wziął w ramiona i poniósł przez dolny pokład, uśmiechając się i nie zważając na udrękę, malującą się w jej spojrzeniu.

Kit zdawała sobie sprawę, że nie ma sensu się wyrywać, choć dużo by dała, by zetrzeć z jego warg ten triumfalny uśmieszek. Jednak była to tylko bitwa, a ona miała nadzieję wygrać wojnę. Jack tymczasem przerzucił ją sobie znów przez bark, by łatwiej pokonać wąskie schodki, a potem minął korytarz i zatrzasnął za nimi drzwi kabiny.

Kit oparła dłonie na ramionach męża, czekając, aż ją postawi. To dobry moment, żeby powiedzieć to, co zamierzała. Teraz, nim znów ją pocałuje. Lecz Jack nie zatrzymał się w saloniku. Kit zamrugała, uświadamiając sobie, że niesie ją do sypialni, i posłusznie schyliła głowę, by nie uderzyć nią o nadproże.

Powiodła wokół siebie dzikim spojrzeniem. Jej wzrok padł na łóżko i mięśnie jej brzucha natychmiast się zacisnęły. Wszelkie wątpliwości co do zamiarów Jacka znikły, kiedy opuścił ją delikatnie. Dotknęła stopami podłogi. Na brzuchu czuła dowód jego pożądania. Jej oczy napotkały jego spojrzenie. Wstrzymała oddech, widząc, jak za dymną szarością tęczówek Jacka płonie srebrnym ogniem pożądanie.

Z trudem otrząsnęła się z oszołomienia i odetchnęła głęboko. – Jack?

– Mmm?

Nie był zainteresowany rozmową. Otoczył dłońmi jej talię, przyciskając mocniej do siebie. A potem przesunął dłoń niżej i zaczął delikatnie pieścić pośladki Kit. Drugą dłoń wsunął pomiędzy koronki sukni. Skubał wargami jej ucho, a potem przesunął usta leniwie ku miejscu, gdzie u podstawy szyi bił mocno jej puls.

Kit zacisnęła palce na jego barkach, próbując zachować jasność umysłu, jednak gorąco pomiędzy ich biodrami rozpraszało ją i osłabiało postanowienie. Poczuła, że Jack szarpie dekolt sukni. Materiał rozdarł się, a kiedy jego usta się przesunęły, aby spróbować obnażonego w ten sposób owocu, Kit uznała, że jednak nie będzie protestować.

Przyznał, że ją kocha. A teraz jej to udowodni, kochając się z nią, by przypieczętować to, co tak trudno było mu powiedzieć. Była niemądra, próbując mu przeszkodzić. Lepiej cieszyć się nim, jego miłością, do rozmowy powrócić później, kiedy kochanie się z nią obłaskawi go i uspokoi.

Pomrukując z zadowolenia opuściła ramiona, by tym łatwiej uwolnić je z rękawów, a potem jęknęła cicho, gdy Jack zaczął drażnić językiem wrażliwe sutki, okryte jedwabiem koszuli. Usłyszała, jak śmieje się cicho, a potem

stawia ją na drżących nogach, uwięzioną pomiędzy nim a łóżkiem.

Halki opadły na dywan, zdjęte ręką eksperta. W ślad za nimi poszły wkrótce pończochy i buty. Odziana tylko w jedwabną koszulę, stała przed mężem, spodziewając się, że ją z niej zedrze. Jego oczy płonęły jaśniejszym niż kiedykolwiek płomieniem.

Jack przywarł spojrzeniem do jej bujnego ciała, dojrzałych półkul piersi, zwieńczonych różem, ciemniejszym teraz, gdy była podniecona. Poniżej krzywizny bioder, pomiędzy udami, pulsował zapraszająco rozpalony wzgórek. Każdy cal jej słodkiego ciała należał do niego – by mógł go podziwiać i rozkoszować się nim.

Serce Kit biło mocno, choć powoli, a każde uderzenie przybliżało ją do raju. Oddychała płytko. A kiedy dłonie Jacka zamknęły się na jej piersiach, zaczerpnęła powietrza szybkimi haustami. Jack wsunął palce pod obrzeże koszuli, by przybliżyć do ust słodki owoc. Kit odrzuciła głowę do tyłu i zamknęła oczy, pogrążając się w doznaniach niemal zbyt silnych, by była w stanie je znieść. Zacisnęła palce na włosach Jacka, wyciągając długie pasma z więżącej je wstążki. Otoczył ją silnym ramieniem, by mogła bezpiecznie odchylić się, wystawiając piersi na dotyk jego ust i języka.

Kit płonęła. Westchnęła głęboko, gdy poczuła, że Jack opuszcza dłoń na jej okryte jedwabiem udo.

– Och, tak – szepnęła, gdy podniósł ją i przycisnął do siebie, by jej biodra znalazły się na wysokości jego bioder. Przesunął powoli dłoń w górę. Poczuła, jak chwyta brzeg koszuli, która uniosła się przy tym ruchu, palcami drugiej dłoni. Skraj koszuli zwisał teraz, udrapowany pomiędzy kolanem i biodrem Kit, odkrywając przed wzrokiem jej męża jedwabistą gładkość uda, lecz skrywając rudozłote kędziorki. Kit uniosła ciężkie powieki. Srebrzyste oczy rzeczywiście przyglądały się temu, co mogły dojrzeć. A potem poczuła, że Jack opuszcza dłoń. Zamknęła oczy, by lepiej odczuć spodziewaną przyjemność.

Gdy palce Jacka dotarły do kolana Kit, pochylił głowę i wziął do ust różowy sutek, torturując go językiem. Kit ledwie mogła oddychać, a stało się to jeszcze trudniejsze, gdy Jack przesunął drugą dłoń w górę, po tylnej części jej uda. Delikatna pieszczota, dręcząca, choć jednoznaczna, wznieciła płomień na rozpalonych pośladkach Kit. Jęknęła zadowolona, że Jack wybrał dłuższą drogę do raju.

Powoli ognisty ślad, pozostawiony przez jego palce, przemieścił się ponad krzywizną biodra Kit, by zadomowić się na jedwabistej skórze jej brzucha. Usta Jacka czyniły spustoszenie w jej zmysłach. A kiedy w końcu uniósł głowę, jego palce już były między jej nogami, wilgotne od żaru, który w niej rozpalił. Kit nie otwierała oczu, wiedząc, że Jack ją obserwuje, obserwuje sposób, w jaki jej zmysły drżą w oczekiwaniu tego, co jeszcze zrobi.

– Otwórz oczy, kotku – powiedział ochryple i rozkazująco. Kit chciałaby mu się przeciwstawić, ale nie mogła. Jej powieki zadrżały. Otworzyła oczy jedynie na tyle, by dojrzeć szatański uśmieszek na ustach męża.

– Szeroko.

Kit usłuchała niechętnie, oddychając nierówno i z wysiłkiem.

Jack uśmiechnął się szerzej.

I wsunął w nią palec.

Ciało Kit wygięło się lekko, zapraszająco, a jej uda rozsunęły się, aby zapewnić mu lepszy dostęp. Skorzystał z tego i sięgnął głębiej. Kit zadrżała i opuściła powieki.

Jego usta odnalazły jej wargi i przywarły do nich w długim, leniwym pocałunku, podczas gdy palce gładziły i pieściły, aż Kit przylgnęła do Jacka, płonąc z pożądania i rozpaczliwie pragnąc zaspokojenia.

Potem położył ją na łóżku. Zdjął szybko ubranie i dołączył do niej, rozpalając na nowo płomienie, które wzniecił wcześniej. A kiedy wreszcie w nią wszedł, dosiadał jej mocno i poruszał się gwałtownie, zagrzewany namiętnością Kit. Objęła ukochanego nogami w pasie, unosząc biodra, by przyjąć go w siebie jak najgłębiej.

Koniec wstrząsnął kochankami do głębi, pozostawiając ich bez tchu. A kiedy płomień namiętności przygasł, osunęli się w sen, syci i zadowoleni.

Kit obudziła się, czując, że Jack ją całuje. Były to szybkie, delikatne pocałunki, które miały pobudzić do życia jej ciało. Nim zdążyła na dobre się ocknąć, posiadł ją znów, szybko i z wprawą, zaspokajając potrzebę, której Kit jeszcze nie zdążyła sobie uświadomić.

Leżała potem, zaspokojona, w jego objęciach, z zadowoleniem rozważając korzyści płynące z tego, że ma się uwodziciela za męża. Nagle przypomniała sobie o planowanej rozmowie i że nie zdążyła jeszcze powiedzieć mu, co myśli. Spróbowała usiąść, ale Jack trzymał ją mocno.

– Jack!

Słysząc, jak protestuje, usiadł i scałował grymas z jej czoła. – Wiem, wiem. Leż przez chwilę spokojnie, rudowłosa huryso i pozwól mi wyjaśnić.

Rudowłosa huryso? Wyjaśnić? Kit posłusznie zamilkła.

– Przepraszam. W porządku?

Popieścił przez chwilę jej ucho, a potem zostawił ślad pocałunków na jej policzkach i brodzie aż do drugiego ucha.

Kit zmarszczyła brwi. – A za co dokładnie przepraszasz?

Teraz, kiedy udało jej się poruszyć właściwy temat, nie zamierzała odpuścić.

Jack odsunął się i spojrzał na żonę zmrużonymi oczami. – Za to, że nie powiedziałem ci o przeklętych szpiegach.

Kit uśmiechnęła się z zadowoleniem.

Jack chrząknął i przez chwilę długo, namiętnie ją całował.

– Co więcej – powiedział, gdy skończył – przyrzekam na honor, że postaram się pamiętać, że mam opowiadać o tych spośród moich przedsięwzięć, które mogłyby przysporzyć ci zmartwienia.

Kit zmrużyła oczy, rozważając słowa męża.

Jack uniósł brwi, z początku arogancko, spodziewając się natychmiastowej akceptacji, a potem z namysłem.

– Prawdę mówiąc – powiedział, przyglądając się z upodobaniem nagiej kobiecie o skórze jaśniejącej i zaróżowionej po niedawnym kochaniu się – zrobię nawet więcej. Dobiję z tobą targu.

– Targu? – spytała Kit, zastanawiając się, czy to rozsądne, zawierać układ z nicponiem.

Jack skinął głową, przyglądając się bacznie sutkom żony. Przemieścił się tak, że mógł zważyć w dłoniach jej piersi. Potem uniósł głowę i uśmiechnął się prosto w jej olbrzymie, fiołkowe oczy. – Umówmy się tak: ja będę mówił ci, co robię, nim będziesz zmuszona zapytać, a ty powiesz mi, co zamierzasz, zanim to zrobisz.

Kit przygryzła z namysłem wargę.

– To nie całkiem w porządku – powiedziała, ważąc każde jego słowo tak starannie, jak on ważył jej piersi.

– To wszystko, co możesz dostać, więc radziłbym ci wyrazić zgodę.

Wypowiedziana chrapliwym głosem uwaga obudziła czujność Kit, lecz było za późno. Jack leżał już pomiędzy jej rozłożonymi szeroko udami. Kiedy umysł Kit usiłował poradzić sobie z tym odkryciem, Jack uniósł jej biodra. Wrażenie, że napiera na nią ciepła stal, przezwyciężyło wszelkie inne odczucia.

Kit wygięła plecy w łuk, wciskając głowę głęboko w poduszki. Powieki opadły jej na pociemniałe oczy.

– Och, tak – westchnęła.

Jack się uśmiechnął. Ciekawe, na co Kit tak ochoczo się zgadza, pomyślał. A kiedy wypchnął do przodu biodra i wszedł w nią głęboko, uznał, że Kit pragnie dzielić z nim życie w ten sam niepohamowany sposób, jak dzieliła łoże. A potem przestał myśleć.

* * *

– Lizbona? Kit odwróciła się i spojrzała na Jacka, zaskoczona. – Dlaczego akurat Lizbona?

Jack roześmiał się i odwrócił na bok, by na nią spojrzeć. Kołysanie zaczęło wreszcie dawać się we znaki. Kit wstała, owijając się kołdrą i zaciekawiona podeszła do okna.

– Ponieważ trzeba tam zawieźć ładunek. To nie rejs dla przyjemności.

Kit zmarszczyła czoło i rozejrzała się po obszernej, luksusowo wyposażonej kajucie.

– Zauważyłam, że statek jest zbyt duży jak na zwykły jacht.

Jack roześmiał się i Kit wdrapała się z powrotem na łóżko.

– A dokąd popłyniemy potem?

Jack przytulił ją do siebie i opowiedział, co dla nich zaplanował: spędzą sześć dni w Lizbonie, potem długi rejs do Brugii, z dala od francuskiego wybrzeża. Po czterech dniach w Brugii popłyną z powrotem do domu, do Norfolk.

Kit leżała cicho w jego ramionach i Jack dziwił się, że jest im ze sobą tak dobrze i spokojnie. Oboje byli zupełnie rozbudzeni, lecz choć nie chciało im się spać, cieszyła ich wzajemna bliskość.

Stopniowo zapach jej rozgrzanego ciała podrażnił zmysły Jacka. Poczuł, że jego ciało reaguje i uśmiechnął się, spoglądając w sufit. Kit dostała, co jej się należało, a przed nimi długa droga. Da jej godzinkę czy dwie, zanim znów zacznie się z nią kochać.

Obudził się, gdy Kit zaczęła gramolić się z łóżka.

– Moja suknia – powiedziała, sięgając po ubranie i klękając, by lepiej je obejrzeć. – Podarłeś ją. – Obrzuciła Jacka oskarżycielskim spojrzeniem, a potem zerknęła na olbrzymią szafę stojącą pod jedną ze ścian. – Nie przypuszczam, bym mogła znaleźć w niej jakieś suknie?

Jack uśmiechnął się i potrząsnął głową. Nagle spochmurniał. – Nie masz innej w torbie?

Czarna torba Kit stała, porzucona, przy drzwiach.

Kit potrząsnęła głową. – Nie spodziewałam się, że pozostanę zbyt długo poza domem, pamiętasz?

– Co w niej jest?

Kit czujnie przyjrzała się długiej sylwetce, rozciągniętej niedbale na łóżku. – Moje bryczesy. Obie pary.

Jack uniósł głowę, a potem, ku uldze Kit, roześmiał się i opadł znów na poduszki.

– Prawdę mówiąc, spodziewałem się, że będziesz miała je na sobie, kiedy przyjadę do Jenny. Przez całą drogę z Londynu fantazjowałem na temat tego, jak cię ukarzę.

Kit wpatrywała się w niego. Fantazjował? Oblizała wargi. – Nie powiedziałeś mi, jak miałaby wyglądać kara.

– Doprawdy? – Jack uniósł głowę, a jego oczy zabłysły. – Ale na tym polega połowa przyjemności. Z pewnością wyobrażasz sobie różne rzeczy i już nie możesz się doczekać.

– Jack! – Kit spochmurniała i poruszyła się na łóżku, podciągając wyżej kołdrę. Jej wyobraźnia była już i tak wystarczająco pobudzona.

Jack odrzucił znów głowę na poduszki, a łóżko aż zatrzęsło się od jego śmiechu. – Tak sobie tylko pomyślałem.

Kit widziała uśmiech na jego twarzy. Uśmiechał się coraz szerzej, aż wreszcie usiadł na łóżku, a wyraz jego twarzy z każdą chwilą stawał się bardziej szelmowski. – Skoro masz tylko bryczesy, lepiej będzie, jeśli założysz je teraz. Moglibyśmy od razu załatwić tę sprawę z karaniem i mogłabyś nosić je w Lizbonie, zanim kupimy ci trochę nowych ubrań.

Kit przyglądała się, jak jej mąż unosi brew, czując, że po plecach przebiegają jej rozkoszne dreszcze. Wpatrywał się w nią bez zmrużenia powiek, jakby to, co proponował, było najzwyczajniejszą rzeczą na świecie. Oszołomiona Kit uświadomiła sobie, że gdyby miała choć odrobinę przyzwoitości, powiedziałaby mu, że mężatki nie pobłażają sobie, urzeczywistniając fantazje. A już na pewno nie jego fantazje. Uznała jednak, że przyzwoitość nie jest jej mocną stroną.

Zwilżyła językiem suche wargi.

– Jakiego rodzaju karę miałeś na myśli?

Jack się uśmiechnął. – Nic zbyt drastycznego. Nic, co mogłoby sprawić ból. Myślałem o tym jako o pewnym doświadczeniu.

Usiadł na łóżku i odchylił się, by lepiej jej się przyjrzeć.

– Myślę, że powinienem poszerzyć twoją wiedzę, udowadniając ci, co może się wydarzyć, jeśli zostaniesz przyłapana przez mężczyznę, gdy będziesz miała na sobie bryczesy. Lecz musisz obiecać, że nawet nie piśniesz.

Nie piśnie? Kit zamrugała. To jakieś szaleństwo. Lecz nie mogłaby spać spokojnie, gdyby nie dowiedziała się, co planował. Teraz, kiedy powiedział już tyle, być może pewnego dnia zdecyduje się założyć bryczesy i da się przyłapać tylko po to, aby dowiedzieć się reszty. A właściwie, dlaczego nie zrobić tego teraz?

Jack doskonale zdawał sobie sprawę, że Kit nie zdoła oprzeć się ciekawości. Miała jej aż nadto. Rozsiadł się więc wygodnie i spokojnie czekał, aż Kit ustąpi.

– Być może…

Pukanie do drzwi przerwało Kit, uniemożliwiając wyrażenie zgody. – Lordzie Hendon?

Jack wstał i sięgnął po bryczesy, nie przestając się uśmiechać. – Cokolwiek to jest, zajmę się tym. Tymczasem może byś tak się ubrała?

Zapiął bryczesy i wyszedł.

Kit przez chwilę wpatrywała się w drzwi, za którymi zniknął jej mąż. Słyszała, jak rozmawia z kimś w sąsiednim pokoju, lecz nie potrafiła rozróżnić słów. Zerknęła na małą czarną torbę spoczywającą tam, gdzie zostawił ją Jack, tuż za drzwiami.

Zapinała właśnie bryczesy, odwrócona plecami do drzwi, gdy usłyszała, że

Jack wraca.

Zobaczył Kit i wydawszy cichy okrzyk, rzucił się na nią. Objął ją ramieniem w pasie, przycisnął do siebie i bez trudu podniósł.

– Jack! – Kit zaczęła się wyrywać, pamiętając, by mówić cicho. Obiecała, że nawet nie piśnie. Domyśliła się, że atak stanowi część planu. Mimo to była przestraszona. Zacisnęła dłonie na opasującym ją, muskularnym ramieniu. – Postaw mnie.

Głęboki śmiech poruszył jej lokami. A potem poczuła na uchu jego wargi. – Pamiętaj, to jest kara, skarbie. Nie masz tu nic do gadania. Wystarczy, że będziesz czuła.

Kit zamknęła oczy. Wolałaby tego nie słyszeć. Jej nerwy były w strzępach. Co za szatańsko podniecający plan wymyślił? Nie miała cienia wątpliwości co do natury tego planu. Członek Jacka, twardy i pulsujący, napierał na jej pośladki.

Nie musiała czekać długo, aby dowiedzieć się reszty.

– Doprawdy nie sądzę – powiedział jej mąż jak gdyby nigdy nic, rozpinając guziki, które przed chwilą zapięła – byś spodziewała się, jak szybko mężczyzna może dobrać się do ciebie, gdy jesteś w bryczesach. – Co powiedziawszy, ściągnął Kit z bioder spodnie, pozwalając, aby opadły aż na łydki. – A zważywszy, jak łatwo się podniecasz… – mówił dalej, przysuwając się bliżej stojącego w pobliżu krzesła. Powoli opuścił Kit, aż dotknęła czubkami palców podłogi. Kit westchnęła i chwyciła się kurczowo poręczy, czując, że palce Jacka wsuwają się w nią bez trudu. – Nie minęłaby nawet sekunda – mówił dalej, przyciskając się do niej, podniecony i gorący – a już by cię – uniósł lekko biodra Kit i wsunął się w nią – miał.

Młody chłopak okrętowy opuszczał właśnie kajutę właściciela, kiedy usłyszał bardzo kobiece: – Oooch! – dobiegające zza dębowych drzwi w końcu korytarza. Zerknął szybko na schody, lecz nie zobaczył nikogo. Błyskawicznie odstawił tacę i czym prędzej przycisnął ucho do drzwi sypialni.

Z początku nie słyszał nic. Jednak po chwili jego czujne uszy pochwyciły cichy jęk, a po nim następny. Jedno szczególnie długie i przeciągłe westchnienie sprawiło, że dreszcz przebiegł mu po grzbiecie. A potem usłyszał, całkiem wyraźnie, jak zdecydowanie kobiecy głos wzdycha: – Och, Jack!

Brwi chłopaka uniosły się tak, że niemal znikły pod włosami. Słyszał opowieści o lordzie Hendonie. Najwidoczniej wszystkie były prawdziwe. Oderwał się od drzwi i z otwartymi szeroko oczami pośpieszył ku miejscu, gdzie zostawił tacę.

Epilog

Listopad 1811 roku
Stara stodoła w pobliżu Brancaster

Wiatr pogwizdywał pomiędzy krokwiami starej stodoły. Jego mroźne palce, wciskające się przez szczeliny w deskach, sprawiały, że zawieszona u powały lampa kołysała się i przygasała, rzucając na ściany cienie o dziwacznych kształtach, ignorowane przez mężczyzn zebranych pod niegościnnym dachem. Mężczyźni czekali. Czekali na swego przywódcę.

Kapitan Jack prowadził ich od sukcesu do sukcesu. Pod jego silnym dowództwem mogli cieszyć się stabilnością i dumą z faktu, że stali się częścią tak skutecznego przedsięwzięcia. Uniknęli schwytania przez straż i popełnienia poważniejszych przestępstw. Nie ponieśli strat, poza biednym Joe, którego rodziną, dzięki kapitanowi, troskliwie się zajęto.

Krótko mówiąc, rządy kapitana Jacka stanowiły dla nich okres prosperity. Wieści o tym, że został zmuszony do odejścia, uderzyły w nich niczym obuchem. George, przyjaciel Jacka, przyniósł tę nowinę dobry miesiąc temu. Od tego czasu niewiele zdziałali, zbyt nawykli do poddawania się cudzej woli, aby samemu się zreorganizować.

A potem, w zeszłym tygodniu, rozeszła się wiadomość, że kapitan Jack wrócił. Zebrali się tutaj w mglistą, poniedziałkową noc, by spotkać się ze swym przywódcą.

George i Matthew przybyli pierwsi. Jak zwykle, zajęli pozycje po obu stronach drzwi. Mężczyźni gawędzili cicho. Napięcie, spowodowane oczekiwaniem, rosło.

Nagły podmuch wiatru zaskowyczał w krokwiach; palce mgły zawirowały w pobliżu rozklekotanych drzwi. Nagle drzwi otwarły się i do środka wszedł mężczyzna. Mgła przywarła do jego szerokich ramion niczym płaszcz. Podszedł do miejsca, gdzie zwykle stawał Jack – w kręgu światła tuż pod wiszącą lampą.

Przemytnicy wpatrywali się w niego zaskoczeni.

To był Jack, lecz taki, jakim go nigdy dotąd nie widzieli. Jego ubranie jasno świadczyło, że jest to ktoś, kto urodził się, by sprawować władzę. Od lśniących wysokich butów po nieskazitelnie zawiązany krawat, wszystko, co miał na sobie, mówiło o jakości. Szare oczy, które tak dobrze pamiętali, wpatrywały się po kolei w każdą twarz, zmuszając do posłuszeństwa, tyle że tym razem sile woli towarzyszyła ogłada.

– Jack? – zapytał Shep, ściągając z konsternacją krzaczaste brwi.

Mężczyzna uśmiechnął się leniwie, tak jak pamiętali. – Lord Hendon.

Na dźwięk tego nazwiska wszystkim powinny przejść ciarki po plecach, lecz znali tego człowieka, widzieli, jak zajmował się szmuglem razem z nimi, a parę razy nawet ocalił im skórę. Siedzieli więc spokojnie, czekając, aż tajemnica się wyjaśni.

Jack uśmiechnął się szerzej. Stanął, jak zwykle z rozstawionymi stopami, w świetle lampy.

– Rzecz wygląda następująco.

Opowiedział całą historię prostymi słowami, nie wdając się w szczegóły i nie wspominając o młodym Kicie, co kilku spośród zebranych odnotowało. Powstrzymali się jednak od komentarza. Kiedy dotarło do nich, że pomagali Koronie w chwytaniu szpiegów, atmosfera nieco zelżała. A kiedy Jack pokazał dokument, zaświadczający, że winy zostały im wybaczone, po prostu wbili w niego wzrok, nie odzywając się.

– Ten dokument zostanie wysłany do wszystkich biur straży w Norfolk. Napisano w nim, że zostaliście rozgrzeszeni ze wszystkich przestępstw przeciwko ustawie o cłach popełnionych do ostatniej nocy.

Jack zwinął pergamin i schował go do kieszeni. – Teraz już tylko od was zależy, co zrobicie ze swoim życiem. Jednak zaczniecie je z czystym kontem, nalegam więc, byście dobrze się zastanowili, nim znów zajmiecie się przemytem.

Uśmiechnął się krzywo, doskonale świadomy, że cokolwiek by powiedział, gdy tylko minie zaskoczenie, gang znów zacznie działać.

– Na pewno z przyjemnością usłyszycie, że rezygnuję z funkcji królewskiego komisarza. Prawdę mówiąc, wątpię, by ktokolwiek został jeszcze powołany na to stanowisko.

Objął po kolei spojrzeniem pospolite, szorstkie twarze i się uśmiechnął.

– A teraz, drodzy przyjaciele, żegnajcie.

Nie oglądając się za siebie, podszedł do drzwi. Matthew otworzył je przed nim, a potem wyszedł w ślad za Jackiem i George’em. Pozostawieni samym sobie mężczyźni zaczęli szemrać, lecz pozostali w stodole.

Na zewnątrz Jack zatrzymał się pod gołym niebem. Jego włosy błyszczały w świetle księżyca. Odchylił głowę, wsparł ręce na biodrach i spojrzał na blady krąg, przeświecający przez chmury.

George zbliżył się do przyjaciela. – A zatem koniec z kapitanem Jackiem?

Jack odwrócił się raptownie i George zauważył na jego wargach szatański uśmieszek. – Na jakiś czas.

– Na jakiś czas? – powtórzył George z pełnym grozy niedowierzaniem.

Jack roześmiał się głośno, a potem ruszył ku kępie drzew.

George obserwował go, zaintrygowany, a kiedy spomiędzy drzew wyłonił się jeździec, chwycił Matthew za ramię. Jack nie zwolnił, przeciwnie, nawet

przyśpieszył. A potem George rozpoznał konia i zauważył, że z tyłu czeka też Champion.

– Niemądrzy ryzykanci! – powiedział, lecz się uśmiechał.

– Tak – zgodził się z nim Matthew. – Proszę tylko pomyśleć, co za potomka spłodzą!

– Niech Bóg ma nas w opiece – rzekł George, przyglądając się, jak Jack wskakuje na siodło. Kit powiedziała coś przez ramię i skierowała Delię na drogę. Jack podążył za nią, a potem pośpieszył Championa, by zrównał się z wierzchowcem żony.

George patrzył za nimi, aż zniknęli w cieniu pośród drzew. Uśmiechając się, ruszył po swego konia, zadowolony, że Amy, teraz jego żona, czeka bezpieczna w łóżku.

– Nawiasem mówiąc – powiedział Jack do Kit, gdy Champion skręcił w wąską dróżkę biegnącą przez włości Hendonów – niedługo będziesz musiała przestać na niej jeździć.

Kit zmarszczyła brwi i pochyliła się, aby pogłaskać błyszczącą szyję Delii, podążającej z wolna za ogierem.

– Dlaczego?

Jack uśmiechnął się, wiedząc, że Kit nie może tego zobaczyć.

– Powiedzmy, że ty i ona macie ze sobą więcej wspólnego, niż mogłabyś przypuszczać.

Kit nie od razu zrozumiała, co Jack ma na myśli. Na statku nudności nasiliły się i wreszcie, po opuszczeniu Brugii, zmuszona była powiedzieć Jackowi, że spodziewa się dziecka. On zaś poinformował ją, że domyślił się tego, gdy pierwszy raz kochali się na statku. Od tego czasu paradował dumny i bardzo z siebie zadowolony, co wielce irytowało Kit. I oczywiście stał się jeszcze bardziej opiekuńczy. Kit była zdumiona, że dotąd nie zabronił jej jeździć konno, ale i to pewnie wkrótce nastąpi. Ale co ona i Delia mogą mieć wspólnego?

Gdy wreszcie domyśliła się, o co może chodzić, ściągnęła wodze, sapnąwszy z oburzeniem.

– Chcesz powiedzieć…? Jak…?

Jack zatrzymał się i spojrzał na nią. Uśmiechał się tak, że Kit od razu uznała, iż jej domysły muszą być słuszne.

– Jacku Hendonie! – zawołała, spoglądając na męża zwężonymi z gniewu oczami. – Czy chcesz mi powiedzieć, że pozwoliłeś tej brutalnej bestii, swemu ogierowi, dopaść Delii?

Jack spojrzał na nią szeroko otwartymi, wyrażającymi absolutną niewinność oczami.

– Ależ, najdroższa, z pewnością nie chciałabyś odmawiać Delii przyjemności, która tak bardzo przypadła ci do gustu?

Kit otwarła usta, a potem czym prędzej je zamknęła. Rozgniewana wpatrywała się w swego nieznośnego małżonka. Czy on zawsze musi mieć ostatnie słowo?

Prychnęła zirytowana i strzeliła wodzami.

Jack roześmiał się i podjechał bliżej. – I co, jesteś zadowolona, że byłaś obecna przy tym, jak kapitan Jack zakończył karierę?

Kit spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami i zapytała: – Czy kapitan Jack umarł? A może tylko zmienił na jakiś czas strój i zachowanie?

Teraz to Jack spojrzał na żonę rozszerzonymi ze zdziwienia oczami. Jednak nim zdążył coś powiedzieć, Kit ścisnęła obcasami boki Delii i odjechała. Zmierzała ku domowi, lecz zatrzymała się u wejścia na polankę przed chatą.

Jack zatrzymał się obok żony. – Zmęczona?

Kit patrzyła na domek. – Nie bardzo – odparła, zerkając spod oka na męża.

Jack dostrzegł to spojrzenie i jęknął z udawaną rezygnacją, a potem zsiadł z konia. – Ja zajmę się końmi, a ty rozpal ogień.

Kit roześmiała się, kiedy pomagał jej zsiąść. Położyła mu rękę na głowie i przyciągnęła ją ku sobie, po czym przywarła wargami do jego ust i przycisnęła ciało do jego ciała w namiętnej obietnicy. Potem, usatysfakcjonowana natychmiastową reakcją Jacka, uśmiechnęła się bardzo z siebie zadowolona i pobiegła do drzwi.

Jack spoglądał w ślad za nią, uśmiechając się leniwie. Pomimo wszelkich przygód i przeciwności pozostała dzika i nieokiełznana – na zewnątrz konserwatywna, w głębi duszy równie nieposkromiona jak on. Choć tak uparta, należała do niego, miał ją we krwi tak, jak ona jego. Czyż może być silniejsza więź? Opiekowanie się nią wypełni pustkę w jego życiu, tak jak już wypełniło serce. Zawsze będzie mógł liczyć na to, że Kit doprowadzi go do skraju wytrzymałości, rozwścieczy – i będzie kochała z całego serca.

Sprawi, że Jack pozostanie czujny i gotów do działania. Spojrzał na chatę. Miał nadzieję, że Kit zaczyna się już niecierpliwić.

Mrugnął konspiracyjnie do Championa, zerknął po raz ostatni na księżyc, a potem wprowadził konie do stajni i ruszył czym prędzej do chaty – wprost w ciepłe, kochające ramiona żony.

Po latach spędzonych w Londynie Kit Cranmer
powraca do domu ukochanego dziadka
na wybrzeżu Norfolk. Samowolna i żądna przygód,
galopująca w męskim przebraniu po okolicy,
przypadkowo zostaje hersztem przemytniczej szajki
i w tej roli poznaje przywódcę konkurencyjnego gangu.
Męski i władczy kapitan Jack szybko rozpoznaje
w smukłym młodzieńcu kobietę
i choć dla własnych celów podejmuje grę,
nie zdoła długo powstrzymać namiętności.
Kit zaś z entuzjazmem wkroczy w świat rozkoszy
zaoferowany jej przez przystojnego przemytnika.
Tyle że on również nie jest tym,
za kogo się podaje...

bis
www.wydawnictwobis.com.pl